

Janet Dailey

GRAĆ, ŻEBY ŻYĆ

- Panie i panowie! - Spotęgowany przez megafon głos spikera zabrzmiał ponad niezbyt gęsto zapelnionymi trybunami i dotarł do rozproszonych na boisku konnych zawodników. - Pragnę powitać was na finałowym meczu o Memoriał Jacoba L. Kincaida, rozgrywanym tutaj, w Palm Beach Polo Club. Któż nie znał Jacoba Kincaida, dla wielu z nas po prostu Jake'a, znakomitego gracza i człowieka, który przez całe swe życie z zapałem patronował grze w polo. Był nie tylko wybitnym zawodnikiem, ale też prawdziwym ambasadorem tego sportu. Zawsze będzie nam go brakowało. - Spiker przerwał na chwilę, a potem kontynuował już nieco mniej poważnym tonem. - Chciałem zwrócić uwagę państwa na łożę honorową, w której zgromadził się klan Kincaidów.

- Nie cały klan, George - głośno sprostowała elegancka, szczupła kobieta siedząca w łoży. Jej jasne włosy obronił przed słońcem Florydy biały słomkowy kapelusz. Chociaż musiała niemalże krzyknąć, by usłyszał ją spiker stojący na odległym podwyższeniu, jej głos miał w sobie coś wytwornego i zniewalającego jak znakomite wytrawne bordeaux. - Gdyby nasza rodzina przyszła tu w komplecie, zapelnilibyśmy połowę trybun.

Widzowie znający Kincaidów roześmiali się. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że stanowią oni bardzo liczną rodzinę. Sześcioro dzieci, trzy dziewczynki i trzech chłopców, tworzyło zawsze niesformą, pełną życia gromadę. Byli oczywiście rozpieszczeni, ale obdarzeni ujmującym urokiem, w dodatku rosnącym wraz z wiekiem. Niestety, czas uszczuplił ich grono. Najstarszy Andrew zginął tragicznie w Wietnamie, kiedy jego helikopter wylądował na polu minowym, a Helen przed dwoma laty poniosła śmierć w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę. Oboje zostawili swoim rodzicom do wychowania kilkoro dzieci, które dołączyły do licznej już gromady wnucząt.

Swoboda zachowania była cechą tej licznej rodziny, dobrze więc, że zbyt podniosły ton uroczystości został przerwany przez kogoś z Kincaidów. W końcu polo, pomimo swej oficjalnej oprawy, jest sportem nieformalnym, uprawianym przez wąską elitę, która uważa się za jedną wielką, pasjonującą się tą rozrywką rodzinę.

- Trzeba było przyprowadzić ich ze sobą. Luz. Wreszcie mielibyśmy komplet widzów - odpowiedział spiker.

- Następnym razem - odrzekła wesoło elegancka kobieta.

Luz Kincaid Thomas miała na imię Leslie, lecz od dawna nikt nie zwracał się do niej w ten sposób. Wyglądała na trzydzieści lat. Ktoś nieżyczliwy mógłby jej dać najwyżej trzydzieści siedem. Nieznajomi zawsze byli zaskoczeni, kiedy informowała ich, że ma czterdzieści dwa. Jej cera miała świeżą młodzieńczą barwę lekko stonowaną słońcem Florydy, dawkiowanym na tyle ostrożnie, by nie stała się zbyt ciemna. Przyjaciółki, chociaż nieraz dyskretnie przyglądały się Luz, nie mogły znaleźć na jej twarzy blizn zdradzających przebyte operacje plastyczne.

Kiedy była młodą dziewczyną, rysy miała zbyt wyraziste, ale potem wyrosła na piękną kobietę. Wiek złagodził mocno zarysowaną szczękę Kincaidów, a modne ostatnio gęste brwi podkreślały piękno brązowych oczu, największej ozdoby Luz.

Jej długie do ramion włosy, przewiązane jedwabną apaszką w geometryczne wzory, miał nieokreślony odcień, coś pomiędzy jasnym brązem o kolorem blond. Jeśli fryzjer stosował specjalne mieszanki by je rozjaśnić i zamaskować ewentualne pasma musiał to robić isticie po mistrzowsku.

Przez lata Luz Kincaid Thomas wypracował swój własny styl i sposób bycia. Los obdarzył ją szczerze nie tylko urodą i pozycją, ale i niezależnością, liczną rodziną, trwałym małżeństwem i dwójką dorastających dzieci. Spotykały ją drobne kłopoty, miewała niekiedy przyływy humoru, lecz w zasadzie uważała, że jej życie pozbawione sensu i znaczenia, i uznawała je za satysfakcjonujące.

- Jest tutaj z nami Audra Kincaid, wdowa po Jacobie - kontynuował spiker, zerkając do przygotowanych wcześniej notatek. - Po zakończeniu meczu on wręczy zwycięzcom puchar ufundowany dla pamięci jej męża. Cieszę się, Audro, że jesteś dzisiaj z nami.

Kątem oka Luz zauważyła, że matka prawdziwie królewskim gestem odpowiedziała na powitanie, co zebrani nagrodzili krótkotrwałymi oklaskami. Audra Kincaid była powszechnie poważaną matroną, a przy tym, pomimo sześćdziesięciu dziewięciu lat, ciągle jeszcze bardzo przystojną kobietą. Trzymała się dobrze. Luz uważała, że swój młodzieńczy wygląd odziedziczyła po niej.

Odwróciła się dyskretnie, by lepiej przyjrzeć się matce siedzącej obok na ogrodowym krześle. Zawsze ubrana odpowiednio do okoliczności, tym razem Audra Kincaid miała na sobie zieloną letnią suknię z krótkimi rękawami ozdobioną białą lamówką, oraz świetnie dobrany zakiet. Strój był dostosowany do jej wieku, pasował też na tę okazję, był jednak na tyle sportowy, że inne panie, ubrane w spodnie lub szorty, mogły czuć się swobodnie w jej towarzystwie. Zieleń, barwa bujnej roślinności, sugerowała, że życie toczy się dalej, nie zatrzymało się nawet dla kobiety oplakującej męża zmarłego przed trzema miesiącami.

Czy Audra istotnie go oplakuje? Luz pomyślała o tym i natychmiast poczuła się winna z powodu trapiących ją wątpliwości. Nikt nie mógł oskarżać Audry, że była złą żoną czy matką, ale Luz nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz zwróciła się do niej słowem „mamo”. Pamiętała, jak Audra płakała w jej ramionach, gdy lekarz oznajmił, że Jacob Kincaid nie przeżył ostatniego ataku apopleksji, ale czy nie były to łzy ulgi? Ktoś powiedział, że powinny dziękować Bogu, iż ojciec zmarł, a nie wegetuje, wymagając stałej opieki. Luz nie patrzyła na to w ten sposób. Czy jednak Audra nie cieszyła się, że mąż odszedł i wreszcie uwolnił ją od ciągłego udawania? Chyba niemożliwe, aby jeszcze mogła go kochać.

Jacob Kincaid był najlepszym ojcem, jakiego Luz mogła sobie wymarzyć. Matka często karciała córkę, natomiast ojciec rozpieszczał ją i obrzucał podarkami. Kochał Luz tak samo, jak żył - zawsze szczerze. Uwielbiał władzę, polo i kobiety - niekoniecznie w takiej właśnie kolejności. Jego licznych romansów nigdy nie udało się długo utrzymać w tajemnicy. Nazwisko Kincaidów zbyt dobrze było znane, zbyt wiele znaczyło. Jeśli nawet jakieś zdarzenie z jego prywatnego życia nie znalazło się w rubryce towarzyskiej lokalnych gazet, na pewno wiadomość o nim rozeszła się szybko w formie plotki.

Kiedy Luz miała jedenaście lat, poznała, co znaczy być członkiem znanej rodziny, a wkrótce potem zrozumiała, jaki ból i upokorzenie przeżywała jej matka. Od tej pory znienawidziła ojca za wszystko, co zrobił Audrze, a potem również i ją, za to, że nie potrafiła temu zapobiec. A może była też zła, że matka zbyt go obwiniała?

Zapamiętała radę, jakiej udzieliła jej matka ślubem z Drewem Thomasem: „Małżeństwo opiera na zaufaniu. Mężczyźni mają swoje grzeszki, i Drew będzie je miał, ale musisz wierzyć, że zawsze do ciebie

wróci”.

Chociaż w końcu Luz zrozumiała postawę Audry, często zastanawiała się, co matka naprawdę odczuwa, zwłaszcza teraz, kiedy mąż zmarł. Nie mogła jej o to zapytać. Zakazana była jakakolwiek wzmianka o niewierności ojca i jego śmierć nic tu nie zmieniała. Nie rozmawiano o tym, kiedy żył, więc tym bardziej teraz, gdy zmarł.

- ...a teraz pragnę przedstawić graczy, którzy w finałowym spotkaniu wystąpią w drużynie Czarnych Dębów.

Głos spikera przerwał rozmyślenia Luz. Skierowała uwagę na rozległe, porośnięte gęstą murawą pole czterokrotnie większe od boiska do piłki nożnej. Jej wzrok prześlizgnął się po sylwetkach jeźdźców ubranych w czarne koszulki, białe bryczesy i kaski, po czym spoczął na ich czterech przeciwnikach w niebieskich koszulkach. Poczula przyływ dumy, kiedy spostrzegła szczupłego jeźdźca z numerem jeden na plecach. Długie jasne włosy, tym samym co jej kolorze, zwijały mu się w pukle. Siedział wyprostowany, trzymając wysoko kij do gry w polo.

- Gdzie jest Drew? - pytanie zadane przez Audrę odwróciło uwagę Luz od boiska. - Wygląda na to, że nie zdąży na rozpoczęcie meczu.

- Czeka przed wejściem na Phila Eberly i jeszcze na kogoś z biura. Na pewno się spóźnią. - Luz spojrzała w stronę wejścia, ale nie dostrzegła tam charakterystycznej, przyprószonej siwizną czupryny męża. - Nawet jeśli zaraz nie przyjdą, to jestem pewna, że zdążą zobaczyć pierwszego gola.

- Prawdopodobnie czeka na Billa Thorndyke'a. On uwielbia polo.

- Co takiego? - Uwaga Luz znów skoncentrowana była na boisku w oczekiwaniu na prezentację czterech następnych graczy stojących przed trybunami. Znaczenie słów Audry dotarło więc do niej z pewnym opóźnieniem. - Nie. Bill Thorndyke nie przyjdzie. Podobno zjawi się jakaś nowo zatrudniona prawniczka. Pamiętam, ile Drew miał kłopotów z Organizacją Równych Szans, traktuje ją więc niemal po królewsku.

Informacje te nie były zbyt dokładne, podobnie jak i cała wiedza Luz o działalności prawniczej firmy Thomas, Thorndyke and Wall. Czasami tylko oczekiwano od niej towarzyskiego zabawiania klienta. Jeśli wchodził w grę ktoś ważny, z powszechnie znanej rodziny, zazwyczaj już wcześniej miała okazję go poznać.

Luz miała opinię kobiety inteligentnej, ale w żadnym razie nie można jej było nazwać intelektualistką. Ukończyła co prawda uniwersytet w Wirginii, lecz sama zdawała sobie sprawę, że zdobyła tylko powierzchowną wiedzę. Chciała, żeby mąż był od niej mądrzejszy. Drew spełniał ten warunek.

- ...a teraz zespół przeciwników. Tak się szczęśliwie składa, że o zwycięstwo w Memoriale Jacoba Kincaida ubiegać się będzie jego stara drużyna - Błękitne Smoki. Podtrzymując tradycje rodziny, z numerem jeden wystąpi w niej wnuk Jake'a, Rob Kincaid Thomas...

Trybuny odpowiedziały oklaskami. Szczególnie żywy aplauz dobiegał z łoży Kincaidów, gdzie wśród wesołych okrzyków najgłośniej brzmiał głos Luz, wpatrzonyj w syna. Kiedy z ust spikera padło jego nazwisko, wyprostowany na stalowosiwym koniu Rob wysunął się nieco do przodu. Reakcja widzów prawie całkowicie zagłuszyła dalszy ciąg zapowiedzi.

- ...dosiadając siwego wałacha, którego wielu z was pamięta jako najwspanialszego rumaka Jake'a, o imieniu Stonewall. Przyjrzyjcie się temu chłopcu. Ma dopiero osiemnaście lat, a już jest zawodnikiem z

dwupunktowym handicapem.

Audra skrzywiła usta w wyrazie dezaprobaty, który Luz dobrze pamiętała z dzieciństwa.

- Powinien zostawić tego waluha na koniec gry. Jake zawsze tak robił.

- To ja zaproponowałam, żeby siwy wystąpił na początku meczu - stwierdziła Luz. Twarz jej rozjaśniał uśmiech wywołany widokiem syna. - Jest to bardzo spokojny koń, a to pomoże Robowi opanować zdenerwowanie i ułatwi mu wejście w rytm gry.

- Zobaczmy - odrzekła Audra, co zabrzmiało jak: Ja i tak wiem lepiej.

- Poza tym, zanim rozpocznie się szósta runda meczu, siwek wystarczająco odpocznie, aby Rob, jeśli zechce, mógł go ponownie osiąść.

Chociaż Luz wierzyła w słuszność tej decyzji, czuwała potrzebę przekonania Audry o swojej racji. Wyraźnie była to pozostałość dawnej relacji rodzice-dziecko.

Jej starsza o dwa lata siostra. Mary Carpentier pochyliła się ku nim.

- Łatwo można się zorientować, który zespół jest tu faworytem. Posłuchajcie, w jaki sposób widzowie oklaskują naszą drużynę.

Luz skinęła potakująco i odwróciła nieco głowę ku siostrze, nie odrywając jednak wzroku od boiska, na którym jeźdźcy ustawili się już do rozpoczęcia gry.

- Gdyby udało ci się zebrać wszystkie swoje dzieci w jednym miejscu i posadzić je na koniach, mielibyśmy własną drużynę polo.

Był to stały temat rodzinnych żartów. Mary miała ze swym mężem, maklerem giełdowym, dwanaścioro dzieci. „Równy tuzin i ani jednego więcej” - powiedziała po urodzeniu ostatniego. Tylko troje mieszkało jeszcze w domu. Pozostałe były w szkołach lub założyły własne rodziny.

Zapamiętanie tego, gdzie które przebywa, było pewnym problemem, a śledzenie ich poczynąń mogło zmienić życie rodziny w koszmar. Luz często podziwiała zdolności siostry do radzenia sobie z tym wszystkim. Mary potrafiła znaleźć przy tym czas na udział w takich imprezach jak dzisiejsza. Oczywiście, była to okazja szczególna - hołd składany ojcu.

Mary odziedziczyła po nim dużą kościstą sylwetkę. Nigdy nie uważano jej za ładną, ale przystojną, podobnie jak matkę. W tak licznej rodzinie miała tyle obowiązków, że była szczupła pomimo licznych porodów. Bez wątplenia siostra była dla Luz osobą bliższą niż najstarszy brat Frank czy beniaminek rodziny Michael. Szczęście promieniowało z oblicza Mary i w tym tkwiło źródło jej urody. Niekiedy Luz zazdrościła jej tego.

- Daj mi spokój z końmi do polo. Mamy już trzy konie, dwie owce, cztery psy i mnóstwo kotów. Nie lubię, jak dzieci opuszczają dom, ale skoro już to robią, to dobrze byłoby, żeby zabierały ze sobą swoje ukochane zwierzęta, a nie zostawiały je pod moją opieką - stwierdziła Mary z udanym rozżaleniem, po czym, odchyliwszy się na oparcie krzesła, obserwowała boisko, na którym jeden z dwóch sędziów zajął właśnie miejsce w centrum i przygotowywał się do wykonania rzutu rozpoczynającego grę.

Na kimś, kto patrzy z boku, pierwsze chwile meczu polo zawsze sprawiają wrażenie niebywałego chaosu. Ośmiu graczy, po czterech z każdej drużyny, stoi stłoczonych po obydwu stronach linii środkowej boiska, w mniej lub bardziej nachylonych pozycjach, by lepiej widzieć twarz sędziego i lepiej zapanować nad zdenerwowanymi, stającymi dęba końmi. W wąską przestrzeń pomiędzy dwoma rywalizującymi zespołami sędzia wrzuca białą piłkę mającą zgodnie z przepisami średnicę ośmiu

centymetrów. Kiedy to nastąpiło, Luz natychmiast straciła ją z oczu - zginęła w gęstwinie końskich nóg, owiniętych kolorowymi ochronnymi bandażami, oraz kijów, którymi gracze próbowali jej dosięgnąć. Luz nie zdołała zauważyć, czyje uderzenie uwolniło piłkę i skierowało w stronę jednej z bramek.

Jeźdźcy rzucili się w tym kierunku. Zawodnik w czarnej koszulce zajmował najlepszą pozycję. W tym samym czasie napastnik z jego drużyny spiął konia ostrogami i ruszył w stronę bramki, zostawiając w tyle dwóch obrońców w niebieskich koszulkach. Kopyta zadudniły na twardej murawie. Luz przyglądała się, jak ubrany w czarną koszulkę zawodnik wykonał w doskonały sposób zwrot i mogła tylko mieć nadzieję, że nie trafi w piłkę. Jednak trafił.

Piłka długim łukiem poszybowała w kierunku bramki przeciwnika i wylądowała w miejscu, z którego napastnik Czarnych Dębów mógł ją łatwo skierować do celu. Jeszcze nie minęła pierwsza minuta gry, a już wynik brzmiał jeden do zera na niekorzyść Błękitnych Smoków.

Mary poklepała Luz po ramieniu.

- To był przypadek. Zobaczysz, co się będzie działo, kiedy nasi chłopcy ruszą do ataku.

Spiker wyraźnie nie podzielał opinii Mary.

- Punkt dla Czarnych Dębów zdobył Martin po podaniu Raula Buchanana. Tak właśnie potrafi grać ten Argentyńczyk z dziewięciopunktowym handicapem. Zawodnicy Błękitnych Smoków będą mieli dzisiaj pełne ręce roboty.

Luz spojrzała na ubranego w czarną koszulkę jeźdźca, który wracał ku środkowej części boiska, gdzie miało nastąpić wznowienie gry. Biała trójka na plecach określała jego miejsce w drużynie - obrońca i zarazem rozgrywający. Taką funkcję powierzano zwykle kapitanowi i najbardziej doświadczonemu graczowi w zespole.

Drużyny polo składają się zazwyczaj z amatorów i zawodowców. Zaangażowanie argentyńskiego gwiazdora przez Chestera Martina, sponsora i zawodnika Czarnych Dębów, świadczyło, jak bardzo zależy mu na zwycięstwie własnej drużyny.

Dobry gracz w polo powinien być świetnym jeźdźcem i Luz opierając się na własnych doświadczeniach zauważa, że Argentyńczyk do takich należy. W każdej chwili, bez patrzenia, wiedział, która noga konia uniesiona jest do góry, gdzie znajduje się środek ciężkości zwierzęcia i jaką przyjmie pozycję. Wyczuwał to za pośrednictwem własnych nóg i wodzy.

Z tej odległości nie mogła ocenić, czy jest przystojny. Stwierdziła jedynie, że ma ładną sylwetkę - wąskie biodra i szerokie ramiona. Białe kask i osłona twarzy uniemożliwiały dostrzeżenie jego rysów, a więc Luz zrezygnowała z bardziej szczegółowej oceny urody głównego przeciwnika i zwróciła uwagę na jeźdźca, który właśnie zdążył ku środkowej linii, przecinając rozległe boisko.

Szybko zdobyty przez przeciwników punkt ostudził nerwowy zapał, który Rob zazwyczaj wykazywał w pierwszych minutach meczu. Teraz sprawiał wrażenie zrównoważonego i spokojnego, gotowego do poważnej gry. Luz uśmiechnęła się leciutko, zadowolona z tego przejawu dojrzałości. Powoli wyrastał on z gwałtownych zmian nastroju, które wykazywał jako młody chłopiec.

- Wreszcie nadchodzi Drew!

Na głos matki Luz odwróciła się. W jej słowach wyczuła przypomnienie, że na początku meczu ostrzeżona została o możliwości jego spóźnienia.

Według Audry Kincaid dobre maniere nakazują punktualność i nie nie usprawiedliwia spóźnienia. Luz przypomniała sobie gwałtowną kłótnię z matką, kiedy jako siedemnastoletnia dziewczyna oświadczyła, że spóźni się na przyjęcie. To nie była kłótnia, zreflektowała się natychmiast. Ona istotnie krzyczała, natomiast matka nie podniosła głosu, nie mogło więc dojść do kłótni. Lekcję tę przyswoiła sobie dobrze. Od tej pory prawie zawsze przychodziła punktualnie na każde spotkanie.

Natomiast Drew rzadko kiedy pojawiał się o właściwym czasie, co stanowiło ciągły powód jej irytacji. Gdy zbliżył się do ich łóża, łatwo można było spostrzec, że wcale nie odczuwa skruchy z powodu spóźnienia, chociaż wiedział, jak wiele znaczy dla Roba ten mecz.

Luz stłumiła w sobie niezadowolenie, przywołując w pamięci zalety Drewa jako pana domu, ojca i męża. Ciągłe atrakcyjnym, eleganckim mężczyzną z lekko przyprószonymi siwizną włosami. W przeciwieństwie do męża Mary zachował świetną sylwetkę dzięki grze w tenisa i golfa.

Dobrze rozwijająca się prawnicza kariera pochłaniała mu mnóstwo czasu, nie rozmawiali więc często, ale w końcu po prawie dwudziestu jeden latach małżeństwa wiedzieli o sobie prawie wszystko. O czym więc można było dyskutować? O polityce? Pogodzie? Dzieciach? O drobnych codziennych zdarzeniach? Milczenie nie przeszkadzało Luz. Uważała, że tworzą trwałe związki.

- Widzę, że w końcu pojawili się jego goście.

Uwaga Audry skłoniła Luz do spojrzenia na przybyłe z mężem osoby. Pierwszy rzut oka na towarzyszącą mu kobietę zaskoczył ją. Ta uderzająco piękna brunetka o niezwykłych oczach i ujmującym uśmiechu zupełnie nie odpowiadała zakodowanemu w jej świadomości obrazowi kobiety-prawniczki z zaciśniętymi ustami i w okularach w czarnych oprawkach. Drew nie mówił, że jest taka piękna, a przecież w ciągu miesiąca, bo tak długo pracuje już w jego firmie, nie mógł tego nie dostrzec.

Uświadomiła sobie swoje przesadne rozgoryczenie i irytację. Natychmiast je stłumiła. Nie miała zamiaru odgrywać roli zazdrosnej żony tylko dlatego, że mąż zatrudnił w biurze młodą, ładną kobietę. Miała pewne podejrzenia, że w przeszłości Drew nie zawsze dochowywał jej wierności, ale były to, jak sądziła, jedynie sporadyczne wyskoki na jedną noc. Wiadomo, każdy mężczyzna, jeśli tylko ma okazję, skłonny jest ulec takim pokusom. Stałej kochanki na pewno jednak gdy nie miał.

- Spójrz, zjawił się młody Eberly - powiedziała półgłosem Audra. - Czy to za nim tak szalała zeszłej jesieni, córka Mary?

- Tak.

Luz odczuła ulgę na widok tego młodego, przystojnego pracownika firmy męża. Wysoki brunet, absolwent Uniwersytetu Harvarda, mógł nawet na Madison Avenue służyć za wzór dobrze zapowiadającego się adwokata.

W chwili kiedy trójka spóźnionych widzów wkraczała do łóża, mecz polo został wznowiony. Dobre wychowanie nakazywało Luz zignorować toczącą się na boisku akcję, by przywitać gości. Drew, najwyraźniej dla uspokojenia Audry, tłumaczył swoje spóźnienie tłokiem na ulicach.

- Mam nadzieję, że nie straciliśmy zbyt wiele - powiedziała z uśmiechem piękna brunetka. Sprawiała wrażenie zakłopotanej, a przy tym rozbijającą szczerą i przyjazną.

- Mecz dopiero się zaczął - zapewniła ją grzecznie Luz.

Drew przystąpił do oficjalnej prezentacji gościa.

- Audro, chciałbym ci przedstawić naszą nową pracownicę, pannę Claudię Baines.

- To dla mnie zaszczyt poznać panią. - Claudia wyciągnęła rękę na powitanie, nie przejawiając tremy w obecności głowy rodu Kincaidów.

Luz ciekawa była, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, jak uważnie jest obserwowana. Osądzany jest zapewne fason i krój jej biało-czerwonego kostiumu, uważnie badany sposób przycięcia czarnych włosów. Liczne były elementy podlegające oszacowaniu, ale wszystkie zostały ocenione jednym dyskretnym rzutem oka.

- Pamiętasz oczywiście Phila Eberly z naszego biura.

Drew cofnął się o krok, by umożliwić młodemu pracownikowi przywitanie się ze starszą panią.

- Tak. Spotkaliśmy się już wcześniej.

Luz przypomniała sobie słowa matki, zdaniem której ten młody człowiek jest zbyt pewny siebie.

Podobną opinię wyraziła na temat Drewa dwadzieścia kilka lat temu. W owym czasie rodzina Thomasów była powszechnie szanowaną, dumną, ale ubogą rodziną. Powodowany ambicją Drew odrzucił ofertę pracy w wydziale prawnym bankowo-inwestycyjnej firmy Jake'a Kincaida. Luz często zastanawiała się, czy Drew domyślał się, jak wielu zamożnych klientów zyskał w pierwszych latach swej samodzielnej działalności dzięki protekcji teścia. Nie znaczy to, by kiedykolwiek nękały ich kłopoty finansowe - ona miała swe własne pieniądze odziedziczone po dziadku, a ostatnio jeszcze pokaźne sumy po ojcu.

Teraz jej z kolei zastała przedstawiona panna Baines. Wesóły błysk w piwnych oczach Claudii ułatwił Luz obdarzenie jej uśmiechem. Swym młodzieńczym zaraźliwym optymizmem przypominała jej córkę.

Po serii uprzejmości, wymienianych przy akompaniamencie dudnienia końskich kopyt i okrzykach dobiegających z boiska, Drew zamierzał rozpocząć prezentację gości swej szwagierce Mary, siedzącej z małżonkiem i trójką dzieci w drugim rzędzie.

- Zaczekaj chwilę. Przedstawisz mi swych gości w przerwie po pierwszej rundzie - zawołała wesoło Mary uprzedzając zamiar Drewa.

- Siadźcie tutaj - powiedziała Luz, wskazując wolne krzesła w pierwszym rzędzie, nieco poniżej miejsc, które zajmowały z matką. - Stąd lepiej widać.

Krzesło po prawej stronie Luz było wolne. Drew zawahał się, przechodząc obok niego, ale nachylił się do żony i wskazując głową w kierunku gości, powiedział:

- Usiądę z nimi, żeby objaśniać im reguły gry.

- Oczywiście.

Ponownie skupiła uwagę na akcji rozgrywającej się na boisku, ale Drew przesłonił jej na chwilę widok, akurat w momencie, kiedy wydawało się, że drużyna Roba ma szansę na zdobycie gola. Usłyszała nagle żalony okrzyk Mary.

- Co się stało? - zapytała.

- Rob spudłował. Przeszkodził mu Argentyńczyk i piłka wyszła na aut. Wygląda na to, że Czarne Dęby rozgromią ich - rzekła Mary.

- Gdzie jest Trisha? - Drew odwrócił się na krześle, by spytać o córkę.

- A gdzież może być? Oczywiście przy koniach Roba. - Luz spojrzała ku odległemu krańcowi pola, gdzie zapasowe wierzchowce oczekiwały na swój udział w grze. - Rob mówi, że niepotrzebny mu stajenny, skoro ma siostrę.

- Nasza siedemnastoletnia córka jest zwariowana na punkcie koni - wyjaśnił Drew swoim gościom. - Myślę, że nie ma w tym nic złego. Prawdziwe kłopoty pojawią się, kiedy zaczną interesować się chłopcami.

- Już ich zauważa. - Luz ani przez chwilę o tym nie wątpiła. Powstrzymała się od przypomnienia mężowi, że Trisha za dwa miesiące kończy osiemnaście lat. A poza tym ona wcale nie szaleje za końmi, tylko woli pomagać bratu niż nudzić się na trybunach. - Jeśli już masz się tym martwić, to zacznij dopiero wtedy, kiedy Trisha odkryje prawdziwych mężczyzn.

- Luz, postępujesz nie *fair* - zaprotestował Phil Eberly i nachylił się ku Claudii Baines. - Robi z nas diabłów, a my przecież wcale nimi nie jesteśmy, nieprawdaż?

Claudia, zajmująca środkowe krzesło pomiędzy dwoma mężczyznami, nie zwróciła uwagi na słowa Phila, jak gdyby wcale ich nie słyszała. Całą uwagę skoncentrowała na boisku.

- Który z zawodników jest pańskim synem?

Luz zauważyła wahanie na twarzy męża i pośpieszyła mu z pomocą.

- Gra w drużynie ubranej w niebieskie koszulki i dosiada pięknego siwka.

- Tego konia łatwo zauważyć - powiedział Drew z uśmiechem. - Gorzej, jeśli żona informuje mnie tak: „Jeździ na gniadoszu, który ma na nosie białą plamkę”. Pośród ośmiu koni na boisku, a nawet dziesięciu, jeśli liczyć te należące do sędziów, połowa jest maści gniadej lub kasztanowej. A jak tu w dodatku zauważyć, co mają na nosie?

Słowa Drewa wywołały wybuch ciepłego zaraźliwego śmiechu Claudii. Skoncentrowana na grze Luz nie słuchała uważnie dobiegającej z dołu rozmowy. Drużyna Czarnych, po wybiciu piłki spoza linii bocznej, skierowała ją ku środkowi pola.

- Oczywiście moja żona zna się lepiej na koniach niż ja - kontynuował Drew. - Często je trenuje i dba o utrzymanie ich we właściwej kondycji.

- Czy jeździ pan konno?

- Tak, ale nie jestem dobrym jeźdźcem.

Na boisku okrzyki zawodników mieszały się z parsaniem koni i szczękiem uprzęży. Spod kopyt wierzchowców wylatywały w powietrze grudy ziemi, kiedy gracze zmuszali je do zmiany kierunku lub krótkiego galopu w pogoni za piłką.

- Dla Luz jazda konna jest czymś naturalnym. Urodziła się i wychowała w Wirginii. Jako młoda dziewczyna należała do klubu myśliwskiego. A czy pani, panno Baines, interesuje się wyścigami konnymi? - zapytał.

- Nie. Tego nie mogę zaliczyć do moich nałogów.

W głosie Claudii zabrzmiało rozbawienie, ale Luz odniosła wrażenie, że odpowiedź była celowo prowokująca.

- W takim razie na pewno nie słyszała pani o farmie Hopeworth w Wirginii. Jest tam duża stadnina rasowych koni należąca do rodziny Kincaidów.

- Naprawdę? Wiedziałam, że kontrolują szereg banków i firm ubezpieczeniowych, lecz...

- ...i dużą firmę maklerską, jak również mają cały szereg posiadłości wzdłuż Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, nie licząc jeszcze paru miejsc pomiędzy nimi - kontynuował Drew głosem na tyle ściszym, że do Luz docierały zaledwie pojedyncze słowa. - Fortuna rodziny zaczęła się od farmy

Hopeworth. Pierwszy z Kincaidów przybył do Wirginii wkrótce po zakończeniu wojny domowej i nabył zbankrutowaną plantację. Potem dokupił więcej ziemi, założył bank i w końcu zaczął wyciągać mnóstwo pieniędzy z ubogiego Południa. Takich ludzi nazywano wówczas nuworyszami.

Wszystko, co Drew powiedział, było powszechnie znane, nie ujawniał tu żadnych mrocznych rodzinnych sekretów, lecz Luz zaskoczona była tym, że snuł swą opowieść tak swobodnie, bez jakiegokolwiek zachęty ze strony Claudii. Zachowywał się jak człowiek powtarzający plotki, jak gdyby był kimś obcym, a nie członkiem tej rodziny, związanym z nią przez żonę.

Od strony boiska dobiegł głośny gwizd.

- Co oznacza ten sygnał? - zapytała Claudia, kiedy zauważyła, że gra toczy się dalej.

- Jest to ostrzeżenie dla zawodników, że tylko trzydzieści sekund dzieli ich od końca rundy - odpowiedział Drew, zanim spiker zdążył ogłosić tę informację.

- Równie dobrze mogłabym zapytać, co to jest runda. - W przyznaniu się do własnej ignorancji było trochę szczerości, ale i ślad kokieterii.

- Mecz polo zazwyczaj dzieli się na sześć części, trwających po siedem minut.

Ponownie rozległ się ostry głos gwizdka, który zakończył pierwszą rundę.

- Co się teraz dzieje? - Claudia przyglądała się graczom, którzy na zmęczonych komach zjeżdżali z boiska i kierowali się ku zapasowym wierzchowcom.

- Zawodnicy zmieniają teraz konie. Zanim zacznie się następna runda, będą mieli chwilę czasu na krótką naradę i ugaszenie pragnienia. Wydaje mi się, że między trzecią a czwartą rundą przerwa jest nieco dłuższa.

Na tablicy widniał wynik cztery do jednego na korzyść Czarnych Dębów, Luz wyjęła z torby stojącej przy krześle lornetkę i podniosła ją do oczu. Po odnalezieniu grupy koni Roba wyregulowała ostrość obrazu.

Skrupulatnie i metodycznie sprawdziła, czy zapasowe wierzchowce są właściwie przygotowane. Wszystkie były osiodłane i czekały na niego. Wreszcie pojawił się Rob i z uwagą zaczął sprawdzać ekwipunek, ignorując zupełnie kasztanoworudą dziewczynkę, bezskutecznie podstawiającą mu kubek z napojem chłodzącym.

Nazywanie Trishy dziewczynką nie było trafne. Wyrosła już z trzpiotowości dzieciństwa, a jej szczupła figura zaokrągliła się wyraźnie. Lubiała się bawić. Była ruchliwa, wygadana - zbyt wygadana, zdaniem matki; wygłaszała nie pytania opinie, które nie znajdowały uznania, zwłaszcza Audry. Jake natomiast pochwalał jej zachowanie, mówił, że nie jest niegrzeczna, tylko po prostu żywa. Luz uważała, że Trisha urodziła się już z własnymi poglądami i przy każdej okazji je wyraża.

W niczym nie przypominała dobrze wychowanego Roba, który był nastrojowy, wrażliwy i skryty, i zawzięcie pracował nad sobą. Luz zauważyła, że wreszcie wypił łyk orzeźwiającego napoju i wskoczył na konia. Trisha podała mu kij do polo, z kształtu podobny do używanego w krykiecie, tyle że z dłuższą rękojeścią.

- Dlaczego te wierzchowce nazywane są kucami? Przecież wyglądają jak prawdziwe konie - zapytała Claudia.

Luz położyła lornetkę na kolanach. Zorientowała się, że ta młoda kobieta ma w zapasie nieprzebraną ilość pytań, z którymi Drew nie bardzo potrafi sobie poradzić.

To pozostałość z początków gry w polo. Zgodnie ze starymi przepisami gracze mogli dosiadać koni o wysokości nie przekraczającej czternastu szerokości dłoni, innymi słowy - kuców. Czasy się zmieniły, przepisy też, ale wiele osób ciągle je tak nazywa.

Lekki wiaterek wiejący od morza kołysał wierzchołkami palm tworzących obramowanie stadionu. Gracze powrócili na boisko. Druga runda rozpoczęła się bez fanfar. Od pierwszej chwili Czarne Dęby narzuciły szybkie tempo. Raz za razem zawodnicy w niebieskich koszulkach byli spychani z dogodnych pozycji przez bezlitośnie atakujących przeciwników. Drugą rundę wygrali Czarni trzy do jednego, z tym że ten jeden punkt Błękitnych zdobyty został przez przypadek, kiedy koń Texa Renecke'a kopytem skierował piłkę do bramki. W trzeciej rundzie Błękitni grali trochę lepiej, ale i tak w połowie meczu wynik brzmiał osiem do trzech dla przeciwników.

W czasie przerwy Drew dokończył prezentacji. Potem Rosi wraz z dziećmi wybrał się do pobliskiego baru, by przynieść dla wszystkich napoje chłodzące. Luz zauważyła, że Drew spojrzał wymownie na Phila Eberly'ego i ten szybko zdecydował się pójść z mężem Mary.

Kiedy cała grupa opuściła łóżę, Audra z ciepłym uśmiechem zwróciła się do ciemnowłosej prawniczki:

- Proszę powiedzieć, jak się pani podoba mecz? Czy właśnie czegoś takiego oczekiwała pani, panno Baines?

Zainteresowanie Audry musiało być autentyczne. Nigdy nie zadawała pytań, jeśli nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

- Trochę się w tym wszystkim pogubiłam - odrzekła ze smutkiem Claudia. - Wiem, że chodzi o to, by wstrzelić piłkę do bramki, podobnie jak w hokeju czy piłce nożnej, ale tutaj wszystko odbywa się tak szybko, że zwykle nie wiem, gdzie powinnam patrzeć.

- Dla laika najtrudniejsze jest to, że po zdobyciu każdego punktu następuje zmiana bramek. Nowicjusz odnosi niekiedy wrażenie, że każda drużyna może strzelać do dowolnej bramki, co nie jest prawdą - wyjaśniła Audra.

- To jest istotnie szybka gra - Drew potwierdził wcześniejszą opinię Audry. - Niekiedy odnoszę wrażenie, że oglądam szarżę kawalerii. Polo wymaga tak wysokich umiejętności od jeźdźców i ich wierzchowców, że czasami wydają się wprost nieosiągalne. Mężczyzna siedzący na galopującym koniu musi dokładnie trafić kijem mierzącym około stu trzydziestu centymetrów, zakończonym nasadą o długości dwudziestu dwóch centymetrów, w piłkę o średnicy ośmiu centymetrów. Jeśli dodamy jeszcze, że będąc w ruchu, musi wycelować w ruchomy cel a przy tym powinien nadać piłce określony kierunek, to oczywiste będzie, że taki gracz jest kombinacją szaleńca, akrobaty, bilardzisty i żonglera. Trzeba jeszcze pamiętać, że obok niego znajduje się zazwyczaj kilku zawodników, którzy próbują mu zająć drogę lub przeszkodzić mu w jakiś inny sposób.

- Nie zapominaj o koniach - dodała Luz. - Niektórzy zawodowcy twierdzą, że gra w siedemdziesięciu procentach zależy właśnie od koni. Proszę zwrócić uwagę, panno Baines, że wymaga się od nich działań całkowicie sprzecznych z instynktem. Uczy się je, by nie schodziły z drogi przed nadjeżdżającym jeźdźcem. Muszą umieć zatrzymać się nagle w szybkim galopie, natychmiast przejść od stępa do cwału i manewrować pośród innych wierzchowców, podczas gdy jeźdźcy wywijają kijami wokół ich nóg. Najważniejsze jednak, by to wszystko znieść nieprzerwanie w ciągu siedmiu minut, a jak sama pani powiedziała, akcja toczy się bardzo szybko.

- To chyba jest niebezpieczne - stwierdziła Claudia marszcząc czoło.

- Istotnie - potwierdził Drew, pobłażliwie patrząc na młodą kobietę. - Koń, jakby nie było, waży od siedmiuset do ośmiuset funtów, a razem z jeźdźcem blisko tysiąc, i porusza się z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zderzenie, nawet zgodne z przepisami, może zwalić z nóg najmocniejszego wierzchowca.

Claudia łagodnie potrząsając głową przyglądała się rodnikom odpoczywającym poza boiskiem. Niektórzy udzieli wygodnie na ogrodowych krzesłach, inni leżeli wyciągnięci na miękkiej murawie.

- Dlaczego więc uprawiają ten sport? - zapytała.

- To proste - roześmiała się Luz. Jej ucho uchwyciło różnicę pomiędzy niskim, wytwornym brzmieniem własnego śmiechu, a lekkim, melodyjnym śmiechem Claudii. Uświadomiła sobie, że tak właśnie śmiała się, gdy była młoda i nie potrafiła panować nad swymi uczuciami, i kiedy nie nauczyła się jeszcze stwarzać wokół siebie aury, którą jej matka nazywała klasą. - Ludzie grają w polo, ponieważ jest to sport szybki, niebezpieczny i ekscytujący, pozwalający wykorzystywać własne umiejętności do granic możliwości, a potem wykonać jeszcze jeden krok poza tę granicę. Mecz jest sprawdzianem wytrzymałości psychicznej i odwagi, i - co według mnie jest najważniejsze - zaspokaja pęd do rywalizacji. Zawodnicy grają, by wygrać, po prostu dla samej radości zwycięstwa.

- Czy nic za to nie uzyskują? Myślę o nagrodach czy czymś w tym rodzaju - Claudia zwróciła się do Drewa.

- Zazwyczaj tylko dyplomy i puchary. Ostatnio organizowane są, co prawda, turnieje, w których gra się o pieniądze, ale ciągle jeszcze jest to rzadkością - odpowiedział Drew.

Nie uszło uwagi Luz ożywienie męża. Nie miała wątpliwości, że to nie fascynacja grą w polo sprawiła, że intensywnie wpatrywał się w piwne oczy Claudii. Nigdy nie interesował się tym sportem, chyba że w meczu brał udział Rob.

- Jeśli weźmie się pod uwagę konieczność utrzymania stada kuców do polo, to jest to dość kosztowne hobby. Rob ma... ile? Chyba piętnaście koni. - Drew spojrzał na Luz, oczekując potwierdzenia tej liczby. Skinęła potakująco głową.

- Myślę, że lepiej orientowałby się pan w liczbie posiadanych kuców, gdyby miał pan trudności ze znalezieniem środków na ich utrzymanie - powiedziała Claudia z figlarnym błyskiem w oku.

Drew roześmiał się, co zdarzało mu się niezbyt często.

- Widzę, że ominęło mnie coś wesołego - zawołał Eberly, wchodząc do loży wraz z gromadką dzieci sączących napoje. Uśmiechnął się promiennie do Claudii, ale nie wywarło to na niej większego wrażenia.

- Ach nic takiego. To tylko luźna rozmowa o grze w polo. - Claudia wzięła z ręki Phila szklanekę z napojem chłodzącym i odwróciła się.

Luz zauważyła na jej twarzy cień irytacji, zaraz jednak zastąpił go konwencjonalny uśmiech. Odniosła wrażenie, że Phill nie ma żadnych szans u młodej dziewczyny, a nie był to mężczyzna przyzwyczajony do tego typu porażek.

- Coś mi się wydaje, że zachowuję się jak ciekawe dziecko zadające ciągle pytania, ale... - Zamieszanie wywołane rozdawaniem szklanek spowodowało, że Claudia przerwała rozpoczętą kwestię.

- Proszę, mów dalej - powiedział Drew, kiedy otrzymał już swoją porcję napoju.

- Nie rozumiem, co znaczą słowa spikera o trzy lub sześciopunktowym handicapie zawodników. Przecież wynik meczu nie był wówczas taki wysoki.

- Spiker określał w ten sposób rangę gracza. Nasz syn, na przykład, kwalifikowany jest jako zawodnik dwupunktowy. Jest to system oceny podobny jak w golfie, biorący pod uwagę posiadane umiejętności. Z tym że w golfie im lepszy jest zawodnik, tym niższy jest jego handicap, zaś w polo jest odwrotnie. Najwyższą oceną, jaką można uzyskać, jest dziesięć.

- Graczy dziesięciopunktowych jest na świecie zaledwie garstka - dodała Luz. - Ostatnio w Stanach nie ma takiego zawodnika. Najlepsi wywodzą się z Anglii, Argentyny i Meksyku, chociaż w Europie spotyka się też świetnie grających Hindusów.

- A czy kobiety uprawiają ten sport?

- W Stanach jest parę żeńskich drużyn, ale zespoły mieszane występują bardzo rzadko, chyba że w rodzinach turniejach. - Luz popijała chłodny napój przez plastikową rurkę. Szerokie rondo kapelusza osłaniało jej twarz.

- Czy pani również grywała w polo, pani Thomas?

- Tak, w czasie studiów. - Luz podniosła głowę i przez moment zastanawiała się, dlaczego nie poprosiła dotąd, by Claudia zwracała się do niej po imieniu. Zazwyczaj uważała zwrot „pani Thomas” za należyty matce Drewa, a nie jej, chociaż teściowa zmarła dziesięć lat temu. O sobie myślała jako o Luz Kincaid Thomas. - Potem wyszłam za mąż za Drewa, przyszedł na świat dzieci... Grywałam tylko przy wyjątkowych okazjach w rodzinnych turniejach z ojcem albo z Robem i Trishą, kiedy byli młodszy. Teraz niekiedy pomagam synowi w treningach.

- To wszystko jest niesłychanie ekscytujące - stwierdziła po chwili namysłu Claudia. - Ale ja chyba pozostanę przy tenisie.

- Popieram pani decyzję - łatwo zgodził się Drew.

Przez moment Luz popatrzyła na swojego męża oczami Claudii. Ujrzała to, na co od dawna nie zwracała uwagi: szeroką kwadratową szczękę, głęboki rowek w brodzie, wydatny lekko garbaty nos, mocno opaloną skórę i czarne oczy, które sprawiały, że kiedy na kogoś patrzył, ten ktoś miał wrażenie, że jest jedyną osobą na świecie. Właśnie tak spoglądał teraz na Claudię.

Luz nigdy nie uważała go za przystojnego. To słowo zarezerwowała dla takich mężczyzn jak Phill Eberly, lecz nagle stwierdziła, że ten młody człowiek wygląda zbyt gładko i pospolicie. Brakowało mu owych charakterystycznych rysów, dzięki którym twarz Drewa wydawała się interesująca i pełna wyrazu. Mój mąż jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, pomyślała, i poczuła rodzaj dumy, że on należy do niej.

- Anne, chodź tutaj i siadaj. Zaraz rozpocznie się gra. - Luz usłyszała zza pleców głos Mary, przywołującej swą dwunastoletnią córkę.

Jasnowłosa dziewczynka przeskoczyła przez zieloną balustradę otaczającą prywatną lożę Kincaidów. Luz wygodniej usiadła na krześle i skupiła uwagę na tym, co się dzieje na boisku. Inni widzowie również spokojnie czekali na wznowienie meczu.

Już po minucie Luz zorientowała się w strategii Błękitnych Smoków. Do kolegów grających w ataku dołączył zawodnik z numerem czwartym, zwykle zajmujący miejsce za ich plecami i pełniący rolę obrońcy. Powinien interweniować, gdyby przeciwnicy odebrali piłkę zawodnikom atakującym. Na ogół, jeśli obrońca znalazł się w ofensywie, jego miejsce zajmował natychmiast inny gracz. Tym razem było

inaczej. Drużyna syna poszła na całego, podejmując desperacką i ryzykowną próbę wyrównania wyniku.

Tempo gry stało się szybkie, akcje gwałtowne. Zawodnicy Czarnych Dębów wydawali się skonsternowani. Trzykrotnie popełnili w czasie tej rundy przewinienia, które Błękitnym dały dwa rzuty karne z odległości czterdziestu metrów, a trzeci z odległości sześćdziesięciu.

Zanim czwarta runda dobiegła końca, drużynę Kincaidów od Czarnych Dębów dzieliły tylko dwa punkty. Luz pomyślała, że Rob i jego drużyna mają jeszcze szanse na zwycięstwo.

Jednakże w piątej rundzie sytuacja znów się zmieniła. Według Luz stało się tak za sprawą gniadosza, którego dosiadał Argentyńczyk. Przeważył szalę wyjątkowy refleks i szybkość, dzięki której zostawiał daleko w tyle konie przeciwników. Kilka razy w czasie tej przedostatniej rundy zauważyła, że koń ten pojawia się nagle, jakby znikąd, wyprzedza błękitnego zawodnika i uniemożliwia mu wykonanie celnego podania lub strzału do bramki.

Ostatnia runda pogłębiła rozczarowanie widzów. Czarne Dęby jeszcze przed jej rozpoczęciem były pewne sukcesu, jednak ostateczny wynik został ustalony pod koniec meczu i brzmiał: czternaście do dziewięciu. Luz domyśliła się, z jakim uczuciem gorzkiego rozczarowania Rob gratuluje zwycięzcom i zjeżdża z boiska. Bardzo zależało mu na zdobyciu pucharu w tym turnieju. Wiedziała, że obwinia siebie za nieskuteczność w grze i na pewno nie usprawiedliwia tego swym młodym wiekiem. Sądził, że właśnie Kincaid powinien wygrać te zawody. Dla niego porażka oznaczała utratę honoru rodziny.

- Biedny Rob - powiedziała Mary, kładąc dłoń na ramieniu siostry.

- Tak. W ciągu najbliższych dwóch tygodni każdą wolną chwilę poświęci na ćwiczenie zwrotów i strzałów. - Luz wiedziała, że w przypadku każdego niepowodzenia syn skłonny jest obwiniać zawsze siebie.

- Moim zdaniem grał bardzo dobrze. Koniecznie mu to przekaz - powiedziała Audra wstając z krzesła. Za jej przykładem poszli inni. - Wcale nas nie skompromitował. A teraz będę miała wątpliwy zaszczyt wręczenia pucharu zwycięzcy turnieju. Ross, czy mógłbyś mi towarzyszyć?

Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż prośba. Mąż Mary podszedł więc do starszej pani, podał jej ramię i wyprowadził ją z łoży.

Luz nie miała ochoty na oglądanie ceremonii kończącej turniej. Zajął się pakowaniem do torby lornetki i aparatu fotograficznego. Wiedziała, że Chester Martin będzie triumfował. Rywalizacja pomiędzy nim a Kincaidem w ostatnich latach przed śmiercią ojca przybrała niemalże charakter wojny. Teraz wygrał Martin.

Poczuła dotknięcie dłoni na ramieniu.

- Proszę nam wybaczyć, pani Thomas, ale ja i Phill musimy już iść. - Głos należał do Claudii Baines. Luz odwróciła się, poprawiając równocześnie zawiązane rękawy narzuconego na ramiona błękitnego sweterka. - Matka pani będzie przez dłuższy czas zajęta wręczaniem dyplomów i pozowaniem do pamiątkowych fotografii, proszę ją więc zapewnić, że jestem szalenie zaszczycona poznaniem jej. Spędziłam tutaj wyjątkowo miłe popołudnie, przykro mi tylko, że drużyna pani syna nie wygrała.

- A może wybralibyście się z nami do klubu na kawę? Później moglibyśmy zjeść razem obiad? - zaproponował Drew, stając obok Luz.

- Zaprasza nas, a przecież wie, że jutro rano musimy mu dostarczyć tekst pewnej bardzo skomplikowanej umowy - Claudia z rozbawieniem zwróciła się do Luz. Potem uśmiechnęła się do

Drewa. - Byłoby mi bardzo miło towarzyszyć państwu, ale w biurze czeka na mnie mnóstwo pracy. Obiecuję za to, że na pewno zjawię się na przyjęciu w przyszłą sobotę. Dziękuję pani za zaproszenie.

- Ach, to drobiazg.

Luz nie przypominała sobie, by na liście gości widniało nazwisko Claudii Baines. Nie okazała jednak zaskoczenia.

- Wobec tego do zobaczenia.

- Zaczekajcie chwilkę, odprowadzę was do samochodu - powiedział Drew, a potem zwrócił się do żony.

- Na pewno zechcesz spotkać się teraz z Robem.

- Tak. - Luz skinęła głową, przybierając przy tym lekko niezadowoloną minę. Zazwyczaj po meczu razem poszli do syna, by z nim porozmawiać.

- Przyjdź potem do baru, spotkamy się tam na drinku - dorzucił Drew oddalając się.

- Dobrze - odpowiedziała z uśmiechem, ale gdy tylko odszedł ze swymi gośćmi, natychmiast spoważniała. Patrzyła za nimi i zauważyła, że Drew lekko opiera dłoń na ramieniu brunetki. Uświadomiła sobie, że w czasie całego prawie meczu dłoń ta spoczywała na oparciu krzesła Claudii. Spróbowała otrząsnąć się z nieuchwytnego uczucia niepokoju.

- Zrozumiałam, że ona pracuje w biurze Drewa dopiero od miesiąca - powiedziała Mary.

- Tak. - Luz pośpiesznie zebrała swoje rzeczy. Pomyślała, że siostra jest niekiedy zbyt wścibska. - Przyjechała tu niedawno, więc Drew chce ją wprowadzić w tutejsze środowisko, żeby poczuła się nieco różniej.

- Ciekawe, czy zadawałby sobie tyle trudu, gdyby nie była taka ładna.

- Nie sądzę.

- Ten gniadosz Argentyńczyka został uznany w dzisiejszym meczu za najlepszego konia - poinformowała ją Mary, a Luz z zadowoleniem przyjęła zmianę tematu.

- Wcale się temu nie dziwię.

Nie zwróciła uwagi na tę informację spikera. Przyglądała się teraz ludziom zgromadzonym wokół zwycięzców. Wreszcie ceremonia zakończyła się i jeźdźcy odprowadzali błyszczące od potu wierzchowce. Chester Martin pozostał nieco w tyle, gdyż dłuższy czas pozował fotoreporterom, trzymając w ręku duży, wykonany z brązu puchar, który chwilę wcześniej wręczyła mu Audra Kincaid.

- Wybierzesz się ze mną do stajni? - zapytała Luz siostrę.

- Zaczekam na nich - odrzekła Mary, wskazując na matkę i męża. - Spotkamy się w barze.

Luz wrzuciła do torby aparat fotograficzny i lornetkę, po czym opuściła lożę. Omijając miejsce prezentacji, ruszyła w kierunku stajni. Robotnicy obsługujący boisko zajęci byli usuwaniem grud ziemi i przywracaniem murawy do takiego stanu, jak gdyby przed chwilą nie toczyła się tutaj zacięta walka.

2

Od momentu zejścia z boiska po zakończeniu meczu, Rob nie odezwał się ani słowem. Trishę zaczęło niepokoić milczenie brata. Wycierała pysk konia, a on odpinał popręg od siodła.

- Rob, przestań się zachowywać tak, jakby cały świat spoczywał na twoich barkach. - Z trudem opanowała się, by nie cisnąć w niego ścierką. Zamiast tego rzuciła ją do wiadra z wodą. - Na litość boską, to był przecież tylko mecz!

Mokra od potu niebieska koszulka oblepiała plecy Roba. Długie jasne włosy spływały mu w nieładzie na ramiona. Zdjął z konia siodło i odwrócił się w stronę siostry.

- Kto u diabła pyta cię o zdanie?

- O, wreszcie przemówił - powiedziała sarkastycznie Trisha i stanęła w zadziornej postawie z rękami opartymi na biodrach. Rob niosąc siodło obojętnie przeszedł koło niej, po czym położył je na ziemi obok mokrego martyngału, kasku, kija do polo i szpicruty.

- Zdejmij mu opaskę z ogona - rzucił.

- Zrób to sam. - Nie znosiła, kiedy zwracał się do niej rozkazująco, w sposób, który nazywała „tonem Kincaida”. - Zachowujesz się jak królewski bękart. Wiesz o tym?

Rob podszedł do zadu gniadosza i zaczął odwijać z jego ogona taśmę zabezpieczającą przed zaczepieniem o kij.

Przyjrzał się uważnie siostrze. Była znacznie niższa od niego. Niedbale zawiązana przepaska przytrzymała jej brązowe włosy. Miała na sobie poplamioną koszulkę, jasne, mocno wypłowiałe obcisłe dżinsy oraz drogie skórzane buty do konnej jazdy, pomarszczone i pokryte warstwą kurzu.

- Wyglądasz jak teksański śmieciarz - odgryzł się po chwili.

- A ty uważasz, że jak powinnam ubierać się do obsługiwania twoich koni? - krzyknęła ze złością Trisha. - Ciągłe wycierają o mnie swoje obślinione pyski. Nie mam ochoty na to, by niszczyły mi najlepsze stroje. To nie moja wina, że twój stajenny, Jimmy Ray, akurat dzisiaj ma wolny dzień.

- Zaraz, zaraz. Nigdy nie prosiłem cię, żebyś pomagała mi przy koniach. To był twój pomysł - obruszył się Rob. - Zawsze mogę sobie znaleźć innego stajennego.

- Naturalnie. W końcu jesteś Kincaidem, więc możesz mieć wszystko, co zechcesz - zakpiła z jego pewności siebie.

- Nie o to mi chodziło - mruknął Rob. - Zgniół w dłoniach splątana opaskę i cisnął ją na stertę swego ekwipunku. - Kiedy babcia zobaczy, jak wyglądasz, dostanie ataku serca.

- Tak? To postaram się nie pokazywać jej na oczy. - Trisha znalazła proste wyjście.

- Ona i tak dowie się o tym. Mogłabyś ubierać się przyzwoiciej. Wszyscy cię tutaj znają. Nie dbasz o to, co sobie pomyślą, widząc tak ubraną osobę z...

- Wiem - przerwała mu - z rodziny Kincaidów. Wszyscy ciągle zapominają o tym, że noszę nazwisko Thomas. Czemu się tak czepiasz mojego ubrania?

- Nie mam pojęcia. - Rob przyglądał rozwichrzoną czuprynę. - Myślę, że to przez ten mecz. Bardzo zależało mi na zdobyciu pucharu.

- Wszyscy chcieliśmy, żebyś wygrał - powiedziała Trisha.

Gniew i niecierpliwość znów pojawiły się na twarzy Roba.

- To oczywiste, że nie potraficie mnie zrozumieć - mruknął ze złością.

- Dlaczego?

Nie znosiła, kiedy przybierał ton wyższości.

- Bo jestem Kincaidem - stwierdził w sposób, który wskazywał, że jest to ostateczne i wystarczające wyjaśnienie.

- No i co z tego? Nie jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który zainteresowany był wynikiem meczu. Przecież masz liczną rodzinę.

Rob oparł się plecami o ciepły bok konia.

- Ale dzisiaj tylko ja grałem - powiedział niskim, przytłumionym głosem, w którym brzmiało poczucie winy.

Jej gniew przygasł. Klócili się często, głównie z powodu prowokujących uwag Trishy, zwłaszcza kiedy miała dość jego rodowego snobizmu. Nie potrafiła jednakże długo złościć się na brata. Podeszła do konia i oparła rękę na jego grzbiecie. Odetchnęła głęboko powietrzem przesyconym zapachem końskiego potu.

- Rob! Przecież nie byłeś jedynym graczem w drużynie. Nawet ci dwaj, którzy mają pięcio- i sześciopunktowy handicap, też popełniali błędy. Nie tylko ty.

- Ale ja powinienem grać lepiej. - Ze złością wbił czubek buta w trawnik.

- Rozluźnij się wreszcie. - Trisha próbowała go uspokoić.

Spojrzał na nią z wyrazem ogromnego przejęcia na twarzy.

- Nie wiesz, co znaczy prawdziwa gra w polo. Dla ciebie jest to rodzaj konnej zabawy, prawda? A to jest walka, nieustająca walka o zajęcie właściwej pozycji.

Trisha powstrzymała go, zanim zdążył rozwinąć wykład o taktyce gry.

- Nie męcz mnie swymi teoriami. Nie jestem w stanie nadażyć za tymi przyciężkami wywodami.

Rob odsunął się od konia i sięgnął po ścierkę.

- Powinienem więcej ćwiczyć - stwierdził.

Kiedy wycierał grzbiet gniasosza, Trisha podeszła i zmierzwiła mu włosy. Cofnęła się widząc, że Rob zniecierpliwionym ruchem chce odtrącić jej rękę.

- Stajesz się nudny, traktując polo jak ciężką pracę, a nie jak zabawę.

- Ale jesteś oryginalna - zakpił. - Wygłaszając takie banały, będziesz na przyjęciach duszą towarzystwa.

- Skrzywił twarz w ironicznym uśmiechu, który wskazywał jednak, że nie czuje się zbyt dotknięty.

- Nie mam zamiaru ci dokuczać. Uwierz mi - roześmiała się. - Zresztą zaraz poskarżyłbyś się mamie.

- Jak to się stało, że mam taką wcieloną diabolicę za siostrę? - Rob potrząsnął głową z udawanym zdziwieniem.

- To jest, drogi braciszku, nagroda za twoją doskonałość - żartobliwie szturchnęła go w żebra. - Ale niech ci się nie wydaje, że jesteś taki wspaniały. Powinieneś teraz wziąć gorący prysznic, a potem zabawić się z jakąś dziewczyną. To odwróci twoją uwagę od wydumanych kłopotów.

Trisha roześmiała się, widząc jego zaskoczenie, poklepała go po ramieniu i dorzuciła:

- Przemyśl to sobie dobrze. Ja tymczasem odprowadzę do stajni Clovera, Stony'ego i Hanka, a potem wrócę po pozostałe konie.

Rob patrzył, jak siostra odwiązuje kuce i szykuje się do wymarszu. Nie byli zbyt zgodnym rodzeństwem. Chociaż, Trisha była młodsza o półtora roku, nie traktowała Roba jak starszego brata. Uczyli się teraz w równorzędnej klasie, ponieważ Rob powtarzał jeden rok w szkole podstawowej. Trisha zawsze sądziła, że jest bardziej dorosła niż on. Porównywała siebie i jego do octu i oliwy - możesz je nie wiem jak długo mieszać, a zawsze się w końcu rozdziela.

Rob odczuwał silne zmęczenie po niedawnym wysiłku Gorący prysznic, pierwszy etap zalecanej przez siostrę terapii, na pewno zrobiłby mu dobrze. Na myśl o drugim zaleceniu zarumienił się lekko, przyznając, że była to trafna uwaga. Zaniepokoiło go tylko to, że Trisha mówi tak lekko o seksie, być może dlatego, że wiedział, jak zachowują się chłopcy w towarzystwie dziewcząt. Cc prawda z jego

punktu widzenia nie byłoby nic złego gdyby zabawił się z czyjąś siostrą, ale nikt nie powinien robić tego z Trishą.

Pełen był trudnego do określenia niepokoju. Jedyne chwile, kiedy czuł się naprawdę dobrze, zdarzały się na boisku - miał pod sobą konia, a w żyłach mocno tętniącą krew. Lubił ten stan napięcia, dojmujące uczucie że wszystkie zmysły ma wyostrzone, a serce podchodzi gdzieś do gardła. Miał jednak pewien problem. Tak był podniecony przed meczem i tak napięty w czasie jego trwania, że kiedy to wszystko mijało, potrzebował sporo czasu, by przyjść do siebie. Bezmyślnie przyglądał się ścierce, którą wycierał grzbiet konia. Jestem niezły w grze polo, pomyślał, ale nie tak dobry, jak mógłbym być. Zdawał sobie sprawę ze swych możliwości i koniecznie chciał je wykorzystać.

W tym właśnie tkwiło źródło jego wewnętrznych sprzeczności. Przynależność do rodziny Kincaidów napawała go dumą - dzięki temu był kimś. Pragnął jednak być czymś więcej niż tylko czyjś synem. Wyrastał w otoczeniu dzieci wywodzących się z bogatych i wpływowych rodzin. Razem z nimi chodził do szkoły. Pochodzenie zapewniało mu dostęp do eleganckiego towarzystwa i świata biznesu. Fakt, że jest się czyimś synem, wystarczał, by zostać w rodzinnej firmie samodzielny pracownikiem obciążonym zazwyczaj znikomą odpowiedzialnością. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Inaczej było na boisku. Nikogo nie obchodziło, kim on jest, liczyły się tylko umiejętności. Nie korzystał z żadnych przywilejów ze strony kolegów, a tym bardziej ze strony przeciwników. Aby znaleźć się w elicie zawodników z wysokopunktowym handicapem, należało wyróżnić się w walce. Do tego kręgu nie można trafić dzięki posiadanemu majątkowi czy nazwisku. W polo, podobnie jak w innych sportach, czołowi zawodnicy zyskiwali uznanie bez względu na pochodzenie. Oni byli kimś dlatego, że potrafili się wybić.

Czuł narastający ból głowy. Dotknął ręką czoła. Krew pulsowała mu w żyłach. Problem polegał na tym, że zawsze, kiedy już coś osiągnął, pragnął czegoś więcej. Nie wystarczało mu, że jest Kincaidem. Trisha miała rację, dając mu do zrozumienia, że nie jest jedynym przedstawicielem tej rodziny. Chciał być kimś wyjątkowym. Bardzo tego pragnął.

Nie potrafił wyrazić tego słowami, zabrzmiałoby to zbyt zarozumiale. Spojrzał w kierunku oddalającej się siostry, zastanawiając się przy tym, czy ona również miewa podobne myśli. Wydało mu się to wątpliwe. Patrzył na lśniące w przedwieczornym słońcu zady wolno kroczących koni, które Trisha odprowadzała do stajni.

Zauważył, że z boku zbliża się do niej mężczyzna jadący konno trasą, która prawdopodobnie przetnie drogę jego siostry. Rob natychmiast rozpoznał w zawodniku ubranym w czarną koszulkę swego prześladowcę z meczu. Był to Argentyńczyk, Raul Buchanan. Znów poczuł w ustach gorzki smak przegranej. Odwrócił się, odrzucił ścierkę i zaczął teraz irchą wycierać do sucha grzbiet konia.

W dzisiejszej grze chodziło mu o coś więcej niż tylko o zwycięstwo. Gdyby jego drużyna wygrała, miałby ważki argument, który mógłby wykorzystać w rozmowie z ojcem. Chciał poprosić go o zgodę na przerwanie nauki na jeden rok, by móc doskonalić technikę gry w polo. Uzyskanie akceptacji matki wydawało mu się łatwe. Nawet jeśli niecałkowicie go rozumiała, zawsze stawała po jego stronie, zawsze gotowa była wysłuchać i udzielić mu pomocy.

Z ojcem było inaczej. Rob zdawał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie zdołał sprostać jego wymaganiom. Dobre wykształcenie, uniwersytet, o tym tylko mogli rozmawiać. Wiedział, że Trisha jest znacznie

zdolniejsza od niego. W szkole nie miała najmniejszych trudności, podczas gdy on musiał walczyć, aby jego oceny nie spadły poniżej poziomu, który uniemożliwiałby mu występowanie w szkolnej drużynie polo. Z niechęcią myślał o następnych czterech latach edukacji. Lepiej niech Trisha zostanie prawnikiem.

Nieliczni widzowie, którzy oglądali mecz ze swych wygodnych samochodów, oraz ci, którzy rozsiedli się na trawniku przylegającym do boiska i fetowali szampanem zakończenie turnieju, opuszczali powoli stadion. Jeden z samochodów, oczekujący na włączenie się w sznur pojazdów na szosie, zablokował Trishy drogę. Zatrzymała konie i głaskała po pysku niecierpliwego siwka.

Wtem poczuła szarpnięcie za linę, na której prowadziła kuca z gwiazdką na czole. Odwróciła się i dostrzegła zbliżającego się jeźdźca w czarnej koszulce. Natychmiast rozpoznała w nim gracza biorącego udział w turnieju.

Zanim mężczyzna ściągnął wodze, jego koń wykonał jeszcze parę drobnych kroków w jej kierunku. Gniady wierzchowiec zatrzymał się obok Trishy - siodło dotykało prawie jej ramienia. Jedyne, co mogła dostrzec, to tkwiące w strzemionach brązowe błyszczące buty jeźdźca oraz kawałek uda opiętego białymi bryczesami. Aby zobaczyć coś więcej, musiała odchylić głowę do tyłu.

Przyszło jej na myśl, że człowiek siedzący na końskim grzbiecie działa na piechura onieśmielająco. Oczy Trishy znajdowały się na poziomie jego bioder. Kiedy wierzchowiec potrząsnął łbem i przestąpił z nogi na nogę, wyczuła emanującą z niego ogromną siłę. Potężne zwierzę, sześciokrotnie cięższe niż dosiadający go mężczyzna, potulnie poddawało się władzy człowieka. Błyszczące boki konia zadrżały, kiedy parsknął. Usłyszała skrzypienie skóry siodła.

Podniosła wzrok i zauważyła opaloną silną rękę, w której jeździec trzymał kask. W rozcięciu czarnej koszulki dostrzegła muskularny tors. Kiedy ujrzała jego twarz, przelotne zainteresowanie zawodnikiem obserwowanym na boisku przerodziło się w żywą kobiecą fascynację.

Mocno opalona, kanciasta i szeroka twarz wyrażała siłę i męskość, zwłaszcza w zarysie dolnej szczęki i brody. Ciemne brwi i gęste rzęsy otaczały parę przenikliwych niebieskich oczu. Zmęczenie pogłębiło bruzdy wokół jego ust i zmarszczki pod oczami, lecz nie osłabiło wrażenia ukrytej witalności. Włosy niestarannie przygładzone, mokre jeszcze od potu, miały kolor ciemnobrązowy. Najbardziej zaskoczyły Trishę jego błękitne oczy. Argentyńczycy według niej byli potomkami Hiszpanów lub Indian, chociaż nazwisko Buchanan powinno dać jej coś do myślenia. Jak gdyby wyczuwając jej badawczy wzrok, jeździec spojrzał na nią.

- Dobrze pan grał - powiedziała.

- Dziękuję.

Odpowiedź była chłodna, ale grzeczna. W niskim głosie wyczuwało się obcy akcent. W sekundę później odwrócił wzrok i znów patrzył w dal. Wyraźny brak zainteresowania nie zraził Trishy.

Zwróciła uwagę na jego konia, który tak znakomicie zaprezentował swoje umiejętności w piątej rundzie.

- Pana koń jest piękny - zauważyła. - To właśnie on zdobył tytuł najlepszego kuca turnieju, prawda?

- Tak. - Jeździec znów przelotnie na nią spojrzał.

- Zasłużył na to - dodała.

W odpowiedzi na tę pochwałę kącki jego ust uniosły się w nieco wymuszonym uśmiechu. Kierowca samochodu blokującego drogę uruchomił silnik, ale nieprzerwany sznur jadących wolno pojazdów nie dawał mu szans na włączenie się do ruchu.

- Wygląda na to, że spędzimy tu całe popołudnie. Nie możemy w żaden sposób ominąć tego samochodu. Mam nadzieję, że wreszcie ktoś się zatrzyma i pozwoli mi wyjechać na drogę - powiedziała.

- W końcu ktoś to na pewno zrobi - odrzekł jeździec i zeskoczył z konia. Gniady cofnął się o krok, kiedy Raul dotknął ręką jego nogi, by sprawdzić, czy nie pojawiła się na niej opuchlizna.

Podczas dalszego badania koń stał spokojnie. Po chwili odwrócił łeb w stronę trzech wierzchowców Trishy, potem uniósł głowę i parsknął delikatnie, wyczuwając zapewne ich zapach. Na czole miał białą strzałkę kontrastującą z kolorem sierści. Trisha zauważyła, że ma inteligentne spojrzenie i duże, aksamitne, brązowe oczy.

- Pański koń ma mądre oczy.

Wiedziała, że dla graczy w polo taka cecha wierzchowca jest bardzo ważna. Nerwowe kuce, z wyrazem napięcia w oczach, rzadko nadają się do gry. Wyciągnęła rękę w stronę zwierzęcia.

- Jak ma na imię?

- Criollo.

Raul spotykał dziewczęta z różnych sfer pracujące w stajniach, nie dziwił go więc dający się natychmiast zauważyć ślad starannego wychowania u rozmówczyni. Dziwiło go tylko, że zamiast koniowi, z uwagą przygląda się jemu.

- Myślę, że to imię pochodzi od hiszpańskiego słowa Kreol, prawda? - wyciągnęła rękę, by pogłaskać zwierzę po pysku, ale nie spuszczała przy tym wzroku z Raula.

Sytuacje tego rodzaju nie były mu obce. Obracając się przez lata w kręgu miłośników polo, spotykał kobiety, przenoszące pewnego rodzaju zmysłowość, której dopatrywały się w koniu, na siedzącego na nim mężczyznę. Tym razem miał do czynienia z młodą dziewczyną, ale na tyle już dorosłą, że nie można było nie zauważyć jej ładnie zarysowanych piersi z wyraźnymi sutkami uwydatnionymi przez obcisłą koszulkę. Pomyślał, że ostatnio wiele kobiet, zwłaszcza młodych, nie nosi staników.

- Mówi pani po hiszpańsku? - podniósł ku niej głowę i zauważył, że na kasztanowych, nierówno przyściętych włosach ma niebieskożółtą przepaskę, spod której wysuwają się luźne loki.

- Znam tylko kilka zwrotów, które zapamiętałam pomagając koleżance w przygotowywaniu się do egzaminu. W szkole uczyłam się francuskiego.

Prosta, naturalna odpowiedź dziewczyny, nie próbującej epatować światowym obyciem, świadczyła o jej dużej pewności siebie.

W pewnym momencie powstała niewielka przerwa pomiędzy pojazdami na szosie i stojący przed nimi samochód wślizgnął się w nią. Korzystając z wolnej drogi, natychmiast ruszyli naprzód.

Stłumione odgłosy uderzeń kopyt o twardą ziemię i szelest trawy ocierającej się o nogi koni oraz po-brzękiwanie metalowych części uprząży brzmiały jak dalekie echo dźwięków towarzyszących grze w polo, tyle że toczącej się w zwolnionym tempie. Raw w myślach cofnął się do niedawno rozegranej walki.

- Jak pan ocenia dzisiejszy mecz? - głos Trishy wytrącił go z rozmyślań.

Raul rozpoznał już konie prowadzone przez dziewczynę, a zwłaszcza siwka z dawnego zespołu Jake'a Kincaida. Zdarzało mu się wielokrotnie grać przeciwko tej drużynie, nigdy natomiast nie wystąpił w jej barwach. Kilkakrotnie Jake proponował mu miejsce w swoim zespole w rozgrywanych akurat turniejach, ale tak się zwykle składało, że na przeszkodzie stawały mu inne zobowiązania. Kincaid był twardym zawodnikiem, grającym jeszcze całkiem nieźle pomimo przekroczonej sześćdziesiątki. Kiedy przestał już występować, finansował swoją drużynę, a znakomite konie przekazał zespołowi, w którym z numerem trzecim grał jego wnuk, posiadając najlepszych wierzchowców ze stajni dziadka.

- To było nieźle spotkanie.

Nie chciał popełnić niezręczności mówiąc więcej o meczu osobie związanej z drużyną przeciwnika.

- Byłoby jeszcze lepsze, gdyby nie piąta runda - powiedziała żartobliwie Trisha. - Bardzo pan przeszkadzał Robowi w grze. Oczywiście, dosiadał pan lepszych koni.

- Nie przesadzajmy. On ma świetny zespół kuców. Zwłaszcza ten siwek jest niezwykle cenny.

- Obawiam się, że nie jest on już tym, czym był niegdyś. - Trisha potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

- Ma siedemnaście lat.

- To dlatego młody Kincaid tak bał się na nim jeździć - zauważył Raul.

- Rob? Bał się? - dziewczyna stanęła. W jej oczach błysnął gniew. - Co pan przez to rozumie? Mój brat nie boi się jeździć na żadnym koniu.

- Pani brat? - Raul uniósł brwi. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. - A więc pani jest...

- Tak, nazywam się Kincaid - w jej głosie brzmiało coś więcej niż tylko gniew i oburzenie. - A pan myślał, że kim jestem?

- Dziewczyną od koni - chłodno odpowiedział Raul, ale uśmiechnął się, rozbawiony popełnioną omyłką.

W pierwszej chwili Trisha wydawała się obrażona, ale kiedy spojrzała na swoje ubranie, jej złość szybko minęła. Powiedziała wesoło:

- Istotnie, wyglądam jak pomocnica stajennego. Obiecałam bratu, że dzisiaj zajmę się jego kucami. Wydawało mi się to bardziej zabawne niż siedzenie na trybunach. - Ruszyła pociągając za sobą konie. - *À propos*. Na imię mam Trisha. Trisha Thomas, a pan nazywa się Raul Buchanan. Dlaczego sądzi pan, że Rob się bał?

Tym razem w jej głosie więcej było ciekawości niż oburzenia. Raul uznał, że powinien uzasadnić swoją opinię o młodym Kincaidzie.

- Zauważyłem, że pod koniec każdej rundy wykonując zwrot, pozwala koniom jechać po większym łuku. Nie używa też ostróg ani szpicruty. Wyraźnie je oszczędza.

- Niektóre z nich są już stare i szybko się męczą - próbowała bronić brata. - Nie wydaje mi się, aby to, co robił, było błędem.

- Nie wygrywa się meczu oszczędzając konie. Jeździec nie może myśleć o tym, czy jego wierzchowiec jest zmęczony. Koń musi wykonać każde polecenie, a jeśli próbuje się buntować, należy wymóc na nim posłuszeństwo. Podobnie jak zawodnik, musi dać z siebie więcej, niż wydaje mu się to możliwe. Gracz absolutnie nie powinien troszczyć się o to, czy koń nie jest zbyt zmęczony, a jeśli istotnie tak jest, to nie czekając na koniec rundy należy natychmiast zmienić go na wypoczętego. - Spojrzał uważnie na Trishę. - Myślę, że pani zdaniem moja ocena jest przesadnie surowa.

- Tak - odpowiedziała szczerze. - Ale wszystko się zgadza. W czasie gry również był pan bezlitosny.

Raul wyczuł, że Trisha nie w pełni akceptuje takie postępowanie.

W miarę jak zbliżali się do stajni, ruch wokół nich stawał się coraz większy. Stajenni spacerowali z końmi, by pozwolić im ochłonać, inni czyścili je lub wprowadzali do przyczep samochodowych.

- Co pan robi dzisiaj wieczorem? - spytała Trisha, zmieniając temat rozmowy.

Na szóstą miał umówioną wizytę u masażysty, ale domyślał się, że dziewczynie chodzi raczej o późniejszą porę.

- Chet Martin wydaje party dla uczczenia zdobycia pucharu.

- Chciał pan powiedzieć: dla napawania się zwycięstwem - poprawiła go, a potem dodała: - Nie spodoba się tam panu. Przyjęcia u Martinów są okropne. A może mógłby pan wymknąć się wcześniej i spotkać się ze mną?

- Ile pani ma lat?

Nie przepadał za zbyt młodymi panienkami. Zdarzyło mu się kiedyś umówić z dziewczyną, która wyglądała na osiemnastolatkę, a potem okazało się, że ma o cztery lata mniej.

- Siedemnaście - odpowiedziała Trisha. - Obawiam się, że uważa mnie pan za zbyt starą.

- Przeciwnie, za zbyt młodą.

Raul był od niej starszy o dwadzieścia lat. Pochlebiało mu, że uznała go za atrakcyjnego mężczyznę, ale już dawno postanowił unikać bliższych kontaktów z młodymi dziewczynami z bogatych domów.

Kiedy zbliżyli się do stajni, Trisha zwolniła kroku. Konie stłoczyły się wokół niej.

- Tam stoi nasza przyczepa - powiedziała, dając tym do zrozumienia, że tutaj ich drogi się rozchodzą. - Czy sprawiłoby to panu różnicę, gdybym powiedziała, że mam o rok więcej? Za dwa miesiące skończę osiemnaście lat. Podoba mi się pan i chciałabym, żebyśmy się znów spotkali - zaproponowała, nie zrażona wcześniejszą odmową.

- Nie widzę w tym nic złego.

- W takim razie zapraszam pana na przyjęcie, które rodzice urządzą w przyszłą sobotę. Przyjdzie pan? - uniosła zalotnie głowę. Oczy jej błyszczały.

- Jestem zawodowym graczem - przypomniał jej Raul. - W przyszłym tygodniu biorę udział w meczu w Boca Raton. Prawdopodobnie nie będzie mnie tutaj.

- Ale gdyby zdążył pan wrócić, to proszę przyjść.

- Zobaczymy.

- Będę na pana czekała.

Jeden z koni, wyraźnie zniecierpliwiony, zaczął napierać na Triszę.

- Proszę liczyć się z tym, że może panią spotkać zawód - ostrzegł Raul.

- Nie obawiam się tego. Wierzę, że na pewno pan pójdzie - stwierdziła stanowczo Trisha, odwróciła się. Poprowadziła konie w kierunku przyczepy.

Przez ostatnie piętnaście lat Raul obracał się wśród ludzi bogatych, a od dziesięciu również w międzynarodowym towarzystwie. Zasiadał z nimi do stołu, mieszkał w ich domach, grał w polo z nimi lub dla nich, wspólnie polowali i popijali w eleganckich barach. Uczył ich najtrudniejszych elementów gry i sprzedawał im konie. Spotykał się z ich przyjaciółmi, rodzinami i pracownikami. Dawno doszedł do wniosku, że nie różnią się niczym od innych ludzi. Bywają wśród nich zarozumiałcy i skąpcy, rozpieszczone bachory i nieśmiałe dzieci. Niektórzy są dobrzy, prawi i uczciwi, a innym nie można ufać.

Nie chciał więc obdarzyć Trishy jakąś przedwczesną etykietą. Nie wiedział, czy jest rozpieszczoną, źle wychowaną lub upartą dziewczyną. Nie był nawet w tym momencie pewien, czy ma ochotę zobaczyć się z nią ponownie.

Fakt, że jest jednym z najlepszych graczy polo na świecie, przynosił mu pewne korzyści. Dla mężczyzny gra z nim była zaszczytem. Nie musiał być miły dla ich córek i sypiać z ich żonami. Polo dawało mu niezależność i wolność. Jeździł na swych własnych koniach i robił to, co sprawiało mu przyjemność.

Jakże daleką drogę przebył od tych głodnych dni na argentyńskich pampasach, kiedy jako wychudzony dzieciak poił konie, na które nie potrafił się jeszcze wdrapać. Potem awansował na tyle, że wolno mu było je czyścić i wyrzucać nawóz ze stajni. Wreszcie zaczął pracować na torze wyścigowym Palermo w Buenos Aires. Stamtąd trafił do stadniny, w której w weekendy grywano w polo, i po raz pierwszy zakosztował tego sportu, kiedy w ostatnich minutach meczu pozwolono mu zastąpić kontuzjowanego zawodnika. Potem zdarzało się to coraz częściej, bo zauważono jego umiejętności, doskonalone w czasie obowiązkowego ćwiczenia koni właściciela stadniny.

To była długa droga, pomyślał, i jeszcze nie wszystkie marzenia zostały zrealizowane. Musi uzyskać dziesięciopunktowy handicap, co uczyni go prawdziwym mistrzem polo. Tylko na tym powinien się teraz skoncentrować. Ruszył w kierunku stajni, prowadząc za sobą rudo-gniadego konia.

Drogą biegnącą skrajem stadionu wolno posuwał się sznur samochodów i ciągników holujących przyczepy. Gracze, którzy nie opuścili jeszcze boiska, przekrzykując hałas pojazdów usiłowali porozumieć się ze swymi rodzinami i przyjaciółmi. Zgiełk potęgowało rżenie i parskanie koni odprowadzanych do przyczep lub stajni. Przez to wszystko Rob nie zauważył zbliżającej się matki.

Zatrzymała się na chwilę i obserwowała syna, ocierającego z potu zmęczonego gniadosza. Rob sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego pracą, lecz Luz spostrzegła, że wykonuje ją mechanicznie. Z całą pewnością nie myślał o tym co robi. Nie bardzo wiedziała, jakich użyć słów, by podtrzymać go na duchu; nie chciała, żeby zabrzmiały banalnie lub mentorsko. Gdy będąc małym chłopcem potrzebował czasami pociechy, brała go na kolana, mówiła mu, że wszystko zmieni się na lepsze, a on jej wierzył. Teraz, kiedy syn wyrósł z lat dziecięcych, szukał sobie innych autorytetów. Niełatwo jest być matką dorosłych lub dorastających dzieci, pomyślała.

- Jak się masz? - zapytała ciepło.

Rob stał z pochyloną głową, wyraźnie nie życząc sobie żadnych wyrazów współczucia. Luz, dotknięta jego niechętną postawą, poprawiła kapelusz tak, by rondo bardziej osłaniało jej twarz, i zainteresowała się koniem.

- A co z tobą, mój malutki? - pogładziła zwierzę po pysku. Gniadosz zareagował na pieszczotliwy głos i dotknięcie dłoni - zwrócił ku niej łeb i musnął wargami związane na piersi rękawy swetra. - Przykro mi, ale tym razem nie mam dla ciebie cukru.

- Świetnie się dzisiaj spisał - zwróciła się do Roba, ciągle głaszcząc miękkie, aksamitne nozdrza konia.

- On tak - odpowiedział nie patrząc na nią.

- To był trudny mecz. Widzę, że nie masz ochoty o nim rozmawiać.

- Nie ma o czym mówić. Przegraliśmy.

- Gdzie jest Trisha?

- Odprowadza konie do przyczepy. Pewnie zaraz wróci. - Obejrzał się przez ramię i patrzył nieobecny wzrokiem w kierunku, z którego powinna nadejść.

Luz poklepała gniadego po pysku, włożyła ręce do kieszeni i podeszła do Roba.

- Mam nadzieję, że cieszysz się teraz z propozycji wuja Mike'a spędzenia ferii w jego domku wypoczynkowym w Gastad. W Szwajcarii pojeździsz sobie na nartach.

- Nie mam na to ochoty - odrzekł ponuro. Jeszcze raz przetarł irchą grzbiet konia i starannie ją złożył.

- Dlaczego? Oderwiesz się na chwilę od gry w polo i zapomnisz o przykrych myślach, które cię teraz dręczą. Po co ci to wszystko, skoro możesz spędzić trochę czasu w górach?

- Bo ja chcę grać! - Rob rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie, wyraźnie zirytowany całkowitym brakiem zrozumienia ze strony matki.

- Widzę, że pragniesz walczyć niezależnie od wyniku. - Uśmiechnęła się ciepło.

- Tak. Jestem tego pewien - stwierdził unosząc głowę i przybierając zdecydowaną postawę. Zmarszczył brwi.

- Cieszę się z tego, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie poprawi to twego nastroju. - Twarz jej przybrała wyraz współczucia.

- Wiem o tym - zgodził się i opuścił głowę.

Zobaczyli konia cwałującego w ich kierunku. Luz rozpoznała w nim łaciatego kuca, na którym jej dzieci uczyły się kiedyś jeździć - prowadził teraz łatwe życie domowego zwierzęcia. Trisha ściągnęła cugle, zatrzymała się i zeskoczyła na ziemię. Zerknęła na Roba, a potem zwróciła się do Luz.

- Zdaje się, że równie bezskutecznie jak ja usiłujesz dodać otuchy temu smutnemu młodemu mężczyźnie.

- Sama wiesz, jak przykro jest stracić coś, na czym człowiekowi bardzo zależy - powiedziała Luz, próbując wzbudzić w córce odrobinę wyrozumiałości dla brata.

- A czy ty kiedyś coś straciłaś? - Trisha przekreśliła głowę z udawanym zaciekawieniem.

- Nic, co w tej chwili miałyoby większe znaczenie - odparła oschle Luz i zamyśliła się na moment.

Istotnie, nie była w stanie przypomnieć sobie czegoś takiego. Zawsze dostawała wszystko, co chciała. Nie zaznała nigdy nieodwzajemnionej miłości, nie cierpiała z powodu złamanego serca. Nawet zgony w rodzinie były dla niej czymś naturalnym.

Odpowiedź matki nie dała Trishy punktu zaczepienia dla dalszej wymiany zdań, zmieniła więc temat rozmowy.

- Posłuchaj, Rob. Spotkałam Raula Buchanana. Przedstawił mi własną teorię wyjaśniającą przyczyny twojej dzisiejszej porażki.

- Cóż to za teoria? - zainteresował się ostrożnie i dość sceptycznie.

- Uważa, że przesadnie oszczędzasz konie. Powiedział, że kiedy tylko zaczynają wykazywać objawy zmęczenia, powinieneś natychmiast je zmieniać.

- Prawdopodobnie ma rację - przyznał Rob. - Myślałem o tym parę razy w czasie meczu, ale obawiałem się, że w ostatniej rundzie nie będę miał ani jednego wypoczętego kuca.

- W końcu się czegoś nauczyłeś - powiedziała Luz.

- Wezmę to pod uwagę w następnym spotkaniu.

- Może Raul mógłby ci udzielić jeszcze innych wskazówek - zasugerowała Trisha. - Zaprosiłam go do nas na przyjęcie w następną sobotę. Myślę, że nie masz nic przeciwko temu - dodała, zwracając się do Luz.

Najpierw Drew bez porozumienia z nią rozszerzył listę gości, a teraz Trisha. Poczowała przyływ irytacji.

- A ty, Rob? Czy też zaprosiłeś kogoś bez wcześniejszego uprzedzenia mnie?

- Ależ skąd. - Rob wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

- Zresztą, to drobiazg. Dobrze wiecie, że wolno wam przyjmować w domu, kogo tylko chcecie. - Luz z wysiłkiem próbowała opanować zniecierpliwienie. Westchnęła ciężko. - Czy potrzebna ci moja pomoc przy koniach?

- Nie - odpowiedziała Trisha. - Obok przyczepy czeka na nas Jimmy Ray.

- Naprawdę? - Rob znieruchomiał. Poczował nagłe ukłucie w okolicach żołądka.

- Tak. - W przymrużonych oczach Trishy pojawił się cień podejrzania. - O ile pamiętam, mówiłeś, że ma dzisiaj wolny dzień i wyjechał z miasta.

- Widocznie wcześniej wrócił - odrzekł.

- Nie lubię go - obwieściła Trisha obojętnie.

- Trisha! - zawołała Luz z naganą w głosie. - Jimmy Ray Turnbull jest najlepszym stajennym, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Trudno byłoby znaleźć kogoś innego z tak dużym doświadczeniem i wiedzą o koniach jak on.

- Nie o to chodzi. Jest w nim coś, co mi się nie podoba - upierała się Trisha. Rob taktownie milczał. - Ilekroć go widzę, zawsze ubrany jest w ten sam roboczy strój w kolorze khaki i podejrzewam, że nie zdejmuje nigdy swego kapelusza, ponieważ nie ma na głowie ani jednego włosa. A tak naprawdę to irytuje mnie ten jego wieczny uśmiezek i fajka zwisająca z kącika ust. Nigdy jej nie zapala.

- No, niechby tylko spróbował! Wiesz, jak niebezpieczne jest palenie w stajni - powiedziała surowo Luz. Potem wzruszyła ramionami w geście wyrażającym zdziwienie. - Nie rozumiem, jak można nie lubić takiego miłego i dobrze wychowanego człowieka?

- Nie wiem. Jest chyba zbyt cichy - odrzekła Trisha, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Tacy ludzie jak ty potrafiliby zagadać go na śmierć - stwierdził Rob, nieco już rozluźniony.

- Przypomina mi Ashleya Wilkesa z *Przeminęło z wiatrem* - stwierdziła Trisha. - Zawsze wydawał mi się jakiś bezbarwny.

- Wypowiedziałas się już dostatecznie jasno na temat tego mężczyzny. Proponuję więc, żeby zostawić go w spokoju - zaproponowała Luz. - A teraz, kiedy Jimmy Ray przyjechał i zajmie się końmi, powinniście oboje wziąć prysznic i zjeść z nami obiad w restauracji.

- Nie liczcie na mnie - zaproponowała Trisha. - Nasza paczka wybiera się do tej nowej restauracji, w której podają zdrową żywność.

- Jaka paczka? Czego paczka? Biskoptów? - lodowatym głosem zapytała Luz.

- Ciągłe ta sama grupa: Jenny Fidels, Carol Wentworth i reszta - Trisha nie próbowała ukryć irytacji, wywołanej nadmiernym zainteresowaniem matki.

- A później dokąd się wybieracie?

- Jeszcze nie wiem. - Uśmiechnęła się w sposób, który zawsze wywoływał niepokój Roba. - Myślę, że byłoby zabawne wpaść na przyjęcie do Cheta Martina, ale nie przejmuję się. Nie zamierzam dopomagać w

tym, by mówiono, że Martinowie wydają atrakcyjne przyjęcia. Prawdopodobnie wrócimy do klubu, żeby potaćzyć lub zagrać w tenisa.

- Kiedy zjawisz się w domu?

- O dziesiątej lub jedenastej. - Trisha wzruszyła ramionami.

- Masz wrócić przed jedenastą - poleciła Luz, a potem zwróciła się do syna. - A ty, Rob? Przyjdiesz do restauracji?

- Raczej nie. Nie mam ochoty, żeby co chwila ktoś podchodził do mnie i mówił, jak mu przykro z powodu naszej przegranej.

- W porządku. Zobaczymy się więc później. - Luz nie dała po sobie poznać, jak bardzo jest niezadowolona, że oboje odmówili udziału w rodzinnym obiedzie.

- Ruszajmy - zaproponował siostrze Rob, kiedy matka odeszła. - Musimy odprowadzić pozostałe konie i przetransportować ekwipunek do przyczepy.

- Ja biorę konie. - Trisha przerzuciła wodze przez łeb łaciatego kuca i stanęła przy jego boku. - Pomóż mi go dosiąść.

Rob podszedł do siostry i splótł dłonie, żeby mogła postawić na nich stopę. Trisha lekko wskoczyła na nie osiodłany grzbiet konia, potem spojrzała na brata z wyrazem zatroskania w oczach.

- Bądź ze mną szczery. Lubisz Jimmy'ego Raya?

- Dopóki dobrze wykonuje to, za co mu płacę, nie ma znaczenia, czy go lubię, czy nie - odrzekł, odwracając wzrok.

- Myślę, że to jednak ma znaczenie. - Trisha nie była zadowolona z odpowiedzi brata.

Ciekawiło go, czy siostra ma jakieś konkretne powody, by z taką niechęcią mówić o tym mężczyźnie.

3

Zimowe niebo wczesnie pociemniało. Na zewnątrz obszernych stajni słychać było odgłosy przestępujących z nogi na nogę koni i szelest siana. Rob stał obok siwka przywiązanego dwiema linami do przeciwległych ścian boksu. Bezwiednie gładził jego pysk i obserwował z niepokojem przygiętą sylwetkę mężczyzny klęczącego pomiędzy przednimi nogami konia. Nie widział jego twarzy osłoniętej opuszczonym rondem kapelusza, więc nie mógł z niej odczytać rezultatów badania opuchlizny, która pojawiła się na goleniu zwierzęcia.

Po nie kończących się minutach zaniepokojony Rob zapytał:

- Czy to coś poważnego?

- Nie - odparł mężczyzna i odwrócił się w jego stronę. - Nogi zostały nieco sforsowane bieganiem po twardym gruncie. Mam odpowiednią maść, którą zastosujemy, i Stony będzie w porządku. - Jimmy Ray pospiesznie podniósł się i wyjął z ust zapaloną fajkę.

Jego głos miał brzmienie niskie, kojące, niemal hipnotyzujące przez swą miękkość. W luźnym ubraniu oglądał na wysokiego i szczupłego, chociaż był niższy od Roba i szerszy w barach.

- To świetnie.

Rob patrzył na twarz Jimmy'ego o szeroko rozstawionych oczach i ziemistej cerze, próbując pozbyć się dziwnego napięcia, które zawsze wywoływało w nim łagodne i rozumne spojrzenie tego człowieka. Wiedział, co się za tym kryje.

- Marnie się czujesz po tym meczu, prawda? - Jimmy Ray podniósł do ust fajkę, by zaraz po wygłoszeniu swojej kwestii znowu zacisnąć ją między zębami. - Mocno się podłamałeś. Mam rację?

- Nic mi nie potrzeba - Rob machnął niecierpliwie ręką, na co siwek zareagował cofnięciem się o krok i parsknięciem, jak gdyby wyczuwał wokół siebie atmosferę napięcia i niepokoju.

- Nie twierdzę, że tak - uspokajająco powiedział Jimmy i poklepał konia po karku.

Rob oparł się o przegrodę. Zaciskał ręce na poręczy. Walczył ze swoją słabością, niedojrzałymi zachciankami, przeżywał konflikt sumienia. W pełni zdawał sobie sprawę, że jednak ulegnie, oczekiwał tego... pragnął... Przygładził ręką włosy i odwrócił się w stronę Jimmy'ego.

- Ile? - zapytał szorstkim głosem.

- A jak dużo chcesz? - Jimmy Ray przygryzł cybuch fajki.

- Tylko jeden, i to wszystko - Rob wbił wzrok w pokrytą żdzębami siana podłogę. Był wyraźnie podniecony.

Stajenny jeszcze raz poklepał konia po karku.

- Zaczekaj tutaj chwilę. Zaraz ci coś przyniosę. - Leniwie wypowiedziane słowa zdawały się być skierowane zarówno do siwka jak i do Roba.

Jimmy Ray spokojnym krokiem wyszedł ze stajni i ruszył w stronę magazynku. Rob czekał, jeszcze bardziej rozdrażniony niż poprzednio. Niecierpliwie nadśluchiwał odgłosu kroków powracającego mężczyzny. Tysiące razy obiecywał sobie, że już nigdy go o to nie poprosi, ale kiedy Jimmy przekroczył drzwi stajni, odwrócił się niecierpliwie ku niemu.

W świetle zwisającej z sufitu lampy zauważył, że przybyły trzyma w jednej ręce słoje z maścią. Wzrok Roba pobiegł ku drugiej dłoni.

- Masz - ręka wysunęła się w stronę Roba. Wziął szybko szczelnie zaklejony pakiecik z białym proszkiem.

- Ile?

Zmiał w palcach plastikowe opakowanie z kokainą, czyniąc sobie w myślach wyrzuty, że znów nie oparł się pokusie. Nie był przecież nałogowcem. Dotychczas zdarzyło mu się zażyć narkotyk nie więcej niż sześć razy, a przecież wielu jego kolegów ze szkoły brało piguły przy każdej okazji.

- Nie musisz teraz płacić. - Jimmy Ray przykucnął obok konia i zagłębił palec w słoju z maścią.

- Zapłacę.

Rob nie był pewien, czy upiera się z powodu dumy, czy też po to, by podkreślić swoją niezależność.

- Jak wolisz - odpowiedział Jimmy przez zęby zacisnięte na cybuchu fajki. - Niech będzie dwadzieścia.

Rob sięgnął do kieszeni, wyjął banknot, zgniótł go w dłoni, a potem upuścił na podłogę. Jimmy nigdy nie pobierał zapłaty w sposób jawny. Rob znieruchomiał na chwilę nie będąc pewnym, czy stajenny sięgnie po pieniądze, i rzeczywiście, zignorował je. Rob zawahał się, lecz po chwili opuścił stajnię.

Po obydwu stronach drogi kryły się wśród drzew obszerne domostwa stylizowane na wiejskie dwory, otoczone terenem o powierzchni od pięciu do dwudziestu akrów, na którym z reguły mieściły się stajnie, wybieg dla koni, basen i korty tenisowe. Dla wąskiej grupy bardzo zamożnych ludzi posiadanie tego typu rezydencji w ekskluzywnej dzielnicy West Palm Beach, położonej w połowie drogi pomiędzy Miami a Fort Lauderdale nad Atlantykiem, było czymś zwyczajnym.

Kiedy Drew skręcił w brukowaną drogę prowadzącą do jednego z domów, światła lamp jego Mercedesa prześliznęły się po długim łukowatym podjeździe i oświetliły gęszcz tropikalnej roślinności. Listowie palm, tamaryndowców i kwitnących krzewów przesłaniało białe, ozdobione sztukaterią ściany i czerwony dach piętrowego budynku wzorowanego na stylu hiszpańskim. Za domem znajdowały się stajnie, pastwisko oraz pole do ćwiczeń polo o powierzchni piętnastu akrów. Drew zatrzymał samochód u podnóża niskich schodów prowadzących do bogato rzeźbionych drzwi wejściowych.

- Odprowadzę samochód do garażu i zaraz do ciebie przyjdę - zwrócił się do Luz, która szybko wysiadła z brązowego Mercedesa.

Zanim podeszła do drzwi, nad wejściem zapaliły się lampy. W progu powitała ją Emma Sanderson. Ta tęga pięćdziesięcioletnia kobieta prowadziła od lat dom Thomasów. Nadzorowała służbę oraz pełniła rolę sekretarki Luz. Ze swym życzliwym uśmiechem i miłym sposobem bycia nie sprawiała wrażenia służbistki, ale nie tolerowała żadnych wybryków. Była wdową. Mieszkała w ich domu, zajmując pokój na parterze przy końcu szerokiego korytarza.

- Dobry wieczór, Emmo. - Luz zatrzymała się w holu, skąd szerokie dębowe schody prowadziły na pierwsze piętro, które w całości zajmowała z mężem. Pozostałe trzy sypialnie dla członków rodziny mieściły się na parterze. - Czy Rob i Trisha wrócili już do domu?

- Rob wrócił, ale Trishy jeszcze nie ma.

Luz spojrzała na zegarek. Do wyznaczonej pory powrotu brakowało jeszcze godziny.

- Dziękuję, Emmo - ruszyła w stronę schodów. - Dobranoc.

Apartament na piętrze składał się z dwóch sypialni połączonych wspólnym salonem; szerokie drzwi prowadziły stąd na obszerny taras. Luz udała się prosto do swego pokoju, umeblowanego we francuskim prowincjonalnym stylu, w kolorach beżu i łagodnej zieleni. Artystycznie zaprojektowane okno ze stylizowanymi na antyk witrażami ozdabiało ścianę ponad ogromnym łóżem, lecz noc przyćmiła teraz ich świetną kolorystykę. Kiedy Luz wchodziła do garderoby, żeby przebrać się w szlafrok, dobiegł ją odgłos kroków Drewa idącego po schodach na górę, ale wołała raczej usłyszeć warkot samochodu Trishy. Wydawało jej się, że mąż poszedł do swojego pokoju.

Od wielu lat zajmowali osobne sypialnie, gdyż mieli różne nawyki. Drew miał lekki sen, a ona spała niespokojnie, często budziła się, a nawet zdarzało jej się wstawać o świcie. W pierwszych latach małżeństwa jakoś znosili tę dysharmonię, lecz później potrzeba odpoczynku wzięła górę nad seksem, a właściwie łatwym do niego dostępem. Po dwudziestu latach małżeństwa można było oczekiwać, że namiętność przygaśnie, ale nie oznaczało to kresu miłości w takim sensie, jak rozumiała to Luz. Mieli więc teraz swoje własne sypialnie z osobnymi garderobami i łazienkami, przystosowane do ich indywidualnych potrzeb. W łazience Drewa była sauna i przyrządy do ćwiczeń, zaś w jej, niesłychanie eleganckiej, urządzonej w kolorach bursztynu i kości słoniowej, wyposażonej przez ekskluzywną firmę Sherle Wagner, był tylko prysznic.

Luz zawiązała pasek czerwonego satynowego kimona ozdobionego czarnymi wzorami i równie czarnym haftem wokół długich rękawów. Usiadła potem przy toalecie przed lustrem otoczonym szeregiem lamp. Odgarnęła do tyłu włosy, spięła je klipsami i zaczęła zmywać kremem makijaż.

- Nie napiłabyś się czegoś? - z salonu dobiegł ją głos Drewa.

- Chętnie - odpowiedziała automatycznie, nie prosząc nawet męża, żeby przygotował jej brandy, bo jeśli już zdarzyło jej się pić późnym wieczorem, właśnie ten trunek lubiła najbardziej. Ścieranie kremu z twarzy sprzyjało rozmyślaniom.

Drew wszedł do pokoju, kiedy wyrzuciła ostatni wacik.

- Co o tym sądzisz? - postawił szklanę z brandy na toalecie i spojrzał na jej odbicie w lustrze. - Wyglądasz na bardzo czymś zatroskaną.

- Dzieci! - uśmiechnęła się smutno. - Chociaż wydaje mi się, że nie można ich już tak nazywać. Są prawie dorośli.

- To prawda. - Stał z ręką w kieszeni niebieskiej marynarki. Wypił łyk whisky. - *À propos*, gdzie oni się teraz podziewają?

- Rob jest w swoim pokoju, a Trisha jeszcze nie wróciła. Licho wie, co się z nią dzieje. - Luz wzruszyła ramionami i wzięła do ręki szklanę z brandy. - Pamiętasz, jak kiedyś ciągle wpadali do naszych pokoi, bo chcieli nas natychmiast informować o tym, co im się akurat zdarzyło? Kiedy to się skończyło?

- Jak zaczęli robić to, o czym ich zdaniem nie powinniśmy wiedzieć - odrzekł smutno Drew.

- Nie jesteśmy im już potrzebni - stwierdziła Luz. - Mają swoich przyjaciół, własne życie, które nie ma nic wspólnego z naszym. Zaczynam się czuć zbędna. Choćby dzisiaj, kiedy żadne z nich nie chciało zjeść obiadu z rodziną, bo mieli własne sprawy. Albo Trisha. Poinformowała mnie, że zaprosiła kogoś na sobotnie przyjęcie. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się usprawiedliwić.

- Obawiam się, że mam podobny grzech na sumieniu - powiedział Drew. - Powiniennem ci powiedzieć, że wziąłem z twojego biurka jedno zaproszenie dla panny Baines, ale wyleciało mi to z pamięci, dopóki nie wspomniała o tym dzisiaj po południu. Uważałem, że dobrze będzie, jeśli spotka się na gruncie towarzyskim z naszymi przyjaciółmi, którzy zresztą są również naszymi klientami. Bardzo ci dziękuję, że nie dałaś po sobie poznać, że nic nie wiesz o tym zaproszeniu. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe?

- Ależ skąd.

Nie przemawiało do niej to usprawiedliwienie, jako że młoda prawniczka dopiero od niedawna była zatrudniona w jego biurze i to na całkiem podrzędnym stanowisku. Nie przypominała sobie, żeby Drew postępował podobnie z innymi przyjmowanymi do firmy pracownikami. Nie zaprotestowała jednak.

- A co ty o niej sądzisz?

- No cóż... Jest młodą i piękną kobietą - odpowiedziała z ociąganiem. - Sprawia wrażenie przyjacielskiej, ciepłej i oczywiście inteligentnej, inaczej przecież nie zatrudniłbyś jej.

- Biedny Phill jakoś nie może nawiązać z nią bliższych kontaktów - roześmiał się Drew - i to nie dlatego, że nie próbował.

- Zauważyłam, że ona wiele uwagi poświęca tobie - powiedziała Luz.

- Cóż, jestem przecież jej szefem - przypomniał ze skrywaną dumą. Niewątpliwie pochlebiał mu fakt, że stał się obiektem zainteresowania młodej dziewczyny.

- Nie sądzę, żeby to był jedyny powód. Prezentujesz się przecież bardzo dobrze. - Bezwiednie polechtała jego próżność.

- Istotnie, nie najgorzej jak na pięćdziesiątkę. - Spojrzał na swoje odbicie w lustrze.

- Nie bądź taki skromny. - Luz wstała i pocałowała go w policzek, ale Drew nie zareagował na ten wyraz uznania i nadal wpatrywał się w lustro.

- Jestem na tyle stary, że mógłbym być jej ojcem - powiedział. Nuta żalu w głosie męża zaniepokoiła Luz, zwłaszcza kiedy spojrzała na jego twarz. - Ona jest w naszym biurze jak powiew świeżego powietrza. Nie uwierzysz, jakie zmiany nastąpiły, odkąd zaczęła z nami pracować. Bardzo poprawiła się atmosfera. Ludzie uśmiechają się, dowcipkują...

- To wspaniale - mruknęła. Ze zdziwieniem obserwowała niezwykle ożywienie Drewa.

- Claudia chłonie wszystkie informacje jak gąbka. Czy zauważyłaś, jak zadawała pytania na dzisiejszym meczu? Jak ciekawskie dziecko. Teraz mogę sobie wyobrazić, jak czuje się nauczyciel, który ma w swej klasie zdolnego ucznia spragnionego wiedzy. - Drew przemawiał coraz goręcej, ożywiony własnym entuzjazmem. - To młody umysł, który należy odpowiednio ukształtować. To wyzwanie i odpowiedzialność z nim związana działa na mnie pobudzająco. Obecność tej dziewczyny sprawia, że cały czas jestem w stanie napięcia, zmuszony do spierania się o poszczególne przepisy prawne, dyskusowania o każdym punkcie umowy. Przypomina mi to czasy studenckie, kiedy wszystko było takie ekscytujące i nowe. Rano nie mogę doczekać się chwili, kiedy znajdę się w biurze.

- To wspaniale. - Luz nie zdawała sobie sprawy, że powtórzyła wygłoszone przed chwilą słowa, ale Drew również tego nie zauważył.

- Nie mogę uwierzyć, że unikałem zatrudnienia w swoim biurze kobiety-prawnika... dopóki jej nie spotkałem. - Z uśmiechem na twarzy patrzył na trzymaną w ręku szklanę. Zamyślił się na moment. Potem nagle uniósł głowę i odetchnął głęboko. - Tak... Pójdę już. Czeka mnie jutro pracowity dzień.

Ruszył w kierunku swojego pokoju.

- Drew! - zawołała.

- Co takiego? - zatrzymał się.

- Nie pocałujesz mnie na dobranoc? - Skarciła go z lekkim uśmiechem na twarzy.

- Ach! Przepraszam cię. - Cofnął się i złożył szybki pocałunek na policzku żony. - Po prostu myślami byłem gdzie indziej. Dobranoc, kochanie.

Luz dokładnie wiedziała, gdzie powędrowały jego myśli - do Claudii Baines.

Po wyjściu męża usiadła znów przed lustrem. Ogarnęło ją uczucie zazdrości będące dla niej czymś nowym. Wydało jej się to absurdalne, tym bardziej, że nie istniał dostateczny ku temu powód. Nie wiedziała, jak ma sobie z tym radzić. Drew był kompletnie oczarowany brunetką, piał hymny na jej cześć i zachowywał się jak mały chłopiec zachwycony nową zabawką. Na szczęście wiązała go z nią jedynie zależność służbowa. Nie widziała potrzeby rywalizowania z tą kobietą o względy męża.

Patrząc na swe odbicie w lustrze, Luz przypomniała sobie gładką, młodzieńczą cerę Claudii. Powiodła palcami wzdłuż szyi i zdziwiła się, że dotąd nie dostrzegła na niej tylu drobnych bruzd. Nachyliła się bardziej w stronę lustra. Jej wzrok przykuły zmarszczki wokół oczu. Dotknęła ich koniuszkami palców. Nigdy nie myślała o tym, że się starzeje, i skrycie potępiała kobiety, które poddają się bolesnym i kłopotliwym operacjom plastycznym po to tylko, by wyglądać młodziej. Myślała o sobie jak o atrakcyjnej kobiecie, zrównoważonej i pewnej siebie.

Wewnętrznie nie czuła się wcale starsza niż Claudia Baines. Zresztą nikt nie potrafił odgadnąć jej prawdziwego wieku. Jednakże dzisiaj, po tym, co zdarzyło się z dziećmi, mężem, i po tym odkryciu zmarszczek na szyi, uświadomiła sobie, że nie jest już młoda. Nie zauważyła, kiedy wpadła w pułapkę zastawioną przez czas. Mówiła, że ma czterdzieści dwa lata takim tonem, jak gdyby oznajmiała, że

skończyła dopiero dwadzieścia cztery. Gdy była młoda, czterdziestolatków uważała za osoby w średnim wieku. Cóż to za okrutne określenie.

Po przelotnym porannym deszczu powietrze odzyskało świeżość. Bogata zieleń murawy na polu treningowym ostro kontrastowała z błękitem nieba. Pomimo deszczu ziemia była twarda, zapewne dlatego, że pod ławnikiem zakopane były perforowane rurki, które odprowadzały nadmiar wody, albo w razie potrzeby służyły do nawadniania gruntu. Luz w kasku na głowie, ubrana w jasny strój do konnej jazdy, lekkim galopem jechała na kasztance ku środkowi pola, gdzie spoczywała mała treningowa piłka. Kiedy znalazła się przy niej, uniosła kij i mocno uderzyła. Usłyszała charakterystyczny dźwięk i poczuła, jak impuls od uderzenia przenosi się przez jej ramię aż do kręgosłupa. Biała kula poszybowała w powietrzu wysokim łukiem. Luz stała w miejscu, a do piłki ruszył Rob, uparcie ćwiczący strzał bezpośredni. Klacz niecierpliwie potrząsała głową, widocznie bardziej odpowiadała jej prawdziwa walka niż tego rodzaju ćwiczenia. Luz ściągnęła wodze i obserwowała nadjeżdżającego syna.

Teraz najważniejsze było wykonanie w odpowiednim momencie zwrotu i znalezienie się we właściwej pozycji w stosunku do nadlatującej piłki. Opuścił ramię i kijem, stanowiącym jego przedłużenie, uderzył w piłkę energicznym ruchem od siebie, nadając jej dodatkowo szybki obrót. Potem zawrócił konia, by pojechać w kierunku, w którym poszybowała. Luz skrzywiła się widząc, że syn nieprawidłowo i w nieodpowiedniej chwili wykonał zwrot, a w dodatku nie zrobił nic, by skorygować błąd. Spokojnie czekała na jego powrót.

- Chyba wystarczy na dzisiaj - powiedziała, kiedy do niej podjechał.

- Jeszcze godzinę - poprosił.

- Myślę, że już pora na podsumowanie wyników treningu - nalegała. - Popelniasz elementarne błędy.

Przy ostatnim zwrocie źle prowadziłeś konia. Coś takiego mógł zrobić tylko amator.

Rob uniósł się w strzemionach, a potem energicznie usiadł w siodle.

- Widocznie byłem zbyt skoncentrowany na piłce. - Unikał jej wzroku.

- Zbyt dużo ćwiczyłeś w ubiegłym tygodniu. Czas, żebyś trochę odpoczął.

- Może masz rację - zgodził się.

- Z całą pewnością. - Potrząsnęła wodzami. Koń powoli ruszył.

Skierowała klacz poza boisko, gdzie obok zaparkowanego kremowego Mercedesa czekał na nich stajenny. Rob jechał za nią, prowadząc za pomocą kija niepotrzebną już piłkę. Zatrzymała się obok Jimmy'ego Raya i lekko zeskoczyła. Stajenny wziął wodze i ruszył w kierunku zbliżającego się Roba. Luz zdjęła kask. Włosy spłynęły jej na ramiona.

- Muszę wracać do domu i pomóc Emmie w przygotowaniu przyjęcia - powiedziała do syna, który zsiadł już z konia. Zdjęła rękawiczki i włożyła je do trzymanego pod pachą kasku.

- Czy możesz poczekać chwilę? - zwrócił się do matki. - Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. - Podał wodze stajennemu. - Odprowadź konie, ale wcześniej pozwól im nieco ochłonać - polecił.

Luz czekała, aż Jimmy Ray się oddali.

- O co chodzi?

Z wyrazu twarzy syna domyślała się, że sprawa jest raczej poważna.

- Ojciec nalega, bym podjął decyzję, w jakiej uczelni zamierzam studiować.

- Wiem. Do końca szkoły pozostało tylko kilka miesięcy, a ty ciągle nie możesz się zdecydować - powiedziała Luz, popierając stanowisko męża.

- Właśnie w tym rzecz. Podjąłem już decyzję. Nie mam zamiaru rozpoczynać studiów tej jesieni. - Mówił szybko, by nie pozwolić matce na wyrażenie sprzeciwu, który odczytywał z wyrazu jej twarzy. - Chcę sobie zrobić roczną przerwę.

- Rob! Nie mam pojęcia... - Wątpiła, by Drew zechciał na to przystać. - Ale czym chcesz się zająć przez ten rok?

- Skoncentruję się na polo, nie tylko na występach tu czy tam, ale poświęcę się grze bez reszty. Muszę wreszcie przekonać się, czy potrafię coś osiągnąć w tym aorcie - z przejęciem przekonywał matkę.

- Ojcu tak bardzo zależy na twoich studiach. - Luz wyobrażała już sobie rozmowę z mężem. - Są przecież uniwersytety, które mają całkiem dobre drużyny polo, na przykład Wirginia, gdzie studiowałam, albo uniwersytet stanu Karolina czy Cornell. Możesz równocześnie robić jedno i drugie.

- Nie. - Wbił wzrok w szpicrutę, którą trzymał w dłoniach. - Wiesz, czym jest dla mnie szkoła. Muszę wciąż się uczyć, żeby jakoś iść do przodu. Jeśli będę równocześnie studiować i grać, to w niczym nie będę dobry. Albo to, albo to. Wiesz, że nie poradzę sobie z nauką i sportem równocześnie.

- Tak, wiem - odpowiedziała ze smutkiem.

Rozumiała go. Dla niej również szkoła nie była czymś łatwym, ale jemu wykształcenie potrzebne jest znacznie bardziej niż kobiecie.

Współczuła synowi. Szczególnie poruszył ją błagalny wyraz jego oczu.

- Porozmawiaj z nim. Luz. Przekonaj go.

- Nie wiem, czy mi się to uda.

Pomyślała, że miałby większe szanse, gdyby w jego imieniu wstawiła się Claudia Baines. Kilka razy w ciągu tego tygodnia Drew wygłaszał entuzjastyczne opinie o tej młodej kobiecie. Luz była już uczulona na każdą wzmiankę o niej.

- Wszystko, o co was proszę, to tylko zgoda, bym mógł na jeden rok przerwać naukę - upierał się Rob.

- Nic ci nie mogę obiecać, ale porozmawiam z nim - zgodziła się Luz.

- Kiedy?

- Jutro wieczorem, po przyjęciu. Na razie jestem bardzo zajęta. - Sądziła, że będzie to najodpowiedniejszy moment na tę długą i trudną rozmowę.

- Dopiero po przyjęciu? - Rob sprawiał wrażenie zawiedzionego.

- Tak, a dlaczego ci to nie odpowiada?

- Ponieważ chciałem już w sobotę wyjechać do szkoły.

- Myślałam, że wracasz dopiero w niedzielę.

- Zmieniłem plany. Co to zresztą za różnica, czy wyjadę o jeden dzień wcześniej? - z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Wolałabym, żebyś dłużej pozostał w domu, ale skoro tak zdecydowałeś, to sądzę, że nic się nie stanie, jeśli pojedziesz.

- A co wobec tego z tą rozmową z ojcem?

- Myślę, że może to i dobrze, że będziesz wówczas nieobecny.

Nie znaczyło to, że bała się wybuchu męża. Drew zawsze potrafił się opanować, ale w dyskusji zbijał ją z tropu logiką swego rozumowania. Rob nie umiał sobie radzić w rozmowach z ojcem, uciekał zwykle w milczenie, z góry ustawiając się tym samym na straconej pozycji. Luz uważnie przyjrzała się synowi. Bardzo chciała, by nie przeżywał wszystkiego tak mocno. Nawet odmowa nie będzie przecież oznaczać końca świata.

- Masz jeszcze dla mnie jakąś niespodziankę? - zapytała.

- Nie. To na razie wszystko. - Kiedy odwrócił się ku niej, zauważyła na jego twarzy dziwne napięcie. - Pójdę do stajni. Mam pewną sprawę do Jimmy'ego Raya.

- Może cię podwieźć? Jestem samochodem.

- Dziękuję. Chciałbym przez chwilę być sam. - Spuścił wzrok lekko zażenowany tym, że odrzuca jej propozycję.

- No dobrze. Na jedenastą umówiłam się z dostawcami, więc nie mam czasu. Spotkamy się w domu.

- Oczywiście - powiedział i oddalił się.

Luz patrzyła na niego z niepokojem. Szedł w kierunku stajni, kołysząc trzymanym w rękę kaskiem. Sprawiał każenie przygnębionego, a przecież parę razy w tym tygodniu wrócił do domu w świetnym humorze. Śmiał się i przekomarzał z Trishą. Rob jest bardzo chwiejny w swych nastrojach, pomyślała. Łatwo przeskakuje od euforii do przygnębienia. Ze smutkiem potrząsnęła głową, podeszła do samochodu i wrzuciła na siedzenie kask z wciśniętymi weń rękawiczkami.

Szerokie drzwi prowadzące z salonu i jadalni na oświetlone pochodniami i ozdobione pnącymi roślinami patio były otwarte. W odległym rogu, z którego usunięto meble ogrodowe, by zrobić miejsce dla tańczących par, przygrywał niewielki zespół. Muzyka mieszała się z gwarem rozmów i śmiechem gości. Migotliwe światła pochodni rozjaśniały mrok zimowej nocy. Luz witała jeszcze ostatnich przybywających gości.

Zwierciadła w kasetonowym suficie jadalni odbijały obraz suto zastawionego stołu. Dzisiaj nie było typowych różnorodnych kanapek, owoców i słodczy. Zamiast tego Luz wybrała menu, które składało się ze smakowitych duszonych żeberek i chrupiących pieczonych kurczaków. Uwielbiała patrzeć, jak wystrojone damy oblizują tłuszcz z palców. Stwarzało to wspaniałą atmosferę, pozwalającą gościom łatwo przełamywać bariery i zachowywać się swobodnie. Przez lata poddawana presji rodziny i licznym ograniczeniom, Luz była wrogiem sztywnych konwenansów.

Zwisające z uszu długie, lekko kołyszące się kolczyki z ogromnymi perłami pasowały do jej pogodnej i szczerzej osobowości. Miała na sobie dwuczęściowy biało-czarny wieczorowy kostium o lekko podniesionych ramionach i szerokich długich rękawach. Prostota i kolorystyka tego stroju podkreślała elegancję jej sylwetki. Włosy zaczesane do góry spięte były ozdobną klamrą.

Stojąc w drzwiach salonu, obrzuciła zebranych krótkim spojrzeniem. Największy tłok panował przy barze ustawionym przy wejściu do patio. W holu ciągle kręciła się Trisha, czekająca na przybycie swego gościa.

- Luz, jak się masz! - usłyszała za plecami znajomy głos.

- Och! To ty, Connie! - ucieszyła się na widok swojej bliskiej przyjaciółki, która ostrożnie zlizywała z palców jednej dłoni sos, a w drugiej trzymała talerz zapełniony smakołykami. - Jak długo już jesteś?

- Wystarczająco długo, by przekonać się, co dobrego dają tu do zjedzenia. - Ciemnowłosa kobieta nie ukrywała łakomstwa, którego skutki z trudem udało jej się zamaskować obszerną czerwoną suknią. - Skoro już mowa o jedzeniu, czy widziałaś Weronikę Hampston? Przed chwilą zjawiała się razem z George'em.

- Przed chwilą nie było mnie tutaj. - Luz szukała wzrokiem przybyłych gości.

- Są przy barze. - Connie Davenport wskazała na wysoką, straszliwie chudą kobietę w różowej sukni. - Stosuje tę nową dietę. Czy nie wygląda przerażająco? Sama skóra i kości.

- Pewno cierpi na modną teraz chorobę o nazwie anoreksja, czyli kompletny brak łaknienia - mruknęła Luz.

- Jakkolwiek się nazywa, mnie ona nie grozi - roześmiała się Connie.

- Ani mnie - stwierdziła Luz. Nigdy nie miała problemów z nadwagą. Jazda konna i aktywny tryb życia pozwalały jej utrzymać smukłą figurę.

- Gdzie jest Rob? Nie widziałam go jeszcze.

- Wrócił już do szkoły, a Trisha wyjeżdża jutro. Zrobi się bez nich pusto. Nie będę wiedziała, jak zapełnić czas - powiedziała smutno.

- Powinnaś się do tego przyzwyczaić.

- W tym roku jest o tyle gorzej, że nie ma już ojca. Zazwyczaj zimą wyjeżdżałam z nim do Wirginii i zajmowaliśmy się naszą stadniną. Musieliśmy zdecydować, którego ogiera skojarzyć z którą klaczą, wybrać dwulatki nadające się do polo... Będzie mi tego bardzo brakowało.

- Możesz przecież pojechać tam sama - zasugerowała Connie. - Wiem, że to nie to samo, ale na pewno lepsze niż beczynność.

- Być może. - Luz wzruszyła ramionami. - Wiem, że Audra wspominała coś o zlikwidowaniu domu w Wirginii. Myślę, że zdecydowała się na stałe zamieszkać na Florydzie. Jeśli tak, to będę musiała tam pojechać i nadzorować w jej zastępstwie całą tę akcję, a przy okazji ostatni raz rzucić okiem na dom mojego dzieciństwa.

- Teraz, kiedy dzieci są w szkole, na pewno spędzasz więcej czasu z mężem.

- Niestety, ostatnio ma wiele pracy.

Istotnie. Drew wychodził do biura tak wcześnie, że na ogół spotykali się dopiero wieczorem przy obiedzie.

- Tak to już jest. Niepracujące zawodowo żony biznesmenów wypełniać muszą czas imprezami charytatywnymi i loteriami fantowymi na cele dobroczynne. Rozejrzyj się, takich pań jest tutaj wiele.

- Nie bądź cyniczna, Connie. Przynajmniej w ten sposób możemy być pożyteczne, a poza tym, kto inny zrobi to za nas? - oburzyła się Luz. Sama zasiadała w kilku komitetach organizacji charytatywnych.

- Nie przejmuj się. Ja też od czasu do czasu mam podobne problemy. - Connie wzięła z talerza smakowite udko kurczęcia. - Powiedz mi, kim jest ta brunetka towarzysząca twojemu mężowi?

- To Claudia Baines, nowa prawniczka w jego biurze.

Zaraz po przybyciu Claudii Luz zamieniła z nią kilka słów, a potem Drew wziął na siebie obowiązek przedstawienia jej gościom. Zauważyła, że mąż ramieniem obejmuje młodą kobietę i przytula ją do siebie. Szybko odwróciła wzrok, próbując opanować nagły skurcz w okolicach żołądka.

- Wydaje się, że Drew poświęca jej wiele uwagi. - Connie uniosła brwi.

- To jego protegowana.

- Czy to nie z jej powodu jest tak bardzo zajęty?

Luz z trudem opanowała wściekłość. Roześmiała się.

- Nie bądź niemądra. Ona mogłaby być jego córką.

- To właśnie jest najbardziej niebezpieczne - stwierdziła Connie głosem wyrażającym całkowitą pewność.

Po tych słowach Luz poczuła dziwny chłód w okolicy serca. Uświadomiła sobie, że mąż przyjaciółki jest notorycznie niewierny. Potrafiła więc zrozumieć, dlaczego Connie tak ocenia zachowanie Drewa. Doświadczenie życiowe wyczuliło ją na takie sytuacje. W tym przypadku to absurd. Drew nigdy nie był tego rodzaju mężczyzną, ale, na Boga, niechże on zdejmie tę rękę z jej ramion, pomyślała ze złością. Taki gest wskazuje na pewną zażyłość. Jeśli Connie tak to odebrała, to i inni tak to oceniają.

- Znam dobrze Drewa i wcale się tym nie martwię - odpowiedziała swobodnie.

Ktoś wszedł z holu do salonu. Była to jej siostra. Luz postanowiła skorzystać z okazji i przerwać kłopotliwą rozmowę.

- Wybacz mi, Connie. Przyszła Mary.

Szybkim krokiem przecięła pokój. Podeszła do siostry, zanim Mary, zdążyła zniknąć w tłumie gości.

- No, jesteś wreszcie. - Wymieniły pocałunki.

- Błagam, tylko żadnych pouczeń o punktualności. Zdziałało tutaj prawo Murphy'ego: „Jeśli coś może pójść źle, to na pewno pójdzie”. Kiedy już wychodziliśmy, Anne skaleczyła się stłuczoną szklanką. Potem okazało się, że Ross zapomniał zatankować paliwo do samochodu. Na koniec złapaliśmy gumę, a nie mieliśmy koła zapasowego. Wystarczy?

- A gdzie jest Ross? - Luz zerknęła do holu.

- Poszedł się umyć. Kiedy już wreszcie uporaliśmy się z kołem i paliwem, chciał wrócić do domu, żeby się przebrać, ale mu nie pozwoliłam.

Luz roześmiała się i objęła siostrę.

- Chodźmy do baru.

- Dobrze. Muszę to opić - zgodziła się Mary.

Kiedy przechodziły obok Drewa, zatrzymał je.

- Mary! Cieszę się, że jednak przyszliście. Pamiętasz Claudię, prawda?

Gwałtowny ruch ręki Drewa wytrącił pannę Baines z równowagi. Oparła się o niego.

Luz zacisnęła zęby. „Claudia.” A więc są już po imieniu. Natychmiast opanowała się i spróbowała znaleźć jakieś usprawiedliwienie. Przecież są na przyjęciu. Najlepsza okazja, żeby pozbyć się wszelkich formalności. Dobięły ją słowa wymieniane pomiędzy Mary a Claudią. Podeszła bliżej.

- Mam nadzieję, że bawisz się dobrze... Claudio. - Imię utknęło jej w gardle, ale starała się być dzielna.

- Tak. Drew zadbał, żebym się nie nudziła - uśmiechnęła się do niego.

- Opowiedziałem jej pewne zabawne zdarzenie. Nie wiem, czy znasz tę historię o dwóch mężczyznach, którzy po wielu latach postanowili się rozstać. Po to, by dokonać podziału wspólnego majątku - domu, samochodu, polisy ubezpieczeniowej... każdy z nich wynajął adwokata. Jednym z nich byłem ja. Mieli też psa...

- Wybacz mi - Luz cofnęła się i pociągnęła Mary - ale ja już to słyszałam.

Drew odpowiedział gestem ręki i ciągnął dalej swoją opowieść. Siostry przeciskały się do baru przez coraz gęstszy tłum gości. Dobiegł je zza pleców głośny wybuch śmiechu.

- Drew musiał wreszcie dotrzeć do puenty tej swojej historyjki - stwierdziła oschle Mary.

- To dziwne. Słyszałam tę opowieść ze sto razy - Luz obejrzała się na roześmianą parę - ale nie przypominam sobie, aby była aż tak zabawna.

- Claudia patrzy na niego tak, jakby to dzięki niemu słońce wschodziło każdego ranka. - Mary zamyśliła się na moment, a potem dodała: - Mam nadzieję, że Rossa nie dotknie kryzys związany z tak zwanym wiekiem średnim,

Luz nie spodobała się sugestia, że Drew przechodzi kryzys, i nie życzyła sobie, by ktokolwiek zasiewał w jej sercu ziarno zwątpienia. Nie miała dotychczas wystarczających powodów do zazdrości, coś ją jednak dręczyło.

- Wygląda na to, że w patio zabawa rozkręciła się na dobre. - Mary przyjrzała się podnieconym grupkom młodzieży. - Założę się, że któryś z nich przyszedł własną cukiernicą.

- Zawsze ktoś przynosi kokę na przyjęcia.

Nie było sposobu, żeby się przed tym zabezpieczyć. Narkotyki nie interesowały Luz, chociaż miała przyjaciółki, które od czasu do czasu brały kokainę. Nie był to jeszcze nałóg w sensie fizycznym, ale już pewna psychiczna zależność, która powoli rosła i miała swoje złe skutki. W młodości Luz próbowała palić marihuanę bardziej jako wyraz buntu niż z innych powodów. Raz nawet, w okresie ostrego konfliktu z ojcem, zapaliła skręta w jego obecności, ale kiedy nie okazał zdumienia ani oburzenia, przestało ją to bawić. Uważała, że narkotyki są teraz zbyt łatwo dostępne i martwiła się o dzieci, zwłaszcza o Trishę, która była na tyle szalona i żądna przygód, że zapewne chętnie spróbowałaby wszystkiego. Niewiele jednak mogła zrobić, by temu zapobiec.

4

Kiedy minęła dziesiąta, Trisha musiała pogodzić się z tym, że Raul nie przyjdzie. Wielokrotnie w minionym tygodniu zastanawiała się, czy nie należy odszukać go i ponowić zaproszenia. Nie zrobiła tego. Doszła do wniosku, że jeśli pojawi się bez dalszych nalegań, będzie to potwierdzeniem jej władzy nad nim. Nie przyszedł, ale ona nie zamierzała poddać się bez walki.

Wymknęła się do swojego pokoju, podeszła do telefonu i wykręciła numer klubu polo, nie mając większej nadziei, że kogoś tam zastanie. Przez dłuższy czas słuchała sygnału i kiedy bliska już była rezygnacji, nagle ktoś podniósł słuchawkę.

- Chciałabym porozumieć się z Raulem Buchananem. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mogę go teraz znaleźć? - zapytała urzędowym tonem.

- Jeśli chodzi o tego Argentyńczyka, to niedawno widziałem go w naszych stajniach. - Odpowiadający wolno cedził słowa. - Zajmował się kontuzjowaną klacze

- Dziękuję panu.

Trisha, nie czekając na dalsze informacje, szybko odłożyła słuchawkę. Nie miała ani chwili do stracenia.

Nie zauważona przemknęła przez salon i jadalnię do kuchni. Służba była zbyt zajęta, by zwracać na nią uwagę. Wzięła butelkę schłodzonego szampana oraz dwa kieliszki i tylnym wyjściem opuściła dom.

Oślonięta przed wzrokiem gości palmami i krzewami, pobiegła do garażu. Jediną trudność stanowiło wyminięcie zaparkowanych na podjeździe samochodów, ale potem pusta droga prowadziła już ku terenom do gry w polo.

Zaparkowała koło stajni, wzięła butelkę i wysiadła z samochodu. W środkowej części długiego budynku zauważyła światła. W pantoflach na wysokim obcasie z trudem pokonywała nierówny teren. Jej suknia w kolorze kości słoniowej lśniła w księżycowej poświacie. Dotarła wreszcie do wygodnego chodnika prowadzącego wzdłuż muru. Gdzieś daleko szczekał pies. Z jednego z boksów dobiegły ją niskie głosy dwóch mężczyzn rozmawiających w obcym języku. To hiszpański, pomyślała. Kiedy ich zobaczyła, ciągle nie była pewna, czy jednym z nich jest Raul. Poznała go dopiero wtedy, gdy znalazła się całkiem blisko.

- Dobry wieczór - zawołała.

- Co pani tutaj robi? - obejrzał się z wyrazem zdumienia na twarzy.

Trisha trzymała butelkę szampana i kieliszki.

- Skoro nie przyszedł pan na przyjęcie, przyjęcie przyszło do pana.

Raul odwrócił się ku niej. Nie sprawiał wrażenia rozbawionego ani zadowolonego. Za jego plecami zauważyła karego konia i klęczącego przy nim stajennego.

Podeszła bliżej.

- Czy to coś poważnego? - zapytała. Prawa przednia noga klaczy owinięta była workiem z lodem.

- Upadła dzisiaj po południu - odrzekł Raul. - Sądziliśmy, że to tylko zwichnięcie stawu kolanowego, ale noga coraz bardziej puchnie. Zaraz przyjedzie weterynarz. Możliwe, że nastąpiło jakieś niewielkie pęknięcie lub odprysk kości.

- Biedna dama - kieliszki lekko zadzwoniły, kiedy Trisha przełożyła je do jednej ręki, by drugą pogłaskać klacz po pysku. Nisko zwieszony łeb i smutek w czarnych oczach świadczyły o tym, że zwierzę cierpi.

- Ostrożnie. Zabrudzi pani sobie suknię.

- A jak się panu podoba? - przyjęła pozę modelki chcąc zademonstrować mu suknię o wyszukanym kroju, z szerokimi rękawami mocno zwężonymi ku dołowi, z głębokim trójkątnym dekoltem na plecach. - Musi pan przyznać, że w tym stroju nie wyglądam na uczennicę. Proszę mi szczerze powiedzieć, czy gdybym w czasie naszego pierwszego spotkania była tak ubrana, też uznałby pan, że jestem zbyt młoda?

- Chyba nie - uśmiechnął się.

- No proszę! W ten sposób udowodniłam, że pana pierwsze wrażenie było błędne.

Raul mruknął coś po hiszpańsku do stajennego, potem wziął ją pod rękę i wyprowadził na zewnątrz. Szli podcieniem rozciągającym się wzdłuż całej stajni. Stanęli w słabo oświetlonym miejscu na końcu budynku.

Trisha wręczyła mu butelkę.

- Trzeba ją otworzyć, zanim szampan stanie się zupełnie ciepły.

Spojrzał na nią z wahaniem, zastanawiając się nad czymś, ale potem wziął butelkę i zerwał druciany oplot. Przyglądała się, jak bez wysiłku, z wprawą, wyciąga korek.

- Czy przyszedłby pan na przyjęcie, gdyby nie kontuzja klaczy?

- Nie.

Odpowiedzi towarzyszył niezbyt głośny wystrzał korka. Trisha szybko podstawiała kieliszki. Ani jedna kropla wina nie została uroniona.

- Zadziwiająca szczerość. To bardzo rzadka cecha. - Wręczyła Raulowi napelnięty kieliszek.

- Widzę, że wie pani, jak należy podawać szampana. - Przyglądał się szerokiemu kieliszkowi przypominającemu kształtem tulipan.

- Nazywam się Kincaid i zostałam znakomicie wychowana. - Trisha wypła łyk musującego napoju.

- Dlaczego przybiera pani takie pozy? - odwrócił głowę. Światło księżyca oświetlało jego ostre rysy.

Wzruszyła ramionami z udaną obojętnością.

- Myślę, że rodzina jest mną nieco rozczarowana. Obawiam się, że bardziej jestem Thomas niż Kincaid, ale nie przyszłam dyskutować tu o sprawach rodzinnych. Na przyjęciach pary zazwyczaj tańczą. Nie poprosi mnie pan do tańca?

- Brakuje nam muzyki.

- Nie szkodzi. - Oparła na jego ramieniu rękę z kieliszkiem. Zawahał się przez moment, ale objął ją w tali. Poruszali się w spokojnym powolnym rytmie. Dotknięcie jego dłoni i bliskość ciała sprawiały jej ogromną przyjemność. - Raul, powiedz mi coś o sobie. Skąd jesteś? Co robisz?

- Gram w polo i uczę tego innych. Mam w pobliżu Buenos Aires posiadłość, w której hoduję i trenuję konie. To wszystko.

W przyćmionym świetle źrenice jego niebieskich wyrazistych oczu wydawały się ogromne. Fascynowały ją.

- Jesteś żonaty? - Spoglądając na Raula spod opuszczonych powiek, wypła łyk szampana.

- Nie - uśmiechnął się.

- Byłeś żonaty?

- Też nie.

- Dlaczego? - zapytała przekornie. - Nigdy nie spotkałeś odpowiedniej dziewczyny?

- Widocznie nie spotkałem.

- A w przyszłości masz zamiar się ożenić?

- Na pewno nie chciałabyś mieć takiego męża, jakim byłbym ja. Pochodzę z Ameryki Południowej, gdzie uważa się, że miejsce kobiety jest w domu, a ja rzadko tam bywam.

- Załóżmy, że chciałabym.

- Możemy założyć.

- Masz jakąś rodzinę? - pytała dalej.

- Moja matka nie żyje, a ojciec opuścił nas, kiedy byłem mały. Nie mam bliskich krewnych.

- Nosisz nazwisko Buchanan. Czyżbyś był w połowie Anglikiem?

- Jestem Argentyńczykiem - powiedział z dumą - Mój kraj jest tygłem, w którym stapiały się różne narodowości, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, w książce telefonicznej w Buenos Aires możesz znaleźć mnóstwo nazwisk takich jak Buchanan, Gonzales, Zimmerman lub Caruso. Przybywali tam wszyscy: Włosi, Anglicy, Francuzi, Niemcy i wielu innych.

- Nie wiedziałam o tym. Zawsze byłam przekonana, że w Argentynie mieszkają głównie Hiszpanie, podobnie jak w Meksyku.

- W takim razie otrzymałaś cenną lekcję historii, uzupełniającą szkolną edukację. - Zatrzymał się, przerywając bezcelowe dreptanie w bezgłośnym rytmie, i odsunął się od niej. - Orkiestra przestała grać. Koniec tańca. Odprowadzę cię do samochodu.

Trishę zaskoczyła jego nagła decyzja.

- Ależ... nie wypiliśmy jeszcze szampana. - Prawie pełna butelka stała na ziemi.

- Nie będę już pił. Resztę możesz zabrać z powrotem do domu - powiedział grzecznie, ale stanowczo.

Pomyślała, że zanim wróci, szampan będzie ciepły i mdły jak cały ten dzisiejszy wieczór.

- Nie widzę powodu, żeby już jechać.

- Ale ja widzę. - Raul delikatnie wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę parkingu. - Lada moment przyjedzie doktor Carlyle, żeby zbadać klacz. Będę zajęty przez dłuższy czas.

- Ale ja widzę. - Raul delikatnie wziął ją pod rękę.

- To nie ma znaczenia. Mogę poczekać.

- Nie.

Dalsze upieranie się nie miało sensu. Szli w milczeniu.

- Jutro wyjeżdżam - powiedziała wreszcie.

- A ja pojutrze, więc nie wydaje mi się możliwe; abyśmy się spotkali w najbliższym czasie.

- Dlaczego tak niechętnie odnosisz się do mnie? - zapytała.

- Próbuję uchronić nas przed wplątaniem się w przykrą i niezręczną sytuację - mówił cierpliwie, jak do dziecka. - Może cię to zaskoczy, ale powiem ci, że miałem już kiedyś kłopoty z nastolatką.

- Co mam zrobić, żebyś zrozumiał, że wkrótce przestanę być uczennicą? - powiedziała z rozdrażnieniem. - Przecież podobam ci się, więc co ma do tego mój wiek?

- Nic - odrzekł spokojnie. - Lolicie również nie przeszkadzało, że była uczennicą.

- Niech cię licho porwie - rzuciła ze złością.

- W porządku - mruknął i pociągnął ją w stronę parkingu.

Bez trudu rozpoznał jej sportowy samochód, gdyż poza nim stało tam tylko kilka furgonetek i stary sedan. Podprowadził ją do drzwiczek od strony kierowcy i zatrzymał się.

- Zapomniałaś o tym. - Podał jej odwrócony nóżką do góry kieliszek.

- Dziękuję. - Wzięła go, unikając jego wzroku.

Ze złością pomyślała, że prawdopodobnie uważa ją za rozpuszczonego bachora dąsającego się, bo nie pozwolono mu robić tego, na co ma ochotę. Nie było to zresztą dalekie od prawdy.

- Dobranoc, Trisha.

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu, po raz pierwszy dał jej do zrozumienia, że uważa ją za dziewczynę, a nie natrętnego dzieciaka. Poczula nagle przyływ nadziei, że nie wszystko stracone, że może da się coś jeszcze uratować.

- Zaczekaj. - Poufale położyła rękę na jego ramieniu. Spojrzał na nią z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- Czyżbyś nie wiedział, że po odprowadzeniu dziewczyny do samochodu należy pocałować ją na dobranoc?

W półmroku jego włosy wydawały się czarne. Zauważyła, że niecierpliwie poruszył głową.

W sekundę później objął ją. Nachylona twarz Raula przesłoniła jej pole widzenia. Czekwała na dotknięcie jego warg. Serce biło jej mocno. Kiedy wreszcie poczuła jego usta na swoich, okazało się, że jest to

delikatny, przelotny pocałunek, jakim żegna się uczennicę. Odsunęła się gniewnie, chociaż chwilę wcześniej miała ochotę przylgnąć do niego całym ciałem.

- Raul! Nie jestem dziewczicą.

Stanął na palcach i zarzuciła mu ręce na szyję. Nie zważając na jego opór, pocałowała go namiętnie, mocno się przytulając. Wyczuła, że nie jest mu całkowicie obojętna, bo instynktownie odwzajemnił gorący pocałunek.

Trwało to krótko. Po paru sekundach oderwał jej ręce od swojej szyi. Cofnęła się o krok. Oddychała płytko i szybko, skronie jej pulsowały. Podniecona wpatrywała się w niego.

- Szkoda, że to nie ty byłeś tym pierwszym - powiedziała cicho.

- Wystarczy. Oszczędź mi tych pokus. - Spojrzał na nią surowo, by zrozumiała, że nie zamierza tolerować podobnego zachowania. Otworzył auto i wepchnął ją na miejsce kierowcy.

- Jeszcze się spotkamy - powiedziała, kiedy zatrząskiwiał drzwiczki samochodu.

- Nie wątpię, że kiedyś to nastąpi - odparł z rezygnacją i odsunął się od wozu.

- I wtedy będę już starsza - dodała Trisha.

Nie odpowiedział i ruszył w kierunku stajni. Przez dłuższy czas siedziała bez ruchu, patrząc na znikającą w mroku sylwetkę Raula. Ciągle jeszcze odczuwała podniecenie wywołane dotknięciem jego twardego muskularnego ciała, a na wargach nadal czuła smak krótkiego pocałunku.

Naprawdę żałowała, że to nie on był jej pierwszym mężczyzną. Możliwe, że wtedy ominęłyby ją tak poniżające i upokarzające doświadczenia. Przypomniała sobie scenę, kiedy leżała na kocu w lesie i patrzyła na chłopca kończącego się rozbierać. Bała się. Ona, Trisha Kincaid Thomas, lękała się, niepewna tego, co się zdarzy i czego ma oczekiwać.

Natomiast Max wiedział. Uprawiał już seks wiele razy. Pamiętała jego pocałunki, pieszczoty, które poprzedziły moment wcisnięcia się pomiędzy jej nogi. Dalej nie szło już zbyt dobrze, a ona nie potrafiła mu pomóc. Czuła jego poszturchiwania i popychania.

- Szerzej, do licha! - Tak właśnie odezwał się do niej.

Poczuła silny ucisk i odruchowo próbowała się odsunąć, ale trzymał ją mocno. Potem wszystko przeredziło się w trudny do zniesienia ból, potęgowany jeszcze uderzeniami jego ciała, aż wreszcie usłyszała dziwny jęk, który wzbudził w niej wstręt.

Nie spotkała się z nim nigdy więcej. Od tej pory miała jeszcze dwóch chłopców, którzy dowiedli jej, że z seksu można czerpać pewne przyjemności. Teraz Trisha zastanawiała się, jak by to było, gdyby to Raul trzymał ją w ramionach, całował jej piersi i pieścił ciało, gdyby czuła na sobie jego ciężar.

Westchnęła i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał. Wyjeżdżając z parkingu, zobaczyła światła zbliżającego się samochodu. To na pewno oczekiwany przez Raula weterynarz. Kiedy znalazła się na drodze, wcisnęła z całych sił pedał gazu. Samochód pomknął jak rakieta.

Ostatni goście wyszli około drugiej nad ranem. Służba kończyła sprzątanie. Luz sprawnie nadzorowała ustawianie mebli, ale ciągle była wewnątrznie spięta i poirytowana.

- Przesuńcie ten fotel bardziej w lewo - poleciła.

Do salonu wszedł Drew.

- Gdzie jest Trisha? Poszła już spać? Prawie wcale jej dzisiaj nie widziałem.

Luz zdziwiła się, że w ogóle zauważył nieobecność przez cały wieczór nie odstępował Claudii Baines. Ciągłe widziała ich razem. Rozmawiali, śmiali się, tańczyli przytuleni do siebie albo przynajmniej Drew czule obejmował ją ramieniem. Kiedy zauważyła, jak przy wyjściu całuje Claudię na dobranoc, z trudem się opanowała. Wszystko to wprawiło ją w wyjątkowo przykry nastrój.

- Wyjeżdża jutro, więc pewno dlatego cały wieczór spędziła w swoim pokoju - odpowiedziała chłodno.

- Powinna ci pomóc.

- Myślę, że zajęta jest pakowaniem swoich rzeczy.

- Ach! - przeciągnął ręką po czole gestem zmęczonego człowieka. - Powinienem napić się kawy. Czy zostało trochę?

- Sprawdź w kuchni. - Luz nie miała ochoty zajmować się tą sprawą.

Zmarszczył lekko czoło, ale nic nie powiedział. Kątem oka zauważyła, że wyszedł. Po ustawieniu lamp salon był gotowy. Z jadalni dobiegał hałas odkurzacza. Wynajęta służba ładowała swoje rzeczy do samochodu.

- Uratowałem resztkę kawy przed wylaniem do zlewu. - Drew wrócił, niosąc dwie filiżanki. - Myślę, że ty też się napijesz?

- Nie mam ochoty. - Podeszła do szerokich rozsuwanych drzwi prowadzących do jadalni i zamknęła je.

- Emma prosiła, żeby ci powiedzieć, że kuchnia jest już sprzątnięta.

- To dobrze. - Luz pomyślała, że nie potrafi już dłużej panować nad sobą. Jeszcze chwila i rozplacze się.

- Wobec tego zostań na dole i zamknij drzwi po odjeździe służby. Pójdę na górę. Czuję się bardzo zmęczona.

Kiedy wychodziła, stał na środku pokoju i patrzył za nią. W garderobie zdjęła wieczorowy kostium, czarne pończochy i bieliznę. Rzuciła to wszystko w nieładzie na podłogę. Naszyjnik i kolczyki położyła na toaletce. Włożyła przez głowę zieloną nocną koszulę. Zatrzymała się na chwilę przed lustrem, by wyjąć spinki podtrzymujące jej fryzurę, ale nie zdecydowała się na zmycie makijażu. Była zbyt zdenerwowana.

Przed wyjściem z garderoby wzięła szczotkę do włosów i poszła do sypialni. Usiadła na krawędzi przykrytego aksamitną narzutą łóżka. Silnymi ruchami szczotkowała włosy, aż poczuła ból, który widać potrzebny był jej po to, by zrównoważyć wewnętrzne cierpienie.

Po dłuższej chwili do pokoju wszedł Drew. Z trudem powstrzymała się, by nie rzucić w niego szczotką.

- To było znakomite przyjęcie. Jak zwykle przeszłaś samą siebie - powiedział.

- Dziwi mnie, że to zauważyłeś. - Bezszykownie próbowała opanować drżenie głosu.

- O co ci chodzi? - zapytał z uśmiechem, zabarwionym wyrazem zakłopotania.

Nie była w stanie zachować spokoju. Podniosła się gwałtownie i przeszła kilka kroków.

- Jak śmiesz mnie jeszcze pytać? - powiedziała próbując zdusić gniew.

- Chciałbym wiedzieć, co cię tak zirytowało.

- Jak możesz stać tutaj i zadawać takie pytania, po tym, jak zachowywałeś się przez cały wieczór.

- Co takiego zrobiłem? - uniósł ręce w geście zdumienia.

Nie chciała mówić o tym wprost, ale nie mogła znieść jego udawanej niewinności.

- Przez cały wieczór nie odrywałeś wzroku od tej Baines.

- Co takiego? - Drew roześmiał się z niedowierzaniem.

- Wszyscy to widzieli. Zajmowałeś się wyłącznie nią, ignorując pozostałych gości. Nawet nie wiesz, jak upokarzające były dla mnie ich spojrzenia i szept za moimi plecami. Zastanawiali się pewno, czy widzę, co się dzieje.

- Luz, to po prostu nieprawda. Istotnie, zajmowałem się Claudią, ale co miałem zrobić? Przecież nie znała nikogo z naszych gości, nie mogłem pozwolić, żeby stała samotnie w kącie. Obowiązkiem gospodarza było przedstawić ją wszystkim.

- Ach tak! Traktowałeś to więc jak obowiązek - powiedziała lodowatym tonem - i to bardzo ciężki, jak mi się wydaje. Jestem pewna, że wiele trudu kosztowało cię uśmiechanie się cały czas.

- Nie mam zamiaru zaprzeczać, że jej towarzystwo sprawia mi przyjemność - odpowiedział ciepło i pokiwał głową. - Przy niej czuję się młodszy.

Spokój męża zwiększył jeszcze rozdrażnienie Luz.

- Czy to znaczy, że przy mnie czujesz się stary? - podbiegła do łóżka i usiadła.

- Ależ nie. Próbuję ci tylko wyjaśnić, że przebywanie z Claudią jest niesłychanie zabawne.

- Pocałunek na dobranoc też był twoim zdaniem zabawny? - przeciągnęła szczotką po włosach i znieruchomiała, wpatrując się w nią.

- Luz, co ty opowiadasz? Przecież widziałas, że prawie każdą wychodzącą kobietę całowałem przy pożegnaniu. - Podeszedł do łóżka i usiadł koło niej. - Wydaje mi się, że jesteś zazdrosna.

- A ty nie byłbyś w takiej sytuacji? Wszyscy rzucali jakieś ironiczne uwagi. - Spojrzała na niego z wyrzutem. Żał tkwił w niej tak długo, że wysuwała teraz wszystkie oskarżenia, słuszne czy niesłuszne.

- Bardzo mi przykro. Luz. - Patrzył na nią wzrokiem wyrażającym skruchę.

Widziała przyprószone siwizną włosy na jego skroniach, głęboki rowek w brodzie. Jest naprawdę przystojny, pomyślała. Wbiła znów wzrok w trzymaną w ręku szczotkę.

- Być może miałeś w czasie naszego małżeństwa jakieś inne kobiety. Nie wiem. Niewierność jest chyba stałą cechą mężczyzn. Nie pozwolę jednak, żebyś ostentacyjnie flirtował w mojej obecności. - Uważała, że musi to powiedzieć. Nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

Uniół jej twarz, dotykając dłonią policzka. Spojrzeli sobie w oczy.

- Sądzisz, że mogły być inne kobiety? Czyżbyś po tylu latach nie wiedziała, jak bardzo cię kocham?

Luz zmięknęła pod jego spojrzeniem. Uśmiechnęła się smutno.

- To brzmi przekonująco - powiedziała.

Nachylił się nad nią i przykrył jej usta pocałunkiem, który stawał się coraz mocniejszy. Luz odchyliła głowę i przytuliła się do męża. Pocałunek trwał długo.. Potem, kiedy otworzyła oczy, napotkała jego pełen pożądania wzrok. Ręką powiódł po jej szyi i zsunął ramiączka koszuli nocnej.

- Już bardzo dawno cię nie rozbierałem - szepnął.

Poczuła miłe podniecenie, które przerodziło się w silny dreszcz, kiedy jego dłonie dotknęły jej piersi. Ręce Drewa przesuwaly się coraz niżej. Luz pozwoliła, by koszula spadła z jej ramion i zsunęła się w okolice talii.

Drew objął ją, lekko uniół i jednym ruchem ręki zrzucił koszulę na podłogę. Pod jego wzrokiem poczuła przypływ pożądania. Kiedy położył się obok niej, spojrzała wyczekująco. Dotykał jej ciała wodząc ręką od sutek do jasnych włosów na wzgórku łonowym.

- Jesteś piękna - szepnął, a potem pocałował ją namiętnie.

Przyciągnęła go do siebie, pragnąc poczuć dotyk jego ciała. Ogarnęło ją dzikie, gwałtowne pożądanie. Taki przypływ namiętności był dla niej czymś prawie upomnianym. Słodka i promienna kulminacja ich uczuć nastąpiła zaraz po ślubie, pozostawiając po sobie uczucie radosnego wyczerpania. W następnych latach zazwyczaj spokojnie delektowali się przyjemnością, jaką dawały im Najemne zbliżenia.

Dzisiaj niespodziewanie powróciły dawne uniesienia. Potem Luz leżała na łóżku uśmiechnięta, z rękami założonymi pod głowę, a obok niej spoczywał Drew. Oczy miał zamknięte, ale wiedziała, że nie śpi, rozgrzany tym nagłym zbliżeniem. Spojrzała na jego twarz, wyrażającą zadowolenie.

- To było wspaniałe - powiedziała, ale czuła, że wydarzyło się coś więcej. Nachyliła się ku niemu i pocałowała go w ramię. - Tak dobrze nie było mi od naszego miodowego miesiąca.

- To nie świadczy najlepiej o latach, które dzielą nas od ślubu - odrzekł unosząc brwi.

- Nie to miałam na myśli - roześmiała się.

- W takim razie wyrażaj się jaśniej, moja droga żono. - Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

- To wszystko wydało mi się jakieś nowe i ekscytujące. Jak gdybym odkryła cię raz jeszcze. Mam wrażenie, że jestem twoją narzeczoną. - Gdzieś wewnątrz poczuła ciepły płomień odradzającej się miłości. Dotykała palcami włosów na jego piersi.

- Zawsze będziesz moją narzeczoną. - Pocałował ją w głowę spoczywającą teraz na jego ramieniu.

- Jak myślisz, która jest godzina? - zapytała.

- Nie mam pojęcia. Dochodziła trzecia, kiedy szedłem na górę.

Luz odwróciła głowę w stronę cyfrowego zegara stojącego na szafce nocnej.

- Jest parę minut po czwartej. Jeśli nie pójdziemy zaraz spać, to będziemy mogli obejrzeć wschód słońca.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. - żartobliwie szarpnęła go za włosy na piersi. - Zrobię kawę i wypijemy ją na tarasie.

- Luz, wydaje mi się, że słońce wschodzi dopiero o szóstej. Nie wyśpimy się.

- Jesteś zmęczony? - usiadła i spojrzała na niego.

- W tej chwili nie - przyznał Drew.

- W takim razie wstawaj, leniuchu. - Zaczęła spychać go z łóżka. - Idziemy.

Złapał ją za rękę i przez chwilę mocowali się, dopóki nie zeskoczyła na podłogę. Drew z powrotem ułożył się na poduszce i patrzył, jak Luz zakłada na siebie czerwone kimono.

- Radzę ci wstać, zanim wrócę z kawą, albo dostaniesz ją i sok pomarańczowy do łóżka. Tyle że bez filiżanki - ostrzegła.

Nie przejął się jej słowami, ale kiedy wróciła z tacą, na której stały filiżanki z kawą, sok pomarańczowy i koszyk z rogalikami, łóżko było puste, a drzwi na taras otwarte. Czekał na nią świeżo ogolony, z włosami mokrymi jeszcze po wyjściu spod prysznica.

- Rogaliki! - Zauważył je natychmiast. - Skąd wiedziałas, że jestem głodny?

- Zawsze po wysiłku chce ci się jeść.

Postawiła tacę na szklanym blacie metalowego stolika i zastanawiała się, kiedy ostatni raz tak się przekomarzali. Do ich małżeństwa powracał romantyczny nastrój. Owiało ją nocne powietrze.

- Jest zimno. - Wstrząsnął nią lekki dreszcz.

- Chodź tutaj.

Kiedy podała mu kawę, Drew objął ją ramieniem i przytulił do swego gorącego ciała.

W godzinę później siedzieli obok siebie na szerokim fotelu, okryci szczelnie wełnianym pledem dla ochrony przed chłodem. Perłowoszare niebo zaczynało lekko różowieć nad horyzontem.

- Nie śpisz? - Luz podniosła głowę, żeby sprawdzić, czy Drew ma ciągle otwarte oczy.

- Ummm.

Uznała odpowiedź za potwierdzenie.

- Rob przed odjazdem prosił mnie, żebym z tobą porozmawiała w pewnej sprawie. - Luz sądziła, że to najlepszy moment do spełnienia prośby syna.

- O czym? - zapytał sennie.

- Chciałby na rok przerwać naukę.

- Co takiego? Dlaczego? - zapytał Drew całkowicie rozbudzony.

- Mówi, że zamierza poprawić swoje umiejętności gry w polo, ale nie wydaje mi się, żeby to był jedyny powód.

- A co ty o tym sądzisz?

Zwróciła twarz w stronę męża. Chciała bacznie obserwować jego reakcję na swoje argumenty. Palcem dotknęła rowka w jego brodzie.

- Wiesz, jakie kłopoty miał Rob w szkole. Przez ostatnie cztery lata musiał się naprawdę dużo uczyć, żeby sprostać wymaganiom nauczycieli. Mam wrażenie, że chce po prostu odpocząć.

- Nie podoba mi się ten pomysł.

- Wierzę ci.

- A ty, jak sądzę, zgadzasz się z nim.

- Rozumiem go. To, o co prosi, nie jest czymś niezwykłym. Wielu młodych ludzi przerywa edukację pod pretekstem podróży do Europy lub jakimś innym.

- To prawda.

- A więc? Co mam powiedzieć Robowi? - palcem dotykała leciutko kącika ust męża.

- Wolałabyś nie zmuszać go, żeby tej jesieni rozpoczął studia, prawda? - Drew popatrzył jej w oczy.

- Masz rację.

- Wobec tego nie mogę spierać się i z nim, i z tobą. - Uśmiechnął się kwaśno.

- Drew!

Zaskoczyła ją szybka kapitulacja męża po tak słabej argumentacji. Przyciągnęła go do siebie i wargami dotknęła jego ust. Pocałunek trwał długo i był prawie tak samo namiętny jak przed godziną w sypialni.

- Kocham cię - szepnęła.

- A wiesz co?

- Co takiego?

- Przegapiłaś wschód słońca.

Odwróciła głowę i ujrzała złotą tarczę wiszącą tuż nad horyzontem. Narodził się nowy dzień, nowa miłość, nowe porozumienie. Podobnie kończyły się ich noce, w czasie miodowego miesiąca. Razem oglądali wschody słońca - symbol początku ich wspólnego życia. Mocniej przytuliła się do męża i patrzyła na promienną kulę wolno wspinającą się po nieboskłonie.

Promienie słońca odbijały się od gładkiej powierzchni wody w basenie wyłożonym błękitnymi kafelkami o barwie nieba. Luz ustawiła oparcie leżaka pod odpowiednim kątem i ułożyła się wygodniej. Kapelusz z szerokim rondem osłaniał jej włosy i twarz, natomiast pasiasty, wielobarwny kostium kąpielowy w niewielkim tylko stopniu zakrywał jej błyszczące od olejku ciało. Mary siedziała na drugim leżaku ustawionym na tyle blisko, by mogły swobodnie rozmawiać, zażywając równocześnie słonecznej kąpieli.

- Nie wyobrażasz sobie, jaka furia ogarnęła mnie tej nocy - mówiła Luz nie odwracając głowy. - Nienawidziłam Claudii tak bardzo, że byłabym w stanie wydrapać jej oczy.

- Wierzę ci.

- Na szczęście okazało się, że nie miałam najmniejszego powodu. Później wyjątkowo głupio się czułam. Zawsze powinnam mieć zaufanie do Drewa, ale tym razem cieszę się, że ogarnęły mnie wątpliwości.

- Opowiadasz dziwne rzeczy - stwierdziła Mary.

- Niezupełnie. Gdybym nie zdradziła się z moimi paskudnymi podejrzeniami, nie doszłoby do tego, co zdarzyło się później. Ostatnie dwa tygodnie przypominają nasz miodowy miesiąc. - Uśmiechnęła się. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że po raz drugi zakochałam się w swoim mężu. Wiesz, po dwudziestu latach małżeństwa nasze uczucia nieco przygasły. To, że jesteśmy razem, wydawało się nam czymś naturalnym. Zwracaliśmy uwagę głównie na swoje niedoskonałości i drobne irytujące wady.

- Wiem, co masz na myśli. Do szału doprowadza mnie, jak Ross oblizuje się przy jedzeniu, a Bóg mi, świadkiem, że on je dość często.

- Zauważyłam to.

- A co z Claudią? Nadal jeszcze kręci się koło Drewa?

- Oczywiście. Drew często opowiada o niej, ale przestało mnie to już denerwować. - Luz wzruszyła ramionami. Stwierdziła przy tym, że przylepiła się do plastikowego leżaka. - Zaczynam się pocić. Może powinniśmy przenieść się do cienia?

- Jeszcze nie - zdecydowała Mary, a po chwili dodała: - Cieszę się, że Drew poświęca ci więcej czasu. Ostatnio widywałeś go raczej rzadko.

- Teraz też nie przebywamy razem zbyt często. Nadal ma mnóstwo pracy w biurze.

- I ty to nazywasz miodowym miesiącem?

- Nie powinnaś tego rozumieć zbyt dosłownie. Miałam na myśli uczucia, nastrój.

- Skoro tak mówisz...

Słona bryza od oceanu chłodziła jej rozgrzaną skórę. Luz czuła się jak tłuste kocisko wygrzewające się w zimowym słońcu. Wokół panował spokój. Ciszę zakłócał jedynie szelest palmowych liści kołysanych przez wiatr i stłumiony odgłos morskich fal uderzających o brzeg. Otworzyła oczy i ogarnęła wzrokiem przepiękne otoczenie zimowej posiadłości Kincaidów, domu jej rodziców - zielone trawniki, wysokie palmy, kwitnące krzewy, wszystko widziane w lekko brązowym odcieniu wywołanym przez przyćmione szkła okularów słonecznych. Tego miejsca nigdy nie uważała za swoje, zapewne dlatego, że nie wychowała się tutaj. Dla niej domem była posiadłość w Wirginii.

Od strony szklami pojawiła się postać ubrana w luźne spodnie i lekkie kolorowe wdzianko. Kapelusz z szerokim opadającym rondem całkowicie osłaniał jej twarz, lecz Luz bez trudu rozpoznała swoją matkę.

Niosła płytki kosz wypełniony kwiatami.

- Idzie Audra - oznajmiła.

- Masz rację - potwierdziła oschle Mary.

Kiedy Audra znalazła się na wyłożonej piaskowcem płycie otaczającej basen, spojrzała w ich kierunku.

- Panienki, schowajcie się do cienia, bo zniszczycie sobie cerę. Trochę słońca da wam zdrowy wygląd, ale jego nadmiar spowoduje, że wasza skóra stanie się taka jak na starym siodle - zauważyła i nie zatrzymując się zmierzała w stronę osłoniętych parasolami stolików stojących na tarasie przed niskim prostym domem.

Luz i Mary w milczeniu wymieniły spojrzenia i wstały z leżaków.

- Ciekawe, czy będę mogła kiedyś posiedzieć nad basenem, żeby nie usłyszeć tej reprimendy - mruknęła Mary i zrzuciła z siebie długie plażowe wdzianko. - Och! Rzeczywiście zrobiło się zbyt gorąco.

Podeszły do Audry, której towarzyszyła już pokojówka. Luz podejrzewała nieraz, że ktoś dyżuruje cały czas przy oknie, by w porę zauważyć nadchodzącą chlebodawczynię. Zaskoczyło ją, kiedy dowiedziała się o telefonicznym ostrzeganiu. W tym przypadku prawdopodobnie ktoś ze szklarni zadzwonił do domu z informacją, że pani Kincaid wraca.

Audra wręczyła służącej kosz z kwiatami.

- Włóż je zaraz do wody i podaj nam herbatę - Poleciała.

- Tak, proszę pani - odpowiedziała pokojówka i weszła do wnętrza przez rozsuwane drzwi w przeszklonej ścianie domu.

Po paru minutach wróciła, niosąc na tacy dzbanek z herbatą i wysokie szklanki z lodem. Po ich napełnieniu zaczęła się swobodna rozmowa o sprawach rodzinnych. Audra nalegała na te cotygodniowe wizyty, chociaż uczestniczyło w nich niewiele osób, bo rodzina rozproszyła się po całym kraju, a dzieci prawie cały czas spędzały w szkolnych internatach.

- Wspomniałam Michaelowi o tym, że pozwoliliście przerwać Robowi naukę - powiedziała Audra. - Przyznał wam rację. Rob jest bardzo poważnym chłopcem. Michael uważa, że w ciągu tego roku nauczy się, być może, odpoczywać i bawić się.

- Już zauważyłam u Roba wyraźną zmianę, kiedy powiedziałam mu, że ojciec wyraził zgodę na jego propozycję. Urządził nawet małe przyjęcie, żeby to uczcić. Myślę, że nie było ono całkiem małe. - Luz roześmiała się. - W poniedziałek zadzwonił i oznajmił mi, że jest kompletnie bez pieniędzy. Musiałam przekazać pewną sumę na jego konto.

- Wiem, że teraz zajmuje go wyłącznie gra w polo, ale mam nadzieję, że zechce trochę popodróżować.

- Wydaje mi się, że wreszcie znalazłam wyjście, dzięki któremu te oba cele zostaną zrealizowane. Pamiętasz, że obiecałam zabrać Trishę do Paryża w nagrodę za ukończenie szkoły. Pojechalibyśmy w czerwcu, a jest to w Anglii szczyt sezonu polo. Spróbuję się skontaktować z moimi brytyjskimi przyjaciółmi i ulokuję Roba w którejś z ich drużyn. Najpierw polecimy w trójkę do Londynu, a potem ja z Trishą do Paryża. Powinni być tym zachwyceni - stwierdziła Luz, zadowolona ze swego projektu.

- To bardzo dobry pomysł. Podziwiam cię, że tak dobrze to obmyśliłaś - zauważyła Audra. - Skoro już mowa o planach, to postanowiłam zlikwidować dom w Wirginii. Rozmawiałam już z Frankiem o możliwości sprzedania farmy Hopeworth.

- Och, nie! - jęknęła Luz.

- Wiem. Wszyscy darzymy to miejsce sentymentem, ale myślę, że to nie w porządku zostawiać taki duży dom w opuszczeniu. - Audra nigdy nie pozwalała, by cokolwiek się marnowało. - Co innego luksus, a co innego marnotrawstwo. Jednakże Frank uświadomił mi, że posiadanie farmy hodowlanej pozwala nam zmniejszyć podatki, i doradził, żeby ją zatrzymać.

- Kochany Frank! - szepnęła Mary, a Luz zgodziła się z nią w milczeniu.

- Trzeba jednak zlikwidować i zamknąć dom. Mam nadzieję, że jedna z was, albo nawet obydwie, wybierze się do Wirginii, żeby doglądać pakowania rzeczy. Są tam obrazy, które trzeba oddać na przechowanie. Na strychu jest dużo kufrów wypełnionych przedmiotami, pamiętającymi wasze dzieciństwo. Mogłybyście je przejrzeć i zdecydować, co z nimi zrobić. Trzeba będzie porozmawiać z Michaeliem i Frankiem, żeby zorientować się, co z tych rzeczy może ich interesować. - Zgodę córek na wyjazd Audra najwyraźniej uznała za bezdyskusyjną.

- To może być nawet zabawne - powiedziała Luz zerkając na siostrę.

Mary skinęła głową, ale wyglądało na to, że jeszcze się waha.

- Jest to naprawdę poważne zadanie. Żeby wszystko porządnie zrobić, potrzeba nam będzie paru tygodni. Nie wiem, czy obowiązki domowe pozwolą mi wyjechać na tak długo. Jak sądzisz, czy Drew wytrzyma dwa tygodnie bez ciebie? - zażartowała.

- Około połowy lutego wybiera się do Nowego Jorku. Miałam zamiar pojechać z nim, chociaż w czasie służbowych wyjazdów rzadko udaje nam się wspólnie spędzać czas. Zastanawiam się, czy zamiast tego nie wybrać się raczej do Wirginii. Porozmawiam z Drewem i dowiem się, co on o tym sądzi. Odpowiem wam w przyszłym tygodniu, a ty, Mary, zorientuj się w międzyczasie czy będziesz mogła pojechać.

Jeszcze dwa tygodnie temu nie przyszłoby jej do głowy pytać męża o zdanie, ale teraz tyle zmieniło się między nimi.

Okazało się, że znalezienie stosownego momentu, by porozmawiać z mężem, wcale nie jest takie łatwe. W ostatnich dniach oboje byli bardzo zajęci - Drew sprawami służbowymi i spotkaniami w klubie, a ona organizowaniem akcji na cele dobroczynne. Widywali się przelotnie. Żartowali wtedy, że przemykają obok siebie jak samochody na autostradzie.

Kiedy we wtorek o siódmej wieczorem Luz wróciła od kosmetyczki, zauważyła, że w garażu nie ma brązowego Mercedesa Drewa. Zaniepokojona weszła szybko do domu i udała się prosto do saloniku. Zastała tam Emmę siedzącą przy biurku w alkowie.

- Były jakieś wiadomości od męża? - Zatrzymała się pośrodku pokoju i położyła torebkę na okrągłym stoliku do śniadań.

Emma odwróciła się i zdjęła okulary.

- Dzwonił pół godziny temu i prosił, żeby nie czekać na niego z obiadem, bo wróci bardzo późno.

- Ale co z dzisiejszym koncertem? Mamy przecież bilety. - Luz rozpięła żakiet i zdjęła go. - Czy mówił, że spotkamy się w filharmonii?

- Nie. Prosił, żeby pani poszła sama, gdyż on nie może.

Luz oparła się o stół i w zamyśleniu dotykała falbanek przy dekolcie jedwabnej bluzki. Była rozczarowana.

- Nie mam ochoty iść bez niego - powiedziała ze zniechęceniem w głosie. - Może chciałabyś wykorzystać te bilety? Ja dla odmiany spędzę spokojnie wieczór w domu.

- Bardzo dziękuję. Pójdę z przyjemnością.

Luz zabrała żakiet i torebkę, po czym ruszyła na gór?

Nie miała problemu z wypełnieniem wolnego czasu. Napisać listy do dzieci. Roba zapewniła, że regularnie ćwiczy jego konie, a Trishy zaproponowała wspólne spędzenie weekendu w Wirginii. Cały czas jednak nasłuchiwała, czy nie nadjeżdża samochód Drewa.

W miarę upływu czasu niepokoiła się coraz bardziej. O dziesiątej zadzwoniła do jego biura pod bezpośredni numer. Nikt nie odpowiadał. Doszła do wniosku, że widocznie Drew jest w drodze do domu, zaparzyła więc kawę. Po godzinie wiedziała już, że jej przypuszczenia były nietrafne. Na przemian to martwiła się, to irytowała. Po dwunastej usłyszała wreszcie samochód na podjeździe. Zeszła na dół i z rękami splecionymi na piersiach czekała na męża przy tylnym wejściu.

- Jak się masz? - Stał w drzwiach zaskoczony, pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. - Przypuszczałem, że już śpisz. Jak udał się koncert?

- Nie poszłam na koncert. Co się z tobą działo? Telefonowałam do biura, ale nie było tam nikogo.

Objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku salonu.

- Zabrałem Claudię na kolację. Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić po tym, jak przetrzymałem ją w pracy. Zadzwoniłbym, żeby ci o tym powiedzieć, ale sądziłem, że jesteś na koncercie. Wybacz, jeśli sprawiłem ci przykrość.

- Istotnie, sprawiłeś. - Teraz, kiedy niepokój ustąpił, wróciła irytacja. - Jakoś długo trwała ta kolacja.

- Ależ nie. Chociaż może masz rację. Zagadaliśmy się tak, że straciłem poczucie czasu - przyznał.

- Rozumiem cię.

- Nie, myślę, że niezupełnie rozumiesz - powiedział, a potem na chwilę zamilkł. Położył teczkę na oparciu krzesła. - Nie wiem, czy potrafię ci wyjaśnić, jak bardzo lubię rozmawiać z Claudią. Mogę z nią dyskutować o sprawach, które dla ciebie są obce. Claudia jest prawniczką, potrafi więc porozumieć się ze mną na tej samej płaszczyźnie. Jest to niesłychanie inspirujące. Nic wiem, czy orientujesz się, co mam na myśli.

- Tak.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się dotknięta. - Sprawił wrażenie lekko zniecierpliwionego. - To są problemy zawodowe.

- Rozumiem.

Praca! To była istotna część jego życia, której nie mogła z nim dzielić. Dyskusje na tematy prawnicze nudziły ją. Była tego świadoma. Skoro nie mógł rozmawiać z nią o tych sprawach, powstawała pomiędzy nimi pustka. Teraz to miejsce wypełniła inna kobieta, Kłamstwem byłoby stwierdzenie, że nie jest to dla niej przykre, i że nie poczuwa się w pewnym stopniu do winy.

- Przepraszam cię za to niepotrzebne zmartwienie, przeze mnie do tej pory nie położyłaś się spać. - Wziął znów teczkę do ręki.

- Przygotowałam kawę.

- Nie, dziękuję. Idę zaraz do łóżka. Umówiony jestem z Johanem Randolphem. Wybieramy się na golf jutro wcześniej rano, póki jeszcze pole nie jest zatłoczone.

- Chciałabym porozmawiać z tobą w pewnej ważnej sprawie - powiedziała Luz.

- Czy nie można z tym poczekać? Jestem bardzo zmęczony.

Przed chwilą, kiedy opowiadał o Claudii, nie wyglądał wcale na zmęczonego. Przeciwnie, sprawiał wrażenie dziwnie ożywionego.

- W porządku.

Była mocno dotknięta, a jej złość skupiła się na Claudii Baines. Czowała do niej urazę za to, że daje mężowi to, czego ona dać mu nie potrafi, i żal do Drewa, że z taką gotowością przyjmuje te dary. Miała też pretensje do siebie, że nie jest w stanie stłumić takich niechętnych uczuć do nich obojga.

- Dziękuję ci, kochanie. Dobranoc. - Pocałował ją lekko w policzek.

Każdy miodowy miesiąc musi się kiedyś skończyć. Nawet ten drugi. Patrząc na Drewa przechodzącego przez hol, a potem wchodzącego na schody prowadzące na piętro, zastanawiała się, czy istotnie jest to już koniec tych pięknych dni.

Przez cały tydzień Luz nie miała okazji powiedzieć mężowi, że Audra zamierza wysłać ją do Wirginii. Jeśli nawet Drew pamiętał, że chciała z nim o czymś porozmawiać, to nie stworzył ku temu okazji. Któregoś dnia zadzwoniła Mary, aby uzgodnić termin wyjazdu. Luz zaproponowała ostatnie dwa tygodnie lutego.

Tego samego wieczoru Drew wstał nagle od kolacji, przeprosił i powiedział, że musi pilnie zatelefonować ze swego gabinetu.

Po jego wyjściu Luz nalała sobie drugą filiżankę kawy. Spojrzała na migocące świece, których płomienie odbijały się w lustrach. Romantyczna kolacja, pomyślała, ile nie dla jednej osoby. Zgasła świece i z filiżanką w ręku przeszła do salonu.

Spoza uchylonych drzwi gabinetu usłyszała śmiech Drewa. Podeszła bliżej. Pomyślała, że tam wypije kawę i może wreszcie, kiedy mąż skończy rozmowę telefoniczną, będzie mogła poinformować go o swym wyjeździe do Wirginii.

Na jej widok zmieszal się wyraźnie.

- Zaczekaj chwilę - powiedział do telefonu, po czym wrócił się do Luz. - Chciałaś coś ode mnie?

- Nie - potrząsnęła przecząco głową.

- To sprawy służbowe - wyjaśnił, zasłaniając dłonią słuchawkę i nie powracając do przerwanej rozmowy.

Po chwili Luz zorientowała się, że Drew czeka, aż ona opuści pokój. Widocznie nie życzył sobie, by słuchała jego słów. Poczwała się dziwnie zakłopotana. Jak dziecko, któremu dorośli dają do zrozumienia, że nie chcą, by uczestniczyło w ich rozmowie. Opanowała się i wyszła z gabinetu. Nie miała ochoty przebywać tam, gdzie jej obecność jest niemile widziana, lecz kiedy znalazła się znów w salonie, ogarnęła ją irytacja. Pomyślała, że nie powinna była tak łatwo pozwolić się zmusić do opuszczenia pokoju. Postanowiła tam wrócić, ale wtedy usłyszała głos Drewa.

- Przepraszam cię, Claudio. Co mówiłaś?

Cofnęła się gwałtownie od drzwi, przeszła przez salon w stronę barku i wlała do kawy sporą ilość whisky. Claudia! Coraz bardziej nienawidziła tego imienia. Stało się dla niej oczywiste, że ona chce usidlić Drewa. Nieraz słyszała opowieści o tym, jak kobiety w ten właśnie sposób robią kariery. Claudia

pragnie wykorzystać jej męża, który na pewno nie zdaje sobie z tego sprawy, chociaż być może wcale mu to nie przeszkadza. Czowała coraz mocniejszy ucisk w okolicach serca. Whisky nie pomagała.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim Drew wyszedł z gabinetu, ale resztką kawy w jej filiżance była całkiem chłodna.

- Myślę, że też powinienem przygotować sobie jakiegoś drinka - powiedział podchodząc do barku. - Co ty pijesz?

- Kawę - skłamała.

- Wolę raczej coś mocniejszego. - Wziął w rękę szklanę, wrzucił do niej parę kostek lodu. - Czy jest coś ciekawego w telewizji?

- Nie wiem.

- Trzeba będzie sprawdzić. - Nalał do szklanki trochę whisky i wody sodowej. - Idziesz?

- Nie - powiedziała krótko, ale kiedy zaczął się oddalać ze szklanką w ręku, zawołała - Drew! Wybieram się z Mary do Wirginii. Audra chce, żebyśmy dopilnowały likwidacji domu. To potrwa dwa tygodnie.

- Kiedy? - zapytał bez większego zainteresowania.

- W połowie lutego. Wyjedziemy czternastego.

- Tak? Tego samego dnia lecę do Nowego Jorku. Musiałem zmienić plany i przesunąć wyjazd o kilka dni. O której godzinie masz samolot?

- Jeszcze nie wiem. Rezerwację załatwia Mary.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli razem pojechać na lotnisko. Nie trzeba by wówczas zostawiać na parkingu dwóch samochodów.

- Tak.

Luz nie zastanawiała się wcześniej nad tym, jak mąż zareaguje na wiadomość o jej wyjeździe, ale na pewno nie spodziewała się tak zupełnego braku zainteresowania z jego strony.

Port lotniczy zatłoczony był ciepło ubranymi podróżnymi z północy, spragnionymi tropikalnego klimatu Palm Beach. W pewnym momencie w kłębiącym się tłumie Luz zauważyła siostrę podążającą w towarzystwie obładowanego bagażowego w stronę kas biletowych, gdzie właśnie na nią czekała.

- Oddałam już swoje walizki - powiedziała, kiedy Mary do niej dotarła.

- To świetnie.

Gdy bagażowy ułożył jej rzeczy na wadze. Mary Leczyła mu zapłatę. Czekaając na zważenie i wydanie pokwitowania, zwróciła się do siostry:

- Gdzie jest Drew? Odleciał już?

- Nie, poszedł po gazety.

Po odprawieniu bagażu odeszły od obleganego przez pasażerów kontuaru.

- Poczekamy na niego tutaj, czy pójdziemy do wyjścia?

- O, właśnie idzie!

Drew zbliżał się szybkim krokiem. Przez ramię przerzucony miał zimowy płaszcz, w ręku trzymał teczkę, plik gazet i plastikową torbę.

- Drew, co to takiego? - zapytała Mary, przyglądając się czerwonej paczusce w kształcie serca wystającej z reklamówki.

- To czekoladki dla Claudii. Z okazji Walentynek - odpowiedział swobodnie, nie zauważając nagiej zmiany w wyrazie twarzy żony. - Uwielbia je. Kupiłbym też dla ciebie. Luz, ale wiem, że nie lubisz słodczy.

- To prawda, liczą się jednak dobre chęci - odpowiedziała swobodnie, choć dręczyły ją pytania. Dlaczego kupił Claudii upominek, skoro zaraz wyjeżdża do Nowego Jorku? Dlaczego w ogóle ofiarowuje jej prezent, zwłaszcza z okazji Walentynek?

- Claudia zaraz tutaj będzie. - Szukał jej wzrokiem wśród tłumu podróżnych. - O tam! Już idzie.

Luz spojrzała we wskazanym kierunku i ujrzała piękną brunetkę ubraną w rzucający się w oczy żakiet w kolorze ciemnego wina. Z ramienia zwisał jej długi szal dopasowany kolorem do wełnianej spódnicy. W rękę trzymała niewielką czarną torebkę. Kiedy zobaczyła Drewa, uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku.

- Nadałam już bagaż, jestem gotowa do podróży - powiedziała, zanim dostrzegła towarzyszące mu kobiety. - Dzień dobry, pani Thomas. Wygląda pani jak zwykle zachwycająco. Dzień dobry, pani Carpenter.

Luz w brązowej garsonce i beżowym kapeluszu z oklapniętym rondem poczuła się jak uboga krewna. Żałowała teraz, że nie założyła czegoś bardziej kolorowego, chociaż zwykle uważała, że w podróży należy ubierać się niezbyt wyszukanie.

- Claudia pierwszy raz jedzie do Nowego Jorku więc oczywiście jest ogromnie podekscytowana - zauważył Drew, a Luz doznała kolejnego wstrząsu. Nic jej nie powiedział, że Claudia mu towarzyszy. Czyżby uznał za sprawę bez znaczenia?

- To naturalne - przerwała milczenie Mary.

Luz nie mogła wydobyć z siebie słowa, a przy tym bała się, że może powiedzieć coś niestosownego.

- Proszę sobie wyobrazić, że wiele lat mieszkałam w Connecticut, a nigdy nie byłam w Nowym Jorku - oznajmiła Claudia. - Teraz też wątpię, czy zdążę zobaczyć wszystkie atrakcje tego miasta.

- Pochodzi pani z Connecticut? - zdziwiła się Mary.

- Drew nie mówił wam o tym? Urodziliśmy się w tym samym mieście. Mamy nawet wspólnych znajomych.

- Oczywiście z różnych epok - wtrącił na wpół żartobliwie. - Wyjechałem stamtąd jeszcze przed jej urodzeniem.

- Istotnie - powiedziała Mary, znów wypełniając niezręczną ciszę.

- Nasz samolot odlatuje za kilkanaście minut - przypomniał Drew. - Chyba musimy już iść do wyjścia.

- To prawda. Było mi bardzo miło znów panie spotkać - Claudia wyciągnęła rękę.

- Mnie również - Luz z trudem zdobyła się na to, by spokojnie uścisnąć jej dłoń.

- Baw się dobrze - powiedział Drew i pocałował żonę w policzek. Nie mogła się zdobyć na to, by życzyć mu tego samego.

- Przyjemnej podróży - odpowiedziała oschle.

Z ciężkim sercem patrzyła na męża oddalającego się w towarzystwie Claudii.

- Nie wiedziałas o tym, że ona jedzie z nim do Nowego Jorku? - Mary badawczo spojrzała na siostrę.

- Nie wiedziałam - powiedziała głosem wolnym od jakichkolwiek emocji.

- Miodowy miesiąc chyba się skończył.

- Do tego potrzebne są dwie osoby, a ja prawdopodobnie byłam sama... i nadal chyba jestem. - Łzy załśniły w jej oczach, ale szybko się opanowała.

- Luz...

Ton współczucia w głosie siostry był dla niej nie do zniesienia. Otrząsnęła się z chwilowego załamania.

- Jedno jest pocieszające w całej tej sprawie. Co prawda nie powiedział mi o jej wyjeździe, ale też i nie ukrywał tego przede mną. W końcu spotkał się tu z nią w naszej obecności, oboje otwarcie mówili o wspólnej podróży. Gdyby mieli coś do ukrycia, to zachowywaliby się inaczej.

- A te czekoladki?

- Przestań, Mary - powiedziała ze złością. - Dość mam twoich cholernych pytań.

Po dłuższym milczeniu Luz zwróciła się do siostry:

- Chodźmy do wyjścia. Chyba zapomniałam ci powiedzieć, że na lotnisku będzie na nas czekał Stan Marshall.

- Istotnie, nic mi nie mówiłaś.

Ruszyły długim zatłoczonym korytarzem prowadzącym do holu dla odlatujących pasażerów.

Stan Marshall był zarządcą farmy Hopeworth. Z rodziną Kincaidów związał się ponad dwadzieścia lat temu. Miał zgrabną figurę dżokeja - za młodu uprawiał ten zawód - kręcone włosy i twarz wyrażającą cierpliwość świętego.

Czekał na nie przy wyjściu, trzymając w ręku wygnieciony kapelusz. Luz mogła przysiąc, że ubrany jest w tę samą tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, którą nosił przez ostatnie dziesięć lat.

Po krótkim przywitaniu z Mary zwrócił się do Luz:

- Poczuję się jak za dawnych czasów. Ciągle wydaje mi się, że zaraz zobaczę Jake'a idącego w naszą stronę. Pamięta pani, o tej porze roku zawsze oboje przyjeżdżaliście na farmę.

- O tak. Spędziliśmy tu wiele pięknych dni.

Luz kochała ojca, lubiła go, ale nigdy nie darzyła zbyt dużym szacunkiem. Ostatnio jednak ciągle za nim tęskniła.

- Wiem, że tym razem przyjechałyście w całkiem innym, nie tak przyjemnym celu. Wolałbym nie oglądać tego starego, wielkiego domu zamkniętego. Ktoś powinien w nim zamieszkać.

- Może kiedyś - powiedziała Luz bez przekonania.

- Chodźmy lepiej odebrać bagaże, zanim ktoś nam je ukradnie. Samochód zaparkowałem tuż przed głównym wejściem. Chłodno się dzisiaj zrobiło. - Stan Marshall był człowiekiem gadatliwym. Lubił mówić do ludzi, koni, do każdej istoty, która chciała go słuchać. - Kazałem podłączyć telefon do domu i zatrudniłem kilka kobiet do sprzątnięcia. Spiżarnia jest pełna. Jeśli jeszcze coś będzie wam potrzebne, proszę dać mi znać.

Błede szare niebo potęgowało smutek zimowego krajobrazu Wirginii. Bezlistne drzewa stały ponuro wzdłuż drogi, a ich gałęzie tworzyły koronkowe wzory na tle niskich chmur. Pomalowane na biało płoty wydawały się być całkiem nie na miejscu w tym zimowym pejzażu, a stojące za nimi konie sprawiały wrażenie znudzonych. Dopiero za dwa miesiące zamieniają się w dziarskie rumaki.

Mimo to obraz ten wywołał w Luz ciepłe uczucie tęsknoty za beztróskim dzieciństwem. Przyglądała się klaczom pasącym się na ogrodzonej łące. W dali widziała rozproszone stado czerwonego bydła z hodowli w pobliżu Hopeworth. Konie trenowane przez Jake'a miały dzięki temu sąsiedztwu okazję oswoić się z innymi zwierzętami, zresztą, zanim przeszły do bardziej intensywnych form treningu, wykorzystywane były do prac w gospodarstwie.

Kiedy samochód znalazł się na drodze prowadzącej do posiadłości Hopeworth, po prawej stronie Luz zobaczyła dachy stajni. W ich sąsiedztwie znajdowały się: półmilowy tor treningowy, pole z przeszkodami, maneż i dom zarządzającego stajnią. Główna rezydencja położona była nieco po lewej stronie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Luz, wskazując ponad ramieniem Stana wielki budynek z frontem w stylu greckim.

Prawie wszystkie okna, poza kilkoma na parterze, zasłonięte były okiennicami dla ochrony przed słońcem i zimowym chłodem. Dom sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie.

Stan zatrzymał samochód na podjeździe na wprost wejścia.

- Drzwi są otwarte - powiedział. - Zaraz wniosę bagaże.

Po wejściu do holu Mary i Luz rozejrzały się wokół. Prawie całą dębową podłogę pokrywał wschodni dywan w kolorze beżu i morskiej zieleni. Pomieszczenie to miało prawie pięć metrów wysokości. Sufit ozdabiały sztukaterie, a ze środka zwisał kryształowy żyrandol.

Z holu prowadziły na górę schody z bogato rzeźbioną balustradą, na tyle szerokie, by swobodnie mogła nimi zejść południowa piękność w balowej sukni.

- Coś się tu zmieniło, prawda? - Mary jeszcze raz rozejrzała się wokół. - Może to dlatego, że nikt na nas nie czeka?

- Tylko ta rezydencja.

Dom był całkowicie urządzony. Brakowało jedynie kwiatów w wazonach, które by mu nadały pozory życia. Wyglądał jak osierocone dziecko ubrane w najlepsze stroje, czekające na kogoś, kto je pokocha.

Mary podeszła do drzwi gabinetu i otworzyła je. Pokój umeblowany był antykami; na drewnianych postumentach stały tu wschodnie wazy i porcelanowe figurki.

- Spójrz na to wszystko - powiedziała. - Będziemy miały mnóstwo pracy. Przed zapakowaniem powinniśmy sporządzić spis tych skarbów.

- Czy pamiętasz, ile tu jest pokoi? - Luz nie mogła sobie przypomnieć, ale wiedziała, że wszystkie, podobnie jak ten, są gotowe do zamieszkania.

- Piętnaście. A może szesnaście? Nie licząc łazienek. - Mary spojrzała na siostrę. - No i jeszcze strych.

- Dwa tygodnie? - Luz pokręciła głową z powątpiewaniem.

W drzwiach wejściowych pojawił się Stan Marshall obładowany walizkami.

- Gdzie je postawić? - zapytał. Dyszał ciężko, usiłując to ukryć.

- Może zajmiemy nasz dawny pokój? Co ty na to, Luz? - W oczach Mary pojawiło się rozbawienie.

- Świetnie.

- Na górze ostatni pokój po lewej stronie - Mary skierowała Stana do sypialni, którą zajmowała kiedyś z siostrą.

- Ostatni pokój - powtórzył Stan. Mocniej złapał ciężkie bagaże i zaczął wspinać się po schodach.

- Chodź, rozejrzemy się po domu. - Luz nie czekając na Mary ruszyła w kierunku jadalni.

Przeгляд pokoi stał się okazją do wspomnień i dyskusji o tym, od czego powinny zacząć pracę. Po dłuższym czasie wróciły do holu. Zjawił się też Stan.

- Bagaże zanieśli na górę, a w gabinecie kazałem rozpalić w kominku. Jeśli zechce pani jeździć konno - zwrócił się do Luz - proszę zatelefonować do stajni, to każę osiodłać Sekwoję. Dla pani, Mary, też mam dobre konie. Zapraszam na przejażdżkę. Pani Osgood z córką przyjdą rano, żeby wam pomóc. Jeśli do cięższych prac potrzebny będzie jakiś mężczyzna, to cały personel stajni jest do waszej dyspozycji.

- Pomyślałeś o wszystkim, Stan - pochwaliła go Luz.

- Mam nadzieję. Jeszcze raz witam panie w domu. - Ukłonił się i wyszedł przez frontowe drzwi.

Późnym wieczorem Luz, popijając stare brandy z piwniczki Jake'a Kincaida, siedziała skulona w ogromnym skórzanym fotelu przed kominkiem. Zamiast podróżnej garsonki miała na sobie wełniany sweter i luźne spodnie. Mary, podobnie ubrana, przysiadła na podłodze i oparta o kanapę wpatrywała się w żółte płomienie.

- To mój ulubiony pokój - powiedziała Luz, wodząc wzrokiem po pokrytych boazerią ścianach, na których wisiały obrazy Browna, Shafflesa i Golinkina, przedstawiające najciekawsze momenty gry w polo.

Na półkach między książkami stały srebrne puchary - trofea z licznych turniejów ojca. Tu i ówdzie wisiały oprawione w złote ramki fotografie ludzi i koni.

- A ja bardziej lubiłam pokój muzyczny - stwierdziła Mary.

- O nie! - Luz potrząsnęła przecząco głową. - Ile razy pomyślę o nim, przypominam sobie wyraz twarzy Audry, kiedy spytałam ją, co znaczy słowo schadzka i kim jest Sylwia Shelper. Miałam wtedy jedenaście lat.

- Ciekawe, co ci odpowiedziała? - zapytała Mary.

- Oznajmiła, że Sylwia jest przyjaciółką ojca i on się z nią spotyka. To właśnie oznacza słowo schadzka

- Luz przerwała i wypila łyk brandy. - Potem zabroniła mi kiedykolwiek o tym wspominać.

- Nasz ojciec był kobieciarzem.

- Ciekawe, czy kiedyś dowiemy się, dlaczego ona to wszystko tolerowała. - Luz wpatrywała się w tańczące płomienie.

- Kto wie? - Mary ułożyła się wygodnie w pólleżącej

- Zostawmy sobie ten pokój na koniec - poprosiła Luz.

- Nie ma to dla mnie znaczenia.

6

W sobotę przyjechała na weekend Trisha. Dzień był pogodny, ale chłodny, świeciło słońce, powietrze było rześkie. Zmęczona całotygodniową pracą przy segregowaniu i pakowaniu rzeczy Luz potraktowała wizytę córki jako pretekst do odbycia konnej przejażdżki. Razem z Trisha próbowała namówić Mary do wybrania się z nimi, ale ta stanowczo odmówiła.

- Odpowiadałoby mi jedynie łagodne kłusowanie po równej łące, a ty, na ile cię znam, zechcesz galopować po bezdrożach, przeskakiwać przez płoty i rowy. Dziękuję,

- Jestem na diecie - mruknęła Trisha, ale wyraz jej oczu wskazywał, że aprobeuje wybór ciotki.

Kiedy dotarły do stajni, czekał tam na nie Stan Marshall z dwoma osiodłanymi wierzchowcami. Luz lekko wskoczyła na swą ulubioną kasztanowozłotą klacz o imieniu Sekwoja i czekała, aż Trisha dosiądzie smukłego, łaciatego, brązowo-białego mieszańca.

- Wyglądacie jak dwie siostry, a nie jak matka z córką - stwierdził Stan.

- Co za wspaniały komplement - roześmiała się Trisha. - To znaczy, że żadna z nas nie wygląda na swój wiek. Ty sprawiasz wrażenie młodszej, niż jesteś, a ja starszej.

Luz wiedziała, że kiedy dziewczyna ma siedemnaście lat, niecierpliwie czeka na dwadzieścia, ale kiedy osiągnie ten wiek odkrywa, że nic niezwykłego nie nastąpiło. Człowiek nie czuje się dwudziesto- , trzydziesto- , czy czterdziestolatkiem. Wiek rzeczywisty nie zawsze jest zgodny z tym, na ile lat ktoś sam siebie ocenia. Wszystko to zależy głównie od tego, jaki ktoś jest, jak ukształtowany został jego charakter.

- Takie pochlebstwa mogą mi przewrócić w głowie - powiedziała Luz wesoło. - Trisha, jesteś gotowa?

- W każdej chwili. - skinęła głową,

- Bawcie się dobrze. - Stan uniósł rękę.

- Postaramy się wrócić całe - obiecała Luz, ściągnęła wodze i ruszyła w kierunku pastwiska za stajniami.

Świeże i wypoczęte konie cwałowały dziarsko bez większej zachęty z ich strony. Luz pełną piersią wdychała orzeźwiające powietrze. Od chłodu chronił ją zrobiony Galopowały łeb w łeb przez pastwisko, pomiędzy na drutach gruby wełniany sweter. Na wybiegu ogrodzonym wysokim płotem żwawo galopowały żrebaki, parskając i wierzgając. Starsze konie na sąsiedniej łące reagowały spokojniej - uniosły tylko łby.

Luz zwolniła do klusa, aby lepiej przyjrzeć się stadu.

- Mówił mi Stan, że w tej grupie koni są dwa czterolatki, które jego zdaniem nadają się do rozpoczęcia treningu. Jeden to deresz z gwiazdką na czole, a drugi gniady z białymi skarpetkami - wyjaśniła Trishy, próbując odszukać je w stadzie. - Rob powinien wymienić swoje kuce na młodsze. Oczywiście, wytrenowanie zajmie mu rok czy dwa, ale myślę, że sprawa warta jest zachodu.

- Jemu brakuje cierpliwości do zajmowania się nie wyćwiczonymi końmi. Chciałby wszystko mieć gotowe i w tym tkwi problem - powiedziała Trisha. Było to raczej stwierdzenie faktu niż krytyka.

- Mogę się zająć wstępnym treningiem i oddać Robowi konie przygotowane już do przyuczania ich do gry. - Luz szybko znalazła rozwiązanie.

- Jesteś pewna, że masz wystarczająco dużo cierpliwości?

- Chyba tak. Przecież wychowałam was dwoje.

- Ale obawiam się, że ostatnio nie nadążasz już za nami - rzuciła wyzywająco Trisha i zmusiła swego konia do galopu.

Popędziła w stronę niskiego płotu oddzielającego pastwisko dla bydła. Luz ruszyła za nią. Tuż przed przeszkodą ściągnęła wodze, przygotowując kasztankę do skoku. Potem nachyliła się nisko nad jej karkiem i lekko uniosła w strzemionach. Koń wysokim łukiem poszybował ponad płotem. W momencie kiedy dotknął kopytami ziemi, po drugiej stronie przeszkody, Luz odchyliła się do tyłu, by ułatwić mu odzyskanie równowagi.

Nieco wcześniej deresz Trishy wykonał równie udany skok.

Galopowały łeb w łeb przez pastwisko, pomiędzy zdumionymi krowami. Dudnienie kopyt i pęd powietrza wprawiały Luz w stan niezwyklej euforii, dawały jej poczucie wolności i swobody. Przy zalesionym skraju pastwiska Trisha pozwoliła się wyprzedzić. Konie zwolniły do szybkiego klusa, jeden za drugim jechały ścieżką pomiędzy drzewami. Luz potrafiła poruszać się konno po lesie. Umiejętnie omijała zwisające nagie gałęzie, zmuszała klacz do przeskakiwania przez zwalone pnie.

Dojechały do niskiego kamiennego muru przegradzającego ścieżkę. Za nim rozciągały się lekko pofalowane pola. Kasztanka łatwo wzięła przeszkodę i ruszyła równym galopem. Deresz Trishy dotrzymywał jej kroku. Twarz dziewczyny wyrażała podobny zapał jak twarz matki. Aby czuć się jak na polowaniu, brakowało im tylko ujadania psów pędzących tropem lisa i dźwięku myśliwskiego rogu sygnalizującego rozpoczęcie gonitwy.

Pod wierzchołkiem trawiastego wzgórza Luz wstrzymała konia - z galopu przeszła w klus, a potem w stępa. Trisha zrobiła to samo. Było to ulubione miejsce Luz. Tutaj, w czasie odbywających się w tych okolicach polowań, na pagórku leżącym mniej więcej w połowie trasy, wyznaczano zazwyczaj miejsce wypoczynku, poklepała klacz po karku i podziwiała pofalowany krajobraz Wirginii, urozmaicony tu i ówdzie bezlistnymi teraz drzewami i plamami zaoranych pól. Ciągłe ożywiona po szybkiej jeździe, lekko dyszała, czując pulsującą w skroniach krew.

- Jesienią widok stąd jest jeszcze piękniejszy - zwróciła się do córki. - Pola mają złocistą barwę, a liście na drzewach są jaskrawoczerwone i pomarańczowe. Wydaje się, że ziemia stoi w płomieniach.

- Wierzę ci, ale teraz to wszystko wygląda jak chrust zebrany na podpałkę - zauważyła zgryźliwie Trisha - Rzadko bywaliśmy tu jesienią. Kiedy przyjeżdżałaś tutaj, my oboje musieliśmy być już w szkole.

- Żałuję, że nie zabrałam was kiedyś ze sobą. Poznalibyście tradycje i doświadczyli emocji, jakie budzi polowanie. Zawsze wydawało mi się, że jest na to jeszcze dość czasu - powiedziała smutno. - Co roku myśliwi przybywali ze swymi psami do Hopeworth. W dniu polowania, o świcie, po wypiciu szklanki ponczu dla rozgrzewki, wszyscy ruszali na poszukiwanie lisa. Wyglądało to wspaniale. Panowie ubrani byli w tradycyjny strój: czarną myśliwską kurtkę, czarny toczek, białe bryczesy i krawat. Tylko główny łowczy i kierujący sforą mieli czerwone kurtki. Potem na łeb na szyję galopowaliśmy przez pola kukurydzy, przeskakując płoty i rowy... za lisem.

- Na początku wygląda to dość zabawnie, ale potem staje się nieco krwawe. Myślę, że raczej współczuwałbym lisowi.

To było w stylu Trishy - stać po stronie przegrywającego.

- W ostatnich latach lisów nie ma tutaj prawie wcale. Psom rzadko udaje się trafić na ślad któregoś z nich. Na ogół gonią za sztucznym tropem, który robi się w ten sposób, że po ziemi, przed myśliwymi, ciągnie się jakiś przedmiot nasączony zapachem tego zwierzęcia. Kiedy byłam w twoim wieku, zabawiano się już w ten sposób. Nie brałam udziału w obrzędzie smarowania krwią dopóki nie znalazłam się na polowaniu w Anglii.

Trisha skrzywiła się z niesmakiem.

- Rozmazywanie krwi lisa na twarzy myśliwego, biorącego pierwszy raz udział w polowaniu, to wyjątkowo niemą tradycja. Zgadzasz się ze mną?

- Jest to raczej makabryczne - potwierdziła Luz. - Pamiętam, że miałam potem kłopot ze zjedzeniem śniadania, a stoły przy takich okazjach są wyjątkowo suto zastawione. Przypomina to sceny z *Toma*

Jonesa.

Trisha spojrzała pytająco na matkę.

- Czy tobie naprawdę podobało się życie tutaj?

- Tak. - Luz zamyśliła się. - Nalegałam często, aby twój ojciec otworzył biuro w Waszyngtonie lub Richmond, bo wówczas moglibyśmy zamieszkać w Hopeworth. Miał już jednak wyrobioną pozycję na Florydzie, więc nie widział w tym najmniejszego sensu. Początkowo wspominał o możliwości rozszerzenia praktyki na te miasta, ale nigdy do tego nie doszło.

- Może zrobi to w przyszłości?

- Nie sądzę.

Wiedziała, że Drew nie podziela jej zachwyty dla tych stron, a zamiłowanie do koni ledwie toleruje. Oczywiście, umiejętnie skrywał tę niechęć przed Jake'em Kincaidem. Na decyzję Roba, żeby przez rok poświęcić się wyłącznie grze w polo, zgodził się chyba tylko po to, by sprawić mi przyjemność, pomyślała, albo przynajmniej uniknąć kłótni.

- Nie wykluczyłabym tego, zwłaszcza jeśli weźmie sobie nowego współnika.

- Nowego współnika? - W myślach Luz pojawił się natychmiast obraz Claudii Baines. Głuchy stukot kopyt konia zabrzmiał w jej głowie jak młot.

- Tak. - W czarnych oczach Trishy kryła się wyraźnie jakaś tajemnica. - Ja nim będę.

- Ty? - Oprócz zdumienia w głosie Luz zabrzmiała również ulgą.

- Oczywiście. Otrzymałam właśnie zawiadomienie, że zostałam przyjęta na Harvard - powiedziała z dumą.

- Nie. Przyjechała do mnie Trisha. Chciałyśmy porozmawiać.

Słowa córki zaskoczyły ją. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Jej dzieci różniły się od siebie. Rob zawsze zwierzał się matce ze wszystkich kłopotów, mówił o swoich planach, aspiracjach, natomiast Trisha była skryta. Nikt nie wiedział, co myśli, czego pragnie. Oboje z mężem odnosili wrażenie, że córka traktuje życie zbyt lekko, nigdy niczym się nie przejmuje. To, co oznajmiła, zabrzmiało więc dla Luz jak podjęta impulsywnie nieprzemyślana decyzja.

- Czy jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? Czy zdajesz sobie sprawę, co taka decyzja oznacza? - Luz pełna była wątpliwości. - Cztery lata uniwersytetu plus trzy dalsze studiowania prawa, potem praktyka u jakiegoś adwokata i egzamin. Naprawdę zamierzasz to wszystko zrobić, czy może to tylko przelotny kaprys?

- Właśnie tego chcę i od dawna o tym marzyłam - stwierdziła Trisha zdecydowanie. - Luz, nie zamierzam być taką kobietą jak ty i wiecznie tkwić w bezczynności. Pragnę, aby moje życie miało jakiś cel i sens, a nit ograniczało się tylko do organizowania akcji dobroczynnych lub wyjazdów na narty do Szwajcarii.

Luz zastanawiała się często, co Trisha o niej myśli. Teraz dowiedziała się i dotknęło ją to boleśnie, mocniej niż mogła przypuszczać. Udało jej się nie okazać swoich uczuć. Zdawała sobie sprawę, że córka nie powie tego po to, by sprawić jej przykrość.

- No to bardzo się cieszę, że cię przyjęli. Ojciec będzie zachwycony, kiedy się dowie, że rozpoczyna studia na uniwersytecie. Zatelefonujemy do niego wieczorem i prześlemy mu tę radosną nowinę - powiedziała i zmusiła się nawet do uśmiechu. - Myślę, że konie już odpoczęły. Możemy wracać.

- Jedźmy. Mam nadzieję, że Mary czeka na nas z zastawionym stołem. Zgłodniałam już - stwierdziła Trisha i ruszyła kłusem.

Przez całą drogę Luz nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarły na niej słowa córki. Jej dobry nastrój wywołany przejażdżką zniknął bez śladu. Dbała jednak o to, by Trisha nie zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Zaraz po powrocie do domu zakomunikowała siostrze miłą wiadomość i zaproponowała, by uczcić tę okazję butelką dobrego wina.

Po wieczornym posiłku Luz zatelefonowała do domu, żeby porozmawiać z mężem. Chodziło jej o coś więcej niż tylko przekazanie usłyszanej od Trishy wiadomości. Pragnęła usłyszeć jego głos i zapewnienie, że tęskni za nią. Słuchawkę podniosła Emma.

- Jak się masz, Emmo. Mówi Luz. Poproś do telefonu Drewa.

- Przykro mi, ale jeszcze nie wrócił.

Spojrzała na zegarek. Było parę minut po siódmej.

- Być może gra w golfa. Czy mówił, kiedy wróci do domu?

- Nie wcześniej niż jutro. Jest jeszcze w Nowym Jorku - odrzekła Emma wyraźnie zaskoczona, że Luz o tym nie wie.

- Ale... wydawało mi się, że miał wrócić w piątek.

- Zadzwoił wczoraj i powiedział, że zostaje o jeden dzień dłużej. Rezerwację ma na jutro rano. Czy coś się stało?

- Nie. Przyjechała do mnie Trisha. Chciałyśmy porozmawiać

- Na pewno złapiecie go w hotelu - poradziła Emma.

- Spróbujemy.

Nacisnęła widelki, a potem wykręciła numer hotelu.

- Nie wrócił jeszcze z Nowego Jorku? - zapytała Trisha; nie była pewna, czy dobrze zrozumiała usłyszana przed chwilą rozmowę.

- Tak.

Kiedy odezwała się telefonistka, Luz poprosiła o połączenie z pokojem Drewa. Zastanawiała się, czy Claudia też została. Trzymała słuchawkę przy uchu, starając się nie patrzeć na siostrę. Nie chciała wyczytać pytania w oczach Mary. Tłumaczyła sobie, że sprawa musiała być na pewno ważna, gdyż Drew nie miał zwyczaju umawiać się z klientami na sobotę, zwłaszcza w Nowym Jorku.

Po czwartym sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo!

Luz rozpoznała głos męża.

- Jak się masz, kochanie. Rozmawiałam przed chwilą z Emmą i dowiedziałam się, że musiałeś zostać o jeden dzień dłużej. Jak idą twoje sprawy?

- Dobrze. A co u ciebie? - głos Drewa brzmiał nieco oziębło, ale Luz kładła to na karb złego połączenia.

- Razem z Mary urobiliśmy sobie ręce po łokcie, ale poza tym wszystko w porządku. Na weekend przyjechała Trisha. Ma dla ciebie pewną wiadomość.

Luz podała słuchawkę córce. Uśmiechnęła się przy tym, ale w myślach wciąż słyszała to dotkliwie raniące zdanie: „Nie chcę być taką kobietą jak ty”.

- Halo, tatusiu! Ponieważ jest mało prawdopodobne, by Rob chciał podtrzymać rodzinną tradycję, zdecydowałam się pójść w twoje ślady. Zostałam przyjęta do twojej Alma Mater.

Nastąpiła krótka przerwa na odpowiedź.

- Oficjalne zawiadomienie o tym dostałam w tym tygodniu. - Po wysłuchaniu dłuższej wypowiedzi ojca dodała: - Jestem bardzo szczęśliwa i cieszę się, że również.

Słuchając głosu w telefonie, Trisha spojrzała na matkę.

- Dobrze, powiem jej. Do widzenia, tato.

Zanim Luz sięgnęła po słuchawkę, by kontynuować rozmowę, z mężem córka odłożyła ją na widelki aparatu

- Ojciec musiał wyjść, bo umówiony jest na ważne spotkanie w restauracji. Powiedział, że zadzwoni do ciebie w przyszłym tygodniu z domu.

- Och! - Luz żałowała, że nie porozmawiała z nim dłużej, zanim oddała słuchawkę córce. - Jak zareagował na to, co mu powiedziałaś?

- Ucieszył się... Pochwalił moją decyzję. Nie wydawał się być tym zaskoczony tak jak ty. - Trisha wzruszyła ramionami. - Czy... kiedy rozmawiałeś z ojcem, nie odniosłaś wrażenia, że ktoś jest z nim w pokoju?

Rozmowa z Drewem trwała zbyt krótko, by mogła odnieść jakiegokolwiek wrażenie.

- Być może. Najprawdopodobniej klient.

Albo Claudia Baines, pomyślała, ale nie powiedziała tego. Nie chciała, aby w córce zrodziły się jakies podejrzenia na temat związku ojca z młodą prawniczką.

W niedzielę, wczesnym popołudniem Trisha wyjechała. Wracła do prywatnej żeńskiej szkoły, do której uczęszczała od kilku lat. Wraz z jej odjazdem Luz przestała udawać dobry nastrój. Chętnie zgodziła się na propozycję Mary, by przejrzeć stojące na poddaszu kufry. Każdy rodzaj aktywności wydawał się dobry, aby tylko móc odsunąć ponure myśli.

- Rzeczy, których chcemy się pozbyć, radziłabym gromadzić w jednym miejscu - zaproponowała Mary. - To nam ułatwi pracę.

- Dobrze.

Zaczęły od większych rzucających się w oczy przedmiotów. Na środku pokoju znalazł się więc wózek dla lalek pozbawiony kółek, manekin do strojów, połamane saneczki, uszkodzony koń na biegunach. Mary przydzwigała też na stertę stary gramofon.

- A może to już jest zabytek?

- To raczej stary grat w kiepskim stanie - odpowiedziała Luz, spojrzawszy na instrument, z którego na jednym drucie zwisało ramię, a tarcza była przekrzywiona.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że Audra przechowywała takie rupiecie. - Mary potrząsnęła ze zdumienia głową, kiedy wyjęła z kufra stary lampowy odbiornik radiowy bez gałek i skali. - Gdy byłyśmy małe, stroje, z których wyrastałyśmy, natychmiast oddawała ubogim. Dlaczego więc nie pozbyła się tych gratów?

- Z powodu ojca. Pamiętam ich kłótnie na ten temat. Audra twierdziła, że w przypadku pożaru trzymanie tego wszystkiego na poddaszu może być groźne, ale Jake ostrzegł ją, że jeśli wyrzuci chociaż

jeden przedmiot, to on... nie dosłyszałam, czym jej zagroził, ale wydaje mi się, że nic nie zostało stąd usunięte - powiedziała Luz, rozglądając się po strychu.

- Też tak sędzę. To dziwne. Był taki sentymentalny, a równocześnie taki...

- Wiem. - Luz przerwała siostrze, zanim ta zdołała dodać słowo „nieczuły”. Po cóż mówić źle o zmarłym?

W milczeniu otwierały kolejne kufry i paczki, wyrzucając bezlitośnie większość ich zawartości. Po godzinie Luz dotarła do starej skrzyni, zawierającej pamiątki z jej dzieciństwa: pukiel jasnych włosów z jej dziecięcej fryzury, który ofiarowała ojcu, pierwszy strój do konnej jazdy, ubranko do chrztu...

- Trochę tutaj chłodno. - Mary zatarła dłonie dla rozgrzewki. - Może napijemy się czegoś? Zejdę na dół i przygotuję kawę.

- Świetnie - odrzekła Luz, nie podnosząc głowy. Znalazła w skrzyni pudełko ze starymi fotografiami. Nie zauważyła nawet, że Mary wyszła, dopóki nie ujrzała jej wchodzącej na strych, zdyszanej po pokonaniu wysokich schodów.

- Po tym wszystkim mam ochotę napić się czegoś mocniejszego. - Mary podała siostrze kubek z kawą i przykucnęła obok niej. - A ty nadal masz w ręku to samo pudełko, które trzymałaś, kiedy wychodziłam. Co w nim znalazłaś?

- Fotografie z czasów naszego dzieciństwa - odpowiedziała Luz z odrobiną wzruszenia w głosie. - Spójrz na to. W tym czasie chciałam zostać weterynarzem.

Pokazała siostrze czarno-białe zdjęcie, zrobione, kiedy miała osiem lat. Obok dziewczynki siedział smutny owczarek collie z obandażowanym łbem i łapą.

- Niewiele później miałaś być dżokejem i wystartować w wyścigu Grand National jak Elizabeth Taylor - roześmiała się Mary. - Potem, wydaje mi się, postanowiłaś zostać śpiewaczką.

- Co się stało z naszymi marzeniami?... - Luz przyglądała się ze smutkiem starym zniszczonym fotografiom.

- Bogu dzięki, wyrosłyśmy z nich. - Mary ogrzewała dłonie o kubek z kawą.

- Masz rację. - Luz westchnęła ciężko i włożyła zdjęcia do pudełka.

Mary uważnie przyjrzała się siostrze.

- Wydaje mi się, że coś cię dręczy, a nie chcesz nic powiedzieć. Odkąd wyjechała Trisha, stałaś się tajemnicza jak sfinks.

- A czy ciebie nie zaskoczyłaby jej decyzja zostania prawnikiem? - zapytała Luz.

- Trochę, ale po tym, jak siódmkę moich dzieci ulokowałam w różnych uczelniach, nie próbuję nawet dociekać, jakie są przyczyny ich wyborów. - Mary wypila spory łyk kawy. - Ciebie jednak to zaskoczyło, prawda?

- Tak, lecz nie to jest najważniejsze. Czy wiesz, co odpowiedziała, kiedy zapytałam ją o powód takiej decyzji?

- Co takiego?

- Że nie chce być kobietą taką jak ja i przez całe życie nic nie robić. Powiedziała, że pragnie, aby jej życie miało jakieś znaczenie i cel. - Luz roześmiała się krótko. - To brzmi jak oskarżenie.

- Moja droga. To jest pokolenie ogarnięte żądzą awansu. Kiedy byliśmy w jej wieku, świat wyglądał inaczej - zauważyła Mary. - Prawda, że i wówczas niektórzy pragnęli robić karierę, ale tacy ludzie

należeli do wyjątków. Nasze ambicje ograniczały się do dobrego wyjścia za mąż i założenia rodziny. Wszystko inne odbierałyśmy jako chwilową namiastkę w oczekiwaniu na pojawienie się odpowiedniego mężczyzny.

- Wiem.

- Nie przejmuj się tymi teoriami kobiet wyzwolonych. Być żoną i matką to niełatwe zadanie - stwierdziła Mary z przekonaniem.

- Myślę, że za tym kryje się coś więcej. - Luz potrząsnęła głową. - Nie chodzi mi tylko o Trishę. Matka też uważała, że nie jestem zbyt zdolna, Drew nie wierzy, że mogę uczestniczyć w poważniejszych rozmowach, a teraz córka mówi mi, że żyłam bez celu. Mary! Ja mam czterdzieści dwa lata i czuję się jak bankrut - głos jej zadrżał. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Co się stało z naszymi marzeniami?

Przez dłuższą chwilę Mary milczała. Potem mocno objęła siostrę.

- Nie wiem, dziecino, nie wiem - szepnęła.

7

Silny podmuch marcowego wiatru wpadł do holu, kiedy wychodzący z domu, obładowany bagażami mężczyzna na moment uchylił drzwi. Szybki ciekawski wiatr przemknął przez zaciemnione, ponure wnętrza, zajrzał pod pokrowce nałożone na meble, a potem zamarł w ostatnim zawirowaniu chłodnego powietrza.

Luz ciaśniej otuliła szyję futrzanym kołnierzem płaszcza. Wstrząsnął nią dreszcz. Powiodła wzrokiem po opustoszałym holu. Ze ścian zdjęto obrazy i zapakowano je w skrzynie. Meble okryto bezkształtnymi pokrowcami, żaden przedmiot nie dekorował ich lśniących powierzchni, a wszystkie szuflady były puste. Nawet kryształowy żyrandol osłonięte ogromnym płóciennym workiem.

Odwróciła się na odgłos kroków schodzącej po schodach siostry.

- Czy to już wszystko? - zapytała niemal szeptem. Dom z zamkniętymi okiennicami wydawał się pogrążony we śnie.

- Tak - równie cicho odparła Mary.

Razem przeszły przez hol w kierunku wyjścia. Obcasy butów stukały głośno o dębową podłogę, z której zdjęto puszysty wschodni dywan. Ostatnie kilka kroków Luz zrobiła na palcach - nie mogła znieść dudniącego echa tego dźwięku.

Po wyjściu, odwrócona tyłem do wiatru, czekała, aż Mary zamknie drzwi wejściowe. Nad ich głowami chwiały się nagie gałęzie drzew, które latem ocieniały portyk. Szybko poszły do zaparkowanego na podjeździe samochodu. Za kierownicą siedział Stan, silnik już pracował. Ruszyli.

- Trochę mi szkoda - mruknęła Mary, kiedy samochód znalazł się na drodze.

Luz nic nie odrzekła. W milczeniu patrzyła na opustoszały dom widniejący na tle zimowego nieba. Chwile, które tu spędziła, nie zawsze były miłe i beztrudne. Zdarzały się awantury pomiędzy braćmi i siostrami, momenty gniewu i pretensji do rodziców, udręki z powodu drobnych dramatów, które tylko dziecko potrafi przeżywać z taką ostrością. Przykre zdarzenia mają jednak to do siebie, że łatwo zacierają się w pamięci, ale Luz wiedziała, że nie tylko to jest przyczyną żalu, jaki odczuwa, opuszczając dom. Mieszkając tutaj, miała jeszcze przed sobą całe życie. Teraz, kiedy już je poznała, wiedziała, że rzeczywistość nie spełniła jej oczekiwań.

Na lotnisku czekała na nią jak zwykle niezawodna Emma Sanderson. Wyjaśniła, że ważne obowiązki zatrzymały Drewa w biurze. Luz z zazdrością patrzyła, jak mąż Mary obejmuje ją czule i całuje na powitanie.

- Rano telefonowała pani Kincaid - powiedziała Emma. - Prosi, żeby pani przyszła do niej w piątek na lunch.

- Ty również zostałeś zaproszona - poinformował żonę Ross, zanim Luz zdołała odpowiedzieć.

- O, nie! Dziękuję - skrzywiła się Mary. - Jej chodzi wyłącznie o sprawozdanie z naszej podróży. Wystarczy, że ty. Luz, opowiesz jej wszystko. Wyobrażam sobie, co czeka mnie w domu po dwutygodniowej nieobecności. Dopóki się z tym wszystkim nie uporam, nie zamierzam poddać się przesłuchaniu.

- Powinnaś cieszyć się, że masz taką dobrą siostrę - powiedziała Luz, dając Mary do zrozumienia, że zastąpi ją w wypełnieniu żądań matki.

- Zgadza się z tobą - roześmiała się Mary.

Po odebraniu bagaży siostry rozstali się. W godzinę później Luz weszła do domu zmęczona podróżą i nieco przygnębiona. Służący niósł za nią walizki.

Kiedy postawiła nogę na pierwszym stopniu prowadzących na górę schodów, zadzwonił telefon. Zatrzymała się.

- Odbierz, Emmo. Jeśli to moja matka, to powiedz jej, że akurat się przebieram, i że będę u niej w piątek.

Zanim doszła do szczytu schodów, Emma zawołała.

- Proszę pani, to dzwoni mąż.

- Odbiorę na górze - odpowiedziała, szybko przebiegła parę ostatnich stopni i weszła do salonu, gdzie stał aparat. Cieszyła się, że znalazł chwilę, by zatelefonować. - Halo!

- Dobrą miałaś podróż?

- Długą - powiedziała, patrząc na służącego, który po odstawieniu bagaży wracał przez salon w kierunku schodów. - O której będziesz w domu?

- Dzwonię między innymi i w tej sprawie...

- Och, Drew! - przerwała mu głosem, w którym brzmiało zarówno rozczarowanie jak i irytacja. Wiedziała, co oznaczają takie słowa. Był to wstęp do stwierdzenia, że wróci późno. Nic się nie zmieniło w ciągu tych dwóch tygodni.

- Bardzo mi przykro, ale mam ważnych zamiejscowych klientów i wypadało mi zaprosić ich na kolację.

- To świetnie - odrzekła. Nie miała zamiaru spędzać samotnie pierwszego wieczoru po powrocie do domu. - Wybiorę się z wami. Powiedz mi, gdzie i o której jesteście umówieni.

- Ależ Luz, nie mogę tego od ciebie wymagać. Wiem, że musisz być ogromnie zmęczona podróżą i...

- Przecież nie ty mnie o to prosisz. Sama zaproponowałam. - Była tak zirytowana, że przestała czuć zmęczenie.

Po drugiej stronie na parę sekund zapadła cisza.

- Skoro tak, to mam rezerwację na ósmą w restauracji „Le Pavillon”, ale spotkamy się w barze pół godziny wcześniej - odezwał się po chwili Drew.

Dokładnie o siódmej trzydzieści Luz wysiadła z samochodu i weszła do restauracji. Właściciel lokalu podszedł, by ją przywitać.

- *Bonsoir madame* Kincaid Thomas. - Zawsze zwracał się do niej w ten sposób. Luz podejrzewała, że pragnie tym podwójnym nazwiskiem podkreślić ważność jej pozycji. - *Votre mari est ici. S'il vous plait.*

Poprowadził ją do baru, gdzie przy niewielkim koktajlowym stoliku siedział już Drew ze swymi gośćmi.

Luz nie była pewna czy słusznie zrobiła wymuszając zaproszenie na kolację, lecz jej wątpliwości zniknęły bez śladu, kiedy ujrzała Claudię Baines. Piękna brunetka wdarła się już na obszary, które należały do Luz: stała się przyjaciółką i powiernicą Drewa, lecz rola gospodyni na tej kolacji nie powinna należeć do niej.

Wszyscy trzej mężczyźni wstali, kiedy Luz podeszła do stolika. Drew przedstawił ją swym klientom. Jacques Aubert i Guillaume Poivier skłonili się grzecznie i uścisnęli jej dłoń.

- *Enchanté, madame.* - Jacques Aubert, wysoki szczupły mężczyzna, ubrany z europejską elegancją uśmiechnął się czarująco. - Sprawiała nam pani ogromie przyjemność, decydując się spędzić z nami ten wieczór.

- *Non, monsieur. Le plaisir est le mien* - odpowiedziała z wdziękiem.

- Mówi pani po francusku? - Jego spojrzenie wyrażało niedowierzanie i zdziwienie. Nie był pewny, czy Luz istotnie zna ten język, czy tylko pojedyncze zwroty.

- *Oui* - skinęła potwierdzająco - ale rzadko się nim posługuję, więc mogę popełniać błędy.

- Moja żona jest zbyt skromna - wtrącił Drew. - Mówi po francusku biegle i nic w tym dziwnego. Dwa lub trzy razy do roku podróżuje po Europie.

- To bardzo rzadki przypadek. Amerykanie na ogół posługują się własnym językiem - włączył się do rozmowy drugi z klientów. Był to tęgi, prawie łysy, ekstrawagancko ubrany mężczyzna. Luz odniosła wrażenie, że zamierzał zwrócić się do niej po francusku, ale zmienił zdanie, kiedy spojrzał na Claudię.

- To niestety prawda, *monsieur* Poivier - zgodziła się Luz. - Jednakże w tak dużym kraju jak nasz tylko nieliczni wyjeżdżają za granicę i nawet jeśli uczą się w szkole obcego języka, z braku praktyki szybko go zapominają. Inaczej jest w Europie. Tam używa się francuskiego, niemieckiego, włoskiego...

- Ci z nas, którzy nie opanowali na tyle dobrze obcego języka, by posługiwać się nim w rozmowie, zazdroszczą tym, którzy, jak pani, posiadli tę umiejętność - odezwała się Claudia.

- Ach, *mademoiselle* Baines, jestem pewny, że pani posiada inne wybitne talenty - powiedział uroczy Jacques. - W pani przypadku zachodzi rzadkie połączenie urody i rozumu.

Kiedy kelner podszedł do stolika, by przyjąć od niej zamówienie, Luz zastanowiła się, czy powinna uleć chęci okazania wyższości nad Claudią i mówić po francusku. Nie była zresztą całkiem pewna, czy bardziej zależy jej na wywarciu wrażenia na młodej prawniczce, czy na Klientach męża.

Swobodna rozmowa w barze dotyczyła spraw ogólnych. Kiedy po pewnym czasie zasiedli do obiadu i podjęte zostały tematy prawnicze, Luz coraz częściej pełniła rolę tłumaczki. Podsuwała Francuzom brakujące słowa lub zwroty albo wyjaśniała znaczenie terminów, które nie były im znane. W nielicznych tylko przypadkach nie mogła znaleźć francuskiego odpowiednika angielskich określeń.

Pomimo to wyraźnie dawał się odczuć podział na „my” i „oni”. Drew i Claudia tworzyli stronę „my”, natomiast ona z Francuzami znalazła się po stronie „oni”. Wiąż pomiędzy mężem a młodą prawniczką

rzucala się w oczy. Obserwowała, jak bez trudu odgadują swoje myśli, jak łatwo porozumiewają się wzrokiem lub gestem, by wtrącić jakąś uwagę lub podkreślić któreś stwierdzenie. Zrozumiała, dlaczego Drew mówił, że pracuje im się świetnie. Przyglądając się Claudii, odnosiła wrażenie, że jest świadkiem kolejnej inwazji na należące do niej terytorium. Zaczęła się zastanawiać, w jakim stopniu jej zazdrość wynika z naruszenia praw własności. Drew należał do niej, a Claudia była tu intruzem.

Jeszcze przed końcem spotkania Luz poczuła się fizycznie i emocjonalnie wyczerpana. Kiedy mężczyzna obsługujący parking przyprowadził pod wejście jej samochód, powiedziała Francuzom *au revoir* i odjechała. Drew miał jeszcze odwieźć gości do hotelu.

Gdy wróciła do domu, w holu było jasno. Zostawiła zapalone światło i poszła na górę. W czasie jej nieobecności służba rozpakowała walizki. Po dopiero co zakończonej podróży nie zostało ani śladu. Przebrała się w koszulę nocną i zarzuciła na wierzch kimono. Była zbyt zmęczona i podekscytowana, by zaraz położyć się spać.

Drew przyjechał po czterdziestu minutach i zastał ją w salonie ze szklanką brandy w ręku. Zaskoczył go jej widok.

- Myślałem, że już śpisz - powiedział rozwiązując krawat. - Miałaś dzisiaj bardzo męczący dzień.

- Nie tak znowu bardzo. - Wstała z fotela, odstawiła szklankę, podeszła do męża i zarzuciła mu rękę na szyję. - Nie było mnie w domu przez dwa tygodnie. Czyżbyś zapomniał?

- Ależ skąd. - Objął ją, ale nie spieszył się z bardziej czułym powitaniem. Kiedy wreszcie dotknął ustami jej warg, pocałunek nie okazał się zbyt gorący.

Luz nie oczekiwała od niego gwałtownych przejawów namiętności. Pragnęła tylko bliskości jego ciała, ciepła obejmujących ją ramion i podnoszących na duchu słów miłości. Niczego więcej.

- Twój pokój czy mój? - szepnęła przytulona do jego policzka.

- Twój.

Objęci ramionami, poszli wolno do jej sypialni. Rozebrali się i położyli do łóżka. Krótkie pieszczoty poprzedziły zbliżenie.

Potem Drew szybko wrócił do swego pokoju. Luz przez dłuższy czas nie mogła zasnąć. Leżała samotnie w ciemnościach. W naszym dzisiejszym zbliżeniu było coś powierzchownego, obojętnego, pomyślała. Jak gdyby spełniony został jakiś codzienny obowiązek. Podejrzewała, że jest bardziej zmęczona, niż sądziła, i dlatego nie potrafiła wzbudzić pożądania ani w sobie, ani w mężu. A może to skutek tych ponurych myśli, które gnębiły ją od kilku dni? Westchnęła, wtuliła twarz w poduszkę i zamknęła oczy w oczekiwaniu na kojący sen.

Ciepłą i słoneczną pogodę Florydy zakłócił na trzy dni wietrzny i burzowy front atmosferyczny. Opady gęstej mżawki na przemian z ulewami nasycaly powietrze wilgocią.

Unieruchomiona w domu przez słońce, spędzając w samotności długie godziny w oczekiwaniu na Drewa, Luz miała dostatecznie dużo czasu, by rozmyślać o swym życiu i zastanowić się nad jego jałowością. Nigdy do tej pory nie знаła uczucia niespełnienia, zawsze miała to, czego pragnęła, a jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że zawiodła swoje otoczenie. Nie stała się błyskotliwą i mądrą córką, jak tego oczekiwała matka, dla Trishy nie była wzorem intelektualnym. Nie zrobiła kariery zawodowej. Najbardziej dokuczalo jej jednak to, że wszystkie te warunki spełniała Claudia Baines.

W piątek nadal padał deszcz. Luz wiedziała, że wizyty u Audry nie wolno jej odwołać z powodu złej pogody, co można by zrobić, gdyby chodziło o kogoś innego. Jednak po całotygodniowym uwięzieniu nieuniknione wyjście z domu przyjęła bez większej przykrości mimo że oznaczało ono niezbyt przyjemną rozmowę z matką. Nigdy nikomu nie udało się zrobić czegokolwiek całkowicie zgodnie z życzeniami Audry i zazwyczaj konieczne okazywały się obszernie wyjaśnienia, usprawiedliwiające odstępstwa od otrzymanych poleceń. Ta cecha matki potęgowała się z wiekiem, co zdaniem Luz było jednym z objawów starzenia się.

Przesłuchanie zaczęło się od pierwszych chwil po przybyciu. Luz szczegółowo wyjaśniła, co i jak zostało zapakowane, gdzie i jak zmagazynowane, co zostało oddane, a co wyrzucone. Niektóre tylko odpowiedzi zostały przez matkę zaakceptowane. Kiedy Audra zaczęła czynić jej wymówki, że serwis z chińskiej porcelany zostawiły na miejscu, zamiast przywieźć go ze sobą, Luz straciła cierpliwość.

- Dlaczego kazałaś mnie i Mary likwidować dom? Powinnaś pojechać tam sama, wówczas na pewno wszystko byłoby wykonane zgodnie z twoimi życzeniami.

Natychmiast została skarcona wymownym spojrzeniem.

- Kiedy nauczysz się wreszcie panować nad sobą? - powiedziała Audra przybierając znaną Luz pozę wyrozumiałej władczyni. - To nie moja wina, że ani ty, ani Mary nie potraficie niczego dobrze zrobić.

- Ależ zrobiłyśmy - Luz usiłowała mówić spokojnie, lecz głos jej lekko drżał. - Załatwiłyśmy wszystko, najlepiej jak tylko było to możliwe. Skoro zapędziłaś nas do tej czarnej roboty, powinnaś cieszyć się z jej rezultatów.

- To prawda - potwierdziła Audra ku zaskoczeniu Luz. - W pewnym stopniu jestem odpowiedzialna za wasze działania. Lunch zjemy na werandzie - dodała i odwróciła się, co oznaczało zakończenie rozmowy.

Nie zdarzyło się jeszcze, by w rozmowie z matką ostatnie słowo należało do niej. Powoli uspokajając się, przeszła za Audra do oszklonego z trzech stron pokoju z widokiem na morze. Krople deszczu spływały po szybach, a za nimi majaczył rozmyty obraz targanych wichrem palm. Nad rozkołysanym zielonym oceanem wisiały ołowianoszare chmury. Fale mocno uderzały o brzeg. Groźny niepokój, panujący w przyrodzie, pasował do nastroju, w jakim znajdowała się ostatnio.

Usiadły przy niewielkim stoliku nakrytym dla dwóch osób. Ledwie Luz umieściła lnianą serwetkę na kolanach, zjawiła się służąca i nałożyła im na talerze sałatkę z surowych owoców avocado. Luz spróbowała odrobinę przysmaku. Ostatnio straciła apetyt, zapewne ze zdenerwowania.

W czasie lunchu Audra opowiadała o sprawach rodzinnych, informując o wszystkim, co wydarzyło się w czasie ich nieobecności. Luz słuchała niezbyt uważnie, z rzadka wtrącając jakieś pojedyncze zdanie lub słowo. Wreszcie posiłek dobiegł końca; nie musiała dalej udawać że je. Służąca postawiła na stoliku dzbanek z herbatą i ogrzane filiżanki.

- Doprawdy, Luz, mogłabyś wykazać więcej zainteresowania tym, co mówię. - Audra napełniła filiżankę i spojrzała wymownie na córkę.

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Wzięła podaną przez matkę herbatę.

- Zamyśliłam się czy zasępiłam? - zapytała Audra.

- Zamyśliłam się - powtórzyła z naciskiem Luz i łyżeczką rozmieszała krystaliczny brązowy cukier wsypany do herbaty.

- Nad czym? Masz jakieś problemy z mężem? - Badawcze spojrzenie czarnych oczu matki wyrażało zaniepokojenie.

- Nie. Między nami wszystko układa się dobrze. Dlaczego pytasz?

Rozmowa na ten temat zawsze wprawiała ją w zakłopotanie.

- W każdym małżeństwie wcześniej czy później pojawiają się problemy. To nieuniknione. Wiem, że praca bardzo pochłania Drewa. Wydaje mi się naturalne, że możesz czuć się zaniebawiana.

- Ależ wcale się tak nie czuję - zaproponowała Luz. - To naprawdę nie stanowi problemu.

Nie chciała zwierzać się matce, ale Audra miała swoje sposoby wydobywania z niej informacji.

- Dlaczego nie powiesz mi wszystkiego? Może nie będę w stanie ci pomóc, ale niekiedy dobrze jest porozmawiać o swoich kłopotach. - Audra usiadła wygodniej w fotelu i trzymając w jednej ręce filiżankę, a w drugiej spodeczek, czekała na to, co powie córka.

- Nie ma w tym nic wstrząsającego. - Luz próbowała pomniejszyć wagę tego, co powie. - Po prostu Trisha i Rób dorastają i za rok, najdalej za dwa, zamieszkają z dala od rodziny. Muszę się w tej sytuacji zdecydować, co robić z wolnym czasem. Nie mogę nadal beczynnie siedzieć w domu, kiedy Drew pracuje.

- Wydaje mi się, że spoczywa na tobie mnóstwo obowiązków - zdziwiła się Audra. - Jesteś ostatnio zaangażowana w tyle różnych spraw.

- Nie mówię o klubach towarzyskich czy organizacjach charytatywnych - przerwała niecierpliwie Luz. - Chciałabym robić coś konkretnego. Na przykład Sheila Cosgrove prowadzi elegancki butik, a Billie Rae Townsend otworzyła niedawno galerię sztuki.

- To bezsensowne - zaprotestowała matka.

- Powinnam była wiedzieć, że mnie nie zrozumiesz. - Luz wstała i podeszła do oszklonej ściany.

- Może zechcesz mi wyjaśnić, czego to nie rozumiem? - Zostało to powiedziane spokojnie, ale nie przestawało przez to być poleceniem.

- Tego, że chciałabym w przyszłości robić coś interesującego.

- Coś, co miałyby znaczenie. - Audra powtórzyła wcześniejsze słowa Luz. - Wierzysz, że butik czy galeria sztuki to właśnie jest to coś?

- Tak. - Luz wsunęła ręce w kieszenie spódnicy i zacisnęła dłonie w pięści. Oczekiwała, że za chwilę usłyszy wykład na temat dobrych manier. Wyglądało na to, że nigdy nie będą rozmawiać ze sobą jak osoby dorosłe, tylko zawsze jak matka z dzieckiem. - Na pewno się z tym nie zgodzisz, ale jestem wystarczająco inteligentna, żeby mieć własny biznes.

- Wiem, że jesteś osobą zdolną i świetnym organizatorem. - Audra odstawiła filiżankę i spodeczek. - Dom prowadzisz dobrze i oszczędnie. Wprawdzie nie mała w tym zasługa pani Sanderson, ale wiem, że osobiście dogładasz wszystkiego. A ile pełnisz funkcji społecznych, ile zorganizowałaś akcji dobroczynnych? Trudno mi je wprost zliczyć. Mogę być stara, ale nie jestem ślepa.

Luz powoli zwróciła twarz w stronę matki, zaskoczona pochwałami, jakie padły z jej ust.

- Zawsze dotąd traktowałaś mnie jak...

- Tak jak matka traktuje dziecko - przyznała swobodnie. - Na pewno już sama się przekonałaś, że w oczach matki dzieci nigdy nie dorastają. Zawsze wydaje ci się, że nie są na tyle dojrzałe, by opuścić dom, zawrzeć małżeństwo czy mieć potomstwo.

- To prawda. - Luz była ciągle oszołomiona tym, co usłyszała.

- A jeśli chodzi o działania, które mają sens, to cóż jest ważniejszego niż rodzina? To, że twoje dzieci są dorosłe, nie oznacza, że przestały mieć problemy. Będziesz im nadal potrzebna. A jak urodzą się wnuki? Gdybyś prowadziła własny biznes, nie mogłabyś przebywać blisko nich. Luz, ty jesteś spoiwem, które łączy rodzinę. Bez ciebie każde z nich pójdzie w swoją stronę. Utracą więź, która wyróżnia ich spośród innych. To rodzina jest tym, czego potrzebujesz. Rodzina!

- Wątpię, czy potrafię cię kiedyś zrozumieć, Audro. - Luz potrząsnęła głową i wróciła do stolika.

- Jestem twoją matką i nie ma znaczenia, czy mnie rozumiesz, czy nie, ale zapamiętaj to, co ci powiedziałam. A teraz wypij herbatę, zanim całkiem wystygnie.

Luz spełniła polecenie matki.

Kiedy znajdowała się w połowie drogi do domu, deszcz przestał padać; promienie słońca przedarły się poprzez rzadną powłokę chmur. Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, który towarzyszył jej od chwili rozstania z Audrą, wjechała na podjazd prowadzący do domu. Zostawiła samochód przed wejściem i podbiegła do drzwi.

- Emmo - zawołała wchodząc do holu. - Wróciłam. Czy ktoś telefonował?

Na niewielkim stoliku blisko drzwi leżały dostarczone tego dnia przesyłki pocztowe. Luz zatrzymała się przy nich w nadziei, że wśród rachunków i zaproszeń znajdzie się list od Trishy lub Roba. Pod stertą kopert zauważyła cienką, zapakowaną w brązowy papier paczkę, zaadresowaną do niej.

Zaintrygowana wzięła ją do ręki i spojrzała na adres nadawcy. Paczka została wysłana z Nowego Jorku, z hotelu, w którym zatrzymywali się zazwyczaj Luz rozdarła papier. Wewnątrz znajdowało się płaskie pudełko.

Od strony jadalni pojawiła się Emma.

- Jak udał się lunch?

- Okazał się przyjemniejszy, niż oczekiwałam - odpowiedziała, wyjmując równocześnie tajemnicze pudełko z opakowania. - Telefonował ktoś?

- Dzwoniła pani Randolph, żeby przypomnieć o spotkaniu w najbliższy wtorek. Zapewniłam ją, że ten termin ma pani zanotowany w kalendarzu. Prosiła o skontaktowanie się z nią.

Luz otworzyła przesyłkę. Delikatny papier zaszeleść kiedy odwinęła go, by obejrzeć zawartość. Dostrzegła fragment czarnej jedwabnej damskiej bielizny ozdobionej koronką. Na wierzchu leżał list. Emma coś jej mówiła, ale Luz nie słuchała jej. Szybko przebiegła wzrokiem napisany na maszynie tekst, potem przeczytała go jeszcze raz, uważnie i powoli.

Szanowna Pani Thomas!

Załączoną część bielizny pokojówka znalazła po wyjeździe Państwa z Nowego Jorku. Pozwiliśmy sobie przed wysłaniem oddać ją do pralni, ale mamy nadzieję, że zwłoka tym spowodowana nie sprawiła Pani kłopotu.

Z poważaniem...

List podpisany był odręcznie. Luz jeszcze raz spojrzała na przesyłkę. Był to czarny staniczek. Nie nosiła tego rodzaju bielizny.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytała Emma.

- Nie, nie - szybko zamknęła pudełko. - Dzwonił może Drew?

- Tak. Telefonował, że wróci nieco później i prosił, żeby przesunąć obiad na ósmą.

Patrząc na Luz, Emma nie była pewna, czy istotnie wszystko jest w porządku. Nie odezwała się jednak, bo chociaż pracowała tutaj od wielu lat, ciągle istniała pomiędzy nimi nieuchwytna granica, wynikająca z relacji zwierzchnik-podwładny, której nigdy nie przekroczyła.

- Dziękuję ci, Emmo - Luz odeszła od stolika, zabierając pudełko. - Przejrzyj pozostałą pocztę.

- Czy zadzwoni pani teraz do pani Randolph? Prosiła o telefon.

- Później - odrzekła Luz i weszła na schody prowadzące na górę.

Kiedy znalazła się w saloniku, zamknęła za sobą drzwi i szybkim krokiem podeszła do fotela stojącego przed kominkiem. Wyjęła z paczki list, pudełko oraz papier i położyła na stoliku obok, potem sięgnęła do telefonu i wykręciła numer wydrukowany na nagłówku listu. Zanim pozwoli działać wyobraźni, chciała upewnić się, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka.

- Mówi Leslie Thomas z Florydy. Chciałam rozmawiać z... - spojrzała na podpis pod listem - z panią Nash.

- Proszę chwilę poczekać.

Po dłuższym czasie jakaś kobieta przedstawiła się jako pani Nash.

- Nazywam się Thomas. Jestem żoną Drewa Thomasa - zaczęła Luz.

- Ach tak. Oczekiwałam tego telefonu. Pokojówka znalazła staniczek, który zostawiła pani w naszym hotelu dwa tygodnie temu. Już go wysłaliśmy. Przesyłka powinna nadejść lada moment.

- Ja... ja nie jestem pewna, czy zostawiłam u was cokolwiek. Czy to na pewno mój staniczek? Nie mylicie się? - Ścisnęła słuchawkę tak mocno, że palce jej zbiały.

- Jestem tego absolutnie pewna. Zaraz po państwa wyjeździe pokojówka znalazła go i zadzwoniła do mnie z pytaniem, co ma zrobić. Zdecydowałam, że najlepiej będzie, jeśli oddamy go do pralni, a potem pani odeślemy. - Kobieta sprawiała wrażenie zakłopotanej. - To taki staniczek obszyty koronką.

- Istotnie - Luz spojrzała na zawartość pudełka. Zamknęła oczy, próbując się opanować. - Gdzie go pokojówka znalazła?

- O ile sobie przypominam, mówiła, że przykryty był pościelą w nogach łóżka. Prawdopodobnie nie zauważyła go pani.

- Tak, zapewne... Dziękuję bardzo. - Luz odłożyła słuchawkę na widelki.

Poczuła się nagle chora. Silny ból ścisnął jej skronie, łzy popłynęły po policzkach. Czowała ich słony smak na wargach. Umysł miała sparaliżowany przez to straszne odkrycie, ale jakąś częścią świadomości zdawała sobie sprawę, że ta sytuacja nie może trwać wiecznie.

8

Zanim Drew pojawił się w domu, później zresztą, niż zapowiedział, ból Luz przerodził się w gniew. Stała przed oszklonymi drzwiami prowadzącymi na taras i patrzyła na swoje odbicie w szybie. Wyglądała źle. Na policzkach widoczne były ślady łez. Poprawiła ręką włosy - nie chciała, aby Drew zobaczył ją w takim stanie. Nic jednak nie mogła poradzić na opuchliznę wokół oczu, ani na to, że zmarszczki stały się

jeszcze bardziej widoczne. Kiedy usłyszała odgłos kroków męża wchodzącego do salonu, zeszywniała, ale nie odwróciła się.

- Emma powiedziała, że tu jesteś. Przepraszam za spóźnienie. Umyję się tylko i zaraz zejdziemy na obiad. Jak spędziłaś dzień?

Luz zobaczyła jego odbicie tuż obok swojego. Kiedy poczuła na ramieniu dotknięcie ręki Drewa, wzdrygnęła się z odrazą. Jeszcze bardziej niemiły byłby jego pocałunek. Odsunęła się gwałtownie.

- Hej! O co chodzi? - spytał zaskoczony.

Odwróciła się do niego z rękami splecionymi na piersiach.

- Z dzisiejszą pocztą dostałam tę... przesyłkę. - Ruchem głowy wskazała otwartą paczkę leżącą na stoliku.

Zaskoczony Drew spojrział na pudełko, a potem na nią. Wyraz jej twarzy zniechęcał go do zadawania jakichkolwiek pytań. Zawahał się, a potem podszedł bliżej do stolika. Luz przyglądała się, jak odchyła papier. Przez chwilę odczuła pewną satysfakcję, widząc, jak poblądł, kiedy zobaczył czarny staniczek. Wyraz jego oczu wskazywał, że zastanawia się, skąd ta rzecz znalazła się tutaj i co Luz może wiedzieć.

- Może powinieneś przeczytać list- powiedziała, wskazując na leżący obok pudełka arkusz papieru.

Szybko przebiegł wzrokiem tekst. Luz odniosła wrażenie, że lepiej niż ona przygotowany był na odbiór jego treści. Nie musiał czytać listu po raz drugi.

- To na pewno jakaś pomyłka - stwierdził.

- Tu nie ma żadnej pomyłki, Drew. Dzisiaj po południu zatelefonowałam do hotelu. Poinformowano mnie, że ten stanik pokojówka znalazła w twoim łóżku. Oczywiście nie należy do mnie. Nie byłam w tym czasie w Nowym Jorku, a poza tym ja nie noszę takiej bielizny. Wobec tego czy on jest?

- Popeliłem błąd, Luz - powiedział, nie patrząc na nią.

- Istotnie, masz rację - potwierdziła gniewnie. - Kto był tam z tobą? Nie musisz mi zresztą mówić. prostytutki nie noszą takiej bielizny i nie próbuj mnie przekonywać, że to należy do drogiej *call girl*. Osoby uprawiające ten zawód nie zostawiają w hotelu niczego takiego. A więc, czyj on jest?

- Nie widzę potrzeby, żeby cię informować - stwierdził. - Winien jestem tylko ja.

- Ty draniu! - krzyknęła drżącym głosem. - Jeszcze udajesz szlachetnego, chroniąc tę dziwkę. Nie chcesz jej mieszać w tę sprawę, prawda? Boisz się, żeby nie zniszczyć jej dobrej opinii, zaszargać imienia? Ale o mnie, o swoją żonę, to się nie martwisz!

- Przestań, Luz - próbował ją uspokoić. - Rozumiem, że się gniewasz i jesteś dotknięta tym wszystkim, ale nie ma powodu informować o naszych sprawach całego sąsiedztwa.

- Wobec tego powiedz. Chcę wiedzieć, z kim tam byłeś - nalegała nieco spokojniejszym głosem.

- Co ci z tego przyjdzie, że się dowiesz? - sprzeciwił się ze swą nieodpartą logiką. - Ona w niczym tu nie zawiniła. Jest niewinna.

- Niewinna! - wybuchnęła Luz. - Jeszcze jak niewinna! Skoro nie chcesz wymienić jej imienia, to ja to zrobię. To Claudia!

- Znów ta zazdrość o nią i podejrzenia.

Luz sięgnęła do telefonu.

- Co robisz?

Ledwo zdążyła podnieść słuchawkę, Drew złapał ją za rękę.

- Chcę zadzwonić do twojej wspaniałej Claudii, żeby się dowiedzieć, co ma do powiedzenia w tej sprawie. - Luz wykręciła numer informacji. - Proszę o numer telefonu pani Claudii Baines.

Drew nacisnął widełki telefonu.

- Nie rób z siebie idiotki.

- Przez ciebie wyszłam już na idiotkę, więc nie mam nic do stracenia, a wiele do zyskania.

- A cóż takiego chcesz zyskać? - zapytał.

- Satysfakcję z potwierdzenia tego, że się nie mylę.

Drew ze spuszczoną głową cofnął się o krok.

- A więc dobrze. Miałaś rację.

- W czym miałam rację? - Luz nie zamierzała zadowolić się taką odpowiedzią.

- To była Claudia - wyrzucił z siebie. - Nie chciałem, żeby do tego doszło.

- Adam też nie chciał wziąć jabłka - zakpiła Luz. - I ja mam w to uwierzyć?

- Zabierając Claudię do Nowego Jorku, nie miałem zamiaru iść z nią do łóżka. Tak po prostu wyszło - tłumaczył. - Przysięgam. Nigdy nie zamierzałem cię zranić. Kocham cię.

To były tylko słowa i Luz wiedziała, jak mało dla niego znaczą.

- Jak mogłeś mi zrobić coś takiego, Drew? I dlaczego wybrałeś właśnie ją? - Nie zdawała sobie sprawy, że głośno myśli.

- Nie potrafię ci wytłumaczyć, jak do tego doszło. - Usiadł ciężko na sofie i przygładził ręką włosy. - Czuję się przy niej taki młody. Rozmowa i przebywanie z nią daje mi tyle radości. Nie chciałbym być zarozumiały, ale Claudia uważa mnie za atrakcyjnego mężczyznę.

- Najlepsza droga do serca mężczyzny wiedzie przez jego próżność - powiedziała z przekąsem Luz. - A twojej próżności wystarczyłoby dla dwóch. Czy nie widzisz tego, że ona cię wykorzystuje? Czy jest lepszy sposób na szybki awans niż zostać kochanką szefa?

- Claudia nie jest taka. Nie znasz jej tak dobrze jak ja.

Luz boleśnie odczuła fakt, że Drew staje w obronie Claudii. Zaatakowała ostro.

- Nie, oczywiście, że nie, ale ty też nie wiedziałeś wszystkiego, zanim znalazłeś się z nią w łóżku. No mów, czy było ci z nią dobrze? Może powinnam wziąć u niej lekcje. Odpowiadałoby ci to?

- Przestań - mruknął.

- Dalej, dalej - kpiła. - Nie powiesz mi, że nie sprawiłoby ci przyjemności *ménage à trois*.

- Do licha. Luz, wystarczy. - Podniósł się i podszedł do kominka. - Robisz wszystko, żeby to wyglądało na coś brudnego i nikczemnego.

- Bo ja tak to odczuwam. - Ból zaciskał jej gardło. - Czuję się oszukana, wykorzystana i upokorzona. Kiedy pomyślę sobie o tym wieczorze w restauracji, gdzie siedziałam przy jednym stole z nią... z wami..

Nie mogła dokończyć zdania. Nie potrafiła wyrazić swych uczuć słowami. Drew i Claudia byli parą kochanków i potrafili to przed nią ukryć. Mąż oszukał ją i nie zdradził się z tym. Przecież nawet kochali się tego wieczoru. Patrząc wstecz, czuła się jak głupiec. Teraz Claudia wie o nim wszystko, zna tajemnice, które powinna znać tylko żona. Świadomość tego poniżała ją. Wiedziała, że ilekroć spojrzy na tę kobietę, zawsze widzieć będzie Drewa leżącego w jej ramionach. W jednej chwili utraciła honor, poczucie własnej godności i dumę.

- Luz, tak mi przykro. Ile razy i jak mam ci to mówić?

Wyczuła nutę szczerości w jego słowach. Zrobiło to na niej pewne wrażenie. Złość powoli odpływała, pozostawało emocjonalne wyczerpanie.

- Co teraz będzie, Drew? - zapytała bezbarwnym głosem.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Czy masz zamiar nadal się z nią spotykać?

Patrzyła na czarną czuprynę Drewa, głęboki rowek w jego brodzie, muskularną sylwetkę. Przystojny, inteligentny - nadal taki sam, ale zniknęło gdzieś jej zaufanie do niego. Bez tego nie będzie już tym samym ukochanym mężczyzną.

- Muszę widywać się z nią w biurze. Nie mogę tego uniknąć, ale jeśli chodzi o... inne sprawy - powstrzymał się przed nazwaniem ich - to obiecuję ci, że to się nie powtórzy. Popełniłem błąd, wiążąc się z nią, ale jeszcze większym błędem byłoby kontynuowanie tego związku. Jesteśmy przecież udanym małżeństwem i na pewno nie chcielibyśmy tego utracić.

Unikała pytania, czy po powrocie z Nowego Jorku spotykał się z Claudią i czy traktował to, co pomiędzy nimi zaszło, jako jednorazową przygodę.

- Czy nie zamierzasz zwolnić jej z pracy?

- Nie mogę tego zrobić. Byłoby to nie w porządku w stosunku do niej - zaprotestował.

- Ale uważasz, że wszystko jest w porządku w stosunku do mnie, twojej żony? Dlaczego mam żyć ze świadomością, że całe dni spędzacie razem i zastanawiać się, co teraz robicie? Jeśli uważasz, że masz wobec niej jakieś zobowiązania, to możesz jej znaleźć pracę w innym biurze. Setki razy słyszałam od ciebie, jakim to ona jest świetnym pracownikiem. Masz zaprzyjaźnionych adwokatów w całym kraju. Załatw jej u któregoś z nich dobrze płatną posadę.

- Zobaczę, co będę mógł zrobić - powiedział bez przekonania.

- Proszę, zrób to - zażądała.

- To twój warunek? - westchnął ciężko.

Nie miała zamiaru ustanawiać sztywnych zasad, których przestrzeganie mogłoby uratować jej małżeństwo, ale jej żądanie do tego się sprowadzało. Do tej pory nigdy nie myślała o rozwodzie. Unikała tego słowa, które oznaczało dla niej ostateczną klęskę.

- Tak.

- Zapomnijmy o tym wszystkim - zaproponował Drew i podszedł do niej. - Razem poradzimy sobie z tą sprawą.

Kiedy podniósł ramiona, żeby ją objąć, Luz cofnęła się. Potrzebowała trochę czasu, by wyrzucić ze świadomości obraz męża trzymającego w objęciach Claudię.

- Nie, ja... jeszcze nie. - Odwróciła się ze spuszczoną głową. - Sprawdź, co z naszym obiadem.

Nie miała zupełnie ochoty na jedzenie, ale musiała w jakiś sposób przywrócić porządek domowego życia.

Następne dwa tygodnie były dla Luz niezmiernie trudne. Brała co prawda udział we wszystkich umówionych spotkaniach, ale za każdym razem przepraszała gospodarzy i wychodziła możliwie najwcześniej. Większość czasu poświęcała ćwiczeniom koni Roba, twierdząc, że zajmuje się nimi po to, aby osiągnęły szczytową formę na wiosnę, kiedy syn przyjedzie na ferie wielkanocne. Prawdziwy powód

znała tylko ona. Niekiedy miała ochotę galopować nieprzerwanie, bez końca. Niestety, tego zrobić nie mogła,

Początkowo Drew był dla niej uprzedząco grzeczny. Przez pierwszych parę dni wracał do domu zaraz po zamknięciu biura, ale potem zaczął przychodzić coraz później. Luz nie pytała go, czy postanowił coś w związku z Claudią, a on również nie kwapił się do przekazania jej jakiejś informacji. Koronkowy staniczek zniknął z domu tego pamiętnego wieczoru. Żadne z nich nie wspomniało o nim ani o okolicznościach, w jakich się pojawił.

W czasie drugiego weekendu Luz pozwoliła mężowi na zbliżenie. Pozwoliła - to odpowiednie słowo, ponieważ ona w tym akcie nie uczestniczyła, udostępniła jedynie swoje ciało, po to, by mógł osiągnąć satysfakcję. Dziwiło ją, że tak wiele się zmieniło, że stała się całkowicie obojętna na jego pieszczoty. Nigdy nie przypuszczała, że miłość może umrzeć tak szybko. Jej miejsca nie zajęła ani przyjaźń, ani nienawiść. Pozostała jedynie pustka. Nie żywiła do męża żadnych uczuć. Nie mogła pojąć, jak to się stało, obawiała się, że może dzieje się z nią coś złego.

Nie mogła obwinać Drewa za ten stan rzeczy. W każdy weekend starał się zapewnić jej rozrywki, był nadskakująco grzeczny. Wieczorami próbował nawiązać z nią rozmowę. Wypytywał ją o to, co robi. Ona zresztą też starała się, jak mogła, jednak w tym wszystkim brakowało uczucia.

Ferie wiosenne rozpoczęły się zaraz po Wielkanocy. Wraz z pojawieniem się Roba i Trishy atmosfera w domu ożywiła się nieco. Luz nie musiała już zmuszać się do grzecznych obowiązkowych rozmów z mężem. Swoją uwagę skierowała ku sprawom domowym. Ciągle jeszcze odczuwała pewne wewnętrzne napięcie, które nie ustępowało nawet w chwilach odpoczynku.

Siedziała na tarasie, delektując się przedwieczornym spokojem. Zamknęła oczy, westchnęła i opadła na miękkie oparcie kanapy. Kwietniowe słońce wisiało nisko nad horyzontem. Jego złote promienie przyjemnie grzały, ale nie potrafiły złagodzić uporczywego pulsującego bólu, który czuła w skroniach. Wzięła w rękę grubą koktajlową szklankę i przytknęła ją do czoła. Kostki lodu zanurzone w rozcieńczonej whisky zadzwoniły o szkło.

Ciszę przerwał warkot samochodu wjeżdżającego na podjazd. Luz bezwiednie otworzyła oczy i spojrzała w kierunku garażu, gdzie z piskiem hamulców zatrzymało się auto Trishy. Córka, w pomarańczowych szortach i różowej bluzce, wyskoczyła zza kierownicy. Wyszedł też z wozu Rob ubrany w dżinsowy komplet i buty do konnej jazdy. Ruszyli w stronę tylnego wejścia, ale kiedy ją zobaczyli, zmienili kierunek.

- Hej! - Trisha opadła na krzesło stojące obok jej kanapy. Uśmiechnęła się wesoło.

- Witam was. - Luz odwzajemniła uśmiech córki. Potem spojrzała na Roba stojącego obok siostry. - Jak przebiegł mecz?

Od dnia przyjazdu Rob grywał codziennie, rano i po południu, w towarzyskich spotkaniach organizowanych przez przyjaciół, amatorów polo. Stwarzało mu to możliwości intensywnego treningu.

- Dobrze. Wygraliśmy dwanaście do trzech - pochwalił się.

- On mówi dobrze? Co za fałszywa skromność? Po prostu rozgromili przeciwnika.

- Gratuluję. - Luz podniosła szklankę jak do toastu, a potem wypła spory łyk.

- Nie zaczynasz przypadkiem zbyt wcześnie? - Trisha wzruszyła ramionami z dezaprobatą. - Ostatnio pijesz znacznie więcej niż zwykle, prawda?

- Ależ nie - odpowiedziała, ale zdawała sobie sprawę, że jej przedobiedni koktajl rozrósł się do dwóch szklanek whisky. W ten sposób wypełniała czas oczekiwania na powrót męża. - Poza tym nie jest już tak wcześnie. Spójrz na zegarek, dochodzi siódma.

- Rzeczywiście - zdziwiła się Trisha. - Kiedy będzie obiad?

- O dziewiątej.

- Dlaczego tak późno? - zaprotestowała.

- Wasz ojciec powiedział, że nie wróci przed wpół do dziewiątej, a wiecie, że nie lubi zasiadać do stołu zaraz po wejściu do domu. - Luz potrząsnęła szklanką i przyglądała się wirującym w niej kostkom lodu.

- Czemu on tak długo pracuje? - mruknęła Trisha.

- Sama go o to zapytaj! - wybuchnęła Luz.

Zaskoczona tonem matki, Trisha odchyliła się do tyłu z wyrazem zdumienia i obrażonej niewinności na twarzy.

- Dobrze, ale dlaczego się tak denerwujesz? Chyba nie masz zamiaru urwać mi głowy.

- Źle się czuję. - Nie było to usprawiedliwienie zbyt mocne, chociaż prawdziwe. - Jestem pewna, że gdyby Drew tylko mógł, wracałby do domu wcześniej.

Luz zmusiła się do uśmiechu, a potem z wysiłkiem próbowała rozładować napięcie.

- Nie zdążyłam jeszcze zakomunikować wam miłej wiadomości - powiedziała wesoło.

- Uważaj, Rob! - Trisha szybko podchwyciła zmianę tematu. W jej oczach rozbłysły ogniki. - Mama zaraz oznajmi nam, że spodziewa się dziecka.

- Bynajmniej - odpowiedziała bez namysłu Luz i roześmiała się. Pierwszy raz od tygodni powiedziała coś swobodnie, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. - Już z trudem radzę sobie z wami, a poza tym nie sądzę, żebyśmy w naszym wieku, zarówno wasz ojciec jak i ja, mieli ochotę na powiększenie rodziny.

- Tak sobie tylko pomyślałam. - Trisha wzruszyła ramionami. - Ale skoro się pomyliłam, to jaką niespodziankę masz dla nas?

- Dostałam dzisiaj list od Fiony Sherbourne. Zaprasza do swojej posiadłości na czas naszego pobytu w Anglii w czerwcu. - Luz spojrzała na Roba. - Píše, że cieszyłaby się, gdybyś zagrał w turnieju w Windsor Park w drużynie Henry'ego - Siedem Dębów. Dodała też, że życzy sobie, żebyś wystąpił jako ringer, co oznacza zawodnika grającego na lepszej pozycji, niż wskazuje na to jego handicap.

- Mam nadzieję, że spełnię oczekiwania - powiedział Rob, unosząc brwi - ale nie przyjdzie mi to łatwo, jeśli weźmie się pod uwagę, że tam obowiązują inne zasady gry i że nie będę miał własnych koni.

- Różnice w przepisach nie są zbyt wielkie. W bibliotece jest podręcznik do gry w polo lorda Mountbattena. Przed wyjazdem powinieneś go dokładnie przeczytać - poradziła Luz.

- Na pewno to zrobię - obiecał poważnie, a zarazem z zapalem.

Jedyne momenty, kiedy Luz obserwowała ożywienie w oczach syna, miały miejsce w czasie szybkiej gry w polo. Jego fascynacja tym sportem była niewątpliwa i wywoływała pragnienie osiągnięcia perfekcji w grze, Cieszyła się, że stwarza mu okazję zdobycia doświadczenia na arenie międzynarodowej.

- Jeśli chodzi o konie, to Fiona pisze, że Henry kupił ostatnio osiem argentyńskich kuców. Przypuszczam więc, że będziesz mógł dobrać sobie świetne wierzchowce.

- Lepiej dowiedz się, jak po hiszpańsku pogania się konia. - Trisha szturchnęła go w udo, akurat w miejsce, gdzie trafiła go piłka w czasie meczu i zostawiła wyraźny ślad na spodniach.

- Odczep się. - Rob roztarł bolące miejsce. Zawsze drażniły go sztubackie maniery siostry.

- W jednej sprawie chciałam cię ostrzec. Rob - wtrąciła się Luz nie dopuszczając do przerodzenia się zatargu w kłótnię. - Henry przywiązuje szczególną wagę do właściwego stroju zawodnika. Pamiętam, jak kiedyś, chociaż grywali razem wielokrotnie, oburzył się na Jake'a, kiedy ten założył nieodpowiednią koszulkę. Koniecznie zabierz ze sobą sporo zapasowych ubrań. Nawet w czasie ćwiczeń musisz być ubrany poprawnie.

Luz spojrzała wymownie na wytarte džinsy i poplamioną koszulkę syna.

- Jak sądzisz, co powie Henry na temat długich loków Roba? - Trisha nie przestała dokuczać bratu. - Jeśli jest takim pedantem, to może nie pozwoli mu grać z takimi włosami. Skoro koniom do polo przycina się grzywy, to czemu by nie skrócić jego fryzury?

- Jesteś nieznośna. Czy nie mogłabyś wreszcie odczepić się ode mnie i zająć się kimś innym?

Zsunął jej na czoło daszek osłaniający twarz od słońca. Cofnęła się, zdjęła go z głowy i poprawiła włosy.

- A od czego mam starszego brata? - zapytała kpiąco.

- Luz, powiedz jej, żeby się uspokoiła. - Rob zwrócił się do matki jak zwykle w momencie, kiedy nie mógł już znieść uszczypliwości siostry.

- Nie przejmuj się. Rob, ja tylko żartuję - powiedziała zrezygnowana Trisha.

- Uspokójcie się oboje - Luz surowo spojrzała na córkę, która sprowokowała kłótnię. - Nie tylko Rob odniesie korzyści z tej wycieczki. Wczesne lato to w Wielkiej Brytanii sezon towarzyski. Oznacza to, że będziemy uczestniczyć w wielu balach i przyjęciach. Trudno sobie wyobrazić lepszą okazję dla młodej dziewczyny do zadebiutowania w stylu, który niestety jest już dzisiaj dość rzadki. Tutaj unikasz wszelkich flirtów, więc...

- Bo uważam je za beznadziejnie głupie - stwierdziła lekceważąco. - Takie imprezy nie mają sensu. Chodzi ci oczywiście o to, że spotkam tam wielu młodych mężczyzn, ale ja już znam wszystkich, którzy są „kimś”. Najbardziej cieszę się z wycieczki do Paryża, zwłaszcza że mamy w programie zakupy przy ulicy Faubourg-St-Honoré.

- No proszę - powiedział Rob ironicznie. - Przed chwilą próbowała wykazać swoją wyższość nad nami, a teraz okazuje się, że jest tak samo zachłanna jak wszyscy inni.

Luz uśmiechnęła się zadowolona, że Rob zdołał zrewanżować się Trishy za jej złośliwości, lecz szybko znów przybrała poważny wyraz twarzy i postanowiła wrócić do rozmowy.

- Znam twoje poglądy na te sprawy, ale tym razem będziesz miała okazję znaleźć się w znakomitym międzynarodowym towarzystwie i poznać wielu nowych ludzi. Fiona w czasie naszej obecności zamierza wydać wielkie przyjęcie, a poza tym otrzymamy na pewno jeszcze inne zaproszenia.

- To może być całkiem zabawne - powiedziała Trisha, nie wspominając oczywiście, że zależy jej tylko na spotkaniu jednego mężczyzny - Raula Buchanana. Zdawała sobie sprawę, że w naturze ludzkiej leży pragnienie zdobycia tego, co jest niedostępne. Może gdyby poznała go bliżej, byłaby nim rozczarowana, ale na pewno żaden mężczyzna dotychczas nie wywarł na niej tak silnego wrażenia... - Czy Drew wybiera się z nami?

- Plany się nieco zmieniły. Zamierzam pozostać w Europie dłużej, około trzech tygodni. Nie wiem, czy wasz ojciec będzie mógł na tak długo wyjechać. Niewykluczone, że dołączy do nas w Paryżu - Luz

podniosła się z kanapy. - Najwyższy czas, żeby przygotować się do obiadu.

- Za chwilę będziemy gotowi - obiecała Trisha, patrząc za oddalającą się matką. Potem spojrzała na Roba i dodała: - Czy nie wydaje ci się, że ona zachowuje się jakoś dziwnie?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał po chwili.

- Nie wiem. Wygląda na przygnębioną.

- Mówiła, że źle się czuje - przypomniał Rob.

- No tak - zgodziła się Trisha, ale wyraźnie nie była przekonana, że to jest jedyny powód. Wszystko na pozór wyglądało normalnie, lecz wyczuwała w matce jakieś ukryte napięcie, którego źródła nie była w stanie dociec.

- Słyszałem, jak dzisiaj rozpytywałaś się o tego argentyńskiego zawodnika, Raula Buchanana. O co ci chodzi?

- Ciekawa byłam, gdzie teraz gra. - Trisha wzruszyła ramionami z udaną obojętnością.

- I czego się dowiedziałaś?

- Przebywa w Retama, w San Antonio. Mniej więcej o tej porze roku odbywa się tam wielki festyn. Słyszałam, że jest ciekawszy niż w Mardi Gras w Nowym Orleanie. Chętnie bym tam pojechała.

- Piękne marzenie - uśmiechnął się Rob - ale Luz nigdy by ci nie wybaczyła, gdybyś nie wzięła udziału w wielkanocnym zjeździe Kincaidów. Mogłaby ci przepaść wycieczka do Paryża.

- Wielkanoc! - Trisha uśmiechnęła się do własnych myśli. - Kincaidowie rozmnożyli się jak króliki. Może to i zabawne, patrzeć, jak najmłodszy z nich, zgodnie ze zwyczajem, szukają ukrytych świątecznych prezentów.

Obecność wszystkich członków rodziny Kincaidów przy wielkanocnym stole była absolutnie obowiązkowa. Od zasady tej nie było żadnych wyjątków, chyba że któryś z nich służył w wojsku, a wpływy Kincaidów nie były w tych sferach na tyle silne, by uzyskać zwolnienie.

Audra chciała w każde święta gościć w swym domu całą rodzinę: synów, córki i wnuki, ale na Wielkanoc życzenie to stawało się rozkazem.

Przyjechali więc w komplecie, a ostatnio pojawiły się również prawnuki. Program całego dnia był ściśle ustalony i zaczynał się o świcie poszukiwaniem ukrytych prezentów, potem odbywało się uroczyste śniadanie, następnie na plaży gra w piłkę, w której uczestniczyli zarówno dorośli jak i dzieci, kąpiel w morzu, a późnym popołudniem ognisko. Wieczorem wszyscy byli tak zmęczeni, że wystarczało im już sił tylko na niezobowiązującą rozmowę.

Luz uważała, że wybór Wielkanocy na tego typu spotkania ma dla matki znaczenie symboliczne - oznacza umocnienie rodziny jako wspólnoty. W tym dniu razem spożywali posiłki i razem się bawili. Stanowili niesforną, hałaśliwą grupę, niekiedy zbyt głośną. Dlatego właśnie Luz znalazła sobie miejsce na szerokim tarasie, z którego rozciągał się widok na ocean i plażę, gdzie jedni grali w piłkę, inni leżeli pod szerokimi parasolami, doglądając bawiących się w piasku dzieci, jeszcze inni zmagali się z uderzającymi o brzeg falami. Tutaj głośne rozmowy, okrzyki i śmiechy nie docierały tak wyraźnie, pozwalając jej odetchnąć od hałasu, zamieszania i tłoku.

- Aha, przyłapałam cię wreszcie - rozległ się żartobliwie brzmiący głos. Luz odwróciła się i z ulgą stwierdziła, że należy on do Mary. - Nie wstyd ci tak nas unikać? Można by pomyśleć, że nie odpowiada

ci nasze towarzystwo.

- Chciałam przez chwilę odetchnąć w spokoju - odparła Luz. - Ale powiedz mi, czemu ty wymknęłaś się z objęć rodziny? Czyżbyś koniecznie chciała mnie odszukać?

- W ten sposób będę się tłumaczyć - odpowiedziała

Mary, opierając się o balustradę tarasu. - Każdy powód jest dobry, by zaznać odrobiny ciszy i spokoju. Czy nie jest cudownie oderwać się od nich choć na chwilę?

- Masz rację - zgodziła się Luz.

- Spójrz! Akurat ten mały potwór, synek Julii, ruszył w stronę morza - zawołała Mary, wskazując ręką na dziecko, które co sił w nogach pędziło w kierunku zbliżającej się fali. Na szczęście jeden z kilkunastoletnich chłopców pilnujących maluchów zdołał go złapać, zanim ten zamoczył sobie nogi. - Pamiętasz, jak to było z naszymi dziećmi? Dziesięć par oczu nie wystarczało, żeby je upilnować.

- Pamiętam. Na szczęście byliśmy wtedy młode, inaczej umarłybyśmy na serce.

Podmuch wiatru rzucił kosmyk włosów na usta Luz. Odwróciła twarz w stronę morza i potrząsnęła głową, pozwalając słonej bryzie odgarnąć go do tyłu.

- Gdzie się podziewa Drew? Jakoś go nie widzę.

- Pływa w morzu.

Nawet z tej odległości łatwo mogła rozpoznać głowę męża pośród innych kołyszących się na falach. Dwa pasma siwych włosów ułatwiały odróżnienie go.

- Luz, jesteś jakoś dziwnie milcząca.

- Tak sądzisz? - zapytała. Zdziwiła ją niezwykła spostrzegawczość siostry.

- Nie mówię o chwili obecnej, ale przez cały dzień, nawet w momencie największego zamieszania, sprawiałaś wrażenie zamyślanej. - Mary spojrzała pytająco na siostrę. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl. - Czyżbyś wciąż dręczyła się z powodu tej niemądrej uwagi Trishy?

- Czy to nie dziwne? - głośno pomyślała Luz. - Zupełnie o tym zapomniałam.

- W takim razie, o co chodzi?

Luz zawsze zwierzała się siostrze ze swych tajemnic. Tym razem co prawda nie miała zbyt wielkiej ochoty dzielić się z nią swymi sekretami, ale skoro już doszło do tej rozmowy, postanowiła być szczerą.

- Drew miał romans z tą Claudią Baines. Stało się to w czasie ich pobytu w Nowym Jorku. Dowiedziałam się o tym przez przypadek. Zapewnia mnie teraz, że już wszystko skończone.

- Czyżbyś mu nie wierzyła?

- Nie wiem - Luz westchnęła głęboko. - Claudia! Ile razy słyszę to imię, czuję ukłucie w sercu.

- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego kobiety zostają kochankami. To prawda, że w takiej sytuacji nie spoczywa na nich żadna odpowiedzialność, nie mają żadnych zobowiązań i nie muszą znosić kłopotów codziennego wspólnego życia. Romans ma jednak poważne minusy. Kobieta rzadko może się widywać z ukochanym, czasami, jeśli on ma na to ochotę, spotykają się w weekendy, ale już nigdy w święta. Kochanek pójdzie z nią do łóżka, ale na noc wróci do domu. Zawsze żona, dzieci i praca będą dla niego ważniejsze. Ona zajmuje ostatnią pozycję na liście ważnych dla niego spraw. Kobiety, które wdają się w coś takiego, muszą mieć pewną skłonność do masochizmu.

- Drew jest w niej zakochany.

- Możesz to uznać za korzystne dla siebie. Taki stan nie trwa długo.

- Ale weź pod uwagę, jakie przynosi szkody. - Luz pomyślała, jak bardzo ten romans oddalił ich od siebie. Zwróciła się do Mary. - Nikomu o tej sprawie nie mówiłam. Byłoby dla mnie nie do zniesienia, gdyby moje dzieci dowiedziały się o tym.

- Nie powiem o tym nawet mężowi. Nie chcę podsuwać mu takich pomysłów - zażartowała.

- Dziękuję ci.

Luz spojrzała w stronę morza, szukając wzrokiem męża. Był już na brzegu, osuszał się ręcznikiem. Potem zarzucił go na szyję i pobiegł w kierunku kabiny z prysznicami, stojącej na plaży, ale bliżej domu.

Kiedy zauważył żonę na tarasie, pomachał ręką i zawołał:

- Wezmę prysznic i przebiorę się, a potem napijemy się czegoś.

Zanim zniknął w kabinie, Luz potwierdzająco pomachała ręką. Pomyślała, że może nadszedł już czas, aby wykonać jakiś pojednawczy gest.

- Przygotuję drinki i zaniosę je na dół.

- Ja raczej zostanę tutaj i będę delektować się spokojem - powiedziała Mary.

Po przygotowaniu napojów Luz ruszyła w dół bocznymi schodkami, które łączyły kabinę z głównym budynkiem. Schodziła wolno, starając się nie rozlać drinków. W gumowych plażowych klapkach poruszała się po drewnianych stopniach niemal bezgłośnie.

Kiedy wreszcie otworzyła tylne drzwi do kabiny i weszła do wnętrza, dobiegł ją głos męża. Zastanowiło ją, że nie słyszy jego rozmówcy. Zaskoczona zostawiła otwarte drzwi i po wyłożonych chodnikiem stopniach weszła do pomieszczenia rekreacyjnego.

Drew stał odwrócony do niej tyłem. Miał na sobie gruby kąpielowy szlafrok. Z ramion zwiślał mu ręcznik. Kiedy zobaczyła słuchawkę w jego dłoni, zrozumiała, dlaczego słyszała tylko jedną osobę. Znieruchomiała.

- Ależ na pewno - zapewnił kogoś, a po dłuższej przerwie dodał: - Będę na pewno. Do widzenia. Pa!

Intymny, ciepły ton jego głosu powiedział Luz więcej niż pozbawione większego znaczenia słowa. Kiedy odłożył słuchawkę, była rozwścieczona do szaleństwa.

- Z kim rozmawiałeś? - spytała ostro.

Zaskoczony Drew odwrócił się z wyrazem zdumienia i poczucia winy na twarzy.

- To była pomyłka. Ktoś chciał mówić z panem Caryles - opanował się szybko.

- Ty przekłety kłamco! - krzyknęła ochryplym głosem i cisnęła szklanką w kierunku jego głowy. Kostki lodu i napój rozprysnęły się w powietrzu. Drew uchylił się, a szklanka z hukiem eksplozji pękającego szkła roztrzaskała się o ścianę.

- Luz, na litość boską...

Nie chciała słuchać tego, co ma jej do powiedzenia.

- To do niej dzwoniłeś, prawda? Rozmawiałeś z Claudią, tak? - Głos jej drżał od tłumionej furii.

- Przecież mówiłem ci...

- Wiem, co mi mówiłeś. - Z daleka usłyszała śmiech i okrzyki dzieci przenikające przez oszkloną ścianę kabiny. Wróciła jej świadomość tego, gdzie się znajduje, i lęk przed pojawieniem się kogoś z rodziny. Z całej siły starała się opanować. - Stało się już dla mnie zupełnie jasne, że twoje słowa nic nie znaczą. Myślę, że nie jest to najlepsza pora i miejsce na rozmowę. Nie teraz, kiedy Trisha i Rob są tutaj. Porozmawiamy później.

- Myślę, że to rozsądne - powiedział cicho.

- Ale zapamiętaj sobie, Drew. Jeśli ty nie potrafisz się jej pozbyć, to ja się tym zajmę. - Energicznie postawiła drugą szklanę na stoliku, rozpryskując część jej zawartości; potem podeszła do rozsuwanych drzwi prowadzących na plażę. Na progu zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię. - Zadzwoń lepiej po służącą, żeby uprzątnęła szkło.

Wyszła z kabiny i ruszyła wolno w kierunku morza. Bryzgi fal pryskały jej na twarz.

9

Z kaskiem, rękawiczkami i szpicrutą w ręku Luz wyszła z garażu i zmierzała w stronę domu. Była zmęczona, ale uczucie to sprawiało jej przyjemność. Starła się rozluźnić ciągle jeszcze napięte mięśnie, odchyliła do tyłu głowę i pozwoliła lekkiej bryzie chłodzić skórę szyi. Włosy swobodnie spływały jej na ramiona.

Wczesny wieczór, kiedy słońce wisiało nad horyzontem, a nocna rosa nie zwilżyła jeszcze murawy, był najdogodniejszą porą do trenowania koni Roba. Nawet najlepsze kuce wymagają ciągłych ćwiczeń takich podstawowych umiejętności jak zatrzymywanie się, cofanie i zwroty, po to, by korygować nawet drobne złe nawyki, które łatwo mogą się pojawić. Intensywny trening wymagał od Luz pełnej koncentracji, nie pozostawiał ani chwili na rozmyślanie i uzalanie się nad sobą. Praca z końmi stała się dla niej najlepszym lekarstwem.

Dzisiaj tego rodzaju terapia potrzebna jej była bardziej niż kiedykolwiek. Rano Rob i Trisha wyjechali do swoich szkół, co oznaczało, że wieczór spędzi w towarzystwie męża. W taki czy inny sposób Claudia musi zniknąć z naszego życia, postanowiła.

Weszła do domu przez otwarte drzwi prowadzące z tarasu do salonu. Kiedy znalazła się w środku, usłyszała stukanie kostek lodu o szklanę. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w okolicach barku. Po długim przebywaniu na słońcu jej oczy z trudem przystosowały się do panującego w salonie półmroku.

- Drew! - ze zdumieniem rozpoznała męża. - Co robisz w domu tak wcześnie? A gdzie twój samochód? Nie widziałam go w garażu.

- Zaparkowałem go przed głównym wejściem.

Drew z wyrazem skupienia mieszał napój w szklance. Kostki lodu stukały o szkło.

- Ach tak...

Przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego nie widziała brązowego Mercedesa.

- Powinniśmy wreszcie ze sobą porozmawiać - oznajmił.

- Masz rację. Nie należy z tym dłużej zwlekać.

Odłożyła na krzesło trzymany ciągle w ręku ekwipunek do konnej jazdy i podeszła do barku. Ręce wsunęła do kieszeni spodni.

- Doszedłem do podobnego wniosku. - Drew wypił spory łyk trunku. - Zwolniłem na dzisiejszy wieczór kucharkę. Wiem, że Emma ma wolny dzień. Uważam, że naszą rozmowę powinniśmy odbyć bez świadków.

- Myślę, że tak. - Luz miała nadzieję, że rozmowa nie zamieni się w awanturę.

Drew oparł ręce o kontuar barku.

- Luz, chcę się z tobą rozwieść.

Miała wrażenie, że podłoga usuwa się spod jej stóp. Spośród wszystkich słów, które mogła od niego usłyszeć, najmniej spodziewała się tak okrutnego stwierdzenia. Wstrząs, jakiego doznała, sprawił ją w odrętwienie.

- Nie - wyszeptała.

- To najbardziej przykre słowa, jakie kiedykolwiek musiałem wypowiedzieć. Luz, nigdy nie chciałem cię zranić. Kocham cię i zawsze będę cię kochał. To się nigdy nie zmieni.

- No więc... dlaczego?

Odrętwienie powoli mijało. Jego miejsce zajmował ból, szalony ból, trudny do zniesienia. Od chwili, kiedy dowiedziała się o romansie męża, wydawało jej się, że utraciła całe uczucie do niego, że bardziej już zranić jej nie może, ale ból, który poczuła po usłyszeniu jego słów, był wprost rozdzierający.

- Ponieważ kocham Claudię. Nie mogę rozstać się z nią. Nie mogę oddalić jej od siebie. Uwierz mi, próbowałem, ale łączy mnie z nią coś szczególnego, niezwykłego. Nie mogę oczekiwać od ciebie, żebyś rozumiała, jak bardzo ją kocham.

- Mój Boże, Drew! Ona mogłaby być twoją córką. Jesteś szalony - krzyknęła.

- Różnica wieku... nie ma tu znaczenia. Początkowo trochę mnie to dręczyło, ale kiedy jesteśmy razem, zapominamy o tym. To już dawno przestało być ważne.

- A co będzie za dwadzieścia lat? - Luz broniła się desperacko. Lęk, który odczuwała, przerodził się w panikę, on nie może tego zrobić, nie może zniszczyć w ten sposób ich wspólnego życia. - Na litość boską Drew, zastanów się, co ty mówisz?

- Rozważyłem wszystko. W ciągu ostatnich kilku tygodni myślałem tylko o tym. To nie jest decyzja podjęta pochopnie. Proszę cię, zrozum mnie.

- Zrozumieć... - głos uwiązł jej w gardle. Niewiele brakowało, by z jej ust wydarł się szloch. - Niweczysz dwadzieścia jeden lat naszego wspólnego życia. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

Pochylił głowę. Siwe pasma w jego włosach zdawały się kpić z niej.

- Nie ułatwiasz w ten sposób naszego rozstania - powiedział, potrząsając głową.

- Jesteś ohydny draniem. - Ból był tak silny, że momentami traciła oddech. Napadła na niego z desperacją rannego zwierzęcia. - Uważasz więc, że powinnam ułatwić ci porzucenie mnie, żebyś bez kłopotów mógł pójść do tej młodej dziwki?

- Nie używaj wyzwisk. To poniżej twojej godności.

Widziała z wyrazu jego twarzy, że nie będzie tolerował dalszego obrażania Claudii.

- Jak wobec tego mam ją nazwać? - Luz usłyszała w swoim głosie nutę hysterii, ale nie była w stanie opanować się. Nastąpiła eksplozja bólu, lęku i gniewu. - Tę czarującą młodą damę, która podstępnie ukradła mi męża? Ona jest podstępna... dziwką. Oszukać może ciebie, ale nie mnie. Zdobyła ciebie w ten sam sposób, jak swój prawniczy dyplom - w łóżku.

Drew zacisnęła mocniej dłonie na szklance. Przez moment Luz obawiała się, że ją uderzy. W sekundę później jego twarz wyrażała już lodowaty spokój.

- Mogłem się spodziewać po tobie takiej reakcji. Nie potrafisz przyznać, że Claudia jest na tyle inteligentna, by osiągnąć coś samodzielnie, ponieważ ty otrzymałaś wszystko bez najmniejszego wysiłku. Obawiasz się każdej niezależnej kobiety takiej jak ona i starasz się ją poniżyć. A tak dla twojej wiadomości, Claudia uzyskała dyplom *magna cum laude* i chyba nie sądzisz, że mogła go zdobyć

sypiając ze swymi profesorami.

Odwróciła się, by ukryć łzy napływające jej do oczu. Czowała się pokonana. Nie wiedziała, co zrobić, jak dotrzeć do niego i przerwać ten koszmar. Przecież musi istnieć jakiś sposób uratowania ich małżeństwa.

- Nie rób tego, Drew - powiedziała błagalnym tonem. Łzy popłynęły jej po policzkach. - Jesteś mi potrzebny.

- Nie, ty mnie nie potrzebujesz i nigdy nie potrzebowałaś.

- To nieprawda - zawołała.

Kiedy jednak spojrzała na jego twarz, skrzywioną sardonicznym uśmiechem, pomyślała, że on istotnie tak sądzi.

- Sama wiesz, ile razy przypominano mi, jakie to miałem szczęście, żeniąc się właśnie z tobą. Przez całe lata ludzie zwracali się do mnie z pytaniem: „To pan jest tym prawnikiem, zięciem Jake’a Kincaida?” W końcu sam wypracowałem sobie mocną pozycję, ale ty nigdy nie potrzebowałaś mojego nazwiska. Bóg mi świadkiem, że pieniędzy masz więcej, niż ja zarobiłem przez całe życie. Świetnie poradzisz sobie beze mnie.

- Ale ty jesteś moim mężem!

- Powiedziałaś to tak, jakbyś mówiła: moje futro, mój naszyjnik. Nie jestem przedmiotem, który możesz na siebie założyć - stwierdził z naciskiem - a od jutra nie będę już także twoim mężem. Możesz zatrzymać sobie wszystko z wyjątkiem moich osobistych rzeczy. Zabieram też samochód. Jeśli chodzi o inne problemy, które wynikną, proponuję ci porozumieć się z Arturem Hillem, prowadzącym od lat sprawy Kincaidów, lub z kimkolwiek innym. Poproś, by przygotował dokumenty dotyczące podziału naszych nieruchomości i aktywów, w których posiadanie weszliśmy w czasie trwania małżeństwa. Powiedz mu, żeby skontaktował się z moim współnikiem Billem Thorndyke, a on przygotuje w moim imieniu odpowiednie papiery.

Wszystko to zabrzmiało jak ostateczna decyzja. Luz nie mogła uwierzyć, że Drew tak skrupulatnie wszystko przemyślał i potrafi bez cienia żalu odejść od niej po tylu wspólnie przeżytych latach. Cały jej świat rozpadł się w gruzy. Nie wiedziała, co dalej robić.

- Dzieci! - desperacko sięgnęła po ostatni argument. - Co z nimi? Zastanowiłeś się, jak to na nie wpłynie?

- Sama mówiłaś mi któregoś dnia, że oboje są już prawie dorośli. Moim zdaniem są na tyle dojrzały, że potrafią zrozumieć to, co się zdarzyło. Małżeństwa niekiedy się rozpadają.

- Ale nie moje! - Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Wszystko skończone. Luz. Cokolwiek powiesz, i tak nic nie zmienisz. - Wypił ostatni łyk napoju i odstawił szklanekę. - Lepiej będzie dla nas obojga, jeśli się szybko z tym pogodzimy.

- Jak mogę to zrobić? - Otarła ręką łzy spływające jej po policzkach. - Powiedziałeś, że mnie kochasz. Jeśli to prawda, to dlaczego chcesz rozwodu? Wydaje ci się teraz, że jesteś zakochany... w niej. Co będzie, jeśli się mylisz? A jeśli okaże się, że to tylko chwilowe zaślepienie? Nie uważasz, że powinieneś jeszcze zaczekać i, zanim zerwiesz małżeństwo, przekonać się, czy to uczucie jest trwałe? Być może za rok będziesz się zastanawiał, co takiego w niej zobaczyłeś. Wszystko przeminie i nasze życie znowu może wrócić do normy.

- Nie, Luz. Nie rozumiesz mnie - powiedział tonem tak stanowczym, jak gdyby jej argumenty trafiały w próżnię. - Nawet jeśli miałbym jakiegokolwiek wątpliwości co do moich uczuć, nie zmieniłbym swojego postanowienia. Claudia jest w ciąży. Ze mną.

- Och, nie! - Luz cofnęła się o krok.

- Nie zamierzałem mówić ci o tym dzisiaj, ponieważ uważałem, że nie to jest decydujące. Chcę rozwodu po to, by móc ożenić się z Caludią, gdyż ją kocham, a nie dlatego, że urodzi moje dziecko. Powiedziałem to, bo chciałem ci uświadomić, że nawet gdybym się z nią nie ożenił, nasze życie byłoby już inne. Nie moglibyśmy zapomnieć o tym, że mam nieślubne dziecko.

Głos męża dobiegał do Luz jakby z oddali. Oszłomiły ją słowa, które zapowiadały upokorzenie i zażenowanie zarówno dla niej, jak i dla Roba i Trishy.

- Ona może przecież... przerwać ciążę albo urodzić dziecko i oddać do adopcji.

- To jest jej ciało i do niej należy decyzja, czy chce, czy nie chce aborcji. Nie do ciebie i nie do mnie - stwierdził oschle Drew.

- Jesteś prawnikiem. Namów ją do tego.

- Nawet nie będę próbował - powiedział zdecydowanym tonem i odszedł od barku. - Claudia pragnie tego dziecka.

- Mylisz się. Ona pragnie ciebie.

- Kocham ją i sam zamierzam wychowywać swoje dziecko, a nie oddawać je komuś obcemu.

Luz miała wrażenie, że ściany salonu runęły na nią. Poczula się bezsilna i bezradna jak zagubione dziecko, które nie potrafi odnaleźć drogi do domu, zbyt przerażone, żeby krzyczeć, cały lęk zamykające w sobie.

- Przykro mi. Luz. Naprawdę bardzo mi przykro, że tak się stało.

Minęła chwila, zanim zorientowała się, że Drew ruszył w stronę drzwi. Pobiegnęła za nim.

- Dokąd idziesz? Nie możesz odejść! - krzyknęła.

- Nie mogę tutaj zostać. - Stał, ale wydawało się, że wyrosła pomiędzy nimi niewidzialna bariera, która sprawiła, że nie odważyła się wyciągnąć ręki i złapać go za ramię. - Zapakowałem już swoje ubrania. Są w samochodzie. Pozostałe rzeczy zabiorę innym razem. Do widzenia, Luz.

Stała bez ruchu, jak wrośnięta w podłogę, podczas gdy Drew przeszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Jego ubrania są w samochodzie! Były tam, kiedy przyszedłem do domu, myślała. Nie miałam więc najmniejszej szansy, by zmienić jego decyzję. Poczula się głęboko zawstydzona, że zapominając o swojej dumie i godności, próbowała go zatrzymać.

- A więc jedziesz teraz do niej, prawda? - zawołała z goryczą w głosie. - Chcesz zamieszkać z tą nędzną ladacnicą, którą poderwałeś. Czy nie tak?

Drew zatrzymał się na moment w otwartych drzwiach i spojrzał na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

- Jeśli z jakichś powodów zechcesz skontaktować się ze mną, dzwoń do biura. Tam powiedzą ci, gdzie można mnie znaleźć - powiedział obojętnym tonem.

- Ty draniu! Wynoś się! Wynoś się z mojego domu.

Schwyciła stojący na stoliku wazon z kwiatami i cisnęła nim w drzwi, które już zamknęły się za nim. Za wazonem poszybowały w tym samym kierunku porcelanowe figurki, parasolki, kolorowe magazyny - wszystko, co znalazło się w zasięgu jej rąk. Towarzyszył temu strumień najgorszych obelg i przekleństw.

Nie usłyszała trzaśnięcia drzwiczek samochodu ani warkotu silnika. Kiedy nie miała już czym rzucać, jej furia zaczęła przygasać. Przykucnęła na najniższym stopniu schodów i objęła słupek poręczy.

- Nie rób mi tego, Drew, nie zostawiaj mnie - szepnęła bezradnie.

Łzy popłynęły z jej oczu. Powoli płacz narastał do rozdzierającego szlochu. Rana, którą jej zadał, była zbyt głęboka, zbyt bolesna. Nic nie mogło złagodzić cierpienia. Płakała więc, aż osiągnęła stan całkowitego wyczerpania i odrętwienia.

Z ulgą przyjęła zapadającą ciemność. Ukryła swą rozpacz w mroku nocy, chroniąc się w ten sposób przed światem, a to było jej teraz najbardziej potrzebne.

Ostry dźwięk rozdarł nagle ciszę. Minał dłuższy czas, zanim Luz uświadomiła sobie, że to dzwoni telefon. Najpierw odruchowo chciała się podnieść, ale szybko powróciła do stanu ośpienia, próbując nie dopuścić do świadomości uporczywego hałasu.

W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że to telefonuje Drew. Może chce powiedzieć, że zmienił decyzję? Podbiegła do aparatu, potykając się o leżące na podłodze przedmioty i okruchy szkła. Bała się, że mąż odłoży słuchawkę, zanim ona dobiegnie do telefonu. Zdażyła.

- Halo - powiedziała ochryłym głosem.

- Już zaczęłam podejrzewać, że nie ma nikogo w domu - Luz usłyszała kobiecy głos. - Mówi Connie Davenport. Chciałam rozmawiać z panią Thomas.

- Jeszcze nie wróciła - odpowiedziała po dłuższej chwili i przerwała połączenie, zanim przyjaciółka zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Ciemność stawała się coraz gęstsza. Luz sięgnęła do mącznika i zapaliła światło. Telefon znowu zaczął dzwonić. Tym razem zignorowała ten fakt. Ruszyła w stronę schodów. Okruchy szkła chrzęściły pod jej stopami. Usłyszała nagle jakiś hałas w głębi domu i zatrzymała się. W tym samym momencie telefon przestał dzwonić, jak gdyby ktoś podniósł słuchawkę równoległego aparatu. W pierwszym momencie zaniepokoiła się, ale jakaś część jej świadomości podpowiedziała jej, że to zapewne Emma wróciła do domu. Nie miała ochoty spotkać się z nią. Nie chciała nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Weszła na schody. Pragnęła uniknąć pytań, na które nie potrafiła jeszcze odpowiedzieć.

- Dzwoni pani Davenport. Prosi panią... - Emma Sanderson zatrzymała się w drzwiach salonu. Jej kamienny zazwyczaj spokój został nagle zakłócony widokiem zniszczeń, jakie ujrzała. Wzburzona, zapłakana twarz Luz dopełniła obrazu. - Mój Boże! Co się stało? Czy nie powinnam wezwać policji?

- Nie - odpowiedziała ponuro Luz.

Odwróciła się w stronę schodów, pragnąc ukryć przed Emma twarz. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie potrafiłaby nikomu wyjaśnić, dlaczego Drew porzucił ją... dla młodszej, wykształconej kobiety.

- Czy... jest pani pewna? Jeśli ktoś wyrządził pani krzywdę...

Wyrządził krzywdę - te słowa zabrzmiały tak łagodnie, że Luz prawie się uśmiechnęła. Zrujnował życie - byłoby tutaj znacznie lepszym określeniem.

- Nie, Emmo - odparła, wchodząc na schody. - Nie chcę z nikim rozmawiać... z wyjątkiem Drewa. Gdyby zatelefonował, to będę na górze.

Ciągle jeszcze żywiła nadzieję, że mężowi powróci zdrowy rozsądek, że oszczędzi jej upokorzeń i wróci do niej.

- Może powinnam do niego zadzwonić?

- Nie - powiedziała z naciskiem. Prosiła go przecież bezskutecznie, żeby nie odchodził. Nie będzie go teraz błagała, żeby wrócił.

Wspięła się po schodach na górę i weszła do saloniku. Zamknęła za sobą drzwi, próbując odizolować się na dłużej od otaczającego ją świata. Zajrzała do sypialni Drewa. Szuflady komody były wysunięte, szafa otwarta. Zniknęły wszystkie jego ubrania, nie pozostał żaden osobisty przedmiot. Pokój wyglądał na pusty i porzucony, podobnie jak ona. Powoli przeszła do swojej sypialni.

Przez cztery dni pozostawała zamknięta w czterech ścianach swego pokoju. Nie odbierała telefonów, posiłki odsyłała prawie nietknięte. Nikt ze służby, nawet Emma, nie komentował nieobecności Drewa czy braku jego rzeczy, lecz oczywiste było, że wszyscy domyślają się prawdy. Siedziała godzinami nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń. Płakała, dopóki nie zabrakło jej łez. Nocami chodziła po pokoju przepełniona goryczą i gniewem. Nienawidziła go i przysięgała, że nigdy nie pozwoli mu wrócić, choćby nawet czołgał się u jej stóp.

Ilekczo zobaczyła w lustrze swą bladą i ściągniętą twarz z wyraźnymi, pogłębionymi bezsennością zmarszczkami, jej niechęć do męża rosła. Wszystkie spędzone razem lata uznał za niebyłe, odrzucił wszystko dla kogoś młodszego. Czy ona, czterdziestodwuletnia kobieta z dorosłymi dziećmi może spodobać się jakiemuś mężczyźnie? Gustują zazwyczaj w dwudziestoletnich nimfach, dzięki którym znów czują się młodzi. Nieraz widziała rozpaczliwie samotne, rozwiedzione kobiety w średnim wieku, spragnione ciepłych uczuć. Nie chciała być jedną z nich.

Czekała więc, ciągle jeszcze mając nadzieję, że DREW wróci, zanim wszyscy dowiedzą się o jego odejściu. Starła się odwlec moment, kiedy będzie musiała powiedzieć komuś, że została porzucona przez męża. Bała się spotkania z przyjaciółmi, ale jeszcze bardziej przerażała ją perspektywa rozmowy z Robem i Trishą. Ktoś zapukał do drzwi sypialni.

- Proszę odejść. Nie życzę sobie, żeby mi ktoś przeszkadzał - powiedziała ostro.

Polecenie nie zostało spełnione. W otwartych drzwiach pojawiła się Emma. Podeszła do Luz i wręczyła jej grubą kopertę.

- To przyszło z dzisiejszą pocztą. Wydaje mi się, że to coś ważnego - oznajmiła i wycofała się z pokoju, zostawiając Luz z listem w ręku.

W lewym górnym rogu koperty wydrukowana była nazwa i adres nadawcy: Thomas, Thorndyke i Wall. Mechanicznie rozdarła kopertę i wyjęła list wyglądający na pismo urzędowe. Nie musiała go czytać. Wiedziała, że jest to formalne zawiadomienie o wystąpieniu przez Drewa z wnioskiem o separację. A więc nie wróci!

Trzymając w ręku list, zeszła do salonu na parterze. Zatrzymała się przy barku. Pierwszy drink smakował jej jak woda. Przyrządziła drugi, mocniejszy i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Mówi Leslie Thomas, córka Jake'a Kincaida. Chciałam rozmawiać z panem Arturem Hillem - wypięła spory łyk, czekając na zgłoszenie się adwokata. Kiedy się odezwał, przedstawiła mu swoją sprawę, informując go jedynie o absolutnie niezbędnych szczegółach.

- Odradzałbym ci zbyt pochopne działanie. - Artur Hill znał całą rodzinę od lat i przemawiał do niej prawie jak ojciec. - Doprowadzenie do zgody jest zawsze możliwe i na pewno korzystne.

- Nie - odpowiedziała chłodnym, zdecydowanym tonem. - Chcę, żeby doszło do rozwodu w sposób spokojny, ale bez żadnej zwłoki.

Odczuwała silne pragnienie rewanzu, choć zdawała sobie sprawę, że jeśli dojdzie pomiędzy nimi do ostrego konfliktu, to ona straci na tym więcej niż Drew. Kiedy przed sądem pojawi się ciężarna Claudia, najprawdopodobniej pozyska sympatię publiczności. Nie mogła dopuścić do wystawiania siebie na takie pośmiewisko. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo Rob i Trisha przeżyliby takie upokorzenie. Szybkie i spokojne rozstanie było najlepszym rozwiązaniem. W końcu adwokat zgodził się z nią.

Ledwie odłożyła słuchawkę, rozległ się dzwonek u drzwi. Nie przejmując się tym, zaczęła przygotowywać sobie kolejnego drinka. Po chwili usłyszała kroki Emmy w korytarzu, a potem władczy głos matki.

- Musiałam przyjechać, żeby wreszcie sprawdzić, co się tutaj dzieje. Uparcie odmawiała pani wezwania mojej córki do telefonu. Teraz proszę bezzwłocznie zaprowadzić mnie do niej.

Luz przez ostatnie trzy dni nie interesowała się, kto do niej dzwoni, ale wcale nie zdziwiło jej, że jedną z tych osób była matka.

- Bardzo mi przykro, ale pani córka stanowczo nie pozwala się niepokoić. - Emma z szacunkiem, ale nieustępliwie zagroziła drogę pani Kincaid.

- Emmo! Jestem w salonie - zawołała Luz, by nie dopuścić do awantury, która zawisła w powietrzu.

Do pokoju weszła matka, a za nią Mary. Dobrze, że przyszły razem, pomyślała Luz. Przynajmniej nie będę musiała dwukrotnie wszystkiego opowiadać.

- Cieszę się, że was widzę. Co ci przygotować, Audro? Dżin z tonikiem?

- Jest dopiero druga po południu. To o wiele za wcześnie na picie alkoholu. - Audra wyjęła z ręki córki szklankę i energicznie postawiła ją na stoliku.

- To jest mój dom i będę piła, kiedy zechcę. - Luz wzięła szklankę i podeszła do barku, by uzupełnić jej zawartość.

Audra skrzywiła się z dezaprobatą, ale nie zaprotestowała.

- Czy jesteś chora? Od kilku dni nie chciałaś z nikim rozmawiać - zapytała, przyglądając się z niepokojem wymizerowanej twarzy córki.

- Nie. - Luz dorzuciła kilka kostek lodu do szklanki. - Po prostu nie miałam ochoty na rozmowy.

- Według mnie powinnaś się pokazywać, kontaktować z ludźmi, żeby uciszyć plotki o waszych małżeńskich kłopotach - powiedziała Audra.

- Dlaczego? Przecież to prawda. - Luz unikała wzroku siostry, bojąc się, że ona potrafi dostrzec, co kryje się pod jej pozornie swobodnym zachowaniem. - Rozmawiałam właśnie z Arturem Hillem i poleciłam mu rozpocząć postępowanie rozwodowe. Jak widzicie, jest coś, co powinnam uczcić niewielkim drinkiem.

Podniosła szklankę jak do toastu.

- W każdej chwili możesz jeszcze zatelefonować do niego i powiedzieć, że zmieniłaś zdanie.

- Kiedy to nieprawda. - Wypiła spory łyk. Z przyjemnością poczuła, jak mocny alkohol rozgrzewa jej przelyk.

- W rodzinie Kincaidów nigdy nie było rozwodów - stwierdziła Audra.

- W takim razie mój będzie pierwszy, nieprawdaż? - Nie mogła już dłużej udawać obojętnej. Z goryczą w głosie dodała: - Nie chciał dłużej być ze mną. Zakochał się w innej, młodszej kobiecie. Zostanie mi przynajmniej ta satysfakcja, że to ja wystąpię o rozwód.

- Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy jest zakochany w tobie, czy w kimś innym. Nic takiego nie może usprawiedliwić zerwania małżeństwa. Jego romans to sprawa przelotna i dla dobra rodziny powinnaś to przeczekać.

- Tak jak ty przetrzymywałaś romanse ojca. - Luz bezlitośnie przypomniała matce niewierność męża. - Wydaje ci się, że ktoś podziwiał cię za to, że pozwalałaś robić z siebie idiotkę? Śmiali się za twoimi plecami i z politowaniem kiwali głowami nad twą naiwnością. Wasze małżeństwo było farsą, a ty odgrywałaś w niej rolę błazna. Niezależnie od tego w jak przykrew znajdę się sytuacji, nie chcę stać się kimś takim jak ty. Na samą myśl o tym czuję się chora.

Audra zbladła. Luz widziała wcześniej, co się dzieje, ale nie mogła przerwać swego mściwego ataku. Nagle poczuła piekący ból, kiedy dłoń matki trafiła ją w policzek. Uderzenie było na tyle silne, że odrzuciło jej głowę do tyłu. Zastygła na moment w tej pozycji.

- Nie przepraszę cię, Audro. - Luz oddychała głęboko, starając się opanować. - Powiedziałam, co czuję.

- Luz! - Mary przerwała ciszę. - Czy nie jesteś zbyt porywcza? Przecież w ciągu paru miesięcy Drew może dojść do wniosku, że dla tej kobiety nie warto poświęcać domu i rodziny. Nie ma co spieszyć się z rozwodem.

- Uważasz więc, że powinnam dać mu szansę, żeby znowu kpił sobie ze mnie? - Tym razem nie musiała już odwoływać się do przeżyć rodziców. Obydwie wiedziały, o co chodzi. - Miał okazję przerwać swój romans z Claudią. Raz mu uwierzyłam i zachowałam się jak naiwna panienka. Nigdy więcej. A poza tym, tutaj wchodzi w grę dziecko.

- Mój Boże! Chcesz powiedzieć, że ona jest w ciąży? - zawołała Mary.

- Tak mi oznajmił Drew. - Luz uniosła szklankę. Czowała się zboląta i nieszczęśliwa. - Powiedz mi, Audro, czy miałaś kiedyś do czynienia z jakimś Kincaidem z nieprawego łoża?

- Nie. Ale to niczego nie zmienia - stwierdziła Audra. - Twoim obowiązkiem jest dbać o rodzinę. Żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie, jeśli ma się na celu zachowanie małżeństwa i ocalenie jedności rodziny.

- Nawet jeśli to poświęcenie wiązać się będzie z utratą szacunku własnych dzieci? - zapytała Luz. - Kochałam ciebie i Jake'a, ale nigdy nie darzyłam was szacunkiem. Przysięgam, że nie pozwolę, by jakiś mężczyzna zniszczył mnie, tak jak Jake ciebie albo ty jego. Nigdy nie byłam pewna, po czyjej stronie leży wina. Myślę, że po obydwu. On zawinił swoimi wyskokami, a ty tym, że na nie pozwoliłaś. Wolę resztę mego życia spędzić w samotności, niż tkwić w pozornym małżeństwie.

Luz podniosła szklankę do ust. Alkohol nie przynosił jej zbyt wielkiej ulgi, ale nie istniało nic lepszego.

- Wydaje ci się, że możesz utopić swoje smutki w alkoholu? - Matka spojrzała na nią z niesmakiem.

- Na razie, Audro, na razie. - Uśmiechnęła się kwaśno. Chciała zostać sama, by móc płakać w spokoju.

- A co z Trishą i Robem? - wtrąciła cicho Mary. - Jak przyjęli tę wiadomość? Czy już o tym wiedzą?

- Jeszcze nie.

Luz lękała się spotkania z dziećmi. Bała się ich pytań. Będą chciały wiedzieć, dlaczego małżeństwo rodziców się rozpadło. Jakże potrafi wytłumaczyć im to, czego sama nie rozumie? Odejście Drewa wprowadzało ją w poczucie popełnienia jakiegoś błędu, podejrzenie, że zrobiła coś, co popchnęło męża w ramiona innej kobiety.

- Nie powinnaś czekać z tym zbyt długo. Zawsze istnieje możliwość, że dowiedzą się od kogoś innego - ostrzegła Mary.

- Nie jest to sprawa, którą mogę załatwić telefonicznie. Poproszę ich, żeby przyjechali na najbliższy weekend.

Luz poczuła gwałtowny przyptyw niechęci do męża. To on powinien im wszystko wyjaśnić, skoro zdecydował się od niej odejść. Dlaczego ona ma znosić ból, wywołany ich pytaniami?

- Szkoda, że twój dom nie jest tak pełen dzieci jak mój - powiedziała siostra i westchnęła.

- Dlaczego? - zdziwiła się Luz. Czyż mogło być coś gorszego niż konieczność przeprowadzenia dwunastu rozmów o rozwodzie?

- Mężczyzna porzucający żonę z dwanaściorgiem dzieci zostałby uznany za wyjątkowego łajdaka.

- To dlatego masz tyle dzieci? Po to, by szantażować Rossa, gdyby chciał od ciebie odejść?

- Oboje pragnęliśmy mieć dużo dzieci - powiedział z naciskiem Mary. - Ale muszę przyznać, że stanowią one dla mnie rodzaj zabezpieczenia trwałości naszego związku. A ty przestań na mnie patrzeć tak, jakbym zrobiła coś strasznego. Jestem po prostu realistką. Nie mam takiej aparycji, żeby na mój widok serca mężczyzn zaczynały szybciej bić. Trudno uwierzyć, żebym mogła stać się obiektem wiecznej miłości, nawet z nazwiskiem i pieniędzmi Kincaidów. Obwarowałam się więc tak, jak potrafiłam. Wzmocniłam węzeł małżeński więzami rodzinnymi. Może i ty powinnaś była zrobić to samo.

- Myślę, że należy przekazać tę radę drogiej Claudii - mruknęła Luz i podniosła szklankę do ust. Wygląda na to, że zmarnowałam tyle szans, pomyślała.

- Co mam mówić znajomym, jeśli będą pytać o powody waszej separacji? - zapytała matka.

Audra próbowała wrócić do zasadniczego tematu rozmowy. Musiały przecież ustalić oficjalną wersję wydarzeń. Luz wiedziała, że jej odpowiedź zostanie przekazana braciom - Michaelowi i Frankowi.

- Niezgodność charakterów. Czy nie jest to odpowiednia formuła? Informuj wszystkich, że rozstajemy się w przyjaźni.

- A co mam mówić, jeśli spytają, czy w tę sprawę wplątana jest jakaś kobieta? Wiem, że tak będzie. - Audra miała wątpliwości, co robić.

Na twarzy Luz pojawił się ironiczny uśmiech.

- Po prostu powiedz wtedy: „Cóż za bezsensowne przypuszczenia”.

- Bardzo mądrze. - Audra z aprobatą skinęła głową.

Luz nie była już w stanie znieść zmęczenia wywołanego długotrwałym napięciem. Poczowała pulsowanie w skroniach. Może to było nierozsądne, ale nie mogła zdobyć się na ujawnienie matce i siostrze swych prawdziwych uczuć: słabości, braku poczucia bezpieczeństwa, wątpienia w swoją wartość. Ukrywała te myśli. Jej pewność siebie, wiara we własne możliwości uległa erozji - pozostała po niej tylko krucha skorupa niezdolna oprzeć się dalszym próbom.

- Czy mogłybyście już zostawić mnie samą? - Wysuwając tę niezbyt elegancką propozycję, starała się unikać wzroku matki i siostry. - Muszę zatelefonować do Roba i Trishy, a chciałabym to zrobić bez świadków.

- Jeśli będę ci mogła w czymś pomóc, to zadzwoń - powiedziała Mary.

- Oczywiście, zadzwonię.

Wiedziała, że tego nie zrobi. Zastanawiała się, dlaczego tak boi się ujawnienia swojej słabości przed rodziną. Przecież tam właśnie powinna szukać pociechy, ale nie mogła się na to zdobyć. Podejrzewała, że w jakiś sposób zawiodła również ich oczekiwania. Prawdę mówiąc, nie była niczego pewna. Po prostu czuła się samotna, przeraźliwie samotna.

Z szerokiego błękitnego kapelusza Luz spływały dwa końce opasującej go białej organdy szarfy. Kapelusz oraz bardzo ciemne okulary przeciwsłoneczne w jasnej oprawce osłaniały ją przed ciekawskimi spojrzeciami. Kiedy śledziła pasażerów opuszczających samolot, nerwy miała napięte do ostatnich granic. Nieświadomie zaciskała ręce na piersi. Pod palcami czuła materiał sukienki, którego gładkość kontrastowała z jej wewnętrznym niepokojem.

Obok niej stał Rob, spoglądając na matkę zamyślonym, prawie ponurym wzrokiem. Na szczęście nie miała jeszcze czasu z nim porozmawiać, gdyż jego samolot spóźnił się i do przybycia Trishy zostało zaledwie kilka minut. Domyślała się, że jej telefon musiał zabrzmieć dla nich wyjątkowo tajemniczo. Najpierw zapewniła dzieci, że nikt nie jest chory ani nie umarł, a potem poprosiła, by przyleciały do domu w najbliższy weekend.

Z grupy pasażerów wyłoniła się Trisha. Przecięła hol i podeszła do nich. Unosząc opadające rondo kapelusza matki ucałowała ją, a potem cofnęła się i spojrzała na Luz wzrokiem, który przywodził na myśl Audrę.

- Wyglądasz, jakbyś przeszła przez piekło - stwierdziła.

- Dziękuję ci. Zawsze doskonale wpływasz na moje samopoczucie. - Luz zorientowała się, że ta ironiczna odpowiedź może wywołać jakieś pytania, a nie miała ochoty wyjaśniać niczego tutaj, na lotnisku. - Samochód stoi na parkingu. Odbierzcie swoje bagaże. Spotkamy się na podjeździe.

- W porządku - zgodzili się szybko.

Gdy odeszli, poczuła się jak skazaniec, któremu odroczone egzekucję. Ciągle zastanawiała się, jak przyjmą wiadomość o bliskim rozwodzie i co sobie o niej pomyślą. Nie chciała, by źle ją osądzali. Najbardziej ze wszystkiego potrzebowała teraz ich aprobaty i wsparcia. Zdawała sobie sprawę ze złożoności relacji rodzice - dzieci. Oczywiście, nie widziała powodu, by przed podjęciem decyzji zasięgać ich rady, ale opinia syna i córki miała dla niej duże znaczenie.

Czekali na nią na podjeździe. Szybko wrzucili do samochodu bagaże i zajęli miejsca - Rob na tylnym siedzeniu, Trisha z przodu obok matki.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to porozmawiamy dopiero w domu - poprosiła Luz.

Obawiała się, że nie potrafi równocześnie skoncentrować się na prowadzeniu samochodu i udzielać odpowiedzi na ich pytania.

Trisha chciała coś powiedzieć, ale Rob ją uprzedził.

- Dobrze.

Siostra niezupełnie zgadzała się z nim, lecz nie odezwała się Luz wdzięczna im była za to, że opanowali ciekawość i miała nadzieję, że później również wykażą zrozumienie.

Ruchomy dach Mercedesa był zamknięty. Świeże powietrze wpadało do wnętrza tylko przez otwory wentylacyjne. Luz sądziła kiedyś, że rozwód daje człowiekowi poczucie swobody jak świeży, rozwiewający włosy wiatr. Okazało się jednak, że w tej chwili wcale nie pragnie wolności, woli pozostać

w ukryciu, choćby pod rondem kapelusza, za ciemnymi okularami, we wnętrzu zamkniętego samochodu. Być może Drew poczuł się wolny, ale ona czuje się naga i bezbronna. Lęka się, by nikt nie ujrzał jej cierpienia, które próbuje ukryć, niczym ostępy na skórze po przebytych ciężach lub wałki tłuszczu odkładające się na udach.

Powrót do domu z lotniska odbył się w całkowitej ciszy. Ani Rob, ani Trisha nie wykazywali ochoty do rozmowy, chociaż Luz zdawała sobie sprawę, że ich spojrzenia często skierowane są na nią. Przez rozsuwane drzwi weszli z patio do salonu. Zdjęła kapelusz i okulary i położyła je wraz z torebką na stojącym obok barku stoliku.

Jasne włosy miała zaczesane gładko do tyłu i związane w węzeł na karku. Taka fryzura napinała skórę na jej twarzy, maskując nieco opuchnięcia wokół oczu, a także zmarszczki na czole i policzkach. Od dnia, kiedy opuścił ją Drew, coraz częściej myślała o poddaniu się operacji plastycznej. Nie wierzyła już, że można starzeć się z wdziękiem. Nie chciała wyglądać staro i słuchać przykrych komentarzy na temat swojego wyglądu w porównaniu z urodą młodej Claudii. Wiedziała, że to wszystko wynika z utraconego poczucia bezpieczeństwa, z niewiary, że ktoś zainteresuje się nią taką, jaka jest.

Atmosfera pełna była napięcia i oczekiwania. Luz podeszła do barku. Alkohol stał się teraz jej podporą, fałszywym oparciem w trudnej sytuacji. Korzystanie z takiej pomocy dowodziło jedynie jej słabości. Wiedziała o tym, ale mimo wszystko nappełniła sobie szklankę.

- Zastanawiacie się pewno, co tak ważnego zaszło, że wezwałam was na ten weekend - zaczęła.
- Wiemy już o waszym rozwodzie - powiedziała cicho Trisha i usiadła na stojącym obok barku krześle.
- Ojciec do nas telefonował.

Słowa córki podziały na nią jak kubeł zimnej wody. Nie miała siły utrzymać szklanki w ręku. Odstawiła ją na stolik.

- Telefonował? - W jej głosie zabrzmiało oburzenie, ale wkrótce ustąpiło miejsca niechęci. - To świnia Nie mógł mnie zawiadomić, że rozmawiał z wami? A tak się zastanawiałam, jak wam to powiedzieć. Dręczyło mnie to.

Cała jej misternie skonstruowana obrona legła w gruzach. Patrzyła bezradnie na córkę i stojącego obok niej Roba.

- Zadzwoił do nas następnego dnia po twoim telefonie - wyjaśniła Trisha.
- I przez telefon poinformował was o rozwodzie? Jak on mógł taką sprawę przekazywać w tak chłodny i bezosobowy sposób? - Jego bezduszość doprowadzała Luz do wściekłości. Dotknęła ramienia Roba. Wyczuła napięcie jego mięśni.

- Chcielibyśmy wysłuchać drugiej strony - powiedział.

Moja strona, twoja strona. Zaczynała się rodzinna dychotomia.

- Czy powiedział wam, że znalazł sobie inną kobietę? - Łzy trysnęły jej z oczu, kiedy zobaczyła współczującą twarz syna. Domyśliła się, że dzieci wiedzą wszystko.

Na widok łez matki Rob objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie. Z twarzą ukrytą w jej włosach mruknął gniewnie:

- Ten przeklęty drań! Jak on mógł zrobić ci coś takiego? - Dalsze słowa uwięzły mu w gardle.

Nie miało to jednak znaczenia. Po raz pierwszy od dłuższego czasu doznała fizycznego wsparcia. Zamknęła oczy. Wyczuła napięcie jego ciała, które próbowało przejąć jej udękę. Przytuliła się do niego.

Płakała cicho, ale czuła się bezpieczna w ramionach syna. Minęło kilka minut, zanim odsunęła się od Roba. Wytarła łzy z policzków, starając się nie patrzeć na jego zaczerwienione oczy.

- Powinnam zapytać, co on wam powiedział - rzekła spokojniejszym już tonem.

- Nic specjalnego - odezwała się Trisha. - Tyle tylko, że poznał inną kobietę i że oboje zdecydowaliście się na rozwód. Oczywiście miał nadzieję, że my to zrozumiemy. „Małżeństwa niekiedy się rozpadają” - stwierdził.

- Oczywiście. To zawsze się zdarzało - zgodziła się Luz. Ale innym, pomyślała. Nigdy nie przypuszczała, że coś takiego przydarzy się jej.

- Czy poznałaś tę kobietę? - Trisha sprawiała wrażenie nienaturalnie opanowanej. Zazwyczaj to Rob był spokojniejszy i do spraw trudnych podchodził z rezerwą

- Tak.

- Jaka ona jest?

- Młoda i piękna. - Starła się nie zabarwić swojej odpowiedzi zazdrością. - Jest prawniczką, a więc ma wiele wspólnego z waszym ojcem.

- Może nie doszłoby do tego, gdybyś wykazała nieco więcej zainteresowania jego pracą, a nie sprowadzała rozmów przy stole do tak ważnych tematów jak twoje ostatnie zakupy.

Trisha zapewne nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zraniła matkę tą krytyczną oceną.

- Nieraz próbowałam rozmawiać z nim o jego sprawach zawodowych, ale brakowało mi do tego przygotowania. Ciągłe wyjaśnianie wszystkiego męczyło Drewa - powiedziała, świadoma tego, że przyjęła pozycję obronną.

- Może należało się uczyć - mruknęła Trisha.

Luz poczuła się dotknięta, tym bardziej że w pewnym stopniu poczuwała się do winy. Ten problem pojawił się nie po raz pierwszy.

- Uważasz, że powinnam była studiować prawo po to tylko, żeby sprawić przyjemność mężowi? - wybuchnęła. - Nie wydaje ci się, że jest to nieco staroświecki pogląd? Małżeństwo to związek dwóch indywidualności, które prowadzą wspólne życie, i nie polega na tym, by jedna osoba podporządkowała swe zainteresowania drugiej. Można dzielić się ważnymi sprawami, ale nie wolno wymagać, by współmałżonek koniecznie je polubił.

- Luz ma rację - Rob ujął się za matką. - Nie wyobrażam sobie nic bardziej nudnego niż spędzanie wieczorów na rozmowach o przepisach prawnych, rozprawach sądowych i umowach.

Trisha niecierpliwie zerwała się z krzesła.

- Tak, ale jeśli mężczyzna czuje się w domu szczęśliwy, to nie szuka sobie kogoś innego. Chciałabym wiedzieć, gdzie leży błąd. Co takiego zrobiłaś, że odszedł od ciebie?

- Nie wiem - odpowiedziała ostro Luz. - Dlaczego nie zapytasz o to ojca? Przekaż mi potem jego odpowiedź, to nie będę musiała się nad tym zastanawiać.

- Przypuszczam, że to ty wpadłaś na pomysł, żeby spać w osobnych sypialniach - mruknęła Trisha.

Luz uderzyła ją w twarz.

- Twoje uwagi stają się zbyt osobiste, młoda damo - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Kiedy zobaczyła biały ślad, jaki jej ręka zostawiła na policzku córki, poczuła się zrozpaczona. Gniew zgąśł tak samo szybko, jak zapłonął. Trisha to przecież młoda dziewczyna i powinnam wybaczyć jej

niestosowną uwagę, pomyślała. Osoba dorosła musi nad sobą panować.

Patrzyła w milczeniu, jak córka bierze torbę i idzie w stronę drzwi.

- Trisha! - zawołała, bliska rozpacz. - Zapytałaś mnie pewnego razu, czy kiedykolwiek coś straciłam. Myślę, że teraz mogę ci odpowiedzieć. Utraciłam swoje budzenia. Nikt, nawet Kincaid, nie potrafi być szczęśliwy po czymś takim. Proszę cię... Nie chcę jeszcze stracić ciebie.

Trisha powoli odwróciła się w stronę matki.

- I nie stracisz. Luz. Ale teraz muszę się z nim zobaczyć. Jest moim ojcem i kocham go. Jego również.

- Oczywiście.

Luz rozumiała córkę, lecz nie potrafiła pozbyć się odrobiny lęku. Trisha zawsze była pupilkiem tatusia. To nie jest w porządku, myślała. Drew ma Claudię, a ja zostałam sama. To mnie potrzebne są dzieci. On założył nową rodzinę...

Trisha zawahała się przy drzwiach.

- Rob, pójdziesz ze mną?

- Nie.

Po wyjściu siostry Rob podszedł do matki i stanął obok niej.

- Nie chcę go na razie widzieć! Jedyne, na co mam ochotę, to go uderzyć! - Ze spuszczoną głową ruszył w kierunku wyjścia. - Ten drań! Ten wstrętny, cholerny drań!

Przez dłuższą chwilę Luz tkwiła samotnie na środku pokoju, potem powoli podeszła do stolika przy barku, gdzie stała jej szklanka.

Późnym wieczorem Luz przygotowywała w kuchni pizzę. Nie robiła tego od lat. Zwolniła służbę, żeby spędzić weekend wyłącznie z dziećmi. Nie była pewna, czy pomysł z pizzą należał do najlepszych. Potrawa ta przypomnieć miała dawne szczęśliwe czasy, kiedy wspólnie spędzali wolne od zajęć dni. Ułożyła płatki *anchois* na warstwie utartego sera i wstawiła gotowe ciasto do lodówki. Pozostało tylko upiec je po powrocie Trishy.

Kiedy wychodziła z kuchni, usłyszała jej głos. Córka była na patio razem z Robem. Zatrzymała się. Nie chciała podsłuchiwać, ale wiedziała, że w jej obecności nie odważą się szczerze mówić o ojcu. Mogli obawiać się, że posądzi ich o kłamstwo, a poza tym na pewno nie chcieli sprawić jej przykrości.

- Rob, ojciec chciałby z tobą porozmawiać. Czy nie mógłbyś przynajmniej zadzwonić do niego? - nalegała Trisha.

- Nie, do diabła, nie! I dziwię ci się, że po tym, co zrobił matce, chcesz jeszcze mieć z nim coś wspólnego.

- Widocznie miał swoje powody.

- Tak, i nawet wiem jakie. Ponętna panienka o połowę młodsza od niego.

- Rob! Przecież ty jej nawet nie znasz. Powinieneś powstrzymać się z oskarżeniami, dopóki nie zobaczysz ich razem - zaprotestowała Trisha. Potem dodała spokojniejszym tonem: - Nigdy nie widziałam ojca tak szczęśliwego. Ciągłe jest uśmiechnięty, co rzadko zdarzało mu się w domu. Kiedy patrzy na nią, twarz mu promienieje. On ją kocha. Myślę, że i ty polubiłbyś Claudię, gdybyś ją poznał.

Słowa Trishy sprawiły Luz szalony ból. Tam panuje idylla, podczas gdy ona przeżywa prawdziwe piekło! Zawsze w przypadku rozwodu jedna ze stron zyskuje, a druga traci. Tutaj stroną przegraną była

ona. Młodość miała już za sobą, a teraz w dodatku zranione zostało jej poczucie godności. Przypomniała sobie niedawną rozmowę z Mary w czasie pobytu w starym domu Kincaidów. Nie sądziła wówczas, że w jej życiu nastąpi tak gwałtowny zwrot.

- Nie mam ochoty słuchać tych bzdur!

Luz usłyszała gniewną odpowiedź syna, potem odgłos przesuwanego po kamiennej podłodze krzesła i szybkie kroki.

Jeszcze chwila i jej obecność zostałaby odkryta. Szybko weszła na patio. Rob zatrzymał się na jej widok i rzucił ukradkowe spojrzenie na Trishę. Luz z trudem przybrała pogodny wyraz twarzy.

- Wstawiłabym pizzę do piekarnika, gdybym wiedziała, że już wróciłaś. Mam nadzieję, że jesteście głodni. Przygotowałam obfitą kolację.

- Nie spytasz mnie, co słyhać u ojca? - Trisha przeniosła na matkę irytację wywołaną rozmową z bratem.

- Czy nie mogłabyś się zamknąć? - wybuchnął Rob. - Jeśli Luz będzie chciała wiedzieć, to sama cię zapyta.

Miał już wyraźnie dość kłótni. Długimi krokami ruszył ku drzwiom prowadzącym do holu.

- Nie jestem głodny - rzucił, nie oglądając się.

- Rob, zaczekaj! - zawołała Luz.

Zatrzymał się i niechętnie zawrócił.

- No i co? Naprawdę nie chcesz wiedzieć? - nalegała Trisha.

- Jak się czuje ojciec? - uprzejmie zapytała Luz.

- Świetnie. Ona również. Dla ciebie, i oczywiście dla Roba zabrzmiało to jak bluźnierstwo, ale polubiłam ją.

- Domyślałam się, że tak będzie - odparła Luz. - Podzielili się już z tobą radosną tajemnicą?

- Tak.

- Jaka tajemnicą? - zapytał zaintrygowany Rob.

- Ojciec chciał cię o tym poinformować osobiście, ale skoro nie chcesz z nim rozmawiać, czuję się upoważniona powiedzieć ci o tym, zanim zrobi to ktoś inny. Claudia jest w ciąży. W listopadzie będziemy mieć maleńkiego braciszka lub siostrzyczkę.

- Przyrodniego braciszka lub siostrzyczkę - zaprotestował Rob. - Widzę, że zrobił wszystko, żeby tylko do nas nie wrócić. Zakłada już sobie nową rodzinę.

- Nie mów takich rzeczy - zaprotestowała Trisha.

- Więc jak mam u diabła oceniać jego postępowanie?

- Nie wiem. - Trisha przyglądała swe kasztanowe włosy. - Gubię się w tym wszystkim.

- Myślę, że dotyczy to całej naszej trójki - stwierdziła Luz. - To wszystko stało się tak nagle.

- Ale przecież miałaś jakieś atuty, walcząc o niego - zauważyła Trisha.

- Łatwo ci teraz mówić. Zanim to się stało, nie było powodów do niepokoju. Nie rozmawialiśmy zbyt często, a w każdym razie nie o najważniejszych sprawach.

Poczuła się zmęczona i ogromnie wyczerpana.

- Jeśli mamy zjeść kolację, to wstawię pizzę do piekarnika - dodała.

- Ojciec chce zabrać resztę swoich rzeczy. Pytał, kiedy może po nie przyjechać.

Nie czuła się na siłach widzieć go. Wszystko było zbyt świeże, zbyt bolesne. Za bardzo go jeszcze nienawidziła za to, co jej zrobił, za to, że ją zniszczył i zamienił we wrak kobiety.

- Jutro rano wybieramy się z Robem na konną przejażdżkę. Zadzwoń do ojca i powiedz, żeby w tym czasie przyjechał - zdecydowała. Zachowała się tchórzliwie, ale nie dbała o to. Nie miała ochoty naocznie przekonać się, jak bardzo jest szczęśliwy. Obawiała się, że nieprędko pozbędzie się uczucia goryczy. - Aha, jeszcze jedno. Zmieniłam datę naszego wyjazdu do Europy. Będziecie mieć przedłużone wakacje. Pojedziemy zaraz po zakończeniu roku szkolnego. Pamiętajcie, żeby przed tym terminem przygotować się do wyjazdu.

- Czy twoim zdaniem ojciec przyjedzie na nasz egzamin? - zapytał Rob.

- Nie wyobrażam sobie, żeby tego nie zrobił.

- A jak myślisz, czy zabierze ją ze sobą?

- Nie wiem.

- Jeśli tak, to ja...

- Rob, zrobisz to samo co ja - przerwała mu Luz. - Zachowasz się uprzejmie.

Nie było to jednak łatwe. W trakcie uroczystego wręczania dyplomów Luz z trudem zniosła ich towarzystwo. Claudia wyglądała radośnie i młodo, a Drew po prostu promieniał. Zamieniła z nimi zaledwie parę słów, czekając na moment złożenia Robowi gratulacji. Równie niemiłych przeżyć dostarczyła jej uroczystość w szkole Trishy. W przeciwieństwie do tego, co ustaliła kilka miesięcy temu, nie było żadnego uroczystego obiadu, żadnych towarzyskich spotkań. Wszystko odbyło się sztywno i oficjalnie.

Podział majątku uzgodniono szybko, gdyż żadna ze stron nie chciała doprowadzić do sporu, który by opóźnił ostateczne rozstanie.

Podpisanie dokumentów rozwodowych nastąpiło na dzień przed zakończeniem roku szkolnego Roba. Tak zwani przyjaciele poinformowali Luz, że Drew i Claudia ustalili już datę ślubu. Jedyne, co mogła zrobić, to uśmiechnąć się, skinąć głową i udawać, że nic jej to nie obchodzi.

Tereny do gry w polo w Windsor Grand Park miały typowy angielski wygląd. Wyróżniały się pieczołowicie wypielegnowaną, równomiernie zieloną murawą. Każde źdźbło trawy na gładkiej twardej powierzchni boiska wydawało się precyzyjnie przycięte do właściwej wysokości. Wszystko tu sprawiało wrażenie porządku i elegancji - był to efekt wieloletniej dbałości i ścisłego przestrzegania tradycji. Z grą w polo - tym sportem książąt - świat zachodni zetknął się pod koniec osiemnastego wieku, dzięki brytyjskim kawalerzystom, którzy zapoznali się z nim w Pendżabie, podziwiając biegłość hinduskich jeźdźców, zabawiających się odbijaniem piłki za pomocą długiego kija. Wśród uwielbiających konną Jazdę Anglików gra natychmiast zdobyła popularność.

Luz siedziała na ogrodowym krześle, ustawionym tuż przy bocznej linii boiska. Obserwowała rozgrywający się przed nią mecz. Od czasu do czasu spoglądała na psującą się w oddali okrągłą wieżę zamku. Słomkowy kapelusz i ciemne okulary ochraniały jej twarz przed promieniami czerwcowego słońca. Była przepiękna pogoda. Widoczne na tle lazurowego nieba korony drzew kołysały się lekko, poruszane delikatnym powiewem wiatru. Uporczywa mżawka, która sprawiła, że jeszcze w ubiegłym tygodniu boisko było śliskie i niebezpieczne, minęła bez śladu. Teraz twardy teren świetnie nadawał się do gry.

Podniosła lornetkę, aby lepiej przyjrzeć się grupie jeźdźców pędzących w kierunku toczącej się po murawie piłki. Oglądanie sportowych zmagania zawsze kojarzyło jej się ze scenami batalistycznymi, niezależnie od tego, czy były to brutalne starcia mężczyzn na boisku futbolowym, czy przypominające kawaleryjską szarżę galopady jeźdźców na meczu polo.

Promienie słońca odbijały się od grzbietów i zadów koni, lśniły metalowe części uprzęży. Mieszanka rozbłysków i kolorów, z przewagą odcieni brązu, dawała w sumie jedną barwę - starego złota. Luz w porę skierowała lornetkę na jeźdźcę znajdującego się na czele grupy, by zobaczyć, jak unosi kij i silnym uderzeniem kieruje piłkę do bramki. Ubrany na biało sędzia uniósł chorągiewkę, sygnalizując zdobycie punktu.

- Wydaje mi się, że twój syn będzie lepszym graczem niż jego dziadek - zauważyła Fiona Sherbourne, gdy zawodnicy wolno wracali na środek pola. - Henry trzymał w tajemnicy fakt, że w jego drużynie będzie grał Kincaid. Mówił, że wymaga tego strategia.

Luz spojrzała na swą angielską przyjaciółkę, u której gościli od ponad dwóch tygodni - siedziała w swobodnej pozycji na sąsiednim krześle. Chociaż starsza o dziesięć lat, miała gładką twarz i młodą, świeżą cerę. Luz nigdy nie udało się dostrzec na jej twarzy żadnych śladów operacji plastycznej.

- Cieszę się, że Henry jest zadowolony. Rob stara się grać nie gorzej niż reszta drużyny.

Zawodnicy ustawili się przy linii środkowej pola-Kiedy sędzia rzucił pomiędzy nich piłkę, gra została wznowiona. Towarzyszył temu hałas wywołany uderzeniami kijów o siebie.

- Stara się... to nie jest właściwe określenie - włączyła się do rozmowy Trisha. - Rob opanowany jest obsesyjnym lękiem, żeby nie zapomnieć o jakimś szczególnie różniącym nasze przepisy od angielskich.

Gracze przepychali się w okolicy środka boiska. Piłka wielokrotnie zmieniała kierunek, aż wreszcie przechwycili ją zawodnicy ubrani w czarno-niebieskie koszulki. W tym momencie rozległ się dzwonek

kończący kolejną rundę. Jeźdźcy powoli opuszczali boisko. Mieli teraz chwilę czasu na to, by zmienić wierzchowce i ustalić z kolegami taktykę dalszej gry.

- Przejdę się trochę - powiedziała Trisha. Nigdy nie lubiła długo przebywać w jednym miejscu. Zawsze wolała działanie niż obserwację. - Podobno rodzina królewska przebywa w zamku. Może spotkam jakiegoś księcia?

Fiona patrzyła za odchodzącą dziewczyną.

- Zastanawiałam się, jak długo wytrzyma tutaj z nami. Zauważyłaś, że młodzi ludzie zawsze chcą coś robić?

- W jej wieku też byliśmy takie.

Luz i teraz lubiła ciągły ruch. Codzienne spotkania, herbatki, przyjęcia wypełniały jej dni przed wyjazdem do Anglii. Ten szalony rytm równoważył dobrze skrywaną, ale ciągle dręczącą ją rozpacz.

- Zdumiewa mnie, jak bardzo twoje dzieci zmieniły się w ciągu ostatnich trzech lat. Są już prawie dorosłe, a w każdym razie na pewno tak uważają - uśmiechnęła się Fiona.

- Nie przypominaj mi o tym - powiedziała Luz.

Wygląda na to, że wszyscy wokół starają się, bym nie zapomniała o swoim wieku, pomyślała.

- Kochanie - Fiona uściśniła przyjaciółkę za ramię. - Koniecznie muszę cię umówić z moim lekarzem.

Ta uwaga potwierdziła podejrzenia Luz. Nie zamierzała jednak skorzystać z propozycji. Operacja kosmetyczna byłaby czymś więcej niż tylko przyznaniem się do klęski. Oznaczałaby potwierdzenie faktu, że po to, by być podziwianą, akceptowaną i kochaną, kobieta musi być młoda. Nie chciała uznać tej prawdy, chociaż boleśnie doświadczyła jej na sobie. Wolała samotność i cierpienia, spowodowane przemijaniem urody, niż fałszywą młodość.

- Wszystko, co mi potrzebne, to kropelka dobrego alkoholu - odpowiedziała.

- To istotnie działa pocrzepiająco. - Fiona uniosła rękę i dała znak ubranemu w liberię służącemu, dyskretnie skrywającemu się opodal. Poleciała podać dwa drinki z dobrze zaopatrzonego barku znajdującego się w oczekującym na nie samochodzie. - Nie wiem, czy ci mówiłam, że Henry życzy sobie, by na sobotnim balu szampan płynął jak woda. Przypuszczam, że chce upić drużynę przeciwników. Początkowo miało to być przyjęcie na cześć zwycięzców turnieju, ale postanowił wydać je w wieczór poprzedzający mecz. Jest to jakiś element jego wojny psychologicznej. Robi wszystko, by wygrać turniej, ale przypuszczam, że zdobędzie najwyżej srebrny puchar, który dołączy do swej ogromnej kolekcji sportowych trofeów.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie tak gloryfikują młodość, urodę, sukces... i zwycięstwa w polo - rzekła Luz, tonem lekko zaprawionym goryczą.

- Stajesz się cyniczna.

- Też mi się tak wydaje.

Zamek Windsor położony na wielkiej równinie rozciągającej się nad brzegiem Tamizy, oddalony jest od Londynu o godzinę jazdy. Jego stare kamienne mury, wieżyczki i wały obronne zdominowane są przez masywną okrągłą wieżę. Tego dnia powiewała na niej brytyjska flaga na znak, że Jej Wysokość Królowa przebywa w rezydencji. Potężne kamienne mury ograniczają i symbolicznie chronią trzynaście akrów ziemi, na której zbudowane są gmachy rządowe, siedziba monarchy i Kaplica Świętego Jerzego,

sanktuarium kościoła anglikańskiego. Do zamku królewskiego przylega niewielkie miasto Windsor. Na zewnątrz murów obronnych rozciągają się rozległe łąki, z rozrzuconymi z rzadka starymi drzewami, i tworzą Windsor Park, połączony z zamkiem obsadzoną wierzami aleją, zwaną Long Walk. W granicach parku znajdują się boiska do gry w polo.

Trisha szła wolno brzegiem boiska, kierując się ku rejonowi, gdzie znajdowały się zapasowe konie, pilnujący je stajenni i odpoczywający zawodnicy. Szła bez określonego celu. Pośród widzów oczekujących na rozpoczęcie gry rozpoznawała znajome twarze, nie zawsze kojarząc je z nazwiskami. Kłaniała się i uśmiechała do wszystkich, lecz z nikim nie wdawała się w rozmowę. Nie odczuwała potrzeby towarzystwa.

Wycieczka do Anglii przyniosła jej więcej zadowolenia, niż tego oczekiwała. W czasie poprzednich wizyt była jeszcze dzieckiem. Teraz, kiedy ukończyła już szkołę, uważała się za osobę dorosłą. Mogła chodzić tam, gdzie chce, i robić to, co sprawia jej przyjemność. Codziennie uczestniczyła w przyjęciach i zabawach. Z zapamiętaniem rzuciła się w wir rozrywek.

Idąc samotnie przez porośnięte trawą pole, czuła na plecach ciepło promieni słonecznych. W pewnej chwili zrozumiała, że pomimo wszystko nie udało jej się uciec od tego, co męczyło ją najbardziej - od sprawy rozwodu rodziców. Zastanawiała się przy tym, dlaczego ten fakt dotknął ją tak boleśnie. Nie miała sobie nic do zarzucenia. Jeśli nawet rodzice przestali się kochać, ona przecież ciągle ich kochała.

Ze zdziwieniem obserwowała zmiany, jakie w nich zachodziły. Ojciec wyglądał teraz młodziej, zachowywał się i ubierał bardziej swobodnie. W czasie wizyty poprzedzającej ich wyjazd do Anglii zauważyła, że ma na sobie dzinsy. Ojciec w dzinsach!

Jeśli chodzi o Luz, zmiana była trudniej uchwytna - charakteryzowała ją ucieczka w zamknięty i gorzki świat uczuć starannie skrywanych przed otoczeniem. Większość znajomych nie zauważała uszczypliwości, które pojawiły się w jej wypowiedziach, i smutku maskowanego uśmiechem. Trisha potrafiła to dostrzec.

Wspólny u obojga rodziców był tylko udawany zanik pamięci o minionych latach. Oboje zachowywali się tak, jak gdyby Trisha urodziła się miesiąc temu, już jako osoba dorosła. Żadne z nich nie chciało powracać do przeszłości, broniąc się nawet przed wspomnieniem szczęśliwych chwil. Przywykła do tego, że nie opowiada matce o swych wizytach u ojca, zwłaszcza jeśli spotykała się równocześnie z Claudią. Luz na każdą wzmiankę o Drewie reagowała zmianą tematu rozmowy. Rozwód osłabił związek Trishy z rodzicami, gdyż zarówno ona jak i Rob przypominali im przeszłość, a o niej zapomnieć chciał zwłaszcza ojciec, który rozpoczął życie z inną kobietą i założył nową rodzinę.

Usiłowała to wszystko zrozumieć. Wątpiła, czy Rob również podejmuje takie próby. Zajmowała go wyłącznie gra w polo, a Luz w znacznym stopniu podzielała jego pasję. Trisha uważała to za coś naturalnego - w końcu matka zawsze faworyzowała brata. Niemniej rezultatem ich zbliżenia było dalsze jej wyobcowanie z rodzinnego grona. Próbowала sobie radzić z samotnością, przyjmując każde nadarzające się zaproszenie i uczestnicząc we wszystkich możliwych rozrywkach.

Zatrzymała się, by obejrzeć wznowienie gry w rozpoczynającej się właśnie ostatniej rundzie meczu. Akcja nie zainteresowała jej. Przez chwilę obserwowała brata grającego w drużynie mającej przewagę, a potem ruszyła dalej. Zauważyła dwóch mężczyzn w strojach do konnej jazdy opartych o maskę samochodu zaparkowanego obok boiska. Sylwetka jednego z nich wydała jej się znajoma.

W chwilę później zaskoczona Trisha rozpoznała Raula Buchanana. Ten męski, regularny profil i gładko przyczesane ciemne włosy nie mogły należeć do nikogo innego. Nie musiała nawet napotkać spojrzenia jego jasnych niebieskich oczu, aby mieć pewność, że jest to Raul. Jej ponury nastrój zniknął bez śladu. Lekkim krokiem, nie zauważona, zbliżyła się do niego. Zajęty był obserwowaniem meczu.

- Zobacz, znowu Sherbourne nie trafił - zwrócił się do towarzyszącego mu mężczyzny. - Nie potrafi uderzyć z bekhendu, jeśli ma piłkę po prawej stronie. Jadący za nim zawodnik łatwo uzyska w tej sytuacji przewagę.

- Powinnam chyba ostrzec Roba, że szpieguje pan jego drużynę - powiedziała Trisha i ucieszyła się, widząc błysk rozpoznania w oczach Raula.

- Ach tak! Ten zawodnik z numerem pierwszym to pani brat. Wydawało mi się, że już grałem kiedyś przeciwko niemu, ale bez koni Kincaidów nie rozpoznałem go. Dziękuję za pomoc. - Skłonił się lekko w stronę Trishy. - Proszę pozwolić przedstawić sobie kolegę z drużyny. James Armstrong, a to panna Trisha Thomas, wnuczka Jake'a Kincaida.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność poznać panią. - Anglik sztywno uściśnął jej dłoń. Był to szczupły, lekko łysiejący mężczyzna z wąską twarzą i wysokim czołem. - Pani dziadek był świetnym zawodnikiem. Cieszę się, że wnuk idzie, że tak powiem, w jego ślady.

- Dziękuję. Sądzę, że Rob jeszcze bardziej niż dziadek uwielbia grę w polo - odrzekła Trisha, a potem odwróciła się do Raula. - Myślę, że tym razem nie będzie mu pan zarzucał, że oszczędza konie.

- Tym razem na pewno nie.

Raul ciągle patrzył na boisko, ale już z nieco mniejszą uwagą. Trisha usłyszała w jego głosie ciepły ton i napełniło ją to nadzieją.

Nad ich głowami przeleciał samolot odrzutowy hartujący z pobliskiego lotniska Heathrow. Hałas na krótko przerwał rozmowę. Czekali, aż ucichnie ryk silników.

- Przypuszczam, że wraz z bratem jesteście gośćmi państwa Sherbourne z Siedmiu Dębów - powiedział James Armstrong.

- Tak. Przyjechaliśmy tutaj ponad dwa tygodnie temu - odparła Trisha. Zastanawiała się, jak długo jeszcze Raul pozostanie w Windsorze.

- Jak się pani podoba Anglia? Trafiła pani na najlepszą porę roku - zawody w Ascot, Wimbledon...

- To prawda. Był to nieprzerwany ciąg rozrywek - przyznała Trisha. Żałowała teraz, że częściej nie towarzyszyła bratu na boisku. Na pewno wcześniej natknęłaby się na Raula. - Bawiłam się świetnie, ale najbardziej cieszę się z dzisiejszego spotkania.

- Domyślam się, że poznała pani Buchanana, kiedy grał w Stanach.

- Tak - rzekł Raul.

Figlarny błysk pojawił się w oczach Trishy.

- Niestety, pański kolega uznał wówczas, że jestem dla niego zbyt młoda.

Zauważyła na twarzy Argentyńczyka odruch zniecierpliwienia.

- Naprawdę? - zdziwił się Armstrong z ukrywanym rozbawieniem. Poklepał Raula po ramieniu. - Zostawię was samych, to może dojdziecie w tej sprawie do porozumienia. Spotkamy się w pubie.

Przez dłuższy czas milczeli. Słyszał tylko odgłosy dobiegające z boiska. Trisha podeszła do samochodu, oparła się o maskę obok Raula. Potem zwróciła się do niego.

- Jest pan niezadowolony, że kolega oszedł?

- Nie, bo i tak jego obecność nie powstrzymałaby pani przed wygłaszaniem niestosownych uwag. Czasami zapominam, jak agresywne potrafią być amerykańskie kobiety.

Odczuła satysfakcję, że w końcu nazwał ją kobietą.

- Każda kobieta bywa niekiedy agresywna - stwierdziła. - Nie sądzę, aby to miało jakiś związek z narodowością.

- Zdarzają się jednak wyjątkowo zuchwałe dziewczyny. - Lekki uśmiech pogłębił bruzdy wokół jego ust.

- Być może - zgodziła się. - Mówiłam panu, że jeszcze się spotkamy.

- Skoro pani brat grywa w polo, to prawdopodobieństwo, że nasze drogi się przetną, było dość duże.

- Nie spodziewałam się jednak, że spotkam pana tutaj, w Anglii.

- Dlaczego? Wielka Brytania jest praktycznie ojczyzną polo. Stąd właśnie ten sport rozprzestrzenił się na cały świat.

- Ale pan jest Argentyńczykiem, a właśnie teraz rozgrywa się ten spór o Falklandy - przypomniała Trisha.

- Polo nie ma nic wspólnego z polityką. Nie gram tutaj o honor Argentyny, ale o zwycięstwo mojego zespołu, który akurat jest brytyjski.

- Wystąpi pan przeciwko drużynie Roba?

- Wygląda na to, że spotkamy się w finale.

Raul znów skoncentrował uwagę na przebiegu gry. Trisha zauważyła, że on nie potrafi na dłużej oderwać się od pasjonującego go widoku. Wydawało się, że swymi przenikliwymi niebieskimi oczami nieprzerwanie śledzi jeźdźców i konie, by móc skrupulatnie ocenić ich zalety i wady.

- Wobec tego będę zmuszona kibicować obydwu drużynom.

- Nie spodoba się to pani gospodarzom. Sherbourne'owie wymagają niepodzielnej lojalności.

- Grozi mi więc, że zostanę oskarżona o korszachy z wrogiem - stwierdziła prowokująco Trisha, ale nie zauważyła, by jej słowa rozbawiły Raula. - Wybiera się pan na sobotnie przyjęcie, prawda? Zaproszeni zostali gracze z wszystkich drużyn i mnóstwo innych gości.

- Słyszałem o tym.

- A czy przyjdzie pan sam? - Spojrzała mu w oczy.

- Na niedzielę przewidziany jest mecz finałowy, muszę więc wcześniej wyjść z przyjęcia, żeby następnego dnia być wypoczętym. Postąpiłbym niegrzecznie, zapraszając damę, a potem oczekując od niej, że z mojego powodu zrezygnuje z uczestnictwa w zabawie.

- Oczywiście, ma pan rację. - Trisha odetchnęła z ulgą.

- Nie potrafi pani maskować się zbyt dobrze, panno Thomas - powiedział oschle.

Zaskoczona zwróciła twarz w jego stronę.

- Tak pan sądzi?

- Ujawniając swoje uczucia, naraża się pani na zranienie. - W głosie Raula zabrzmiało ostrzeżenie.

Trisha nie zwróciła na to uwagi. Intrygowało ją, dlaczego Raul tak bardzo stara się zachować wobec niej dystans.

- Czy został pan kiedyś zraniony?

- W tym sensie, o jaki pani chodzi, na pewno nie.

Zznał w swoim życiu wiele biedy, głodu i poniżenia. Były to odczucia całkowicie obce jej doświadczeniu, odczucia, których ona nigdy nie potrafi zrozumieć. Walka o przetrwanie rzadko pozostawia czas na bardziej wysublimowane doznania.

Rozległ się dzwonek obwieszczający koniec meczu.

- Przypuszczam, że zechce pani teraz pogratulować bratu zwycięstwa jego drużyny - powiedział, szykując się do odejścia.

Trisha schwyciła go za rękę.

- Proszę pójść ze mną. Chciałabym przedstawić panu Roba.

Raul spojrział na delikatną białą dłoń zaciśniętą na jego ciemnej, opalonej ręce.

- Innym razem - odmówił stanowczo.

Przez moment podziwiał jej upór, ale domyślił się, że z racji swej młodszej niedojrzałości oczekiwałyby od ich związku więcej, niż mógłby czy chciałby jej dać.

- Wobec tego spotkamy się w pubie - zdecydowała. Kątem oka dostrzegał malujące się na jego twarzy zdziwienie. - Wcześniej czy później zorientuje się pan, że Kincaidowie nie przyjmują odpowiedzi - nie.

- Mówiła pani kiedyś, że więcej znaczy dla pani nazwisko Thomas niż Kincaid.

Miło połechtał ją fakt, że zapamiętał jej słowa.

- Już sama nie wiem, kim właściwie jestem - powiedziała cicho. Nie bardzo wiedziała, co ma teraz myśleć o Thomasach. Jej ojciec zbyt różnił się od człowieka, za którego go do niedawna uważała. - James Armstrong mówił, że spotkacie się w pubie. Myślę, że taki neutralny grunt byłby najlepszym miejscem do rozmowy z moim bratem, tym bardziej że wkrótce znów będziecie grać przeciwko sobie. Jak się nazywa ten pub?

- „Pod Łabędziem”.

- A więc do zobaczenia.

Nie czekała na jego odpowiedź.

Kiedy Luz zbliżyła się do gwarnej grupy zawodników, stajenni odprowadzali już zmęczone, spocone konie. Twarz Roba jaśniała radosnym uśmiechem. Był jednym z tych graczy, którzy niezwykle emocjonalnie podchodzą do walki. Tym razem należał do zwycięzców.

- Gratuluję ci.

- To głównie zasługa tych argentyńskich koni, które Henry niedawno kupił. Nigdy nie dosiadałem tak dobrych kuców. - Potrząsnął głową i z zachwytem patrzył na mokrego od potu gniadosza, odprowadzanego akurat przez stajennego. - Ten koń jest nie do pokonania. Mam nadzieję, że któregoś dnia kilka podobnych będę miał w mojej stadninie.

- Zobaczymy, co się da zrobić. - Myślałaś już o tym?

- Gracz jest tyle wart, ile wart jest jego koń.

Luz nie uważała, że ulega tutaj zachciankom syna. Rob udowodnił, że poważnie traktuje ten sport, a w polo, jak w każdej innej dyscyplinie, potrzebne było dobre wyposażenie i trening. Ostatnio wielokrotnie rozmawiała z Sherbourne'em, szukając u niego wskazówek dotyczących dalszego szkolenia syna. Uważała jednak, że nie jest to odpowiedni moment, by omawiać plany na przyszłość. Porozmawiają po

turnieju.

- Dobrze grałeś, Rob - Trisha dołączyła do nich.

Gratulacje nie zrobiły na nim większego wrażenia.

- Czy omówimy te sprawy zaraz po powrocie do domu? - zapytał.

- Cóż to za sprawa? - zainteresowała się Trisha.

- Rob powinien mieć lepsze konie. Jest tak zachwycony argentyńskim kucem Henry'ego, że nie pozostaje mi nic innego jak kupić mu podobne.

- Wiem, z kim powinieneś porozmawiać.

- Z kim? - Rob sceptycznie spojrzał na siostrę.

- Z Raulem Buchananem. Słyszałam, że niedługo ma się spotkać z kolegami w miejscowym pubie.

Może wybierzemy się tam? - zapytała Trisha.

Rob domyślał się, że siostra wykorzystuje okazję, by zobaczyć się z Argentyńczykiem.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zwróciła się do Luz.

Ostatnio Rob starał się wszędzie towarzyszyć matce, jak gdyby próbując zastąpić jej Drewa. Zapewne było to normalne, ale Trisha czuła się dotknięta tym, że Luz szuka pociechy u Roba, a nie u niej. Po prostu uważała, że postępuje nierozsądnie, wiążąc w tak dużym stopniu własne życie ze sprawami syna. Wydawało jej się, że matka powinna bardziej polegać na sobie.

- Ależ nie - odpowiedziała uprzejmie Luz. - Idźcie i bawcie się dobrze.

Trisha odebrała te słowa tak, jak gdyby matka celowo chciała podkreślić poświęcenie ze swojej strony.

- Powinnaś wreszcie zacząć się spotykać z jakimś mężczyzną - powiedziała impulsywnie.

Sądząc po reakcji Luz, strzał był celny.

- Którego starego safandulę mam twoim zdaniem uwodzić? Może Simona Thortona White'a, tego co ma ciągle czkawkę, a może wiekowego Tynsdale'a, który ciężko dyszy po wspięciu się zaledwie na dwa stopnie schodów? Jeśli sama tego nie zauważyłaś, to informuję cię, że nie ma tutaj nadmiaru nieżonatych mężczyzn w moim wieku. Chociaż ciągle jeszcze mogę wziąć sobie młodego kochanka.

- Luz, ja...

- Masz rację, córeczko. Nie powinnam... - westchnęła ciężko. - To skutek tego słońca. Piekielnie boli mnie głowa. Najlepiej będzie, jeśli dzisiaj wieczorem trochę odpocznę, o ile oczywiście Fiona nie zatrudni mnie jako czwartej do brydza.

- Nie muszę iść do tego pubu - stwierdził Rob.

- Ależ idźcie. Może ten Argentyńczyk zechce sprzedać któregoś konia? Henry byłby zadowolony, gdybyś jeszcze przed końcem turnieju pozbawił przeciwników dobrego kuca. Bawcie się dobrze i nie wracajcie do domu zbyt wcześnie, bo pomyślę, że robicie to z mojego powodu - powiedziała Luz i odeszła, zanim Rob zdołał zaprotestować.

- Sami wiemy najlepiej, co mamy robić - mruknęła Trisha, patrząc za oddalającą się matką. Jej strój i sylwetka prezentowały się dobrze, ale brakowało jej dawnej doskonałości.

- Kiedy mama nie wie, że ktoś na nią patrzy, trawia wrażenie zagubionej i przygnębionej - zauważył smutno Rob. - Co się z nią stało?

- Musi się czuć tak, jakby utraciła połowę siebie - odrzekła Trisha. - Jak myślisz, czy ojciec kiedyś do niej wróci?

Wydawało się to na tyle nierealne, że jej pytanie należało traktować jako wyraz dziecięcych marzeń. Trisha ciągle tęskniła za spokojnym rytmem dawnego życia.

- Nie, i niech diabli wezmą tego cholernego drania - warknął Rob. - Chodźmy wreszcie do tego pubu.

Pub znajdował się przy wąskiej brukowanej uliczce. Ponad dębowymi drzwiami domu zbudowanego z cegły i kamienia widniało wyblakłe malowidło przedstawiające młodego łabędzia - królewskiego ptaka, zamieszkującego brzegi Tamizy. Wewnątrz panował niezbyt głośny gwar. Powietrze przesycone było wonią piwa, mocnego portera i dymu tytoniowego. Pociemniały ze starości drewniany sufit i stare ciężkie meble nadawały wnętrzu staroświecki, dostojny wygląd. Nastrój psuły jedynie nieco zakurzone szyby w oknach i nieodpowiednie oświetlenie.

Trisha rozejrzała się wokół. Przy stołach siedzieli bywalcy tego popularnego miejsca spotkań, w większości w roboczych ubraniach. W głębi zauważyła grupę mężczyzn w strojach do konnej jazdy.

- O! Są tam! - powiedziała i ruszyła we wskazanym kierunku.

Podeszli do stolika, przy którym siedział Raul w towarzystwie kolegów z drużyny. Kiedy zobaczył Trishę przeciskającą się w jego stronę, podniósł się od stolika.

- Mój brat - Rob Thomas, Raul Buchanan - dokonała prezentacji.

Zdumiała ją różnica w ich wyglądzie. Mimo podobnego wzrostu Rob wydawał się znacznie mniejszy i drobniejszy od postawnego i muskularnego Raula. Ciemna twarz Argentyńczyka wyrażała pewność siebie i doświadczenie, a jej brat sprawiał wrażenie niedojrzałego młodzieńca. Rob był od niej starszy, sądziła więc, że różnica wieku pomiędzy nim a Raulem nie będzie tak widoczna. Ze zdziwieniem stwierdziła, że brat wygląda przy nim jak chłopiec.

- Może usiądziemy obok. Tutaj jest zbyt tłoczno - zaproponował Raul, wskazując sąsiedni stół.

Trisha i Rob zajęli miejsca naprzeciwko siebie. Raul usiadł pomiędzy nimi i sięgnął ręką po swój kufel.

Po chwili pojawiła się kelnerka.

- Co państwu podać? - zapytała z wymuszonym uśmiechem, harmonizującym ze znudzeniem widocznym w jej spojrzeniu.

- Guinnessa - zamówił Rob. - A może macie coś do zjedzenia? Jestem głodny. Czy jest paszтет kornwalijski?

Kelnerka skinęła potwierdzająco i spojrzała na Trishę.

- A co dla pani?

- Zwykłe piwo.

To samo miał w swym kufle Raul. Kelnerka przed odejściem popatrzyła wyczekująco na Argentyńczyka, ale ten potrząsnął przecząco głową. Jego kufel napełniony był do połowy.

- Myślę, że nasze spotkanie okaże się pożyteczne - powiedziała Trisha. - Rob rozważał ostatnio możliwość kupna argentyńskich koni do swojej stadniny. Jestem pewna, że jeśli nawet nie ma pan na sprzedaż własnych kuców, to przynajmniej będzie pan mógł służyć nam radą.

- Zawsze mam jakieś konie do sprzedania, ale wszystko zależy od tego, czy spodobają się jeźdźcowi, no i oczywiście od ceny, jaką gotów jest za nie zapłacić. - Raul skierował te słowa do Roba.

- To na pewno ma znaczenie, ale gracz może być tylko tak dobry, jak dobry jest jego koń - Rob powtórzył słowa Luz.

- Odwrotne stwierdzenie również jest prawdziwe. Koń jest tak dobry, jak dosiadający go jeździec. - Raul podniósł kufel i wypił łyk piwa. - Zauważyłem dzisiaj, że gra pan znacznie lepiej niż kilka miesięcy temu.

- Powiniennem jeszcze poprawić technikę - stwierdził Rob. - W tym celu przerwałem na rok naukę. Chciałbym mieć również lepsze konie w swojej stadninie.

Kelnerka wróciła do stolika niosąc zamówione napoje i talerz, na którym leżał placek w kształcie półksiężyca nadziewany mięsem, cebulą i warzywami. Rob wyjął z kieszeni jednofuntowy banknot i położył na stoliku. W czasie gdy kelnerka wydawała mu resztę, zjadł spory kawałek smakowicie pachnącej regionalnej potrawy i poił łykiem mocnego irlandzkiego piwa.

- Kto jest pana trenerem? - zapytał Raul.

Trisha powoli sączyła ciemne piwo. Tocząca się bez jej udziału rozmowa stwarzała okazję do swobodnego obserwowania twarzy Raula. Na pierwszy rzut oka sprawiała ona wrażenie odpychającej. W zarysie podbródka ujawniała się pewna twardość i nieustępliwość, którą zresztą zauważyła w jego sposobie zachowania na boisku. Odrobinę miękkości dodawały rysom bruzdy wokół ust. Największe jednak wrażenie sprawiały jego błękitne oczy o bystrym przenikliwym spojrzeniu, w którym można było doszukać się cienia wyniosłości. Raul wyglądał na mężczyznę panującego nad swymi uczuciami, spoglądającego na świat z dystansu - z wysokości końskiego grzbietu. Trisha uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, czy nie zaczyna zbyt fantazjować, czy nie doszukuje się w nim cech usprawiedliwiających fakt, że tak obojętnie przyjmuje jej zaloty.

- W tym momencie nie mam żadnego trenera. W szkole zajmował się mną trochę opiekun drużyny akademickiej, ale głównie uczyłem się od zawodowców, których spotykałem w klubie - odpowiedział Rob.

- Jeśli chce pan poważnie uprawiać ten sport, ktoś powinien ocenić pańskie umiejętności i wytknąć błędy, zanim wejdą w nawyk. Najlepiej, żeby to był fachowiec, który zajmie się panem na co dzień, zarówno jeśli chodzi o kondycję, jak i technikę gry.

Trishę ucieszyła ta rada. Pomyślała, że gdyby Raul został trenerem brata, ich spotkania mogłyby stać się regularne.

- Czy udziela pan lekcji młodym, niedoświadczonym zawodnikom? - zapytała.

- Dawniej zajmowałem się tym. - Spojrzał na Trishę wzrokiem, który wskazywał, że domyśla się prawdziwych intencji zawartych w pytaniu. - Ostatnio prowadzę na moim ranczo w Argentynie kursy dla zaawansowanych graczy. Koncentrujemy się na kondycji, technice i taktyce gry. Szkolenie trwa od dwóch tygodni do trzech miesięcy. Uczestniczący w nich zawodnicy otrzymują mieszkanie i wyżywienie, dajemy im również konie, tak że muszą tylko przywieźć strój do konnej jazdy. Kursy zaczynają się wiosną, mam na myśli naszą wiosnę, która oczywiście przypada na waszą jesień. Niech pan się zastanowi, czy nie skorzystać z takiego szkolenia. Tak czy inaczej, jeśli zamierza pan nabyć konie, radziłbym wybrać się w tym roku do Argentyny. Poza moją stadniną jest tam jeszcze wiele innych, w których hoduje się i trenuje kuce, a ponadto w szczycie sezonu będzie pan miał okazję zobaczyć mecze na światowym poziomie.

- Argentyńczycy mają niewątpliwie najlepsze na świecie drużyny polo - rzekł Rob. - Wskazują na to wyniki w rozgrywkach o puchar Ameryki. Na pewno mógłbym się wiele nauczyć, biorąc lekcje u takich

mistrzów, a przy okazji poznałbym z pierwszej ręki sposoby, jakie stosują wasi gauczo, trenując konie.

- Prawdziwych gauczo już nie ma, podobnie jak waszych kowbojów. Pozostała po nich tylko legenda - stwierdził ze smutkiem Raul.- Dzisiejsi gauczo jeżdżą na traktorach.

- Albo ujeżdżają kuce do polo - zasugerowała Trisha.

- Myślę, że można sobie pozwolić na takie porównanie. - Raul uniósł lekko brwi i odchylił się na oparcie krzesła.- Dawni gauczo mieli stada składające się zazwyczaj z trzydziestu sztuk koni. Mogli na nich całkiem szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce. Ryzyko z tym związane było ich stałym towarzyszem i kochali je. Lekceważyli niebezpieczeństwa. Mówiono o nich, że potrzeby mają niewielkie i wyjątkowo proste, ograniczały się w zasadzie do dobrego wierzchowca. Siodło służyło im za posłanie. Przy jedzeniu posługiwali się wyłącznie nożem, bo do widelca potrzebny byłby talerz, do talerza zaś stół, a stół należałoby ustawić w pomieszczeniu mającym ściany i dach.

- Myślę, że to, co pan powiedział, w pewnym stopniu stosuje się również do zawodowych graczy polo. - Analogia wydawała się Trishy oczywista. Zastanawiała się, na ile zachowanie Raula wynika z tych właśnie tradycji.

- Pamiętam słowa dziadka, który mówił, że jedynym lekarstwem na namiętność do polo jest posiadanie władzy - zauważył Rob z uśmiechem - ale i to nie zawsze jest skuteczne.

- Ten sport wchodzi człowiekowi w krew i nie pozostawia zbyt wiele miejsca na nic innego - zgodził się Raul.

- Nie brzmi to zbyt zachęcająco - stwierdziła Trisha.

- I wcale nie miało tak brzmieć - odrzekł Raul.

Poczuła cierpki smak w ustach. Nie takich słów oczekiwała.

- Skoro nie przebywa pan dłużej w jednym miejscu, to dokąd się pan wybiera po opuszczeniu Anglii? - zapytała.

- W przyszłym tygodniu jadę do Francji.

- Cóż za zbieg okoliczności! My również w tym czasie będziemy w Paryżu - zawołała uradowana.

- Nie zamierzam zatrzymywać się w Paryżu - sprostował z naciskiem Raul. - Jadę do mieszkającego na wsi przyjaciela, który również pasjonuje się polo.

- Na pewno znajdzie się jakiś sposób, żebyśmy mogli się tam spotkać. - Nie dawała za wygraną.

- W jakim celu?

Trisha spojrzała na brata, który odstawił kufel i ręką wytarł z brody resztki Guinnessa.

- Jeśli Rob zdecyduje się kupić od pana konie albo zechce zapisać się do pańskiej szkoły, wasze spotkanie będzie nieuniknione.

- Proszę. - Raul wyjął wizytówkę z kieszeni i podała ją Robowi. - Tutaj jest adres w Argentynie. Wszelkie informacje udzieli wam mój współpracownik, Hectcor Guerrero. Z nim możecie wszystko uzgodnić, a gdyby zaistniała taka konieczność, powie wam, jak można się ze mną skontaktować.

Ruchem ręki przywołał kelnerkę i zamówił jeszcze jedną kolejkę piwa.

- Słyszałem o tych szkołach w Argentynie - powiedział Rob - ale mnie potrzebne jest doświadczenie zdobywane w meczach.

- To zbyt powolna nauka, ponieważ nie ma pan wpływu na to, co robi przeciwnik. Poza tym, każdy mecz jest inny. W trakcie szkolenia można powtarzać pewne ciągi zdarzeń, aby wybrać najlepszy sposób

postępowania. Uczymy przewidywać działania kolegów z drużyny oraz przeciwników. Poło to coś więcej niż umiejętność jazdy konnej i posługiwania się kijem. W tej grze należy wiedzieć, gdzie w danym momencie znajduje się każdy zawodnik i gdzie prawdopodobnie znajdzie się w chwilę później. Jestem pewny, że trenerzy wyjaśniali to panu.

- Tak... - Rob w zamyśleniu przygładził włosy. - Zdaję sobie sprawę, że potrzebny mi jest dobry trener, ale myślę, że o tej pańskiej szkole powinienem najpierw porozmawiać z matką.

- Raul wybiera się na sobotnie przyjęcie, możesz więc przedstawić go mamie. - Trisha nie miała wątpliwości, że Luz zgodzi się na wszystko, co Rob zaproponuje.

- Hej, Buchanan! - Jeden z mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku odwrócił się w ich kierunku. - Jak nazywał się ten Australijczyk, który dał takiego efektownego nura w czasie wczorajszego meczu?

- Carstairs.

- Podobno ma wstrząs mózgu.

- To i tak miał szczęście - dodał ktoś. - Jego konia trzeba było dobić.

- Przypomina mi się, jak upadliśmy ze starym Saverem. Ty, Buchanan, też tam byłeś. Do diabła! To właśnie twój kary koń zwał nas z nóg. Padał wówczas deszcz i było ślisko. Po prostu płatanina ciał i połamanych nóg. Kiedy się ocknąłem, Buchanan siedział już na koniu, spokojny jak zawsze, i czekał, kto następny zdoła się wydostać z tego kłębowiska. Mógłbym przysiąc, że ten jego piekielny koń miał nogi z żelaza.

Toczyła się wartka konwersacja pomiędzy dwoma stolikami. Gracze wspominali dawne upadki i towarzyszące im kontuzje, zamawiając coraz to nowe kufle piwa. W końcu obydwie stoliki zsunięto i otoczono kręgiem krzesel. O Trishy, jedynej kobiecie w tym towarzystwie, wkrótce zapomniano. Podniosła się więc od stolika i oparta o ścianę, z kuflem piwa w rękę, przysłuchiwała się rozmowie.

Przez moment spojrzenie Raula zatrzymało się na niej. Wraz z mocniejszym biciem serca poczuła przypływ nadziei, ale wkrótce nastrój ten ustąpił rozczarowaniu, jego wzrok przyciągnął ktoś inny. W świecie tego mężczyzny nie ma miejsca dla kobiety, pomyślała, oczywiście poza przelotnymi znajomościami czy nawet romansami.

Na krótko przed dziesiątą kelnerka ostrzegła, że za kwadrans lokal zostanie zamknięty, nadeszła więc pora na ostatnie zamówienia i uregulowanie rachunków. Trisha podeszła do brata, który stał obok Raula.

- Czy możemy zaproponować panu podwiezienie naszym samochodem? - zapytała.

- Dziękuję, przyjechałem własnym autem.

- W takim razie może odwiezie mnie pan do Siedmiu Dębów? - Trisha spojrzała zalotnie na Raula. Jego wahanie przedłużało się.

- Prawdopodobnie nie jest to panu po drodze - włączył się do rozmowy Rob.

- To nie ma znaczenia - przerwał mu Raul. - Odwiozę pana siostrę bezpiecznie do domu.

- A więc do widzenia, drogi braciszku.

Niedwuznacznie dała mu do zrozumienia, że jego obecność nie jest jej już potrzebna. Rob spojrzał na nią niepewnie, a potem powoli wyszedł z pubu.

Minęło kilka minut, zanim Raul pożegnał się z kolegami. Wreszcie przeszli przez zadymioną salę ku drzwiom i znaleźli się na ulicy. Powietrze było świeże i chłodne. Zatrzymali się na chwilę, by głęboko odetchnąć. Z pubu dobiegały przytłumione głosy niedawnych kompanów. Raul wskazał ręką kierunek, w

którym powinni pójść. Trisha zerknęła na niego ukradkiem.

- Czy gniewa się pan na mnie?

- O to, że moi koledzy pomyślą, że uwodzę nieletnie panienki? Na pewno nie. - Prawdopodobnie z powodu irytacji wyraźniej zabrzmiał w jego głosie hiszpański akcent.

Trisha nie to miała na myśli. Chodziło jej o fakt, że zmusiła go do odwiedzenia jej do domu, ale nie sprostowała.

- Jeśli będą takie komentarze, to wyłącznie z zawiści. A jeśli pan sądzi, że różnica wieku pomiędzy nami jest zbyt duża, powinien pan poznać kobietę, którą zamierza poślubić mój ojciec.

- Uważa pani, że wszystko, co jest dopuszczalne dla ojca, dozwolone jest również dla córki?

- W zasadzie tak.

Miała ochotę powiedzieć, że przemawia, jak gdyby to on był jej ojcem, ale powstrzymała się.

Ulica sprawiała wrażenie wymarłej. Tu i ówdzie mrok oświetlały prostokątne plamy światła padającego z okien.

- Po dziesiątej trudno w tej małej miejscowości potkać kogokolwiek na ulicy. Nie to, co w Londynie.

- Samochód stoi tutaj. - Skierował ją na drugą stronę ulicy.

- Aston Martin! - Trisha powiodła palcami po gładkiej kremowej karoserii, podziwiając eleganckie auto.

- Należy do mojego przyjaciela.

Pomógł jej wsiąść, a potem przeszedł na drugą stronę samochodu i wślizgnął się za kierownicę.

- Wolałabym taki wóz niż Rolls-Roysa. - Poglądziła ręką skórę fotela. - Wiem już, co kupię za rodzinne pieniądze. Wyobrażam sobie, jakie wrażenie zrobi takie auto w moim uniwersyteckim kampusie.

Warkot silnika zagłuszył śmiech Trishy. Światła samochodu wydobyły z mroku brukowaną uliczkę i stojące przy niej kamienne domy. Wóz przyspieszył i wkrótce znaleźli się na głównej drodze, za uśpionym miasteczkiem. Pędzili pustą szosą. Ciemność skrywała łagodny angielski krajobraz. Trisha delectowała się jazdą.

- Proszę skrócić w lewo - powiedziała, kiedy zbliżyli się do skrzyżowania.

- Znam drogę do Siedmiu Dębów - odparł Raul. - Grywałem w polo w posiadłości Sherbourne'a.

Trisha mocniej wcisnęła się w oparcie fotela.

- Fatalnie się czuję, siedząc po tej stronie, a jeszcze do tego samochód jedzie niewłaściwą stroną drogi. - Uśmiechnęła się i spojrzała na szybkościomierz, wskazujący liczbę sto trzydzieści. - Ciągle muszę sobie przypominać, że na skali są kilometry, a nie mile.

- Ma pani rację. To może działać deprymująco - powiedział, ale nie wyglądał na zaniepokojonego.

Na zewnątrz było zbyt ciemno, by dostrzec coś więcej niż oświetloną drogę przed samochodem. Trisha spojrzała na twarz Raula rozjaśnioną lekko światełkami sygnalizacyjnymi.

- Gdzie nauczył się pan tak świetnie mówić po angielsku? Czy tutaj, w Anglii?

- Nie. Mogę panią zapewnić, że moje nazwisko nie zostało odnotowane w rejestrze uczniów szkoły w Eton, chociaż wielu moich rodaków studiowało na uniwersytetach w Oksfordzie, Heidelbergu czy Sorbonie.

- Wobec tego, jak to się stało, że mówi pan tak biegle?

- W Buenos Aires są takie dzielnice jak Hurlingham czy Belgrano, gdzie można przeżyć całe życie, nie słyszy nawet jednego słowa po hiszpańsku. Wpływy brytyjskie były w Argentynie bardzo silne. Anglicy

posiadali większość dużych estancji na pampasach, stada owiec w Patagonii. Oni budowali nasze koleje. Przynieśli nam swój język i kulturę, a nawet sporty, takie jak piłka nożna i polo. Popierali nasze dążenia do uniezależnienia się od Hiszpanii. W końcu wielu z nich pozostało w Argentynie, zamiast po dorobieniu się majątku wrócić do ojczyzny, jak to się działo w przypadku Australii czy Indii.

- Nie wiedziałam o tym. W ogóle mało wiemy o Ameryce Południowej.

- To prawda. Inaczej było w tych czasach, kiedy w moim kraju zbijało się fortuny. Mówiło się wtedy: „bogaty jak Argentyńczyk”. Teraz ludzie mówią: „bogaty jak Arab”.

- Jestem przekonana, że wkrótce wybierzemy się do Argentyny - powiedziała Trisha zdecydowanym tonem. - Rob zapisze się do pańskiej szkoły. Trzeba tylko uzyskać aprobatę matki, ale ona praktycznie zostawia bratu pełną swobodę decydowania w sprawach dotyczących polo. To może być dla pana interesujące.

- Czy pani uważa, że powinienem okazać jej wdzięczność za podsuniecie mi dobrego interesu? - w głosie Raula znowu pojawił się hiszpański akcent.

- Wydaje mi się, że to istotnie ja pana zaprotegowałam - obruszyła się Trisha. - I to zarówno jeśli chodzi o szkołę dla Roba, jak i ewentualne kupno koni.

- Uważa mnie więc pani za swego dłużnika. Czy mogę wiedzieć, jakiego rodzaju rewanżu pani oczekuje?

- A kto powiedział, że oczekuję jakiegoś rewanżu?

- Może to, że odwożę panią do Siedmiu Dębów, jest tą spłatą długu. Raczej powinienem powiedzieć - pierwszą ratą. - Raul na moment odwrócił wzrok od drogi i spojrzął na Triszę.

- Chyba wreszcie zauważy pan, że coś dla pana znaczę.

W działaniu Trishy było nieco wyrachowania, ale uznała je za usprawiedliwione. Postanowiła zwrócić jego uwagę i na razie skutek tych zabiegów nie był najgorszy. Sprowokowała go, żeby odwiózł ją do domu. Reszta zależeć teraz będzie od jej sprytu.

W światłach samochodu pojawiły się ciężkie granitowe kolumny strzegące wjazdu na teren posiadłości. Żelazna brama była otwarta. Raul zwolnił i skierował samochód na długi podjazd. Poprzez gałęzie rosnących na trawniku siedmiu dębów połyskiwały światła okien wielkiego dworu. Od tych prastarych drzew pochodziła nazwa majątku. Raul zatrzymał auto pod koroną jednego z nich, w sporej odległości od wejścia i wyłączył silnik. Odwrócił się do Trishy, przerzucając rękę przez oparcie fotela.

- Nie mam w stosunku do pani żadnych zobowiązań. To, czy pani opowiada się po mojej stronie, czy też nie, jest wyłącznie pani sprawą. Niczego pani nie zawdzięczam.

- Co takiego musiałabym zrobić, żeby pan mnie wreszcie dostrzegł - powiedziała, zirytowana, że jej dotychczasowe wysiłki okazały się nieskuteczne.

- Ależ ja zwróciłem na panią uwagę. Jest pani młodą uroczą dziewczyną, tylko po prostu nie interesuje mnie pani - stwierdził obojętnie.

- Co się panu we mnie nie podoba? Może woli pan kobiety potulne i posłuszne? Takie, które drżą pod dotknięciem pana dłoni? - Spojrzała na niego. - A może w ogóle nie lubi pan kobiet, a ja popełniam fatalny błąd, próbując zainteresować sobą homoseksualistę?

- Rozumiem. Teraz chce pani podrażnić moją męską ambicję.

- Podejrzewam, że ma pan słabość do Anglików, bo podobnie jak wielu z nich zaspokaja pan swoje potrzeby seksualne w taki czy inny sposób. - Trisha atakowała jedyny, jej zdaniem, słaby punkt Raula.

- Rozbierz się - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Co takiego? - zdumiała się.

- Powiedziałem, żebyś się rozebrała. Mówiłaś, że nie jesteś dziewicą, więc rozbieraj się. W jaki sposób mogę cokolwiek udowodnić? Chcesz tego, prawda?

- Tak.

Zawahała się przez chwilę, patrząc na jego kamienną twarz. Doczekała się w końcu reakcji na swoją prowokację, ale nie była pewna, co ma dalej robić. Pragnęła kochać się z nim, może nie w takiej sytuacji, ale...

Nie spuszczać z niego wzroku, zaczęła rozpinąć bluzkę. Kiedy zrzuciła ją z siebie, napotkała jego spojrzenie. Krew pulsowała mocno w jej żyłach. Rozpięła spódniczkę, a potem zsunęła ją. W tym momencie znów się zawahała.

- Wszystko! - Raul wskazał palcem ramię jej stanika.

Zdjęła stanik i majteczki i rzuciła wszystko na siedzenie obok. Była skrepowana swą nagością, ale jednocześnie podniecona. Kiedy wolno nachylił się ku niej, czuła w skroniach głośne pulsowanie krwi.

Nagle usłyszała trzask zamka i poczuła strumień chłodnego powietrza. Zorientowała się, że Raul otworzył drzwi samochodu.

- Wsiadaj! - polecił szorstko.

Spojrzała na niego, oczekując jakichś wyjaśnień.

- Wsiadaj! - powtórzył.

Zaskoczona i całkowicie zdezorientowana wyszła z wozu odruchowo osłaniając się rękami. Sądziła, że on również wysiądzie, ale nagle poczuła, jak krawędź drzwi ociera się o jej rękę - Raul zatrzasnął je. W sekundę później usłyszała warkot silnika. Nie wierzyła własnym uszom.

- Moje ubranie! - Sięgnęła ręką do klamki, ale drzwi były zamknięte. Stukając w szybę, biegła obok samochodu, kiedy Raul manewrował, zawracając i wyprowadzając wóz na drogę. - Ty draniu! Oddaj moje ubranie!

Ostry żwir podjazdu ranił jej stopy. Auto stanęło. Jego reflektory oświetliły bramę. Trisha była bliska płaczu z wściekłości. Czuła na ciele chłód nocnego powietrza. Z piskiem opon samochód cofnął się i znieruchomiał obok niej. Stała skulona i drżąca, patrząc na kierowcę.

Kiedy opuścił szybę, skierowała na niego potok najgorszych obelg, jakie mogła odnaleźć w pamięci.

- Ty wstrętny sukinsynu! Zabiję cię za to, co mi zrobiłeś! Jesteś ostatnim draniem!

Z uchylonego okna samochodu wyleciał kłęb jej ubrań. Schwyciła większość z nich, zanim spadły na ziemię. Ciemność nie pozwalała jej dostrzec wyrazu twarzy Raula.

- Upokorzenie jest okrutnym nauczycielem. Mam nadzieję, że teraz nie będziesz się tak szybko rozbierała na polecenie mężczyzny - powiedział.

W tonie jego głosu wyczuła całkowitą obojętność na jej bezsilny gniew.

Opony znów zazgrzytały na wysypanej żwirem drodze. Trisha podniosła pantofel i cisnęła nim w szybę oddalającego się auta.

- Podły drań! - Bucik odbił się od kremowej karoserii.

Przyciskając do piersi ubrania, patrzyła na znikające w mroku czerwone światła samochodu. Potem, ostrożnie stawiając stopy na zwirowanej drodze, odszukała pantofel. Łzy płynęły jej z oczu.

11

Odstawiając na stolik szklanę z whisky, Luz zauważyła leżącą na srebrnej tacy kopertę. Wzięła ją do ręki. Przesyłka wyglądała na telegram. Przez celofanowe okienko, w którym widoczny był fragment adresu, odczytała nazwisko Thomas.

- *Madame?*

Odwróciła się i ujrzała pokojówkę Sherbourne'ów, trzymającą w ręku trzy suknie - jedną z nich miała wybrać na dzisiejsze przyjęcie. Wypiła łyk whisky.

- Połóż je na łóżku. Zdecyduję później - oznajmiła. Nie miała już dużo czasu, ale przecież na przyjęciu nie spotka Audry, która wytknie jej niepunktualność.

- Dobrze, *madame*. Czy życzy pani sobie czegoś jeszcze?

- Proszę o drinka - poleciła Luz i usiadła na pokrytej aksamitem kanapie.

Ciekawa była nadawcy telegramu. Odstawiła szklanę i rozerwała kopertę. Przebiegła wzrokiem symbole informujące o dacie i miejscu nadania depechy, aż dotarła do zasadniczej treści. Telegram adresowany był do Trishy,

Jakieś słowo przykuło jej uwagę. Zaczęła czytać.

*DZISIAJ ODBYŁ SIĘ MÓJ ŚLUB Z CLAUDIA
STOP WIEDZIELIŚMY ŻE CHCIAŁAŚ BYĆ NA
NIM ALE UWAŻAMY ŻE TAK JEST LEPIEJ
STOP KOCHAMY CIĘ STOP CAŁUJĘ OJCIEC.*

Ożenił się! Opuściła rękę na kolana. Telegram wyslizgnął się jej z palców i upadł na podłogę. Informacje o jego planowanym małżeństwie wydawały się jej dotychczas nierealne. Nie mogła pogodzić się z tym, że to nastąpi, aż wreszcie stało się - Drew poślubił Claudię.

A więc jest już po wszystkim. Naprawdę po wszystkim. Teraz Drew należy do innej. Luz sięgnęła po szklanę z whisky, lecz znieruchomiała, patrząc na swą lewą rękę. Zdjęła z palca ślubny pierścionek z dużym brylantem i wrzuciła go do stojącej na stoliku szkatułki z biżuterią. Ręka wydała jej się naga. Coś zostało bezpowrotnie utracone.

Szybkim ruchem sięgnęła po szklanę i, niemal krztusząc się, wypila całą jej zawartość. Alkohol palił jej gardło, ale nie rozgrzewał od wewnątrz. Teraz stała się byłą panią Thomas. Jej miejsce zajęła inna kobieta - młoda, piękna, inteligentna.

- Pani drink, *madame*. - Pokojówka postawiła przed nią szklanę napełnioną whisky z wodą sodową.

- Zapomniała pani o lodzie. Poproszę o parę kostek.

Kiedy Trisha wyszła ze swego pokoju na korytarz pierwszego piętra, dobiegły ją delikatne dźwięki muzyki z wielkiego holu na parterze, gdzie grała orkiestra kameralna. Towarzyszył im przytłumiony gwar. Przyjęcie, a raczej bal, według określenia Fiony Sherbourne, już się rozpoczął. Goście przybywali

coraz liczniej.

Przed zejściem na dół zatrzymała się na chwilę, by jeszcze raz skontrolować swój wygląd. Dotknęła palcami złotych filigranowych grzebieni, które podtrzymywały opadające jej na twarz brązowe loki, a także zwisających z uszu klipsów. Dwukrotnie sprawdziła, czy ametystowa broszka przypięta jest wystarczająco mocno do ramiączka turkusowej jedwabnej sukni o prostym, eleganckim kroju. Tej nocy chciała wyglądać pięknie.

Nerwowo przyglądała suknię na biodrach, podeszła do wysokich drzwi pokoju matki i zapukała. Czekala, nad słuchując odgłosu kroków z wnętrza pokoju. Drzwi otworzyła Emma Sanderson. Kiedy zobaczyła Trishę, napięcie ustąpiło z jej twarzy.

- Czy Luz jest już gotowa? Pomyślałam, że mogłybyśmy zejść na dół razem.

- Nie - odpowiedziała Emma. Trisha zauważyła, że poza rozdrażnieniem coś jeszcze kryje się w jej wzroku. - Na razie przebiera się po raz trzeci. W tej chwili przymierza znów pierwszą suknię.

Luz nigdy nie miała kłopotów z podejmowaniem takich decyzji, chociaż ostatnio zdarzały się jej momenty niezdecydowania. Rozwód wyraźnie podważył jej zaufanie do siebie i to w różnych dziedzinach.

- Wobec tego zejść tam sama, zanim Fiona zacznie nas szukać - powiedziała Trisha.

- Tak będzie lepiej. Jestem pewna, że matka wkrótce do ciebie dołączy - w głosie Emmy nie było całkowitej pewności.

Trisha zawahała się, czy nie porozmawiać z matką, ale doszła do wniosku, że Emma potrafi lepiej opanować sytuację. Pomiedzy Trisha a Luz coraz częściej, zwłaszcza od czasu rozvodu, dochodziło do zadrażnień. Nie mogła zgodzić się z opinią, że za rozpad małżeństwa rodziców odpowiedzialny jest wyłącznie ojciec. Uważała, że jakaś część winy spada również na matkę. Może chciała po prostu usprawiedliwić ojca, bo go kochała? Tak czy inaczej, konflikt narastał.

Odsunęła od siebie myśli o przeszłości i postanowiła cieszyć się dzisiejszym wieczorem.

- Jak wyglądam? - Wykonała półobrót, by lepiej się pokazać.

- Zachwycająco - odpowiedziała szczerze Emma. - Bardzo wydożałaś w ciągu tego roku.

- Dziękuję - odpowiedziała Trisha. Wcale nie czuła się dorosła. Bardzo potrzebowała wsparcia.

Z głębi apartamentu dobiegł nagle podniesiony głos Luz.

- Do diabła, Emmo. Jeśli nie można nigdzie zdobyć lodu, to proszę o butelkę szampana. Wiem, że Anglicy podają zawsze schłodzony.

- Ona już pije? - zdziwiła się Trisha.

Emma szybko obejrzała się przez ramię, a potem z troską w głosie poprosiła:

- Jeśli możesz, uważaj na nią dzisiejszej nocy.

- Spróbuję - odparła Trisha, chociaż nie była pewna, czy to coś da.

Nadmierne picie matki zaczęło stawać się problemem, z którym nie wiedziała, jak sobie poradzić. Na litość boską, przecież ja jestem tylko jej córką, pomyślała. Emma zamknęła drzwi, zanim Trisha zdołała cokolwiek powiedzieć.

Kiedy odwróciła się, zobaczyła Roba idącego w jej kierunku. W smokingu wyglądał inaczej niż zwykle. Bardziej przypominał złotowłosego lorda Fantleroya niż długowłosego buntownika. Niewykluczone, że ta opinia zabarwiona była nieco zazdrością i niechęcią, jaką niekiedy odczuwała w stosunku do brata.

Uważała go za egoistę.

Luz wyraźnie faworyzowała swojego jedyne go syna i wydawało się, że wszystko obraca się wokół niego. Na ogół Trisha traktowała to jako coś naturalnego, ale niekiedy oburzało ją, że cała rodzina tolerować musi jego humory i zachcianki.

- Luz nie jest jeszcze gotowa - poinformowała brata. - Może razem zejdziemy na dół?

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał.

W jego głosie i postawie wyczuwało się pewność siebie będącą zapewne skutkiem zwycięstwa w popołudniowym meczu, co zapewniło jego drużynie udział w jutrzejszym finałowym spotkaniu.

- Nie może się zdecydować, co ma na siebie włożyć - usprawiedliwiła matkę.

- Ach tak...

Rob uspokojony ruszył w stronę schodów prowadzących na parter. Trisha poszła razem z nim.

W miarę jak zbliżali się do sali balowej, gwar stawał się coraz donośniejszy, zagłuszał niemal muzykę. W holu wejściowym panował niezwykle ruch. Tłoczyli się tam ciągle napływający goście. Sprawni służący odbierali od nich cenne etole i okrycia. Rob i Trisha ominęli kolejkę gości czekających na oficjalne powitanie przez gospodarzy i wślizgnęli się do sali.

Światła żyrandoli odbijały się od świeżo odnowionego, pokrytego freskami sufitu i od brylantów w naszyjnikach, zdobiących dekolty podstarzałych matron. Przeciskając się przez tłum, Trisha wypatrywała tylko jednej twarzy. Kilkakrotnie doznała zawodu, kiedy oglądany od tym brunet odwracał się i nie był to Raul Buchanan.

Szerokie drzwi prowadzące przez oświetlony taras do ogrodu, zaprojektowanego w stylu elżbietańskim, były szeroko otwarte. Wpadał przez nie do zatłoczonej sali balowej strumień świeżego powietrza. Nieliczni goście poszukiwali już ochłody na tarasie.

- Szampana? - Ubrany w liberię lokaj podsunął im tacę zastawioną kieliszkami napełnionymi perlistym płynem. Trisha zatrzymała się i wzięła jeden z nich.

Rob również skorzystał z propozycji, po czym lokaj skłonił się i poszedł w stronę następnych gości. Popijając szampana, przeciskali się powoli ku wyjściu na taras, gdzie było trochę luzniej.

- Tylu ludzi spotkaliśmy w czasie tej podróży, a pośród nich było tylko kilka znajomych osób.

- To prawda.

- Hej, Rob! - Szczupła zielonooka brunetka z zalotnym wyrazem twarzy pojawiła się przed nim. - Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu na party u Guddroxów. Jestem lady Cyntia Hall. Możesz się do mnie zwracać tak jak wszyscy - Cyn.

- Lady Cyn. - Rob uklonił się, usiłując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczony.

- Jesteś jego siostrą, prawda? - Dziewczyna rzuciła Trishy chłodne spojrzenie, z którego można było wyczytać, że jej towarzystwo nie jest im w tym momencie szczególnie potrzebne.

- Tak. - Trisha nie miała zamiaru zostawiać ich samych. Stanęła bliżej brata.

Młoda brunetka ignorowała jej obecność.

- Byłeś wspaniały w dzisiejszym meczu. Powiedz, czy równie dobrze potrafisz tańczyć jak grać w polo?

- Prawie. - Rob pokraśniał z dumy. - Możemy to zaraz sprawdzić.

- Pysznie! - Wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę tańczących par. - Chciałabym dowiedzieć się, co jeszcze potrafisz robić... prawie tak dobrze jak grać w polo.

Po ich odejściu Trisha jeszcze raz rozejrzała się po sali. Ze zdumieniem spostrzegła, że parę kroków od niej stoi Raul. Widok ten wywołał w niej silne wzburzenie, ale z pewnością były to emocje mniej negatywne, niż mogła się spodziewać. Smoking łagodził naturalną, zdawało się, szorstkość tego mężczyzny i harmonizował z ciemną cerą Argentyńczyka, kontrastującą z błękitem jego oczu. Elegancki ubiór doskonale podkreślał wyniosłość i męskość Raula.

Incydent z Cynthia Hall, a zwłaszcza sposób, w jaki potraktowała Roba, pozostawił Trishy uczucie niesmaku, ale równocześnie pozwolił jej lepiej ocenić swoje zachowanie w stosunku do Raula. Nie na tyle jednak, by osłabić urazę z powodu zranionej dumy.

Podeszła do niego wolnym krokiem. Z udaną obojętnością pominęła jego spojrzenie, którym zmierzył ją z góry na dół. Czowała wewnętrzne podniecenie i równocześnie zakłopotanie, ale nie dawała tego po sobie poznać.

- Dobry wieczór, panno Thomas.

Zacisnęła palce na nóżce kieliszka. Nie była pewna, czy w jego spojrzeniu kryje się wspomnienie jej nagości, czy tylko obojętna ocena stroju.

- Nie wiem, czy powinnam chlusnąć panu szampanem w twarz, czy roześmiać się i wykpić ten zabawny incydent sprzed paru dni - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Wolalbym, żeby mnie pani niczym nie polewała. Smoking nie należy do mnie.

- Kiedy zauważyłam, jak źle na panu leży, doszłam do wniosku, że albo ma pan na sobie cudze ubranie, albo marnego krawca - próbowała mu dokuczyć. Chciała, żeby czuł się skrępowany z powodu zbyt luźnej marynarki i za długich rękawów. - Wydaje mi się, że należy pan do tych ludzi, którzy często zmieniają miejsce pobytu, lecz podróżują zwykle bez bagażu.

- Ma pani rację.

- Nigdy żaden mężczyzna nie zakpił tak ze mnie. - Nie miała zamiaru mówić mu, jak bardzo czuła się przez niego upokorzona, ale na moment straciła nad sobą kontrolę. - Sądzę, że była to z pana strony prowokacja.

- Proszę mi wierzyć, nie chciałem pani sprowokować - zaprzeczył Raul.

- Być może - zgodziła się Trisha. - Mam jednak nadzieję, że któregoś dnia jakaś kobieta rzuci pana na kolana.

- Jeśli oglądała pani dzisiejszy mecz, to na pewno nie uszło pani uwagi, jak leżałem plackiem na ziemi, zrzucony przez moją klacz - powiedział z leniwym uśmiechem.

- Miałam na myśli damy dwunożne - zauważyła, podnosząc kieliszek z szampanem.

Nagle z grupy stojących w pobliżu gości dobiegł ich głośny, gardłowy śmiech. Trisha, z kieliszkiem przy wargach, odwróciła się i zobaczyła Luz. Przez moment poczuła się przyćmiona wyglądem matki. Na jej szczupłej sylwetce ciemnostalowa wieczorowa suknia z długimi rękawami mieniła się tysiącem metalicznych błysków. Głęboki dekolt na plecach przecinały skrzyżowane ramiączka. Włosy upięte miała w kok, a w uszach kolczyki z diamentami.

Kiedy Luz spostrzegła córkę, odłączyła od towarzystwa i ruszyła w jej kierunku. W rękę trzymała na wpół opróżniony kieliszek szampana.

- Nie miał pan jeszcze okazji poznać mojej matki, prawda? - mruknęła Trisha, zerkając na Raula.

- Chciałam cię obejrzeć przed zejściem na dół - zawołała Luz. Zlustrowała wzrokiem córkę i uśmiechnęła się z aprobatą. - Nie było potrzeby. Wyglądasz pięknie.

Trisha zauważyła, że matka mówi trochę niewyraźnie. Kiedy Luz podniosła kieliszek i wypila spory łyk szampana, Trisha przypomniała sobie prośbę Emmy.

- Ty również - zrewanżowała się.

- Zauważyłam, że Rob został porwany przez jakąś młodą damę - powiedziała Luz, patrząc w stronę tańczących par.

- Damę tylko z tytułu - wtrąciła Trisha.

Luz uniosła brwi.

- Nie dziwi mnie to. Moim zdaniem Fiona niezbyt starannie ułożyła listę gości na dzisiejsze przyjęcie, oczywiście poza nielicznymi wyjątkami, na przykład takimi jak my.

Wypiła resztę szampana, a potem zwróciła się do Raula, przyglądającego się jej w milczeniu.

- Wydaje mi się, że nie poznaliśmy się jeszcze. Nazywam się Luz Kincaid Thomas... i usilnie próbuję zapamiętać, że do niedawna przedstawiano mnie jako żonę Drewa Thomasa - wyciągnęła do Raula rękę. -

A pan jest lordem z jakiego hrabstwa?

- Jestem *Señor de Nada*, czyli Lord Znikąd. - Raul skłonił się lekko, z ironicznym wyrazem twarzy.

Zjawił się lokaj z tacą zastawioną kieliszkami napelnionymi szampanem. Luz skinęła na niego.

- Mamo, chyba nie powinnaś - zaprotestowała Trisha.

- Nie przejmuj się, kochanie. - Wymieniła kieliszek i na pełny, a potem zwróciła się do Raula. - Moja córka myli się sądząc, że wypiałam zbyt wiele.

- Ależ oczywiście, proszę pani. - Raul przyglądał się im uważnie, bezskutecznie doszukując się podobieństwa pomiędzy matką i córką.

- Jak masz na imię? - Luz zwróciła się do lokaja.

- Simms, *madame*.

- Dobrze, Simms. Spójrz na ten kieliszek - uniosła rękę. - Chciałabym, żebyś przez cały wieczór nie spuszczał go z oczu. Kiedy będzie pusty, masz się natychmiast pojawić. Zrobisz to dla mnie?

- Jak pani sobie życzy, *madame* - powiedział lokaj i ukłonił się grzecznie.

- Właśnie tego sobie życzę. Dziękuję ci - odprawiła go.

- Nie wydaje mi się, aby to było rozsądne - odezwała się Trisha.

- Czy zawsze muszę zachowywać się rozsądnie? - wzruszyła ramionami, a potem zwróciła się do Raula.

- Moja córka nie rozumie, że dzisiaj mam ochotę się upić. Nie chcę być odpowiedzialna za to, co robię i mówię.

Raul przyglądał się Luz z uwagą. Podejrzewał, że alkohol potrzebny jest jej, by uciec od rzeczywistości. Zapewne wcześniej wypila już sporo, inaczej nie pozwoliłaby sobie na tak swobodne zachowanie. Niewiele o niej wiedział. Trisha wspomniała coś o tym, że ojciec ma ożenić się z młodą dziewczyną, no i przyznanie się do prób zapomnienia o noszonym wcześniej nazwisku.

Najpewniej rozwód odbył się niedawno... i ból jest jeszcze świeży. Można to było zauważyć, niemniej musiał przyznać, że ta kobieta, chociaż wyraźnie wstawiona, wykazuje jednak klasę.

- Czy jest pan żonaty, mój Lordzie Znikąd? - zapytała Luz.

- Nie.

- A więc rozwiedziony?

- Też nie.

- Ile pan ma lat?

Zmarszczyła brwi i uważnie przyglądała się twarzy Raula.

- Trzydzieści siedem.

- Popelnił pan błąd, milordzie. Powinien pan już dawno poślubić dziewczynę z bogatej wpływowej rodziny, mieć z nią dwoje dzieci, najlepiej syna i córkę, i wykorzystać rodzinne koneksje do wyrobienia sobie pozycji. Mając już elegancki dom, wpływowych przyjaciół i pieniądze, może pan porzucić pierwszą żonę, w tym momencie już starą. Jako człowiek zamożny, na stanowisku, bez trudu znajdzie pan młodą piękną kobietę, taką, jakiej tylko pan zapragnie. Tak się to robi, milordzie.

- Wiem.

Była to stara jak świat, setki razy powtarzająca się historia.

- Nie uwierzy pan, jak łatwo można oszukać kobietę. - Wypiła łyk szampana, a potem przez chwilę wpatrywała się w musujący płyn. - Żona jest ostatnią osobą, która zaczyna coś podejrzewać. Wszyscy przyjaciele będą o tym wiedzieć, cała rodzina, ale nie ona.

- Luz, proszę cię. - Trisha próbowała przerwać matce.

- O co mnie prosisz? Żeby nie mnożyć kłopotów? Możesz być spokojna. Osobę, która w takiej sytuacji próbowałaby protestować, uznano by za nieelegancką, a jej zachowanie za niestosowne. Mąż rozwodzi się z nią dla innej kobiety, ale to właśnie żona będzie wykluczona z towarzystwa. Przyjaciółki nagle zrywają z nią kontakty, zapewne z obawy, by to, co przydarzyło się jej, nie dotknęło ich rodziny. Może boją się, że zacznie teraz uwodzić ich mężów? - przerwała i smutnym wzrokiem rozejrzała się po sali. - Nie ma nic gorszego, jak wybrać się na przyjęcie samotnie.

- Luz, może wyjdziemy na taras i odetchniesz świeżym powietrzem? - zaproponowała Trisha.

- Już ci mówiłam, że dzisiejszej nocy nie chcę być trzeźwa. Albo... - przerwała i spojrzała smutno na Raula. - Wydaje mi się, że zanudzam pana.

- Ależ nie.

W istocie słowa Luz zaciekały go. Sztywne salonowe rozmowy nigdy nie sprawiały mu przyjemności.

- Czy wiecie, co w tym wszystkim jest najsmutniejsze? - Utkwiła wzrok w prawie pustym kieliszku. - Uczucie, że lepiej by było, gdyby on umarł.

- Jak możesz myśleć w ten sposób! - zaprotestowała wzburzona Trisha.

- Bo to prawda! - wybuchnęła Luz. - Gdyby Drew umarł, zostałyby mi przynajmniej piękne wspomnienia, a teraz patrzę na te dwadzieścia jeden lat jak na ruinę. Wszystko zostało zmarnowane i stracone. Co mi pozostało? Jak mam zacząć życie od nowa? Zawsze byłam tylko żoną. Powiedziałas mi kiedyś, że nie mam przed sobą żadnego celu. Miałaś rację. To prawda. - Wypiła resztę szampana i odwróciła się od nich. - Gdzie jest Simms?

Chciała ruszyć w głąb sali, ale przy pierwszym niepewnym kroku potknęła się. Raul błyskawicznie, instynktownie skoczył do przodu, znalazł się obok niej i podtrzymał ją.

- Dziękuję - powiedziała. Stała ze spuszczoną głową, z lekkim rumieńcem na policzkach.

Patrząc przez ramię na Trishę, Raul zauważył milczącą prośbę w jej wzroku. Tylko on mógł zapobiec kłopotliwej sytuacji, która niewątpliwie nadciągała.

- Myślę, że Simms poszedł po następną porcję szampana. - Raul oczywiście nie miał pojęcia, gdzie podziewa się lokaj. - Na sali balowej nie powinno się zbyt długo stać w miejscu. To bardzo męczy. Może zatańczy pani ze mną?

Spojrzała na niego wzrokiem raczej trzeźwym, ale Raul wyczuwał niepewne kołysanie jej ciała. Z całą pewnością potrzebowała oparcia.

- Czyżby próbował mnie pan uchronić od kompromitacji w oczach tych wszystkich ludzi? - zapytała.

- Tak - odpowiedział z uśmiechem, podziwiając jej domyślność.

- Jest pan więc najbardziej eleganckim lordem na tej sali - zażartowała. - Moim słowom powinien towarzyszyć głęboki ukłon, ale obawiam się, że gdybym pochyliła się zbyt nisko, nie byłabym już w stanie się wyprostować.

- Rozumiem - powiedział z rozbawieniem.

Mocnym ramieniem objął jej szczupłą talię i poprowadził poprzez kłębiący się tłum gości w stronę tańczących par. Kiedy znaleźli nieco wolnego miejsca, wyjął z jej ręki pusty kieliszek i odstawił na tacę, którą trzymał stojący z boku lokaj. Otoczył Luz ramieniem. Zdumiało go ciepło jej nagich pleców, tym bardziej że dotąd sprawiała wrażenie kobiety chłodnej. Odurzał go unoszący się wokół niej delikatny zapach egzotycznych perfum. Był tym wszystkim wyraźnie poruszony.

- Bardzo dawno nie tańczyłam z obcym mężczyzną - powiedziała cicho. - Myślę, że powinnam się do tego przyzwyczaić.

Jej próby dostosowania kroków do powolnego rytmu muzyki były nieudane. Szampan zachwiał jej poczuciem równowagi, musiała mocno oprzeć się o muskularne ramię Raula. Szybko zorientowała się, że taniec z nim różni się od tańca z Drewem. Inaczej trzymał rękę na jej plecach, inaczej jego nogi dotykały jej ud. Wszystko to było nowe i obce. Nie wiedziała, czy za te dziwne uczucia obwiniać Raula czy alkohol.

Wsparła dłoń na jego ramieniu, szerszym niż u Drewa i bardziej muskularnym. Dotknęła jego opalonej szyi, a potem, nie podnosząc wzroku, powiodła palcami w górę, do podbródka. Czuła na sobie jego wzrok, ale nie robiło to na niej wrażenia. Dotykała go prawie nieświadomie, tak jakby studiowała kształt antycznego posągu. Jej wskazujący palec powędrował w stronę policzka, potem znalazł się w zagłębieniu poniżej ust, aż dotarł do czubka brody.

- Mój mąż miał w tym miejscu głęboki rowek - szepnęła w zamyśleniu.

Trisha przyglądała się tańczącej parze, przerażona zachowaniem matki. Sposób, w jaki Luz obejmowała Raula i dotykała jego twarzy, jak gdyby byli kochankami, wydał jej się zbyt intymny. Wiedziała, że matka jest pijana, ale przez to sytuacja stawała się jeszcze bardziej kłopotliwa. Rozejrzała się po sali w poszukiwaniu Roba.

- Zatańczysz ze mną?

Pytanie zadał młody człowiek, którego kilka razy spotkała na różnych przyjęciach. Nie pamiętała jego imienia, wiedziała tylko, że jest trzecim synem jakiegoś wicehrabiego czy lorda i bywa bardzo dowcipny.

- Chętnie, ale nie w tym momencie. Szukam brata. Nie widziałeś go przypadkiem?

- Owszem. Przed paroma minutami wymknął się z sali balowej. Ciągnął za sobą naszą „grzeszną lady”,
Cyn.

- Dziękuję ci. - Trisha uśmiechnęła się zdawkowo i znów skierowała uwagę ku tańczącym parom.

W myśli przeklinała Roba za to, że zniknął w tak nieodpowiednim momencie. Nie mogła doczekać się, kiedy wreszcie orkiestra przestanie grać tę powolną, zmysłową melodię.

Pograżona w oparach szampana Luz nie zauważyła braku reakcji Raula na uwagę o rowku w brodzie męża. Nawet gdyby ten żywy posąg przemówił, prawdopodobnie nie zrobiłoby to na niej wrażenia. Nic nie mogło rozproszyć otaczającej ją mgły.

Zaokrąglonym czubkiem polakierowanego paznokcia obrysowała kontur jego dolnej wargi. Zastanawiała się, jakby to było, gdyby jakiś mężczyzna trzymał ją w ramionach i kochał się z nią. Przez wszystkie te lata należała wyłącznie do Drewa. Raz czy dwa razy w życiu spotkała mężczyznę, który przez pewien czas wydawał się jej pociągający, ale nigdy nie odczuwała chęci zdradzenia męża. Przyszło jej na myśl, że powodem tego było po prostu tchórzostwo, lęk przed zetknięciem się z czymś nowym i odmiennym.

Próbowała wyobrazić sobie namiętny pocałunek innego mężczyzny, smak jego ust, języka. Posunęła się tak daleko, że czuła na sobie jego ręce dotykające jej ciała, pieszczące piersi, rozchylające uda. Usiłowała jeszcze bezskutecznie wywołać w wyobraźni obraz twarzy tego wymagowanego kochanka. Samo ciało nie mogło przecież kochać się z nią. Fantazje rozpięchły się jednak powoli.

Potem zobaczyła, że ta twarz jest tuż obok niej. Podobały się jej te niebieskie, wpatrzone w nią oczy i ciemne włosy podobne do włosów Drewa. Dotknęła ich i odkryła, że są miękkie i jedwabiście gładkie. Wplotła w nie palce. Przypominały jej drogi jedwabny aksamit.

Odniosła wrażenie, że wreszcie spotkała mężczyznę, którego twarz pasowałaby do ciała z jej marzeń. W dodatku przyznał się, że jest kawalerem. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że ma on trzydzieści siedem lat, a więc jest młodszy od niej.

- Jak pan sądzi, ile mam lat? - zapytała, a kiedy Raul na nią spojrział, poczuła, że jego wzrok niszczy chroniącą ją osłonę z oparów alkoholu. - Nie, proszę nie przyglądać mi się tak uważnie.

Szybko opuściła głowę i oparła czoło o jego ramię. Próbowała skryć twarz tak, by nie mógł dostrzec na niej drobnych zmarszczek.

Wolała na niego nie patrzeć. Wszystko wokół widziała jak przez mgłę. Próbowała skoncentrować uwagę na czymkolwiek. Przyjemność sprawiało jej delikatne dotknięcie jego ręki na plecach i ucisk palców w talii. Czuła się rozluźniona i spokojna. Od dawna wszystko w jej życiu układało się źle, wreszcie, po raz pierwszy od miesiący, spotkało ją coś miłego.

Z przyjemnością wdychała dyskretny zapach jego wody kolońskiej. Czuła równocześnie ciepło oddechu na powiekach, wiedziała, że jego usta są blisko jej twarzy. Doznawane wrażenia wprawiły ją w dziwny niepokój. Poczowała wewnętrzny ból. Nie wiadomo dlaczego miała ochotę płakać. Czasami zdarzało się jej to po alkoholu.

- Proszę pani! - głos Raula wyrwał ją z zamyślenia.

- Co takiego? - zapytała zniecierpliwiona. Wolała, by nadal milczał.

Powoli dotarło do jej świadomości, że już nie tańczą. W jej oczach sala kołysała się jeszcze.

- Orkiestra przestała grać - powiedział.

Istotnie, nie słyszała już muzyki, a jedynie jednostajny gwar ludzkich głosów. Odsunęła się od niego, ale w tym momencie wszystko wokół zaczęło wirować. Przycisnęła rękę do oczu, próbując odzyskać ostrość widzenia. Poczula, że objął ją ramieniem, by ją podtrzymać.

- No tak, skończyli - szepnęła. Kiedy rozejrzała się wokół, jej marzenia również się rozplynęły. Mężczyźni, tacy jak jej Lord Znikąd, pragną młodych kobiet, pomyślała. Roześmiała się. - Niemal zapomniałam, że wszyscy jesteście draniami. Gdzie Simms? Niech pan go odnajdzie.

Miała ogromną ochotę na jeszcze jednego drinka. Odepchnęła podtrzymujące ją ramię i rozejrzała się w poszukiwaniu lokaja. Po chwili zobaczyła go - niósł tacę z kieliszkami.

- Simms! - zawołała, ale ktoś zatrzymał ją, zanim zdołała ruszyć w jego stronę.

- Luz, jesteś pijana - usłyszała przyciszony, pełen furii głos Trishy.

Dopiero po chwili udało jej się zogniskować wzrok na twarzy córki. Tak, ona ma rację, pomyślała.

- Życzy pani sobie szampana? - przed oczami Luz zamigotały kieliszki wypełnione jasnobursztynowym płynem.

- Nie, dziękuję ci, Simms - odrzekła, starając się mówić wyraźnie. - Wydaje mi się, że jestem już wystarczająco wstawiona. Czy mógłbyś odprowadzić mnie do mojego pokoju? Nie chciałabym zataczać się w obecności... tych wszystkich ludzi.

- Jak pani sobie życzy, *madame*. - Lokaj podał jej ramię, którego Luz skwapliwie się przytrzymała.

Wolnym, równym krokiem dziwaczna para ruszyła przez salę. Trisha patrzyła za nimi zła i zawstydzona, ale równocześnie gdzieś w głębi duszy podziwiała zdolność Luz do zachowania godności.

- Ona potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji - powiedziała, a potem zwróciła się do Raula. - Obawiam się, że mama...

- Nie musi pani za nią przeproszać - przerwał jej i ruszył w kierunku otwartych drzwi tarasu.

Trisha przez chwilę patrzyła za nim niezdecydowana, a kiedy się odwróciła, stanęła twarzą w twarz z młodzieńcem, który chwilę wcześniej prosił ją do tańca.

- Już się obawiałem, że ta orkiestra nie potrafi zagrać nic szybkiego - powiedział, zwracając jej uwagę na rozbrzmiewającą teraz szybką, rytmiczną melodię. - Spróbujemy?

- Chętnie.

Nawet nie spojrzała w stronę tarasu. Poszli w kierunku tańczących par.

Raul stanął w zaciemnionym rogu tarasu i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki krótkie cygaro. Zapalił je i mocno zaciągnął się dymem. Nie wiedział, co myśleć o tym, co się zdarzyło. Tańczył w swoim życiu z wieloma kobietami. Niektóre budziły w nim pożądanie, lecz tylko nieliczne potrafiły go zainteresować. Ta kobieta była inna. Jej pragnienie współczucia i czułości poruszyło go bardzo głęboko. Raul westchnął ciężko i jeszcze raz zaciągnął się dymem. Zastanawiał się, co skłoniło ją do tego krótkotrwałego zbliżenia z nim i dlaczego nie może przestać o niej myśleć. Pocięsział się tym, że o takich sprawach zazwyczaj szybko zapomina, a więc i o niej też zapomni.

Rozciągał się przed nim tonący teraz w ciemności, pieczołowicie wypielegnowany ogród o ścieżkach rozdzielających rzędy przyciętych krzewów, układających się w skomplikowany geometryczny wzór. W pobliżu tarasu zaszeleścił potracony przez kogoś krzew. Raul usłyszał przytłumione głosy, ciężkie oddechy i pojękiwania. Rzucił na wpół wypalone cygaro na kamienny taras i rozdeptał je obcasem. Nie

miał ochoty przysłuchiwać się odgłosom towarzyszącym uprawianiu seksu przez jakąś parę. Poza tym powinien wrócić na salę, pokazać się znajomym, a potem szybko opuścić to obowiązkowe przyjęcie.

Cienki materiał jej sukienki nie stanowił przeszkody dla rąk Roba. Wyraźnie wyczuwał kształt piersi, nieomal tak, jakby dotykał jej nagiego ciała. Jęk, który wydobył się z ust Cyntii, kiedy wsunął w nie język, spotęgował jego podniecenie. Był bliski szaleństwa. Czuł, że już mógłby się z nią kochać.

Oderwał wargi od jej ust i zaczął całować jej szyję i ucho. Dyszał ciężko.

- Jesteś piękna - wyszeptał.

Rob znajdował się w stanie tak silnego podniecenia, że piękną wydałaby mu się nawet najokropniejsza maskara, byleby miała dwie wypukłości w miejscu piersi i gorące zagłębienie pomiędzy nogami. O tym jednak, że Cyn nie jest brzydka, wiedziała spora grupka chłopców z jej szkoły, którym często okazywała swoje względy. Ta dziewczyna miała wyjątkowo dużo seksu, a teraz czekała na niego.

- Ty też - powiedziała całując go namiętnie w szyję. - Ty też.

Jednak kiedy chciał ułożyć ją na trawie, opierała się.

- Uważaj. Zostaną zielone plamy na sukni.

- Zdejmę marynarkę i położysz się na niej - zaproponował Rob.

- Nie, głuptasie - roześmiała się. Cofnęła się o krok a kiedy wyciągnął rękę, by znów ją objąć, zauważył, że suknię ma uniesioną i owiniętą wokół talii. - Rozepnij spodnie. Zrobimy to na stojąco i żadne z nas się nie pobrudzi.

Cienie rzucane przez konary i gałęzie drzew sprawiały, że wszystko wydawało się nierealne. Całą uwagę Rob skierował teraz na bielejące w mroku nogi i uda dziewczyny. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Cyn zbliżyła się do niego. Jedną rękę zarzuciła mu na szyję, drugą podtrzymywała sukienkę. Instynktownie objął dziewczynę i uniósł do góry.

- O Boże! - jęknął, kiedy doszło do zbliżenia.

Nogi Cyn z nieoczekiwaną siłą zacisnęły się wokół jego bioder. Rob nie był w stanie skupić się na niczym. Doprowadzała go do szaleństwa, dotykając językiem jego ucha. Czuł ucisk jej pośladków na swoich udach.

- Tak, tak - krzyczała ponaglająco.

- Cicho, ktoś może nas usłyszeć - szepnął.

Z miejsca, gdzie się znajdowali, widział plecy mężczyzn stojących na tarasie i migające w oknach sali balowej sylwetki gości.

- Podejrzewasz, że ktoś na nas patrzy? - szepnęła podekscytowana i wplotła palce w jego włosy. - To dobrze. Niech patrzą, niech patrzą!

Potem nastąpiła kulminacja. Odczuł rozkosz tak silną, że niemal graniczącą z bólem. Kiedy było już po wszystkim, wytarł się chusteczką do nosa. Po chwili - przypomniał sobie, że najpierw powinien zaoferować ją dziewczynie.

- Jesteś wspaniała. - Rob nigdy nie wiedział, co w takiej sytuacji należy powiedzieć.

- Wiem o tym. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem i rzuciła chusteczkę pod najbliższy krzew. - Niech się ogrodnik zastanawia, skąd się tu wzięła. A może zachowasz ją na pamiątkę?

- Nie - skrzywił się. Nie gustował w tego rodzaju żartach.

- Chciałam się przekonać, czy inne rzeczy potrafisz robić równie dobrze jak grać w polo. - Przytuliła się do niego. - To było niezłe. Prawda?

- Też tak sędzę.

- Ale mam coś jeszcze lepszego - powiedziała.

- To niemożliwe - zaprzeczył Rob. Lepszy może być tylko dreszczyk emocji w czasie meczu, ale ona tego nie zrozumie, pomyślał.

- Tak sądzisz? To dziwne. - Odpięła zamek wieczorowej torebki i wyjęła z niej lusterko i szminkę do ust. W słabym świetle padającym z okien sali balowej poprawiła sobie kontur warg. - Myślałam, że wszyscy młodzi Amerykanie wiedzą coś o pyle gwiazdnym.

- O czym?

- O gwiazdnym pyle. To coś wspaniałego... Na literkę k, jak kwiatek - potrząsnęła głową, powątpiewając, czy zrozumiał. - Kokaina, drogi chłopcze.

Schowała szminkę do torebki, a kiedy wyjęła z niej rękę, Rob zauważył pomiędzy jej palcami fiolkę wypełnioną białym proszkiem.

Z trudem opanował podniecenie.

- Próbowałeś tego? Zapewniam cię, że poczujesz się po tym znakomicie.

- Tak... wahałem kiedyś - powiedział. Już od dłuższego czasu nie zażywał narkotyku.

Było to głupie i absurdalne, ale miał wrażenie, że w domu wszystko układało się dobrze, dopóki nie zainteresował się kokainą. Kiedy sprawy domowe przybrały naprawdę zły obrót, postanowił z tym skończyć. Inna rzecz, że nigdy nie pozwalał sobie na tę przyjemność zbyt często, choć niektórzy jego koledzy korzystali z każdej okazji, żeby się narkotyzować.

Poza tym z zabawą tą wiązały się spore koszty. Rob nie wiedział jeszcze, ile własnych pieniędzy będzie musiał przeznaczyć na pokrycie wydatków związanych z grą w polo. Dodatkowe konie do stadniny, a potem ćwiczenie ich, pochłonie prawdopodobnie ogromną kwotę - od pięciu do dziesięciu tysięcy dolarów na jednego kuca, a zawodowy gracz powinien mieć w swoim stadzie przynajmniej trzydzieści koni. Dodać do tego trzeba koszty utrzymania stajni, wyżywienia koni i ich leczenia, transport, płace stajennych, trenerów, wyszukiwanie graczy. Razem wydatki sięgnąć mogą miliona dolarów.

Pieniądze w zasadzie nie stanowiły problemu. W razie czego mógł sprzedać własny, odziedziczony majątek. Przede wszystkim chciał grać w polo. Cieszyć się walką i zwycięstwem, jak dzisiejszego popołudnia. Były to wrażenia, jakich nie dawało nic innego. No, może kokaina.

- W takim razie wiesz, jak to jest - powiedziała z uśmiechem. - Mam tyle, że wystarczy i dla ciebie. Według mnie przyjemniej jest brać w towarzystwie. Różnica jest taka, jak między masturbacją a kochaniem się we dwoje.

Zgodę Roba uznała widocznie za oczywistą.

- Mam wszystko: lusterko, żyłetkę... O, do licha - nerwowo przeszukała torebkę - a gdzie jest słomka?

- To drobiazg.

Wyjął z kieszeni pięćdziesięciofuntowy banknot i zwinął go w rurkę. Tej sztuczki nauczył się od kolegów w szkole. Noszenie przy sobie przedmiotów potrzebnych do zażywania narkotyków było zbyt ryzykowne.

Cyn zarzuciła torebkę na ramię i podała Robowi niewielkie kwadratowe lusterko. Trzymał je poziomo, podczas gdy ona rozsypała na jego gładkiej powierzchni biały proszek. Potem ostrzem żyłki podzieliła narkotyk na wąskie pasemka.

- Najpierw ty - zdecydował.

Wzięła od Roba zrolowany banknot i jeden jego koniec włożyła do dziurki od nosa. Drugą zacisnęła palcem. Nachyliła się nad lusterkiem. Wolny koniec rurki przyłożyła do pasemka proszku i mocno wciągnęła powietrze do płuc. Kiedy podniosła głowę, promieniała zadowoleniem.

- Teraz moja kolej. - Niecierpliwie czekał na lusterko.

Łapczywie wciągnął swoją porcję przez rurkę z banknotu. Poczł gorzki smak kokainy, a potem błogie uczucie powoli rozeszło się po jego ciele. To było wspaniałe. Wielkie. Rozpierała go energia. Cały świat należał do niego.

- Wybierasz się na jutrzejszy mecz? To będzie piekielna gra - rozmarzył się. - Jeszcze nigdy nie miałem takich wspaniałych koni. Czasami wydaje mi się, że zanim nimi pokieruję, wiedzą same, co mają zrobić. Choćby ten gniadosz z szarymi skarpetkami. Dosiadałem go dzisiaj w trzeciej rundzie i przysięgam, pociągnąłem tylko za wodze, żeby go zatrzymać, a on już w sekundę później zawrócił i galopował jak burza w przeciwnym kierunku.

- Kiedy poznałam cię w zeszłym tygodniu, wydawałeś mi się wyjątkowo spokojny, ale gdy zobaczyłam cię dzisiaj na boisku, powiedziałam sobie: „Muszę go bliżej poznać.” Myślałam o tym cały wieczór, no i powiodło mi się.

Rob roześmiał się. Rozmawiali żywo o wszystkim i o niczym. Podniecenie było jednak przelotne. Już po dziesięciu minutach nastrój zaczął przygasać. Stan pobudzenia nigdy nie trwał wystarczająco długo.

Po chwili Cyn wyjęła z torebki drugą fiolkę.

- Czy paliłeś kiedyś kokainę zmieszaną z eterem?

- Nie - odparł.

Miał kiedyś w szkole kolegę, który opowiadał mu o tym.

- Musisz spróbować. Brana w taki sposób znacznie lepiej działa.

- Może kiedy indziej.

Na razie interesowało go jedynie podtrzymanie świetnego nastroju, który jeszcze nie całkiem minął. Z rosnącą niecierpliwością czekał na następną porcję proszku.

- Kiedy już spróbujesz, to przekonasz się, że to, co teraz robisz, to załedwie dziecięca zabawa - ostrzegła go. - Jeśli chcesz, to mój kolega pokaże ci, jak się to robi.

- Zobaczymy.

Nie, nie. Już wystarczy. - Trisha zaprotestowała, kiedy Don Townsend próbował namówić ją na jeszcze jeden taniec. Przypomniała sobie wreszcie, jak on się nazywa, ale nadal nie pamiętała, kim był jego ojciec. - Muszę odpocząć. Tańczę bez przerwy ponad godzinę.

- Chyba nie nadepnałem ci zbyt wiele razy na paluszki. Chodźmy - nalegał.

- Nie czułam, żebyś na nie nadepnał, ale jestem zmęczona - opierała się. - Chce mi się pić.

- W porządku. Ja również mam ochotę na drinka. Co ci przynieść?

- Dużo czegoś chłodnego, ale bez alkoholu.

- Zrobione.

Wachlując się ręką, Trisha podeszła do drzwi prowadzących na taras. Owiąło ją świeże chłodne powietrze. Mimo zmęczenia tańcem czuła się dobrze. Krew szybciej płynęła jej w żyłach, mięśnie miała rozluźnione. Zauważyła, że wraz z odejściem Raula zniknęło męczące ją wewnętrzne napięcie.

- O, jesteś tutaj. Właśnie cię szukałem.

Zaskoczyło ją pojawienie się brata; miał zmierzwiłone włosy.

- Zniknąłeś na bardzo długo. Wolę nie pytać, gdzie byłeś i co robiłeś. A gdzież ta twoja syrena? Zgubiłeś ją?

- Cyn?

- Tak, Cyn. Chociaż mówią o niej „grzeszna lady”.

- Jest w toalecie. - Rob zignorował złośliwą uwagę siostry. Rozglądał się po sali. - Gdzie podział się Raul? Przecież rozmawiał tutaj z tobą.

- To było dawno. Poszedł już do domu. Musi odpocząć przed jutrzejszym meczem.

- Chciałem przedstawić go mamie. A może sama to zrobiłaś?

- Niestety tak.

- Co się stało? Czy mówił jej o swojej szkole?

- Nie wydaje mi się, żeby miał okazję, a nawet jeśli tak, to niewiele z tego do niej dotarło.

- Gdzie jest Luz? - rozejrzał się znowu. - Spróbuję ją odnaleźć i dowiem się, czy rozmawiali o tych sprawach.

- Poszła na górę do swojego pokoju - powiedziała Trisha ponurym głosem. - Jest kompletnie pijana.

- Nie! - przeraził się. - Muszę więc sprawdzić, jak się czuje.

- Nic jej nie jest... - Próbowała powstrzymać brata, ale Rob ruszył szybko w stronę holu. - A przynajmniej nic jej nie było, kiedy widziałam ją przed godziną.

- Dużo czegoś chłodnego i bez alkoholu - powiedział Don Townsend i z ukłonem wręczył jej wysoką szklankę napełnioną wodą sodową, w której pływały plasterki cytryny.

- Będę cię za to kochać do końca życia.

- Obiecanki cacanki...

12

Silnie uderzona piłka wystrzeliła pomiędzy graczy na otwartą przestrzeń. Jeźdźcy ruszyli za nią. Raul przez chwilę blokował zawodnika przeciwnej drużyny, potem nagle zawrócił i z uniesionym kijem pognął w kierunku piłki.

- Zostaw ją!

Krzyczał kolega z drużyny, który również zbliżał się do piłki, ale pod korzystniejszym kątem. Teraz obowiązkiem Raula było blokowanie przeciwników, żeby nie mogli przeszkodzić w zdobyciu punktu. Taką możliwość miał tylko jeden jeździec galopujący w stronę bramki po to, by przeciąć przewidywaną drogę piłki.

Raul wyczekał na moment, kiedy jego koń znajdzie się w odpowiedniej pozycji, i posługując się wodzami i kolanami zmusił go do zmiany kierunku. Ta pozorna strata czasu pozwoliła płynnie wykonać zwrot, praktycznie bez zmiany prędkości jazdy. Gdyby nie zaczekał i nie dostosował się do rytmu kroków konia, zwierzę mogłoby nie zareagować na polecenie albo wykonać je z oporami i zbyt wolno.

Istotą tej gry stanowi właściwe sterowanie kucem, panowanie nad jego zachowaniem. Potrzebny jest do tego wyjątkowy refleks. Jeździec nie ma czasu na zastanawianie się, jakie jest w tym momencie usytuowanie nóg zwierzęcia ani którą wodzę należy ściągnąć. Musi to czuć. Powinien tworzyć jedność z dosiadanym wierzchowcem.

Usłyszał uderzenie kija o piłkę. Kątem oka zauważył, że szybuje koło niego, zarejestrował w pamięci jej tor i popędził w kierunku zawodnika próbującego dosięgnąć jej, zanim znajdzie się w bramce. Rozpoznał w nim Roba Thomasa.

Zbliżał się do młodego gracza pod ostrym kątem. Przy tej szybkości bezpośredni atak byłby nie tylko niebezpieczny, ale mógłby zostać uznany za faul. Odległość między nimi malała. Zderzenie zawodników pędzących z wielką prędkością zdawało się nieuchronne. Koń wiedział o tym równie dobrze jak Raul, ale nie próbował uniknąć kolizji.

Kontrolowane ryzyko jest nieodłączną częścią gry w polo. Kolizje pomiędzy zawodnikami zdarzały się często i ci, którzy odczuwali przed tym lęk, nie mieli czego szukać na boisku.

Najważniejsza była precyzja działań. Raul tak zaplanował zderzenie, by jego koń uderzył bokiem w bok konia przeciwnika. Bum! Poczul silny wstrząs i zobaczył, jak łeb gniadosza leci w dół, ale po chwili kuc i jeździec odzyskali równowagę.

Argentyńczyk wyszedł z pojedynku zwycięsko. Wyprzedził nieco Roba i zmusił go do zmiany kierunku. Stopniowo odpychał go od linii, po której poruszała się piłka. Jego koledzy mogli teraz spokojnie skierować ją do nie strzeżonej bramki.

Raul obejrzał się na kolegę, który właśnie wykonał strzał, ale równocześnie napierał na konia Roba, nie zostawiając mu swobody działania.

Zawsze istniała możliwość, że piłka może nagle zmienić kierunek lub zatrzymać się przed bramką. Nawet kiedy obaj znaleźli się poza granicą boiska, Raul nie rezygnował z walki, ciągle gotów pomagać swemu atakującemu koledze. Okazało się to jednak niepotrzebne. Sędzia uniesioną chorągiewką zasygnalizował zdobycie punktu i Raul zatrzymał konia.

Gniadosz Roba zachowywał się niespokojnie. Energicznie potrząsał łbem i nerwowo reagował na ściągnięcie wodzy. Takie zachowanie było nietypowe dla konia tej klasy. Doświadczonym okiem Raul spojrzał na kuca, którego Rob usiłował zmusić do spokojnej jazdy w kierunku środka boiska. Zauważył, że z pyska zwierzęcia sływa zabarwiona krwią piana. Ignorując wyraz twarzy Roba, na której malował się respekt dla przeciwnika, ale i żal za przeszkodzenie mu w akcji, powiedział:

- Twój koń ma skaleczony pysk.

Pozostawił młodemu zawodnikowi podjęcie decyzji, czy w ostatniej minucie rundy grać, dosiadając kontuzjowanego kuca, czy wymienić go. Gdyby zdecydował się na zamianę, musiałby na chwilę opuścić swoją drużynę. Zdaniem Raula zasady *fair play* nie nakazywały udzielania rad graczowi przeciwnej drużyny.

W sekundę później Rob pogalopował poza boisko, gdzie czekały zapasowe konie. Uważał widocznie, że jego kilkunastosekundowa nieobecność na boisku nie przyniesie takiej szkody jak gra przez całą minutę na niesprawnym koniu.

Raul powątpiewał, czy sześć miesięcy temu ten młodzieniec postąpiłby w ten sposób. Ściągnął wodzę swojego wierzchowca i zmusił go do spokojnego, zgodnego z przepisami kroku. Zawodnicy ustawili się

w środkowej części boiska. Konie parskały nerwowo.

Do tej pory jego drużyna prowadziła wynikiem cztery do trzech. Po wznowieniu gry znów przejęli piłkę i szybko ruszyli do ataku. Rob pojawił się na boisku zbyt późno, by choćby próbować przeszkodzić przeciwnikom w zdobyciu kolejnego gola.

Kiedy obie drużyny znów ustawiły się na środku pola, Raul usłyszał, jak Sherbourne karci Roba.

- Cóż ty sobie u diabła wyobrażasz? Do końca rundy brakowało tylko minuty. Nie mogłeś zaczekać z wymianą konia?

Niełatwo jest grać dla kogoś, pomyślał Raul i uśmiechnął się. Kapitan albo właściciel drużyny zawsze ma rację, niezależnie od tego, czy jego opinia jest słuszną. Czy nie. Żądza zwycięstwa jest trudna do opanowania. Takiemu człowiekowi jak Sherbourne z trudem przychodziło godzenie się z utratą dwóch punktów w krótkim odstępie czasu. Na Robie, który w pewnym stopniu odpowiedzialny był za obie te porażki, skupiła się złość kapitana drużyny. Przykrości takie należały również do ubocznych skutków gry, tak jak zmęczenie i kontuzje.

Przedostatnia runda zakończyła się trzypunktową przewagą drużyny Raula. Jeźdźcy zjechali z boiska i zsiadli z koni. Stajenni odprowadzili spocone wierzchowce.

Raul zdjął kask i wraz z kijem położył go na trawie, obok ogrodowego krzesła. Odetchnął głęboko. Pomiedzy rundami nie miał zbyt wiele czasu na odpoczynek. Należało sprawdzić siodło i ekwipunek świeżego konia. Czuł ból w mięśniach prawej nogi, rezultat uderzenia kijem, które otrzymał na początku meczu. Noga zeszywniałaby na pewno, gdyby nią nie poruszał.

Odczuwał zmęczenie. Usiadł na krześle i sięgnął po wilgotny ręcznik, wiszący na oparciu. Na przedramieniu zauważył zaschniętą krew. Nawet nie wiedział, że został zraniony. Nie odczuwał bólu, więc nie pofatygował się, by wytrzeć skaleczone miejsce.

Ktoś podał mu szklanekę z chłodnym napojem. Zanim wstał, wypił połowę jej zawartości, potem zaczął spacerować, by nie dopuścić do zeszywnienia mięśni nogi. Wrócił stajenny prowadząc osiodłanego karego kuca. Tego szybkiego konia zostawił sobie na ostatnią rundę.

Sprawdził popręg i długość strzemion. Podjechał do niego Hepplewhite - kapitan drużyny. Zadowolenie z bliskiego zwycięstwa zatarło ślady zmęczenia na jego twarzy.

- Nie mówiłem ci, że o wszystkim decyduje szybkość? - rzekł z satysfakcją. - Ilekroć rosło tempo gry, zyskiwaliśmy przewagę. Drużyna Sherbourne'a gra jednostajnie i rozważnie. Szybsze tempo wybija ich z rytmu. W tej rundzie twój koń musi dobrze wyciągać nogi. Rob to, co ci mówię, a wygramy.

Raul skinął głową. Wiedział, że kapitan liczy na niego bardziej niż na innych zawodników. Płacono mu przecież za grę, a więc oczekiwano wyników, a jedynym rezultatem, który miał znaczenie, było zwycięstwo. Cóż, polo to jego zawód, a dla Hepplewhite'a tylko rozrywka. Zawsze wymagano od Raula pełnej sprawności, nie bacząc na to, że - podobnie jak każdy człowiek - może mieć lepsze i gorsze dni.

- Potrzebny mi dłuższy kij - zwrócił się do stajennego.

Założył kask i usadowił się w siodle. Kary koń był wyższy niż kasztan, na którym jeździł w poprzedniej rundzie. Podano mu właściwy kij. Uniósł go w górę jak ułan lancę i pogalopował w stronę boiska.

- Powodzenia - zawołał stajenny.

Stojąc na skraju boiska, Luz przyglądała się zawodom. Po wczorajszym szampanie czuła się marnie. Nie pomogła jej nawet wypita w ogromnych ilościach kawa. Bolała ją głowa, czuła silne pulsowanie w skroniach. Pomimo ciemnych okularów i cienia rzucanego przez rondo kapelusza, słońce raziło ją w oczy. Wszystko drażniło jej zmysły; światło, zapachy, ruch.

Nadal nie miały wpływ na jej nastrój miał telegram od Drewa, informujący o ślubie z Claudią. Dzisiaj rano wręczyła go dzieciom. Rob jak zwykle nic nie powiedział i wyszedł z pokoju. Trisha wspomniała coś o tym, że należałoby kupić im prezent ślubny.

Starła się nie myśleć o przykrych sprawach. Usiłowała oglądać mecz. Akcja była jednak dla niej zbyt szybka, skoncentrowała się więc na śledzeniu poczynąń Roba, ale i to nie zawsze się jej udawało. W pewnym momencie zauważyła, jak pędzi na czele grupy zawodników za piłką toczącą się w stronę bramki.

- Szybciej, Rob, szybciej! - wołała Trisha.

Luz skrzywiła się. Wolałaby, żeby córka nie krzyczała tak głośno. W pewnym momencie od grupy zawodników jadących za synem oderwał się jeździec na karym koniu. Wyprzedził Roba, a kiedy ten zamachnął się, by uderzyć piłkę i skierować ją do bramki, znalazł się przed nim. Jego kij zahaczył o kij Roba. Szansa zdobycia punktu została stracona.

- Niech go diabli! - zaklęła Trisha.

- Kto to jest? - Luz była w takim stanie, że nawet swojego syna rozpoznawała z najwyższym trudem.

- Raul Buchanan, a któż by inny - mruknęła Trisha, patrząc przez lornetkę.

- No tak! - przyznała Luz. - Już w poprzednim meczu ten Argentyńczyk prześladował Roba, a dzisiaj sytuacja się powtórzyła.

- Gdyby spojrzenie mogło zabić, to Rob już by go uśmiercił. Chcesz popatrzeć? - Trisha podała matce lornetkę.

- Nie.

Z najwyższym wysiłkiem utrzymywała głowę w normalnej pozycji. Nawet polowa lornetka była dla niej zbyt ciężka. Poza tym wątpiła, czy byłaby w stanie coś przez nią zobaczyć.

Domyślała się zresztą, którym jeźdźcem jest Argentyńczyk. Nawet z tej odległości jego sylwetka wydawała jej się znajoma i już od początku meczu zwróciła na niego uwagę. W ciągu ostatnich dni Rob ciągle opowiadał o Raulu Buchananie. Dzisiaj przy śniadaniu była mowa o tym, że i ona poznała go na balu, ale Luz nie przypominała sobie tego.

Niewiele zresztą pamiętała z wczorajszego wieczoru. Dręczyło ją tylko niejasne uczucie, że zrobiła z siebie widowisko. Wiedziała, że rozmawiała z wieloma ludźmi głównie z Anglikami. Spotkanie z żadnym Latynosem nie pozostawiło śladu w jej pamięci. Wdzięczna była Robowi, że przeszedł nad tym do porządku dziennego. Prawdopodobnie wiedział, że wypija wczoraj zbyt wiele i nie ma ochoty rozmawiać z nim na ten temat.

Gra toczyła się teraz płynnie, faule zdarzały się rzadziej niż w pierwszej połowie meczu. Luz cieszyła się z tego, chociaż żal jej było Roba. Czas biegł nieubłaganie, a jego drużyna wciąż nie mogła zdobyć przewagi nad przeciwnikami.

- Biedny Henry - westchnęła Fiona. - Przez tydzień nie będzie mógł dojść do siebie.

- Powinnyśmy pójść i podtrzymać Roba na duchu - powiedziała Trisha.

Luz najchętniej wróciłaby do Siedmiu Dębów i położyła się z zimnym okładem na czole, ale wiedziała, że « syn oczekuje jej przyjścia. Przed meczem chciał, aby spotkała się z Raulem Buchananiem, ale teraz, kiedy znów został pokonany, mógł zmienić zdanie. Liczyła na to. Nie była pewna, czy w stanie, w jakim się znajdowała, powinna rozmawiać z mężczyzną, który w tak krótkim czasie stał się idolem jej syna.

- Zaraz wrócimy - obiecała przyjaciółce i ostrożnie podniosła się z krzesła.

Ruszyły wzdłuż boiska w stronę grupy zawodników. Luz szła z opuszczoną głową, tak by rondo kapelusza lepiej chroniło ją przed promieniami słońca. W duchu życzyła sobie, żeby nastąpiła typowa angielska brzydka pogoda. Ciężkie deszczowe chmury sprawiłyby jej radość.

Omijały grupy widzów zgromadzonych tutaj w nadziei, że uda im się rzucić okiem na kogoś z rodziny królewskiej, a nie po to, by podziwiać akcję na boisku. Przechodziły obok zaparkowanych w sąsiedztwie stadionu staroświeckich samochodów z przyczepami do przewożenia koni. Poruszały się ostrożnie pomiędzy odprowadzanymi przez stajennych, ciągle jeszcze podnieconymi grą końmi.

- O, tam jest Rob! - powiedziała Trisha.

Luz spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła syna w towarzystwie stojącego do nich tyłem mężczyzny o czarnych kręconych włosach. Po kolorze pociemniałej od potu koszulki domyśliła się, że jest to gracz przeciwnej drużyny. Zapewne odbierał gratulacje po zwycięskim meczu.

- Hej! Jak się masz! - zawołał Rob dziwnie radosnym głosem, pomimo poniesionej klęski. Luz w chwilę później rozpoznała karego konia stojącego obok i zorientowała się, że towarzyszącym synowi mężczyzną jest Raul Buchanan. - Jeśli się nie mylę, poznałeś już moją matkę, prawda? - zwrócił się do niego Rob.

Trisha nie wtrącała się do rozmowy.

Kiedy mężczyzna odwrócił się, Luz doznała wstrząsu. To był ten sam człowiek, z którym wczoraj tańczyła. Poznała go pomimo różnicy w wyglądzie. Ubrany był teraz w przybrudzone białe bryczesy, obcisłą koszulkę polo i wysokie buty. Kiedy widziała go w smokingu, nie przyszło jej do głowy, że jest Argentyńczykiem zawodowo grającym w polo.

Pomyślała, że zapewne wczoraj na przyjęciu wywarła na nim nie najlepsze wrażenie. Była przecież pijana. Spojrzała w jego spokojne, niebieskie oczy. Podejrzewała, że uważa ją za zgorzkniałą, rozczulającą się nad sobą rozwódkę, przepelnioną lękiem przed samotną starością. Mój Boże, przecież ja nie jestem taką kobietą, pomyślała.

- Tak, poznałem już panią Thomas - odrzekł.

- Czuję się trochę oszukana - powiedziała chłodno Luz. - Wczoraj przedstawił się pan jako Lord Znikąd. Tytuł łatwy do zapamiętania i bardzo interesujący.

- W tym momencie uznałem go za najbardziej odpowiedni. Tak nazywany był dawniej kowboj mojego kraju - *gaucho*. *Señor de Nada* czyli Lord Znikąd. Słusznie zauważyła pani, że jest to tytuł łatwy do zapamiętania, chociaż dowcip nie należał może do najlepszych - wyjaśnił swobodnie Raul.

- W pewnym stopniu czuję się odpowiedzialna za to całe zamieszanie - wtrąciła Trisha. - Pewnego wieczoru dość dawno temu, porównałam Raula do współczesnego *gaucho*.

Na trzy rzeczy Luz zwróciła natychmiast uwagę. Po pierwsze Trisha mówiła o Raulu, jak gdyby była z nim na ty, po drugie sposób, w jaki na niego patrzyła, i po trzecie, wzmianka o jakimś wieczorze z przeszłości, podczas gdy Luz poznała go dopiero wczoraj. Raul jest starszy od Trishy o prawie dwadzieścia lat, ale Drew udowodnił, że nie ma to dla mężczyzny większego znaczenia. Dobrze, że

założyłam ciemne okulary, pomyślała po chwili. Nikt nie mógł odczytać z mych oczu tych absurdalnych myśli.

- No dobrze, *Señor de Nada*, a może raczej panie Buchanan? Nie wiem, jak się do pana zwracać - uśmiechnęła się uprzejmie.

- Buchanan, albo po prostu Raul.

Podejrzewała, że zgoda na taką poufałość wynikała stąd, że wcześniej przyznał ten przywilej córce.

- Mój syn wiele mówił mi o panu - powiedziała. Pomyślała równocześnie, że Rob na pewno też zwraca się do niego po imieniu, ale uznała, że powinna zachować pewien dystans. - Oczywiście wspomniał mi o pańskiej szkole gry w polo.

- Rob jest dobrym graczem. Gdyby trochę potrenował, mógłby poprawić swój handicap. Muszę przyznać, że chętnie widziałbym go na swoich kursach. Myślę, że i jemu przyniosłoby to znaczne korzyści.

- Zanim podejmiemy decyzję, chciałabym dowiedzieć się nieco więcej o tej szkole. Jak długo trwają treningi, kiedy rozpoczyna się kurs. No i oczywiście koszty. Przecież nie uczy pan za darmo - dodała z ironicznym uśmiechem. - Wiele spraw trzeba jeszcze rozważyć.

- Rozumiem - odrzekł oschle Raul. - Podam pani synowi adres i nazwisko mojego pełnomocnika w Argentynie. U niego uzyskać można wszelkie informacje, no i dokonać uzgodnień, jeśli pani zechce.

- Sądziłam, że to pan prowadzi tę szkołę. Czy trenuje pan osobiście swoich graczy, czy tylko firmuje kursy swoim nazwiskiem? - zapytała przekornie Luz.

- To jest moja szkoła - odpowiedział stanowczo Raul - i ja prowadzę ćwiczenia najważniejszych elementów gry, ale oczywiście są tam też inni trenerzy, tak że młody zawodnik korzysta z doświadczenia wielu osób.

- Nie pomyślał pan chyba, że podejrzewam pana o chęć wprowadzenia mnie w błąd - uśmiechnęła się Luz.

- Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy - odpowiedział z uprzejmym wyrazem twarzy.

- W takim razie nie zdziwi się pan, jeśli powiem, że mam zwyczaj rozmawiać z szefem, a nie z jego personelem - stwierdziła z naciskiem. - Skoro decydujemy się zainwestować w tę sprawę sporo czasu i pieniędzy, mamy prawo oczekiwać, że znajdzie pan chwilę, by na nasze pytania odpowiedzieć osobiście.

- Chętnie zrobiłbym to teraz, ale niestety za chwilę odbędzie się uroczystość wręczania nagród. Myślę, że mamy teraz zbyt mało czasu na taką rozmowę. Ponieważ na początku przyszłego tygodnia zmuszony jestem wyjechać, nie widzę możliwości zorganizowania spotkania. Pozostawiam pani nazwisko mojego współpracownika, bo nie warto odsuwać tej sprawy na bliżej nieokreślony termin. Być może syn pani zechce uczestniczyć jeszcze w tegorocznym kursie.

- Zaczyna się w sierpniu - włączył się do rozmowy Rob. - Za niecałe dwa miesiące.

Luz zirytowała się. Uważała, że aby nie utracić autorytetu, powinna być stanowcza. To sprawa jej dumy.

- Raul wyjeżdża do Francji - podsunęła Trisha.

- Tak, będę tam około miesiąca, a potem wracam do domu, do Argentyny.

- Może to właśnie pomoże nam w rozwiązaniu problemu - powiedziała Luz. - My, to znaczy Trisha i ja, najbliższe dziesięć dni spędzimy w Paryżu. Rob zostanie na razie tutaj, a potem dołączy do nas. Na pewno więc uda nam się zorganizować spotkanie.

- Będę mieszkał na wsi - zaczął Raul w taki sposób, jakby zamierzał odrzucić propozycję, ale potem najwyraźniej zmienił zdanie. - Któregoś wieczora mogę jednak przyjechać do stolicy.

- Zatrzymamy się w hotelu „De Crillon”. Który dzień panu odpowiada? Możemy się dostosować. - Luz wolała od razu ustalić, a nie zostawiać sprawy otwartej.

- Powiedzmy wtorek w przyszłym tygodniu - zaproponował.

- Świetnie - zgodziła się. - Spotkamy się więc na kolacji o ósmej.

- Wybór restauracji pozostawiam pani. Gdyby zaszło coś nieprzewidzianego, przekażę wiadomość do hotelu - powiedział. - A teraz, proszę mi wybaczyć.

Zebrał wodze swego konia i wskoczył na siodło. Na boisku rozpoczęły się przygotowania do końcowej ceremonii.

Kiedy Luz podniosła głowę, by spojrzeć na niego, oślepiły ją jasne promienie słońca. Nie na wiele zdały się przyciemnione okulary. Odwróciła twarz i odruchowo podniosła rękę do oczu.

- Do zobaczenia w Paryżu, pani Thomas.

W chwilę później usłyszała tętent kopyt. Oslaniając twarz od słońca, przyglądała się jeźdźcowi wracającemu na boisko, by dołączyć do drużyny kolegów.

Stojące obok niej dzieci milczały. Syn był wyraźnie w nie najlepszym nastroju.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Wydaje mi się, że nie traktujesz tych kursów zbyt serio. To jest przecież poważna szkoła - powiedział.

- Możliwe, ale nic o niej jeszcze nie wiem - stwierdziła Luz.

- Raul jest najlepszym graczem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. - W upartym bronieniu swojego stanowiska Rob przypominał nieco Drewa. - Widziałas ten moment, kiedy tuż przed końcem przedostatniej rundy zmieniłem konia? Henry objechał mnie za to, bo osłabiony zespół stracił punkt. Zanim przyszłyście, Raul powiedział mi, że podjąłem słuszną decyzję. Nie mogłem kierować koniem, więc i tak byłem nieużyteczny dla swojej drużyny.

- A co się stało kucowi? - zainteresowała się Trisha.

- Przypuszczam, że to była moja wina. Nie sprawdziłem dokładnie ekwipunku i zbyt ciasno założone wędzidło skaleczyło mu pysk. Również i z tego Henry nie będzie zadowolony - powiedział Rob.

- To tylko drobne niedopatrzenie. Jestem pewna, że on to zrozumie - pocieszyła go Luz. - Jeśli nie, to i przypomnę mu, jak kiedyś, grając w drużynie Jake'a, i zapomniał sprawdzić popręg i siodło zsunęło się z grzbietu konia akurat w momencie, gdy szykował się do strzału. Henry wykonał niezbyt zgrabny skok na trawę.

- Szkoda, że nie widziałem wtedy jego twarzy - roześmiał się Rob. - On w złości zawsze robi się czerwony. Musiał wyglądać jak dojrzały pomidor.

- Prawie. - Luz spojrzała na Trishę. - Fiona już na pewno chce wrócić do domu. Chodźmy do niej.

- Spotkamy się później - rzekł Rob. - Muszę obejrzeć tego biednego gniadosza, zanim pokażę się Henry'emu.

Kiedy ruszyły skrajem boiska ku miejscu, w którym zostawiły Fionę, Luz zorientowała się, że jest lekko spocona. Uświadomiła sobie, jak silne wrażenie wywarło na niej spotkanie z Raulem. Doszła do wniosku, że powinna lepiej panować nad swymi emocjami, a o wczorajszym zdarzeniu najlepiej byłoby zapomnieć.

Zauważyła, że Trisha jest dziwnie milcząca. W zamyśleniu przyglądała się ceremonii na boisku. W pewnej chwili córka spojrzała na nią.

- Znalazłaś się w niezręcznej sytuacji.

- Dlaczego? - zdziwiła się Luz.

- Nie wiedziałam, że nie znasz jego nazwiska. Myślałam, że ci się przedstawił. - Trisha szła ze spuszczoną głową. - Dzisiejsze spotkanie musiało być dla ciebie przykre.

- Ależ nie. Nie widzę powodu, żebym musiała przed nim czy przed kimkolwiek innym tłumaczyć się ze swojego zachowania - powiedziała ostro. - Natomiast wydaje mi się, że ty znasz go całkiem dobrze.

- Nie tak dobrze, jak bym chciała. - Trisha spojrzała matce w oczy.

- Nie próbuj z nim romansować. Jest dla ciebie za stary.

- Luz, ja...

- I nie powołuj się na przykład ojca. Tu nie może być żadnych porównań. Masz dopiero osiemnaście lat, a to stanowczo za wcześnie, żeby wiązać się z dużo starszym mężczyzną. Niezależnie od tego, kim on jest.

Słowa Luz, co było do przewidzenia, pozostały bez odpowiedzi. Nie łudziła się zresztą, że potrafi przekonać córkę.

Wkrótce po powrocie do Siedmiu Dębów podano popołudniową herbatę. Luz zjadła tylko jedną małą kanapkę. Interesowały ją raczej napoje. Jej żołądek nie był jeszcze w takim stanie, by mogła rozkoszować się słodyczami podanymi na srebrnej tacy. Niewiele brakowało, a uległaby pokusie, widząc, jak Trisha zjada smakowitą kremówkę. Rob również poprawiał sobie nastrój pałaszując kruche ciasto z galaretką porzeczkową i bitą śmietaną.

Gospodarze zrezygnowali z posiłku. Henry, ciągle jeszcze w fatalnym nastroju, opróżniał kolejny kieliszek whisky. Stał przy wychodzącym na ogród oknie i rozcierał stłuczone w czasie meczu ramię. Luz była pewna, że cierpienie z powodu przegranej zwiększało ból spowodowany kontuzją. Był on tęgim mężczyzną z dość mocno zarysowanym brzuszkiem. Jak przewidywała Fiona, kompletnie stracił humor i od chwili pojawienia się w jadalni powiedział jedynie kilka słów.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Pan Thomas jest proszony do telefonu - z poważną miną oznajmił lokaj, który bezszelestnie pojawił się w salonie.

- Ja? - zdziwił się Rob.

- Tak, sir - skłonił się lokaj. - Dzwoni młoda lady Hall.

- Och! - Rob wyraźnie się ożywił.

- Czy zechciałby pan podejść do aparatu w bibliotece?

- Tak, oczywiście. Dziękuję ci, Tobin.

Odstawił talerzyk z nie dojedzonym ciastem i wytarł usta lnianą serwetką.

- Pośpiesz się - powiedziała Trisha z ironicznym uśmiechem. - Nie chcesz chyba, żeby Cyntia na ciebie czekała.

Spojrzał na nią z irytacją i podniósł się z krzesła. Bez słowa wyszedł z pokoju.

- Na mnie też już czas - stwierdziła Trisha, patrząc w zamyśleniu na drzwi, za którymi zniknął Rob.

- Gdzie się wybierasz? - zapytała Luz.

- Nie mówiłam ci? - Wstała i powoli ruszyła w stronę drzwi. W połowie drogi zatrzymała się. - Jestem umówiona z Donem Townsendem. Idziemy gdzieś potańczyć. Prawdopodobnie do klubu „Anabel” przy Berkeley Square. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Nie, ale postaraj się wrócić niezbyt późno - odrzekła Luz.

Wiedziała, że córka właściwie nie potrzebuje jej pozwolenia.

Zostali w pokoju w trójkę.

- Zapowiada się spokojny wieczór w domowym zaciszu - powiedziała Fiona, a potem spojrzała w stronę męża. - Na pewno dobrze nam to zrobi.

Luz skinęła głową, chociaż wiedziała, że ma jeszcze parę spraw do załatwienia, zanim zacznie rozkoszować się tym przymusowym spokojem.

- Henry, co wiesz o Raulu Buchananie? - zapytała.

Uznała, że nadszedł odpowiedni moment, żeby zacząć zbierać informacje o tym człowieku. Poza tym, że jest świetnym graczem w polo, wiedziała o nim niewiele. Nie mogła opierać się wyłącznie na opinii Roba - zbyt zafascynowany był umiejętnościami Argentyńczyka. Należało się też zastanowić nad sprawą Trishy. Osobiście wolałaby nie mieć z nim nigdy więcej do czynienia, ale zdawała sobie sprawę, że nie potrafi narzucić tego dzieciom. Ponieważ decyzję powinna podjąć w czasie następnego spotkania z nim, chciała, aby była ona racjonalna. Potrzebowała więc informacji ze źródeł innych niż sam Raul Buchanan.

- Nie wymieniaj przy mnie tego nazwiska. - Henry wypił łyk szkockiej.

- Wcale nie miałam zamiaru posypywać solą twoich nie zagojonych jeszcze ran. - Luz rozumiała go, gdyż jej najświeższe wspomnienia też nie były miłe. - O ile wiem, prowadzi on szkołę polo w Argentynie, a Rob chciałby nauczyć się lepiej grać. Rozmawiałam już o tym z Buchananiem. Moje doświadczenie, które zdobyłam sama i przy pomocy ojca, ogranicza się do nielicznych lekcji i sporadycznych treningów w klubie. Ty na pewno wiesz więcej o zawodowcach i metodach zaawansowanego treningu, no i o samym Buchananie.

- Rozumiem - zgodził się Henry. - Niewiele mogę ci powiedzieć o nim jako o człowieku, ale wiem, że wśród angielskich zawodowców cieszy się świetną opinią. W Europie jest parę dobrych szkół polo, na przykład znam jedną w Irlandii, ale Argentyna słynie z najlepszych graczy. To z całą pewnością bardzo dobre miejsce do nauki. Jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć czegoś więcej.

- Bardzo cię o to proszę. Za tydzień mam się spotkać z Buchananiem w Paryżu i chciałabym uzyskać wcześniej te informacje.

- Nie powinno mi to sprawić kłopotu.

- Dziękuję. Będę ci bardzo wdzięczna.

Po podwieczorku Luz poszła do swego apartamentu. Na korytarzu spotkała Roba. Unosił się wokół niego tak silny zapach wody kolońskiej, jakby wylał na siebie całą butelkę.

- Wychodzisz? - zapytała.

- Tak. Cyn na mnie czeka. Cyntia Hall, dziewczyna, która telefonowała przed chwilą - dodał szybko. - Nie będzie mnie przez parę godzin.

- Baw się dobrze.

Nie chciała, żeby Rob czuł się winny, że zostawia ją samą. Od czasu separacji i rozwodu był dla niej wyjątkowo czuły, starał się też wszędzie jej towarzyszyć. Zauważyła, że i teraz, przed zejściem na dół,

zawahał się przez moment.

Kiedy zamykała drzwi pokoju, ze smutkiem pomyślała, że wszyscy poza nią mają towarzystwo. Henry z Fioną zostali na dole, Trisha umówiła się z jakimś chłopcem, a Rob ma spotkać się z dziewczyną.

- Para za parą - szepnęła.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałam? - Głos Emmy zaskoczył Luz. Odwróciła się i zobaczyła, że siedzi przy małym biurku pod oknem.

- Nic, nic. - Uważnie przyjrzała się tęgiej kobiecie, tak świetnie przystosowanej do swojej sytuacji. - Jak sobie radzisz z samotnością, Emmo? Jesteś przecież wdową od ponad dziesięciu lat.

Przebywały od dawna ze sobą, ale nie wytworzyła się pomiędzy nimi zażyłość. Emma wiedziała prawie wszystko o życiu Luz, jednakże nigdy o tym nie rozmawiały. Natomiast ona nie wiedziała o Emmie praktycznie nic, poza nazwiskami kilku krewnych i przyjaciół oraz pobieżnymi informacjami o jej ostatnim mężu.

- Po prostu jestem stale zajęta swoją pracą - odpowiedziała rzeczowo. - Najważniejsze, żeby się zawsze czymś interesować: ludźmi, nowymi miejscami. *À propos*, sprawdziłam naszą rezerwację na samolot do Paryża. Jesteśmy na liście pasażerów, więc nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów. Na lotnisku czekać na nas będzie limuzyna.

- Dobrze.

Luz podeszła do okna i spojrzała na ocieniony gałęziami drzew trawnik, pulsujący jaskrawą zielenią w promieniach zachodzącego słońca. Emma ma rację, pomyślała. Lepiej nie przekraczać tej cienkiej, dzielącej je linii. Któregoś dnia mogłoby się to okazać kłopotliwe.

13

Długa, wytworna limuzyna włączyła się w strumień pojazdów okrążających Place de l'Etoile, przemianowany na Plac Charlesa de Gaulle'a, gdzie, jak szprychy koła, zbiega się promieniście dwanaście ulic. Luz pomyślała, że prawdziwie delektować się urokami miasta można tylko z tylnego siedzenia luksusowego samochodu. Przez okno podziwiała majestatyczną bryłę Łuku Triumfalnego, wyrastającą z centralnego punktu gwiazdy i płomień znicza na symbolicznym Grobie Nieznanego Żołnierza, kryjącym prochy ofiary Pierwszej Wojny Światowej. W chwilę później limuzyna skręciła w szeroki bulwar Champs-Elysees. To był Paryż. Ilekroć znalazła się tutaj, wiedziała, że przybyła do Miasta Światła. Aleja ta była dla niej syntezą wszystkiego, co paryskie, z jego ruchliwymi ulicami i kawiarnianymi ogródkami. Bulwar rozszerzał się przy Rond-Point. Obydwie jego strony ocieniały rzędy kasztanowców, pamiętających czasy, kiedy Champs-Elysees były eleganckim ogrodem rozciągającym się aż do Luwru, a jego alejki przemierzały zaprzężone w konie powozy.

Kiedy zbliżali się do końca bulwaru. Luz poszukiwała wzrokiem konnych posągów Marly'ego, które wyłoniły się wreszcie spomiędzy liści drzew. Nie miała jednak czasu, by dłużej podziwiać ich piękno i majestatyczność. Przed nimi był jeszcze idealnie symetryczny Place de la Concorde, z egipskim obeliskiem wyrastającym z jego centrum, harmonijnie zrównoważonym przez dwie rzymskie fontanny, dwie greckie świątynie i osiem posągów. W głębi widniał pałac Tuileries z wejściem ozdobionym rzeźbami dłuta Coysevoxa, pasującymi do dzieł Marly'ego.

Objęcie wzrokiem wszystkich naraz znajomych widoków było niemożliwe. Luz westchnęła i mocniej oparła się o pokryte aksamitem fotele limuzyny. Spojrzała na towarzyszki swojej podróży. Trisha i Emma

nie wyglądały na szczególnie zainteresowane otoczeniem; były obojętne lub odporne na paryskie widoki, które tak ją zawsze ekscytowały.

Samochód zwolnił i zatrzymał się przed bezpretensjonalnym wejściem do hotelu. Luz wzięła w rękę torebkę i czekała, aż portier otworzy drzwi auta i pomoże jej wysiąść. Kiedy tylko Trisha podeszła do niej, ruszyły ku drzwiom, pozostawiając Emmie obowiązek dopilnowania bagażu. Weszły do bogato zdobionego marmurami holu. Budynek hotelowy w przeszłości wchodził w skład zespołu pałaców należących do króla Ludwika XV, sprzedanych później hrabiemu de Crillon. Od jego nazwiska pochodziła nazwa hotelu.

Kierownik recepcji poznał Luz i wyszedł zza kontuaru, by ją powitać.

- *Bonjour, madame* Thomas. Witamy w Paryżu. Jak to miło znów panią u nas gościć.

- Dziękuję, *monsieur* Georges. - Luz uśmiechnęła się ciepło. - Cieszę się, że znów jestem tutaj.

- Czekam na państwa ten sam co zawsze apartament. - Podprowadził ją do recepcjonistki, która po chwili podała jej do podpisania formularz. - Zapewne *monsieur* Thomas dołączy do pani w weekend?

- Nie - odparła Luz. Przypomniała sobie, że nie dokonała zmiany wcześniejszej rezerwacji, która przewidywała obecność Drewa przez znaczną część ich pobytu w Paryżu. - Będę tylko z córką i panią Emmą Sanderson, moją sekretarką. W weekend przyjedzie syn. Mąż nie przybędzie. Rozwiedliśmy się.

Do tej pory Luz niechętnie informowała o swojej sytuacji, ale tym razem śmiała deklaracja przyniosła jej ulgę. Często wraz z Drewem gościła w tym hotelu, spodziewała się więc, że personel będzie o niego pytał, sądząc, że z jakichś istotnych powodów tym razem jej nie towarzyszy. Oczywiście, mogła tak właśnie powiedzieć, w końcu rozwód to nie ich sprawa, czuła jednak, że lepiej powiedzieć prawdę. Informacja szybko rozejdzie się wśród służby i uniknie tym samym zbędnych pytań.

- Proszę mi wybaczyć, *madame*. Nie wiedziałem.

- Nie musi pan przeproszać, Georges - zapewniła go Luz. - Przecież nie mógł pan wiedzieć.

- *Mais oui* - powiedział rozkładając ręce, potem spojrzał na nią z ożywieniem. - Jak to dobrze, że przyjechała pani do Paryża. To najlepsze miejsce do leczenia złamanego serca. Tutaj można zapomnieć o starej miłości i znaleźć nową.

- Wątpię - odrzekła Luz.

- Piękna rozwódka, taka jak pani, będzie miała cały Paryż u swych stóp - powiedział.

- O nie! - potrząsnęła głową, rozbawiona jego pochlebstwem. - To raczej moja córka może podbić Paryż.

- Tak, jest bardzo piękna - zgodził się - ale Francuzi wolą kobiety dojrzałe. To tylko ci durni Amerykanie cenią uroki młodości.

- *Merci* - uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Zawsze wiedziałam, dlaczego kocham to miasto.

Po tym komplementcie poczuła się kobietą i było to wspaniałe uczucie.

Recepcjonistka, która oddała jej na chwilę po klucz do apartamentu, wróciła i wręczyła jej dużą kopertę.

- Ta przesyłka została dostarczona dla pani, *madame* - powiedziała.

Luz ze zdziwieniem obejrzała kopertę, ale nie znalazła na niej nazwiska nadawcy.

- Emil zaprowadzi panią do waszego apartamentu. Bagaże zaraz zostaną tam przyniesione. Jeśli cokolwiek będzie paniom potrzebne, proszę do mnie telefonować - powiedział kierownik.

- Dziękuję - odparła.

Hotelowy boy stał już obok z kluczami w ręku. Zaspokojenie ciekawości, co zawiera przesyłka, postanowiła odłożyć na później, kiedy znajdzie się już w apartamencie.

- *S'il vous plait.* - Boy skłonił się i wskazał im drogę ku windzie.

Luz zawahała się.

- Gdzie jest Emma? - rozejrzała się wokół.

- Akurat nadchodzi - powiedziała Trisha, wskazując tęgą postać w beżowym płaszczu zdążającą w ich stronę. Twarde obcasy jej butów głośno stuknęły o marmurową posadzkę holu dawnego pałacu.

Upewniwszy się, że sekretarka dołączyła do nich, Luz ruszyła w stronę windy. Kiedy drzwi kabiny rozsunęły się bezszelestnie, zauważyła wychodzących z niej kobietę i mężczyznę. Poznała ich natychmiast.

- Diana! Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałabym się spotkać w Paryżu - zawołała.

- Luz! - Równie zaskoczona platynowa blondynka chwyciła przyjaciółkę w objęcia. - Co tutaj robisz? Nie widziałam cię od stu lat. Ostatni raz spotkałyśmy się na aukcji w Kentucky, prawda?

- Chyba tak. - Luz wyzwoliła się z objęć przyjaciółki, żeby przywitać jej męża Vica Chandlera. - Cieszę się, że cię widzę. - Ucałowała go w obydwa policzki.

- Jesteś piękna jak zawsze - stwierdził, ale po tym, co przed chwilą powiedział szef recepcji, zabrzmiało to banalnie.

- Telefonowałam do ciebie w lutym, z Wirginii, ale cię nie zastałam - powiedziała Luz.

- Byłam w tym czasie w Kalifornii, lecz zawsze miłe wspominałam farmę Hopeworth. Ilekroć przejeżdżamy tamtędy i widzę ten piękny stary dom zamknięty na głucho, chce mi się płakać. - Diana spojrzała współczująco na przyjaciółkę. - Szkoda, że nie wyperswadowałaś matce pomysłu zlikwidowania waszej dawnej siedziby.

- Nie było innego wyjścia - powiedziała Luz, chociaż sama żałowała tej decyzji bardziej niż ktokolwiek.

Diana w szczerym geście współczucia ujęła przyjaciółkę za rękę.

- Taki trudny miałaś rok, kochanie... Najpierw jesienią strata ojca, a potem ta cała historia z Drewem.

- Myślę, że to normalne w tym okresie życia - Luz wzruszyła ramionami, starając się jak najobojętniej przyjąć współczucie przyjaciółki. - Przez lata człowiekowi wydaje się, że wszystko trwać będzie niezmiennie, że ludzie, których kochasz, będą przy tobie zawsze. Niestety, i ludzie, i wszystko wokół się zmienia. Nic nie możemy na to poradzić. Tak już po prostu jest.

Dostrzegła niepokój w oczach Diany. Domyśliła się, że rozmowa wywołała u niej na wpełń uświadomiony lęk, że może są to prawdy ogólne i że jej poczucie bezpieczeństwa również może zostać poddane próbie.

- Masz rację. Luz - westchnęła głęboko, a potem zmieniła temat rozmowy. - Co cię sprowadza do Paryża?

- To mój prezent dla Trishy z okazji ukończenia szkoły, no i... zakupy, jak zwykle. - Luz odsunęła się nieco, by włączyć do rozmowy córkę. Emma stała z tyłu, a obok niej coraz bardziej zniecierpliwiony boy.

- Zapowiedziałyśmy się z wizytą w trzech znanych domach mody.

- Ach! To jest Trisha? - zdumiała się Diana. Czule objęła dziewczynę i pocałowała ją w policzek. Potem cofnęła się o krok, by się jej lepiej przyjrzeć. - Jakże ona urosła. Jest piękna!

- Dziękuję pani. - Trisha uśmiechnęła się grzecznie, ale w jej czarnych oczach roz błysły iskierki irytacji.

- A gdzie Rob? - zapytał Vic Chandler.

Był to postawny, mocno zbudowany mężczyzna.

Jego wysokie czoło podkreślała mocno już zaawansowana łysina.

- Gra w polo w Anglii. Zjawi się tutaj w przyszłym tygodniu. A co wy porabiacie w Paryżu? Sprowadziły was tu interesy czy przyjemności?

- I jedno, i drugie - odrzekł Vic Chandler.

- Czy pamiętasz tego rocznego źrebaka, którego kupiliśmy od Jake'a? Tego twojego ulubieńca? - włączyła się Diana.

- Źrebaka od Sully Maid pokrytej przez Mistrela? - roześmiała się Luz. - Tego niezgrabnego kasztanka, którego Jake nazywał Niedolegą?

- Właśnie tego - potwierdziła Diana. - W najbliższy weekend startuje jako Vagabond Song w wyścigach w Longchamps. Jako dwulatek nie był najlepszy, ale w tym roku znacznie się poprawił. Trener mówi, że robi ogromne postępy, więc zdecydowaliśmy się przyjechać i zobaczyć, jak pobiegnie. Udało mi się przy tym przekonać Vica, że skoro będziemy już w Paryżu, to należy pobyć tu nieco dłużej i zrobić trochę zakupów. Nie proponowałabym tego, gdyby nie to, że wyścigi są w sierpniu, a w tym miesiącu wszyscy Francuzi wyjeżdżają na urlop.

- To prawda. Vagabond Song! To imię brzmi dla mnie znacznie lepiej niż Niedolega - powiedziała Luz. - Zawsze wydawało mi się, że długo trzeba będzie czekać, żeby wyrósł z niego prawdziwy koń.

- Nic nie mów, dopóki go nie obejrzysz - dorzucił Vic. - To już nie jest to samo zwierzę. Niezgrabny źrebak przerodził się w pięknego, silnego konia.

- A może wybierzesz się z nami na wyścigi i zobaczysz, jak pobiegnie - zaproponowała Diana.

Perspektywa spędzenia sobotniego popołudnia w eleganckiej atmosferze Longchamps przypadła Luz do gustu, ale decydująca tu była głównie chęć zobaczenia konia wyhodowanego na farmie Hopeworth.

- Bardzo chętnie - odparła. - Zgadzasz się ze mną? - zwróciła się do córki.

- To brzmi całkiem zabawnie - odrzekła Trisha.

- No to ustalone - stwierdził Vic. - Będziecie naszymi gośćmi.

- Zaczekaj. Jeszcze się porozumiemy. Dopiero co przyjechałyśmy i nawet nie widziałyśmy naszych pokoi. - Luz zbliżyła się do otwartych drzwi windy, przy których stał blady, ciemnowłosy boy.

- My też musimy się spieszyć. - Diana wykonała ruch w przeciwnym kierunku, w stronę wyjścia. - Z zakupami nie ograniczaj się wyłącznie do St-Honore. W halach są też świetne małe butikiki.

Luz z uśmiechem przyjęła radę i weszła z towarzyszącymi jej osobami do kabiny. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i winda ruszyła. Na piętrze boy zaprowadził je do pokoi, otworzył drzwi i zaprosił do wnętrza. Luz zatrzymała się w salonie i położyła torebkę wraz z kopertą na marmurowym blacie stolika. Uroki apartamentu i widok z jego okien nie były jej obce, poleciła więc boyowi, żeby wskazał Emmie ważniejsze obiekty, w tym widoczny na przeciwległym brzegu Sekwany gmach Zgromadzenia Narodowego, sama zaś zdjęła kapelusz i poprawiła włosy.

- O Boże! Jak ja nie cierpię, kiedy ktoś mówi takie rzeczy - z długo hamowaną irytacją wybuchnęła Trisha.

- „Luz, jaka ona piękna” - naśladowała głos Diany. - Zupełnie jakby zachwyciła się sukienką, a nie żywą istotą. „Luz, jaka piękna sukienka.”

- Ależ ona chciała sprawić ci przyjemność.

Podczas gdy Emma odprawiała boya, wręczając mu napiwek, Luz otworzyła kopertę.

- Wiem o tym, ale mimo wszystko denerwuje mnie to. Nie jestem jakimś należącym do ciebie przedmiotem. Uważam, że to nieuprzejmie mówić o kimś w ten sposób - stwierdziła Trisha. Po chwili zauważyła plik druków i zdjęć, które matka wyjęła z koperty. - Co to za broszura?

- Zaraz zobaczymy. - Luz pobieżnie rzuciła wzrokiem na papiery i przypięty do nich krótki list. - Nadawcą jest Raul Buchanan. To informacje o jego szkole.

Na zdjęciach widoczne były sceny z treningów polo, brykające na zielonym pastwisku dorodne kuce, prawdopodobnie przeznaczone dla kursantów. Uwagę Luz przyciągnęła fotografia przedstawiająca zespół budynków.

- Nie wygląda to zbyt atrakcyjnie - skrzywiła się.

- Przecież to szkoła polo, a nie luksusowy hotel - zaprotestowała Trisha i sięgnęła po broszurę. - Mogę to obejrzeć?

- Oczywiście - Luz podała Trishy prospekt i zdjęcia, a sama przeczytała odręcznie napisany krótki list.

Szanowna Pani Thomas!

Przesyłam Pani informacje o mojej szkole wraz z wykazem terminów i cen kursów. Mam nadzieję, że zechce Pani przejrzeć te materiały przed naszym wtorkowym spotkaniem.

Raul Buchanan

Zwięzłość i urzędowy ton listu nie zaskoczyły jej. Pasowały do jego zachowania. Zdziwił ją tylko charakter pisma. Oczekiwała pisma wyrazistego, zamaszystego. Chociaż wyczuwało się, że mocno naciskał na pióro, litery były drobne, o niewyrobnym stylu.

- Co pisze? - zapytała Trisha.

- Nic takiego. - Luz odłożyła list i sięgnęła po cennik. - Życzy sobie, żebym przejrzała te informacje przed zapowiedzianym spotkaniem.

- Słyszałam, jak Henry mówił ci, że rozmawiał z wieloma graczami, którzy wysoko oceniają szkołę Raula.

- Wygląda na to, że sporo zawodowców doskonalili tam swoje umiejętności.

- Czy myślisz, że Rob zapisze się w końcu na taki kurs?

- Jeszcze nie wiem. Poza wszystkim, to nie jest jedyna szkoła tego rodzaju, a Argentyna jest bardzo daleko, na drugim końcu świata. Nie jestem przekonana, czy Rob powinien tam sam pojechać, zwłaszcza w takiej niepewnej sytuacji politycznej. Ciągłe słyszy się o jakichś porwaniach w Ameryce Południowej.

- To się zdarza wszędzie. Spójrz na Włochy. Rozumując w ten sposób, nie powinniśmy w ogóle przyjeżdżać do Europy.

Logika tej argumentacji zirytowała Luz. Zupełnie jakby słyszała Drewa. Wzięła od córki broszurę i umieściła ją ponownie w kopercie.

- Przejrzę to później - powiedziała. Potem zwróciła się do sekretarki: - Emmo, zadzwoń do recepcji, żeby przynieśli nam kawę. Przydałaby się nam również pokojówka do pomocy przy rozpakowywaniu bagaży.

Deszcz rozpadał się na dobre, kiedy Luz z Trisha, kryjąc się pod parasolkami, dotarły do skrzyżowania z Champs-Elysees. Czekwały na zmianę świateł. Zaskoczeni nagłą ulewą przechodnie osłaniali się utrzymanymi w rękach gazetami, torbami z zakupami lub nasuniętymi na głowę marynarkami.

Spod kół przejeżdżających samochodów tryskały strumienie wody. Luz przyglądała się lampom sygnalizacyjnym przymocowanym na wysokości około półtora metra od jezdni, tak by wygodnie mogli je obserwować kierowcy niskich osobowych samochodów. Taki sposób zamontowania świateł Luz pierwszy raz zaobserwowała w Paryżu i odtąd stały się dla niej elementem wyróżniającym to miasto spośród innych, tak jak wieża ciśnień na Manhattanie.

Zapaliły się zielone światła i Luz ruszyła, unikając zamoczenia butów w strumieniu wody spłukującym miejskie śmiecie z jezdni i chodników. Na moment spieszący się przechodnie oddzielili ją od Trishy, ale spotkały się ponownie po drugiej stronie ulicy i razem poszły w kierunku osłoniętego pasiastą markizą tarasu kawiarni.

Tylko dwa stoliki były zajęte. Goście woleli przebywać w zacisznym wnętrzu kawiarni. Luz znalazła dwa suche krzesła stojące pod ścianą budynku. Usiadły i oparły o krzesła złożone parasolki. Trisha uważnie sprawdziła powierzchnię stolika, zanim położyła na nim niewielką papierową torebkę z książką kupioną przed chwilą w księgarni, do której początkowo schroniły się przed deszczem. Już bardzo dawno nie odwiedzała księgarni. Z przyjemnością skorzystała z okazji, by przewertować książki z różnych dziedzin.

Do stolika podszedł kelner. Jego twarz wyrażała pogardę dla tych „szalonych Amerykanek”.

- *Que voudrez-vous, madame?* - zapytał szorstko.

- *Vin blanc* - zamówiła białe wino.

Luz zignorowała grubiaństwo kelnera. Z takim zachowaniem w stosunku do cudzoziemców często można było się spotkać w dużych miastach, równie dobrze w Nowym Jorku jak i w Paryżu.

- Dla mnie to samo - powiedziała Trisha.

Kelner odwrócił się sztywno i odszedł.

Metalowe nogi krzesła zazgrzytały głośno o beton, kiedy Trisha przysunęła się bliżej do stolika.

- Im dłużej myślę o sukni, którą wybrałaś, tym bardziej mi się podoba - powiedziała Luz. - Ma prosty i elegancki krój. Zmieniając dodatki, możesz wykorzystać ją na różne okazje. Jest tak dobrze uszyta, że może być stałą częścią twojej garderoby. Nadal jeszcze noszę suknię od Diora, którą kupiłam, kiedy miałaś roczek, i wydaje mi się, że nikt tego nie zauważa.

- Po prostu jest bardzo szykowna - zgodziła się Trisha.

- Słowo „szykowana” jest *passee* - Luz żartobliwie zganiała córkę za użycie zbyt wyświechtanego przymiotnika. - *C'est très élégant*, a elegancja nigdy nie przestaje być modna.

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam kupując tę jedwabną bluzkę - zastanawiała się Trisha, przygryzając wargę.

- Powiedziałam kiedyś twojemu ojcu, że nie można nigdy być zbyt bogatym, zbyt szczupłym i mieć zbyt dużo jedwabnych bluzek - zażartowała.

Wrócił kelner i energicznie postawił na stoliku butelkę i szklanki, po czym natychmiast się oddalił. Sącząc wytrawne wino Luz uświadomiła sobie, że w ciągu ostatnich trzech dni bardzo rzadko myślała o swym byłym mężu. Obawiała się, że pobyt w Paryżu przyniesie jej bolesne wspomnienia z poprzednich

pobytów w tym mieście, w czasie których towarzyszył jej Drew. Okazało się jednak, że czas miała zbyt wypełniony różnymi zajęciami - zakupami, koncertami, widowiskami *son et lumiere*, a przy tym Paryż miał dla niej tę szczególną właściwość, że potrafił w pełni zawładnąć jej uczuciami. Powoli przełamywała nawyk dzielenia się wrażeniami z drugą osobą. Być może, pomyślała, dzieje się tak dlatego, że znalazłam się daleko od niego i nie obracam się w kręgu ludzi, którzy przypominają mi o rozwodzie i pospiesznym nowym małżeństwie Drewa.

Oparła łokcie na blacie stolika i trzymając w dłoniach szklanekę z winem, przyglądała się przechodniom. Paryż w czasie deszczu podobał jej się bardziej niż zazwyczaj. Patrzyła na stare budynki, rysujące się nieostro na tle szarego nieba. Mokre ulice błyszczały jak onyks. Powietrze było świeże. Deszcz zmył miejski kurz z krzewów i drzew, przywracając liściom zielony połysk. Kiedy Luz patrzyła na Champs-Elysees poprzez strugi padającego wciąż deszczu, widok przypominał jej obrazy Pissara, w pełni impresjonistyczne, niejasne, ale wyrażające istotę rzeczy.

Uwagę jej zwrócił szelest papieru. To Trisha otworzyła torbę. Ciągłe trzymając szklanekę z winem. Luz patrzyła, jak córka wyjmuje książkę i przerzuca jej pierwsze strony.

- Cóż to za dzieło? - zapytała zaciekawiona i wypila kolejny łyk wina.
- To przewodnik po Argentynie - odparła Trisha, nie odrywając wzroku od książki.
- Po co go kupiłaś? - Luz wzruszyła ramionami.
- Z ciekawości. - Trisha przerwała czytanie. - Ostatnio tyle było rozmów o tym kraju, że chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.
- Rozumiem - zgodziła się Luz i znowu wypila łyk wina.
- Czy wiedziałas, że Argentyna jest ósmym co do wielkości państwem na świecie, zaraz po Indiach?
- Nie wiedziałam.
- Piszą tutaj, że ludność należy w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach do rasy białej, i że w większości wywodzi się z Europy.
- To bardzo interesujące - odparła Luz, potem otworzyła torebkę i wyjęła banknot, by zapłacić za wino.
- Ciągłe pada, więc może spędzimy resztę popołudnia w Luwrze. Co ty na to? Mogłybyśmy obejrzeć Wielką Galerię.

Luz najchętniej zwiedzała muzea fragmentami, a nie w całości, gdyż nadmiar arcydzieł przytłaczał ją tak mocno, że nie była w stanie docenić ich artystycznej wartości.

- Raul mówił, że istnieje wiele podobieństw pomiędzy Argentyną a Stanami. Rzeka Parana przypomina naszą Missisipi, a pampasy podobne są do prerii w stanie Kansas. Ich Andy to nasze Kordyliery, tyle że o tysiąc metrów wyższe.

Westchnąwszy z rezygnacją. Luz poprawiła zawiązaną na szyi apaszkę. Przestała słuchać, a zaczęła przypominać sobie, co Henry mówił jej o Raulu Buchananie. Wiedziała, że pochodzi z nizin społecznych, dorobił się niewielkiego ranczo, mniej więcej wielkości farmy Hopeworth, na którym hoduje konie i prowadzi szkołę polo. Jest finansowo niezależny, ale niezbyt bogaty. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nie powinna mieć z nim żadnych problemów, chyba że sama je wywoła.

Słynny tor wyścigowy Longchamps znajdował się na terenie Lasku Bulońskiego, położonego w obrębie Paryża. Luz stała w pobliżu wewnętrznego padoku, w rejonie dostępnym tylko dla nielicznych gości, i przyglądała się rasowym koniom prowadzonym przez stajennych. Szeroko rozpostarte konary wysokich liściastych drzew tworzyły baldachim zamykający dostęp promieniom słonecznym i przydający cienistego chłodu lekkiemu wietrzykowi, igrającemu z jej spódnicą. Miejsce było idylliczne - puszysta zielona trawa, gęstym dywanem pokrywająca ziemię, pod drzewami bar z szampanem, oszklona kabina do ważenia dżokejów, kasy totalizatora i telewizja kablowa dla ekskluzywnych, elegancko ubranych gości. Wyczuwało się wykwinną atmosferę towarzyszącą obecności arystokracji Starego Świata.

- Właśnie idzie! - Diana położyła rękę na ramieniu Luz.

Patrzyły na konie, prowadzone w kierunku miejsca, gdzie zakładano im siodła. Jedyne pośród nich kasztan był wysokim zwierzęciem o złocistej sierści. Na pięknie ukształtowanym łbie widniała biała strzałka. Luz pamiętała, że Niezdara miał taki właśnie znak szczególny, ale oglądany trzylatek w niczym poza tym nie przypominał tamtego niezgrabnego żrebaka.

- Widzisz go? - powiedziała podekscytowana Diana. - To jest właśnie Vagabond Song.

Luz pozbyła się wszelkich wątpliwości, kiedy zobaczyła wynajętego przez Chandlerów trenera, znanego w europejskich kręgach Anglika, zdążającego na spotkanie stajennego prowadzącego kasztanowatego ogiera.

- Wspaniały koń - stwierdziła.

- A nie mówiłam! - przyjaciółka promieniała dumą.

Stajenny i towarzyszący mu trener podprowadzili wierzchowca do miejsca, gdzie miał być osiodłany. Luz z Trishą i Dianą podeszły tam również, tymczasem Vic rozmawiał z francuskim dżokejem. Młody ogier nie wykazywał zdenerwowania obecnością innych koni. Ogromnymi, szeroko rozstawionymi oczami z zainteresowaniem patrzył na padok i zgromadzony wokół niego tłum.

- Spójrz na jego wspaniałą klatkę piersiową - mówiła Luz do córki. - Zbudowany jest jak greyhound, wyćwiczony do szybkiego pokonywania dużych odległości.

Kasztan wysunął łeb w kierunku Trishy, która pogłaskała go po aksamitnych nozdrzach.

- Piękny okaz - mruknęła.

- To piekielnie dobry koń, *madame* - powiedział siwy stajenny - a przy tym łatwy do kierowania.

- Odziedziczył to po matce. Była wyjątkowo posłuszna, a równocześnie miała serce lwa. - Luz poklepała konia po karku, a potem, głaszcząc go po pysku, powiedziała cicho: - Szkoda, że Jake nie, może go zobaczyć. Na pewno byłby zaskoczony tym, jak zmienił się ten jego ulubiony Niezdara.

Widząc zdenerwowanie trenera, Luz odsunęła się od konia. Za chwilę można się było spodziewać wezwania do siodłania koni, na ostatnie przygotowania nie zostało wiele czasu. Trisha cofnęła się razem z nią.

- Uważam, że powinniśmy postawić na niego jakąś sumę. To zapewni mu powodzenie - stwierdziła i wzięła matkę pod rękę. - Chodźmy do kas.

- A skąd wiesz, że nie przyniesie pecha? - zaprotestowała Luz, ale pozwoliła wyprowadzić się z padoku.

- Nie powinno się stawiać na własnego konia.

- To nie jest nasz koń - spierała się Trisha.

- Ale wywodzi się z naszej hodowli.

Praktycznie biorąc, ich udział w wyhodowaniu tego ogiera nie był zbyt duży, ale pochodził on przecież z farmy Kincaidów, a to już coś znaczyło. Doświadczeni hodowcy mieli inne sprawy na głowie niż obstawianie własnych koni. Wystarczająco dużo emocji dostarczało im wprowadzenie swoich wychowanków na tory wyścigowe.

- Postawię na niego, nawet jeśli ty nie zechcesz. - Trisha pociągnęła Luz w stronę kas poprzez kłębiący się wokół padoku tłum widzów.

- Idź sama. Ja zaczekam na ciebie tutaj.

Kolejka do kasy była jeszcze krótka, gdyż do rozpoczęcia wyścigu pozostało sporo czasu. Trisha wróciła po paru minutach.

- Wszystko albo nic - powiedziała ze śmiechem.

- Mam nadzieję, że wszystko - odparła Luz.

W pewnym momencie zauważyły w tłumie Diane Chandler w jasnozielonym kapeluszu. Po chwili przedarła się do nich.

- Ewan jest służbistą i nie pozwala właścicielom przebywać na padoku w czasie siodłania koni - wyjaśniła.

- A gdzie jest Vic? - Luz spojrzała w kierunku, z którego nadeszła Diana.

- Poszedł do baru. Powiedziałam, że was odszukam i że tam się spotkamy.

Kiedy zbliżyły się do baru ukrytego pod konarami drzew, wyszedł im naprzeciw Vic, niezgrabnie zonglując czterema kieliszkami napelnionymi szampanem. Trisha podbiegła i wzięła od niego dwa, nie czekając, aż stłucze wszystkie cztery. Jeden kieliszek podała matce.

- Uważam, że powinniśmy wznieść toast za zwycięzcę - powiedział Vic.

- Czy to nie przedwczesne? - roześmiała się Luz.

- A więc za Vagabond Songa!

- Za jego zwycięstwo! - Luz uniosła kieliszek, a potem zbliżyła go do ust. Drugą rękę trzymała od spodu, by nie poplamić sobie sukni musującym szampanem.

- Luz! Spójrz, czy to nie Raul? - zawołała Trisha zanim zdążyła wypić pierwszy łyk.

Odwróciła się we wskazanym przez córkę kierunku pewna, że zaszła pomyłka, dopóki nie zobaczyła go idącego ścieżką pod drzewami. Teraz nie miała już wątpliwości. Ta postać w jasnoszarym blezerze, z rozpiętą na piersi koszulką, to na pewno był Raul. Z chwilowego zamyślenia wyrwał ją ruch Trishy, która pobiegła w jego kierunku.

- Kto to jest? - zapytała tajemniczym szeptem Diana.

- Raul Buchanan, Argentyńczyk, zawodowy gracz w polo. - Luz starała się odpowiadać spokojnie.

- Przyjaciel?

Luz zaskoczona była pytaniem. W pierwszej chwili pomyślała, że to ją Diana ma na myśli.

- Słucham?

- Czy Trisha jest z nim w bliższych stosunkach? - Diana cierpliwie powtórzyła pytanie.

- Nie - odpowiedziała szybko Luz, ale w tym momencie uświadomiła sobie, że nie jest tego zupełnie pewna. - Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Spotkaliśmy się w Anglii.

Raul! Co ty tutaj robisz? - głos Trishy dobiegł wyraźnie do Luz. Buchanan nie dał po sobie poznać zaskoczenia. - Miałeś być w Paryżu dopiero we wtorek.

- Zmieniłem plany - odparł.

Luz zauważyła, że odwrócił wzrok od Trishy i rozgląda się po otaczającym ich tłumie. Znieruchomiał, kiedy ją zobaczył. Żałowała, że w ręku trzyma ten cholerny kieliszek z szampanem.

- Jesteś tutaj sam? - zapytała Trisha, próbując skupić jego uwagę na sobie.

- Tak.

- W takim razie musisz dołączyć do nas.

Zdecydowanie ujęła go pod ramię i poprowadziła w kierunku towarzystwa. Obserwując jej swobodne zachowanie, Luz pomyślała, że może istotnie córkę łączy z tym człowiekiem znacznie więcej, niż ona sądzi. Nie spodobało jej się to.

- Cóż za niespodzianka, panie Buchanan - przywitała go chłodno, kiedy podeszli do nich. Trisha nadal trzymała go pod rękę, a on wyraźnie nie miał nic przeciwko temu. Luz zwróciła się do Diany i Vica: - Chciałabym przedstawić wam Raula Buchanana z Argentyny, znakomitego gracza w polo, a to Victor Chandler i jego żona Diana, nasi przyjaciele ze Stanów w najbliższej gonitwie pobiegnie ich trzylatek.

Po dokonaniu prezentacji Luz zwróciła się do Raula.

- Jestem zaskoczona widokiem pana tutaj, w Longchamp. Nie dziwiłabym się, gdyby to było boisko do gry w polo. Cóż to się stało, że w czasie tego weekendu nie bierze pan udziału w jakichś zawodach?

- Zwichnięty nadgarstek wyeliminował mnie z kilku zaplanowanych meczów. - Raul wysunął prawą rękę tak, by można było dostrzec bandaż ukryty pod rękawem blezera.

- Czy to coś poważnego? - natychmiast zareagowała Trisha.

- Nie, ale przez pewien czas nie będę mógł aktywnie grać, więc drużyna wynajęła na moje miejsce innego zawodnika - wyjaśnił Raul, a potem zwrócił się do Luz: - Kontuzja spowodowała, że wrócę do Buenos Aires wcześniej, niż planowałem. Mam nadzieję, że uda nam się spotkać niedługo, żebyśmy mogli załatwić wszystkie sprawy przed moim wyjazdem.

Luz zauważyła zdziwione spojrzenie Diany.

- Pan Buchanan prowadzi kursy dla zaawansowanych graczy w polo, a Rob chciałby uczestniczyć w jednym z nich - wyjaśniła.

- To wspaniale - zauważyła Diana.

- Rob przylatuje jutro rano. Wiem, że chciałby wziąć udział w naszej rozmowie, więc może spotkamy się jutro po południu u nas w hotelu.

- Znakomicie - zgodził się Raul.

- To wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, że doszło do tego spotkania - stwierdziła Trisha. - A może był pan w hotelu „De Crillon” i tam powiedziano panu, że jesteśmy tutaj?

- Tak - potwierdził. - Zostawiłem w recepcji wiadomość dla pań.

Przez megafony ogłoszono polecenie dla dżokejów, by dosiadali koni. Wywołało to ogólne poruszenie na padoku.

- Zaraz jeźdźcy wyruszą na linię startu. Zajmijmy lepsze miejsca na trybunach - powiedział Vic, a potem wzniósł ostatni toast: - Za pomyślną gonitwę!

- Za pomyślność! - powtórzyła nieśmiało Luz i z wahaniem uniosła kieliszek.

W chwilę później uświadomiła sobie, że przecież nie ma żadnego znaczenia, co o jej zachowaniu pomyśli sobie Raul. Zdecydowanym gestem wychyliła toast, chociaż świadoma była jego uważnego spojrzenia.

- Proszę nam towarzyszyć, panie Buchanan - zaproponowała Diana.

Zawahał się przez moment, jak gdyby oczekując potwierdzenia tego zaproszenia przez Luz, ale zamiast niej odezwała się Trisha.

- Ależ tak. Chodź z nami, Raul - zawołała z radością.

- *Gracias* - odpowiedział z uprzejmym skinieniem głowy.

Włączyli się w strumień widzów zmierzających w stronę trybun. Trisha wraz z Raulem została nieco w tyle. Luz nie słyszała, co mówi córka, ale rozpoznawała ten szczególnie ton, którego używają kobiety, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Kiedy dotarli wreszcie do łoży przeznaczonej dla właścicieli koni i zajęli miejsca, okazało się, że Raul usiadł obok niej, a Trisha po jego drugiej stronie.

Luz skoncentrowała uwagę na koniach. Barwne stroje dżokejów usadowionych w siodłach o wysokich strzemionach ostro kontrastowały ze szmaragdowozieloną trawą owalnego toru i lśniąca sierścią wierzchowców paradujących przed hałaśliwym tłumem.

- Czy otrzymała pani przesyłkę, którą zostawiłem w recepcji?

Kiedy Luz odwróciła głowę i spojrzała na jego twarz, przypomniała sobie nagle zarys jego podbródka i policzków oraz wrażenia, jakich doznała, dotykając ich. Zastanawiała się, czy on, patrząc na nią, również pamięta ich wspólny taniec. Odwróciła wzrok, nie chcąc, by zdradził jej myśli.

- Tak, oczywiście. Przejrzałam te materiały z zainteresowaniem. - Patrzyła znów na tor. Odnalazła wzrokiem złocistego kasztanka, który spokojnie kroczył w szeregu koni zdążających na linię startu. - Tam jest Vagabond Song, ten z numerem siódmym.

- Piękne zwierzę - zauważył Raul.

Siedząca za nimi Diana nachyliła się i powiedziała:

- Jeśli dobrze mu pójdzie w tej gonitwie, zastanowimy się, czy nie wystawić go tej jesieni w Łuku.

Derby o nagrodę Łuku Triumfalnego, zwane popularnie Łukiem, były najbardziej prestiżowymi wyścigami rasowych koni we Francji. Gonitwa na dystansie półtorej mili otwarta dla trzylatków i starszych koni często decydowała o uzyskaniu tytułu międzynarodowego czempiona roku. Derby te stały się również okazją do spotkań znanych w świecie hodowców koni i *haut monde*. Rywalizowały tylko z Prix Diane w Chantilly i zawodami Royal Ascot.

- Moje zainteresowanie dzisiejszą gonitwą wynika nie tylko z chęci dopingowania konia przyjaciół - Luz zwróciła się do Raula. - Vagabond Song pochodzi z hodowli rasowych koni w Wirginii, należącej do mojego ojca. Akurat byłam tam, kiedy matka tego ogiera została pokryta przez Mistrala. Jake nigdy nie doceniał żrebaka, ale mnie on się zawsze podobał. Moje zaciekawienie nim jest czysto osobistej natury.

Wzrok Raula wskazywał na rosnące zainteresowanie Luz, jak gdyby nieoczekiwanie odkrywał w niej coś bardzo ważnego.

- Widzę, że zna się pani na koniach.

Słowa Raula sprawiły jej prawdziwą przyjemność. Wyczuła, że nie był to tylko zdawkowy komplement, ale wyraz pewnego rodzaju uznania.

- Farma Hopeworth w dzieciństwie była moim domem. Jak sięgnę pamięcią, zawsze interesowałam się końmi.

Dżokeje podprowadzili konie na linię startu. Już za parę minut rozpocząć się miała gonitwa na dystansie prawie dwóch mil. Rosło napięcie wśród widzów, gwar powoli przycichł. W sekundę po tym, jak ostatni koń znalazł się na miejscu startu, rozległ się dźwięk dzwonu i bramki zostały gwałtownie otwarte. Zaczął się wyścig.

Pierwsze kilkanaście metrów trasy konie pokonały łeb w łeb, ale już pod koniec pierwszego prostego odcinka z pędzącej grupy wyłonili się liderzy. Luz usiłowała w mieszaninie kolorowych ubrań dżokejów odnaleźć niebieskozielone barwy stajni Chandlera, ale możliwe stało się to dopiero wtedy, gdy grupa dziesięciu koni rozciągnęła się w sznur galopujący teraz po krzywiźnie owalnego toru.

- Widzę go! - zawołał Vic, nie odrywając lornetki od oczu. - Biegnie na piątą pozycji.

Teraz i Luz udało się dostrzec kasztanka, galopującego w środku grupy, ale dość blisko lidera. Zniknął jej z oczu, kiedy konie znalazły się na ostatniej prostej. Potem zobaczyła go znów, w momencie, kiedy wysuwał się przed konia biegnącego na czwartej pozycji. Popędzany przez dżokeja ogier wyprzedzał teraz jednego rywala za drugim.

Pod koniec ostatniej prostej miał przed sobą już tylko jednego wierzchowca, faworyta tej gonitwy, ale odległość pomiędzy nimi malała z każdą chwilą. Widzowie zerwali się z miejsc i głośno dopingowali walczące w zaciekłym pojedynku konie. Luz wstrzymała oddech, Na dwie długości przed metą Vagabond Song zrównał się z rywalem. Przez moment biegli razem, a potem wysunął się do przodu i jako pierwszy przeciął linię mety.

- Wygraliśmy! Wygraliśmy! - krzyczała Diana, z przejęciem poklepując męża po ramieniu.

Dżokej stanął w strzemionach i uniesioną w górę ręką, w której trzymał nie użytą ani razu szpicrutę, pozdrowił widzów gestem zwycięzcy.

- Gratuluję! - Luz odwróciła się, by uściskać Diane, z którą dzieliła radość i dumę ze zwycięstwa.

- Wiedziałam, że wygra - cieszyła się Trisha.

Na tablicy świetlnej pojawiły się oficjalne wyniki gonitwy, potwierdzające kolejność koni na finiszu.

- Chodźmy, Diano - uradowany Vic objął ramieniem żonę i poprowadził ją do wyjścia z łoży. - Będziemy potrzebni przy prezentacji zwycięzców.

- A ja muszę biec do kasy. - Trisha ze śmiechem pomachała kuponem zakładu. - Widzisz, Luz? Mówiłam ci, żebyś na niego postawiła. Kincaidowie zawsze wygrywają, a Vagabond Song jest koniem z naszej hodowli.

Najpierw Chandlerowie opuścili łożę, a potem Trisha ruszyła ku wyjściu, ale po drodze dotknęła ramienia Raula i powiedziała:

- Zaraz wracam.

Luz znów zaniepokoił stopień zażyłości wyczuwany w słowach córki. Spojrzała na Raula, aby ocenić jego reakcję, ale on skinął jedynie potwierdzająco głową. Po wyjściu Trishy Luz w milczeniu obserwowała uroczystość prezentacji zwycięzców. Mokra od potu sierść kasztanka lśniła w słońcu. Łeb miał dumnie uniesiony. Stojący obok trener również promieniał radością.

- Szkoda, że Jake tego nie widzi - szepnęła w zamyśleniu.

Pamiętała, z jakim uczuciem radości i zadowolenia przyjmował zawsze każdy sukces wyhodowanego przez siebie konia.

- Jestem przekonany, że byłby bardzo dumny.

Słowa Raula uświadomiły jej, że głośno wyraziła swoje myśli.

- Tak, z całą pewnością - powiedziała, patrząc na niego. - W porównaniu z grą w polo wyścigi konne muszą się panu wydawać wyjątkowo nudnym sportem.

To przecież tylko kilkanaście koni galopujących po otwartym terenie.

- Może trochę, ale pociąga mnie atmosfera emocji towarzysząca wyścigom.

Z uśmiechem patrzył na kłębiący się tłum. Składał się on ze zniechęconych przegraną hazardzistów, nielicznych szczęśliwców biegnących do kasy, by odebrać wygraną, i optymistów, przekonanych, że fortuna okaże się dla nich łaskawa w następnej gonitwie. W dole, na torze, również panował ruch. Dżokeje odprowadzali konie do stajni. Jeźdźcy mieli nadzieję na lepszego konia w następnej gonitwie, a wierzchowce oczekiwały garści siana i przyjaznej ręki stajennego.

- Wyścigi budzą we mnie odrobinę nostalgii - zwrócił się ponownie do Luz. - Gdy byłem chłopcem, pracowałem na torze wyścigowym w Buenos Aires, a więc to wszystko jest mi dobrze znane. Nastrój oczekiwania, potem klęski, i niezwykle rzadko zwycięstwa.

- Gdzie w takim razie nauczył się pan grać w polo?

- Właściciel toru zatrudniał mnie w swoich stajniach, a że grywał w polo, ja również uczyłem się grać - długo, powoli i czasem nieprawidłowo.

- A jednak osiągnął pan szczyty umiejętności.

- Niezupełnie - sprostował. - Jeszcze muszę zdobyć dziesiątą lokatę w rankingu.

- Nie chce pan poprzestać na tym, co pan już osiągnął?

- Na szczęście mam prawo wyboru. A czy pani poprzestałaby na małym, mając szansę zdobycia czegoś więcej? Chyba nie - powiedział z uśmiechem, w którym kryło się zrozumienie i życzliwość.

Luz pomyślała, że jego słowa pokazują pewne podobieństwo ich charakterów. To odkrycie poruszyło ją.

- Ma pan rację - przyznała.

- Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek otwarcie przyzna pani, że mam w czymkolwiek rację - zażartował, mając na myśli jej wcześniejsze zachowanie.

- Być może czasami wyrażam się zbyt szorstko - odparła.

Ich rozmowa była swobodnym przerzucaniem się słowami, co znała z dawnych szkolnych czasów. Pomyślała, że już prawie zupełnie zapomniała, jak miłe są takie zabawy, lecz flirtowanie jest jak jazda konna - kto raz się tego nauczył, nigdy nie pozbędzie się całkowicie nabytych umiejętności.

- Co nie zawsze jest rozsądne - powiedział Raul.

- To prawda - zgodziła się.

Do łoży wbiegła Trisha. W ręku trzymała torebkę z wygraną. Jej powrót przerwał porozumienie rodzące się między Luz i Rautem.

- Nie wystarczy mi na Diora, ale będę mogła jeszcze raz wybrać się do tego cudownego sklepu z wyrobami ze skóry na ulicy Faubourg-St-Honore - stwierdziła. - Przypomnij mi po powrocie do hotelu, żebym wysłała dla Vagabond Songa kosz jabłek i kilka pęczków marchewki. W końcu to on zapracował na moją wygraną.

- Masz rację - Luz uśmiechnęła się, lecz w tym momencie obecność pełnej młodzieńczego wigoru córki była dla niej trudna do zniesienia.

Z ulgą powitała pojawienie się Chandlerów, ciągle jeszcze tryskających radością ze zwycięstwa swego konia.

- Pamiętajcie, że mieliśmy wznieść toast za zwycięzcę? - powiedział Vic. - Teraz już mamy uzasadnienie, więc chodźmy do baru.

W programie były jeszcze inne gonitwy, ale po tej najważniejszej mogły przynieść tylko rozczarowanie. Luz przystała więc na tę propozycję. Wyszli z łoży i zeszli na wewnętrzny padok. Vic cały czas mówił o gonitwie, o udziale dżokeja w sukcesie, ale oczywiście nie zapominał o zasługach konia.

Kiedy dotarli do baru, przerwał opowieść, by zamówić dla wszystkich szampana. Cały czas patrzył na Raula, który potakująco kiwał głową.

- Ewans chciałby wystawić Songa w gonitwie na milę i ćwierć, żeby sprawdzić go przed zgłoszeniem do Łuku. Niezupełnie się z nim zgadzam, ale ponieważ doprowadził naszego konia do tak wysokiego poziomu, nie mogę z nim zerwać. Jake zawsze mówił, że nie wolno spierać się z sukcesem.

Kelner przyniósł tacę zastawioną kieliszkami z szampanem.

- Za zwycięzcę! Za naszego Songa! - Vic podniósł do góry kieliszek.

- Za zwycięzcę! - powtórzyli wszyscy.

Rozmowa ciągle obracała się wokół wyścigów i wygranej gonitwy. Vic wypytywał Raula o wyścigi rasowych koni w Argentynie. Oceniali zalety i wady amerykańskich i europejskich wierzchowców. Luz przez cały czas dyskretnie przyglądała się Raulowi.

Vic rozwodził się teraz nad problemem rywalizacji pomiędzy młodymi ogierami i klaczami.

- Mam dwuletnią klacz, którą w zeszłym roku za pół darmo kupiłem na aukcji w Deauville. Świetnie spisuje się na torze. Ostatnio wygrała dwie gonitwy, w których brały udział same klacze. Rozmawiałem z Ewanem o tym, żeby ją wystawić do wyścigów z ogierami. Jestem pewien, że wygra.

- Zaczekaj lepiej do jesieni - powiedziała Luz. - Wiem od Jake'a i z własnego doświadczenia, że klacze zawsze lepiej biegają o tej porze roku.

- Słuszna uwaga. Nie pomyślałem o tym - zgodził się Vic.

Luz z przyjemnością uchwyciła krótkie, pełne uznania dla jej fachowości spojrzenie Argentyńczyka.

W pewnym momencie jego uwagę zwróciło coś, co działo się za jej plecami. W sekundę później wyciągnął prawą rękę, złapał ją za ramię powyżej łokcia i przyciągnął do siebie, akurat w porę, by nie została potrącona przez przedzierającego się energicznie w stronę baru niezbyt trzeźwego mężczyznę. Kiedy podniosła wzrok, by mu podziękować, zauważyła na jego twarzy wyraz bólu. Zorientowała się, że posłużył się kontuzjowaną ręką.

- Pana nadgarstek... - zaczęła.

- Drobiazg - przerwał jej; w jego wzroku było dużo ciepła.

Poruszyło ją to. Zauważyła, że Raul Buchanan coraz bardziej ją fascynuje. Może była to normalna reakcja na to, że po raz pierwszy od dłuższego czasu przebywała w towarzystwie mężczyzny, będącego dla niej w jakiś sposób osobą tajemniczą w porównaniu z Drewem, którego wszystkie gesty i słowa znane jej były na tyle dobrze, że zawsze mogła przewidzieć, co zamierza powiedzieć lub zrobić. Krótka znajomość z Raulem nie pozwoliła jej odgadnąć jego myśli bądź odczytywać znaczenia jego spojrzeń

czy gestów.

Taki stan niepewności dodawał uroku ich wzajemnym kontaktom. Żadna ze stron nie mogła osiągnąć we wzajemnych stosunkach pełnej wiedzy o drugiej osobie. Zdawała sobie sprawę, że kiedy nie ma się już nic do ukrycia, przychodzi znudzenie i rozczarowanie. Coś takiego nastąpiło w jej małżeństwie. Zbyt mało ich łączyło, by mogło stać się to podstawą ich związku. Być może konieczne są jakieś wspólne zainteresowania, choćby takie jak w przypadku Drewa i Claudii.

Poczuła się przytłoczona tymi smutnymi myślami. Żeby je rozproszyc, wypila spory łyk szampana. Zadowolona była z dzisiejszego popołudnia i nie miała zamiaru znów pograć się w ponurych rozważaniach nad tym, jakie błędy popełniła. Paryż jest przecież miastem radości, miejscem, gdzie powinna cieszyć się z tego, że jest kobietą.

- Mam znakomity pomysł - powiedziała Diana. - Wybierzmy się razem na kolację i uczcijmy dzisiejsze zwycięstwo w sposób naprawdę elegancki.

- Świetnie - poparła ją Luz. Potem zwróciła się do Raula: - Wybierze się pan z nami, prawda?

- Nie chciałbym być intruzem podczas uroczystości w kręgu bliskich przyjaciół - powiedział uprzejmie.

- Nonsens! - Diana rozproszyła jego wątpliwości. - Razem oglądaliśmy wyścigi, więc razem powinniśmy je uczcić. Nie może nam pan odmówić. Kolacja nie byłaby w pełni udana, gdyby zabrakło na niej kogoś z nas.

- Nie upieraj się - włączyła się do rozmowy Trisha, po czym, patrząc wyzywająco na Raula, dodała: - Dlaczego ty zawsze musisz utrudniać grę?

Luz zauważyła błysk rozbawienia w oczach Argentyńczyka, kiedy spojrzał na Trishę. Słowa córki miały dla niego jakieś ukryte znaczenie. Luz coraz bardziej życzyła sobie, by nastąpiło przerwanie tej więzi.

- Wygląda na to, że nie mogę odmówić - powiedział.

- A więc ustalone. Pozostaje tylko problem, gdzie pójść. Większość dobrych lokali jest w niedzielę zamknięta. - Diana czekała na propozycję, a kiedy żadna nie padła, wysunęła swoją. - Jest niezła restauracja w Dzielnicy Łacińskiej. Bywają tam aktorzy, pisarze, artyści.

- Wybaczcie - zaprotestowała Luz - ale nie mam ochoty spędzić wieczoru w towarzystwie intelektualistów.

- Wobec tego co myślicie o „Tour d'Argent”? Jedzenie jest tam świetne, wina znakomite, do tego elegancki wystrój - spróbowała jeszcze raz Diana.

- Podają tam zbyt ciężkie potrawy - sprzeciwił się Vic.

Raul nie brał udziału w dyskusji nad wyborem restauracji. Dobre jedzenie podawano w Paryżu w wielu lokalach, chociaż nie wszystkie były drogie i wystawnie urządzone. Ludzie bogaci jednak, jak zauważył, utożsamiali jakość z ceną. Zdarzało się czasami, że więcej czasu zajmuje im podjęcie decyzji, gdzie zjeść obiad, niż którego konia kupić. Bogaty gracz-amator nabywał często wierzchowca, oceniając go tylko na oko. Wystarczało mu, że może go dosiąść i wziąć udział w grze. Patrząc na Luz Kincaid Thomas i Trishę, pomyślał, że one nigdy w swoim życiu nie zaznały braku pożywienia; mogły się tylko zastanawiać, gdzie i co zjedzą. Uświadomił sobie, że stwarza to pewien dystans pomiędzy nim a tego rodzaju ludźmi. Całej tej rozmowie przysłuchiwał się z lekceważeniem i lekką pogardą.

- Co myślisz o galeonie przycumowanym do brzegu w pobliżu toru wyścigowego? - wysunął kolejną propozycję Vic. - Smacznie gotują i roztacza się z niego piękny widok na Sekwanę. Moglibyśmy zamówić stolik na świeżym powietrzu.

Nikt nie zaprotestował.

- Myślicie, że uda nam się zdobyć miejsce? - zapytała Diana.

Georges potrafi załatwić wszystko - stwierdziła Luz.

15

Vic zarezerwował stolik na dwudziestą. Parę minut wcześniej sprzed hotelu zabrały ich dwie taksówki. Place de la Concorde nocą wyglądał szczególnie wspaniale. Wyniosły obelisk i otaczające go posągi oświetlone były licznymi reflektorami. Jak diamenty lśniły krople wody w podświetlonych fontannach. Na przeciwległym krańcu szerokiego bulwaru stał w całej swojej świetności skąpany w świetle Łuk Triumfalny Napoleona.

- Po kolacji prawdopodobnie wystąpimy w rolach strasznych turystów i urządzimy sobie nocną wyprawę na Montmartre, żeby rozkoszować się światłami Paryża. - Luz odwróciła się w stronę córki, siedzącej z tyłu samochodu.

Trisha wychyliła się do przodu i dotknęła ręki Raula wyciągniętej na oparciu przedniego siedzenia. Światła ulicznych lamp odbijały się od lśniącej czerni jej wieczorowego stroju.

- Raul, czy oglądałeś kiedyś nocne uroki Montmartre'u? - zapytała, kiedy odwrócił się w jej stronę.

- Tak.

- W czyim towarzystwie? Wiem, że dżentelmeni nigdy nie zdradzają takich tajemnic, ale mam wątpliwości, czy ty nim jesteś - zażartowała.

- Pozostawiam ci prawo oceny.

Wzruszył ramionami w geście wyrażającym obojętność. Zanim znów odwrócił głowę w kierunku jazdy przez moment jego spojrzenie prześlizgnęło się po twarzy Luz siedzącej w przeciwległym rogu auta. Była wyraźnie zdziwiona, że tak łatwo przeszedł do porządku nad prowokacyjną uwagą Trishy.

Spojrzała na córkę, ciekawa, jakie wrażenie zrobiło na niej to obojętne potraktowanie zachęty do flirtu. Trisha wyglądała bardzo elegancko. Miała na sobie czarny żakiet z bufiastymi rękawami i marszczonymi klapami, pokrytymi dla kontrastu białą satyną. Obcisła sukienka z niewielkim dekoltem również oblamowana była na białe. Strój uzupełniał czarny kapelusz z delikatną woalką. Luz uważała, że w Paryżu nie można ubrać się zbyt elegancko. Tutaj nawet sprzedawczynie mają na sobie najmodniejsze stroje.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do przycumowanego do brzegu galeonu. Jego światła posrebrzały wody Sekwany. Kierowca otworzył drzwi i podał rękę Luz. Wysiadła zgrabnie z auta. Przyglądziła ręką wąską czarną spódnicę i poprawiła jedwabną bluzkę w czarno-białe paski.

Po chwili zjawiała się taksówka, którą przyjechali Chandlerowie. Razem weszli na galeon, zamieniony na restaurację pierwszej kategorii. Chociaż letnia noc była ciepła, zdecydowali się zjeść kolację wewnątrz statku, a nie na pokładzie. *Maître* zaprowadził ich do stolika w zacisznym kąciku, z dala od gwaru i zapachów dobiegających z kuchni. Raul podsunął Luz krzesło, a sam usiadł naprzeciwko niej. Trisha zajęła miejsce obok niego. Zamówili aperitif, a kiedy napoje zostały podane, wzniesiono kolejny toast za konia, którego zwycięstwo sprowadziło ich tutaj.

- Powiedz mi, Trisha, czy zostawiłaś w Stanach jakiegoś tęskniącego za tobą młodzieńca? - zapytał Vic Chandler nachylając się ku siedzącej po jego lewej stronie dziewczynie. Jej rozkwitająca uroda wyraźnie go fascynowała.

- Nie, nikogo - odpowiedziała. - Wolę grać na otwartej przestrzeni.

- Takiej jak boisko do gry w polo? - zażartował Vic, spoglądając wymownie na Raula.

- Skoro już mowa o polo... - Luz wypła łyk Cinzano, a potem odstawiła kieliszek. - Rob wspomniał, że pan również trenuje i sprzedaje kuce. Czy to prawda, Raul?

Zdecydowała się odstąpić od przyjętej wcześniej sztywnej formy i zwróciła się do niego po imieniu. Usprawiedliwiał to nastrój towarzyskiego spotkania.

- Mam teraz do sprzedania około dwudziestu koni już przygotowanych do gry i sporo innych na różnych etapach zaawansowania w szkoleniu.

- Po tym, jak Rob zapoznał się u Henry'ego z kucami pochodzącymi z Argentyny, zapragnął mieć podobne.

- Rozmawialiśmy na ten temat.

- Tak, tego wieczoru w pubie - wtrąciła Trisha.

- Niezależnie od tego, jaką podejmiemy decyzję w sprawie kursu, w najbliższej przyszłości zamierzamy wybrać się do Argentyny, żeby przyjrzeć się koniom. Twoim również.

- Będę się czuł zaszczycony, mogąc pokazać wam moją stadninę. Zawsze radzę potencjalnym nabywcom, żeby wcześniej wypróbowali konie, najlepiej w trakcie gry - przerwał na moment uśmiechając się. - W naszej szkole nigdy nie brakuje zawodników, z których można zestawić drużynę. Jestem przekonany, że moje kuce należą do najlepszych w Argentynie, ale gdybyście chcieli, skieruj was do innych hodowców.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Uprzejmość nie odgrywa tu żadnej roli, proszę pani.

- Przepraszam, ale wołałabym, żebyś się do mnie zwracał po imieniu.

Wyczuwała na sobie jego wzrok. Ślizgał się po jej włosach, oczach, wargach, policzkach. Lekki uśmiech, ożywił jego twarz. Najwyraźniej był zadowolony z tego co widzi.

- Dobrze - odparł i znów podjął przerwany temat. - Dla mnie jest to sprawa interesów. Zobaczycie najpierw moje kuce i z nimi porównywać możecie inne. Pokażę wam również szkołę. Jeśli przyjedziecie przed końcem sierpnia, zostanie jeszcze dość czasu na podjęcie decyzji w sprawie kursu syna.

Rozbawiła ją jego strategia, ale równocześnie rozczarowana była tym, że ciągle jeszcze, pomimo wyraźnej zachęty, nie zwrócił się do niej po imieniu.

- Przyjedziemy w sierpniu - stwierdziła Trisha - bo później przeszkodziłyby mi zajęcia na uniwersytecie, a nie pozwolę na to, żeby Rob i Luz pojechali beze mnie. Jestem zafascynowana Argentyną.

- Zaczęła ostatnio czytać wszystko o twoim kraju - powiedziała Luz. Trzymała kieliszek przy ustach i sponad jego krawędzi wpatrywała się w Raula. - Dokonała ostatnio wielu interesujących odkryć, takich na przykład, że wasza konstytucja jest wzorowana na konstytucji Stanów Zjednoczonych.

- Sierpień? Spędzicie w domu tylko miesiąc i znów wyruszyacie na długą wycieczkę - zauważyła Diana.

- Luz zawsze lubiła podróżować - stwierdził Vic - a Drew nigdy nie był tym zachwycony. Wygląda na to, że teraz odrabiasz stracony czas.

- To może sprawiać takie wrażenie, ale wycieczka do Europy została zaplanowana dużo wcześniej. Tyle że podróżujemy w uszczuplonym składzie. - Luz poczuła na wargach ostry smak aperitif.

- Powinnaś znaleźć sobie jakiegoś przyjaciela - stwierdziła Diana.

Luz odruchowo spojrzała na Raula, przypominając sobie moment, kiedy trzymał ją w ramionach i tańczyli przytuleni do siebie.

- To prawda - potwierdził Vic - ale widzę, że Luz postępuje bardzo rozsądnie. Nowe miejsca, nowe twarze. Trzeba patrzeć, co życie ma do zaoferowania i podążać za tym. Najlepszy sposób, żeby rozwiać popioły po dawnym pożarze, to rozpaść nowy ogień.

- Darujcie - zaprotestowała - ale rozwód odbył się tak niedawno.

- Kiedy ostatnio widziałas się z Drewem? - zapytał Vic.

- Trzy miesiące temu.

Czasami wydawało jej się to bardzo odległe. Myślała o rozwodzie jak o złym śnie. Jakaś częścią swej świadomości ciągle oczekiwała, że obudzi się któregoś ranka i wszystko będzie tak jak dawniej.

- Wiesz, co mówią w takiej sytuacji? „Jedź, pij i wyjdź ponownie za mąż” - Vic roześmiał się z własnego żartu.

Od odpowiedzi uwolniło Luz pojawienie się kelnera, który zapytał, czy goście zechcą zapoznać się z menu.

- Tak, i proszę jeszcze podać drinki dla wszystkich poza tą panią - powiedział Vic, wskazując na Trishę, przed którą stał ciągle pełny kieliszek. - Chcielibyśmy wybrać wina. Oczekujemy, że podejdzie do naszego stolika... hm... *sommelier*.

Zauważyła, że Raul nie poświęcił wiele czasu na wybór dań. Przejrzał pobieżnie menu i odłożył je na stolik. Trisha nachyliła się ku niemu i, wskazując którąś pozycję w karcie, pytała go o opinię. Luz udawała, że uważnie studiuje jadłospis.

- Wybrałaś już coś dla siebie? - zwróciła się do Raula, przerywając prowadzoną szeptem naradę.

- Tak - odrzekł odwracając się od Trishy.

- Zawsze tak szybko podejmujesz decyzje?

- W niektórych sprawach tak.

- A w tych najważniejszych?

- Te zajmują mi trochę więcej czasu - odparł.

- Czyżbyś nie uważał pożywienia za sprawę ważną?

- Niektóre dania smakują lepiej, inne gorzej, ale jedzenie jest tylko jedzeniem, nieprawdaż?

- Takie stwierdzenie w Paryżu brzmi jak bluźnierstwo - roześmiała się. - Gdyby usłyszał je ktoś z obsługi, zostałbyś stąd wyproszony.

W końcu wszyscy podjęli decyzje i kelner przyjął zamówienie. Specjalista od wina zarekomendował gatunki stosowne do poszczególnych potraw. Francuskim zwyczajem kolejne dania przedzielone były dłuższymi przerwami. W tym czasie czujny kelner dbał, by kieliszki od wina nigdy nie stały puste.

W chwili gdy podawano główne danie, Luz zauważyła, że Raul pochylił głowę w stronę Trishy, by lepiej usłyszeć jakieś rzucone półgłosem słowa. Już miała się odezwać, żeby skierować na siebie jego

uwagę, kiedy uświadomiła sobie absurdalność sytuacji. Zorientowała się, że przez cały wieczór współzawodniczy z własną córką o względy Raula. Rywalizują ze sobą jak kobieta z kobietą. Zrozumiała, że nie chodzi jej o to, by chronić Trishę. Chciała mieć Raula dla siebie!

- Czy coś jest nie w porządku? - zwróciła się do niej Diana, zaniepokojona wyrazem jej twarzy.

Słowa przyjaciółki dotarły do Luz z opóźnieniem, ale kiedy je zrozumiała, odpowiedziała szybko, że nie, i sięgnęła po kieliszek.

Spróbowała tylko ryby, popijając każdy kęs winem. Ilekroć spojrzała przez stół i widziała ich rozmawiających ze sobą, odczuwała ból i ukłucie zazdrości. Zdawała sobie sprawę z niestosowności tego uczucia. Nie powinna była żywić niechęci do córki z powodu jej młodości i urody, ale nie mogła pozbyć się tej odrobiny zawiści.

Podano sery, a potem słodczyce. W ustach Luz wszystko nabierało smaku kredy. W pewnym momencie poczuła się mocno wstawiona. Nie wiedziała, ile wina wypila, ale z całą pewnością za dużo. Nie chcąc sprawiać innym kłopotu, odstawiła kieliszek i odsunęła się od stołu.

- Wybaczcie mi. - Wstała, przytrzymując się oparcia krzesła. - Obawiam się, że wypilałam zbyt wiele. Muszę was pożegnać.

Zapanowało poruszenie. Ktoś z towarzystwa zareagował na jej słowa, podnosząc się od stołu.

- Nie, nie. Zostańcie tutaj i dokończcie kolację. Ze mną jest wszystko w porządku. Kierowca czeka przed restauracją i odwiezie mnie do hotelu.

- Pojadę z tobą. - Trisha złożyła serwetkę i położyła ją obok nakrycia.

- To niepotrzebne. Poradzę sobie sama.

Córka była ostatnią osobą, której towarzystwa życzyła sobie teraz. Obawiała się, że może nie zapanować nad językiem.

Zniechęcona szorstkim tonem matki, Trisha usiadła.

- Proszę, zostańcie tutaj i bawcie się dobrze. Nic mi nie jest.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, odwróciła się i tak szybko, jak tylko mogła, ruszyła ku wyjściu. Kiedy znalazła się na zewnątrz i owiało ją świeże powietrze, poczuła nagły zawrót głowy. Przycisnęła dłoń do czoła, starając się opanować wrażenie wirowania otaczającej ją przestrzeni, a drugą ręką szukała bezradnie oparcia, by odzyskać równowagę.

Wyczuła, że ktoś staje za nią i nagle podtrzymało ją jakieś silne ramię. Oparła się o nie.

- *Pardon, monsieur, un moment.* - Odetchnęła głęboko chłodnym nocnym powietrzem i poczuła się lepiej. - *Merci.*

W chwili gdy uwolniła się od podtrzymującego ją ramienia, uniosła głowę i zamiast uprzejmego Francuza ujrzała Raula.

- No proszę. Mój Lord Znikąd znów pospieszył mi z pomocą.

To duma nakazywała jej zakpić z niego. Ze złością odepchnęła jego ramię.

- Tym razem twoja pomoc nie jest mi potrzebna.

- Odprowadzę cię tylko do samochodu - powiedział i gestem przywołał jedną z wynajętych taksówek.

Luz rozejrzała się wokół. Dostrzegła srebrzysty nurt Sekwany, migotanie odbitych w wodzie światła padających z okien galeonu i blade gwiazdy nad głową. Letnia noc w Paryżu powinna być wypełniona zabawą i radością. Zatęskniła do dawnych beztruskich lat. Pragnęła znów być młoda i nierozsądna.

Nie zwracając uwagi na czekający samochód, zwróciła się do Raula.

- Mam ochotę tańczyć. Każdy turysta przybywający do Paryża powinien się bawić, a ja dotąd nie miałam okazji.

- Kierowca czeka. - Raul wskazał ręką taksówkę.

Luz zobaczyła otwarte drzwi auta i stojącego przy nich taksówkarza, gotowego pomóc jej przy wsiadaniu.

- Niech sobie czeka, przecież za to mu płacę. Zatańcz ze mną - poleciła. - Jesteś Argentyńczykiem, więc wybrałam tango. Na pewno znasz ten taniec.

W jej głosie zabrzmiała nuta sarkazmu, ale i niepokoju. Posunęła się jednak zbyt daleko, by się wycofać. Położyła dłoń na jego prawym ramieniu, a potem ujęła go za lewą rękę.

- Jesteś gotowy? Raz, dwa, trzy. Ta da da, da dum da, da da da... - Raul stał nieruchomo. - Nie podoba ci się tango? To najbardziej odpowiedni taniec. - Stłumiła śmiech, który mógłby uznać za przejaw hysterii. - Pamiętasz film *Ostatnie tango w Paryżu*? - Nie widział w jej słowach nic zabawnego. - Dobrze, skoro ty nie chcesz ze mną tańczyć, poproszę kierowcę.

Puściła jego dłoń i odwróciła się w kierunku czekającego samochodu. Raul powstrzymał ją.

- Dobrze. Zatańczymy, ale nie tango.

- Świetnie. Może być coś innego - Zgodziła się i czekała, aż tym razem on obejmie ją ramieniem i rozpocznie taniec.

Dotknięcie jego dłoni na plecach wydało jej się znajome. Pozwoliła się prowadzić. Po kilku krokach rozpoznała typowy rytm walca. Cicho nuciła jakąś melodię i wolno wirując posuwali się wzdłuż ulicy, którą noc zamieniła we wspianą salę balową. Uścisk jego dłoni i zapach wody kolońskiej obudził w niej pragnienia, które, jak sądziła, były już na zawsze pogrzebane.

Zamknęła oczy, by łatwiej pograżyć się w marzeniach, ale taneczne obroty zaczęły działać na jej zachwiany zmysł równowagi. Zgubiła rytm i ciężko oparła się o partnera.

- Myślę, że już wystarczy - powiedziała, zatrzymując się ze spuszczoną głową, a potem nieprzytomnie rozejrzała się wokół. - Gdzie jest nasz samochód?

Taksówka jechała w pewnej odległości za nimi. Raul jedną ręką skinął na kierowcę, drugą podtrzymywał Luz. Kiedy auto znalazło się obok nich, otworzył tylne drzwi i pomógł jej wsiąść. Opadła na siedzenie i odchyliła głowę na oparcie. Oczy miała zamknięte. Czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa i samotna niż poprzednio. Ciągle nie mogła poradzić sobie z dręczącą ją zazdrością o córkę.

Usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi po przeciwnej stronie. Uniosła głowę i ze zdziwieniem zauważyła, że Raul siada obok niej.

- Nie musisz ze mną jechać - zaprotestowała. - Kierowca odwiezie mnie do hotelu.

- Chyba że każesz mu zatrzymać się gdzieś po drodze - zażartował,

- Na pewno uważasz, że wypłam zbyt dużo. Żałuję, że nie jestem pijana. Straciłabym wtedy kontrolę nad tym, co robię.

- Jedziemy do hotelu, proszę pana? - kierowca spojrzał na nich we wstecznym lusterku.

- Tak.

Samochód ruszył. Luz patrzyła na tonący w ciemności Lasek Buloński rozciągający się wzdłuż bulwaru. Białe światła lamp majaczące wśród gęstego listowia oświetlały wijące się wśród drzew alejki i uliczki.

- *Chauffeur*. - Luz dotknęła ramienia kierowcy. - Proszę pojechać przez Lasek Buloński.

- *Le Bois de Boulogne? Non, madame* - sprzeciwił się gwałtownie. - Nocą byłoby to niebezpieczne. Park opanowany jest przez ludzi z półświatka: prostytutki, tych szalonych „brazylijczyków” w damskich strojach... *Non, madame*.

- Chciałabym to wszystko zobaczyć. Proszę wykonać moje polecenie.

Tym razem powiedziała to stanowczo i odchyliła się na oparcie, ignorując pomruki kierowcy, który uległ i na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w głąb Lasku.

Po obydwu stronach drogi, jednej z wielu przecinających ten ogromny park położony w zachodniej części Paryża, rosły stuletnie drzewa. Uliczne lampy umieszczone na przemian po jednej i po drugiej stronie drogi oświetlały jedynie ich potężne pnie, nie potrafiły jednak przebić się przez zaporę z liści i rozproszyć panującego w głębi gęstego mroku. Przestrzeń oświetlona reflektorami samochodu wydawała się wyizolowaną wysepką w morzu ciemności.

Przy skrzyżowaniu z jedną z krętych parkowych alejek zobaczyli zaparkowany samochód. Po stronie siedzenia dla pasażera stała dziewczyna ubrana w krótką obcisłą sukienkę i pantofle na bardzo wysokich obcasach. Była nachylona - próbowała zapewne porozumieć się z osobami siedzącymi wewnątrz. Towarzyszył jej mężczyzna, a dwie inne kobiety, których strój i makijaż wskazywał, że są prostytutkami, stały w pobliżu latarni.

Kierowca nieznacznie tylko zwolnił, omijając zaparkowany samochód. Luz zdążyła zauważyć, jak mężczyzna, niewątpliwie sutener, otworzył drzwi auta i wymierzył cios siedzącemu wewnątrz osobnikowi. Samochód zniknął im z oczu, zanim zdążyli obejrzeć zakończenie tej krótkiej sceny z innego świata.

Płomyk zapalniczki rozproszył na moment otaczający ich półmrok. We wnętrzu auta rozszedł się zapach siarki wyparty szybko przez aromat dobrego tytoniu. To Raul zapalił cygaro. Luz wyczuła, że jej towarzysz patrzy na nią z dezaprobatą.

- Czyżby nie bawiło cię oglądanie ciemnych stron życia Paryża? - zażartowała.

- Nie - odparł. Wzrok utkwiał w żarzącym się koniuszku cygara.

Luz znów powróciła do obserwowania drogi przed samochodem, na której coraz częściej pojawiały się prostytutki - niektóre same, inne w towarzystwie alfonsów. Stały, paląc papierosy, rozmawiały ze sobą, spacerowały w pojedynkę lub parami, obserwując przy tym baczenie nadjeżdżające samochody. Na ich twarzach malował się ten sam wyraz znudzenia.

- Można tu dostać wszystko, czego się zechce - powiedziała, uśmiechając się ironicznie. - Narkotyki, dwudziestominutowy seks zastępujący miłość. Oczywiście po odpowiednich cenach.

Znaleźli się za wolno jadącym samochodem, którego kierowca wyraźnie próbował dokonać wyboru spośród prezentowanych na sprzedaż seksualnych dóbr. Musieli zwolnić, ale nawet zmniejszona szybkość okazała się zbyt duża, kiedy pojazd przed nimi zatrzymał się raptownie. Kierowca klnąc głośno skręcił kierownicę i mocno nacisnął na hamulec. Z piskiem opon samochód stanął w poprzek drogi. Siła bezwładu rzuciła Luz w objęcia Raula. Instynktownie przycisnął ją do siebie.

Silny uścisk męskich ramion i mocny zapach tytoniu w jego oddechu sprawił, że ogarnęła ją fala podniecenia. Dłonią oparła się o jego pierś. Wyczuła mocne bicie serca. Wystarczyło unieść głowę, by ich usta się spotkały.

Klnąc już nieco łagodniej, kierowca manewrował samochodem, próbując ustawić go we właściwym kierunku.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Raul.

Zamknęła oczy. Chciała powiedzieć, że tak, stało się, ale oczywiście nie zrobiła tego. Przecież nic jej nie dolegało, absolutnie nic.

- Nie.

Odepchnęła się ręką od jego piersi i wróciła na swoje miejsce. Z uniesioną głową, demonstrując nieugiętą dumę, znów wyglądała przez okno.

Prostytutki pojawiały się teraz coraz rzadziej, aż wreszcie zniknęły zupełnie. Kiedy samochód skręcił w prostopadłą ulicę, zobaczyli znowu kobiety stojące wzdłuż drogi, tym razem bardziej eleganckie niż w poprzedniej części parku. Tutaj prawdopodobnie obowiązuje wyższa cena, pomyślała Luz.

Po wyminięciu kilku z nich, wyczuła jednak, że coś tu jest nie w porządku. To wrażenie pogłębiło się, kiedy zobaczyła wysoką szczupłą dziewczynę z długimi czarnymi włosami, sięgającymi jej prawie do pasa, prowadzącą na smyczy dobermana. Tak nie zachowywałaby się żadna prostytutka. Do osoby, której towarzyszy groźnie wyglądający pies, nie zbliżyłby się żaden klient. A z kolei samotna przyzwoita kobieta, nawet z dużym psem, z całą pewnością nie wybrałaby sobie takiego miejsca na wieczorny spacer.

Ciekawość Luz ciągle rosła. Początkowo swe zainteresowanie skoncentrowała na stosunkowo eleganckich strojach. Po chwili zorientowała się, że te modne ubrania odwróciły jej uwagę od innych charakterystycznych cech mijanych osób. Zauważyła, że wszystkie one mają szczupłe biodra i szerokie ramiona.

- To są mężczyźni! - wykrzyknęła zdumiona.

- *Oui, madame* - potwierdził kierowca. - To tak zwani „brazylijczycy”. Ubierają się w damskie stroje i paradują po Lasku Bulońskim. Niektórzy udają prostytutki, a potem okradają klientów. Policja próbuje z nimi walczyć, ale oni wracają jak szczury w paryskich kanałach.

Zdarzało jej się wcześniej spotkać mężczyzn, którzy chętnie wcielali się w kobiece role, ale nigdy nie zetknęła się z transwestytami. Rzadko pojawiali się w tych kręgach, w których się obracała. Zbliżyli się teraz do kolejnej grupki trzech mężczyzn stojących w pobliżu latarni. Zauważyła, że jeden z nich ma szczególnie gustowną sukienkę, ale jedwabny szal obwiązany jak bandaż wokół szyi wskazywał na kompletny brak gustu. Niwelował cały efekt pięknej kreacji.

- Proszę tutaj przystanąć - zwróciła się do kierowcy.

- *Madame...*

- Stop! - zirytował ją fakt, że ten człowiek sprzeciwia się każdemu jej poleceniu.

Kierowca z wahaniem nacisnął na hamulec.

- Co zamierzasz zrobić? - zaniepokoił się Raul, ale Luz nie miała zamiaru udzielać mu wyjaśnień.

Otworzyła drzwi samochodu. Raul chwycił ją za ramię, lecz uwolniła się i wyszła na ulicę.

- Proszę zaczekać - zwróciła się do kierowcy. - To nie potrwa długo.

Kiedy zamykała drzwi auta, dobiegły ją z jego wnętrza przyciszone przekleństwa, tym razem w języku hiszpańskim.

Przeszła na drugą stronę ulicy, kierując się ku ubranym w damskie stroje postaciom. Przyspieszyła, kiedy usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi samochodu i odgłos szybkich kroków. Zdążyła podejść do transwestytów, patrzących na nią ze zdumieniem.

- *Un moment* - powiedziała stanowczo i wskazała na jednego z nich, mającego na głowie blond perukę.
- *L'écharpe*. - Wyciągnęła rękę w stronę szala na jego szyi, zawiązanego według niej nieprawidłowo. - *L'écharpe nest pas chic comme?*

W tym momencie usłyszała, że doganiający ją człowiek zatrzymuje się tuż za nią. Fałszywy blondyn cofnął się o krok i przyglądał się jej z niedowierzaniem spod sztucznych rzęs.

- *S'il vous plait*. - Luz nie ustępowała i jeszcze raz sięgnęła do szala, by pokazać mu, jak powinien być zawiązany.

Tym razem już się nie cofnął. Zręcznie rozluźniła węzeł i swobodnie ułożyła jedwabny szal wokół jego szyi. Jeden koniec szala zarzuciła mu na plecy, a drugi zostawiła z przodu.

- *Voilà*. - Cofnęła się o krok i gestem zaprezentowała swoje dzieło pozostałym mężczyznom.

Z aprobatą skinęli głowami.

- *Merci* - powiedział osobnik będący obiektem jej zabiegów.

- *De rien. Bonsoir, mesdames*. - Natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd i sprostowała. - *Bonsoir, messieurs*.

Gdy się odwróciła, spostrzegła, że tuż za nią stoi Raul. Złapał ją za ramię i poprowadził w stronę samochodu czekającego na nich z pracującym silnikiem.

- Idiotka - mruknął na tyle głośno, że wyraźnie usłyszała, co powiedział.

Kierowca wyskoczył z samochodu, żeby otworzyć jej drzwi. Zerknęła w stronę transwestytów, którzy półgłosem wymieniali między sobą jakieś uwagi. Raul zaczekał, aż Luz znajdzie się we wnętrzu wozu, potem przeszedł na drugą stronę i usiadł na swoim miejscu.

- Jeśli chcą się ubierać jak kobiety, powinni wiedzieć, jak należy to robić - powiedziała swobodnie.

- Do hotelu! - Raul zwrócił się do kierowcy. - Nie będzie już żadnych przystanków.

- *Oui, monsieur* - odpowiedział taksówkarz z wyraźną ulgą.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się złościysz? - Luz rzuciła niecierpliwe spojrzenie na Raula. - Cóż oni mogli mi zrobić? Obrabować? Torebkę zostawiłam w samochodzie, więc najwyżej zabraliby mi biżuterię, ale jest ubezpieczona. Gwałt nie wchodzi w grę. Jestem pewna, że każdy z nich wie, że do zdjęcia rajstop potrzebne są dwie ręce, co raczej uniemożliwia równoczesne przytrzymywanie ofiary. - Nie doczekała się odpowiedzi na swoje wyjaśnienia. Westchnęła ciężko i odchyliła głowę na oparcie fotela. - No, dobrze. Być może, postąpiłam głupio.

Samochód wyjechał wreszcie z parku na którąś z ruchliwych paryskich ulic. Zamknęła oczy. Pragnęła... sama nie wiedziała, czego. Może tego, by jej życie nie było tak pogmatwane, by nie była tak samotna? Przez zamknięte powieki docierało do jej oczu światło ulicznych lamp. Pozwoliła błędzić swoim myślom, nie koncentrując się na niczym, poddając się usypiającemu działaniu cichego warkotu i kołysania samochodu.

Po przyjeździe na miejsce Raul wszedł razem z nią do hotelowego holu. Wziął klucz z recepcji i zaprowadził ją do windy. Nie było to dla niej krępujące. Przeciwnie, jego opiekuńczość wydała jej się miła. Ból, złość i bunt coraz bardziej słabły, stawała się łagodniejsza i odrobinę smutna.

Razem wjechali na górę. Kiedy Raul otworzył drzwi apartamentu. Luz poszła prosto do salonu. Położyła torebkę na krześle, uniosła w górę ręce i zaczęła wyjmować spinki podtrzymujące jej fryzurę.

- Klucz położyłem na stoliku.

Obejrzała się. Raul stał przy drzwiach i ręką wskazywał miejsce gdzie położył klucz.

- Dziękuję.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, zafascynowana widokiem jego szczupłej muskularnej sylwetki i stalowo-niebieskich oczu.

- Skoro nic więcej...

- Zaczekaj! - Odwróciła się tyłem do niego i wyjęte z włosów szpilki położyła na krześle obok torebki. Jej spojrzenie powędrowało ku drzwiom sypialni. Perspektywa samotnego spędzenia nocy nappełniła ją strachem. Pragnęła, by ktoś wziął ją w ramiona, potrzebna jej była czyjaś obecność. Splotła ręce na piersi.

- Chcę się z kimś kochać - powiedziała i wydawało się, że jej słowa odbiły się echem od ścian salonu.

- Czy zawsze otrzymujesz to, czego chcesz? - zapytał szorstko Raul.

Luz odwróciła się ku niemu.

- Pochodzę z rodziny Kincaidów - powiedziała. Miała świadomość, że zawsze dostawała to, czego pragnęła.

- Rozumiem. Oczekujesz, że ludzie będą postępować zgodnie z twoimi życzeniami - rzucił wyzywająco. Była zbyt wyczulona na każdy przejaw sprzeciwu, by nie wyczuć w lodowatym tonie jego głosu wyraźnego odrzucenia propozycji.

- W takim razie proszę wyjść i zostawić mnie samą - powiedziała ze złością i energicznym krokiem podeszła do niewielkiej lodówki, w której przechowywane były miniaturowe buteleczki z alkoholem.

- Może zadzwonić po pokojówkę, żeby się tobą zajęła?

- Dziękuję. - To nie pokojówka była jej potrzebna, tylko on. Zaciśnęła palce na buteleczce dzinu. Znieruchomiała oparta o lodówkę. - Nie potrzebuję ciebie. Nie potrzebuję nikogo. Możesz sobie iść.

Przez moment nie dobiegał do niej żaden dźwięk poza szmerem jej własnego oddechu, potem usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Wstrząsnął nią krótki szloch. Wzrok jej padł na trzymaną w ręku małą butelkę. Odepchnęła ją od siebie wraz z kieliszkiem i naczyniem na lód. Wszystkie te przedmioty runęły z łoskotem na pokrytą dywanem podłogę i potoczyły się w różne strony. Przyklękła przytrzymując się krawędzi lodówki.

- Dobry Boże! Co się tu dzieje?! - do salonu wpadła Emma, zawiązując w biegu pasek bawełnianego szlafroka. Głowę miała owiniętą satynową opaską chroniącą fryzurę w czasie snu. - Co się stało?

- Nic, nic. - Luz wytarła dłonią łzy płynące po policzkach i powoli się podniosła.

Przypadkowo potracony pantoflem Emmy kieliszek potoczył się ku nodze krzesła.

- Skąd to całe zamieszanie? - spojrzała badawczo na Luz.

- Przyczyna jest inna, niż myślisz, chociaż Bóg wie, że dałam ci dość powodów, żebyś sądziła, że jestem wiecznie pijana, ale koniec z tym. To nie pomaga, przeciwnie, pogarsza całą sprawę. Zrozumiałam wszystko i - ręką wskazała na leżące na podłodze przedmioty - właśnie widzisz rezultat tego odkrycia.

Patrzyła, jak Emma zbiera wszystko z podłogi i ustawia na lodówce.

- Gdzie jest Trisha?

- Została z Chandlerami. Ja... ja wyszłam wcześniej. - Czują wewnętrzny ból i było to mocne, głębokie uczucie. - Bardzo trudno przyzwyczaić się do samotności, Emmo. Nie wiem, co zrobię, jeśli Rob i Trisha też przestaną mnie kochać.

- To niemożliwe. Jest pani ich matką. Należy się pani teraz dobry nocny odpoczynek. Rano wszystko będzie wydawało się prostsze.

Luz pomyślała o Audrze. Czy istotnie kocha matkę? Może jest to tylko obowiązek narzucony przez rodzinne więzi. Czy naprawdę są sobie bliskie? Rob i Trisha stanowią dla niej wszystko. Nie dopuszczała do siebie myśli o tym, by mogła ich kiedyś utracić. Dzieci zobowiązane są troszczyć się o nią, tak samo jak ona troszczy się o nie. Nie chciała, żeby żywiły do niej niechęć podobną do tej, jaką ona odczuwa w stosunku do matki. Cóż za straszliwa ironia...

- Czy położy się już pani do łóżka? - Emma zatrzymała się w połowie drogi do drzwi swego pokoju.

- Tak.

Będzie spać sama, tak jak zawsze.

Budząc się, Luz odwróciła się powoli na plecy i przez parę sekund leżała bez ruchu. Czekwała na pojawienie się pulsującego ucisku w skroniach, ale nic takiego nie nastąpiło. Jej zmysły przytępione były jedynie głębokim snem, a nie wypitym w nadmiarze alkoholem. Przeciągnęła się, wyprostowała nogi pod kołdrą. Po chwili odprężenia zdecydowała się otworzyć oczy. Przez moment leżała jeszcze nieruchomo, a potem przesunęła nogi na krawędź łóżka i sięgnęła po jedwabny szlafrok przewieszony przez oparcie krzesła.

Słońce próbowało przedrzeć się do wnętrza sypialni poprzez grube fałdy zasłon. Zarzuciła szlafrok. Gładki materiał przyjemnie chłodził jej ciało. Pod bosymi stopami czuła puszysty dywan. Podeszła do okna i rozsunęła kotary, pozwalając promieniom słońca wypełnić tonący dotąd w półmroku pokój.

Z dołu, z Place de la Concorde, dobiegał przytłumiony hałas żywego o tej porze ruchu ulicznego. Patrzyła na ośmiokątny plac, niegdyś otoczony kanałem połączonym z Sekwaną. To na nim w czasie Rewolucji ścięto Ludwika XVI. Później gilotyna stanęła w pobliżu bramy pałacu Tuileries, gdzie sprawowała swoje trzyletnie krwawe rządy, pozbawiając głów ponad tysiąc trzysta ofiar.

Podziwiając klasyczne proporcje placu, jego doskonałą symetrię, trudno było wyobrazić sobie grozę, z jakiej słynęło to miejsce. Zbudowany jako Plac Ludwika XV dla uwiecznienia jego chwały, został potem trafnie przemianowany na Plac Zgody, na znak zgody pomiędzy ludźmi. W jego centrum, gdzie wcześniej stał pomnik Ludwika XV, wzniesiony został sprowadzony z Egiptu obelisk.

Ktoś zastukał do drzwi łączących sypialnię z sąsiednim pokojem apartamentu.

- Czy można wejść?

- Bardzo proszę - Luz uśmiechnęła się, słysząc głos córki.

Odwróciła się w stronę drzwi i ujrzała ubraną w szlafrok Triszę, popychającą przed sobą nakryty białym lnianym obrusem stolik na kółkach, na którym stał komplet do kawy, szklanka soku i koszyczek z croissantami, a ponadto mały wazonik ze świeżymi kwiatami.

- Usłyszałam, że już wstałaś, i pomyślałam, że pewno chętnie napiłabyś się kawy.

- I miałaś rację. - Luz podeszła do stolika i ze srebrnego dzbanka nalała do filiżanki parującej kawy. Czekając, aż wystygnie, popijała sok pomarańczowy.

- Jak się czujesz? - zapytała Trisha, sięgając do koszyczka ze świeżutkimi rogalikami.

- Nie mam kaca, jeśli o to ci chodzi - odpowiedziała oschle, odrzucając ręką opadające na twarz, nie uczesane jeszcze włosy.

Trisha usiadła na łóżku; założyła nogę na nogę i ostrożnie odgryzła rożek croissanta. Luz wzięła filiżankę z kawą i spodeczek, po czym zajęła miejsce na pokrytym adamaszkiem fotelu.

- Co stało się z Raul'em wczoraj wieczorem? Wyszedł z tobą i już nie wrócił.

Luz znieruchomiała, patrząc na trzymaną w ręku filiżankę. Kolor kawy przypominał jej odcień włosów Raula.

- Odprowadził mnie do hotelu i nie wiem, dokąd potem poszedł.

- Nie pokazał się już w restauracji. Czekaliśmy prawie godzinę, a potem zdecydowaliśmy się wyjść - strząsnęła okruchy, które spadły jej na kolana. - Wydaje mi się, że wieczorem w restauracji jakoś udało wam się nawiązać kontakt. Czy polubiłaś go w końcu?

Luz spojrzała uważnie na córkę, zastanawiając się, czy spostrzegła, że rywalizowały wczoraj o względy Raula. W jej pytaniu nie kryła się chyba żadna aluzja.

- Nigdy nie mówiłam, że go nie lubię - odparła i wypila łyk gorącej kawy. Miała nadzieję, że córka nie domyśla się, że jest o nią zazdrosna.

- No, tak. Tym razem chyba zauważyłaś, jak bardzo jest męski - stwierdziła Trisha z uśmiechem.

Nawet w tej żartobliwej uwadze można było dostrzec uczuciowe zaangażowanie dziewczyny.

- Istotnie, ale nadal uważam, że nie jest to człowiek odpowiedni dla ciebie. Jako matka mam obowiązek cię ostrzec. Nie chcę być świadkiem, jak szalejesz z jego powodu. To może się skończyć dla ciebie zbyt przykro. Wiem coś o tym.

Zapadła cisza. Luz domyśliła się, że Trisha rozważa to, co usłyszała. Nie przeszkadzała jej. Milcząc, powoli popijała kawę.

- Czy miałaś na myśli swoje przeżycia z Drew'em? - zapytała spokojnie Trisha. - Myślę, że ciągle za nim tęsknisz.

Luz zastanowiła się nad swoimi obecnymi uczuciami do byłego męża. Gorycz i ból rozvodu były wciąż bardzo świeże.

- Nie jestem pewna. Najbardziej żał mi czasów, kiedy wiedziałam, co przyniesie jutrzejszy dzień, co będę robić, co się zdarzy i czego mam się spodziewać. Teraz nie wiem, co mnie czeka. Niekiedy jest to przykre.

- Gdyby okazało się, że jego życie z Claudią nie ułożyło się dobrze, czy zechciałabyś związać się z nim ponownie?

Luz westchnęła ciężko.

- To trudne pytanie. - Niełatwo było jej znaleźć prostą odpowiedź. Dwa miesiące temu nie miałyby większych wątpliwości, ale teraz sprawy przedstawiały się już inaczej. - Wchodzi tutaj w grę moja duma i zranione uczucia, a poza tym, oni są już po ślubie.

- Wiem, że ojciec cię kocha i zawsze będzie cię kochał. Powiedział mi o tym. A czy ty kochasz go jeszcze?

Dobrze rozumiała marzenia, które ciągle żywiła Trisha, jednak nie wierzyła, by kiedykolwiek mogły się ziścić. Tak wiele zostało zniszczone. Nie była pewna, co pozostało z jej uczuć do Drewa.

- Zawsze myślałaś trzeźwo, córeczko. Chyba nie sądzisz, że gdyby zaszło coś pomiędzy nim i Claudią, moglibyśmy łatwo o wszystkim zapomnieć i wrócić do punktu wyjścia.

- Nie, nie sądzę. - Trisha bezwiednie odłamała kawałek rogalika.

Patrząc na nią, Luz pomyślała, że nie wypełniła dobrze swych obowiązków w stosunku do córki, że nie była taką matką, jaką powinna być. Postępowała podobnie jak Audra. A wczorajszy wieczór? Potraktowała córkę jak rywalke.

- Widzisz... nieraz spierałyśmy się - zaczęła z wahaniem. - Nie zawsze potrafiłam cię zrozumieć, ale ja cię naprawdę kocham. Wiesz o tym, prawda?

- Tak. - W odruchu zniecierpliwienia Trisha wstała. Podeszła do stolika i strzepnęła na obrus pozostałe w jej rękach okruchy. - Pozwól mi wreszcie stać się osobą dorosłą. Czasami, za twoją aprobatą, samodzielnie podejmowałam decyzje, ale chciałabym też móc popełniać błędy na własny rachunek.

- Jak w przypadku Raula - ostrym tonem zauważyła Luz.

- Jeśli to jest błąd, to tak - potwierdziła Trisha. Potem zdecydowała się przerwać spór. - Już minęła dziewiąta. Lada chwila może pojawić się Rob. Pójdę się ubrać.

- Dziękuję ci za poranną kawę.

- To drobiazg.

Rozmowa nie zakończyła się tak, jak by Luz sobie życzyła. Odstawiła filiżankę, zastanawiając się, dlaczego nigdy nie potrafi porozumieć się z córką. Umiała rozmawiać z Robem, natomiast po każdej dyskusji z Trishą miała wrażenie, że nie udało jej się jasno przedstawić swego stanowiska.

Po wyjściu z pokoju matki Trisha zatrzymała się w salonie i zamyśliła. Niezależnie od tego, co usłyszała, wierzyła, że obiekcje Luz dotyczące jej ewentualnego związku z Rauliem wynikają wyłącznie z powodu dzielącej ich różnicy wieku. Przypuszczała jednak, że na tej opinii ciąży smak goryczy, jaki matka odczuwa na myśl o małżeństwie Drewa ze znacznie młodszą kobietą. Cała ta wypowiedź o prawach matki rodziła się zapewne z niechęci, jaką budzi w Luz każdy związek młodej kobiety z dużo starszym mężczyzną. W pewnym sensie współczuła jej, ale nie miało to najmniejszego wpływu na chęć zdobycia Raula.

Usłyszała zgrzytnięcie zamka w drzwiach apartamentu i do salonu wszedł Rob w towarzystwie portiera niosącego bagaże. Kiedy podeszedł do niej, zauważyła w jego wzroku wyraz irytacji.

- Który pokój jest mój? - zapytał zniecierpliwiony.

- Ten - wskazała ręką drzwi. - A może przywitałbyś się ze mną, drogi braciszku?

- Przepraszam. Jak się masz. - Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do portiera: - Proszę zostawić bagaże obok tych drzwi.

Przygładził ręką włosy, a potem, gestem wyrażającym znużenie, podrapał się po karku.

- Ciężką miałaś noc? - zapytała Trisha.

Uniósł lekko głowę i znieruchomiał. Na jego twarzy pojawił się zacięty wyraz. Potem uśmiechnął się kwaśno.

- Można by tak powiedzieć.

- Więc nic nie mów. Pozwól, że sama zgadnę. Miałaś pożegnalne spotkanie z lady Cyn i zakosztowałaś w nadmiarze jej grzesznych delicji.

- Co przez to rozumiesz? - spojrzał na nią zdziwiony.

- No, przyznaj się, Rob - zażartowała. - Spędziłeś z nią noc, prawda?

- Tak. No i co z tego? - zapytał wyzywająco.

- Jeśli chociaż połowa tego, co o niej słyszałam, jest prawdą, to nie przypuszczam, żebyście tylko siedzieli obok siebie i trzymali się za rączki. Założę się, że nauczyłeś się od niej paru nowych rzeczy - zakpiła.

- Tak, to prawda - przyznał z nieco tajemniczą miną.

- Czy ona jest naprawdę taka rozpustna, jak mówią?

Rob z wahaniem spojrzał na siostrę.

- Na pewno nie chłosta nikogo batem ani nie każe zakuwać się w łańcuchy, jeśli to masz na myśli. Nie zauważyłem w jej zachowaniu niczego szczególnie rozpustnego.

- Rob, czy ty jesteś poważnie zainteresowany tą dziewczyną?

- A czemuż by nie? - zapytał kpiąco. - Nauczyła mnie, jak można się dobrze bawić, i pokazała mi parę nowych sposobów poprawiania sobie nastroju. To wystarczy - stwierdził, zamykając tym samym dyskusję. - Gdzie jest Luz? Czy już wstała?

- Tak. Je śniadanie w swoim pokoju. - Trisha wskazała bratu drzwi sypialni matki.

- Pójdę się z nią przywitać.

Zaczekała, aż Rob wyjdzie, a potem poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Wody Sekwany odbijały barwy budynków i drzew stojących na brzegu. Od czasu do czasu krętym nurtem rzeki przepływały statki wycieczkowe - *bateaux mouches*. Luz w towarzystwie Trishy wolno szła kamiennym nabrzeżem; Rob wyprzedził je nieco. Była pewna, że po zjedzeniu smacznego i obfitego lunchu w przybrzeżnej restauracji powolny spacer w kierunku hotelu świetnie im zrobi.

Wzrok jej powędrował ku ogromnym kamiennym blokom wynurzającym się z wody. Na nich opierał się gruby mur, umacniający nabrzeże. Rosnące na brzegu drzewa i krzewy pomniejszały imponujące wymiary muru i stwarzały wrażenie, jak gdyby rzeka przepływała przez park. Miejscami gałęzie drzew oplatały potężne głązy, otulając je zielonym płaszczem. Ciężkie żelazne łańcuchy zwisały tu i ówdzie z muru. Była to pozostałość po czasach, kiedy Sekwana pełniła rolę arterii komunikacyjnej.

- Która godzina? - Rob zatrzymał się i zaczął na panie. Wydawał się zniecierpliwiony.

- Dochodzi druga - odparła Luz, spoglądając na zegarek.

- Nie uważacie, że powinniśmy się pospieszyć? - zapytał, kiedy pokonali schody prowadzące na poziom ulicy, biegnącej około dziesięciu metrów powyżej nabrzeża.

- Mamy mnóstwo czasu - zapewniła go Luz, idąc nadal spacerowym krokiem. - Raul nie przyjdzie przed trzecią, nie ma więc powodu do pośpiechu. Od hotelu dzieli nas piętnaście, dwadzieścia minut drogi.

- Czy znalazłaś czas, by przejrzeć te materiały, które ci przysłał? Zdążyłem tylko rzucić na nie okiem, zanim wyciągnęłyście mnie na lunch.

- Tak, przeczytałam wszystko.

Na poziomie ulicy kamienny mur obsadzony był gęsto drzewami, w których cieniu rozłożyli swoje stragany bukiniści.

- Co ty o tym sądzisz? - dopytywał się Rob.

- Wydaje mi się to interesujące.

Wolałaby odłożyć rozmowę na później. W końcu wiedziała, czego chce, i w momencie podejmowania decyzji nie będzie kierować się żadnymi osobistymi uprzedzeniami.

Trisha zatrzymała się przy jednym ze straganów i oglądała rozłożone na nich książki i czasopisma.

- Spójrz - zwróciła się do Luz, podając jej komiks trzymany w ręku. - *Królik Bugs* w wersji francuskiej.

Po zwróceniu książeczki sprzedawcy i zapewnieniu go, że nie zamierza jej nabyć, Trisha podeszła do następnego stoiska.

- Czy macie zamiar zatrzymywać się przy każdym straganie? - zaprotestował Rob.

- A dlaczego by nie? Wszystkie są interesujące i malownicze.

- Jesteście już w Paryżu od tygodnia, to miałyście chyba dość czasu, żeby przejrzeć te rupiecie. Dlaczego akurat dzisiaj? W ogóle nie wiem, po co wychodziliśmy do miasta - narzekał. - Lunch mogliśmy zjeść w hotelu. Nie wydaje mi się, żeby ta restauracja była taka dobra. Menu wydrukowali tylko w języku francuskim, nawet nie mogłem go przeczytać.

- To była francuska restauracja. Jesteśmy w Paryżu - przypomniała mu Luz.

- I to mówi mój braciszek, globtroter - zakpiła Trisha.

- Nic mnie to nie obchodzi - mruknął, chowając ręce do kieszeni. - I ciągle nie wiem, po co wychodziliśmy z hotelu.

- Rob! Przyjechałeś o dziesiątej rano. Umówieni jesteśmy z Raulem na trzecią po południu. Nie wymagaj od nas, żebyśmy spędziły pięć godzin kręcąc się po hotelu - zirytowała się Luz.

- Popeliłaś błąd, nie proponując mu spaceru na stadion polo w Lasku Bulońskim. Na pewno by nie protestował - powiedziała Trisha.

- Gdybyśmy zostali w hotelu, mógłbym przejrzeć materiały, które dostałaś. Być może dla ciebie to drobiazg, ale dla mnie ma to duże znaczenie. Nie obchodzi mnie, co zamierzacie robić. Ja wracam. - Ruszył nie czekając na odpowiedź.

- Ależ on niekiedy bywa drażliwy. - Trisha patrzyła za odchodzącym bratem, zirytowana jego dziecinny zachowaniem.

- Te sprawy są dla niego niesłychanie ważne. - Luz stanęła w obronie syna. - Rob bardzo chce się sprawdzić.

- Nie tylko on - mruknęła Trisha.

Zaskoczona komentarzem córki, spojrzała na nią zdziwiona. Nigdy nie przypuszczała, że ona też chce się sprawdzić w jakiejś dziedzinie.

Dokładnie o trzeciej zadzwęczał dzwonek u wejścia do apartamentu.

- Ja otworzę. - Trisha zerwała się i podbiegła do drzwi prowadzących na hotelowy korytarz.

Luz nie podniosła się z rzeźbionego fotela, na którym siedziała z nogą założoną na nogę i z rękami opartymi o kolana.

- Jak się miewasz - Trisha ciepło przywitała Raula.

Luz przyglądała mu się uważnie. Wysoki i szczupły, poruszał się z gracją i swobodą. Delikatne, chociaż gęste włosy były gładko uczesane na kształtnej głowie. Ich ciemny kolor podkreślała jeszcze czerń brwi i rzęs kontrastująca z błękitem oczu. Surowe męskie rysy jego opalonej twarzy harmonizowały ze spokojem, z jakim odpowiedział na powitanie Trishy.

W chwilę później Luz wyczuła na sobie jego spojrzenie i w tym momencie pożałowała, że nie znalazła czasu, by ułożyć włosy w modnym francuskim stylu, tylko zaczesła je do tyłu i ściągnęła przepaskę. Byłaby spokojniejsza, gdyby wiedziała, że ładnie wygląda. Z przyspieszonego bicia serca wywnioskowała, że jest jej to potrzebne.

W tym momencie pomiędzy nimi stanął Rob.

- Dzień dobry, Raul. Cieszę się, że cię widzę - wyciągnął rękę, a potem szybko ją cofnął. - Zapomniałem o twojej kontuzji nadgarstka. Trisha mówiła mi o tym. Bardzo ci dokucza?

- Coraz mniej. - Raul poruszył palcami prawej ręki. Spod rękawa marynarki wystawał biały bandaż.

Po zamknięciu drzwi Trisha stanęła obok gościa.

- Co się z tobą działo wczoraj wieczorem? Czekaliśmy długo w restauracji, ale nie wróciłeś.

Czysto kobiece zainteresowanie widoczne w zachowaniu Trishy przypomniało Luz o jej wcześniejszym postanowieniu. Nie będzie rywalizować ze swoją córką o względy Argentyńczyka. Nie wolno jej narazić ich wzajemnych więzów z powodu czysto fizycznego pociągu. Żaden mężczyzna nie stanie pomiędzy nimi. Luz zamierzała zrobić wszystko, by osłabić zainteresowanie Trishy Rauliem, ale nie z powodu zazdrości i chęci zagarnięcia go dla siebie. Bądź co bądź, była szczerze przekonana, że dzieląca ich różnica wieku i doświadczenia jest zbyt duża. Czuła się zobowiązana chronić córkę przed zranieniem.

Usłyszała zabarwiony lekko obcym akcentem głos Raula, odpowiadającego na pytanie Trishy.

- Po odprowadzeniu twojej matki nie widziałem powodu, by wracać do restauracji. Pojechałem do swojego hotelu. Proszę wybaczyć, jeśli sprawiłem wam niezamierzony kłopot.

- Tak, sprawiłeś - stwierdziła impertynencko.

- Wobec tego bardzo przepraszam - odparł i odwrócił się w stronę Luz.

- Proszę usiąść - zwróciła się do niego, wskazując kanapę w stylu Ludwika XV, stojącą w pobliżu jej fotela. - Nie jestem pewna, czy wystarczająco gorąco podziękowałam ci za odprowadzenie mnie wczoraj wieczorem do hotelu.

- To głupstwo.

Podszedł do stylowej kanapy i usiadł. Po jego prawej stronie zajęła miejsce Trisha.

Luz zadowolona była, że tak łatwo udało jej się zakończyć całą sprawę.

- Może napijesz się kawy? Emmo, czy mogłabyś nam nalać? - spojrzała na siwowłosą kobietę stojącą w głębi pokoju.

- Bardzo proszę - odparła Emma i podeszła do inkrustowanego sekretarzyka, na którym stała taca z przygotowanymi wcześniej filiżankami i srebrnym dzbankiem napełnionym kawą. - Czy życzy pan sobie kawę z cukrem i śmietanką?

- Dziękuję, ani z tym, ani z tym.

- Dla mnie proszę nie nalewać - powiedział Rob i przysunął bliżej krzesło, nie mogąc doczekać się początku prawdziwej rozmowy.

Na marmurowym blacie stolika stojącego obok kanapy Emma postawiła dwie filiżanki dla Raula i Trishy, a potem wróciła po trzecią.

- Czego jeszcze chcielibyście dowiedzieć się o mojej szkole? - Raul sięgnął po kawę.
- Jestem pewna, że Rob po przejrzeniu prospektu ma jakieś pytania. - Luz wzięła z rąk Emmy filiżankę.
- Dziękuję.
- Proszę, pytaj. - Raul zwrócił się do Roba.

Kiedy zaczęli rozmawiać. Luz wypila łyk kawy. Zbyt gorący napój sparzył ją. Odstawiła filiżankę i, aby uniknąć wzroku Raula, bezmyślnie wpatrywała się w swoje pantofle. Słuchała nieuważnie. Na temat gry w polo Rob mógł rozmawiać godzinami. Wyczuwała w jego głosie podniecenie, pragnienie poznania każdego szczegółu i chęć dowiedzenia się wszystkiego. Spojrzała na niego.

Jasne kręcone włosy, nieco tylko ciemniejsze niż jej, opadały mu na ramiona. Chociaż golił się już codziennie, jego policzki ciągle miały chłopięcą gładkość. Pomimo wyraźnego ożywienia Rob miał wciąż poważny wyraz twarzy, a oczy - czarne węgielki - żarzyły się niepojętym, wewnętrznym ogniem. Znała ten wyraz jego twarzy. Oznaczał, że Rob pragnie czegoś desperacko, aż do bólu. Znała, lecz nie potrafiła go zrozumieć.

W rozmowie nastąpiła krótka przerwa. Luz chciała wypić następny łyk kawy, ale stwierdziła, że w międzyczasie opróżniła całą filiżankę. Emma wycofała się do swojego pokoju, podniosła się więc i, korzystając z chwilowej ciszy, zaproponowała:

- Może ktoś chciałby jeszcze kawy.
 - Nie, dziękuję - odpowiedział Raul.
- Trisha również potrząsnęła przecząco głową.
- No i co o tym myślisz. Luz? - zapytał Rob.
 - O czym? - słuchała nieuważnie, więc nie wiedziała, o co pyta syn.
 - Oczywiście o szkole. Wydaje się być idealna dla mnie. Właśnie taki sposób zdobywania doświadczenia jest mi potrzebny.

Wstał i podszedł do matki, jak gdyby chciał przez samo zbliżenie się do niej upewnić ją o prawdziwości swoich odczuć.

Natarczywość prośby, którą odczytała w jego wzroku wywołała w niej pewne wątpliwości.

- Czy jesteś przekonany, że właśnie tam chcesz trenować? - zapytała.
- Na pewno. Tak czy inaczej wybieramy się do Argentyny, żeby nabyć konie, dlaczego więc nie mielibyśmy połączyć tych dwóch spraw? Nie rozumiem, czemu miałbym jechać gdzie indziej. Ta szkoła należy przecież do najlepszych - argumentował.
- Czy nie uważasz, że lepiej byłoby poczekać z podjęciem decyzji do chwili, gdy znajdziemy się w Argentynie i będziesz miał okazję zobaczyć tę szkołę? - zaproponowała, napełniając sobie filiżankę.
- Ale dlaczego? Jeśli po przyjeździe na miejsce okaże się, że coś mi nie odpowiada, zawsze mogę zrezygnować. To nie jest tak, że będę musiał wytrwać do końca kursu, chociaż stwierdzę, że program nie spełnia moich oczekiwań. Oczywiście, nie sądzę, żeby tak było.
- Wiem. - Luz ponownie usiadła i wypila łyk kawy. - Wygląda na to, że Rob podjął już decyzję. Jak pewnie już ci mówił, tę szkołę rekomendowano nam jako jedną z najlepszych, a właśnie o to chodzi mojemu synowi.

Spojrzała otwarcie w twarz Raula i napotkała jego wzrok. Ich porozumienie nie dotyczyło niczego innego poza grą w polo. Miała nadzieję, że dała mu to do zrozumienia dostatecznie wyraźnie.

- Przypuszczam, że nie będzie żałował tej decyzji - stwierdził.

- Wybiorę się tam razem z nim - dodała Luz. Zbyt wiele było tu niewiadomych, by pozwolić synowi na samotny wyjazd. - Nie wiem, jak długo zatrzymam się w Argentynie. Decyzję podejmę na miejscu.

- Ja też jadę - oznajmiła Trisha.

- Oczywiście zapraszam serdecznie, ale muszę uprzedzić, że warunki mieszkaniowe mogą się wam wydać spartańskie. Mamy co prawda basen i korty tenisowe, ale wszelkie udogodnienia dotyczą na ogół szkoły. Służba dba o zaspokojenie tylko podstawowych potrzeb. Estancja to nie kurort.

- Rozumiem. Jestem przekonana, że potrafię przez jakiś czas pogodzić się z brakiem wygód - zapewniła Luz z lekkim niepokojem w głosie. - W końcu nie oczekuję jakichś szczególnych rozrywek.

- Jaka tam jest pogoda w sierpniu? - zapytała Trisha.

- Klimat jest mniej więcej taki sam jak na północy Florydy. Dnie są upalne, ale noce mogą być chłodne.

- Odpowiedź zabrzmiała, jakby była rzucona na odczepnego. Raul skupiał całą uwagę na Luz.

- Z prospektu dowiedziałam się, że twoja posiadłość położona jest na południowy zachód od Buenos Aires - powiedziała.

- Tak, mniej więcej o trzy godziny jazdy samochodem. Radziłbym wam po przyjeździe do Argentyny pierwszą noc spędzić w hotelu w Buenos Aires. Będziecie zmęczeni po długim przelocie ze Stanów.

Teraz, kiedy decyzja została podjęta, należało omówić wiele szczegółów. Tym razem Luz aktywnie uczestniczyła w rozmowie, ale stwierdziła, że trudno jej dyskutować z Raulem i równocześnie nie myśleć wciąż o tym, że jest kobietą.

Później, gdy zobaczyła Trishę odprowadzającą go do drzwi, pomyślała, że ta wycieczka do Argentyny może okazać się bardzo trudna. Zdecydowała się na nią, ponieważ taką decyzję podjął Rob. Chciał tego bardziej niż cegokolwiek innego. Może nie należało poświęcać swego życia dla dzieci, ale przecież były one wszystkim, co posiadała. No i potrzebowała ich.

16

Jasne poranne słońce jeszcze niezbyt wysoko wspięło się po błękitnym nieboskłonie Florydy, ale na położonym w sąsiedztwie stajni niczym nie osłoniętym polu do ćwiczeń można już było odczuć ciepło jego promieni. Galopując na łaciatym koniu za toczącą się piłką, Luz czuła na wargach słony smak potu. Skierowała kuca tak, by łatwo móc wykonać boczne uderzenie z forhendu.

Uniosła się w strzemionach, przenosząc na nie cały swój ciężar, a kolanami ścisnęła boki konia, by utrzymać właściwą pozycję na jego grzbiecie. Z podniesioną w górę ręką, w której trzymała kij, pochyliła się nieco w prawo, skręcając równocześnie ciało w tym samym kierunku.

Ze wzrokiem utkwionym w piłkę wyczekiwała momentu, kiedy znajdzie się ona o kilka stóp przed nią, i natychmiast wykonała szybki ruch kijem. Uderzenie, któremu towarzyszył silny wstrząs, nastąpiło dokładnie wtedy, kiedy jej ramię i kij skierowane były w dół, prostopadle do ziemi. Ręka bezwiednie kontynuowała kolisty ruch, podczas gdy piłka szybowiała ku skrajowi pola. Stał tam Jimmy Ray Turnbull w towarzystwie drugiego mężczyzny. Luz natychmiast rozpoznała jego krępa sylwetkę i kształtną głowę o srebrnoszarych włosach. Mocniej zabiło jej serce. Odruchowo ściągnęła wodze, ulegając pierwszemu impulsowi, by zawrócić i uciec. Uniknęłyby wówczas spotkania z Drewem. Jednak szybko zapanowała

nad sobą. Zmusiła wierzchowca do utrzymania poprzedniego kierunku. Odbierający sprzeczne sygnały koń zaczął zachowywać się nerwowo.

Ostatni raz widziała męża, i to bardzo krótko, ponad dwa miesiące temu, w czasie uroczystości zakończenia roku szkolnego. Był wówczas w towarzystwie Claudii. Czego on chce ode mnie po tak długim czasie? Przecież nie przyjechał tylko po to, żeby się przywitać, pomyślała. Wróciliśmy z Europy już przed trzema tygodniami. Po co więc pojawił się tutaj? O co mu chodzi? Napięcie nerwowe odżyło, świeże rany znów zaczęły krwawić.

Próbując uciec od bolesnych wspomnień, zdjęła z głowy kask i poprawiła fryzurę. Grzbietem dłoni wytarła pot z górnej wargi i nagle uświadomiła sobie, że zapewne wygląda okropnie; bez makijażu, ze zmierzwionymi włosami i strugami potu spływającego po twarzy. Nie powinien widzieć mnie w takim stanie, pomyślała, zwłaszcza po tak długiej przerwie.

Do diabła z nim, zakłęła w myślach. Czemu nie zadzwonił? Czy ciągle wydaje mu się, że to jego dom i może przychodzić, kiedy zechce? Ze złością podjechała do linii ograniczającej pole ćwiczeń i zatrzymała się przed stajennym, nie zwracając uwagi na Drewa.

- Jak się masz, Luz - przywitał się takim tonem, jak gdyby ostatni raz widzieli się przed paroma dniami, a nie dwa miesiące temu. - Nieźle sobie radziłaś z piłką.

Zsiadła z konia i podała stajennemu kij i kask.

- Zanieś to do magazynu - poleciła, a potem odwróciła się w stronę domu, równocześnie zdejmując z prawej dłoni rękawiczkę, którą zawsze nosiła w czasie ćwiczeń, aby nie dopuścić do powstania pęcherzy.

- Jeśli przyszedłeś, żeby zobaczyć się z Robem i Trishą, to nie ma ich tutaj - poinformowała Drewa, rzucając mu przelotne spojrzenie.

- Chciałbym porozmawiać z tobą.

Serce Luz zabiło mocniej. W myślach przebiegła wszystkie możliwe powody, dla których Drew mógłby życzyć sobie rozmowy z nią. Umowa o podziale majątku i wszelkie kwestie związane z rozwodem zostały już dawno załatwione. Zresztą do tego wystarczyłoby skontaktować się z jej adwokatem.

A więc sprawa jest osobista. Luz usiłowała nie dopuścić do siebie myśli, że być może pojawiły się jakieś problemy pomiędzy nim a Claudią. Już sam fakt, że przysłała jej do głowy taka możliwość, zaniepokoił ją, oznaczał bowiem, że ciągle jeszcze nie może pozbyć się złudzeń. Kiedy Trisha zapytała ją, czy potrafiłaby podjąć wspólne życie z Drewem, szansa na to wydała jej się znikoma. Co jednak powinnam zrobić, gdyby on naprawdę zechciał do mnie wrócić? Co będzie, jeśli...

- Wobec tego chodźmy do domu - powiedziała, unikając ciągle jego wzroku.

Wydało jej się dziwne, że szli teraz razem, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło. Jak łatwo byłoby powrócić do dawnych zwyczajów, pomyślała. Uniosła rękę i odpięła szeroką spinkę, utrzymującą związane w węzeł włosy. Pozwoliła opaść im swobodnie, chociaż wiedziała, że nie poprawia to jej wyglądu.

- Powinieneś wcześniej zadzwonić.

- Telefonowałem. Emma powiedziała mi, gdzie jesteś, więc przyszedłem tutaj.

Tylko w ten sposób mogła wyrazić niezadowolenie z tego, że pokazuje mu się w takim stanie. Oczywiście, kiedy byli małżeństwem, widywał ją nieraz wyglądającą jeszcze gorzej. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie.

Do chwili powrotu z Europy Luz nie zdawała sobie sprawy, jak wiele znaczyła dla niej ta ucieczka od codzienności. Teraz znów w kręgu bliskich znajomych była „biedną Luz”, porzuconą przez męża dla młodej kobiety. Zapewne z tego powodu świadomość, że były mąż widzi ją w oplakany stanie, zanedbaną, bez makijażu, spoconą i rozczochraną, sprawiała jej szczególną przykrość.

Weszli do domu przez drzwi prowadzące z tarasu do salonu.

- Przepraszam cię, ale muszę się nieco odświeżyć - rzuciła przez ramię, nie zatrzymując się. - Emma zaraz poda ci kawę.

- Dziękuję, zajmij się sobą.

Uważa widocznie, że jest mi to potrzebne, pomyślała ze złością, biegnąc po schodach prowadzących do apartamentu. Weszła do sypialni, zrzuciła szybko bluzkę i stanik, potem usiadła na łóżku, by zdjąć buty do konnej jazdy, bryczesy i majteczki. Pobiegła pod prysznic.

W ciągu piętnastu minut umyła się, zrobiła makijaż, a wilgotne jeszcze włosy związała w węzeł.

Wyjęła z szafy białą koszulową sukienkę z drogimi rękawami i włożyła ją przez głowę. Nogi wsunęła w skórzane sandały. Schodząc na dół, zawiązała pasek sukienki. Czuła się teraz znacznie pewniej.

Drew nalewał sobie właśnie drugą filiżankę kawy.

- Masz ochotę na kawę? - zapytał.

- Nie, dziękuję. Po takiej gimnastyce na polu treningowym wolę coś chłodniejszego. - Podeszła do barku, zdjęła z półki szklankę i wrzuciła do niej kilka kostek lodu.

- Czy to nie za wcześnie na drinka? - zapytał Drew, patrząc na nią krytycznie. Nie widział butelki z wodą mineralną, dopóki nie postawiła jej na kontuarze, rzucając mu przy tym przekorne spojrzenie.

- Zupełnie jakbym słyszała Audrę.

Otworzyła butelkę, nalała wody do szklanki i wrzuciła do niej plasterki cytryny z miseczki stojącej w lodówce.

- Słyszałem, że przez pewien czas nadużywałaś alkoholu. Cieszę się, że to już minęło - powiedział.

Luz z goryczą pomyślała, że to pewnie Trisha była dla niego źródłem tych informacji.

- Nie powiesz chyba, że przyszedłeś, żeby rozmawiać o moich domniemanych problemach z alkoholem. „Domniemany” to prawniczy termin, czyż nie tak? Wydaje mi się, że pomimo wszystko przejęłam coś z twego zawodowego żargonu. - Wiedziała, że jej słowa zaprawione są goryczą, i że nie tak powinna zacząć tę rozmowę. Nie należało ujawniać swych uczuć. - Dajmy temu spokój. Co u ciebie słychać, Drew? Wyglądasz nieźle.

Musiała przyznać, że prezentował się doskonale. Elegancki, opalony, przystojny jak zawsze, był dokładnie taki, jakim go pamiętała. No, może niezupełnie. Dostrzegala w nim teraz coś młodzieńczego. Pozbył się wyrazu zatroskania. A może tylko tak jej się zdawało?

Był jednak czymś zaaferowany. Po przeżytych razem dwudziestu latach potrafiła odgadnąć jego nastrój. To wrażenie osłabło, kiedy zwrócił się do niej z uśmiechem.

- U mnie wszystko dobrze, a jak Europa?

- Wspaniała jak zawsze - odparła. - Co u ciebie w firmie? Ciagle jesteś tak bardzo zajęty?

- Tak. - Wypił łyk kawy. - A ty?

- Ja również - powiedziała, co nie było w pełni prawdą.

- Słyszałem, że spotykasz się z Fredem de Silva.

Dezaprobatą w jego głosie zwróciła uwagę Luz. Nie przypuszczała, że mógłby być o nią zazdrosny.

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni byłam z nim dwa razy na kolacji. To za mało, żeby mówić, że się z nim spotykam - odparła.

W istocie, nie znała Freda de Silvy zbyt dobrze, chociaż widywała go wcześniej w towarzystwie. Ten przystojny mężczyzna, dobrze po czterdziestce, cieszył się reputacją jeśli nie playboya, to przynajmniej kobieciarza. Kiedy w czasie przypadkowego spotkania w klubie polo zaprosił ją na kolację, ucieszyła się, że jakoś inaczej niż zwykle spędzi wieczór. Z całą pewnością Trisha i Rob nie byli w stanie zapewnić jej takiego towarzystwa, jakiego potrzebowała.

Kolacje z Fredem stały się po prostu odmianą codziennego rytmu. Nie mogłaby nawet powiedzieć, że on jej się podoba. Uważała, że jest zbyt gładki i nadskakujący. Kiedy opowiedziała siostrze o złotym łańcuszku, który nosił na szyi, i pierścieniu z diamentem na palcu. Mary przypomniała jej, że Kincaidowie to stara zamożna rodzina, a takie familie nie mają w zwyczaju demonstrować swojego bogactwa.

Na razie nie otrzymała od Freda trzeciego zaproszenia, a nawet gdyby nadeszło, nie wiedziała, czy by je przyjęła. Nie chciała zaczynać jakiegoś romansu. Spotkania z nim w pewnym stopniu zatarły obraz Raula Buchanana. Obawiała się, że jeśli nie będzie widywać innych mężczyzn, Argentyńczyk zapanuje nad jej wyobraźnią.

- Mam nadzieję, że na nic cię nie namówił - zgryźliwie zauważył Drew.

Luz przyjrzała mu się uważnie, spodziewając się odczytać na jego twarzy ślad zazdrości.

- Jeśli zastanawiasz się, czy poszłam z nim do łóżka, to mogę tylko powiedzieć, że nic ci do tego.

Oczywiście nie zdarzyło się nic poza jakimś przypadkowym pocałunkiem, ale Luz wyobrażała sobie, że Drew odczuwa przykrość na myśl o niej, spoczywającej w ramionach innego mężczyzny. Wiedziała, jakim piekłem było dla niej wyobrażanie sobie męża w objęciach Claudii. Chciała, by on również tego zakosztował.

- Wiem doskonale, że masz prawo spotykać się, z kim tylko zechcesz - powiedział oschle. - Chodziło mi o to, żebyś nie zaangażowała pieniędzy w jakieś jego przedsięwzięcie.

- Spotykałam się z nim wyłącznie towarzysko.

Oburzona była sugestią, że kupuje sobie partnera. Odeszła od baru, ściskając w dłoniach zimną szklanekę z wodą mineralną. Chłód działał uspokajająco na nerwy.

- Z tego, co wiem, de Silva ma poważne kłopoty finansowe. Jego firma, zajmująca się inwestowaniem w posiadłości ziemskie, jest bliska upadku.

- Cóż to ma wspólnego ze mną? - zapytała zirytowana.

Wydaje mu się, że jestem na tyle naiwna, by angażować się w interesy bez sprawdzenia współnika, pomyślała. W końcu jestem córką Jake'a Kincaida, co oznacza, że nie mogę być kompletną idiotką, nawet jeśli Drew wystrychnął mnie kiedyś na dudka.

- Dowiedziałem się, że niektórzy z jego inwestorów chcieli wycofać się ze współpracy, ale rozeszła się plotka, że uratują go pieniądze Kincaidów. - Drew kolistym ruchem ręki wprawił w wir kawę w filiżance, potem podniósł wzrok na Luz. - De Silva oczywiście zrobił wszystko, by widziano go w twoim towarzystwie. Obawiam się, Luz, że chce cię wykorzystać, żeby zyskać na czasie, albo skłonić cię, byś zainwestowała w jego firmę.

Nie dała po sobie poznać gniewu i bólu, jaki odczuwała.

- Postąpiłeś rozsądnie, zwracając mi na to uwagę. Oczywiście, miałeś pewną przewagę, wiedząc, że moje towarzystwo nie jest żadną atrakcją, a więc Freda interesować mogła jedynie fortuna Kincaidów. Czy mam ci w jakiś szczególnie sposób wyrazić wdzięczność za to, że w nawale ważnych zajęć znalazłeś czas, żeby mnie ostrzec przed tym człowiekiem?

- To nie jest jedyny powód, dla którego tutaj jestem - odparł zniecierpliwiony. - Wiem, że mi nie uwierzysz, ale często myślę o tobie. Nie chciałbym nigdy widzieć cię nieszczęśliwą.

Poczuła pulsowanie w skroniach. Była kompletnie zdezorientowana. Najpierw okrutnie ją zranił, a teraz wyciąga pomocną dłoń. Ścisnęła mocniej szklankę. Czowała się taka niepewna.

- Powiedz mi, Drew - zapytała wyzywająco - czy Claudia wie o naszym spotkaniu?

- Oczywiście - odparł natychmiast, ale wyczuła, że pytanie wywołało jego irytację. Chcąc ją ukryć, wypił resztę kawy i odstawił filiżankę. - Nie mamy przed sobą tajemnic.

- Przyjemnie mi słyszeć, że nie okłamujesz jej tak, jak okłamywałeś mnie. Widzę, że czegoś się nauczyłeś. - Słowa Luz przepelnione były goryczą i sarkazmem. - Nie jest grzechem popełnianie błędów, ale powtarzanie ich.

- Nie sądzę, aby rozsądne było roztrząsanie teraz starych spraw. Nie po to tutaj przyszedłem.

- Nie? Nigdy bym nie przypuszczała. Jak dotąd rozmawialiśmy wyłącznie o moich słabych stronach: o tym, że zbyt dużo piję, spotykam się z niewłaściwymi osobami, no i niepotrzebnie wymieniam imię Claudii. Wobec tego o czym mamy dyskutować? - Odwróciła się tyłem, skrywając w ten sposób malującą się na twarzy irytację. - Myślisz pewnie, że to przeze mnie Rob cię nie odwiedza. Nie mogę i nie chcę zmuszać go do tego.

- Jestem zaniepokojony waszą planowaną wycieczką. Kiedy poinformowałaś mnie o tym, że Rob przerywa naukę, nie było mowy o trzymiesięcznym pobycie w Argentynie.

- Rob zapisał się... - zaczęła, odwracając się w jego stronę.

- Trisha opowiadała mi o tej wspaniałej szkole gry w polo - przerwał jej.

- Zanim zgodziłam się na ten kurs, dowiedziałam się o tej szkole wszystkiego. - Luz ostro zareagowała na lekceważący ton Drewa.

- Ale nie porozumiałaś się ze mną, a jestem bądź co bądź ich ojcem - powiedział szorstko. - Bóg mi świadkiem, że ty zawsze potrafiłaś wymusić na mnie zgodę, by Rob postępował tak, jak zechce, ale mogłaś wykonać chociaż zwykły gest i poinformować mnie o waszym wyjeździe. Zresztą nie o samą wycieczkę mi chodzi, ale o udział Trishy w tym wszystkim. Wyobraź sobie, że ona skłonna jest z opóźnieniem rozpocząć rok akademicki tylko po to, by nie zrezygnować z tego wyjazdu. Na litość boską! Ona ryzykuje utratę miejsca w Harvardzie!

- Nie wiedziałam o tym, a nawet jeśli coś wspominała, nie traktowałam tego poważnie. Jeśli zdecydowała się opóźnić rozpoczęcie studiów, to na pewno bez aprobaty z mojej strony. Wolałabym, żeby nie jechała ze mną i Robem do Argentyny, ale jest osobą dorosłą i ani ja, ani ty, nie potrafimy powstrzymać jej od tego. - Wypiła łyk wody, żałując, że nie jest to coś mocniejszego. - Widzisz... Ona jest szaleńczo zauroczona tym Raulem Buchananem.

- Odniosłem takie wrażenie, kiedy mi o nim mówiła.

- Jest to mężczyzna znacznie od niej starszy, ale mam kłopoty z uświadomieniem jej tego. Wiesz, to twoja wina. Dałeś jej świetny przykład, żeniąc się z Claudią. Jeśli coś jest dobre dla ojca, nie może być

złe dla córki - szydziła. - Powiedz mi, Drew, jak się odnosisz do tego, że trzydziestosiedmioletni mężczyzna uwodzi twoją osiemnastoletnią córkę? Czy to cię nie niepokoi?

- Naturalnie. Jest zbyt młoda.

- Dlaczego wobec tego sam jej o tym nie powiesz? Dlaczego zawsze jesteś wyrozumiałym, pobłażliwym tatusiem, zamiast postawić się raz w roli surowego ojca? - zapytała prowokująco.

- Byłbym bardziej niż szczęśliwy, mogąc porozmawiać z nią o tym - zapewnił łagodnym tonem, którego tak nie znosiła. Tak przemawiają cierpliwi dorośli do niegrzecznych dzieci. - Niestety jestem w niezręcznej sytuacji.

- Jesteś w niezręcznej sytuacji? Mój Boże, to przezabawne. - Ze złością odstawiała szklankę na kontuar barku. Była tak wściekła, że nie mogła dłużej utrzymać jej w ręku. - A ja? Czy nie uważasz, że to samo dotyczy mnie?

- Oczywiście.

- Cokolwiek powiem, zabrzmiałoby jak zaprawiona goryczą opinia zdradzonej żony, którą mąż porzucił dla młodej kobiety. Nawet mnie nie wysłucha. Nie potrafisz tego zrozumieć?

- Ależ rozumiem cię doskonale.

- Nie wydaje mi się - powiedziała, odwróciła się, by wyjść, ale Drew schwycił ją za ramię. Zesztywniała pod dotknięciem jego dłoni.

- Luz, nie kłóćmy się. To do niczego nie prowadzi - mówił łagodnie, delikatnie, ale stanowczo trzymając ją za ramię. - Wiem, że ostatnie miesiące były dla ciebie trudne. Uwierz mi, jest mi z tego powodu bardzo przykro. Spędziliśmy razem wiele pięknych chwil, więc postarajmy się o nich pamiętać, a zapomnijmy o tych trudnych i gorzkich. Nigdy nie poradzimy sobie z tymi problemami, jeśli będziemy obwiniać się wzajemnie o to, co się stało.

- W przeciwieństwie do ciebie nie mogę, jak za naciśnięciem guzika, zmienić swoich uczuć. Nie potrafię udawać, że nic się nie zdarzyło.

Oczekiwał chyba zbyt wiele, sądząc, że mogą zasiąść jak zgodni rodzice i wspólnie omawiać sprawy dzieci, nie pamiętając przy tym, że kiedyś byli mężem i żoną. Nie potrafiła zdobyć się na taką wielkoduszność, nie mogła pozbyć się gorzkiego smaku zawodu.

- Nie chcę, żebyś udawała...

Przerwał mu odgłos otwieranych drzwi i strumień gorącego wilgotnego powietrza napłynął z zewnątrz.

Luz spojrzała w stronę tarasu i zobaczyła, że w drzwiach stoi Trisha. Miała na sobie strój do tenisa, kasztanowe włosy przewiązane przepaską, w ręku trzymała raketę. Luz uświadomiła sobie, że scena, którą widzi Trisha, mogła nabrać w jej oczach nieoczekiwane znaczenia. Cofnęła się o krok.

- Zjawiłam się chyba nie w porę - powiedziała cicho Trisha.

- Ależ nie - zapewnił Drew.

- Zobaczyłam twój samochód zaparkowany przed wejściem i... Nigdy nie przypuszczałam, że możesz tu przyjechać, żeby zobaczyć się z Luz - dokończyła z wahaniem. - Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać.

- Zamknij drzwi, Trisha - poleciła Luz, zirytowana na Drewa, który nawet nie spróbował wyjaśnić córce niestosowności tych podejrzeń. - Nie przerwałaś nam żadnej poufnej rozmowy. Dyskutowaliśmy o naszej wycieczce do Argentyny. Ojciec nie aprobuję twojego udziału w tej wyprawie.

- No, to niezupełnie prawda - sprostował Drew. - Po prostu uważam, że przed podjęciem decyzji należało zasięgnąć mojej opinii. W końcu jestem twoim ojcem, a więc osobą zainteresowaną tą sprawą.

- No proszę! Znowu odwracasz kota ogonem, żeby tylko wyglądać na dobrego tatusia - wybuchnęła Luz. Potem zwróciła się do Trishy. - Drew ma do mnie pretensje, bo wspomniałaś mu, że z powodu wyjazdu może nie zdążysz rozpocząć studiów w terminie.

- Ja tylko wyraziłem swoje zastrzeżenia...

- To teraz może powiesz, jak bardzo się cieszysz jej zainteresowania Raulem Buchananem? - zakpiła Luz.

- Nie znam tego pana, więc nie mogę zająć w tej sprawie wyraźnego stanowiska, ale wierzę, że Trisha jest wystarczająco roztropna, by nie paść ofiarą jakiegoś łowcy posagów.

- Niech cię diabli! - Luz zacisnęła pięści w bezsilnej złości. Potem zwróciła się do córki: - Jeśli chcesz zostać dobrą prawniczką, to ucz się od ojca, jak dawać wykrętne odpowiedzi.

- Przestańcie. - W oczach Trishy załśniły łzy. - Luz, dlaczego zawsze musisz się z nim kłócić?

- Znowu ja jestem winna, prawda? Cokolwiek się zdarzy, zawsze wina leży po mojej stronie. - To jest walka, z której nigdy nie wyjdę zwycięsko, pomyślała. Nie warto nawet próbować. - Drew, wiesz, gdzie są drzwi. Radziłabym ci z nich skorzystać.

Wyszła z salonu, powstrzymując napływające do oczu łzy bezsilnej złości. W chwilę później, kiedy znalazła się już w swoim pokoju, usłyszała odgłos otwieranych a potem zamykanych drzwi frontowych i hałas ruszającego Mercedesa. Ciągle jeszcze rozpoznawała warkot jego samochodu. Przez pewien czas czekała, mając nadzieję, że Trisha zdecyduje się wejść na górę i będzie mogła wyjaśnić córce, co zaszło pomiędzy nią a mężem, ale nie pojawiła się. Później, kiedy spotkały się na lunchu, żadna z nich nie wspomniała o jego wizycie.

Czarny szpak przeciął zabarwione na koralowo niebo. Opalizujące pióra na jego szyi błyszcząły w promieniach zachodzącego słońca. Rob śledził jego lot, wspinając się po schodach do znajdującego się nad stajniami mieszkania Jimmy'ego Raya. Kiedy stanął przed drzwiami, odruchowo obejrzał się, czy nikt nie jest świadkiem jego wizyty, ale stajnie zasłaniały widok od strony domu, przylegającego doń ogrodu i sąsiednich zabudowań.

Z mieszkania dobiegł go hałas włączonego na pełny regulator telewizora - pisk opon samochodowych i łoskot zderzających się samochodów. Rob zapukał mocno, potem jeszcze raz obejrzał się, jak gdyby chciał się cofnąć w nagłym przypływie poczucia winy. W sekundę później ktoś przyciszył telewizor.

- Kto tam?

- To ja. Rob. - Nie naciskał klamki. Jimmy Ray zawsze zamykał swoje mieszkanie na klucz.

Po chwili, która wydawała się nieskończenie długa, flegmatyczny mężczyzna otworzył drzwi. Był ubrany w luźne brązowe spodnie i koszulkę w podobnym kolorze. Uważnie przyjrzał się Robowi.

- Przycisnęło cię, prawda? - pytaniu towarzyszyło wyrozumiałe skiniecie głową.

- Tak, ale żeby to nie było takie gównno, jakie mi sprzedałeś w zeszłym tygodniu.

- Bądź spokojny.

Zamknął drzwi, pozostawiając Roba na zewnątrz. Transakcje nigdy nie odbywały się w mieszkaniu Jimmy'ego Raya. Dbał o to, by nikt nie odkrył, gdzie przechowuje narkotyki.

W chwilę później Rob usłyszał jakiś hałas dobiegający od strony domu. Pospiesznie zbiegł na dół zewnętrznymi schodami, po czym wszedł do stajni bocznym wejściem.

Wnętrze tonęło w mroku. Słabe światło zachodzącego słońca, wpadające przez uchylone drzwi, miejscami tylko rozjaśniało długi, biegnący środkiem budynku korytarz. Rob pociągnął za linkę i zapalił lampy u sufitu. Któryś z koni zarżał cicho. Z kilku boksów dobiegał szelest siana, a od czasu do czasu stuknięcie kopytem o podłogę. Przez otwarte drzwi prowadzące na padok wpadał lekki wietrzyk, który zaraz nasycił się zapachem siana i koni.

Stary siwek, Stonewell, wysunął łeb na korytarz i zarżał na widok Roba. Chłopak podszedł do niego i pozwolił mu nozdrzami sprawdzić, czy nie ma w kieszeniach koszuli kostek cukru. Starzejący się koń stawał się coraz bielszy. Właśnie dzisiaj pewien człowiek wyraził chęć nabycia go. Nie był to żaden wybitny jeździec ani gracz w polo, tylko po prostu ktoś, kto lubił w sobotnie popołudnie dosiąść wierzchowca i wykonać parę pokazowych galopów, zwrotów i uderzeń kijem, wyobrażając sobie przy tym, że jest znakomitym sportowcem. Można takie rozwiązanie uznać za niesławny koniec kariery znakomitego niegdyś kuca, ale zapewni mu to spokojną starość, pomyślał Rob.

Stuknęły drzwi na piętrze, potem rozległ się odgłos kroków na schodach. Rob sięgnął do kieszeni spodni, wyjął zwinięty banknot i wsunął go pod taśmę spinającą jedną z kostek sprasowanego siana.

Do stajni wszedł Jimmy Ray w wyświechtanym kapeluszu osłaniającym jego łysą głowę. Pomimo upalnego i wilgotnego lipcowego wieczoru, miał na sobie koszulę z długimi rękawami zapiętą wysoko pod szyją. Podszedł do siwka, ale równocześnie niedbałym ruchem wręczył Robowi niewielki pakiecik.

- Jak się dzisiaj czuje nasz staruszek? - Jimmy nawet nie spojrzał na kostkę siana pełniącą rolę kasy. Odkąd Rob zaczął regularnie korzystać z tego rodzaju usług stajennego, zorientował się, że handluje on tylko po to, by zarobić na pokrycie własnych potrzeb. Na pewno nigdy nie prowadził interesów z ludźmi, których dobrze nie znał.

- Sprzedaję Stonewalla - powiedział Rob, chowając do kieszeni pakiecik z kokainą.

- Greble'owi?

- Tak.

Jimmy Ray pogłaskał siwka po pysku.

- Będzie ci tam dobrze, staruszk - przemówił znów do konia. - Tylko od czasu do czasu wystąpisz na boisku.

- To prawda. - Rob wsunął siwkowi do pyska kostkę cukru.

- Czy będziesz chciał zabrać coś ze sobą na tę wycieczkę do Argentyny? Wolałbym wiedzieć wcześniej.

- To zbyt ryzykowne.

- Możliwe - zgodził się stajenny.

- Chyba wiesz, że przez pewien czas mogę się bez tego obejść - rzekł Rob.

- Żaden z nas nie musi tego mieć - Jimmy uśmiechnął się znacząco.

Rob nie martwił się. Nie był uzależniony od kokainy. Wiedział, że prawdziwy głód narkotyku odczuwa się dopiero wówczas, kiedy bierze się go regularnie.

Stajenny poklepał jeszcze siwka po pysku i ruszył do wyjścia.

- Dobranoc - powiedział.

Kątem oka Rob zauważył, jak Jimmy zatrzymuje się obok kostki siana i szybkim ruchem wyjmując banknot. Pozostał przy siwku, aż zobaczył, że mężczyzna wychodzi ze stajni. Dopiero wtedy, gdy usłyszał jego kroki na schodach, odwrócił się od konia i poszedł do prywatnego magazynku.

Po wejściu do środka starannie zamknął i zaryglował za sobą drzwi. Potem spoza stojaka na siodła wyciągnął nabyty kilka tygodni temu w Landerdale zestaw, niezbędny do brania kokainy metodą, którą poznał w Anglii. Położył go na stoliku służącym do naprawy sprzętu, wyjął z kieszeni torebkę z białym proszkiem i część jej zawartości wsypał do niewielkiego pojemniczka. Ostrożnie, unikając wdychania oparów, dodał do kokainy odrobinę eteru. Postępował zgodnie z recepturą, z którą zaznajomił go kolega Cyn. Kiedy z mieszaniny powstała pasta o odpowiedniej gęstości, umieścił ją w niedużej fajeczce, usiadł na bujanym fotelu i zapalił. Głęboko wdychał dym. To jest najlepszy sposób, pomyślał. Świat wydał mu się przyjazny. Rosła wiara we własne siły.

Posłuchaj, Helen. Uwielbiam pracę w twoim Komitecie, ale za dwa tygodnie wyjeżdżam do Argentyny i będę tam przez miesiąc, jeśli nie dłużej. Naprawdę nie mogę ci teraz pomóc. - Luz cierpliwie uzasadniała rozmówczyni swoją odmowę.

Trisha przysłuchiwała się obojętnie. Ciągle jeszcze cierpiała z powodu przykrew sceny pomiędzy rodzicami, której świadkiem była dzisiaj rano, a zwłaszcza z powodu roli, jaką w niej odegrała matka.

- Ależ Helen, to nie jest ucieczka - słyszała głos Luz. - Rob chce tam kupić kilka koni i potrenować trochę pod okiem najlepszych zawodowców. Tylko dlatego tam jadę. To nie ma nic wspólnego z moim rozwodem.

Na wzmiankę o rozwodzie Trisha zerwała się i wyszła z pokoju. Było już po wszystkim, więc dlaczego matka nie doprowadzi do ułożenia poprawnych stosunków z byłym mężem, zamiast ciągle pielegnować w sobie głęboką urazę i odrzucać każdą szansę pojednania? Dzisiaj rano, kiedy Luz wybiegła z salonu, ojciec próbował usprawiedliwić jej zachowanie.

- Twoja matka została głęboko zraniona tym, co się stało. Zrozumiałe, że teraz tak reaguje na wszystko, co powiem. Wcale nie chciałem krytykować jej postępowania, chociaż ona tak to rozumiała. Ty i Rob wiele dla mnie znaczą. Chciałbym mieć wpływ na decyzje, które są dla was ważne.

Ojciec przynajmniej próbował dla dobra rodziny ułożyć jakoś wzajemne stosunki. O Luz nie można było tego powiedzieć.

- Gdzie jest Rob? Widziałas go? - zapytała Emmę, która akurat weszła do holu.

- Wydaje mi się, że poszedł do stajni.

- Dziękuję.

Wyszła przez drzwi prowadzące do ogrodu i skierowała się w stronę stajni. Nie liczyła na to, że brat potrafi ją zrozumieć, ale chciała z nim porozmawiać. Chociaż on, jak zawsze, na pewno będzie stał po stronie Luz, pomyślała.

Zapadający zmierzch pogłębiał cienie palm i krzewów rosnących wokół domu. Było ciemno, ale światło padające z okien stajni wskazywało drogę niczym latarnia morska. Szła w tym kierunku. Odgłos jej kroków tłumiała gęsta trawa.

W miarę jak zbliżała się do budynku, coraz wyraźniej słyszała jakieś głosy i śmiechy. Zdziwiło ją to, ale szybko uświadomiła sobie, że to dźwięk nastawionego na pełny regulator telewizora Jimmy'ego Raya.

Niezależnie od tego, co sądzili inni, coś ją od niego odpychało.

Podeszła do głównego wejścia i pchnęła drzwi. Zawiasy zaskrzypiały. Minęła magazynek i poszła długim, prowadzącym przez środek stajni korytarzem. Nie było tu nikogo.

- Rob? - zawołała. Ruszyła wzdłuż korytarza zaglądając do boksów, w których spokojnie stały konie. - Hej, Rob! Gdzie jesteś? Odezwij się!

W powietrzu unosił się lekki słodkawy zapach. Trisha pociągnęła nosem. Przypuszczała, że to brat opatruje jakiegoś skaleczonego konia. Nagle za plecami usłyszała hałas. Odwróciła się.

- Rob? - Przez chwilę nadśluchiwała. W pewnym momencie dostrzegła smugę światła wydobywającego się spod drzwi prywatnego magazynku. Podeszła do nich, ale stwierdziła, że są zamknięte. - Rob, jesteś tam? - zawołała. Z wnętrza dobiegł ją jakiś przytłumiony dźwięk. Zastukała do drzwi.

- Proszę poczekać - usłyszała głos brata.

Czekała zniecierpliwiona. W chwilę później dobiegł ją szum spuszczonej w toalecie wody, stłumiony odgłos kroków, potem zgrzytnął zamek i z magazynku wyszedł Rob.

- Dlaczego zamknąłeś drzwi?

- Zawsze powinny być zamknięte - odburknął. - Mamy tutaj trochę wartościowych przedmiotów. Ty możesz się nie przejmować, kiedy zginie ci siodło, ale ja nie. - Odsunął siostrę od wejścia do magazynku i zamknął drzwi. - Co cię tutaj sprowadza?

- Czujesz ten dziwny zapach? - zapytała.

- To pewno któraś z maści Jimmy'ego.

- Chyba nie. Jest zbyt słodki. - Wzięła głęboki oddech. - Czuję dym.

- Trisha! Jesteś chyba szalona. - Roześmiał się. - Czy mówiłem ci już, że sprzedaję starego Stonewalla? Powinnaś się z nim pożegnać. Jutro spotykam się z facetem, który go kupuje. Postanowiłem przyjąć jego ofertę.

Objął ją ramieniem i usiłował poprowadzić w kierunku zagrody siwka. Kiedy spojrzała na Roba, zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Sprawiał wrażenie niesłychanie czymś podnieconego.

- Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się jak po narkotyku. - W chwili gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że to może być prawda. - Brałeś coś? - zapytała. - Ten zapach! Czy paliłeś skręta?

- Co ty wygadujesz? - spojrzał na nią z wyrazem zdumienia.

- Rob! To nierozsądne. Wiesz, jak niebezpieczne jest palenie w stajni.

- Kto ci powiedział, że paliłem - zaprotestował. Leniwy uśmiezek błąkał się na jego wargach.

- Nie udawaj niewiniątka. To może robi wrażenie na Luz, ale nie na mnie. - Trisha strąciła jego rękę ze swego ramienia i cofnęła się o krok. - Zamknąłeś się, żeby nikt nie przyłapał cię na paleniu.

- Musiałem skorzystać z toalety. Jesteś moją siostrą, ale nie życzę sobie, byś oglądała mnie siedzącego na sedesie - roześmiał się.

- Mogłeś zamknąć drzwi od łazienki.

- Żarówka się przepaliła.

- Pięknie to wszystko zmyśliłeś. Kiedy byłeś dzieckiem, często układałeś podobne historyjki, żeby uniknąć kłopotów, ale ja zawsze wiedziałam, kiedy oszukujesz. I teraz też kłamiesz.

Trisha odwróciła się ze złością i ruszyła w stronę drzwi. Rozmowa z bratem znajdującym się w takim stanie nie miała sensu.

- Hej! Dokąd idziesz? - Brutalnie złapał ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Zdziwiła ją jego siła.

- O co chodzi. Rob? - Pochwyciła jego zaniepokojone spojrzenie. - Boisz się, że opowiem o wszystkim matce?

- Lepiej nic nie mów. - Tym razem uśmiech zniknął z jego twarzy. - Jeśli to zrobisz, to ja też mogę wspomnieć komuś, jak to Raul zostawił cię nagą na podjeździe do Siedmiu Dębów. Myślałaś, że nikt cię nie widział? Ja widziałem. Wraciałem właśnie z garażu. Chyba nie chcesz, żeby twoja wycieczka do Argentyny rozplynęła się we mgle?

- Jesteś prawdziwym draniem - powiedziała z wściekłością. - Ale, po pierwsze, wiesz, że nie jestem skarżypytą, a po drugie, mam już osiemnaście lat i nie potrzebuję zgody Luz na to, by jechać do Argentyny czy gdziekolwiek zechcę. I na koniec mam w nosie, czy mnie widziałeś czy nie, i komu o tym powiesz.

- W takim razie nie mieszaj się do cudzych spraw. Nie lubię, jak ktoś mnie szpieguje.

Spojrzała na niego z niechęcią.

- Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale przyszedłam tu, żeby z tobą porozmawiać. Powinnaś jednak wiedzieć, że nie interesują cię niczyje problemy poza własnymi.

Rozluźnił uścisk, zaskoczony słowami siostry. Trisha wyrwała się i ruszyła w stronę wyjścia.

Po siedmiu godzinach lotu ogromny odrzutowiec zaczął tracić wysokość, przygotowując się do lądowania na międzynarodowym lotnisku Ezeira w pobliżu Buenos Aires. Luz wpatrywała się przez okno w jednostajny, łagodnie pofalowany krajobraz przypominający Anglię, tyle że znacznie słabiej zaludniony,

Leciały pierwszą klasą. Trisha zajmowała miejsce przed matką. W pewnej chwili odwróciła się do tyłu, - To Urugwaj - stwierdziła, rozpoznając kraj leżący pod nimi, po czym znowu zajęła się wyglądem przez okno, niecierpliwie oczekując widoku bliskiego już miejsca ich przeznaczenia.

Luz w zamyśleniu patrzyła na profil córki. Znów dręczyły ją wątpliwości związane z tym wyjazdem. Nie dotyczyły one bynajmniej Roba. Wiedziała, że jeśli o niego chodzi, to cel wyjazdu zostanie osiągnięty. Niepokój budziły przewidywane relacje Trishy z Buchananem, a także, mówiąc szczerze, z nią samą.

- Popatrz! - Trisha przysunęła się bliżej okna. - Rio de la Plata. Srebrna Rzeka.

Luz spojrzała na wody, ponad którymi przelatywał samolot. Właściwie nie była to rzeka, nie była też srebrna. Rio de la Plata to długie i szerokie ujście kilku rzek do Oceanu Atlantyckiego. Jej leniwie toczące się muliste wody mają kolor ciemnobrązowy. Zgodnie z przewodnikiem, często przez Trishę cytowanym, zarówno nazwa Rio de la Plata jak i Argentyna, to znaczy Srebrna Kraina, nadane zostały przed stuleciem przez Hiszpanów, którzy błędnie wierzyli, że odkryli drogę do legendarnych bogactw Inków i że to właśnie wspólne ujście wielkich rzek ułatwi im transport srebra do Hiszpanii.

Teraz już można było zauważyć lekką mgiełkę otulającą nowoczesne miasto - Buenos Aires. Wyniosłe wieżowce i fabryczne kominy wyrastały na bagnistym brzegu Rio de la Plata, w odległości mniej więcej stu dwudziestu mil od Atlantyku.

Od strony lądu miasto Dobrych Wiatrów graniczyło z bezkresną równiną, poprzecinaną siecią dróg i linii kolejowych. Widok ten wydał się Luz wyjątkowo monotony i nieinteresujący.

Ukazał się napis zabraniający palenia i nakazujący zapięcie pasów bezpieczeństwa. Luz poczuła przypływ emocji. Próbowała się uspokoić, przypominając sobie, że zanim spotkają Raula, trzeba będzie przejść przez kontrolę paszportową, odprawę celną, a potem długo czekać na bagaże.

Raul stał z boku, poza tłumem otaczającym wyjście z lotniska. Spojrzał na zegarek, próbując ocenić, jak długo to jeszcze potrwa, i stwierdził, że samolot wylądował przed trzydziestoma minutami. Zniecierpliwiony zaciągnął się mocno dymem z czarnego cienkiego cygara.

Nie należał do ludzi, których działaniu towarzyszą zwykle liczne wątpliwości, ale tym razem ciągle wyrzucał sobie, że nie zrezygnował z całej tej sprawy, kiedy jeszcze był na to czas. Próbował usprawiedliwić się sam przed sobą, że musi dbać o własne interesy. Zyska przecież nie tylko, sprzedając Robowi konie, ale weźmie również sporą sumę za jego kurs. Nie był na tyle bogaty, żeby zrezygnować z takiego zarobku, chociaż wiedział, że wraz z Robem bierze sobie na głowę delikatny problem, a może nawet dwa.

Czuł, że Trisha nie przestanie go prześladować. Mieć do czynienia z córką klienta zawsze było sprawą kłopotliwą, ale tym razem klientem jest kobieta. Raul nigdy dotąd nie pracował dla kobiety i doskonale wiedział, że osobą, na której aprobatę ma zasłużyć, jest Luz Thomas, a nie jej syn. Nie odpowiadała mu taka sytuacja. Pochodził przecież z Południowej Ameryki, a tutaj nie toleruje się przyjmowania poleceń od niewiast. Przy tym Luz Kincaid Thomas była przyzwyczajona do osiągnięcia tego, na czym jej zależało. Wiedział o tym i zdawał sobie sprawę, że to właśnie stało się przyczyną nieporozumień pomiędzy nimi. Nie miał tu znaczenia fakt, że widział w niej delikatną kobietę, która nie potrafi poradzić sobie z zuchwałą i niesforną córką.

U wyjścia pojawili się pierwsi pasażerowie - jedni nieśli swoje bagaże, inni pchali przed sobą załadowane wózki. Raul rzucił cygaro do popielniczki i zbliżył się do drzwi, ciągle jeszcze pozostając poza kłębiącym się tłumem. Gwar stawał się coraz głośniejszy. Dominował język hiszpański. Oczekujący na przybyłych i opuszczający budynek pasażerowie nawoływali się głośno, przekrzykując dobiegające z głośników zapowiedzi.

Wreszcie dostrzegł w tłumie grupę Thomasów. Najpierw zobaczył Luz. Zanim mógł spojrzeć na jej wyrazisty profil, rozpoznał jej dumną sylwetkę. Była to cecha, która budziła w nim niechęć, ale zarazem podziw. Jego uczucia w stosunku do obydwu pań Thomas były ambiwalentne. Obie potrafiły równocześnie go poruszyć swą niebanalną urodą i ostudzić demonstracyjną wyniosłością.

W chwilę później pojawiła się Trisha. Rozglądała się bacznie. Raul wiedział, że poszukuje właśnie jego. Za nimi, z twarzą pełną napięcia, szedł Rob i pchał wózek z bagażami.

Raul nadal stał z boku. Nie próbował przeciskać się przez tłum, czekał, aż sami znajdą sobie drogę. Kiedy znaleźli się poza ciżbą, Luz zatrzymała się i rozejrzała wokół. Zauważył wyraz zniecierpliwienia na jej twarzy, ale zaczął jeszcze chwilę.

Luz przerzuciła przez ramię długą pelerynę i obejrzała się na podążających za nią Trishę i Roba. W tym momencie zauważyła Raula i znieruchomiała, jemu zaś przyszło na myśl, że Luz przypomina pięknego ptaka szykującego się do lotu, lecz obraz ten nie trwał długo. Odniósł nagle wrażenie, że powiało od niej chłodem. Żar i chłód, pomyślał. Jakże różni się od swej córki, która sprawia wrażenie nieustannie kipiącego żywiołu. Może ten chłód jest jej metodą obrony?

Targany sprzecznymi uczuciami, Raul ruszył w jej stronę. W tym samym momencie z tłumy wyłoniła się Trisha i zobaczyła go. Powiedziała coś do matki, widocznie uzyskała jej aprobatę wyrażoną skinieniem głowy i ruszyła ku niemu. W miarę jak się zbliżała, coraz wyraźniej dostrzegł w jej oczach wyzwanie, a zarazem rozbawienie.

- Myślałam, że zapomniałeś o naszym przyjeździe. - Wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę matki, której towarzyszył już Rob. - A jak twój nadgarstek?

- Całkiem dobrze. Jaką miałyście podróż?

- Długą i nudną. - Trisha puściła jego ramię, kiedy znaleźli się przy Luz i Robie.

- *Bienvenida* - przywitał ich po hiszpańsku i uściśnął rękę Luz. Zaskoczyło go ciepło jej dłoni. Nie oczekiwał tego w otaczającej ją aurze chłodu. Potem przywitał się z Robem. Hałas jednak nie sprzyjał dalszej rozmowie. - Jeśli odebraliście już bagaże, to chodźmy do samochodu. Zaparkowałem w pobliżu. Zawiozę was do hotelu, gdzie odpoczniecie po długiej podróży - zaproponował.

- O dziwo, wszystkie nasze bagaże przyleciały tym samym co my samolotem. - Luz wskazała stertę walizek spoczywających na wózku pilnowanym przez Roba.

Raul przywołał bagażowego, powierzył mu walizki i poprowadził gości do samochodu. Otworzył drzwi i pomógł Luz zająć miejsce, potem dopilnował załadowania bagaży, wreszcie sam siadł za kierownicą.

- Jak daleko jest z lotniska do hotelu? - zapytała Luz, gdy Raul wyprowadził auto z parkingu i włączył się w sznur pojazdów.

- Wasz hotel położony jest w centrum miasta. To dość daleko stąd, ale na razie nie będziemy mieli zbyt dużego ruchu. Podobnie jak we wszystkich dużych miastach, pod wieczór ludzie pracujący w centrum udają się na przedmieścia, gdzie mieszkają. Będziemy więc jechać pod prąd.

Występując w roli gospodarza, Raul czuł się zobowiązany udzielać pełnych informacji.

Nadchodził zmierzch. Na południowej półkuli sierpień to zimowy miesiąc. W gęstniejącym mroku widać było niewiele poza reflektorami jadących w przeciwnym kierunku aut oraz ustawionymi obok szosy oświetlonymi reklamami, głównie w języku hiszpańskim. Co jakiś czas w blasku ulicznych lamp widoczne były namalowane na ścianach napisy.

W czasie jazdy Luz cały czas milczała. Ciszę przerywały krótkie uwagi Trishy. Raul zauważył, że Luz wyglądała świeżo mimo długiej podróży. Jej zaciśnięte usta wskazywały na pewne wewnętrzne napięcie. Wyraźnie była z czegoś niezadowolona.

- Ten widok przypomina mi Paryż - zauważyła Trisha, usiłując pochwycić we wstecznym lusterku wzrok Raula. Jechali akurat szerokim, obsadzonym drzewami bulwarem w centrum Buenos Aires. - Wszystko to wygląda bardzo europejsko.

Raul uśmiechnął się.

- Nic w tym dziwnego. W Argentynie osiedlali się Europejczycy. Na kształt tego miasta miało wpływ ich dziedzictwo.

- Masz rację - zgodziła się Trisha. - Każda nowa kultura opiera się na starej i gorliwie ją naśladuje. Spójrz, Luz. Tu są również ogródki kawiarniane na chodnikach.

- Zauważyłam - odpowiedziała obojętnie, nie odwracając głowy.

W ciągu kilku minut znaleźli się pod hotelem. Raul zatrzymał samochód przed głównym wejściem. Kiedy portier pomagał Luz wysiąść, a Raul otwierał tylne drzwi auta, Trisha podeszła i spytała:

- Czy musimy wyjechać już jutro? Chętnie obejrzałabym miasto. Chyba nic by się nie stało, gdybyśmy urządzili sobie małą wycieczkę. Najlepiej byłoby, żebyś podjął się roli przewodnika.

- W estancji oczekują nas jutro po południu.

Kątem oka spojrzał na Luz stojącą po drugiej stronie samochodu. Na ramionach miała czarną sobolową pelerynę. Wyglądała na zirytowaną. Raul spodziewał się, że jej uwaga w większym stopniu skierowana będzie na niego, ale ona wciąż patrzyła na Trishę.

- Bagaże, *señor*? - zapytał ubrany w uniform służący stojący obok samochodu.

- *Si*. - Raul odsunął się od Trishy, by otworzyć bagażnik auta.

- Trisha! - zawołała Luz. - Idziemy.

Dziewczyna zignorowała polecenie matki. Zatrzasnęła drzwi samochodu i podeszła do Raula, który nadzorował wyładowanie walizek z bagażnika.

- Wejdiesz z nami do hotelu?

- Nie sądzę, żeby wystąpiły jakieś kłopoty z waszą rezerwacją, ale na wszelki wypadek wejdę, żeby się upewnić - odrzekł.

- Nawet o tym nie wspominaj. Byłoby straszne znaleźć się bez hotelu w nieznanym mieście i do tego bez możliwości porozumienia się z ludźmi - powiedziała Trisha z uśmiechem, który wskazywał, że raczej cieszyłaby się z takiej ekscytującej przygody.

- Myślę, że nie miałabyś trudności z porozumieniem się. Angielski zna tutaj wiele osób. - Raul zauważył zniecierpliwione spojrzenie Luz. - Wydaje mi się, że matka na ciebie czeka.

- Porozmawiamy później - rzuciła Trisha z wesołym uśmiechem i bez pośpiechu dołączyła do Luz i Roba, czekających na nią przy schodach.

Raul stwierdził, że służący wyjmuje już z bagażnika ostatnią dużą walizkę. Zamknął klapę, sprawdził, czy zamek trzyma mocno i wszedł do hotelu znanego mu z wcześniejszych wizyt. Skierował się wprost do recepcji. Luz wypełniała niezbędne formularze, podczas gdy Rob przerzucał magazyn informujący o dostępnych w mieście rozrywkach. Trisha oglądała jakieś wyłożone na kontuarze foldery i w pierwszej chwili nie zauważyła go.

- Czy z rezerwacją wszystko jest w porządku? - zapytał, zatrzymując się obok Luz.

- Tak. - Podała recepcjonistce formularze wraz z paszportami i odwróciła się do niego. - O której godzinie musimy być jutro gotowi do wyjazdu?

- Jeśli to nie jest dla was zbyt wcześnie, to proponowałbym wyjechać o dziesiątej.

- W porządku. Taka pora nam odpowiada.

- Zjesz z nami obiad, prawda? - zapytała Trisha, podchodząc do nich z bratem.

Raul zauważył, że Luz rzuciła córce strofujące spojrzenie.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam inne plany. Poza tym jestem przekonany, że po tak długiej podróży potrzebny jest wam odpoczynek.

- Ma pan rację - zgodziła się Luz. - Każemy sobie przynieść posiłek do pokojów.

- Wobec tego będę czekał na was jutro, tutaj w holu, za dziesięć dziesiąta. Dobranoc - rzucił i ruszył do wyjścia.

- Panie Buchanan - zawołała Luz, kiedy był w połowie drogi do drzwi. Zatrzymał się. - Zaraz wrócę - powiedziała do Roba i Trishy, którzy w towarzystwie boya szli w kierunku windy. - Chcę tylko zamienić kilka słów z Raulem... panem Buchananem.

To drobne przejęzyczenie przypomniało mu chwile kiedy zwracała się do niego mniej oficjalnie, i sposób, w jaki wymawiała jego imię. Jej wysokie obcasy głośno stukały o kamienną posadzkę. Sobolowa peleryna luźno zwisała z ramion, a czarny kolor futra harmonizował z kolorem jej oczu.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Chociaż wcześniej został do tego upoważniony, powstrzymał się od wymówienia jej imienia. Instynktownie unikał zbytnej poufałości. Zawsze przestrzegał tej zasady.

- Sądzę, że jest pan świadomy tego, jak bardzo podoba się pan mojej córce. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby nie podsycił pan tego zainteresowania. Nie jest pan człowiekiem odpowiednim dla niej i nie chciałabym, żeby doznała przykrego zawodu. To wszystko, panie Buchanan. - Odwróciła się i poszła w kierunku czekających na nią dzieci.

Raul patrzył za nią zaskoczony. Powoli narastał w nim gniew. Zwracała się do niego jak do służącego. Potraktowała go wyniośle, jak gdyby był prostakiem, niegodnym jej córki. Odwrócił się gwałtownie i szybko wyszedł z hotelu.

Następnego ranka ruch na ulicach Buenos Aires znacznie się zwiększył i w dziennym świetle można było podziwiać miasto, jego rozległe place i piękne bulwary. Luz nie miała więc nic przeciwko porannej jeździe. Wiele szerokich ulic miało surowy wygląd. Były zbyt nowe, by nabrać patyny i gracji swych europejskich wzorów, chociaż mnogość kwitnących roślin łagodziła nieco ich wygląd. Brakowało także wąskich krętych uliczek. Wydawało się, że wszystkie aleje biegną prosto ku jakiemuś odległemu, niewidocznemu punktowi.

Większość budynków w centrum miasta sprawiała wrażenie nowoczesnych, jak gdyby wybudowane zostały przed dziesiątkami, a nie setkami lat. Luz zauważyła starą katedrę z szeregiem korynckich kolumn wznoszącą się na jednym z wielu placów. Jej styl przypominał kościół Świętej Magdaleny przy Place de la Concorde w Paryżu. Kiedy przejeżdżali obok niej, Raul poinformował, że jest to jedna z najstarszych budowli w Argentynie, powstała w osiemnastym wieku, i że znajduje się w niej grób generała San Martina, przywódcy powstania przeciwko Hiszpanom, wyzwoliciela Argentyny, a zarazem Peru i Chile.

Poza tymi informacjami Raul prawie nic nie mówił od chwili, kiedy punktualnie o dziesiątej zabrał ich z hotelu. Luz domyślała się, że to ona odpowiedzialna jest za to ochłodzenie ich kontaktów. Wyraziła wczoraj swoje życzenie i nie dała mu okazji do udzielenia odpowiedzi. Nie miała ochoty rozmawiać z nim na temat gwałtownych uczuć Trishy. Być może powinna się zwrócić do niego jako zatroskana matka i zyskać w nim sprzymierzeńca, ale teraz było już na to za późno. Poza tym, nie chciała, aby stał się jej sojusznikiem. Po prostu pragnęła, żeby trzymał się z dala od Trishy, i wiedziała, że wczoraj dała mu to wyraźnie do zrozumienia.

Spojrzała na niego. Raul nieoczekiwanie odwrócił się i napotkał jej wzrok. Zdawała sobie sprawę, że pod jego pozornym opanowaniem kipi gniew. Błękitne oczy płonęły. W spojrzeniu kryło się wyzwanie, lecz Luz nie żałowała podjętej akcji, chociaż jej rezultatem był wzrost napięcia pomiędzy nimi.

- Chciał pan coś powiedzieć, panie Buchanan? - zapytała.

Nagły, natarczywy dźwięk klaksonu zmusił go do ponownego skoncentrowania się na ruchu ulicznym, ale po chwili znów zerknął w jej stronę.

- Wygląda na to, że potrafi pani czytać w moich myślach.

- Niewykluczone - odparła, patrząc prosto przed siebie.

- Wobec tego nie widzę potrzeby wyjaśniać pani swojej opinii w sprawie, o której była mowa. Zresztą, to pani problem, nie mój.

- Co mówiłeś, Raul? - Trisha wychyliła się z tylnego siedzenia. - Nie dosłyszałam.

- Pewnie dlatego, że pan Buchanan nie zwracał się do ciebie.

Luz nie miała wątpliwości, że Trisha wpadłaby w furję, gdyby dowiedziała się o ostrzeżeniu, które przekazała Raulowi.

Z całą pewnością sytuację komplikował precedens, jakim był romans Drewa. Być może nie powinna wtrącać się w sprawy Trishy, ale nie mogła przecież patrzeć spokojnie, jak córka popełnia poważny błąd.

Kiedy była w jej wieku, Jake wymusił na niej zerwanie z przyjacielem, twierdząc, że ma on złą opinię. Teraz, kiedy Drew nie odważył się na interwencję, zmuszona była wziąć sprawę w swoje ręce.

- Myślałam, że chcesz nam pokazać coś interesującego. - Trisha pochyliła się na oparcie przedniego siedzenia. - Czy przejeżdżaliśmy obok domu, w którym mieszkałeś po przeprowadzeniu się do Buenos Aires?

- Mieszkałem w wielu miejscach.

Minęli już wysokie budynki w centrum miasta, przejeżdżali teraz przez atrakcyjną dzielnicę mieszkaniową z pięknymi willami w ogrodach w angielskim stylu. Potem znaleźli się w ubogiej dzielnicy domów czynszowych.

Trisha siedziała z rękami skrzyżowanymi na oparciu.

- Ciekawa jestem, jak wyglądałeś, będąc dzieckiem, i w jakim domu mieszkałeś. Trudno mi wyobrazić sobie ciebie jako drobnego chłopca w połatanych brudnych spodenkach z żabami w kieszeniach. Mam wrażenie, że twoja matka miała z tobą sporo kłopotów.

- Czy pana matka żyje? - zapytała Luz.

- Nie.

- A ojciec?

- Nie wiem. Spakował któregoś dnia swoje rzeczy i zniknął. Nigdy więcej go nie widzieliśmy.

Z bolesną wyrazistością uświadomiła sobie sytuację, w jakiej sama się znajdowała - kobiety porzuconej przez ukochanego męża. To było coś, czego Trisha nie potrafiła zrozumieć. Rozgoryczenie, jakie Luz czuła w stosunku do męża, było drażliwym punktem w jej kontaktach z córką i bynajmniej nie zamierzała poruszać tego problemu w obecności Raula.

- Gdzie chodziłeś do szkoły? - Trisha pochyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Założę się, że miałeś powodzenie u dziewcząt.

- Może to będzie dla ciebie zaskakujące, siostrzyczko - niespodziewanie odezwał się Rob - ale poza seksem są jeszcze inne sprawy w życiu.

- Wiem, że jest ich wiele, ale te właśnie nadają życiu urok - odpowiedziała prowokująco, w nadziei, że wreszcie zwróci uwagę Raula.

Luz z trudem powstrzymała się od skomentowania jej słów. Przypomniała sobie, że jako dziewczyna również wygłaszała szokujące zdania na temat seksu, po to tylko, by podkreślić swoją dorosłość.

- Gdzieś ty nabrała takiego doświadczenia? - zakpił Rob. - Pewno z książeczek ze zbiorami złotych myśli.

- Ja przynajmniej je czytam, czego nie można powiedzieć o tobie - odgryzła się bratu. - Jeśli książka nie dotyczy hodowli koni albo gry w polo, to nawet jej nie otworzysz.

- Domyślam się, że nie ma pan również rodzeństwa - Luz przerwała ten bezsensowny spór.

- Nie.

- Uniknął więc pan takich idiotycznych sprzeczek. - Jej uwaga uciszyła kłóćącą się parę.

W miarę jak oddalali się od miasta, jadąc w kierunku południowym, widzieli coraz mniej kamienic. Ich miejsce zajęły rozrzucone bezładnie ubogie slumsy. Luz przyglądała się temu skupisku ruder, zbudowanych z przypadkowych kawałków drewna, plastiku, prętów pokrytych arkuszami zardzewiałej blachy. Budy stłoczone były ciasno. Przed każdą znajdowało się jednak parę metrów kwadratowych

powierzchni ogrodzonej drutem lub patykami. Tu i ówdzie na tych zaimprovizowanych podwórkach bawiły się dzieci, inne zamieniono w ogródki warzywne. Luz zauważyła tęgą kobietę dźwigającą wiadra. Dreptało za nią nędznie ubrane dziecko.

- Jakie to smutne - mruknęła Trisha.

- Przypomina mi to obóz dla uchodźców - powiedziała Luz, nie mogąc oderwać wzroku od roztaczającego się przed nią widoku.

- W jakimś sensie to prawda - stwierdził Raul. - Tu przebywają *campesinos*, wieśniacy, którzy przywędrowali do Buenos Aires w poszukiwaniu pracy, lecz nie mają gdzie mieszkać. Rząd buduje dla nich domy, ale zawsze jest ich za mało.

- Czy udaje im się znaleźć pracę? - zapytała Luz.

- Czasami. Niektórzy mają dostatecznie dużo pieniędzy, by wynająć sobie mieszkanie. Proszę spojrzeć, tu i ówdzie na dachach ruder są nawet anteny telewizyjne. Ale niełatwo jest znaleźć pracę. Większości *portenos*, mieszkańców Buenos Aires, nie wystarcza jedno miejsce pracy, by zarobić na utrzymanie. W Argentynie jest liczna klasa średnia, lecz o pracę jest trudno, zwłaszcza dla ludzi o niskich kwalifikacjach. - Z nieodgadnionym wyrazem twarzy patrzył na osiedle slumsów. - Ale oni wszyscy tutaj mają nadzieję.

- Czy nie mogą szukać pracy gdzie indziej? - nieśmiało zapytała Luz.

- Musi pani pamiętać, że Buenos Aires to największe w tym kraju skupisko ludzi. Mieszka w nim co trzeci Argentyńczyk. Są jeszcze inne miasta, ale liczba mieszkańców sięga w nich najwyżej setek tysięcy, a nie milionów. Trudno przecenić znaczenie tego faktu. Proszę sobie wyobrazić kraj rozciągający się od północnych prowincji Kanady do półwyspu Jukatan w Meksyku, w którym jest tylko jedno duże miasto. Taka jest Argentyna. Nic dziwnego, że przybysz z prowincji, widząc Buenos Aires, mówi sobie: „Tutaj na pewno znajdę pracę”.

- To prawda - potwierdziła Luz.

Poczuła ulgę, kiedy zostawili za sobą tę dzielnicę nędzy. Wjechali teraz na utwardzoną szosę prowadzącą w kierunku południowoschodnim. Za oknami samochodu rozciągał się monotony, usypiający krajobraz. Rozległe pastwiska na przemian z łąkami lucerny lub pszenicy przegradzały co jakiś czas nagie zaorane pola, czekające na wiosenny siew.

Nad pustym, niemal bezkresnym krajobrazem rozciągało się czyste błękitne niebo. Druty linii telefonicznych wydawały się niestosownymi intruzami, a pojawiający się od czasu do czasu wiatrak sprawiał wrażenie czegoś niezwykłego.

- To są pampasy, prawda? - zapytała.

- Tak - odparł Raul.

Trudno opisać tę rozległą przestrzeń rozciągającą się na ogromnym obszarze na południe od Buenos Aires. Bezkresna jak ocean, bez żadnego punktu zaczepienia dla oka, jednostajna równina pozbawiona była wzgórz, strumieni, drzew. Luz odetchnęła głęboko czystym świeżym powietrzem, oszołomiona bezmiarem tej krainy.

W oddali zauważyła długi rząd drzew stojących jak szereg wartowników. Kiedy podjechali bliżej, rozpoznała dachy domów zbudowanych pod osłoną chroniących je od wiatru drzew. Widok ten przypominał zadrzewioną wyspę na środku oceanu.

- Cóż to za budynki? - zapytała Raula.

- To estancja.

Luz zauważyła drogę wytyczoną pomiędzy dwoma rzędami drzew, prowadzącą do dużego domu i stojących obok niego zabudowań gospodarczych. Poprzez gałęzie krzewów widać było rozległą łąkę porośniętą wysoką na ponad dwa metry trawą.

- Czy poznaje pani tę charakterystyczną trawę z pampasów?

- W południowych Stanach, również na Florydzie, uprawiana jest jako roślina ozdobna.

- Przed stu laty całe pampasy były nią porośnięte.

Po minięciu estancji znów znaleźli się w pustej przestrzeni zamkniętej wysokim niebem i absolutnie płaską ziemią. Chociaż od czasu do czasu przejeżdżali koło małych gospodarstw lub estancji, a nawet większych osad, Luz nie opuszczało uczucie wyizolowania, a zarazem zafascynowania tą niezwykłą argentyńską prerią, jej płaskością nie zakłóconą najmniejszym nawet wzgórzem.

W połowie drogi, żeby rozprostować nogi i zjeść lunch, zatrzymali się w jednym z podobnych do siebie miasteczek. W architekturze tych osiedli widoczne były wpływy hiszpańskie - plac w centrum miasta z kościołem po jednej i ratuszem po drugiej stronie. W każdej osadzie znajdowało się kino i kawiarnia, a w większych miejscowościach widniała jeszcze konna statua generała San Martina.

Lunch zjedli w małej kawiarni. Luz zaskoczona była ilością podanych potraw.

- O Argentynie mówi się jako o kraju ubóstwa - powiedział Raul - ale i u nas, podobnie jak w waszym kraju, ludzie przyzwyczajeni są do obfitego jedzenia, dlatego bronimy się przed zaciskaniem pasa, chociaż gospodarka kuleje.

Po dalszej półtoragodzinnej jeździe skręcili z głównej drogi w aleję obsadzoną wysokimi eukaliptusami. Przypominały rzędy kolumn, a splecione gałęzie tworzyły nad jezdnią żywy łuk. Zanim znaleźli się na miejscu, Luz zauważyła pomiędzy drzewami główny budynek estancji. Był to potężny, zbudowany z szarego kamienia piętrowy dom z dwoma rzędami kwadratowych okien. Zdjęcie w prospekcie sprawiało lepsze wrażenie niż oryginał. Nic nie urozmaicało surowości tej prostej kamiennej bryły.

Kiedy Raul zatrzymał samochód, Luz zawahała się przez moment. Unikała uwag na temat domu, ale zdawała sobie sprawę, że gospodarz wyczuwa jej rozczarowanie. Poprowadził ich do wejścia. Gdy weszli do mrocznego obszernego holu, usłyszała nietypowo brzmiący odgłos kroków. Odwróciła się i zobaczyła krępego siwego mężczyznę, poruszającego się o kulach.

- Witam w Le Buen Viento - powiedział z uśmiechem.

- Chciałbym wam przedstawić Hectora Guerrero. - Raul dokonał prezentacji. - Jeśli pozwolicie, wskaże wam pokoje.

- Oczywiście - mruknęła Luz, chociaż wiedziała, że kaleki mężczyzna wcale nie prosi o pozwolenie.

W chwilę później usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

- Proszę iść za mną. Dom jest duży i stary, ale trudno w nim zabłądzić.

Opierając się na jednej kuli, Hector odwrócił się i ruszył w stronę masywnych drewnianych schodów prowadzących na pierwsze piętro. Luz rzuciła okiem na pomieszczenia parteru. Wszystkie sprawiały wrażenie surowych, z pustymi ścianami i ciężkimi, niezgrabnymi meblami. Miała nadzieję, że jej pokój będzie przyjemniejszy. Niestety nie był.

- Dzień dobry - powiedziała Luz wchodząc do obszernej jadalni. Wąsaty mężczyzna o pomarszczonej twarzy był jedyną osobą siedzącą przy długim stole. - Wygląda na to, że zeszałam na dół jako ostatnia.

- *Buenos dias, seńora.* - Zniszczona, zmarszczkami pokryta twarz Hectora Guerrero przypominała skórę starego siodła, ale ożywił ją uśmiech, który pojawił się na niej na widok Luz. - Dobrze pani spała?

- Tak. - Zauważyła, że sięga do metalowych rączek kul. - Proszę nie wstawać.

Na stole stał dzbanek z kawą, a obok filiżanki i spodeczki oraz naczynie ze śmietanką i cukiernica.

Hector nie posłuchał jej. Wstał, opierając się na kulach, potem sięgnął w dół i zaciągnął paski przytrzymujące klamry, usztywniające jego sparaliżowane nogi, co zapewniało mu możliwość samodzielnego poruszania się.

- Na pewno zechce pani zjeść śniadanie - powiedział prostując się. Włosy miał kręcone, mocno przyprószone siwizną, równie gęste jak szczotka jego wąsów. - Powiem, żeby Anna przyniosła dla pani talerz.

- Nie, nie, dziękuję - powiedziała szybko Luz, próbując go powstrzymać. Mężczyzna przeniósł ciężar ciała na kule i wykonał obrotowy ruch biodrami, wyrzucając w ten sposób usztywnioną nogę do przodu. Starał się poruszać płynnie, ale na niej zrobiło to okropne wrażenie. - Napiję się tylko kawy.

Czuła się niezręcznie, widząc, że zmusza go do wysiłku.

- *Seńora*, to dla mnie żaden kłopot - powiedział, odgadując jej myśli.

- Proszę mi wierzyć, że po wczorajszej kolacji ciągle nie jestem głodna - zapewniła go, napełniając filiżankę kawą. - Jedzenie było znakomite.

- *Gracias, seńora.* Nasza kucharka, Ramona, ucieszy się, gdy jej to powtórzę. - Podszedł do niej rozkołysanym krokiem. - W niedzielę przyrządzimy *asado*. Kiedy zjadą się już wszyscy, odbędzie się wielkie przyjęcie. Wiedziała pani o tym?

- Nie, nikt mi o tym nie mówił. - Luz dodała śmietanki do mocnej kawy.

Domyśliła się, że Hector ma na myśli innych kursantów. Łącznie z Robem miało ich być dziesięciu. Niektórzy z nich zamierzali szkolić się przez dwa tygodnie, inni przez cały miesiąc. Jeśli wziąć pod uwagę wysokość opłaty za kurs, dawało to całkiem niezły dochód.

- *Asado* to mięso pieczone na ognisku. - Cmoknął i dotknął palcami warg w geście, który wydawał się bardziej włoski niż hiszpański. - Będzie pani smakować.

- Jestem tego pewna. - Luz wypila łyk parującej kawy, ciągle jeszcze gorącej pomimo dodania gęstej śmietanki.

Nie wiedziała, jaką funkcję pełni w estancji Hector. Kiedy wczoraj został im przedstawiony, pomyślała, że Raul zatrudnił go, kierując się współczuciem. Z tego, co zobaczyła później, wynikało, że wrażenie to było błędne. Hector pełnił rolę kogoś w rodzaju totumfackiego czy majordomusa, a także osoby zarządzającej stajniami.

Kiedy wczoraj zaprowadził ich do pokoi i wskazał, gdzie mogą położyć swoje rzeczy, poinformował również o godzinach posiłków, porach sprzątnięcia i innych domowych zwyczajach. Potem sprawdził, czy wszystkie bagaże zostały dostarczone na miejsce przez jednego ze stajennych. Wieczorem zasiadł razem z nimi do kolacji i długo opowiadał Raulowi o tym, co zdarzyło się w czasie jego nieobecności, o każdym koniu w stajni, o młodych źrebiętach... Najwyraźniej to on odpowiadał za wszystko.

Oczywiście, że pod nieobecność Raula ktoś musiał zarządzać gospodarstwem. Luz początkowo zdziwiona była wyborem tego mężczyzny, ale jej opinia o Hectorze szybko uległa zmianie. Okazał się człowiekiem życzliwym, rozmownym, dobrze posługiwał się angielskim. Trudno byłoby dokładniej określić jego wiek, ale sądziła, że bliski jest sześćdziesiątki.

- Dokąd wszyscy poszli? - zapytała.

Śniadanie zgodnie z rozkładem codziennych zajęć miało być pomiędzy siódmą a ósmą, do której brakowało jeszcze kilku minut.

- *Señor* Rob bardzo chciał zobaczyć konie. - Hector oparł się na jednej kuli, drugą ręką podsunął Luz krzesło. - *Señora, por favor.*

- *Gracias.* - Było to jedno z niewielu hiszpańskich stów, które знаła.

- Poszli do stajni - wyjaśnił i cofnął się o kilka kroków. - Po śniadaniu mogę tam panią zaprowadzić.

- Świetnie. Chętnie obejrzałabym konie. - Wolałaby, żeby syn nie był tak niecierpliwy. Wczoraj uzgodnili, że wybiorą się tam razem, więc założyła na siebie strój do konnej jazdy, uzupełniony ciepłym pulowerem dla ochrony przed porannym chłodem. - Domyślam się, że Rob poszedł tam z Raulem... to znaczy panem Buchananem.

- Raul brzmi prościej, prawda? - Hector nalał sobie filiżankę kawy i trzymając ją w ręku, powoli przeszedł na swoje miejsce. Luz z trudem opanowała chęć udzielenia mu pomocy. Już kilka razy zorientowała się, że Hector stara się wykonywać wszystko samodzielnie, niezależnie od tego, ile trudu go to kosztuje. - On ma na imię Raul, ja Hector. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

- W takim razie ja jestem Luz - zaakceptowała tę miłą propozycję.

Postawił filiżankę na stole i z rękami na oparciu krzesła popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Luz to hiszpańskie imię.

- Tak? Naprawdę moje imię brzmi Leslie. Kiedy się urodziłam, mój starszy brat nie potrafił wymówić tego słowa poprawnie. Ciągłe nazywał mnie Luzlie i tak już zostało.

- Aha - skinął głową. - Po hiszpańsku Luz znaczy „światło”.

- Nigdy o tym nie słyszałam - przyznała.

- Nie pochodzi pani z Argentyny, jest pani *yanqui*. - Uśmiechnął się, pokazując rząd śnieżnobiałych zębów. Odsunął od stołu krzesło, wykonał skomplikowany manewr i usiadł na nim.

- Czy moja córka poszła razem z nimi?

Nie sprawdziła przed zejściem na dół, czy Trisha jest w swoim pokoju.

- *Si, la señorita* również poszła. - Hector wypił łyk gorącej kawy. - To dobry napój.

- Podzielim panie zdanie.

- Ale najlepiej pije się kawę w towarzystwie. Kiedy Raul wyjeżdża, nigdy nie nalewam sobie drugiej filiżanki.

- Od jak dawna zna pan Raula?

- Od wielu lat. Znałem go jeszcze, zanim to się stało - poklepał dłonią bezwładną nogę.

- Co się stało? - Luz natychmiast pożałowała zadanego pytania. - Nie musisz odpowiadać, jeśli wolałbyś o tym nie mówić.

- *No importa.* - Machnął ręką, pokazując w ten sposób, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia. - Pewien człowiek chciał, abym dosiadł jego młodego konia i nauczył go chodzić pod siodłem. To był

szalony koń. Kiedy na niego wskoczyłem, przewrócił się na grzbiet. - Hector pomagał sobie gestykulując.

- Nie zdążyłem uskoczyć i przygniótł mi nogi. Straciłem w nich władzę.

- Musiało to być dla ciebie bardzo trudne. - Zaciśnęła ręce na filizance. Nie wiedziała, co powiedzieć, by nie zabrzmiało to banalnie.

- *Si.*

- Wyobrażam sobie, jak ci przykro, że nie możesz jeździć konno.

- Ależ mogę, *señora...* Luz - poprawił się. - Przywiążuję te bezużyteczne nogi do siodła i nawet galopuję. Nie potrafię tylko trenować koni do polo, ale wystarczy mi to, że siedzę w siodle.

- Zajmowałeś się trenowaniem koni? W takim razie musiałeś też grać z nim w polo. Pewnie w ten sposób się poznaliście.

- Grywałem z Raulem, ale tylko wtedy, gdy nie mógł znaleźć nikogo lepszego. Byłem dobrym trenerem, lecz nie zawodnikiem. Ćwiczenie młodych koni to też niełatwa sztuka. Dobry gracz nie musi umieć trenować koni, musi tylko umieć na nich jeździć. *Comprende?*

- Tak. Uczenie wymaga cierpliwości, a zawodnikowi często jej brakuje. - Luz uśmiechnęła się. Nigdy wcześniej nie pomyślała o tym. - Wobec tego jak się poznaliście?

Przez sekundę Hector przyglądał się jej swymi czarnymi oczami, rozważając coś w myślach.

- Pracowaliśmy u tego samego człowieka. Ja trenowałem konie, a Raul był stajennym. To było dawno temu.

- Zanim zainteresował się grą w polo?

- *Si.* Potem, kiedy stał się cenionym zawodnikiem i zaczął dobrze zarabiać, kupił sobie własne konie i ja je trenowałem. Wiele razy jeździłem z nim do Ameryki Północnej i Anglii. W końcu, kiedy Raul zapragnął założyć hodowlę, znaleźliśmy to miejsce. Mieliśmy zamiar nabyć tylko ziemię, bez tego wielkiego szarego słonia. - Gestem ręki wskazał masywną budowlę, w której wnętrzu się znajdowali, i Luz uśmiechnęła się, słysząc jego trafne porównanie. - Właściciel chciał jednak sprzedać ziemię wraz z zabudowaniami, więc Raul kupił wszystko. Ponieważ już wcześniej uczył w klubie grać w polo, postanowił założyć u siebie szkołę.

- Ciekawa historia, ale opowiedziałeś ją w dużym skrócie. Chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej.

Wydawało jej się, że to wszystko nie odbyło się tak gładko.

- To jest historia Raula. Nie powinienem jej opowiadać w jego zastępstwie - oznajmił po chwili wahania. Uznał zapewne, że i tak już zbyt wiele powiedział.

Płonące na kominku polano trzasnęło głośno. Przez moment ogień stał się intensywniejszy. Luz patrzyła na ciężkie, dębowe obramowanie paleniska. Płomienie rozpraszały nocny chłód i dodawały nieco łagodności surowemu wnętrzu jadalni.

Kominki znajdowały się we wszystkich pokojach, również w sypialniach. Było to jedyne źródło ciepła w tym wielkim kamiennym budynku pozbawionym centralnego ogrzewania, zbyt często przez większą część roku w panującym tu łagodnym klimacie. Po obejrzeniu domu Luz zrozumiała uwagi Raula na temat tutejszych warunków życia. Dom wyposażony był we wszystkie wygody, ale brakowało w nim luksusu.

Pokoje umeblowane były skąpo, jedynie w niezbędne sprzęty. Choćby ta jadalnia, w której stał długi stół i krzesła dla dwudziestu osób oraz masywny kredens. Monotonie ścian wyłożonych w dolnej części boazerią przerywało tylko szerokie lustro i obudowa kominka. Z sufitu zwisał na ciężkim mosiężnym łańcuchu wielki zyrandol. Jego rzeźbione drewniane ramiona podtrzymywały ozdobione miedzią szklane abażury. Obok kominka w mosiężnym stojaku stał pogrzebacz i szufelka. Na zawieszanej nad nim półce nie było żadnych przedmiotów.

Podobnie urządzone były wszystkie pomieszczenia w tym domu, pozbawione całkowicie jakiegoś osobistego charakteru. Zdaniem Luz brakowało zdjęć, drobiazgów, choćby zdobytych przez Raula nagród czy dyplomów. Spędzał tu sporą część roku, ale nie był to jego dom. Przypomniał jej się pokój Drewa wypełniony ulubionymi przedmiotami, książkami, trofeami zdobytymi w rozgrywkach tenisowych i golfowych. To wnętrze odzwierciedlało jego osobowość. Tutaj, w przypadku Raula, nie można było tego zauważyć.

Luz dopiła kawę i odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Tyle jest w tym domu pomieszczeń, sądzę więc, że w jednym z nich Raul przechowuje swoje trofea, nagrody, zdjęcia znanych osób, z którymi miał okazję grywać w polo. Chętnie bym to obejrzała.

- Nie ma takiego pokoju - powiedział Hector. - On tego nie lubi. Ja zresztą też nie. Zawsze powtarzam mu, że przede wszystkim sam musi wiedzieć o tym, że jest dobry.

- To prawda.

Pomyślała, że zapewne Raul uważałby pomysł urządzenia takiego pomieszczenia za przejaw próżności.

- Oczywiście, nie wystarcza mu to, że jest dobry. On musi być *perfeccion* - z westchnieniem dodał Hector.

- Nie rozumiem. - Luz wzruszyła ramionami.

- Raul marzy o dziesiątce, *señora* - wyjaśnił ze smutkiem, mając na myśli dziesięciopunktowy handicap, najwyższą ocenę gracza w polo.

- Ach tak. - Wiedziała, że niewielu zawodnikom w historii tej gry udało się osiągnąć taką ocenę.

- Może jeszcze kawy, *señora* Luz?

- Nie, dziękuję. - Odsunęła pustą filiżankę. - Jak tylko będziesz mógł, to chciałabym wybrać się do stajni.

- *Uno momento, por favor*. Powiem tylko Annie, dokąd się wybieramy. - Podniósł się z krzesła, poprawił paski klamer usztywniających nogi i opierając się na kulach wyszedł z pokoju bocznymi drzwiami.

Po jego odejściu Luz pokręciła się chwilę po jadalni, a potem wyszła do holu. Jej buty stukały głośno po dębową podłogę. W ciszy, która zapadła, kiedy zatrzymała się przy drzwiach frontowych, słychać było rytmiczne tykanie wysokiego rzeźbionego wahadłowego zegara. Błądząc wzrokiem po rozległym pomieszczeniu i szerokich schodach prowadzących na górę, znów zwróciła uwagę na surowość wnętrza. Nie ocieplał go rzeźbiony szafkowy zegar, dywanik ani stojący pod ścianą stolik.

Starła się pozbyć natrętnych myśli o życiu osobistym Raula. To w końcu nie jej sprawa, co robi i jaką przeszłość ma za sobą.

Usłyszała odgłos kroków nadchodzącego Hectora. Był bez kapelusza, w lekkiej kurtce z długimi rękawami. Z jego muskularnymi szerokimi ramionami i potężną klatką piersiową kontrastowały

wychudłe bezwładne nogi, usztywnione w kolanach metalowymi klamrami. Czarne oczy Hectora, pomimo kalectwa, wydawały się ciągle błyszczeć uśmiechem.

- Jestem gotowy - oznajmił i otworzył przed nią drzwi.

Po wyjściu na zewnątrz zatrzymała się, czekając na Hectora. Za plecami miała piętrowy budynek zbudowany z masywnych, szarych kamiennych bloków, pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Kwadratowe okna nie miały okiennic. Żaden okap nie osłaniał ścian. Niskie krzewy rosnące przed domem nie zmieniały przygnębiającej surowości jego formy.

- Ten dom lepiej by wyglądał, gdyby był obrośnięty winoroślą - powiedziała Luz.

- To prawda. Warto by tu coś zasadzić. - Hector przystanął i obejrzał się.

Kiedy znów ruszyli, Luz myślała, że będzie musiała iść powoli, by oszczędzić kalekiemu mężczyźnie nadmiernego wysiłku. Okazało się jednak, że to nieprawda. Hector potrafił poruszać się w normalnym tempie, a nawet Luz zmuszona była przyspieszyć, by dotrzymać mu kroku.

Poszli wzdłuż obsadzonego eukaliptusami podjazdu który łukiem podchodził pod sam dom, a potem biegi dalej, ku zabudowaniom gospodarczym. Za domem, na rozległym trawniku, znajdował się basen i kort tenisowy, a dalej wyrastał rząd topoli chroniących budynki, ogród i podwórze od wiatru. W przeciwieństwie do farmy Hopeworth zabudowania gospodarcze nie były oddzielone od domu mieszkalnego szerokim pasem zieleni. Trawnik przed domem odgradzał od stajennego podwórza tylko niski żywopłot.

Gdy znaleźli się w pobliżu stajni, Luz zauważyła po przeciwnej stronie drogi boisko do gry w polo, dalej pola do ćwiczeń i padok. Tereny te opasane były pętlą drogi, zawracającej w stronę domu. Hector pokazał jej budynek, w którym przechowywane były ciągniki i inne gospodarcze pojazdy.

Najpierw zauważyła Roba - oglądał pięknego gniadego wałacha, którego prowadził młody stajenny. Raul trzymał na lonży kasztanka, a Trisha stała obok i głaskała zwierzę. Sposób, w jaki córka patrzyła na Argentyńczyka, zirytował Luz. Zacisnęła mocno wargi. Można powiedzieć, że robi do niego oczy, pomyślała.

- Dzień dobry - zawołał Raul.

- Dzień dobry - Luz zmusiła się do uśmiechu, który natychmiast przygasł, gdy skierowała wzrok na córkę. - Jakoś wcześniej dzisiaj wstałaś.

- Nie mogłam spać. Przypuszczam, że to z powodu nowego otoczenia - odparła, ale spojrzała przy tym na Raula, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, że to on jest powodem tej bezsenności.

- Mam nadzieję, że dobrze pani spała, pani Thomas, i że nie czuje się tu pani bardzo źle - rzekł Raul.

- Mój pokój jest bardzo wygodny, dziękuję.

Szybko odwróciła od niego wzrok, starając się nie zauważać, jak obcisły niebieski sweter uwydatnia muskuły na jego ramionach i klatce piersiowej.

- Pewno nie korzystałaś jeszcze z prysznicza - powiedziała Trisha z rozbawieniem. - Ja spróbowałam dzisiaj rano i to, co się działo, wprawiło mnie w przerażenie. Kiedy odkręciłam krany, rury zaczęły hałasować tak strasznie, jak gdyby zaraz miała nastąpić powódź połączona z trzęsieniem ziemi. Nic się nie stało, ale takiej porannej serenady jeszcze nigdy nie słyszałam. Potem było już świetnie. Tony gorącej wody. Mogłabym godzinami stać pod tym prysznicem.

Luz była zdegustowana. Domyślała się, że Trisha usiłuje zainteresować sobą Raula, wywołując w jego wyobraźni obraz jej nagiego ciała splukiwanego wodą. Uznała to za niesmaczną i tanią sztuczkę.

- Instalacja hydrauliczna jest już niezbyt sprawna - wyjaśnił Raul.

- Po prostu dom jest bardzo stary - wtrąciła Luz. Wolałaby skrytykować zachowanie córki niż stan domu, ale nie mogła tego zrobić w jego obecności.

- Ostrzegalem panie, że warunki tutaj nie są komfortowe - przypomniał oschle.

- To nie była skarga, tylko stwierdzenie faktu, panie Buchanan - poinformowała go chłodno i odwróciła się w stronę Hectora, który patrzył na nią lekko zdumiony. - Czy mógłbyś poprosić stajennego, żeby przeszedł się przede mną z tym gniadoszem? Chciałabym zobaczyć, jak się porusza.

Hector powtórzył prośbę po hiszpańsku i młody stajenny zaczął spacerować z dziarskim wierzchowcem, zataczając obszerny krąg.

- Zna się pani na koniach, *señora* Luz? - zapytał Hector.

- Mogę pana zapewnić, że tak - pospieszył z odpowiedzią Rob. Jego stwierdzenie przyjemnie polectało dumę Luz.

Całe przedpołudnie spędzili na oglądaniu kuców przeznaczonych na sprzedaż. Wybrali te, na których Rob chciał jeszcze pojeździć, zanim podejmie ostateczną decyzję. W południe wrócili do domu na lunch. Potem Raul kazał osiodłać dla wszystkich konie i pojechali obejrzeć źrebaki przebywające na pastwisku.

Kłusowali poprzez porośnięte wysoką trawą pole w kierunku widocznego w oddali stada. Luz wyczuła, że jej koń niecierpliwie się zbyt wolną jazdą. Poluźniła więc wodze, pozwalając mu wydłużyć krok i wysunąć się nieco do przodu. Włosy rozwiały jej delikatny wiatr, a energii dodawał bezmiar otaczającej ją przestrzeni. Pozwoliła koniowi przejść do galopu.

Stado młodych koni rozpierchło się trwożliwie, kiedy się do nich zbliżyła. Ściągnęła wodze i zatrzymała wierzchowca, przyglądając się pięknym roczniakom i dwulatkom. Ciekawość przemogła wreszcie strach i zwierzęta ostrożnie zbliżyły się do intruzów. Usłyszała za sobą tętent końskich kopyt. To nadjeżdżała reszta towarzystwa, ale Luz nie odwróciła się. Całą jej uwagę pochłaniał bezkresny krajobraz.

Kiedy jeźdźcy znaleźli się przy niej, nie patrząc na nich, zapytała:

- Powiedz mi, Hectorze, jak potrafisz powstrzymać w sobie chęć galopowania bez końca przez tą rozległą przestrzeń?

- To nie jest łatwe - odpowiedział Raul. Drgnęła na dźwięk jego głosu i spojrzała na niego. Cały czas od wyjazdu z estancji przy jej boku jechał Hector. - Widzę, że zadowolona jest pani z tej przejażdżki - zauważył, patrząc na jej twarz, ciągle jeszcze promieniejącą radością po szybkim galopie. Odsunęła ręką włosy opadające jej na twarz.

- Wspaniałe jest to bezmierne pustkowie - powiedziała. - W Teksasie też są rozległe równiny, ale to nie to samo.

- Istotnie, pampasy są czymś szczególnym. Każdy Argentyńczyk niezależnie od tego, czy urodził się w Patagonii, Andach, Buenos Aires czy Chaco, czuje z nimi więź. Dla kogoś, kto stąd pochodzi, nie ma piękniejszych miejsc.

- Czy pan urodził się na pampasach?

- Tak, chociaż daleko stąd. - Koń Raula natarł bokiem na kasztanka Luz. Nogi jeźdźców otarły się o siebie. - *Che* - zawołał Raul i ostro skarcił swojego wierzchowca. Koń cofnął się, krótki kontakt został przerwany, ale wrażenie, wywołane dotknięciem, ciągle jeszcze trwało.

W chwilę później po drugiej stronie Raula pojawiła się Trisha i subtelna więź, jaka zaistniała pomiędzy nim a Luz, natychmiast zniknęła.

- Co sądzisz o tych źrebakach? - zapytała córka.

Luz uniosła się w strzemionach, przyglądając się młodym koniom. Jeden z nich, odważny roczniak, pchany ciekawością podbiegł bliżej, ale potem szybko zawrócił, by bezpiecznie schronić się w stadzie.

- *Si* - powiedział Hector, próbując zachęcić ją do wyrażenia opinii. - Pani ma oko na młodzież, *señora* Luz.

- Chyba pomyliłeś mnie z Raulem - mruknęła ze złością i szarpnięciem wodzami zmusiła konia, by ruszył w stronę stada źrebaków.

- Aha... - Hector rzucił na Raula pełne zrozumienia spojrzenie i powiedział po hiszpańsku: - Teraz już wiem, dlaczego ona prycha na ciebie jak tygrysica broniąca swojego dziecka. Boi się, żebyś go nie skrzywdził.

- Myli się - odpowiedział w tym samym języku Raul. - Nie interesuje mnie tygrysiątko.

- Raczej tygrysica.

- *No. Los caballos* - powiedział szorstko.

- *Caballos* - to znaczy konie - przetłumaczyła i Trisha. - Tyle już wiem. Wygląda na to, że będę musiała zapisać się na przyspieszony kurs hiszpańskiego.

- Przepraszam. To było niegrzeczne z naszej strony posługiwać się hiszpańskim, jeśli nie rozumiesz tego języka - powiedział Raul, przechodząc na angielski.

- Drobiazg. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie o mnie rozmawiacie. - Uśmiechnęła się i powróciła do obserwowania matki, która tymczasem, prowadząc konia szerokim łukiem, zbliżała się coraz bardziej do stada źrebaków.

- Pani matka jest dobra, *señorita* - powiedział Hector.

- Tak. Świetnie sobie radzi z końmi. Do ludzi nie ma jednak tak dobrej ręki.

- To dlatego, że koniom można zaufać - powiedział smutno Rob. - Człowiek potrafi głęboko zranić drugiego człowieka, koń najwyżej może złamać ci nogę.

Raul zauważył, że Trisha z niepokojem zerknęła na Hectora.

- Rob, jesteś nietaktowny - powiedziała.

- *No, señorita. Señor* Rob ma rację - wtrącił Hector, wskazując na swoje bezwładne nogi przytroczone do siodła. - Nie boli mnie to tak bardzo jak niegrzeczne uwagi o kalectwie.

- Bardzo mi przykro - mruknął Rob. - Nie pomyślałem.

- Czasami wątpię, czy ty w ogóle myślisz - burknęła Trisha.

Raul przyglądał się Luz, która tymczasem podjechała całkiem blisko stada, po czym zatrzymała się i uważnie obserwowała młode zwierzęta. Ona jest dobra, pomyślał. Wiatr rozwał jej włosy rozświetlone ostrymi promieniami słońca. W pamięci utkwiał mu jej obraz, kiedy pełna napięcia, zafascynowana otaczającym ją widokiem, pierwszy raz galopowała przez argentyńską bezkresną równinę.

Wrócili do estancji późnym popołudniem, zostawili konie stajennym i udali się do domu. Luz poszła na górę, żeby umyć się i przebrać do obiadu. Kiedy weszła do swego pokoju, zatrzymała się w drzwiach, oparła się o nie i patrzyła na proste wnętrze o nagich, białych ścianach.

Obok podwójnego rzeźbionego łoża stał nocny stolik z lampą. Przy przeciwległej ścianie ustawiono wysoką komodę z licznymi szufladami. Obok kominka, w którym leżały już przygotowane do podpalenia bierwiona, stał fotel. Dywanik przy łóżku tworzył jedyną barwną plamę w pokoju.

Odepchnęła się od drzwi i podeszła do łóżka. Usiadła i ściągnęła buty. Przed oczami wciąż miała obraz Raula pomagającego Trishy zsiąść z konia po powrocie z przejażdżki. Oczywiście, córka sama o to poprosiła, co dla Luz było tym bardziej irytujące.

Potem rozebrała się, rzuciła ubranie na fotel i poszła do łazienki, którą dzieliła z Trisha. Hałasujące rury przypomniały jej poranny incydent, kiedy córka prowokująco opowiadała Raulowi, jak brała prysznic. Rozmyślając o tym, nie zważała na głośny szum rur, ale mimo wszystko szybko przestała się myć.

Okręciła się długim ręcznikiem i otworzyła drzwi prowadzące do pokoju. Wzrok jej padł na pusty fotel, na którym zostawiła swoje ubranie do konnej jazdy. Z garderoby dobiegł ją jakiś szelest. Odwróciła się w tę stronę i zobaczyła wychodzącą stamtąd pokojówkę Annę, uderzającą podobną do Brunhildy. Kobieta przycisnęła dłonie do piersi, przestraszona i zaskoczona pojawieniem się Luz.

- Zabrałam ubranie - powiedziała, z trudem wymawiając angielskie słowa. - Dobrze?

- *Si, gracias.* - Luz weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi do łazienki.

- *Por favor.* - Anna podeszła do nocnej szafki, na której stała taca, a na niej szklanka wypełniona lodem i jasnobrazowym płynem. Wyciągając rękę w stronę Luz, wskazała, że jest to przyniesiony dla niej napój. - *Mate*, herbata.

- *Gracias* - powtórzyła Luz.

- *De nada.* - Tęga, potężnie zbudowana niewiasta cofnęła się ku drzwiom prowadzącym na korytarz, po czym odwróciła się i wyszła.

Luz podeszła do nocnej szafki i wypiła łyk wychłodzonej *mate*, miejscowej herbaty przyprawionej cytryną. Próbowala już tego napoju poprzedniego dnia kiedy Hector zaproponował im coś odświeżającego po podróży. Podeszła potem do komody i zamieniła ręcznik na szlafrok.

Usłyszała, że do sąsiedniego pokoju należącego do Trishy ktoś wchodzi. Zawahała się przez moment, po czym weszła do wspólnej łazienki.

- Trisha? - zapukała w drzwi prowadzące do jej pokoju.

- Wejdz - zawołała w odpowiedzi córka. - Przyszłaś akurat w porę, żeby mi pomóc w uwolnieniu się z tych piekielnych butów.

Luz podeszła do siedzącej na fotelu Trishy i kolejno ściągnęła jej wysokie buty. Cofnęła się o krok i strzepnęła kurz z dłoni.

- Dziękuję ci. - Trisha zdjęła przez głowę sweter i odrzuciła go na łóżko. - Pachnę koniem - powiedziała, wachając swoje dłonie. - Prysznic świetnie mi zrobi. Mam nadzieję, że nie zużyłaś całej ciepłej wody.

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- O czym? - Trisha odpięła suwak spodni.

- Choćby o prysznicu - powiedziała Luz, zirytowana obojętnością, z jaką córka traktuje jej obecność.

- Jest wyjątkowo hałaśliwy, prawda? - Roześmiała się i wstała z fotela, żeby zdjąć dzinsy.

- Trisha! Mówię poważnie.

- O prysznicu? - Spojrzała na matkę ironicznie.

Luz zastanawiała się, czy córka celowo udaje, że nie rozumie, o co jej chodzi, czy po prostu chce uniknąć rozmowy.

- Nie o prysznicu, tylko o twoim zachowaniu w stosunku do Raula. Robisz z siebie idiotkę.

Zauważyła błysk niechęci w oczach Trishy i już wiedziała, że przyjęła niewłaściwą taktykę. Nie powinna zaczynać od oskarżeń, tylko przekonać córkę.

- Czyżby? - zapytała wyzywająco Trisha.

- Tak. - Luz z wysiłkiem próbowała opanować gniew. - Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo rzuca się to w oczy. To jest po prostu żenujące.

- Nie wiem, o czym mówisz?

- Co innego poprosić mężczyznę, żeby pomógł ci zsiąść z konia, chociaż sama możesz sobie poradzić, a zupełnie co innego opowiadać mu o tym, jak brałaś prysznic. Wyraźnie chciałaś zachęcić go, żeby wyobraził sobie ciebie stojącą nagą pod strumieniem wody. Jestem pewna, że uważasz to za oryginalny i prowokujący sposób zwrócenia na siebie uwagi, ale dla mnie jest to niesmaczne i prostackie.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziła ze złością.

Ubrana tylko w staniczek i majteczki, Trisha stanęła wprost Luz, opierając dłonie na biodrach.

- A skąd wiesz, że Raul nie widział mnie już nagiej?

Luz zbladła.

- Kłamiesz! - krzyknęła, ale zadziorne spojrzenie córki mówiło jej, że to chyba prawda.

- Tak uważasz? To dlaczego nie zapytasz o to Raula?

Luz odwróciła się gwałtownie i wycofała do swojej sypialni. Dręczyły ją wątpliwości. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Dotychczas była pewna, że zainteresowanie jest całkowicie jednostronne. Zawsze potrafiła poznać, kiedy córka kłamie. Tym razem mówiła prawdę.

Zamknęła oczy, ale w wyobraźni widziała Trishę i Raula nagich, leżących razem w uścisku. Broniła się przed tym obrazem. Nie chciała, by okazał się prawdziwy.

Śmiała się i płakała równocześnie, i mimo wszystko żywiła nadzieję, że któregoś dnia Raul weźmie ją w objęcia. Jego twarz ciągle pojawiała się w jej najskrytszych marzeniach.

Jakaż w tym okrutna ironia. Co za tragikomiczna sytuacja. Pierwszy mężczyzna, który po rozwodzie wzbudził jej zainteresowanie, uwikłany jest w romans z jej córką.

Było to bolesne. Bolesne prawie tak jak utrata Drewa. Widziała w tym po prostu powtórzenie poprzednich doświadczeń. Bezwiednie podeszła do łóżka i rzuciła się na przykryty miękką kołdrą materac. Płakała cicho. Pomyślała, że nigdy nie potrafi zaakceptować związku Trishy z Raulem. Zawsze będzie ją dręczyć zazdrość. Nie wiedziała, co zrobić. Jej życie stało się tak pogmatwane. Jeśli podobnie ma wyglądać jej starość, to już lepiej od razu umrzeć.

Słońce ogrzewało nie osłoniętą rondem kapelusza twarz Luz, kiedy stała przy skraju boiska i śledziła rozgrywającą się na nim akcję. Tego przedwiosennego popołudnia było tak ciepło, że zdjęła sweter i zarzuciła go sobie na plecy, zawiązując rękawy pod szyją. Odczuła na ramionach jego ciężar. Równie ciężko było jej na duchu.

Od grupy zawodników oderwał się jeździec i pogalopował w kierunku toczącej się po murawie piłki. Był to Rob, grający z numerem czwartym na pozycji obrońcy, w drużynie ubranej w białe koszulki. Powinien był zagrozić drogę atakującemu zawodnikowi, zamiast tego pognął na spotkanie piłki, zostawiając odsłoniętą bramkę i nie pilnowanego przeciwnika. Miał oczywiście szansę odbić piłkę, ale gdyby mu się to nie udało... Udało się! Wykonał poprzeczne uderzenie pod szyją konia i skierował piłkę ku środkowi pola.

Niestety, radość trwała krótko. Piłka upadła dokładnie przed nogami kuca zawodnika przeciwnej drużyny, ten skierował ją w stronę bramki, przy której czekał pozostawiony przez Roba napastnik, który bez najmniejszego trudu zdobył punkt. Rob znajdował się zbyt daleko, by mu przeszkodzić.

- Co ty wyrabiasz? - mruknęła Luz.

- Często tak się zdarza, *señora* Luz - powiedział Hector Guerrero. Stał obok niej ze stoperem w ręku. Na szyi zawieszony miał gwizdek. Pełnił rolę sędziego. Do jego obowiązków należało kontrolowanie czasu gry, liczenie punktów i rozstrzyganie ewentualnych sporów pomiędzy zawodnikami. - Nowy gracz zawsze chce się popisać. Raul mówi, że na początku kursu zawodnicy grają zwykle „solo w polo”, dlatego zaczyna trening od rozegrania paru meczów, żeby się zorientować, jakie każdy z nich ma wady. Czasem, kiedy ktoś zbyt stara się dobrze wypaść, wychodzi na głupka.

- To prawda - Luz uśmiechnęła się, słysząc jego życzliwy komentarz.

Wczoraj, w niedzielę, przyjechali ostatni uczestnicy kursu. W większości byli to ludzie w wieku pomiędzy dwadzieścia a trzydzieści lat, dwaj nawet po trzydziestce. Grupę tworzyło czterech Argentyńczyków, Meksykanin, Niemiec, syn arabskiego szejka i trzech graczy ze Stanów, w tym jeden z Teksasu, było to więc towarzystwo międzynarodowe. Wielojęzyczna rozmowa przy wczorajszej kolacji sprawiała wszystkim kłopoty. Na szczęście okazało się, że lepiej lub gorzej, ale jakoś wszyscy potrafią porozumieć się po angielsku.

Po przeciwnej stronie boiska Luz dostrzegła ubrane na biało postacie. Niedawno Trisha wystrojona w białą sukienkę poszła w tamtą stronę, ale Luz nie była w stanie jej rozpoznać. Wreszcie zorientowała się, że są to dwaj Arabowie ubrani w narodowe luźne chlamidy; przyjechali tu w towarzystwie Hanifa, syna szejka. Nie wiedziała, czy pełnią oni rolę osobistej obstawy, czy przyjaciół, w każdym razie zawsze przynajmniej jeden z nich towarzyszył Hanifowi. Po chwili zauważyła również córkę. Trisha siedziała na trawniku i rozmawiała z ubranym w czerwoną koszulkę Teksasńczykiem.

W polu widzenia Luz znalazł się jeździec kłusujący wzdłuż krawędzi boiska. Był nim Raul. Wprawilo ją to w stan lekkiego napięcia, ale on nie zwrócił na nią uwagi. Podjechał do Hectora i prawie niedostrzegalnym ruchem ściągnął wodze. Koń zwolnił do stępa.

Trudno było nie podziwiać, jak świetnie zgrani są ze sobą potężny wierzchowiec i siedzący na jego grzbiecie mężczyzna. Raul powiedział parę słów po hiszpańsku. Hector spojrzał na stoper, odpowiedział coś, po czym Raul, nie zatrzymując się, zawrócił konia i ostrym tokiem pojechał w stronę środka boiska,

gdzie zgromadzili się już gracze. W tym meczu był jedynie obserwatorem - sam nie brał udziału w grze.

- Zostały jeszcze trzy minuty - powiedział Hector do Luz. - Zaraz mecz się skończy. - Skinęła głową, nie odrywając wzroku od Raula. Wyobraźnia podsunęła jej obraz jego szerokich pleców bez koszulki. Takie właśnie musiała oglądać Trisha. - Jedzie, jak gdyby był zrosnięty z koniem, prawda?

Spojrzała zaskoczona na Hectora. Zorientowała się, że zauważył, w jaki sposób patrzy na Raula. Chcąc ukryć zakłopotanie, odwróciła się znów w stronę boiska.

- To prawda - powiedziała.

- Czy zna pani legendy o naszych *gaucho*? Mówiono, że są to pół-ludzie, pół-konie. Wasi kowboje chwyтали na lasso krowy. *Gaucho* galopował na koniu za uciekającą dziką krową i w biegu, posługując się ostrym oszczepem, podcinał jej ścięgna w tylnych nogach. Galopujący koń, pewna ręka i oko - zupełnie jak w polo.

- Tak. *El señor de nada*.

Luz dobrze zapamiętała ten zwrot. Po tym, jak zobaczyła pampasy, zrozumiała wyniosłość Raula. Wiedziałła w nim teraz arystokratę, nie władającego, co prawda, rozległymi dobrami, ale posiadającego lordowską dumę.

- Widzę, że słyszała już pani nasze historie - uśmiechnął się Hector.

- Niezupełnie. Coś tam kiedyś wpadło mi w ucho.

Raul rzucił piłkę pomiędzy zawodników. Gra została wznowiona. Na szczęście Rob nie popełnił już żadnego rażącego błędu. Inni również grali w miarę poprawnie. Po zakończeniu meczu Rob, wyraźnie przeżywając swój błąd, odłączył od innych zawodników i samotnie zjechał z pola.

- *No se olvide*, proszę nie zapomnieć - Hector zwrócił się do Luz, która ruszyła na spotkanie syna. - Za godzinę zaczyna się nasz wielki festyn. Spróbuje pani *asado*.

- Wiem. Nie mogę się już doczekać - odparła.

Przygotowania do zapowiedzianej uroczystości połączonej z pieczeniem mięsa na rożnie trwały od samego rana i angażowały całą służbę. W powietrzu czuło się już zapach dymu z paleniska ulokowanego na małym podwórzu na tyłach domu. Luz zbyt mocno zajęta była innymi sprawami, by poświęcić temu więcej uwagi.

Po rozstaniu z Hectorem przekroczyła polną drogę oddzielającą boisko od stajni. Nie spieszyła się zbyttnio na spotkanie z Robem. Chciała zostawić mu trochę czasu na ochłonięcie po nieudanej akcji. Kiedy podeszła do niego, zsiadł już z konia i czekał na stajennego, by oddać mu wodze. Odwrócił się w stronę Luz, ale nie patrzył na nią. Stał ze spuszczoną głową, uderzając czubkiem kija o ziemię. Jego twarz wyrażała głębokie niezadowolenie z siebie. Nie musiała o nic pytać.

- Wydawało mi się, że mogę to zrobić - powiedział cicho, tak by nie usłyszeli go inni wracający z boiska zawodnicy. - Gdyby tylko Juan odebrał moje podanie, to łatwo zdobylibyśmy punkt.

- Grałeś w obronie. Powinieneś pamiętać o obowiązkach związanych z tą pozycją. Przede wszystkim miałeś osłaniać bramkę i przeszkadzać przeciwnikom, a nie zdobywać punkty dla drużyny. Zostawiłeś nie pilnowanego zawodnika tuż pod swoją bramką. Podjąłeś ryzyko, a obrońcom nie wolno ryzykować.

- Tak - uniósł głowę i spojrzał w górę nieco na prawo od niej. - Popełniłem paskudny błąd, prawda?

Luz zorientowała się, że jego słowa skierowane są nie tylko do niej. Wokół nich był taki ruch, że nie zauważyła podjeżdżającego do nich Raula. Siedząc na koniu, wyglądał niezwykle imponująco. Gdy

napotkała jego chłodne spojrzenie, nie miała wątpliwości, że wysłuchał jej wykładu o odpowiedzialności obrońcy.

- Zgadzam się z tym, co powiedziała twoja matka. Istotnie, pozostawiłeś nie osłoniętą bramkę. Jednakże odbijając piłkę, popełniłeś jeszcze większy błąd - stwierdził Raul. - Powiedz mi, dokąd ją kierowałeś?

- Po prostu w pole - powiedział Rob po chwili wahania. Nie był pewny, czy jest to prawidłowa odpowiedź.

- Ale czy do któregoś ze swoich kolegów?

- Nie.

- Na tym właśnie polegał twój błąd. Graczowi nie wolno uderzać w piłkę na oślep, niezależnie od tego, czy jest to podanie, czy strzał do bramki. Musisz kierować ją w określone miejsce, wiedzieć, gdzie są twoi partnerzy, i do którego z nich skierować podanie. Najlepiej można obronić się przed utratą gola, nie oddając piłki przeciwnikom i kontrolując zawsze jej położenie.

- Masz rację. - Rob sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niezadowolonego z siebie. Obwinił się za to, że nie dostrzegł spraw tak oczywistych.

Równocześnie Luz zorientowała się, że i ona została ustawiona na właściwej pozycji. To, co powiedziała, było słuszne, ale Raul dał jej delikatnie do zrozumienia, że jej wiadomości są mocno niekompletne.

- Nie przejmuj się, Rob. Przyjechałeś tutaj po to, żeby się uczyć - powiedział Raul, lekko dotknął boku konia stępioną ostrogą i zmusił go do ruszenia naprzód.

Patrzyła za nim, kiedy jechał przez dziedziniec stajni. Czowała się odrobinę dotknięta, chociaż w pełni zdawała sobie sprawę, że Raul nie dokuczył jej świadomie. W końcu dał tylko do zrozumienia, że wygłaszane przez nią uwagi nie są błędne, jedynie niepełne.

Potem zauważyła, że Trisha podbiegła do niego i zatrzymała jego konia, chwytając go za uzdę. Raul zeskoczył z siodła i połuźnił popręg. Widok roześmianej córki, rozmawiającej z nim, niezależnie od tego, z jak wielką rezerwą Raul odnosił się do niej, był dla Luz trudny do zniesienia.

- Idę do domu - zwróciła się do Roba.

- Za chwilę też tam przyjdę.

Po rozmowie z Raulem mógł już spokojnie dołączyć do grupy kolegów. Ruszył w ich stronę.

Ogień pod rusztami, na których upieczone zostało mięso, jeszcze płonął, łagodząc wieczorny chłód i rozjaśniając nieco cienie zapadającego zmierzchu. Luz ubrana w jasny kostium siedziała przy długim stole ustawionym na podwórzu za domem i patrzyła na stojący przed nią, ciągle jeszcze pełny talerz. Czowała, że nie potrafi już zjeść ani kęsa. Potrząsnęła głową. Rozpuszczone włosy zafalowały na jej ramionach.

- Naprawdę nie mogę - stwierdziła wycierając ręce w serwetkę. - Ta ilość jedzenia na moim talerzu wystarczyłaby dla czterech osób.

- Staramy się, żeby pani nieco przytyła - powiedział siedzący naprzeciwko niej Hector, pokazując w uśmiechu białe zęby. - Smakowało pani *el asado*?

- *Muy bueno*. Dobrze to wymówiłam?

- *Si*.

Towarzyszący temu potwierdzeniu gest wskazywał, że może pochwała nie została wyrażona zbyt poprawnie, ale nie ma to większego znaczenia.

- Cholernie kaloryczne jedzenie - stwierdził Duke Sovine, zwracając się do Luz. Zagłębił nóż w kawałku pieczeni i spojrzał na siedzącego po jego drugiej stronie Meksykańczyka. - Miguel, zawsze myślałem, że wasze *cabrito* to najlepsza potrawa, jaką jadłem, ale to, co tutaj zrobili, bije ją na głowę. - Włożył sobie do ust spory kawałek mięsa i jadł kręcąc z podziwem głową. - Muszę się dowiedzieć, jak oni to robią, i nauczyć tego Angie. Moją żonę - wyjaśnił.

Trzydziestodwuletni gadatliwy Teksaszczyk, najstarszy uczestnik kursu, był synem jednego z bogatych, niezależnych producentów ropy naftowej. Na palcu nosił duży złoty sygnet w kształcie mapy Teksasu, z osadzonym pośrodku dwukaratowym brylantem, symbolem tego stanu. Grę w polo traktował jako hobby, ale podobnie jak większość amatorów, był nią zafascynowany.

- Moja żona jak nikt w Huston uwielbia urządzenie przyjęć na świeżym powietrzu. Chciała przyjechać tutaj ze mną, ale jest jeszcze bardziej zajęta niż ja. Działa w tylu organizacjach, fundacjach i klubach, że nie wspomnę o trójce naszych dzieciaków. - Odłożył na chwilę sztucce i sięgnął do kieszeni. - Pokażę pani zdjęcia naszych maluchów.

Luz spojrzała na wyjęte z portfela fotografie. Przedstawiały dwóch chłopców i dziewczynkę w wieku od trzech do siedmiu lat. Pomyślała, że opis życia jego żony pasuje świetnie do sytuacji, w jakiej sama była przed rozwodem.

- Przemile dzieci.

- Tak. Jestem z nich dumny. - Duke Sovine włożył zdjęcia do plastikowych okładek w portfelu i wsunął go do kieszeni. - Lance, najstarszy, ma zadatki na dobrego gracza polo. Na wiosnę wystąpił pierwszy raz w dziecięcej drużynie.

- Rob też w tym wieku zaczynał grać.

- Muszę przyznać, że trudno było mi uwierzyć, że jest pani jego matką. Myślałem, że starszą siostrą. Przysięgam, że to nie komplement. Jest pani piękną kobietą. - Jego szeroko uśmiechnięta twarz zdawała się być jeszcze szersza, bardziej otwarta i tak ciepła, jak stan, z którego pochodził.

- Dziękuję. - Przyjemnie było usłyszeć tak miłe słowa.

- Jest pani córką Jake'a Kincaida, prawda?

- Tak.

- Słyszałem, że był to w swoim czasie poważny biznesmen. - Odsunął się od stołu. Jego talerz był już pusty. Poglądził się po brzuchu i obrzucił wzrokiem pozostałych gości. Ich twarze oświetlały świece ustawione na długim stole. - Cała nasza grupa zebrała się tutaj.

- Jest bardzo zróżnicowana - powiedziała Luz unikając patrzenia w kierunku końca stołu, gdzie siedział Raul. Trisha oczywiście zajęła miejsce obok niego.

- Bo ja wiem... Teraz wszystko jest pomieszane. Mamy ropę meksykańską, argentyńską, arabską, teksańską, to czemu nie mielibyśmy mieć też takich hodowców koni i zawodników. - Oparł dłonie na krawędzi stołu, zamierzając wstać. - Proszę mi wybaczyć. Chciałbym zamienić kilka słów z Hanifem. Może dowiem się czegoś o cenach, jakie planuje OPEC na najbliższą zimę.

- Powodzenia - uśmiechnęła się do niego.

Ściskając w rękę szklankę z piwem, Teksańczyk podszedł do Araba. Dwie ubrane na biało postacie stały za jego krzesłem.

Z tym dobiegł ją dźwięk potrąconej struny gitary. Spojrzała przez ramię i zauważyła trzech ubranych w stroje ludowe mężczyzn z gitarami w rękach. Stojąc na skraju kręgu światła, rzucanego przez ognisko, zaczęli śpiewać hiszpańskie pieśni ludowe.

- Przygotowaliśmy na dzisiaj występy artystyczne - powiedział Hector, widząc jej zainteresowanie. - To są miejscowi muzycy, ale całkiem dobrzy.

- Podobają mi się - zgodziła się Luz.

Prawie wszyscy goście skończyli się posilać i zaczęli opuszczać swoje miejsca. Pomimo bariery językowej nawiązywali rozmowy ze współbiednikami. Luz również wstała i podeszła do Roba. Opowiadał właśnie Hanifowi o swojej wizycie w Anglii i meczach polo w Windsorze. Przysłuchiwała się przez chwilę, po czym wdała się w dyskusję o wyścigach konnych z Niemcem, Gregorem. Powoli wszyscy wstali od stołu i zgromadzili się wokół ogniska, rozmawiając i paląc papierosy lub cygara.

- Luz - Trisha dotknęła jej ramienia - zauważyłaś, jakie ci mężczyźni mają na sobie stroje?

- Tak - odparła i nadal przyglądała się muzykom.

- To tradycyjny ubiór naszych *gaucho* - objaśnił Hector.

- Szalenie mi się podoba - zachwycała się Trisha. - Spójrz na ich bufiaste spodnie. Wyglądają jak noszone dawniej damskie szorty.

- Nazywają się *bombachas*.

Hector przywołał po hiszpańsku jednego z muzyków.

Mężczyzna przewiesił gitarę przez plecy i podszedł do nich. Stał nieruchomo, w czasie gdy Hector objaśniał szczegóły jego stroju. Przez ramię przerzuconą miał *chiripe* - barwną szarfę, zawiązaną na klamrze szerokiego pasa, ozdobionego zwisającymi na łańcuszkach srebrnymi monetami. Hector zapytał go o coś. Gitarzysta sięgnął za plecy i wyjął zza pasa srebrną pochwę.

- To jest *facon*. - Hector wyjął z niej sztylet o podwójnym ostrzu. - To jedyne narzędzie i jedyna broń *gaucho*. Zabijali tym sztyletem i posługiwali się nim przy jedzeniu.

- Czy oni nadal ubierają się w ten sposób? - zapytała Trisha.

- Tylko dla turystów - odpowiedział Raul, stojący za Hectorem. Luz poczuła zapach jego cygara.

- *Bombachos* i *chiripa* to tak jak dzinsy i kowbojskie buty. Ciągłe jeszcze używane są przez *gauchos* pracujących w estancjach - wyjaśnił Hector. - Natomiast nikt już nie nosi *hotas de porto*. Były to buty wykonane ze skóry zdartej z tylnej nogi żrebaka. Naciągano ją na stopy, póki była miękka i wilgotna. Po wyschnięciu przylegała ciasno do nogi.

- To okropne - skrzywiła się Trisha.

- Teraz, kiedy nie zabija się już dzikiego bydła na pampasach, wyszły z użycia potrzebne niegdyś oszczepy przy chwytaniu bydła korzysta się z *boleadoras*, długiej linki z przyczepionymi na końcu kulkami.

- Przed wyjazdem muszę sobie kupić taki strój wzbudzi sensację na uniwersytecie - stwierdziła Trisha.

- Jestem pewny, że na tobie będzie się prezentował lepiej niż na nich - powiedział Duke Sovine, który tymczasem dołączył do nich.

- Zaczynij się już teraz za nim rozglądać, bo do wyjazdu zostało ci tylko dziesięć dni - ostrzegł ją Rob.
- Nie przypominaj mi o tym - zaprotestowała.
- Czy nie zostaniesz z bratem do końca kursu? - zapytał Hanif. Oxfordzki akcent zabrzmiał nieco dziwnie w ustach wyglądającego egzotycznie Araba, ubranego tym razem podobnie jak jego opiekunowie.
- Niestety nie.
- Nie możesz przedłużyć pobytu w estancji? Nie widzę powodu, żeby tak szybko wyjeżdżać.
- Być może - odparła Trisha, a potem, patrząc spod oka na Raula, dodała: - Nie zostałam jednak zaproszona.

Luz również spojrzała na niego. Zauważyła, że głęboko zaciąga się dymem z cygara, co może miało usprawiedliwić jego milczenie.

- Jestem pewien, że to się uda załatwić - powiedział Hanif.

- Panie i panowie! Mamy coś dla was! - zawołał Hector wskazując służących, którzy wnieśli tace zastawione naczyniami wykonanymi z wydrążonych tykw. - To jest *mate* podana w tradycyjny sposób, tak jak pili ją nasi *gaucho*. Zaparzali tę herbatę w tykwie i sączyli ją przez srebrną rurkę.

Luz wzięła okrągłe naczynie, podane jej przez służącego, stanęła z boku grupy i powoli piła gorący aromatyczny napój. Muzyk wrócił tymczasem do swoich kolegów. Trisha nieoczekiwanie dla Luz zostawiła Raula i skierowała uwagę ku innym gościom. Śmiała się, rozmawiała, żartowała, flirtowała, skupiając wokół siebie grupkę młodych ludzi tłoczących się przy niej jak kolibry wokół jaskrawego kwiatu. Niewątpliwie pragnęła, by Raul był o nią zazdrosny.

Popijając *mate* przez krótką srebrną rurkę, Luz zastanawiała się, czy córce powiedzie się ten zamiar. Uznała, że raczej nie. W stosunku Raula do Trishy nie zauważyła śladu jakichś żywszych uczuć, chociaż być może krył się z nimi, wiedząc, jak bardzo przeciwna jest ich związkowi.

Ktoś dorzucił do ogniska więcej drewna i iskry rozprysły się wokół. Płomienie strzeliły wyżej w górę. Gwar rozmów, śmiechy zmieszane z dźwiękami gitar działały na Luz przygnębiająco. W gęstniejącej ciemności zapadającego zmierzchu wpatrywała się w gwiazdy lśniące na ciemnofioletowym niebie. Oddała tykwę z *mate* przechodzącemu obok służącemu i ruszyła przez tonące w mroku podwórze.

W miarę jak oddalała się od ogniska, coraz bardziej pogrążała się w wieczornej ciszy. Nie próbowała uporządkować swoich skołatanych myśli. Po prostu wędrowała przed siebie, z rękami w kieszeniach spódnicy. Lekki wiatr poruszał gałęziami drzew otaczających zabudowania. Szła w ich kierunku. Z dala od ogniska było znacznie chłodniej, ale nie zwracała na to uwagi.

Pod drzewami ciemność była gęstsza. Luz zanurzyła się w nią, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. Teren był tak płaski, że nie musiała patrzeć pod nogi. Usłyszała jakiś szelest w pobliżu drzew. Oczekiwała, że rozlegnie się zaraz łopot skrzydeł spłoszonego ptaka.

Nagle pojawiła się przed nią jakaś tajemnicza postać. Luz zatrzymała się gwałtownie.

- *Señora* - usłyszała niski męski głos. - *Por favor*.

Mężczyzna wyciągnął rękę w jej kierunku. Luz pomyślała, że żąda pieniędzy, ale w tym momencie zauważyła strzelbę przewieszoną przez jego ramię.

W przerażeniu cofnęła się o krok, a potem rzuciła się do ucieczki, ale wpadła na drugiego stojącego za nią mężczyznę. Objęły ją mocne ręce. Desperacko zaczęła się wyrywać.

- Spokojnie, spokojnie. Nic się nie stało.

Z ulgą rozpoznała głos Raula. Znieruchomiała, z dłońmi opartymi o jego pierś. Raul powiedział coś po hiszpańsku i stojący za nią mężczyzna rozplątał się w ciemności.

- Przykro mi, jeśli Eduardo przestraszył panią.

- Co on tu robi? Dlaczego był uzbrojony? - Luz ciągle jeszcze czuła przyspieszone bicie serca.

- Mam ważnych gości, muszę więc dbać o ich bezpieczeństwo. To wszystko - odparł Raul.

Czuła ciągle jego ręce na swoich ramionach i bliskość jego ciała. Cofnęła się o krok.

- Powinniśmy wracać - zaproponował i odwrócił się w stronę domu.

- Przeciwno komu są te środki ostrożności? - zapytała.

- W ostatnich latach zdarzają się porwania różnych znanych osobistości. Jest mało prawdopodobne, by doszło do tego tutaj, na wsi, ale wolę uniknąć ryzyka.

- Kto robi takie rzeczy? - Luz słyszała o porwaniach. Ich ofiarami byli na ogół przedstawiciele obcych rządów lub wielkich korporacji.

- Wiele aktów terroru związanych jest z polityką. W innych krajach są one równie częste jak tutaj. - Ruszyli powoli w stronę ogniska. - Takie działania utrudniają jedynie pracę tym, którzy próbują doprowadzić do pozytywnych zmian drogą pokojową.

- Czy pana również interesuje polityka?

- Ja gram w polo. Większość Argentyńczyków nie interesuje się polityką. Nie wierzą, aby jakikolwiek rząd potrafił rozwiązać wszystkie nasze problemy. To samo zresztą mówią w pani kraju. Istnieje u nas powiedzenie, że „Bóg jest Argentyńczykiem”, ale często się dodaje: „Gdyby nie był, stalibyśmy się jeszcze gorsi”. Rządy przychodzą i odchodzą, a Argentyna istnieje. Jest jak pampasy.

- Tak. - Luz rozumiała, że Raul wierzy w swój kraj, ale niezbyt ufa władzom, które nim kierują.

- Prosiłbym, żeby pani nie oddalała się samotnie od domu. Nie sędzę, żeby mogło zdarzyć się coś złego, ale lepiej nie ryzykować.

Pamięć o tajemniczym mężczyźnie, który chwilę wcześniej pojawił się przed Luz, wzmocniła efekt tej prośby. Na samą myśl o przeżytych strachu wstrząsnął nią dreszcz.

- Na pewno pani zmarzła. - Raul zatrzymał się. Dostrzegła, że zdejmuje marynarkę.

- Nie, ja... - zanim zdążyła zaprotestować, zarzucił jej marynarkę na ramiona.

Materiał zachował ciepło jego ciała. Odruchowo otuliła się nią. Czuła delikatny zapach jego cygar i męskiej wody kolońskiej.

- Jestem przyzwyczajony do chłodu - uprzedził jej protest.

Kiedy spojrzała na niego, nie była w stanie powiedzieć ani słowa. Ta chwila była tak ulotna... Nie chciała jej utracić. Widziała jego oczy z powiększonymi w półmroku źrenicami otoczonymi jasną tęczówką. Wyczuła ich prawie niedostrzegalny ruch, kiedy przebiegł wzrokiem po jej twarzy. Potem uniół rękę i poczuła lekkie dotknięcie jego palców na szyi. Przeniknął ją głęboki dreszcz. Cofnęła się szybko, zanim drżenie mogło zdradzić jej prawdziwe uczucia.

- Nie chcę pańskiej marynarki - zdjęła ją z ramion.

- Ja... - cofnął się o krok.

- Powiedziałam panu, że nie jest mi potrzebna - powtórzyła, wciskając mu ubranie w rękę.

Ruszyła szybko w stronę ogniska. Raul zarzucił marynarkę na siebie i szedł kilka kroków za nią. Wyczuła jego wściekłość, ale nie przejmowała się tym. Nie była pewna, co może się zdarzyć w przyszłości, ale wiedziała, że nie będzie w stanie znieść kolejnej porażki. Jeśli miałby być w jej życiu jakiś inny mężczyzna, nawet na krótko, to musi mieć pewność, że zainteresowany jest wyłącznie nią, a nie kimś innym.

Kiedy znaleźli się w kręgu światła, Luz zauważyła, że Trisha obserwuje ich powrót. Wróciła fala wątpliwości. Luz postanowiła dowiedzieć się, co zaszło pomiędzy córką a Raulem. Wcześniej wzbraniała się przed poznaniem szczegółów, teraz jednak chciała wiedzieć.

Zbliżył się do nich Hector.

- Widzę, że Raul panią znalazł. Zauważyłem, jak... - spojrzał na Raula i widocznie odebrał jakiś sygnał, gdyż przerwał rozpoczęte zdanie. Zamiast tego zapytał: - Może napije się pani czegoś, *señora* Luz?

- Nie, dziękuję.

- Hej, gdzie ty zniknęłaś. Luz? - Duke Sovine zjawił się z kolejną szklanką piwa w ręce.

- Zrobiłam sobie mały spacer.

- Tutaj jest dla ciebie zbyt głośno - powiedział. Potem wskazał ręką towarzyszącego mu rudego mężczyznę. - Poznałeś już tego pana? To Rusty Hanson.

- Tak - uśmiechnęła się do trzeciego Amerykanina w grupie, młodzieńca ze stanu Illinois.

- Szkoda, że wkrótce pozbedziemy się towarzystwa dwóch pięknych dam. Jako człowiek żonaty, przyzwyczajony jestem do obecności kobiet. Ci młodzi chłopcy - Duke wskazał grupę otaczającą Trishę - na pewno mają coś innego na myśli. Oni nie mają pojęcia, że z kobietą można prowadzić interesującą rozmowę. Gdybym miał córkę w jej wieku, wcale bym sobie nie życzył, by przebywała w takim towarzystwie. Nie dziwię się, że ją pani stąd zabiera.

- Ależ ja nie wyjeżdżam razem z Trisha - wyjaśniła Luz. - Ona musi wracać, bo wkrótce zaczynają się zajęcia na uniwersytecie. Ja zostanę tutaj parę tygodni dłużej. Rob zamierza nabyć kilka koni i muszę mu pomóc w zorganizowaniu transportu.

- To świetna wiadomość. Dziwię się tylko, że mąż pozwala pani wyjeżdżać na tak długo.

- Jestem rozwiedziona.

- O! Wlazłem z kopytami w nie swoje sprawy - powiedział zażenowany Duke.

- To nie ma znaczenia - zapewniła go i istotnie w tej chwili tak uważała.

W godzinę później Luz przeprosiła towarzystwo i udała się do swojego pokoju. Kiedy już się przebrała, usłyszała kroki na schodach i męskie głosy w holu.

Po chwili wahania weszła do łazienki, a stamtąd do pokoju Trishy. Zapaliła lampę stojącą przy łóżku i postanowiła zaczekać.

Minęło pięć minut, potem dziesięć, aż wreszcie usłyszała odgłos cichych kroków, a potem zgrzytnięcie zamka. Do pokoju weszła Trisha. Zatrzymała się na moment, kiedy zobaczyła Luz, i powoli zamknęła drzwi.

- Powinnam być zaskoczona, ale jakoś nie jestem - powiedziała.

- Musimy porozmawiać.

- Przypuszczam, że pytałaś Raula o mnie. - Podeszła do okna. - Co ci powiedział?

- Chciałabym wiedzieć, dokąd to wszystko zmierza? - Luz zignorowała jej pytanie.

- Nie wydaje mi się, żeby to była twoja sprawa.

- Któregoś dnia dałaś mi do zrozumienia, że ty i Raul jesteście, czy też byliście, kochankami. Czy to prawda? - starała się z największym wysiłkiem panować nad swoim głosem, chociaż nerwy napięte miała do ostatnich granic.

- Rob może nie mieć nic przeciwko temu, że urządzasz mu życie, ale ja nie życzę sobie, żebyś ingerowała w moje. - Trisha odwróciła się do okna, potem podeszła do szafy i zdjęła z wieszaka nocną koszulę. - Przestań mnie pouczać, jak mam się zachowywać.

- Chcę wiedzieć, jak daleko zaszła ta sprawa - zażądała Luz.

- A co to ma za znaczenie? Co ci z tego przyjdzie, że będziesz wiedzieć? - Trisha zaczęła się rozbierać. Garderobę rzuciła na stojące w kącie krzesło.

- To ja zadaję pytania. Przestań stosować wykręty jak ojciec - powiedziała ze złością. - Czy byliście kochankami?

- Nie! - Po tej gwałtownej wypowiedzi Trisha stanęła na środku pokoju z rękami splecionymi na piersiach. - Ale nie dlatego, że ja się wzbraniałam. Zachowałam się głupio - dodała spokojniej. - Nie będę zwracać ci głowy szczegółami, ale... Raul nie skorzystał z mojej oferty.

- Dzięki Bogu - mruknęła Luz, odprężona bardziej, niż mogła się tego spodziewać.

- Kiedy to przebolelałam, zapragnęłam go jeszcze bardziej. On musi się mną w końcu zainteresować. Jeśli nie, to... Myślę, że problem leży w tym, że ja jestem bogata, a on nie. Spójrz choćby na ten monstrualny dom. W większości pokoi możesz strzelać z karabinu maszynowego i nie trafisz w nic poza pustą ścianą.

- Trisha rozejrzała się z niesmakiem. - To ci cholerni południowoamerykańscy *macho*. Oni chcą, żeby kobietę było widać, ale żeby nie było jej słychać. Żona ma przebywać w domu z dziećmi. Trudno poradzić sobie z tą ich przekłętą męską dumą.

- Posłuchaj, Trisha. Małżeństwo to nie jest to, co ci jest teraz najbardziej potrzebne. Chcesz, żeby twoje życie miało jakiś sens i znaczenie. Chcesz być czymś więcej niż tylko żoną wychowującą dzieci i dbającą o dom. Nawet gdybyś go zdobyła, twoje życie nigdy nie ułożyłoby się zgodnie z twoimi pragnieniami. On ma zbyt wiele lat, by zmienić swoje przyzwyczajenia. Jest dla ciebie za stary.

- Ty nawet nie próbujesz mnie zrozumieć - powiedziała zirytowana Trisha. - Kocham go, a kiedy się kogoś kocha, można znieść wszystko.

- Nie, nie zawsze. Przecież ja i twój ojciec bardzo się kochaliśmy, ale nasze małżeństwo nie okazało się trwałe. Zbyt różniliśmy się od siebie. Jedyne, co nas naprawdę łączyło, to ty i Rob.

- To nie to samo.

- Tak uważasz? Wydaje mi się, że ty nawet nie kochasz go tak naprawdę. Raul jest dla ciebie wyzwaniem. Kimś, kogo nie możesz zdobyć, więc tym bardziej tego pragniesz.

- O nie! - Trisha zdecydowanie potrząsnęła głową. - Wyobraźnia może płatać mi figle, ale kiedy mnie całował, moje uczucia były całkiem realne.

Przez chwilę Luz sądziła, że romans jest całkowicie jednostronny, że nie istnieje nic, na czym Trisha mogłaby oprzeć swoje nadzieje. Okazało się, że nie miała racji, ale ciągle jeszcze był czas, by zapobiec niekorzystnemu rozwojowi sytuacji.

- Nie mogę pozwolić, żebyś popełniła taki błąd - stwierdziła.

- Nie mieszaj się w te sprawy, Luz - ostrzegła Trisha. - To jest moje życie, nie twoje. Jeśli chcesz pełnić rolę matki, to ciesz się, że znalazłam kogoś, na kim mi zależy. Jeśli będę miała złamane serce, to pomożesz mi je uleczyć, ale na razie nie wtrącaj się w to wszystko.

Luz pomyślała, że jest to mądra, zbawienna rada. Podniosła się i ruszyła w kierunku drzwi łączących ich pokoje. Zanim wyszła, zatrzymała się i spojrzała na córkę.

- Każesz mi patrzeć, jak wchodzisz na jezdnię przed pędzący samochód i czekać, czy potrafi cię, czy nie. Jak myślisz, która matka zdobędzie się na coś takiego?

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

20

Kurs rozpoczął się w poniedziałek. Już po trzech dniach przyglądania się zajęciom Luz nabrała pewności, że szkolenie traktowane jest poważnie. Poza Raulem z kursantami pracowało jeszcze dwóch zawodowych graczy, również Argentyńczyków. Przy jakiejś okazji odniosła wrażenie, że Raul nie jest zadowolony z jej obecności na treningach. Uważał ją zapewne za zbyt troskliwą matkę, ale nigdy nic na ten temat nie powiedział.

Nie dopuszczono jej tylko do udziału w codziennych wieczornych zebraniach, na których omawiano przebieg szkolenia. Sesje te odbywały się za zamkniętymi drzwiami i tylko Anna mogła wejść z piwem lub mrożoną *mate*. W środę narada trwała trzy godziny i pewno przeciągnęłaby się jeszcze bardziej, gdyby nie przerwał jej Hector zaproszeniem na kolację.

Rob informował ją, że dyskusja dotyczy najczęściej rozstawienia zawodników i strategii gry. Wyłożony zielonym suknem stół bilardowy zastępował boisko, a kule reprezentowały graczy. Omawiano błędy popełniane przez poszczególnych zawodników i zastanawiano się nad tym, jak można było ich uniknąć.

Luz czuła się mocno zawiedziona takim rozkładem codziennych zajęć. Spodziewała się, że wieczory przeznaczone będą na życie towarzyskie w rodzaju niedzielnego festynu. Jednak przez trzy kolejne dni Raul zaraz po kolacji udawał się do biura, gdzie najpierw przez godzinę konferował z pozostałymi trenerami, a później zajmował się papierkową robotą. W środę Trisha weszła do biura, by wyciągnąć go stamtąd, ale bez rezultatu.

W czwartek już od rana nad okolicą wisały niskie czarne chmury, aż wreszcie zaczęło padać. Teren wokół był tak płaski, że woda nie mogła spływać, jednak wchłaniała ją gleba.

Woda chlupała pod stopami, gdy Luz szła trawiastym skrajem drogi prowadzącej ku stajniom. Jednostajny, gęsty deszcz bębnił miarowo o trzymany nad głową parasol. Usłyszała za sobą odgłos szybkich kroków. Duke Sovine biegł w strumieniach deszczu, przytrzymując rękami rondo kapelusza. Na jej widok zwolnił.

- Jeśli szukasz Trishy, to jest w stajni, z Raulem - powiedział.

- A gdzie się podziewa Rob?

Po ostatniej rozmowie z córką nie miała najmniejszej ochoty widzieć ich razem. Trisha nigdy nie uwierzyłaby, że matka znalazła się tam przypadkowo. Jak do tej pory rozkład zajęć uniemożliwiał córce częste spotkania z Raulem, a czas biegł nieubłaganie. W przyszłym tygodniu musi wyjechać i znajdzie się tysiące mil od niego. Luz miała nadzieję, że w tym przypadku potwierdzi się zasada: „Co z oczu, to z serca”.

- Rob? - Duke wcisnął głębiej głowę w kołnierz wiatrówki. - Na pewno w sali do ćwiczeń. Pani syn jest fanatykiem polo. Wykorzystuje każdą okazję, żeby trenować.

- Wiem. - Luz dumna była z tego. - Do zobaczenia. Niech pan zbytnio nie zmoknie.

- Postaram się - roześmiał się i pobiegł dalej.

Trzymając się trawiastego pobocza drogi, ominęła podwórze przed stajniami. Przyspieszyła kroku. Nie chciała spotkać córki, która przebywała w jednym z długich, przylegających do podwórza niskich budynków.

Na estacji były dwa stanowiska do ćwiczeń. Jedno na świeżym powietrzu, drugie pod dachem, używane w razie niepogody. Luz skierowała się w stronę niewielkiego pawilonu na końcu szeregu budynków stajennych. Za pawilonem droga zawracała szerokim łukiem.

Kiedy znalazła się wewnątrz, usłyszała odgłos uderzenia piłki o siatkę ochronną. Deszcz bębnił o zardzewiały blaszany dach. Złożyła parasolkę i oparła ją o ścianę w pobliżu drzwi.

Stanowisko do ćwiczeń otoczone było mocną drucianą siatką przymocowaną do czterech narożnych słupków. Wewnątrz ogrodzenia podłoga łagodnie opadała w kierunku znajdującej się pośrodku platformy o rozmiarach mniej więcej dwa na trzy metry, na której stała drewniana makieta konia. Z baryłkowatego tułowia opartego na czterech mocnych nogach wystawała ukośnie deska imitująca szyję wierzchowca. Po zewnętrznej stronie ogrodzenia biegł metrowej szerokości chodnik, z którego widz bądź instruktor mógł bezpiecznie śledzić ćwiczenia zawodników.

Luz zatrzymała się przy siatce i przyglądała się synowi. Stał obok makiety. Trzymał kij pod pachą i przywiązywał wodze do bawełnianej pętli przymocowanej do końca deski imitującej głowę konia.

- Zbyt mocno ściągnąłeś wodze, prawda? - zauważyła.

Pętla była tak dopasowana, że pękała, jeśli zawodnik uderzając piłkę nadmiernie szarpał wodze, co w czasie gry doprowadzało często do skaleczenia konia wędzidłem.

- Tak - mruknął Rob i usadowił się w siodle przymocowanym do drewnianego grzbietu. - Mam kłopoty z uderzeniem z forhendu, zwłaszcza po lewej stronie.

- Czy zmieniasz odpowiednio uchwyt kija? - Luz poszła na drugą stronę ogrodzenia, żeby lepiej móc obserwować ćwiczenie.

- Tak, ale ciągle za mocno szarpię wodze. Już cztery razy musiałem zawiązywać tę cholerną pętlę.

Ustawił piłkę po lewej stronie makiety, po czym uniósł się w strzemionach, kijem trzymanym w prawej ręce zamachnął się szerokim łukiem ponad głową i uderzył w piłkę. Luz przyglądała się uważnie.

- Tym razem wodze trzymałeś zbyt luźno. Wydaje mi się też, że nie uniosłeś odpowiednio wysoko prawej ręki. Nie trzymaj tak sztywno głowy.

Rob powtórzył uderzenie.

- Teraz było lepiej. Spróbuj wykonać to samo, ale z piłką w ruchu.

Rob ćwiczył zawzięcie, a Luz kontynuowała swoje obserwacje, korygując drobniejsze lub poważniejsze błędy. Zwracała mu uwagę, że zbyt późno unosi się w strzemionach, zbyt późno wykonuje obrót i nie podnosi ręki wystarczająco wysoko. Kiedy piąty raz zerwał pętlę przy pysku „konia”, zauważyła, że sprawia wrażenie zniechęconego.

- Ćwiczysz zbyt nerwowo. Odpręż się. Spróbuj wykonać parę prostych strzałów z forhendu, a potem wrócimy do trudniejszych ćwiczeń - poradziła mu, kiedy zeskokczył na podłogę.

- Wkrótce pętla będzie zbyt krótka, żeby zrobić na niej następny węzeł - odparł.

Po przymocowaniu wodzy, zaczął ćwiczyć proste uderzenia najpierw w nieruchomą, a potem toczącą się z przodu lub z tyłu piłkę.

Pomieszczenie oświetlone było lampą wiszącą u sufitu, bezpośrednio nad makieta konia. Wejście do pawilonu i ściany tonęły w półmroku.

Kiedy drzwi otworzyły się, Luz dostrzegła w nich wysoką męską sylwetkę. Dopiero po chwili, kiedy mężczyzna znalazł się w kręgu światła, rozpoznała w nim Raula. Poprzez dwa siatkowe ogrodzenia widziała jego lśniące włosy i mokre plamy na jasnej marynarce. Raul nie zauważył jej dotąd. Podszedł do siatki i przyglądał się, jak Rob forhendem uderza w piłkę.

- Miałeś ćwiczyć forhend z lewej strony - zdziwił się.

- Ćwiczyłem, ale miałem trochę kłopotów i Luz zaproponowała, żebym zajął się czymś innym.

Kiedy Rob wymówił jej imię, Raul wyprostował się i powiódł wzrokiem wzdłuż siatki, próbując ją odnaleźć.

- Spróbuj jeszcze raz - polecił.

- W porządku. - Rob przetoczył piłkę na lewą stronę makiety, zerkając przy tym na matkę.

Luz patrzyła w napięciu, jak Raul okrąża ogrodzenie, ale zatrzymał się i nie podszedł do niej. Stał na wprost Roba i przyglądał mu się, oddzielony od niego siatką.

- Wykonujesz zbyt mocny obrót ciałem - stwierdził. - Powtórz ten ruch w zwolnionym tempie. Zapomnij o piłce. Wiesz, jak masz trzymać wodze?

- Tak.

- Spróbuj jeszcze raz. Pamiętaj, rękę musisz mieć zgiętą w łokciu, dopóki nie znajdzie się na jednej linii z piłką. Zbyt wcześnie usztywniasz ramię.

Jeszcze trzykrotnie Rob wykonał polecenie pod krytycznym spojrzeniem Raula, który wytykał mu nabyte wcześniej złe nawyki - zbyt wychylenie ciała w lewo i za wczesne prostowanie ramienia.

Luz zaciskała zęby, żeby powstrzymać się od jakichkolwiek uwag. Przy czwartym uderzeniu nie wytrzymała.

- Rob, łokieć!

- Jeszcze raz - polecił Raul.

- Nie mogę tego opanować - warknął ze złością Rob.

- Jesteś zbyt napięty, odpręż się - powiedziała Luz.

- Na dzisiaj wystarczy - zdecydował Raul i ruszył w kierunku wejścia do ogrodzonej siatką przestrzeni.

- Nie jestem zmęczony - zaprotestował Rob.

- Poćwiczmy jutro - odparł Raul. Podszedł do niego i wyjął mu z ręki kij, nie pozostawiając żadnego wyboru.

- Chodź, Rob - powiedziała Luz, kierując się ku wyjściu z pawilonu. - Pójdziemy do domu i może uda nam się namówić Ramonę na przyrządzenie filiżanki gorącej czekolady. Myślę, że to niezły plan na taki deszczowy ponury dzień.

- To mi się podoba - Rob uśmiechnął się, ale bez większego entuzjazmu. Zapomniał już, że kiedy byli mały, uwielbiał czekoladę.

- Chwileczkę, pani Thomas - odezwał się Raul. - Chciałbym z panią porozmawiać.

- Idź naprzód, Rob - powiedziała, przepuszczając go w progu. - Spotkamy się w domu.

- Dobrze. - Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

W zapadłej ciszy wyraźniej słyhać było bębnienie deszczu o dach. Luz zawahała się przez moment, a potem podeszła do bramki prowadzącej do ogrodzonego pola ćwiczeń. Raul stał obok drewnianego konia i czekał, aż podejdziesz bliżej.

- Chciał mi pan coś powiedzieć - odezwała się, przypominając mu, że to on powinien rozpocząć rozmowę.

- Jak pani sądzi, kto z nas jest tu instruktorem?

- Oczywiście pan.

- Wobec tego, dlaczego próbuje pani uczyć syna? On nie może słuchać równocześnie dwóch osób. Albo ja będę go szkolił, albo pani, ale na pewno nie oboje. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno? - Muskuły na policzkach lekko mu drgały.

- Próbowałam mu tylko pomóc.

- Pani pomoc nie jest potrzebna. - Jego głos wibrował gniewem. - Wprawia go pani w zakłopotanie. Ilekroć polecam mu coś, on zerka na panią, szukając potwierdzenia. Tak dalej być nie może. Wolałbym, żeby pani trzymała się z dala od terenów ćwiczeń i powstrzymywała się od jakichkolwiek uwag.

Rozwścieczona żądaniem Raula, podeszła bliżej.

- Jestem jego matką i mam prawo przychodzić na treningi. Nie może mi pan tego zabronić. - Kiedy zatrzymała się, rozdzielał ich tylko drewniany koń.

- Czy nauczyciele w jego szkole pozwalają pani przebywać w klasie w czasie zajęć? - Raul zwrócił się twarzą do niej. Jedną rękę oparł na desce imitującej szyję konia, w drugiej ścisnął kij. - Pozwalają podpowiadać w czasie lekcji historii lub angielskiego? Nie! I ja też na to nie pozwolę!

- Pan mi nie pozwoli? - Nachyliła się ku niemu. Ręce oparła o szorstkie deski makiety. - Płacę za to i nie pan będzie mi dyktował warunki.

- Proszę więc pozwolić mi robić to, za co pani mi płaci, i proszę trzymać się z daleka. - Oczy błyszczały mu gniewem. - Rob nie potrzebuje niańki i pani uwag, co jest dobre, a co złe. Ja odpowiadam za trening.

- Raul cofnął się o krok. Usta miał zaciśnięte. - Znałem rodziców takich jak pani, którzy chcieli wpływać na każdy krok w życiu swych dzieci. Pani oczywiście sądzi, że wie, co jest dla nich dobre, prawda? Ale najlepiej byłoby, gdyby zostawiła je pani w spokoju.

- Czy rozmawiamy o moim synu, czy o córce? - zapytała ironicznie.

- Chce pani, żeby Rob uczył się gry w polo, tak?

Wyraz jego twarzy stał się chłodny i twardy, kiedy wspomniała o Trishy.

- Tak, ale również życzę sobie, żeby pan trzymał się z dala od mojej córki.

- Już raz to słyszałem i sądzę, że powinna pani powiedzieć to jej. Ona mnie nie interesuje. Muszę zachowywać się uprzejmie w stosunku do córki klientki, i to wszystko. Wolałaby pani, żebym potraktował ją jak natrętną smarkulę?

- Uprzejmie? Tak pan określa swoje postępowanie? Ciekawa jestem, jak daleko jest pan gotów posunąć się w swych uprzejmościach, by uszczęśliwić klienta. Ot, choćby... Wiem, że całował się pan z Trishą, ze mną pan tańczył. - Luz uśmiechnęła się drwiąco. - Czy mógłby się pan zdecydować, którą z nas zamierza pan uszczęśliwić?

- Może czegoś nie zrozumiałem. Proszę mi powiedzieć, dlaczego życzy pani sobie, bym trzymał się z dala od pani córki?

- Ponieważ jest pan dla niej za stary. Ona ma dopiero osiemnaście lat...

- I jest zbyt młoda, nieprawdaż? - Ton jego głosu zaalarmował ją.

- To prawda. Cieszę się, że pan to dostrzega.

Przebiegł przez nią dreszcz, nie mający nic wspólnego z gniewem, który odczuwała. Odwróciła się i powoli wszyła w kierunku wyjścia.

- A pani? Co pani o tym sądzi?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jestem w takim wieku, że mógłbym być ojcem Trishy. A pani jest jej matką. Samotną rozwiedzioną kobietą. Może przed pani przyjazdem do Argentyny powinienem wyjaśnić pewne sprawy. Jako zawodowy gracz w polo jestem zawsze do wynajęcia, ale usługi łóżkowe nie wchodzą w zakres umowy.

Ogarnęła ją fala gorąca.

- Co za bezczelność. Na jakiej podstawie sądzi pan, że usiłuję go zwabić do łóżka? - Łzy napłynęły jej do oczu. Musiała ze złością przyznać, że taka myśl nie była jej obca.

- A czy tamtej nocy w Paryżu nie zapraszała mnie pani do sypialni?

- Nie. I jeśli pan tak dobrze pamięta tę noc, to na pewno pamięta pan również, że kazałam mu wyjść. - Ogarnęło ją uczucie wściekłości i wstydu.

- Nie była pani pierwszą bogatą kobietą, która składała mi tego rodzaju propozycje.

- Kontynuowanie tej rozmowy wydaje mi się bezcelowe - stwierdziła i ruszyła w stronę wyjścia. Nie mogła już dłużej powstrzymać łez.

- Proszę w przyszłości trzymać się z dala od lekcji polo - powiedział.

Przy drzwiach, gdzie nie docierało mocne światło lampy. Luz przystanęła na moment.

- Będę robić to, na co mam ochotę. A jeśli nie będzie to panu odpowiadało, panie Buchanan, to wtedy powie mi pan, żebym się wyniosła.

Wybiegła na dwór z tą odrobiną satysfakcji, że do niej należało ostatnie słowo. Łzy płynęły jej po policzkach. Gęsty deszcz przeszedł tymczasem w gwałtowną ulewę. Ledwie wyszła, ubranie przemokło jej na wylot. Zbyt późno przypomniała sobie o parasolce pozostawionej w pawilonie. Wołała jednak zмокnąć do ostatniej nitki niż wrócić tam teraz. W tym momencie chciała uciec jak najdalej od Raula i wszystkiego, co się z nim wiąże.

Przebiegła przez drogę i zmierzała w stronę domu. Nagle pojawił się samochód prowadzony przez jednego ze stajennych. Kierowca widząc Luz zatrzymał się i wyskoczył z auta.

- *El señor?* - zawołał, wskazując ręką pawilon. Powiedział coś jeszcze, z czego Luz zrozumiała jedynie słowo telefon.

Skinęła głową, domyślając się, że stajenny pyta o Raula. Na pewno nie zauważył łez płynących po jej policzkach - zmieszane były z kroplami deszczu. Pobiegł dalej. Luz spojrzała na stojący na drodze ochlapany błotem stary samochód z pogniętymi błotnikami. Motor pracował, a z rury wydechowej wydobywał się błękitno-szary dymek. Szybko wskoczyła za kierownicę.

Nie myślała o niczym innym, tylko o tym, by znaleźć się daleko stąd. Wzrokiem zamglonym łzami przebiegła przez tablicę rozdzielczą samochodu. Po kilku próbach uruchomiła wycieraczki. Wcisnęła

pedał sprzęgła, wrzuciła bieg. Udało jej się ruszyć. W tym momencie usłyszała, że ktoś ją woła. Nie zastanawiając się, wcisnęła pedał gazu, aż do podłogi. Samochód skoczył do przodu.

Poprzez strugi deszczu i łzy płynące z oczu śledziła wzrokiem błotnistą drogę biegnącą w stronę kamiennego domu. Nie miała ochoty tam wracać. Jeszcze nie teraz. Zbliżyła się do skrzyżowania z inną drogą prowadzącą przez pola ku jakiemuś odległemu punktowi, gdzie ziemia spotykała się z warstwą chmur. Ogarnęło ją pragnienie, by pędzić bez końca, nie oglądając się za siebie. Skierowała samochód na wąską dróżkę i znów wcisnęła pedał gazu. Spod kół wytrysnęły strumienie błota.

Wycieraczki nie nadały ze zbieraniem wody z przedniej szyby, ale Luz nie przejmowała się ograniczoną widocznością. Wytarła łzy z policzków. Deszcz bębnił o dach samochodu, jakby kpił z karkołomnej jazdy, która i tak przecież nie pozwoli jej uciec wystarczająco daleko. Raul domyślił się, że jest nim zainteresowana, i z całą pewnością nie uwierzył jej zaprzeczeniom. Popełniła błąd, przyjeżdżając tutaj.

Czuła się teraz bezbronna, narażona na dalsze przykrości, ale nie wiedziała, jak się z tego wyplątać. Jeśli nagle zmieni plany, oznaczać to będzie, że przyznaje mu rację. Zaciśnęła zęby, by powstrzymać szloch, który wydobył się z jej piersi.

Niewiele brakowało, by gwałtowny wstrząs wyrwał jej kierownicę z rąk, kiedy przednie koła samochodu wpadły w kolejną, głębszą od innych dziurę, w które obfitował ten polny szlak. Z trudem utrzymała samochód na błotnistej drodze. Nie wiedziała, jak długo trwała jazda i ile przejechała kilometrów. Zabudowania estancji już dawno straciła z oczu, wokół widziała tylko szare strugi deszczu. Nagle poczuła, że samochód gwałtownie zwolnił.

Droga tak długo biegła przez całkowicie płaski teren, że Luz nie zareagowała, kiedy pojawił się pierwszy zakręt. Samochód zsunął się z drogi i wjechał na podmokłą łąkę. Spróbowała teraz łagodnym łukiem wyprowadzić auto ponownie na drogę, ale mimo znacznej prędkości koła straciły przyczepność, a kiedy dodała gazu, zaczęły buksować. Bezskutecznie obracały się w błotnistej mazi.

Samochód utknął na dobre. Próby ruszenia do przodu czy do tyłu nie dawały żadnych rezultatów. Wyłączyła silnik. W ciszy słychać było dudnienie deszczu o dach.

- Cholera - ze złością szarpnęła za kierownicę unieruchomionego pojazdu. Przeklinała nieprzemyslaną decyzję, która pchnęła ją na tę drogę. - Jestem idiotką! Idiotką!

Wytarła z oczu łzy i próbowała przez okna samochodu rozejrzeć się po okolicy. Pusta przestrzeń. Kompletnie pusta, tylko w pewnej odległości od drogi rosło kilka dziwnie wyglądających drzew. Pod ich gałęziami zobaczyła niewielką chatkę, do której prowadziła wąska ścieżka. Domek przypominał prymitywne slumsy, które widziała na przedmieściach Buenos Aires, kiedy przez nie przejeżdżali. Może mieszka tutaj któryś z robotników pracujących w estancji? - pomyślała, chociaż trudno było sobie wyobrazić, by ktoś chciał mieszkać tak daleko od miejsca pracy.

Istniała jednak szansa, że znajdzie tu kogoś, kto pomoże jej uruchomić samochód. Jeśli nie, to pozostawało jej tylko czekać, aż ją odnajdą, albo ruszyć piechotą do domu. Żadne z tych rozwiązań nie odpowiadało jej zbytnio, ale w końcu sama wpędziła się w te kłopoty, więc musi znaleźć wyjście.

Po chwili wahania otworzyła drzwi samochodu i wyskoczyła na łąkę. Nogi ugrzęzły jej w błocie prawie do kostek. Z głową pochyloną dla ochrony przed zacinającym deszczem wdrapała się na pobocze drogi i ruszyła w stronę drzew, pod którymi skrywała się chatka. Gdy dotarła do prowadzącej ku niej ścieżce,

pobiegła tak szybko, jak tylko mogła.

Duże, owalne liście rozłożystego drzewa osłabiały uderzenia deszczu. Podbiegła do drzwi domku. W wilgotnym powietrzu unosił się silny, nieprzyjemny zapach.

- Halo! - zawołała i zastukała w drewniane drzwi kołyszące się swobodnie na zawiasach. Nie zastanawiając się, weszła do środka. - Halo! - zawołała jeszcze raz. Nie było odpowiedzi.

Przeciekający dach, wybite szyby i zniszczone sprzęty wskazywały, że domek został dawno temu opuszczony. Pchnięte przeciagiem drzwi zamknęły się z hałasem. Na ten dźwięk Luz drgnęła nerwowo. Ostrożnie poszła na środek izby. Kiedy jej oczy przystosowały się do panującego tu półmroku, zauważyła stojące w ciemnym kącie prymitywne łóżko z wygniecionym materacem - niewątpliwie bardziej nadawało się dla myszy niż dla ludzi. Usłyszała jakiś szelest dobiegający spod sterty śmieci leżących w przeciwnym rogu pokoju, co potwierdziło jej podejrzenie. Uważając, aby nie nadepnąć na kawałki szkła, leżące na klepisku zastępującym tu podłogę, podeszła do okna i spojrzała na drogę. Zabłocony samochód tkwił na łące, żałośnie wyglądając na tle szarych chmur.

Deszcz głośno bębnił o blaszany dach. Dźwięk ten urozmaicało regularne pluskanie kropel spadających na ziemię przez otwór w dachu. Luz zgarnęła z twarzy i szyi mokre włosy i odrzuciła je do tyłu. Była kompletnie przemoczona. Na klepisku jej stopy zostawiły mokre ślady. Zrobiło jej się chłodno.

W opuszczonym pomieszczeniu było względnie sucho. Zamiast wracać do samochodu, postanowiła czekać tutaj, dopóki deszcz nie przestanie padać. Zobaczyła stojące obok krzesło ze złamanym oparciem, ale poza tym jeszcze całkiem solidne, i usiadła na nim. Zatarła ręce, żeby trochę się ogrzać.

Po pewnym czasie dobiegł ją jakiś hałas, ale w nieustającym szumie deszczu trudno było się zorientować, co to może być. Nagle wydało jej się, że słyszy głos wykrzykujący jej imię. Wstała i podeszła do okna. Za jej samochodem stała niewielka ciężarówka.

W tym momencie otworzyły się drzwi popchnięte czyjąś silną ręką.

- Luz!

Do izby wszedł Raul. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl drapieżnika, który nieoczekiwanie natrafił na swą ofiarę.

- Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj? - Właśnie on musiał mnie odnaleźć, pomyślała.

- Ta cholerna droga po większych deszczach staje się nieprzejezdna. - Wytarł dłonią spływające po twarzy krople wody. - Kiedy Carlos powiedział mi, że w nią skręciłaś, wiedziałem, że będziesz miała kłopoty. Wolalabyś, żebym zostawił cię tu samą?

- Nie. - Luz odwróciła się do okna splatając ręce na piersiach. - Postąpiłam nierozsądnie. - Wolą sama przyznać się do błędu niż czekać, aż on to powie.

- Istotnie.

- Czyżbyś się ze mną zgadzał? - spojrzała na niego.

- Jeśli się zgadzam, to źle, a jeśli się nie zgadzam, to jeszcze gorzej. Niezależnie od tego, co powiem, nigdy nie będę miał racji - mruknął.

- To prawda, więc najlepiej nic nie mów - warknęła Luz i znów odwróciła się do okna. Zdawała sobie sprawę, że z mokrymi włosami i w przemoczonym ubraniu wygląda okropnie. Wytarła policzki pod oczami, obawiając się, że jej makijaż kompletnie się rozmazał. - Skoro przyjechałeś, żeby odwiedzić mnie do domu, to ruszajmy.

- Zaczekamy, aż deszcz przestanie padać. Myślę, że to nie potrwa długo.

- Chciałabym jak najszybciej wydostać się stąd. Jestem zmoknięta, jest mi zimno i w ogóle mam wszystkiego dosyć. - Nie była taka pewna, czy istotnie wkrótce pogoda się poprawi.

- I jesteś w nastroju zmokłego kota.

Nie mogła zaprzeczyć, że prychała na niego jak rozdrażniona kotka. Z wysiłkiem zapanowała nad tym na w pół instynktownym zadawaniem na oślepe ostrych ciosów i starała się trzymać z dala od niego. Zauważyła ze zdziwieniem, że Raul rozgrzebuje leżącą na podłodze stertę śmieci. Mokra koszula przylegała mu do pleców, uwydatniając kręgosłup i mięśnie.

- Co ty robisz? - zapytała po chwili.

- Szukam kawałków drewna i papieru. Chciałbym rozpalić ogień. - Odsunął nogą na bok szczątki jakiegoś połamanego mebla.

- Gdzie chcesz to zrobić? Tutaj nie ma pieca. - Luz rozejrzała się wokół.

- Ot, choćby tu. - Ułożył niewielki stosik połamanych przedmiotów na środku klepiska. - Dym będzie wylatywał przez rozbite okno i dziury w dachu.

Mokre ubranie chłodziło jej ciało. Z zadowoleniem przyjęła perspektywę ogrzania się przy ogniu. Przysunęła uszkodzone krzesło bliżej środka izby. Raul oddał wąski pasek ze znalezionej w śmieciach dywanika i zapalił go zapalniczką wyjętą z kieszeni koszuli. Płonący materiał położył na zgromadzonych szczapach, dorzucił jakieś patyki i wióry. Dwa grubsze kawałki drewna położył na wierzch. Gdy stał pochylony nad ogniem, krople wody kapały z mokrych włosów. Luz stłumiła w sobie chęć sięgnięcia i wytarcia mu wilgotnego czoła. Całą uwagę skupiła na wątych płomykach, które zaczęły się wic wokół drewna.

- Myślałam, że ktoś tu mieszka i pomoże mi wydobyć samochód z błota.

- Kiedy nie spotkałem cię na drodze i nie znalazłem w samochodzie, pomyślałem się, że musisz być tutaj, chociaż nie miałem pewności, czy nie poszłaś w przeciwnym kierunku. - Raul wyprostował się i czekał, aż ogień rozpali się na dobre, by dorzucić więcej drewna.

- Byłam zdenerwowana. - Nie miała zamiaru przeproszać go. Ciągle cierpiała z powodu urażonej dumy.

- Zauważyłem.

Luz nie chciał wracać do spraw poruszanych w tamtej rozmowie. Zmieniła temat.

- Co to za chatka? Pewno kiedyś mieszkał w niej *gaucho*.

- Gdyby tak było, nie znalazłabyś tutaj krzesła, na którym siedzisz. - Wyraz jego twarzy złagodniał. - *Gaucho* zamiast krzesła, używał krowiej czaszki. To miejsce należało do rolnika, ale już od lat stoi opuszczone. Carlos Ratterly mówił mi, że mieszkała tutaj rodzina o nazwisku Ortego, lecz ponad dziesięć lat temu powędrowali do Buenos Aires w poszukiwaniu pracy.

Złamał na kolanie dwie cienkie deszczułki i dorzucił do niewielkiego ogniska. Potem powoli, w zamyśleniu, rozejrzał się po izbie. Zauważył jej zaciekawione spojrzenie i znów zajął się ogniem.

- Kiedy byłem chłopcem, mieszkałem w miejscu podobnym do tego... no, może trochę większym, albo tylko tak mi się wydawało, bo sam byłem mały.

Luz przysunęła się bliżej do ognia i wyciągnęła ręce nad płomienie.

- Mnie też, kiedy byłem małą dziewczynką, dom w Hopeworth wydawał się ogromny. To prawda, że nie jest on mały, ale schody nie są aż tak wysokie, a pokoje tak obszerne, jakie się wydawały z

perspektywy dziecka. W dzieciństwie inaczej ocenia się rozmiary. Wszystko wydaje się większe, niż jest w rzeczywistości.

- Tak.

Deszcz ciągle bębnił o dach. Jednostajny szum wichury wdzierał się do wnętrza przez wybite okno. Jedyne miłe dźwiękiem było trzaskanie ognia. Luz przysunęła się do niego jeszcze bliżej. Dopiero teraz czuła, jak bardzo było jej zimno. Spojrzała na Raula. Na jego mokrej twarzy odbijał się blask płomieni. Ciemne brwi wyraźniej rysowały się na tle śniadej cery. Spróbowała wyobrazić go sobie jako małego chłopca bawiącego się w izbie podobnej do tej, ale wyobraźnia ją zawiodła. Coś smutnego, co kryło się w wyrazie jego błękitnych oczu, mówiło jej, że nie zaznał w swym życiu zbyt wiele czułości i radości.

- Czy wyjeżdżając z matką do Buenos Aires przypuszczałeś, że zostaniesz kiedyś znanym graczem polo? - zapytała w zamyśleniu.

- Nie.

Dołożył dREW do ognia, układając je na kształt szkieletu indiańskiego wigwamu. Potem niespodziewanie powiedział:

- Nie dokończyliśmy naszej rozmowy o twoim synu.

21

Luz zerwała się gwałtownie, odtrącając krzesło.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Odeszła od ognia i stanęła przy oknie. Wszystkie mięśnie napięte miała do granic wytrzymałości. Z trudem opanowała drżenie, którego źródłem po części był chłód, a po części gniew.

- Jeśli Rob nadal ma uczestniczyć w kursie, musimy podjąć jakąś decyzję - twardo nalegał Raul.

- Według ciebie ta decyzja to odsunięcie mnie od udziału w treningach - stwierdziła. - A może chcesz po prostu, żebym wyjechała? - rzuciła wyzywająco i popatrzyła na niego.

Raul przykucnął przy ogniu.

- Chcę uczyć Roba grać, a twoja obecność go rozprasza. Myślę, że wybór należy teraz do ciebie.

- Jaki wybór? Mam zaakceptować zakaz oglądania treningów syna?

- Dlaczego wobec tego zgodziłaś się na jego udział w kursie? - zapytał.

- Żeby nauczył się lepiej grać. - Jej odpowiedź była krótka i rzeczowa. - Wydawało mi się, że zrozumiałaś to już w Paryżu.

- A więc dlaczego teraz mu to utrudniasz?

- Mylisz się, wcale nie utrudniam.

- Ależ tak. - Odetchnął głęboko, starając się zapanować nad powracającą irytacją. - Proszę wrócić do ognia, *señora* Thomas, zanim przemarznie pani do kości - dodał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zorientowała się, że znów zwraca się do niej w oficjalnej formie, chociaż parę minut temu, kiedy zdenerwowany wpadł do domku, mówił jej po imieniu. Zła była na siebie, że zwróciła na to uwagę, i że ma to dla niej znaczenie. Wróciła powoli do ogniska i usiadła na podsuniętym jej krześle.

- Zdaję sobie sprawę, że wie pani o polo bardzo dużo, znacznie więcej niż inni. Jestem przekonany, że to zasługa Jake'a Kincaida. Jednakże pani wiedza nie sięga poziomu profesjonalnego.

- Nigdy nie twierdziłam, że tak jest - powiedziała oschle.

- W przeszłości była pani synowi bardzo pomocna. Może więc przypomnę naszą rozmowę w Paryżu. Powiedziała pani wówczas, że chce dla niego tego, co najlepsze. Czy nadal tak pani uważa? - zapytał.

- Tak.

- Zatem proszę mi dać wolną rękę. Nie może pani wkraczać w zakres moich obowiązków, bo to tylko opóźni edukację, a chyba nie chce pani tego.

- Oczywiście, że nie. - Splotła mocno palce, wsparła łokcie o kolana i pochyliła się do ognia.

- Nie mogą dwie osoby równocześnie kierować jego treningiem. Musi być jeden instruktor, którego darzy zaufaniem. Kiedy dziecko idzie do szkoły, rodzice przestają go uczyć, aby nauczyciel stał się dla niego autorytetem. Któryś z rodziców może mylić się mówiąc, że coś jest dobre albo złe. Dzieciak będzie w to wierzył, dopóki nauczyciel nie dowiedzie czegoś przeciwnego. Rezultatem jest co najmniej strata czasu i tak się właśnie dzieje, kiedy pani siedzi przy bocznej linii boiska.

- Ja przecież chcę mu pomóc, a nie zaszkodzić - protestowała Luz, chociaż dostrzegała wiele racji w tym, co powiedział Raul.

- Więc proszę mu pomóc, trzymając się z dala. Nie proszę o to bez powodu. - Kawałkiem patyka przesunął bliżej ogniska nadpalone bierwiono. - Oczywiście, powinna pani rozmawiać z nim o tym, czego się nauczył, czy o przebiegu treningu, ale bez uczestniczenia w nim.

- Próbuję to zrozumieć, ale ja przecież znam lepiej Roba niż pan.

- I zakłada pani, że nikt inny nie potrafi go poznać, prawda?

- Tak - odparła z przekonaniem. Wiedziała, na przykład, że Rob pracuje niekiedy ponad siły, tak jak dzisiaj.

- Czy jest pani pewna, że pani udział w szkoleniu przynosi synowi pożytek?

- Nie wiem - zawahała się. Bębnienie deszczu o blaszany dach brzmiało jak echo pulsowania krwi w jej skroniach. - Jestem matką. Dzieci są dla mnie najważniejsze. Wątpię, czy potrafi pan to zrozumieć.

- Kiedy mąż panią opuścił, postanowiła pani poświęcić im swoje życie - powiedział z odrobiną uszczypliwości w głosie. - Matczyzna miłość może niekiedy okazać się zgubna.

- One są wszystkim, co mam - próbowała się bronić. Zastanowiła się równocześnie, czy to, co powiedział, wynika z jego osobistych doświadczeń.

- Ma pani jeszcze siebie - spojrzał na nią poważnie.

Nie mogła znieść jego wzroku. Odwróciła twarz.

Płonące kawałki drewna trzaskały głośno. Coraz bardziej odczuwała promieniujące od ognia ciepło. Rozpięta żakiet, zsunęła go z ramion i zawiesiła na kolanach, by szybciej wysychał. Wpatrywała się w tańczące płomienie.

Bezowocna byłaby próba wyjaśnienia temu twardemu mężczyźnie, jak bardzo czuje się niepełna mając tylko siebie. Tak wiele potrzeb zostaje nie zaspokojonych. Brak fizycznego kontaktu z kimś bliskim stawał się nie do zniesienia - nie seks, ale czułe dotknięcie ręki, troskliwie obejmujące ramię, ktoś, kto potrafi pocieszyć, podtrzymać na duchu. Pragnęła miłości. Tylko Trisha i Rob mogli zaspokoić tę jej potrzebę.

Milczenie przedłużało się. Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca powietrze przesycone dymem, który szerokim pasmem snuł się w kierunku okna i wydobywał na zewnątrz, gdzie rozpląwał się w padającym ciągle deszczu. Jej wzrok powędrował za smugą dymu i zatrzymał się na grubym chropowatym pniu

rosnącego przy wejściu drzewa.

- Co tam przed domem tak brzydko pachnie? - zapytała, przypominając sobie odrażającą woń, jaką poczuła, zbliżając się do chaty.

- *El ombu*, zdaje się, że u was nazywa się umbra. - Raul dorzucił dREW do ognia. - Kiedy po raz pierwszy Hiszpanie pojawili się na pampasach, jedynym drzewem, jakie tutaj rosło, było właśnie *ombu*. Drzewa rosące dziś w sąsiedztwie estancji zostały tu sprowadzone z Europy. Tu rosły tylko *ombu*. W Hiszpanii znane są pod nazwą *bellasombra*, co oznacza „piękny cień”. Przyjemnie było schronić się pod nimi, wędrując w czasie upalnego lata przez porośniętą trawami równinę.

- I to one dają ten paskudny zapach?

- Tak. Sok tego drzewa, wtarty w skórę, chroni przed owadami.

Raul podniósł się, podszedł do stojącego przy ścianie stołu i przysunął go bliżej ognia. Luz przypuszczała, że zamierza połamać go na opał, ale on zdjął marynarkę i zawiesił ją na jednym rogu zniszczonego mebla. Potem wziął jej żakiet i zawiesił na drugim. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, mimo woli pomyślała o swoim wyglądzie. Schyliła się, by uniknąć jego spojrzenia, i poprawiła palcami mokre włosy.

- Wyglądam okropnie. Nie mam się nawet czym uczesać.

Raul bez słowa podał jej czarny grzebień.

- Dziękuję - powiedziała, nie patrząc na niego.

Znów podszedł do sterty śmieci, by znaleźć jeszcze trochę drewna. Rozczesywała mokre, zmierzwione włosy, odsuwając je od twarzy. Skończyła, gdy Raul wrócił i uzupełnił uszczuplony już nieco zapas opału.

Podąła mu grzebień. Wątpiła, czy udało jej się poprawić swój wygląd.

Zobaczyła, jak chowa grzebień do kieszeni spodni. Pod mokrymi, przylegającymi do ciała bryczesami wyraźnie rysowały się mięśnie jego ud. Odwróciła szybko wzrok. Raul znów przykucnął przy ogniu.

- Ciągle nie wiem, czy zamierza pani dostosować się do mojego życzenia. - Patykiem pogrzebał w ognisku, wzbijając przy tym snop iskier. Nie zwracał na to uwagi.

- Dobrze. Nie będę przyglądać się treningom - powiedziała. Pomyślała, że gdyby wcześniej wyjaśnił motywy swojej prośby, zamiast podawać ją w formie polecenia, nie musiałaby siedzieć teraz przy ogniu. Cóż, kiedy on stracił panowanie nad sobą, ona również, i znaleźli się tutaj. - Gra w polo jest dla Roba zbyt ważną sprawą - uzasadniała zmianę swego stanowiska. - W tym momencie jest to najważniejszy cel w jego życiu. Nie wiem, czy potrafi pan zrozumieć, jak on bardzo chce się sprawdzić. Pragnie być najlepszy. Chcę mu w tym pomóc, jak tylko potrafię, nawet jeśli oznacza to wykluczenie mnie z udziału w jego treningach.

- Myślę, że nie będzie pani żałować - powiedział. - Widzę, jak Rob do tego podchodzi. Polo nie jest dla niego jedynie sportem, to jego wielka pasja. Zobaczymy, jak długo to potrwa.

- Wydaje mi się, że drogo. - Pomyślała o planach Drewa związanych ze studiami syna. - Chociaż nie jestem przekonana, czy jest to dla niego dobre.

- Martwi się pani tym, że może wybrać karierę zawodowego gracza?

- Niezupełnie. Wiem, że jest to niebezpieczny sport, zdarzają się poważne wypadki, ale nie o to chodzi - Luz zamilkła. Jej twarz wyrażała rezygnację. - Jego ojciec byłby bardzo niezadowolony z takiej decyzji. -

Pochyliła się i oparła skrzyżowane ramiona na kolanach. Spojrzała na Raula, który tkwił nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy. - Czy matka pozwalała panu grać w polo?

- Umarła, zanim zacząłem grać - odpowiedział beznamiętnie. Coś w wyrazie jego twarzy wskazywało, że nie życzy sobie współczucia.

- Co pan sądzi o zdolnościach Roba? Wiem, że to dopiero początek kursu, ale czy dostrzega pan w nim jakieś możliwości?

- Raczej tak. Ma wystarczająco dużo zapasu. - Raul odłamał kawałek patyka, którym poprawiał ogień, i rzucił go w płomień. - Niekiedy, gdy patrzę na niego, wydaje mi się, że widzę siebie w dawnych latach.

- Co pan przez to rozumie? - Luz nie dostrzegła pomiędzy nimi żadnego podobieństwa poza ich wspólnym zainteresowaniem polo.

- Mam na myśli to zdecydowanie, o którym pani wspomniała, tę chęć osiągnięcia perfekcji i ciągły brak zadowolenia z siebie.

- W jaki sposób nauczył się pan grać w polo? Wiem, że pracował pan u człowieka, który pasjonował się tym sportem, ale czy ktoś pana uczył?

- Od czasu do czasu pokazano mi to i owo, lecz byłem tylko chłopcem stajennym grającym z gośćmi mego chlebodawcy. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, chyba że zrobiłem coś wyjątkowo źle. Od Hectora dowiedziałem się wiele o koniach, ale gry uczyłem się metodą prób i błędów, głównie błędów.

- Hectora zna pan zatem od bardzo dawna. Ile miał pan lat, biorąc udział w swym pierwszym meczu?

- Piętnaście, ale było to towarzyskie spotkanie rozgrywane w estancji. W klubowej drużynie wystąpiłem mając siedemnaście lat. To był prawdziwy mecz z sędziami i widzami. - Na twarzy Raula pojawił się sardoniczny uśmiech. - *Señor* Boone, u którego pracowałem, zaopatrzył mnie w cały ekwipunek i kolorową Koszulkę. Hector pożyczył mi ostrogi. Bryczesy pachniały naftaliną, należały kiedyś do syna szefa, dopóki z nich nie wyrósł. Wszystkie zaoszczędzone pieniądze wydałem na nowe buty. Nikt nie powiedział mi, że niedopuszczalne jest używanie czarnych butów, bo w czasie gry popłamić można nimi bryczesy innych zawodników.

Luz domyślała się, jakie musiało to wywołać komentarze, wygłaszane zarówno w oczy jak i poza plecami Raula. Wyobrażała sobie, jak ciężkim przeżyciem byłoby coś takiego dla Roba.

- Przypuszczam, że nigdy więcej nie założył pan czarnych butów - powiedziała.

- Nie miałem innych, więc grałem w nich nadal. Próbowałem je czyścić brązową pastą, ale niewiele to dało. Dopiero po sześciu miesiącach zebrałem wystarczającą sumę, żeby kupić sobie nowe.

Była zdumiona, że potrafił przełknąć zniewagę i wrócił na boisko w zapastowanych na brązowo czarnych butach, narażając się na jeszcze zjadliwsze uwagi. Pomyślała, że zapewne niejednokrotnie jego duma poddawana była takim próbom. Miał prawo zachowywać się teraz nieco szorstko i wyniośle.

- Jak to się stało, że pomimo tych przykrości nie zrezygnował pan z gry?

- Wiedziałem, że jestem dobrym zawodnikiem i zdecydowany byłem udowodnić innym swoją wyższość. Nie dlatego, że sztychli z moich czarnych butów, ale dlatego, że stać mnie było na to. Miałem pewność, że w polo potrafię być najlepszy.

Wyraz napięcia na twarzy świadczył o intensywności jego odczuć. Ostry błysk w oczach i zaciśnięte zęby wskazywały na kierujące nim żarliwe zdecydowanie. Nic nie może powstrzymać go przed osiągnięciem wyznaczonego celu, pomyślała. Nic poza tym nie ma dla niego znaczenia.

- Od dwudziestu paru lat ćwiczę i gram, ciągle ćwiczę i gram. Analizuję każdy element akcji, przebieg każdego meczu, każdy błąd, i pracuję nad tym, bym następnym razem był odrobinę lepszy. Niemożliwe jest, żeby zawsze grać bezbłędnie, nawet jeśli występuje się często. Próbuję osiągnąć coraz wyższy poziom. Na razie oceniany jestem na dziewięć punktów. Zastanawiam się często, co jeszcze muszę zrobić, żeby zdobyć dziesięciopunktowy handicap - zacisnął mocniej zęby. - Wiem, że to potrafię.

- Zupełnie jakbym słyszała Roba. - Łzy napłynęły jej do oczu.

- A więc wie pani, jak to jest?

- Nie, nie wiem - potrząsnęła głową. - Nie potrafię tego zrozumieć. Nigdy nie pragnęłam czegoś tak bardzo, by cierpieć z tego powodu.

Słowa Raula przywiodły jej na myśl podobne życzenia wyrażane przez Roba i sytuacje, kiedy Trisha desperacko czegoś pragnęła. W jej życiu nie zdarzyło się nic takiego. Nigdy nie miała celu, do którego dążyłaby za wszelką cenę. Nie przypominała sobie, by marzyła o czymś innym niż o zamażpójściu i rodzinie. Żyła z dnia na dzień, nie brakowało jej niczego. Nazywała się Luz Kincaid. Miała wszystko.

Wstała i odwróciła się tyłem do niego. Zacisnęła powieki, żeby powstrzymać łzy cisnące się do oczu, i odetchnęła głęboko. Poczowała nagle jego bliskość. Otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi tuż obok i przygląda się jej intensywnie.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Nie, nie - odparła, ale zdradziło ją drżenie głosu. Chciała się odsunąć, on jednak delikatnie ujął ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Dlaczego płaczesz?

- Bo ja nigdy... - Luz stała z opuszczoną głową, wpatrując się w rząd guzików jego koszuli. - Nigdy w życiu nie odczuwałam w ten sposób potrzeby czegośkolwiek. Nie rozumiem tego, o czym pan mówi. Czy to nie okropne? Wszyscy wokół mnie z pasją do czegoś dążą, a ja nie. Dla Roba jest to polo. Trisha chce zostać prawniczką, moja matka pragnie zacieśniać więzy rodzinne... Na litość boską, nawet Drew czeka na dzień, kiedy wystąpi w Sądzie Najwyższym. Mam czterdzieści dwa lata i nie wiem, po co żyję na tym świecie.

Patrzył na nią coraz bardziej zdumiony. Niepewnie dotknął dłonią jej włosów.

- Luz... - Nie potrafił znaleźć właściwych słów, żeby ją pocieszyć.

Przytuliła twarz do mokrego rękawa koszuli opinającego jego ramię.

- Nie marzę o tym, żeby napisać książkę, zostać piosenkarką, zarobić milion dolarów... Nie marzę o tym, żebym była w czymś najlepsza. Mój Boże - wstrząsnął nią szloch. - Co się ze mną dzieje?

- *No se* - szepnął.

Zaczęła płakać. Nawet nie zauważyła, kiedy ją objął. Wtulona w niego, szlochała cichutko. Straciła poczucie czasu. Słysząc było tylko deszcz i trzaskanie ognia.

Łzy przestały już płynąć z jej oczu, ale nadal stała nieruchomo, otoczona jego ramionami, zbyt wyczerpana, by się poruszyć.

Leciutkie kołysanie jego ciała i uspokajające głaskanie po głowie stwarzały jej poczucie bezpieczeństwa. Wytarła łzy. Raul pochylił się ku niej.

- Lepiej się już czujesz? - zapytał.

- Tak. - Z zażenowaniem wysunęła się z jego pokrzepiających objęć. - Myślisz na pewno, że jestem płaczącą idiotką.

- Nie, nie myślę.

Nie wierzyła mu. Podeszła do ognia i wyciągnęła ręce ku płomieniom. Zapach Raula przylgnął do niej, ożywił pragnienia, którym nie chciała się poddać. Kątem oka zauważyła, że zbliża się do niej. Przykucnął i dorzucił drewno do ognia. Potem wstał i ich oczy się spotkały. Opuszczona chatka wydała jej się nagle zbyt mała i ciasna.

- Odnoszę wrażenie, że deszcz przestaje padać - powiedziała, chociaż nie zauważyła, by krople słabiej uderzały w blaszany dach. - Może pójdziemy do samochodu?

- Twoje ubranie już prawie wyschło - zauważył. - Zaczekajmy jeszcze kwadrans. Nie ma sensu, żebyś ponownie zmokła.

- Zostań, jeśli ci to odpowiada. - Ruszyła w kierunku drzwi, mając nadzieję, że zmusi go do zaakceptowania swojego życzenia. - Ja wychodzę.

Gdy tylko otworzyła drzwi, gęsty deszcz zmoczył jej twarz. Jedną nogą była już za progiem, gdy Raul złapał ją energicznie i wciągnął z powrotem do środka.

- Idiotka - burknął.

Usiłując odzyskać równowagę, oparła się o niego, a on uchwycił ją mocno za ramiona. Kiedy odchyliła głowę, jej wzrok zatrzymał się na jego ustach. Były tak blisko. Poczowała przyspieszone bicie serca. Gdy przed chwilą trzymał ją w objęciach, zbyt była pochłonięta swoim bólem, by czuć jego bliskość. Teraz wyczuwała muskularne kształty jego piersi i ramion.

Pogłaskał dłonią jej włosy, potem dotknął szyi. Przytuliła się do niego mocniej i odchyliła głowę. Jego wzrok ślizgał się po jej twarzy, aż zatrzymał się na ustach. Wstrzymała oddech.

Zamknęła oczy, gdy jego twarz pochylila się ku niej. Zapisane w pamięci odczucia towarzyszące pocałunkowi nie mogły równać się z rzeczywistością. Mocny uścisk ramion, łaskotanie delikatnego oddechu, wyczuwany językiem smak - o tym wszystkim niemal już zapomniała.

Narastała w niej namiętność, spotęgowana przez od dawna nie zaspokojone pragnienia. Dreszcz przebiegł jej po skórze, kiedy poczuła dotknięcie jego ust na policzku, a potem w szczególnie wrażliwym zagłębieniu poniżej ucha. Wplotła palce w wilgotne, jedwabiste włosy Raula. Uniosła głowę, by znaleźć jego usta. Wargami dotknęła szorstkiego policzka w sąsiedztwie głębokiej bruzdy biegnącej obok kącika ust. Wtedy Raul ułatwił jej dokończenie poszukiwań.

Tym razem nie był to pocałunek delikatny, ale mocny, namiętny, wypełniający ją do granic wytrzymałości. Ciągle nie czuła się nim nasycona. Wiedziała, że niełatwo przyjdzie mu zaspokoić jej pragnienia.

Poprzez wilgotne ubranie czuła ciepło jego ciała i napięcie skóry. Opuściła ręce i zaczęła odpinać guziki jego koszuli. Wstrzymał oddech, kiedy dłońmi dotknęła jego piersi.

W chwilę później spostrzegła, że Raul odpina guziki przy rękawach i zrzuca z siebie koszulę. Jej dłonie powędrowały wzdłuż jego ramion.

Potem sięgnął do zapięcia jej bluzki. Do tej pory Luz nie pomyślała nawet, że on też może jej pragnąć. Namiętność wydawała się jej jednostronna. Skłonna była traktować wszystko jak przelotną przygodę, którą powinna wykorzystać, dopóki istnieje szansa. Taka okazja może nie pojawić się już więcej. Nagle znaczenia nabrał fakt, że potrafiła wzbudzić w Raulu pożądanie.

Z niedowierzaniem patrzyła na jego twarz, gdy odpinał jej bluzkę, a potem powoli, jak gdyby odsłaniał rzeźbę, zsunął ją z jej ramion i odrzucił na ławę, gdzie leżała już jego koszula.

Znów dotknął dłońmi jej pleców. Jego palce powędrowały ku zapięciu stanika. Stała ze spuszczoneymi powiekami i rękami splecionymi na piersi, z trudem opanowując drżenie kolan. Kiedy ramiączka opadły, Luz nerwowo przełknęła ślinę i odłożyła stanik na ławę. Raul patrzył na jej unoszące się w oddechu piersi. To nie było spojrzenie Drewa, który znał każdy cal jej ciała. Nic nie przypominało tamtych chwil. To było coś zupełnie nowego i w tej nowości tkwiła jakaś niepewność. W ciągu dwudziestu lat małżeństwa nie myślała o tym, jak wygląda w porównaniu z innymi kobietami. A może należało poświęcić tym sprawom nieco uwagi? - zastanowiła się.

Gdy dotknął jej piersi, wstrząsnął nią dreszcz. Raul powoli przyciągnął ją do siebie - przytuliła się do jego nagiej piersi. Kiedy ich usta spotkały się ponownie, z jej gardła wydobył się cichy jęk.

Ujął jej twarz w dłonie i czule całował nos, policzki, wargi. Fascynowały ją jego pociemniałe niebieskie oczy. Serce biło jej mocno. Czekwała teraz na jakiś sygnał z jego strony, ale na próżno. Nie mogła znieść tego stanu niepewności.

- Raul, czy ty mnie pragniesz? - zapytała wreszcie.

Palcami dotykał jej policzków, potem pochylił się i musnąwszy wargami jej usta, szepnął:

- *Si*. Pragnę cię. - Delikatny pocałunek stał się bardzo namiętny.

Napięcie, z jakim opanowywała swe pożądanie, rozplynęło się pod wpływem tego pocałunku. Otoczyła go ramionami i odwzajemniła gorącą pieśczętę. Przyciągnęła ku sobie jego głowę. W uścisku jego ramion zniknęła niewiara we własną wartość i możliwość wzbudzania pożądania.

Raul objął ją mocno jednym ramieniem w talii, a drugie powędrowało niżej, aż sięgnęło jej bioder. Potem energicznym ruchem uniósł ją ku górze. W jego ramionach poczuła się nieważka. Ruszył w poprzek izby, ku stojącemu w rogu posłaniu.

Posadził ją na brzegu łóżka. Zauważyła, że przykląkł na jedno kolano i zaczął zdejmować jej zabłocone buty. Patrzyła na jego wspaniałą męską twarz, zupełnie inną niż u Drewa. Bez namysłu odpięła pasek spodni. Kiedy już Raul zdjął jej buty i skarpetki, wstała i zsunęła spodnie na brudną podłogę. Teraz on usiadł na krawędzi łóżka i zdjął buty. Luz tymczasem zrzuciła z siebie ciągle jeszcze mokrą bieliznę.

Patrzyła na niego, gdy się rozbierał. Ze skrywaną ciekawością wodziła wzrokiem po jego muskularnych nogach. Widząc erekcję, odruchowo odwróciła wzrok. Uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że zachowuje się jak nieśmiała uczennica. Raul to przecież nie pierwszy mężczyzna, którego widzi, ale pierwszy po tak długim czasie.

Powoli odwróciła się ku niemu. Figurę miała szczupłą i zgrabną. Pragnęła, żeby to dostrzegł. Chciała mu się podobać. Stała przed nim bez ruchu, a jego wzrok błędził coraz niżej po jej ciele. W pewnym momencie zadrżała wewnętrznie. Wydało jej się przez moment, że są sobie bardzo dalecy. Trwało to krótko. Za chwilę Raul podszedł do niej.

Dotknął dłońmi jej ramion, a potem przyciągnął ją do siebie. Pocałunek był długi i spokojny. Potem łagodnie popchnął ją na materac i położył się na boku obok niej.

Jego usta pieściły jej szyję i ramiona, a ręka wędrowała tymczasem wzdłuż jej ciała, dotykając piersi, brzucha, a potem jedwabistych włosów na wzgórku łonowym i wewnętrznych powierzchni ud. Luz uniosła nieco biodra. Wypełniony sianem materac zaszeleścił głośno.

Objęła Raula i mocno podniecona przyciągnęła do siebie. Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony słabość i uległość, z drugiej przemożna siła, popychająca ją do wspaniałego spełnienia.

Przyciskał ją ciężarem swego ciała. Ustami znów dotykał jej ust. Szepnął coś po hiszpańsku. Luz odwróciła głowę.

- Nie zrozumiałam, co mówisz. - Bardzo chciała wiedzieć, co powiedział.

Uniósł twarz i spojrzał na nią.

- Twoja skóra jest jak ogień. Parzy mnie. - Dotknął wargami kąć jej ust. - Sprawiasz wrażenie chłodnej, ale pełna jesteś żaru.

- Ty również jesteś gorący.

- To przez ciebie - zamknął jej usta pocałunkiem.

Kierował nią instynkt. Odruchowo uniosła uda, aby go przyjąć. Pasowali do siebie, lecz rytm ich ruchów różnił się wyraźnie. Brakowało im wspólnie nabytego doświadczenia, rutyny, znajomości najczulszych punktów partnera.

Rozkoszując się powolnym ruchem jego bioder, Luz muskała ustami jego ramiona, smakowała językiem świeżość jego opłukanej deszczem skóry mającej lekki posmak dymu z ogniska. Dotykała jego kręgosłupa i muskularnych pleców. Pomyślała, że nigdy dotąd nie czuła się tak wspaniale, jak w tej chwili.

Kiedy uniósł się nieco, patrzyła na grę jego mięśni napinających się przy każdym ruchu. Pragnęła zatrzymać go w sobie dłużej. Jej podniecenie wzrastało, chciała, żeby trwało wiecznie, aż rozplynęła się w rozkoszy spełnienia.

Potem powoli, bezwiednie, Luz wracała z tego magicznego miejsca, które zdawało się być bardzo daleko, albo może znajdowało się gdzieś głęboko wewnątrz niej. W miarę jak jej oddech stawał się regularny, wzrastało poczucie rzeczywistości. Raul leżał obok, nogi mieli jeszcze splecione. Zasłaniał twarz ramieniem.

Chciała dotknąć go i ułożyć się w jego ramionach, a potem razem z nim wracać do rzeczywistości. Chciała powiedzieć mu, jak bardzo było jej dobrze, ale nie miała odwagi podjąć tej inicjatywy, przynajmniej dopóki nie zorientuje się w jego odczuciach. Nie chciała narazić się na zranienie.

Dała o sobie znać niepewność, powstała po odejściu Drewa. Nie wiedziała, czy zadowolili Raula, czy okazała się równie dobra dla niego jak on dla niej. Wolała, żeby to Raul pierwszy wykonał jakiś gest lub cokolwiek powiedział, ale on milczał. Zamknęła oczy i przeklinała Drewa za utratę wiary w siebie. Nie była już pewna, czy jest atrakcyjna w łóżku.

Milczenie przedłużało się i napięcie Luz rosło. Poczowała chłód na nagim ciele. W ciszy słychać było uderzenia kropel deszczu spadających z drzewa na dach.

Nie mogąc znieść tego dłużej, usiadła i opuściła nogi na klepisko. Usłyszała za sobą szelest materaca, to chyba Raul chciał ją zatrzymać, ale nastąpiło to zbyt późno. Wzięła w rękę ubranie.

Zawahała się przez moment, a potem zaczęła się szybko ubierać.

- Przestało padać. Możemy jechać - powiedziała przez ściśnięte gardło. - Miałaś rację mówiąc, że to nie potrwa długo.

Podparty na łokciu, patrzył, jak siedząc na krawędzi łóżka, zakłada buty. Zauważył dziwną sztywność w jej zachowaniu. Opanował chęć otoczenia jej ramieniem, nie podjął nawet próby wytłumaczenia, co

sprawiło, że jest z jej powodu tak bardzo poruszony. Wyczuł, że dotknęła w nim czegoś, co wywołało nie uświadomione dotąd potrzeby. Na pewno nie było to tylko pożądanie.

Kiedy podniosła się z łóżka i podeszła do ławy, gdzie leżała reszta jej ubrań, Raul wstał i szybko nałożył na siebie bryczesy i buty. Blask ognia oświetlił jej plecy. Szczupłe ciało Luz było z całą pewnością piękne, lecz to nie uroda zrobiła na nim największe wrażenie, ale osobowość, która kryła się pod tą zewnętrzną powłoką. Przeszedł przez pokój ku tej samej ławie, przy której stała Luz. Podała mu koszulę.

- Dlaczego jesteś taki nachmurzony? Czy coś było nie tak? - zapytała kpiąco, ale Raul zauważył w jej czarnych oczach niepokój i smutek, których nie mógł zamaskować dumny wyraz twarzy.

- Nie - powiedział, zakładając koszulę - tylko złamałem zasadę, aby nie wchodzić w bliższe stosunki z ludźmi, którzy mnie wynajmują.

- Trochę za późno przypomniałeś sobie o tym - powiedziała chłodno. - Powinieneś pomyśleć o tym wcześniej.

- To prawda - odparł i sięgnął po marynarkę. - Jesteś gotowa? - ruszył w stronę drzwi.

- A co z ogniem?

Zatrzymał się. Spojrzał na ognisko dogasające na brudnym klepisku.

- Sam zgaśnie.

I podobnie będzie z tym ogniem, który ona we mnie rozpałała, pomyślał.

Ubranie miała ciągle wilgotne. Mimo iż było poplamione i wymięte, nie straciło całkiem swego szykownego wyglądu. Niedbałym ruchem odsunęła z twarzy pasma włosów. Wiedziała, że mimo wszystko zachowała swą patrycjuszowską elegancję. Była bogatą rozwódką, która zapragnęła krótkiego romansu i wybrała sobie na kochanka gracza polo. Sytuacja wcale nie była niezwykła. Gdyby nawet Raul oczekiwał czegoś więcej niż przelotne zainteresowanie, to teraz na pewno zrozumiał, o co chodzi.

22

Dobre samopoczucie opuściło Luz, kiedy po wejściu do łazienki zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Niewątpliwie jej powrót musiał wzbudzić w całym domu sensację i to nie tylko z powodu przemoczonego i zabłoconego ubrania. Wyglądała jak topielica. Z makijażu pozostały tylko smugi pod oczami, włosy po kąpieli w deszczówce były co prawda jedwabiste, ale posklejane w pasma. Patrząc na swoją twarz, dotknęła ręką policzków - w pamięci pozostał jej ten właśnie czuły gest Raula.

Energicznie odwróciła się od lustra. Postanowiła natychmiast zmienić swój wygląd. Odkręciła kran. Po chwili, przy akompaniamencie dudnienia i grzechotania, z prysznicza popłynęła woda.

Po godzinie Luz miała już za sobą kąpiel, mycie i suszenie włosów oraz staranny makijaż z podkładem kremu nawilżającego dla wygładzenia zmarszczek, zwłaszcza w kącikach oczu. Problemy pojawiły się przy wyborze odpowiedniej sukni. Nikt tutaj nie przebierał się specjalnie do obiadu, chociaż mężczyźni zastępowali zazwyczaj strój do konnej jazdy staranniejszym ubiorem. Sukni wieczorowych Luz nie zabrała ze sobą zbyt wiele. Z tych trzech, które uznała za najbardziej stosowne i atrakcyjne, wybrała kwiecistą jedwabną szmizjerkę w odcieniach różu.

W owalnym ściennym lustrze w sypialni, ani tym bardziej łazienkowym, nie mogła obejrzeć się w całości, poprawiła więc tylko kołnierzyk sukni.

- Halo! - Trisha pojawiła się w otwartych ciągłych drzwiach łazienki.

- Wejdz - powiedziała obojętnie Luz zajęta dobieraniem odpowiedniego paska do sukienki. Zdecydowała się wreszcie na przetykany srebrną nicią, pozostałe odłożyła na łóżko, gdzie leżały już inne zbyteczne stroje.

- Cóż za odmiana! - zawołała Trisha.

Luz zawiązała pasek i odwróciła się do córki.

- Co o tym sądzisz? Dobrze wyglądam? - poprawiła bufiaste, zapięte na nadgarstku rękawy i poduszki podwyższające ramiona.

- Po prostu wspaniale! - odparła Trisha.

Z braku lustra, które pomogłoby zweryfikować opinię córki, musiała przyjąć ją za prawdziwą. Z kasetki stojącej na komodzie wyjęła bransoletę.

- Jak uważasz? Założyć ten pleciony łańcuch czy tylko srebrne kółka?

- Lepiej kółka.

- Ale one zbyt hałasują - stwierdziła Luz i wybrała ciężki srebrny łańcuch.

- Dlaczego więc mnie pytasz? - Trisha z dezaprobatą potrząsnęła głową.

- Nie wiem. - Luz próbowała zapiąć zamek bransolety, ale nie mogła sobie z tym poradzić. - Możesz mi pomóc? - wyciągnęła do córki rękę.

Trisha wzięła matkę za rękę i spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Luz! Ty drżysz. Czy coś ci dolega?

- Ależ nie. Ja... - Napotkała zaniepokojony wzrok córki, lecz nie byłaby w stanie wyjawić jej powodu zdenerwowania. - Spieszyłam się bardzo. Wiem, że Hector nie lubi, gdy ktoś spóźnia się na obiad.

- I to wszystko! Pomyślałam, że być może przeziębilaś się po tym przemoknięciu. Do obiadu mamy jeszcze dwadzieścia minut. - Sprawdziła, czy zamek bransolety jest dobrze zapięty. - Co ci wpadło do głowy, żeby w taką ulewę wybrać się na przejażdżkę?

Luz podeszła do komody. Zastanawiała się, co odpowiedzieć córce, nie informując jej przy tym o kłótni, do której doszło pomiędzy nią a Rauliem. Wzięła do ręki flakonik z perfumami i odwróciła go do góry dnem, by zwilżyć korek.

- Nie chciałam zmoknąć w drodze powrotnej do domu, więc wzięłam samochód zaparkowany przed salą do ćwiczeń. Przez nieuwagę, zamiast skręcić w stronę domu, znalazłam się na tej bocznej drodze i musiałam jechać dalej, żeby znaleźć miejsce, gdzie można by zawrócić. - Stojąc tyłem do córki, Luz wyjęła zatyczkę od flakonika i dotknęła nią szyi. - Niestety, zanim znalazłam takie miejsce, samochód utknął w błocie.

- Odszukanie cię zajęło Raulowi sporo czasu.

- Tak.

Wpatrywała się w trzymany w dłoni flakonik. Czowała narastające wewnętrzne napięcie. Cóż mam jej powiedzieć, pomyślała. To, że mężczyzna, na którym tak bardzo jej zależy, został moim kochankiem? Wcale nie chciałam, żeby do tego doszło. Na razie Luz nie zastanawiała się nad tym, jakie to może mieć znaczenie dla jej córki.

Raul twierdził, że Luz nie interesuje się Trisha. Może lepiej było pozwolić, by jej uczucie do niego zmarło śmiercią naturalną, a nie ingerować w tę sprawę, podważając tym samym jej zaufanie do matki?

Tak była zaskoczona swą zazdrością o córkę, że nie przyszło jej na myśl, że ona również może być zazdrosna o nią.

- Chciałam towarzyszyć mu w poszukiwaniach, ale odjechał, zanim zdążyłam to zaproponować - powiedziała Trisha. - Nawet jeśli nie znaleźlibyśmy cię szybciej, to przynajmniej spędziłabym z nim sporo czasu.

- Ciągłe myślisz wyłącznie o Raulu? - Luz poczuła się osaczona. - Za tydzień rozpoczynasz rok akademicki. Czy to cię nie ekscytuje? Wydawało mi się, że perspektywa studiów prawniczych jest dla ciebie niesłychanie ważna. A może był to przelotny kaprys, który pojawił się pod wpływem Claudii?

- Luz! Na jakim świecie ty żyjesz? - szorstko odpowiedziała Trisha. - Kobieta może równocześnie interesować się zarówno swoją karierą, jak i mężczyznami. Jeśli ma jedno, to nie znaczy, że nie może mieć drugiego. O studiowaniu prawa myślałam na długo przed pognaniem Claudii.

- Wiem o tym. - Luz westchnęła ciężko. - Nie powinnam była tego mówić.

Spojrzała na swoją suknię. Pomyślała, że zachowuje się jak uczennica, która chce swojemu ukochanemu wydać się szczególnie atrakcyjna. To jest równie niemądre jak zachowanie Trishy, ale ją usprawiedliwia młodość. Odstawiła flakonik z perfumami na komodę i odwróciła się.

- Zejdziemy już na dół? - zapytała z uśmiechem.

- Oczywiście.

Kiedy weszły do salonu, zastały tam zgromadzonych już wszystkich domowników. Luz zauważyła Raula stojącego przy kominku. W rękę trzymał szklanekę. Nie brał udziału w ogólnej rozmowie. Hector pierwszy zauważył ich przybycie.

- *Buenos tardes*. - Ruszył w ich kierunku. - Pięknie pani wygląda, *señora*.

- *Gracias*, Hectorze - uśmiechnęła się, czując na sobie wzrok Raula. Sprawilo jej to przyjemność, choć nieco przytłumioną poczuciem winy, wywołanym bliskością córki.

- O! Kogóż my widzimy? - Duke Sovine podniósł się z krzesła na widok dam. - Luz, wyglądasz wspaniale. Kiedy zobaczyłem cię wracającą do domu dzisiaj po południu, pomyślałem, że nikt nie dałby za ciebie złamanego centa.

- Szkoda, że nie miałeś wtedy aparatu fotograficznego, żeby zrobić mi zdjęcie. Mógłbyś mnie nim szantażować - odparła z uśmiechem. Usiadła na obitym korą fotelu, który podsunął jej jeden z argentyńskich trenerów.

Kiedy Trisha również usiadła, wszyscy zebrani też zajęli miejsca, hałasując przy tym przesuwającymi krzesłami. Luz kątem oka spostrzegła Raula, który przeszedł obok niej, by odstawić na tacę opróżnioną szklanekę. Woliała na niego nie patrzeć. Jego widok wywoływał w jej pamięci zbyt świeże obrazy i odczucia.

- Ależ dzisiaj lało - zauważył Duke Sovine. - W Teksasie nazywamy coś takiego nawałnicą. Raul! Jak długo trzeba będzie czekać, aż boisko wyschnie na tyle, żeby można było na nim grać?

- Jeśli zacznie wiać silny wiatr, prawdopodobnie jutro po południu będzie już sucho - odparł.

- Duke, czy nie czujesz się zmęczony takim całodziennym uganianiem się za piłką? - żartobliwym tonem zapytała Trisha. - Słuchając tego, co mówisz, można by pomyśleć, że interesuje cię tylko robienie pieniędzy i gra w polo.

- Prawdopodobnie dlatego, że polo wymaga dużej forsy - odparł Tekszańczyk. Wszyscy roześmiali się. - Bardziej kosztowna może być tylko piękna kobieta.

- Zgadzasz się z tym, Raul? - Trisha zwróciła się do niego z zalotną miną. - Czy ty też uważasz, że kobiety są kosztowne?

- Niektóre na pewno tak.

Zegar stojący w holu wybił godzinę. Zaraz potem rozległy się stłumione przez dywan kroki Hectora.

- Prosimy do jadalni - zawołał.

Idąc w stronę drzwi, Luz natknęła się na Raula. Popatrzył na nią przez moment, a potem odwrócił wzrok. Zauważyła nerwowy grymas na jego twarzy. Pamiętała o jego zasadzie, by nie wchodzić w osobiste układy z klientami, i odniosła wrażenie, że jeszcze raz podjął to postanowienie. Było to przykre, ale w tych okolicznościach na pewno najlepsze. Zdarzają się jednak momenty, kiedy uczucia nie podlegają prawom logiki i coś takiego właśnie nastąpiło tym razem.

Zrównała się z Hectorem i razem weszli do jadalni. Przywykła już do jego sposobu chodzenia. Zauważyła, że idzie za nią Trisha uwieszona u ramienia Raula.

Obiad stał się dla Luz ciężką próbą. Siedziała po prawej stronie Raula ciągle wewnętrznie spięta. Domyślała się, że on podobnie odczuwa jej sąsiedztwo. Nie miał apetytu - zaledwie spróbował podanych potraw. Wszystkie jej zmysły nastrojone były na jego obecność. Nieustający potok kierowanych do Raula żartów Trishy pogarszał tylko sytuację.

Podano wreszcie kawę.

- Wybaczcie, ale wołałabym pójść do salonu i wypić kieliszek brandy - powiedziała. Odsunęła krzesło i wstała. Inni poszli za jej przykładem.

- Może wszyscy przejdziemy do salonu i tam wypijemy kawę - zaproponował Raul.

- I do tego brandy - poparł go Duke Sovine.

Luz miała nadzieję, że wreszcie pozbędzie się tego nieznośnego napięcia, ale nie było to łatwe, skoro całe towarzystwo udało się za nią do salonu. Nie chciała mieć obok siebie nikogo, zwłaszcza Raula. Ze szklanką brandy w dłoni podeszła do kominka, na którym płonęły świeżo dorzucone polana. Starła się nie słuchać głosów rozbrzmiewających wokół, nie miała ochoty uczestniczyć w rozmowie. Oczekiwała, że Raul swoim zwyczajem uda się teraz do biura. Było oczywiste, że uważa dzisiejsze popołudnie za pomyłkę. Wiedziała, że tak jest, jednak...

- Dobrze się czujesz?

Słowa Raula zaskoczyły ją. Opanowała się i spojrzała na niego chłodno.

- Oczywiście. Cóż mogłoby mi dolegać?

- Nic prawie nie jadłaś.

- Nie byłam głodna - odparła.

Za plecami Raula pojawiła się Trisha.

- Wszyscy się dzisiaj tobą zajmują. Luz - powiedziała, patrząc przy tym na niego. - Ciągłe nie wyjaśniłeś nam, dlaczego odszukanie jej zajęło ci tak wiele czasu?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie - odpowiedziała wzruszając ramionami.

Luz odwróciła twarz w stronę ognia płonącego na kominku. Znów poczuła się odtrącona. Spróbowała złagodzić ból porażki sporym łykiem brandy.

- Może i ja powinnam się zgubić - kontynuowała Trisha. - Miałbyś wtedy okazję ratować mnie tak jak Luz.

Tym razem nie była już w stanie znieść niewinnych żarcików córki.

- Mogłabyś wymyślić coś bardziej oryginalnego - powiedziała z nie ukrywaną irytacją i zostawiła ich samych.

Podeszła do stolika, na którym stała taca z napojami, i spojrzała na butelkę brandy. Jej kieliszek był prawie pusty. Wypiła ostatni łyk.

- Czy coś pani dolega, *señora* Luz? - zapytał Hector przyglądając się jej uważnie.

- Ależ skąd, czuję się świetnie. Nie rozumiem, dlaczego nagle wszyscy troszczą się o mnie - wybuchnęła i natychmiast tego pożałowała. Westchnęła głęboko. - Miałam dzisiaj ciężki dzień. Myślę, że jestem bardziej zmęczona, niż sądziłam. - Odstawiła na tacę pusty kieliszek. - Dobranoc, Hectorze.

- Dobranoc.

Nie żegnając się z nikim więcej, Luz dyskretnie opuściła salon i udała się do swego pokoju na górze. Była zbyt wyczerpana emocjonalnie. Nie mogła sobie z tym poradzić.

Zsunęła z nóg pantofle, zdjęła bransoletę i kolczyki. Zaczęła się rozbierać, zrzucając na podłogę tak starannie dobierane stroje. Wyjęła z szafy szlafrok, włożyła go i mocno zawiązała pasek. Uprzątnięcie leżących na podłodze ubrań postanowiła zostawić pokojówce, ale po chwili zmieniła zdanie i niechętnie je zebrała.

Usłyszała stukanie do drzwi.

- Proszę wejść - odpowiedziała bez wahania i położyła ubrania na łóżko. Z wdzięcznością pomyślała, że to Hector przysłał jej pokojówkę. Nie miała ochoty sama sprzątnąć swoich rzeczy.

W otwartych drzwiach pokoju pojawił się Raul. Kiedy zauważył, że Luz przebrała się już w nocny strój, zawahał się, ale potem zamknął za sobą drzwi. Przez moment miała wrażenie, że serce jej stanęło. W jego wyrazie twarzy nie zauważyła nic, co dodałoby jej odwagi.

- Czego pan sobie życzy, panie Buchanan? - celowo zwróciła się do niego oficjalnie i chłodno. - Przyszedł pan upewnić się, czy nie zaszкодził mi dzisiejszy spacer w czasie deszczu?

- Co dokładnie powiedziałaś Trishy?

- Nic. - Luz podniosła z łóżka suknię i sięgnęła po druciany wieszak. - Nie powinno ją obchodzić nic, co nas dotyczy. Nie wiem, dlaczego się o to dopytujesz? - powiedziała ze złością, chowając suknię do szafy.

- Bywa, że matki i córki dzielą się niekiedy różnymi rzeczami. Zdarza się, że i mężczyznami.

Wymierzyła mu policzek tak silnie, jak tylko potrafiła.

- Uważasz, że jesteśmy aż tak rozwiązłe? - drżała z gniewu. Dłoń bolała ją od mocnego uderzenia.

Schwycił ją za ramiona, odwrócił twarzą do siebie i wycisnął na jej ustach mocny pocałunek. Luz nie zdążyła zareagować, a w chwilę później przemoc zamieniła się w czułą pieśczęotę, kiedy jego wargi delikatnie muskały jej usta. Nie była jednak w stanie tak szybko przejść od gniewu do namiętności.

Wyczuwając jej obojętność, Raul gwałtownie odsunął się od niej i podszedł do okna. W napięciu patrzyła, jak zapala małe czarne cygareto i nerwowo wydmuchuje dym.

- Co miał znaczyć ten pocałunek? Był to kolejny afront czy przeprosiny? - zapytała z wymuszonym uśmiechem. Czasami miała wrażenie, że on gardzi wszystkimi.

- Dla mnie sytuacja jest bardziej niejasna niż dla ciebie - odparł szorstko. - Początkowo sądziłem, że po prostu chcesz się ze mną przespać. Zrobiłaś to, po czym bez słowa wstałaś z łóżka, obojętna jak dziwka. Kiedy masz ochotę na mężczyznę, bierzesz go sobie i już. Dałaś mi to zresztą wyraźnie do zrozumienia w Paryżu. Wobec tego zastanawiam się teraz, czego oczekujesz ode mnie.

- Oczekuję, że nie będziesz mnie traktował jak dziwkę. - Była zbyt poruszona, by przejąć się tym, że jej słowa zabrzmiały wulgarnie. Zabolęła ją jego opinia. Stała z rękami splecionymi na piersiach. Odwróciła się, by uniknąć spojrzenia jego przenikliwych niebieskich oczu. - Od ponad dwudziestu lat aż do dzisiaj nie poszłam do łóżka z żadnym mężczyzną poza swym mężem. Nieważne, czy wierzysz w to, czy nie. Jeśli zachowałam się jak dziwka, to po prostu dlatego, że nie wiedziałam, co powiedzieć i co robić. Wstałam więc i ubrałam się. Zresztą, nie dałaś mi do zrozumienia, że oczekujesz ode mnie czegoś więcej.

- Sądziłem, że dostałaś wszystko, czego chciałaś. - Zgniół w popielniczce świeżo zapalone cygaro, potem ruszył w jej stronę. - Wydawało mi się, że to ci wystarcza. O tym, co mi powiedziałaś teraz, nie mogłem przecież wiedzieć. - Zatrzymał się przed nią. Wyczuła jego niepewność i niezdecydowanie. - Ja też później stwierdziłem, że zależy mi na czymś więcej. Teraz wydaje mi się, że ty również podobnie myślisz.

Wyciągnął do niej rękę, lecz Luz ją odtrąciła.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała, jednak gniew powoli ją opuszczał.

- Tej nocy i tak będę miał świeżo w pamięci twoje dotknięcia. Będę też pamiętał, jak w czasie treningów zerkałem na ciebie, gdy stojąc z boku obserwowałaś akcje na boisku. Być może twoja obecność bardziej rozpraszała uwagę moją niż Roba.

Kiedy znów wyciągnął ramiona, nie odtrąciła go.

- Czy pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Dotykałaś mojej twarzy - powiedział w zamyśleniu. - Wydałaś mi się wtedy kobietą intrygującą i intrygujesz mnie do dziś. Kiedy patrzę na twoją twarz, dostrzegam w niej coś, czego pragnę najbardziej.

- A więc weź to.

Nie wahał się długo. Poczula dotknięcie jego ust na swoich wargach i silny uścisk opasujących ją ramion. Nogi ugięły się pod nią i wtuliła się w niego. Potem, kiedy ukrył twarz w jej włosach, czuła drżenie jego ciała i słyszała przyspieszony oddech. Uwierzyła, że może wzbudzić w nim pożądanie równie mocne jak to, które sama odczuwała.

- Luz, ja...

Przerwało mu stukanie do drzwi. Uniósł głowę. - Zniecierpliwionym wzrokiem spojrzał w stronę wejścia. Luz z uśmiechem dotknęła jego policzka. Podzielała jego zdenerwowanie i cieszyło ją to.

- Prawdopodobnie Hector przysłał Annę - powiedziała cicho.

Stukanie do drzwi powtórzyło się.

- Luz, czy jesteś tam? - stłumiony głos Trishy natychmiast przygasił jej radosny nastrój. Zerknęła na Raula i uwolniła się z jego ramion.

- Ona nie powinna wiedzieć - szepnęła. Przytaknął skinieniem głowy. Nerwowo spojrzała na drzwi. - Tak, jestem tutaj - zawołała wreszcie.

Trisha otworzyła drzwi i znieruchomiła.

- Raul! Co ty tu robisz? - patrzyła zdumiona to na niego, to na nią.

- Wpadłem, żeby się upewnić, czy twoja matka czuje się dobrze po dzisiejszej przygodzie - powiedział.

Potem skinął głową w stronę Luz. - Dobranoc - dodał i wyszedł, omijając stojącą w drzwiach Triszę.

- Czy on naprawdę po to tutaj przyszedł? - Trisha podejrzliwie przyjrzała się matce.

- Czyżby to było takie dziwne, że troszczy się o gości w swoim domu? - Luz zajęła się porządkowaniem ubrań. Ciekawa była, czy jej twarz naprawdę jest tak zarumieniona, jak się wydaje. - Co cię do mnie sprowadza?

- Ja... - cała sprawa wydała się teraz Trishy niezbyt ważna. Cokolwiek chaotycznie dokończyła: - Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że chciałabym poprosić Hanifa, żeby mnie zabrał w przyszłym tygodniu do Buenos Aires swoim prywatnym samolotem.

23

Hanif zgodził się, żeby Trisha skorzystała z jego odrzutowca. Kiedy nadeszła pora wyjazdu. Luz odwiozła ją na pas startowy, z którego odlecieć miał do Buenos Aires prywatny samolot. Do stacji wracała z poczuciem winy. Nie mogła sobie darować, że cieszy się z wyjazdu córki. Zaparkowała samochód przed domem i weszła do środka. Od dłuższego czasu nie miała okazji spotkać się z Rauliem sam na sam. Robiło się to już trudne do zniesienia.

W panującej ciszy odgłos jej kroków odbijał się echem od ścian obszernego holu. Weszła do salonu i odruchowo skierowała się ku podwójnym drzwiom prowadzącym do gabinetu Raula. Popychała ją ciekawość i pragnienie jego bliskości. Otworzyła szeroko drzwi i zajrzała do wnętrza.

Całe umeblowanie gabinetu składało się z biurka, krzesła, dwóch dużych zniszczonych foteli, drewnianej szafki i leżącego przed kominkiem dywanika. Na jednej ze ścian wisiały prawie puste półki na książki. Pokój w niczym nie przypominał przytulnej biblioteki w Hopeworth.

Nic nie nosi tu śladu osobowości gospodarza, pomyślała Luz. A może właśnie tak? Może Raul jest równie pusty, pozbawiony ciepła i radości, której sam nigdy nie zaznał? Dręczyła ją ta myśl. Przypomniała sobie, co opowiedział w opuszczonej chacie o swoich pierwszych trokach w polo, o poniżeniu i kpinach, o brązowych butach, na które nie było go stać. Wiedziała, że polo jest kosztownym sportem i Raul musiał borykać się z trudnościami, o których nigdy nie miała pojęcia.

Podeszła do biurka i spojrzała na leżącą na nim stertę papierów. W większości była to korespondencja. Luz zauważyła odręczne notatki na brzegach arkuszy żółtego papieru. Rozpoznała pismo Raula - drobne litery napisane niemal dziecięcym, niewprawnym charakterem.

Jej wzrok przyciągnęły półki wiszące na ścianie za biurkiem. Na dwóch z nich leżało kilkanaście książek, przeważnie hiszpańskich, ale sądząc z tytułów, dotyczyły głównie hodowli koni lub gry w polo. Wszystkie sprawiały wrażenie często czytanych, grzbiety niektórych były popękane i postrzępione.

Jedna z książek była wyjątkowo zniszczona. Luz pochyliła się, by dojrzeć częściowo zatarty tytuł. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest to stary podręcznik do gry w polo napisany przez lorda Mountbattena. Wzięła go w rękę i zauważyła, że okładki ma kompletnie zniszczone, a brzegi kartek są poplamione i postrzępione od częstego odwracania. Niektóre kartki były luźne. Książka wyglądała jak biblia, do której zagląda codziennie pobożny właściciel. Raul mówił jej, że niełatwo przyszło mu zgłębić tajniki gry w polo, uczył się metodą prób i błędów. Luz w zamyśleniu patrzyła na książkę. Teraz dopiero zrozumiała

jego słowa.

- Ach, *señora* Luz. - Na dźwięk głosu Hectora przestraszona odwróciła się do drzwi. Nie zauważyła jego nadejścia. Tak już przywykła do charakterystycznego odgłosu jego kroków, że wtopił się on w zwykłe domowe hałasy. Stał teraz w drzwiach i patrzył na nią zdziwiony. - Usłyszałem samochód na podjeździe. Ponieważ nie było joga w salonie, sądziłem, że poszła pani na boisko.

- Powiedziano mi, że przeszkadzam w treningach - odparła. Do tej pory z nikim o tym nie rozmawiała. Nawet Rob nie komentował jej nieobecności.

- Domyślam się, kto to powiedział - Hector uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

Luz była przekonana, że niewiele spraw umykało uwagi Hectora, ale powstrzymała się od skomentowania jego słów.

- Przeglądając półki, natrafiłam na tę książkę. Obawiam się, że wkrótce rozpadnie się na strzępy.

- Wiele razy widywałem tę książkę w ręku Raula. Bardzo często ją czytał... Czasami pytał o znaczenie tego czy innego słowa.

- To chyba było dawno temu, kiedy uczył się grać, prawda?

- *Si*. Nie przychodziło mu to łatwo. Musiał się ciężko napracować.

- Też tak sędzę. - Luz zamknęła książkę i przycisnęła ją do piersi. Gładziła zniszczoną okładkę.

- Może pani sobie czegoś życzy? Herbatę?

- Nie. *Gracias*, Hector.

- Muszę zająć się przygotowaniami do lunchu. - Kule zachrobotyły o podłogę, kiedy odwrócił się, by odejść.

Po wyjściu Hectora Luz oparła się o biurko i w zamyśleniu patrzyła na książkę. Pomyślała, że gra w polo stała się dla Raula religią - zastępowała mu Boga i kochankę. Nic nie mogło stanąć pomiędzy nim a tą namiętnością. Nie pozwalał, by cokolwiek innego wplotło się w jego życie. Zastanawiała się, czy dotyczy to również jej osoby.

A jeśli nie, to czy chciałaby tego? Dotąd nie miała zamiaru wiązać się z innym mężczyzną. Wyczuwała, że jest na to zbyt wcześnie. Nie zdążyła jeszcze przyjść do siebie po wstrząsie, jakim był dla niej rozwód, ale ni żałowała chwili słabości, w rezultacie której znalazła się w ramionach Raula. Czy mogła wymarzyć sobie coś lepszego? To dzięki niemu poczuła się znów kobietą, to on przywrócił jej dawną wiarę w siebie. Ofiarował jej naprawdę niemało.

Usłyszała hałas otwieranych drzwi wejściowych, odgłos kroków dobiegający z holu i przytłumione męskie głosy. Odsunęła się od biurka i zamierzała ruszyć w kierunku drzwi, gdy pojawił się w nich Raul. Zawahał się na moment, kiedy ją zobaczył, a potem wszedł do gabinetu i zamknął obydwie skrzydła drzwi.

- Jak się udały zajęcia? - zapytała. Jakiś twardy rys w wyrazie jego twarzy sprawił, że zamilkła. Po chwili dodała: - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że tu weszłam. Kiedy odprowadziłam Trishę...

Bez słowa wyjął jej z rąk książkę i odłożył ją na półkę. Potem podszedł do biurka i zaczął przeglądać leżące na nim papiery.

- Widzę, że ta książka ma dla ciebie szczególne znaczenie. - Luz nawet nie domyślała się, jak wielkie. - Hector powiedział mi, że często ją czytałeś.

- Hector zbyt wiele mówi - przerwał krótko.

- Jesteś dla niego niesprawiedliwy - stanęła w obronie Hectora.

- *Pues bien*. Opowiedział ci, jak uczyłem się czytać, posługując się tą książką? - zamilkł, oparł się o biurko, a potem, patrząc w bok, mówił dalej. - Nie dostałem szczęścia uczęszczania do normalnej szkoły. Musiałem pracować, żeby jeść, ale sądzę, że nie potrafisz tego rozumieć.

Wziął w rękę plik papierów i zaczął je przeglądać. Luz przekonana była, że jego szorstkie słowa i zachowanie wynikają z dumy, a nie z gniewu.

- Raul - powiedziała cicho. - Sądziłam, że z tej książki uczyłeś się grać w polo, a nie czytać. Nie wiedziałam, że służyła ci jako elementarz. Hector nic o tym nie mówił. Boję się, że mi nie uwierzysz, ale nie ma to dla mnie żadnego znaczenia, kiedy i jak nauczyłeś się czytać. Mój ojciec zawsze twierdził, że nie obchodzi go, jaki kto skończył uniwersytet, ale czy zna się na interesach.

- Uważasz taki sposób nauki czytania za zabawny? - zapytał wyzywająco, dając jej tym do zrozumienia, że niektórzy tak to właśnie traktują.

- Nie, chociaż zaskoczona jestem, że nie chodziłeś do szkoły. Z tego, co widzę, Argentyna nie jest krajem analfabetów.

- Chodziłem do szkoły przez trzy lata, kiedy mieszkaliśmy na pampasach. Tam nauczyłem się rozróżniać litery i cyfry.

- W jaki sposób opanowałeś język angielski?

- Człowiek, u którego pracowałem, *señor* Boone, pochodził z rodziny angielskich osadników, przybyłych tutaj do budowy kolei. Kształcił się w Anglii i słabo mówił po hiszpańsku. Jego przyjaciele, z którymi grywał w polo, w większości byli Anglikami. Myślę, że angielski stał się dla mnie częścią polo, a oni niedościgłymi wzorami. Naśladowałem ich sposób mówienia, ubierania się, a kiedy zostałem na tyle dobrym zawodnikiem, że zaczęli zapraszać mnie do swych domów, naśladowałem ich sposób jedzenia i picia.

A jednak te wszystkie przejawy luksusu nie mają dla niego większego znaczenia, pomyślała. Stroje, wykwintne posiłki, wina, wspaniałe domy, atmosfera wyższych sfer, to tylko mało istotne elementy świata, w którym grywa się w polo. Przystosował się do nich bez entuzjazmu.

- Przeszedłeś przez to wszystko wyłącznie po to, by grać w polo - szepnęła.

- Po to, by grać w polo - powtórzył. - Ten sport daje mi wolność. Nikt nie dyktuje mi, co mam robić. To nie ty poleciałaś mi, bym uczył twojego syna. To był mój wybór. Nie mam zobowiązań wobec żadnego mężczyzny.

- Ani kobiety?

- Tak, ani żadnej kobiety. - Raul odwrócił się i oparł o biurko. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Oparła dłonie na jego ramionach, a on objął ją mocno. - Trisha wyjechała, prawda?

- Tak. Już pewno jest w Buenos Aires. - Miły dreszcz przebiegł jej po skórze, kiedy Raul dotknął ustami jej szyi.

Wplotła palce w ciemnobrązowe włosy Raula i odchyliła jego głowę do tyłu. Po chwili ich usta zetknęły się. Długie oczekiwanie sprawiło, że pocałunek wydał jej się bardziej gorący, niż się spodziewała. Spijała z warg Raula gorzkawy smak nikotyny i soli. Mocno przytuliła się do niego.

Ciche zgrzytnięcie zamka nie ostrzegło ich na tyle wcześnie, by zdążyli odsunąć się od siebie.

- Raul, lunch... jest gotowy - Hector zająknął się, ale w chwilę później ukrył szeroki uśmiech w sumiastych wąsach. Raul odwrócił głowę w jego stronę, nie pozwalając Luz odsunąć się od siebie.

- Byłoby lepiej, gdybyś od tej pory nie zapominał przed wejściem zapukać - powiedział uprzejmie.

- *Si*, a może trzeba będzie założyć nowy zamek. - Hector zamknął drzwi i odszedł, głośno stukając kulami, jak gdyby chciał, żeby dobrze słyszeli, że się oddala.

Luz przyglądała włosy Raula, które przed chwilą zmierzwiła. Kiedy pochylił głowę i spojrzał na nią, zrobiło jej się gorąco. Przycisnął ją mocno do siebie.

- Już prawie zapomniałem, jak dobrze jest być blisko ciebie - szepnął z ustami przy jej policzku. - Zbyt długo musiałem czekać.

- Wiem.

- Dzisiaj w nocy... - Odchylił nieco głowę i nosem dotknął do jej nosa. Ich oddechy zmieszały się. - Czy mogę przyjść do ciebie, czy może ty przyjdiesz do mnie?

- Nie wiem, gdzie jest twoja sypialnia.

- Ostatni pokój na pierwszym piętrze, ale lepiej ja złożę ci wizytę. Nikt się nie zdziwi, jeśli zobaczy mnie na korytarzu. - Znowu pocałował ją namiętnie.

- Lunch jest już na pewno podany - przypomniała.

- Szkoda.

Luz wyczuła jego podniecenie, ale rozluźnił uścisk i pozwolił jej odsunąć się od siebie. Kiedy odszedł od biurka, powiedział jeszcze raz:

- Dzisiaj w nocy.

- Tak.

Ostatni domownicy już dawno udali się na spoczynek, a Luz ciągle czekała w swojej sypialni, nad słuchując choćby najmniejszego szelestu od strony korytarza. W domu panowała kompletna cisza. Trzeci raz niespokojnie podeszła do okna i przyjrzała się swemu odbiciu widocznemu w ciemnych szybach. Spojrzała na nocną koszulę przewieszoną przez oparcie krzesła, zastanawiając się, czy nie powinna założyć jej na siebie i pójść spać. Delikatny makijaż, subtelny zapach perfum, którymi zwilżyła dyskretne miejsca, seksowny jedwabny peniuar - wyglądało na to, że tym wszystkim zachwycać się będzie jej własna poduszka.

Wtem usłyszała dwa delikatne stuknięcia w drzwi. Niewiele brakowało, by podbiegła do nich, ale w ostatniej chwili opanowała się. Raul ubrany w aksamitny szlafrok wślizgnął się do pokoju. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, przez moment stali nieruchomo, patrzyli na siebie niczym jeleni i łania przed rozpoczęciem rytualnej gry miłosnej.

Luz nie była pewna, które z nich poruszyło się pierwsze, ale nie miało to znaczenia. Znalazła się nagle w jego ramionach i poczuła żar namiętnego pocałunku. Wsunęła dłonie pod szlafrok i dotykała jego piersi. Pościel na łóżku odchylona była zapraszająco. Skorzystali z tego zaproszenia, zrzucając po drodze ubrania. Sprężyny łoża jęknęły pod ich ciężarem.

- Powinna była cię ostrzec, że to łóżko okrop skrzypi - szepnęła leżąc na nim i muskając sutkami jego szeroką męską pierś.

- Na szczęście dom ma grube ściany - zapewnił przyciągnął Luz do siebie, szukając ustami jej ust.

Pieściła twarde męskie ciało, potem oderwała wargi od jego ust i całowała jego brodę, a potem opaloną szyję. Zniknęła bez śladu odczuwana za pierwszym razem niepewność. Tym razem nie wahała się i nie oczekiwała zachęty z jego strony. Robiła to, czego sama chciała, a najbardziej pragnęła dać mu rozkosz i otrzymać ją od niego.

Jego pieszczoty stawały się coraz bardziej namiętne, ręce poruszały się po jej ciele z wzrastającą gwałtownością. Luz wodziła palcami po owłosionych udach Raula, a kiedy dotknęła jego członka, zareagował stłumionym głębokim pomrukiem. Uświadomiło jej to władzę, jaką może mieć kobieta nad mężczyzną.

Raul uniósł się nieco i przewrócił ją na plecy, by przyjąć dominującą pozycję. Widziała pożądanie w jego pół-przymkniętych oczach. Ona również czuła się coraz bardziej podniecona. Teraz jego ręce powędrowały w najbardziej intymne rejony jej ciała, podczas gdy wargi i język buszowały w innych wrażliwych miejscach. Kiedy jego dłoń znalazła się pomiędzy jej udami, a palce dotknęły nabrzmiałego pączka seksu, doznała konwulsyjnego wstrząsu i z jej gardła bezwiednie wydobył się głośny krzyk.

Poczuła w końcu ciężar jego ciała na sobie. Połączył ich szalony poryw namiętności. Nie słyszeli rytmicznego zgrzytania sprężyn łóżka, nie zauważyli narastającego tempa tego hałasu.

Kiedy doszło do spełnienia, leżeli dłuższy czas śpiwni ramionami, całując się wzajemnie i dotykając, szepcząc słowa, których znaczenie było mniej ważne niż samo brzmienie głosu.

Potem Raul wstał z łóżka i zarzucił na siebie szlafrok. - Luz usiadła, oparta o poduszki, i przykryła się kołdrą.

- Muszę już iść. Śpij dobrze - powiedział stojąc przy łóżku. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Wiedziała, że to ona doprowadziła go do takiego stanu.

- Dobranoc. Na pewno będę świetnie spać - zapewniła go. Czuła się rozkosznie zaspokojona.

- Do jutra - zacisnął węzeł na pasku szlafroka.

- *Si. Maniana.* - Jej hiszpański wywołał błysk rozbawienia w jego oczach.

Patrzyła, jak powoli idzie ku drzwiom i wychodzi równie cicho, jak wszedł. Przez chwilę siedziała jeszcze oparta o poduszki, potem sięgnęła do wyłącznika, zgasiła lampę i ułożyła się do snu. Jego zapach przylgnął do pościeli, wdychała go z zamkniętymi oczami. Jej w pełni zaspokojone ciało ogarnął szybko błogi sen.

Od tej nocy tryb domowych zajęć zmienił się nieco. Dnie biegly tak jak poprzednio - Raul prowadził treningi na boisku, potem odbywała się codzienna sesja poświęcona omawianiu wyników, a wieczorem pracował w swoim biurze. Hector co prawda postanowił zmienić porządek, w jakim zasiadano do obiadu. Nalegał, żeby Luz zajęła pierwsze miejsce przy stole i pełniła rolę gospodyni. Po odjeździe Trishy taka zmiana wydawała się naturalna, była wyrazem kurtuazji w stosunku do jedynej kobiety w towarzystwie. Siedziała teraz daleko od Raula, który zajmował miejsce na przeciwległym krańcu długiego stołu i ich porozumienie ograniczało się do spojrzeń i uśmiechów. Jednakże późnym wieczorem, kiedy wszyscy już spali, Luz i Raul wynagradzali sobie całodzienną rozłąkę.

Wrzesień przyniósł więcej słońca, wyższe temperatury i zmiany w tygodniowym toku zajęć. Zaczął się argentyński sezon polo, a wraz z nim zawody rozgrywane w licznych klubach rozrzuconych wokół

Buenos Aires. Uczestnicy kursu przez cały tydzień ćwiczyli i doskonalili swoje umiejętności, a w weekendy rozgrywali poważne mecze. O poziomie rywalizacji decydował skład drużyny.

Zdarzało się, że w czteroosobowym zespole kiedy występował Raul i pozostali dwaj instruktorzy, a mecz był szczególnie ważny, tym czwartym był zawodowiec - Meksykanin z dziesięciopunktowym handicapem, Juan Echevaria. Raul wyjaśnił Luz, że może w takim składzie wystąpią w listopadzie w otwartych mistrzostwach Argentyny i te weekendowe rozgrywki dają im świetną okazję do wspólnego treningu.

Mecz w Hurlingham Club Luz oglądała razem z Robem, stojąc przy skraju boiska. Rywalizacja, w której brała udział czwórka zawodowców, była wyjątkowo brutalna. Grę przerywały częste faule i rzuty karne. Żadna drużyna nie mogła w związku z tym wykazać w pełni swoich możliwości. Jednakże kiedy dzwonek obwieścił zakończenie meczu, drużyna Raula Los Pamperos - słowo oznaczające swobodny wiatr na pampasach - zjechała z pola jako zwycięska.

Luz wyszła na spotkanie wracającym jeźdźcom.

- Gratulacje! *Magnifico!*

Raul ściągnął wodze swojego konia, zeskoczył na ziemię z wyrazem dumy na twarzy.

- Świetny mecz - dodała. W otoczeniu ludzi Luz starała się, by kontakty z Raulem sprawiały wrażenie jedynie przyjacielskich, toteż kiedy położył dłoń na jej ramieniu, delikatnie odsunęła jego rękę i zwróciła się do Carlosa Rafferty: - Pięknie strzelił pan tego gola, mimo że przeciwnicy całkowicie zasłaniali panu bramkę.

Raul nie zrezygnował. Objął ją ramieniem i przyciągał do siebie. Wyczuła jego przyspieszony oddech, oznakę fizycznego zmęczenia meczem.

- *Si*, to było dobre - zgodził się Carlos. - Nie sądziłem, że mi się to uda.

Ruszyli razem brzegiem boiska. Luz zauważyła, że Raul patrzy na nią w sposób szczególny. Gdy sobie uświadomiła, że ona również go obejmuje, opuściła rękę. Odsunęła się powoli, aby dłoń Raula w sposób naturalny opadła z jej ramienia.

- Czy przed odjazdem napijemy się czegoś w klubie? - zapytała, oddalając się od Raula i podchodząc bliżej syna.

- Tak - odparł Raul.

Przez chwilę jego wzrok wyrażał zdziwienie zachowaniem Luz, ale spojrzał na Roba i o nic nie zapytał.

- Zaczekamy tam na ciebie. - Wzięła syna pod rękę i skręcili w kierunku budynku, w którym mieścił się klub. - To był ostry mecz, prawda?

- Też tak sędzę - Rob odpowiedział szorstko i uwolnił ramię z jej uścisku. Luz z niepokojem popatrzyła na jego zmęczoną, zafascynowaną twarz.

- Boli cię jeszcze ramię? Paskudny był ten twój upadek w czwartej rundzie. - Rob brał udział we wcześniejszym meczu na innym klubowym stadionie i jego drużyna wysoko przegrała.

- Nie, nie boli - mruknął.

- Co ci jest wobec tego?

- Nic takiego. A co niby ma być? Cóż to, nie można czasem nie mieć ochoty na rozmowę? - wybuchnęła nagle. Był w fatalnym humorze. Luz szła milcząc. Wiedziała, że ten nastrój minie równie szybko, jak się pojawił. - Kiedy chcesz wrócić do domu? W najbliższy piątek czy w sobotę?

- Postanowiłam zostać tu trochę dłużej - uśmiechnęła się z udawaną swobodą. - W końcu nie mam się do czego spieszyć.

- A co z końmi? Poza tymi dziewięcioma, które wybraliśmy, nie będę już kupował innych. Nie zamierzasz zająć się wyekspediowaniem ich do Stanów? - zapytał zaczepnie.

- Zdecydowałam się wysłać je do farmy Hopeworth. Stan Marshall importował wcześniej konie, potrafi więc załatwić formalności i zna procedurę związaną z kwarantanną. Sam odbierze konie. Moja obecność nie jest przy tym konieczna. - O tej porze roku w Wirginii pojawiały się już pierwsze oznaki jesieni, tu zaś królowała wiosenna zieleń. - Poza tym, co miałabym do roboty sama w Palm Beach? Znowu zebrania, komitety, uroczyste przyjęcia. Raczej zostanę tu z tobą i dopilnuję, żebyś się czegoś nauczył.

Starła się obszernie, a przy tym swobodnym tonem uzasadnić swoją decyzję, żeby Rob nie pomyślał, że istnieją jakieś inne powody skłaniające ją do pozostania.

- Doskonale wiem, jak bardzo interesujesz się tym, co robię - stwierdził tonem, który się jej nie spodobał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Od wyjazdu Trishy minęły już trzy tygodnie, a ty ani razu nie byłeś na moim treningu. Tak właśnie wygląda twoje prawdziwe zainteresowanie postępami, jakie robię.

- Ależ Rob! To dlatego, że byłam zajęta załatwianiem spraw związanych z kupnem koni. - Siedem kuców nabyli od Raula, a dwa od hodowcy mieszkającego w sąsiedztwie. - Poza tym... - Luz doszła do wniosku, że powinna powiedzieć mu prawdę o przyczynach swojej nieobecności na treningach. - Raul uważał, że moja obecność cię rozprasza.

- Wiem lepiej od ciebie, co Raul uważa - stwierdził ironicznie. Po chwili milczenia zapytał: - Czy to prawda, co mówią o was?

Pytanie zaskoczyło ją. Powinna była wcześniej pomyśleć, że jej nieobecność na treningach może wywołać różne domysły. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, patrzyła tylko na Roba, zastanawiając się, w jakich słowach matka powinna wyjawiać synowi, że ma romans.

- Czy to prawda? - nalegał. - Zabawiasz się z nim, tak?

- Rob, przestań. - Splotła mocno dłonie, by powstrzymać się od wymierzenia mu policzka.

- Tak bardzo byłaś wstrząśnięta rozwodem, taka byłaś załamana - rzucił kpiąco. - Minęło pięć miesięcy, a ty już wskakujesz do łóżka innego faceta. Jeszcze nie tak dawno mówiłaś mi, jak cierpisz, jak jestem ci potrzebny...

- I nic się nie zmieniło, Rob! Jesteś moim synem - powiedziała stanowczo. - To, co łączy mnie z Raulem, nie ma żadnego wpływu na mój stosunek do ciebie.

- Na pewno myślisz, że nie przeszkadza mu moja obecność? Zobacz, jak szybko przekonał cię, żebyś trzymała się z dala od moich treningów. Jesteś ślepa, jeśli nie widzisz, o co mu chodzi.

- To nieprawda. Życzył sobie tego, zanim... do czegokolwiek pomiędzy nami doszło. Raul nie ma nic przeciwko tobie. Zachowujesz się jak dzieciak. - Natychmiast zorientowała się, że nie powinna tego mówić, nawet jeśli tak było. To ona powinna zapewnić synowi oparcie i poczucie bezpieczeństwa. Nie mogła winić go za to, że chce mieć do niej wyłączne prawo. - Porozmawiam z Raulem. Może znów zgodzi się na moją obecność na treningach.

- Najlepiej poproś go w momencie, kiedy będzie miał wejść do twojego łóżka. Mężczyzna zgodzi się wtedy na wszystko.

Uderzyła go w twarz.

- Nigdy nie zwracaj się do mnie w ten sposób.

Rob zbladł, twarz wykrzywił mu gniew. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią, potem obrócił się na pięcie i odszedł. Oburzenie Luz zgasło nagle. Jego miejsce zajęła troska i niepokój.

Po czterech tygodniach wspólnych treningów i wspólnego spędzania wolnego czasu Rob poznał pochodzenie, słabości i zwyczaje wszystkich uczestników kursu. Nie miał więc wątpliwości, kogo powinien teraz odszukać - udał się prosto do młodego Argentyńczyka Tony'ego Lamberti. Kilka razy przyłapał go na tym, jak wieczorem wymykał się z domu, niewątpliwie po to, by wypalić skręta. Potem zdarzało się, że robili to razem.

- Tony! Chodź, chcę z tobą porozmawiać. - Rob próbował go odciągnąć od trzech chichoczących dziewcząt.

- *Che!* Odstąpię ci jedną z nich. - Przystojny czarnowłosy i czarnooki dwudziestodwuletni chłopak uważał się za wytrawnego kochanka.

- Zatrzymaj sobie wszystkie trzy - mruknął Rob obojętnie. - Powiedz mi lepiej, jak zdobyć trochę koki. - Widząc jego zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: - Rozumiesz, kokainy.

- *Che! El loco pibe.*

- Mów po angielsku, do cholery. I wcale nie oszalałem. - Rob z trudem opanowywał zdenerwowanie.

Ostatnio wszystko napęłniało go goryczą. Wiedział, że nauczył się wiele, ale ciągle ktoś, najczęściej Raul, zwracał mu uwagę, krytykował i wytykał błędy. Teraz okazało się, że nawet jego matka jest przeciwko niemu. Tylko kokaina mogła go w tym momencie podnieść na duchu. Wszyscy próbują mnie pognać, myślał, ale ja im jeszcze pokażę. Do diabła! Przecież nie jestem uzależniony. Od czterech tygodni nic nie brałem, a to już coś znaczy. Ale teraz jest mi naprawdę potrzebna. Niech Luz puszcza się, jeśli chce. Nie potrzebuję jej!

- Posłuchaj, Tony - powiedział cicho. - Muszę mieć parę porcji kokainy. Nie martw się. Mam na to pieniądze, a ty wiesz, gdzie ją można kupić. Co na to powiesz, *compadre*? Wsiadaj zaraz do samochodu.

- Ciągłe wahający się Tony patrzył z niepokojem na Roba. - Nie powiesz mi, że nie potrafisz jej zdobyć. Przecież to przeklęte zielsko rośnie właśnie tutaj.

- *Si.* Koka rośnie tutaj i kupuje ją wasza Coca-Cola Company, ale twój rząd każe im usuwać kokainę z tej rośliny i robić napój orzeźwiający. To już Indianie z gór są mądrzejsi. Żują liście koki, żeby nie czuć głodu, chłodu i zmęczenia. Tak już jest od setek lat. Przez Inków koka uważana była za boską roślinę. Wiedziałeś o tym?

- Nie interesują mnie twoje cholerne rozważania o historii tej rośliny. Powiedz, czy skontaktujesz mnie z dostawcą, czy nie? Mam nadzieję, że tak.

Tony zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Tobie nikt koki nie sprzeda. Załatwię ci to.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Rob uśmiechnął się całkowicie odprężony.

- Zatelefonuję do jednego faceta i zobaczymy.

- W porządku. Tony, w porządku.

Treningi przedłużały się ostatnio, więc i do obiadu zasiadano późnym popołudniem. Luz przebrała się i zeszła na dół. Nie myślała o jedzeniu. Po kłótni z synem była ciągle poruszona, ale nie chciała tego okazywać, żeby nie sprowokować pytań, na które nie miała ochoty odpowiadać. Była to sprawa wyłącznie jej i Roba, i nikt nie miał prawa wtrącać się do tego.

Stała w drzwiach salonu, gdzie zebrali się już prawie wszyscy goście, i rozejrzała się wokół.

- Gdzie jest Rob? - zapytała. - Do tej pory nie zszedł na dół?

- Wydaje mi się, że jeszcze nie wrócił - pospieszył z odpowiedzią Duke Sovine. - Wyszedł z klubu razem z Tonym i dotąd się nie pokazali.

- Ach, tak. - Luz nerwowo bawiła się guzikiem bluzki.

- Pewnie spotkali po drodze jakieś dziewczyny. Wiesz, jaki jest Tony - przypomniał jej Teksasńczyk.

- Tak, oczywiście. - To było logiczne i prawdopodobne wyjaśnienie. Na ile znała Roba, mogła podejrzewać, że celowo zatrzymał się gdzieś po to, żeby się o niego martwiła. Ze złością stwierdziła, że udało mu się to. Z wymuszonym uśmiechem zwróciła się do Hectora, unikając równocześnie jakiegokolwiek kontaktu z Raulem, osobą, która była powodem jej konfliktu z synem. - Mam nadzieję, że nie zamierzacie czekać na nich z obiadem. Mogą się przecież bardzo spóźnić.

- *Si*, zaraz zasiadamy do stołu, a dla nich jedzenie zostawimy w kuchni - powiedział Hector.

Rob i Tony istotnie wrócili do estancji bardzo późno. Luz siedziała przed małym telewizorem w rogu salonu bez zainteresowania oglądała hiszpański program. Kiedy usłyszała hałas otwieranych drzwi wejściowych i podniesione głosy w holu, zmusiła się do pozostania na miejscu. Zaczekała, aż przybysze znajdą się w salonie i dopiero wtedy wstała, by przywitać się z synem. Jego rozradowany uśmiech nie przygasł, kiedy ją zobaczył, nawet przeciwnie - w jego wyzywającym spojrzeniu dostrzegła ślad kpiny z tego, że matka tak długo na niego czeka.

- A gdzie podziewa się reszta towarzystwa? - zapytał Tony Lambert, rozglądając się po salonie, w którym przebywało już tylko parę osób.

- Poszli do swoich pokoi - odparła Luz. Raul też opuścił salon pół godziny temu. - Jest bardzo późno - dodała z naciskiem, patrząc na syna, i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do holu. - W kuchni zostawiono dla was jedzenie. Zawiadomię Hectora, że wróciliście.

- Nie warto - powiedział Rob. - Nie jestem głodny.

- Ja również, *señora* - potwierdził Tony. - Jakoś tam zaspokoiliśmy już swoje apetyty. Czy nie tak, Rob?

- Tak, tak - przytaknął Rob.

- W takim razie... Chciałabym zamienić z tobą parę słów na osobności - powiedziała.

Tony kpiąco spojrzał na Roba.

- Widzę, że twoja *madre* jest z ciebie niezadowolona. Jesteś złym chłopcem, bo wróciłeś późno do domu. - Popchnął go lekko w stronę Luz. - Musisz ją teraz przeprosić, zapewnić, że wcale nie chciałeś zrobić jej przykrości. - Odszedł od nich, śmiejąc się głośno.

Rob z ociąganiem podszedł do Luz. Miała wrażenie, że jest wstawiony, chociaż nie dolatywał od niego zapach alkoholu.

- Gdzie chcesz odbyć tę rozmowę?

- Ot, choćby tutaj. - Weszła do sali bilardowej, zaczekała na syna i zamknęła drzwi. Rob podszedł do stołu bilardowego i zaczął bawić się bilami.

- Czego sobie życzysz?

- Musimy wyjaśnić pewne sprawy dotyczące Raula. - Luz złapała toczącą się po stole kule, próbując skoncentrować na sobie uwagę Roba. - Wydawało mi się, że go wysoko cenisz.

- Jako gracza polo, tak. - Rob wyprostował się. - Nie rozumiem tylko, dlaczego, jeśli już musiałaś mieć mężczyznę, nie wybrałaś sobie kogoś innego.

- Podoba mi się. - Jak dotychczas to była cała prawda. Ich związek był bardziej cielesny niż duchowy. Sprawiało im radość fizyczne zbliżenie, lecz zbyt słabo się znali, by pojawiła się pomiędzy nimi więź innego rodzaju. Luz przywiązała się do niego, ale sama nie wiedziała jeszcze, jak ważne i głębokie jest to uczucie. - Ale ty jesteś moim synem i bardzo cię kocham. Nic, żaden mężczyzna nie będzie w stanie tego zmienić.

- Czyżby? - Podniósł następną bilę i obracał ją w dłoniach.

- Musisz mi uwierzyć.

- A więc zamierzasz nadal z nim sypiać, prawda? - Energicznie rzucił bilę na stół. - No to powodzenia. W międzyczasie ja będę wykorzystywał jego sportowe umiejętności, a potem zostanę graczem lepszym niż on. Potrafię tego dokonać. Wiem o tym. - Patrząc w jej oczy, dodał półgłosem. - Zobacysz. Będę najlepszy.

- A ja zawsze będę przy tobie. - Pragnęła, aby zrozumiał, jak wiele dla niej znaczy.

- Jeśli to wszystko, o czym chciałaś ze mną porozmawiać, to pójdę już do swojego pokoju. - Wcisnęła dłoń w kieszenie marynarki.

- Dobrze, idź - westchnęła.

Pomyślała, że ta niechętna akceptacja jej związku z Raulem to wszystko, czego może w tej chwili od niego oczekiwać. Niewykluczone, że Rob zrozumie kiedyś zaistniałą sytuację i dojdzie między nimi do prawdziwego pojednania.

Po wyjściu Roba została przez chwilę w sali bilardowej, zastanawiając się, co jeszcze mogła mu powiedzieć. Poszła w końcu do swojej sypialni, ale rozmowa z synem ciągle zajmowała jej myśli. Stała przy oknie, oparła się o masywną, dębową framugę i wpatrzyła się w ciemność. Bolała nad tym, że pomiędzy nią a Robem pojawił się jakiś dysonans, chociaż dotąd zawsze byli sobie tacy bliscy.

Uznała, że rozwód nie jest jedynym powodem zaistniałej sytuacji. Wiedziała, że odejście ojca Rob odczuł bardzo boleśnie, ale nie sądziła, że jej związek z innym mężczyzną potraktuje również jako porzucenie go. Widocznie uważał, że Drew zostawił go dla Claudii, a teraz być może matka porzuca go dla Raula. Luz nie przypuszczała wcześniej, że syn może tak na to patrzeć. Sądziła, że tylko u małych dzieci rozwód rodziców wywołuje uraz. Rob był już w takim wieku, że powinien wszystko zrozumieć i nie czuć się odrzucony. Widocznie takie uczucia pojawiają się niezależnie od wieku, pomyślała.

Nagle dotarł do niej odgłos cichego pukania do drzwi. Potem usłyszała zgrzytnięcie zamka. Spojrzała w tamtą stronę i ujrzała Raula wchodzącego do pokoju. Kiedy zauważył, że jest całkowicie ubrana, na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Czyżby było już tak późno? - odwróciła się od okna i z uśmiechem podeszła do Raula.

- Pora nie ma tu żadnego znaczenia. - Objął ją czule i pocałował na powitanie. Jej reakcja na dotknięcie

jego gorących ust nie była taka, jakiej oczekiwał. Przyjrzał się jej uważnie. - Co ci jest?

- Rob dowiedział się o nas.

Luz uznała, że powinna poinformować o tym Raula, że problem był wyłącznie jej, nie jego.

- Czy to, że już wie, jest dla ciebie bardzo przykre?

- Tak... nie. - Wyjaśnienie nie było łatwe. - Nie wstydzę się tego, że jestem z tobą, ale Rob traktuje to jak rodzaj zdrady. Czuje się tym dotknięty. Martwi mnie, że on tak to odbiera. Oczekiwałam problemów z Trishą, a nie z Robem. Wiedziałam, że cię lubi, i nigdy nie sądziłam, że będzie o ciebie zazdrosny.

- To mu przejdzie.

- Też tak uważam, lecz musi upłynąć trochę czasu. - Objęła go i oparła głowę na jego ramieniu. Przycisnął ją do siebie i wtulił twarz w jej włosy. Luz zamknęła oczy. W milczeniu wsłuchiwała się w uspokajający rytm jego serca. - On jest przekonany, że ty celowo odsuwasz mnie od niego. Jego zdaniem moja nieobecność na treningach jest dowodem na to, że chcesz mnie od niego oderwać. - Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na niego. - Raul, ja muszę znów przychodzić na treningi.

- Nawet jeśli mu to nie pomoże?

- Obawiam się, że moja nieobecność rozprasza go bardziej niż obecność. Zaczyna zaraz zastanawiać się, dlaczego mnie nie ma, i dochodzi do fałszywych wniosków. W tej sytuacji nigdy nie przekonam go, że się myli. Powinnam stać na brzegu boiska, żeby udowodnić mu, że nie ma racji.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Nie, Raul. Nie stawiaj mnie przed takim wyborem, bo musiałabym wybrać syna - ostrzegła.

- Jest to twoja decyzja. Moje zdanie nie ma tu znaczenia, chociaż to ja jestem instruktorem - rzucił wyzywająco.

- Ależ ma znaczenie. Tylko czy ty nie dostrzegasz, że Rob przestaje cię lubić? Wkrótce może się to odbić i na wynikach treningów. Robię to zarówno dla siebie, jak i dla ciebie. Chociaż Rob jest o ciebie zazdrosny, nadal darzy cię szacunkiem. Nie chciałabym, aby to się zmieniło. - Patrzyła na jego nieustępliwie zaciśnięte wąskie wargi. Uśmiechnęła się smutno. - Wiem, że jestem egoistką. Chcę mieć was obu.

- A ty zawsze otrzymujesz to, co chcesz, prawda.

- Tak - odpowiedziała wesoło, zanim zorientowała się, że nie był to z jego strony żart. Poczula, jak rozluźni uścisk. - Raul, czy to źle, że staram się zachować to, co mam? Czy nie moglibyśmy osiągnąć jakiegoś kompromisu? Powiedziałam Robowi, że to moja sprawa, z kim się spotykam. Nie był z tego zadowolony, ale zgodził się ze mną. Dlaczego ty nie mógłbyś wyrazić zgody, abym mogła oglądać treningi?

- Jeśli chcesz kompromisu, to dobrze. Możesz uczestniczyć w zajęciach, ale niecodziennie. Czy to cię zadowala?

- Tak.

Stała na palcach i mocnym pocałunkiem przypieczętowała umowę.

Odpowiedź Raula na jej pocałunek zaskoczyła Luz. W sposobie, w jaki mocno przycisnął usta do jej warg, wyczuła odrobinę złości. Kiedy spróbowała się cofnąć, przytrzymał ją mocno. Dopiero po dłuższej chwili ucisk jego ust zelżał i pocałunek stał się niemal przepraszająco czuły. Potem Luz znowu oparła głowę o jego ramię.

- Wydaje mi się, że oboje nie jesteśmy dzisiaj w dobrym nastroju - powiedział. - Lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

- Dobrze - zgodziła się, zadowolona, że zauważył jej nienajlepsze samopoczucie, chociaż była pewna, że mógłby je zmienić, gdyby tylko spróbował. Zdawała sobie sprawę, że Raul nie potrafi w pełni zrozumieć jej problemów, ale nie miała o to do niego pretensji. - Obawiam się, że tej nocy myślami jestem gdzie indziej.

- Zauważyłem to. - Uwolnił ją ze swych objęć i spojrzał jej w oczy. - Rob lepiej przewiduje przyszłość niż ty. Musi nastąpić dzień, kiedy ty go opuścisz, albo on ciebie. To zwykła kolej rzeczy.

- Nie wierzę w to. - Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Jak sobie życzysz. - Wzruszył ramionami i nie podjął sporu.

Wyraz pewności na jego twarzy przyprawił Luz o niepokój. Stała w otwartych drzwiach, kiedy Raul wyszedł na korytarz.

- Dobranoc. - Chciała go jeszcze pocałować, żeby uzyskać pewność, że nic się między nimi nie zmieniło.

Zanim zdążyła to zrobić, ktoś cicho zakasłał, żeby ostrzec ich o swej obecności. Luz spojrzała w tę stronę; zauważyła Duke'a Sovine idącego korytarzem.

- Zostawiłem na dole papierosy. - Pokazał im trzymaną w ręku paczkę, potem stanął przed drzwiami do swego pokoju i wymownie spojrzał na Raula. - Wkrótce wydepczesz ścieżkę na tym dywanie - powiedział, przeciągając słowa i zniknął w głębi pokoju.

Luz pomyślała, że Rob ma rację. Wszyscy już wiedzą o nocnych wizytach Raula.

- Myślałaś, że potrafimy ich oszukać? - zapytał Raul.

- Tak mi się zdawało. Początkowo uważałam, że powinniśmy utrzymywać to w tajemnicy, ale teraz... może i lepiej, że wszystko wyszło na jaw.

24

Ujrawszy zabudowania estancji. Luz zwolniła bieg konia i czekała, aż dołączy do niej wolniej jadący Hector. Wkrótce obydwaj wierzchowcy jechały obok siebie i tylko towarzyszący im foryś, współczesny *gaucho*, który pilnował stad koni i bydła, został dyskretnie w tyle.

- Tak tu pięknie, że nie mam ochoty wyjeżdżać.

Luz wodziła wzrokiem po otaczającym ich morzu traw falujących jak rozległy ocean. W ciągu ostatnich dwóch tygodni na przełomie września i października wiosna eksplodowała na pampasach. Królująca wszędzie bujna zieleń wybuchła nowym życiem.

Koń Hectora parsknął i potrząsnął łbem.

- Rubio zgadza się z panią - roześmiał się jeździec.

- Nazywa się Rubio? - spojrzała na pięknego wałacha o płowej grzywie i ogonie.

- Jego pełne imię brzmi: El Rubio Rey, czyli Jasnogrzywy Król. Proszę zauważyć, jak dumnie kroczy, a jeśli pojawią się przed nim ptaki czy krowy, nigdy nie zwraca na nie uwagi. Uważa, że powinny ustąpić mu z drogi.

- Ma rację - uśmiechnęła się.

Główną zaletą wałacha było jeszcze to, że zawsze zachowywał się spokojnie i dlatego nadawał się znakomicie na wierzchowca dla kalekiego mężczyzny.

Foryś spiął swego konia ostrogami i wyjechał przed nich, żeby otworzyć bramę pastwiska. Po przekroczeniu jej przecięli polną drogę i skierowali się w stronę stajni.

Na dziedzińcu panował wzmożony ruch. Zakończyły się akurat poranne zajęcia - stajenni odprowadzali konie a jeźdźcy powoli zdążali w stronę domu. Luz poszukała wzrokiem Roba. Znalazła go zgodnie z oczekiwaniami w towarzystwie Tony'ego. Ostatnio zauważyła, że prawie każdą wolną chwilę spędza z młodym Argentyńczykiem. Rob był samotnikiem, cieszyło ją więc, że znalazł sobie przyjaciela. Wyczuwała przy tym, że działa tutaj w jakimś stopniu chęć udowodnienia jej, że towarzystwo kogoś innego może być dla niego bardziej atrakcyjne niż przebywanie z matką. Wiedziała, że syn zawsze długo chował urazę i wolno zapominał o doznanych przykrościach. Prawdopodobnie teraz celowo chciał się na niej odegrać.

Było to z jego strony egoistyczne i niezbyt ładne. Luz dostrzegąca to, ale nie wiedziała, co może zrobić poza wykazywaniem zainteresowania jego sprawami. Powróciła do zwyczaju oglądania ćwiczeń, ale robiła to nieregularnie. Asystowała jednak prawie każdego dnia albo przy porannym, albo przy popołudniowym treningu.

Teraz, kiedy jej romans z Raulem przestał być tajemnicą, nie unikała już kontaktów z nim w obecności innych ludzi. Nie demonstrowała otwarcie swoich uczuć, ale nie krępowała się dotknąć go, wziąć pod rękę, uśmiechnąć się do niego lub po prostu przyglądać mu się, kiedy rozmawiał z kimś innym. Stopniowo Raul też stawał się mniej ostrożny. Kiedy wieczorem siedzieli obok siebie, czasami obejmował ją ramieniem. Patrząc wówczas na niego, widziała uśmiech w jego oczach. Dwukrotnie zdarzyło się, że wieczorem razem z nią poszedł na górę.

Rob ignorował ich zachowanie, a przynajmniej starał się o to, chociaż niekiedy na ich widok wychodził z pokoju. Luz przekonana była, że w końcu przywyknie do myśli o ich romansie. Podobał jej się nowy charakter związku z Raulem. Nie była to już więc wyłącznie erotyczna, chociaż napiętność pomiędzy nimi nie przygasła. Teraz mogła z nim rozmawiać o wszystkim: o pogodzie, koniach, metodach treningu. Niekiedy wydawało jej się, że zaczyna kochać Raula, ale starała się szybko uciec od takich myśli. Uważała, że na to jest zbyt późno. Nie chciała też narażać się na ponowne zranienie.

Serce drgnęło jej mocno, kiedy zobaczyła go idącego im naprzeciw. Pamiętając nieustannie, że została porzucona przez męża, jakąś cząstką świadomości wciąż wątpiła, czy mężczyzna tak przystojny jak Raul może się nią poważnie zainteresować. Gdy znalazł się obok niej, ściągnęła cugle swego kasztanka.

- Udała wam się przejażdżka? - Raul przytrzymał ją w talii, kiedy zeskakiwała na ziemię, i spojrzał na nią uważnie.

- Wspaniale.

Równie wspaniale było to, że czekał na nią. Odczytywała to z jego twarzy.

- Sądząc po iskierkach w twoich oczach, istotnie tak było - zauważył.

- Wybierasz się do domu na lunch? - zapytała.

Hector odpiął tymczasem paski, którymi przymocowany był do siodła. Dwaj stajenni czekali, by mu pomóc zsiąść z konia.

- Nie. El Gato naderwał sobie ścięgno, muszę się tym zająć - powiedział. El Gato należał do najlepszych koni w jego stadzie.

- Dobrze. Będę miała czas, żeby się nieco ogarnąć.

- Ale pozostaw te iskiery w oczach - uśmiechnął się.

Opanowana nagle gorącym uczuciem, patrzyła za nim, kiedy szedł w stronę najbliższej stajni. Potem odwróciła się do Hectora, któremu stajenni pomogli wsiąść z konia. Podniosła leżące na trawie kule i kolejno mu je podała. Przed dwoma miesiącami ciągle świadoma była jego kalectwa, teraz prawie o tym nie pamiętała.

- Idziemy? - zapytała, kiedy zapiął paski klamer usztywniających nogi.

- *Si.* - Ruszyli w stronę domu. - Jesteś dobra dla Raula - stwierdził w pewnym momencie. - Zawsze chciałem, żeby wziął sobie kobietę.

- Nie przekonasz mnie, że on nie miał wcześniej żadnych romansów - powiedziała chłodno.

- Miewał różne kobiety w łóżku, ale nie w domu - powiedział z poważną miną. - Nie poznał tego ciepła, które kobieta wnosi w życie mężczyzny.

- Nie przypuszczam, żeby brakowało chętnych - roześmiała się Luz, a potem spojrzała pytająco na Hectora. - Na pewno były i takie, które kochał. Przyjaźniłeś się z nim przez lata, więc musisz wiedzieć.

- Raz czy dwa razy, ale... rozumiesz, lampart nie może zmienić swoich cętek, a mężczyzna charakteru. Myślę, że one nie potrafiły czekać, kiedy Raul wyjeżdżał, żeby grać w polo. A on zawsze był taki, no i zostawał sam. Z tobą to co innego. Nie masz do niego pretensji, że wiele czasu spędza na boisku.

- Nie.

- A więc jesteś dla niego dobra.

Zastanowiła się, czy naprawdę tak jest. Nigdy dotychczas nie myślała o tym, co mogłaby mu ofiarować. Na pewno nic ponad to, co sama mogła od niego otrzymać. Oczywiście pieniądze, ale dla Raula miały one znaczenie tylko o tyle, o ile wiązały się z polo. Z całą pewnością nie pragnął się bogacić. Dom tak, ale rodzina - własne dzieci - w jej wieku? Mało prawdopodobne, żeby mogła zająć w ciążę, a jeśli nawet, to czy miałyby ochotę znów wychowywać dziecko? Raczej nie. Te rozważania otrzeźwiły ją. Raul jest od niej młodszy. Jemu jeszcze się wszystko należy.

Kiedy dotarli do domu. Luz zatrzymała się przy drzwiach, czekając, aż Hector otworzy je dla niej tak jak zazwyczaj.

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego? - zapytał, przyglądając się jej uważnie.

- Nie. Zamyśliłam się nad czymś - skłamała.

Patrząc na nią z niedowierzaniem, Hector nacisnął klamkę i końcem kuli popchnął ciężkie drzwi. Luz weszła do wnętrza, potem zatrzymała się na moment, podczas gdy on, znów posługując się kulą, zamykał drzwi.

- Pójdę teraz na górę do mojego pokoju, żeby się umyć i przebrać. Bardzo miłą miałam przejażdżkę, Hectorze. Dziękuję ci.

- To ja powinienem podziękować. Nieczęsto mam przyjemność towarzyszyć pięknej damie.

- Jesteś niebezpieczny, Hectorze - zaśmiała się. - Kłamiesz tak zręcznie, że kobiety skłonne są uwierzyć w to, co mówisz.

Może niezupełnie uwierzyła, ale nastrój wyraźnie jej się poprawił. Z uśmiechem, lekko wbiegła na schody. Zanim znalazła się na korytarzu pierwszego piętra, dobiegły ją podniecone, gniewne głosy dwóch osób. Jeden z nich brzmiał jak głos Roba. Przyspieszyła na ostatnich paru stopniach. Nagle otworzyły się któreś drzwi i przytłumione głosy stały się wyraźne.

- Wynoś się stąd! Wynoś się ty wstrętna stara jędo! - Na korytarzu pojawił się Rob, wrzeszczący na przerażoną Anne. - Jeśli jeszcze raz przyłapię cię tutaj, to... - potrzasał nad nią zaciśniętymi pięściami, twarz wykrzywioną miał złością.

- Rob! - Luz pobiegła w ich kierunku, zaskoczona furią syna. Odruchowo objęła tęgą niewiastę, żeby ją uspokoić i równocześnie osłonić przed atakiem Roba. - O co tu chodzi?

- Wszedłem do pokoju i przyłapałem ją na kradzieży.

- Nie, *señor*, nie. *Por favor*. - Anna potrzasała przecząco głową i zalała ją potokiem hiszpańskich słów. Luz poznała już nieco ten język w czasie długiego tu pobytu, ale nie na tyle, by zrozumieć chaotycznie wypowiedziane przez nią zdania. Oczywiście było, że służąca dowodzi swojej niewinności, co zresztą brzmiało dla Luz wyjątkowo szczerze.

- *Momento. Momento, por favor* - przerwała jej i zwróciła się do Roba. - Jesteś tego pewny? Co ona ci ukradła?

- Nic, ale tylko dlatego, że przyłapałem ją na gorącym uczynku. Ta stara tłusta wiedźma, kiedy wszedłem do pokoju, grzebała w moich szufladach. Zegarek, portfel, pieniądze, karta kredytowa - wszystko tam jest. Cholernie dobrze by się obłowiła.

- *No. No, señor* - znów ruszyła lawina hiszpańskich słów.

- Anna, *mas despacio, por favor*. - Luz poprosiła ją, żeby powtórzyła wszystko spokojnie. Służąca spróbowała mówić wolno, raz za razem niespokojnie spoglądając na Roba. Wszystkiego Luz nie potrafiła zrozumieć, ale wyłapała pojedyncze słowa, między innymi *lavado* - *El lavado!* Bielizna do prania? - zapytała, chcąc się upewnić.

- *Si, si*. - Trochę z gestów, trochę z hiszpańskich słów Luz w końcu rozumiała wszystko.

- Rob, myślę, że zbyt pochopnie wyciągnąłeś wnioski z tego, co zobaczyłeś. Anna układała w szufladach przyniesioną z pralni bieliznę. - Spojrzała do wnętrza pokoju. - Spójrz, część tych rzeczy leży jeszcze na komodzie.

- Tę bieliznę wzięła po to, by w razie kłopotów chronić swój tyłek - warknął.

- Natychmiast się uspokój. Nie życzę sobie, żebyś się tak wyrażał. - Mogła puścić mimo uszu wulgarne słowa rzucone w gniewie, ale tego było już za wiele.

W chwilę później usłyszała tłumiony dywanem odgłos pospiesznych kroków idącego ku nim Hectora. Odwróciła się ku niemu. To samo zrobiła Anna i ponownie wybuchnęła potokiem hiszpańskich słów. Kiedy skończyła, Luz wyjaśniła powód zdenerwowania syna.

- *Señor* Rob, bardzo mi przykro, ale Anna zawsze układała tylko upraną bieliznę - zapewnił go Hector. - Ona na pewno nic by nie wzięła. Jest uczciwą kobietą.

Niezadowolony z wyjaśnień Rob mruknął przez zaciśnięte zęby:

- Ja tam wiem swoje.

- Rob - szepnęła rozdrażniona Luz. Chciała, żeby przynajmniej przyznał się do pomyłki.

- Nie życzę sobie, żeby zaglądała do moich szuflad. Pranie może zostawiać na łóżku. Sam je poukładam.

Hector i Luz wymienili spojrzenia.

- Jeśli tak pan sobie życzy, to powiem jej o tym.

Najlepiej, żeby pan schował swoje cenne przedmioty w naszej...

- Będę je trzymał tam, gdzie uważam za stosowne. - Ze złością wskazał ręką na służącą. - A jej prozę powiedzieć, żeby trzymała się z dala od moich rzeczy. Nie życzę sobie, żeby wtykała nos w nie swoje sprawy.

- Si...

Rob nie czekając na dalsze wyjaśnienia odwrócił się gwałtownie, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Podeszedł do otwartej szuflady w komodzie i spod sterty skarpet, przy układaniu których zastał Anne, wyciągnął jedną parę. Torebki z kokainą były na swoim miejscu, ukryte w skarpetkach. Przymknął oczy i odetchnął z ulgą.

Na odgłos pukania do drzwi instynktownie zacisnął dłonie na swoich skarbach. Kiedy usłyszał skrzypnięcie, odwrócił się raptownie, chowając za plecami dłonie, w których ścisnął skarpety. Chciał ukryć je przed krokiem matki.

- Wydaje mi się, że wypada poczekać na zaproszenie do wejścia - powiedział z przekąsem.

- Jeśli już komuś potrzebna jest lekcja dobrych Manier, to raczej tobie. Zachowałeś się gorzej niż grubiańsko. Nie zdobyłeś się nawet na to, by przeprosić, kiedy okazało się, że twoje podejrzenia są bezpodstawne. Co się z tobą dzieje, Rob?

- W porządku. Możliwe, że się pomyliłem. Też byłabyś wzburzona, gdyby tobie przytrafiło się coś takiego - odparł. - Jeśli ci na tym zależy, to mogę ją przeprosić przy najbliższej okazji. Jesteś zadowolona?

- Lepsze to niż nic. - Luz potrząsnęła z zakłopotaniem głową. Wyczuła, że coś go gnębi. Zawsze był zamknięty w sobie, ale nie do tego stopnia. - Rob, co się z tobą dzieje? Nigdy się tak nie zachowywałeś.

- Po prostu przyłapałem kogoś na grzebaniu w moich szufladach i zdenerwowałem się. To wszystko. Wracaj do swojego argentyńskiego kochanka, a mnie zostaw w spokoju. Nikt cię nie prosił, żebyś się wtrącała.

- Ciągłe dręczy cię sprawa Raula? - Luz miała nadzieję, że minęła mu już początkowa niechęć do Argentyńczyka i że przestał obwiniać ją za to, że porzuciła go dla niego. - Rob, jesteś moim dzieckiem i nikt na świecie nie może tego zmienić.

- Daj już spokój. Powiedziałem ci, że ją przeproszę. Czego jeszcze chcesz? Czasem człowiek może się pomylić, prawda?

- Oczywiście, ale tak jak pomyliłeś się w sprawie Anny, tak samo mylisz się, jeśli chodzi o Raula.

Wydawało jej się, że to do niego nie dociera. Nie znała go takiego. Zastanawiała się, co spowodowało w nim aż tak dużą zmianę. Tłumaczyła sobie, że Rob żyje ostatnio w stanie ciągłego stresu wywołanego pragnieniem osiągnięcia doskonałości w grze. Może dlatego tak ostro zareagował na jej romans? Upływ czasu i cierpliwość z jej strony będą najlepszym lekarstwem. Zatrzymała się w otwartych drzwiach i spokojnie powiedziała:

- Spotkamy się na dole.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią i na schodach dały się słyszeć jej kroki, Rob szybko ukrył skarpetki w szufladzie. Potem oderwał od leżącego na stole arkusza papieru listowego wąski paseczek i wsunął go pomiędzy krawędź szuflady a jej ściankę. Chciał wiedzieć czy ktoś odważy się jeszcze raz zajrzeć do jego rzeczy.

Idąc szybko w stronę domu Luz ciaśniej otuliła się szlafrokiem kąpielowym. Październikowe słońce przygrzewało mocno, ale woda w basenie była zdecydowanie zbyt chłodna. Wbiegła prosto na schody, po drodze wycierając włosy ręcznikiem. Na stoliku w holu zauważyła stertę świeżo dostarczonej korespondencji i zatrzymała się. Hector widocznie nie zdążył jej jeszcze przesortować. Zawahała się, ale potem zaczęła przerzucać koperty, żeby sprawdzić, czy jest tu coś dla niej.

Odłożyła na bok zaadresowany do niej list od Trishy, potem znalazła list od Emmy, niewątpliwie zawierający comiesięczny raport o stanie domu i taktownie sformułowane pytanie o prawdopodobny termin jej powrotu. Skrzywiła się, kiedy zobaczyła grubą kopertę zaadresowaną przez matkę. Nie musiała czytać listu, żeby wiedzieć, co zawiera. Jeśli podobny był do poprzednich, to na pierwszych trzech stronach wyrażone były wątpliwości i zaniepokojenie, dlaczego trzytygodniowa wycieczka zamieniła się w dwumiesięczną, oraz niezbyt subtelnie wyrażone żądanie podania terminu powrotu. Następne trzy strony zawierały rodzinne wiadomości.

Mniej więcej jedna trzecia korespondencji adresowana była do Raula. Zauważyła nagle na kopercie znajome pismo. Był to list od Trishy. Z wahaniem wzięła go do ręki.

Ciekawe, czy już wcześniej pisała do niego? W listach, które Luz dostawała od córki, przekazywane były tylko zdawkowe pozdrowienia dla Raula. Luz miała nadzieję, że przebywając w nowym otoczeniu na uniwersytecie, Trisha szybko zapomni o Raulu. Najwyraźniej tak się nie stało.

Po dłuższym zastanowieniu dołączyła ten list do swoich. Od strony salonu pojawił się Hector.

- Zabrałam już swoją korespondencję. Jak przyjdzie Raul, proszę mu powiedzieć, że chciałabym się z nim zobaczyć. To bardzo ważne.

- *Si*, powiem mu.

- Będę w swoim pokoju.

Nie zwlekając rozdarła kopertę listu Trishy do siebie i szybko przebiegła wzrokiem jego treść. Córka pisała o wykładach, na które się zapisała, kolegach, profesorach. Pytała o postępy Roba i oczywiście pochwalala jej decyzję o przedłużeniu pobytu w Argentynie. Ani słowa o Raulu. Luz spojrzała na kopertę zaadresowaną do niego. Odłożyła ją na bok i poszła do łazienki.

Po godzinie usłyszała stłumione głosy i ciężkie męskie kroki na korytarzu. Popołudniowe zajęcia dobiegły końca, to znaczy, że po krótkiej przerwie na prysznic i przebranie się kursanci znów zejdą się na naradę w sali bilardowej. Raul powinien pojawić się u niej lada moment. Czekala, spacerując po pokoju. Od czasu do czasu zerkała na list leżący na nocnym stoliku.

Czas płynął, jej napięcie rosło, a Raul ciągle nie przychodził. Kilka razy podchodziła do drzwi i zatrzymywała się z ręką na klamce, wahając się, czy nie zejść na dół i nie poszukać go. Może Hector nie przekazał mu wiadomości? Nie zdecydowała się jednak otworzyć drzwi - instynktownie wiedziała, jak powinna postępować, ale jej zdenerwowanie narastało z każdą mijającą minutą.

Kiedy wreszcie zapukał do drzwi, otworzyła je energicznie i, ledwo wszedł do pokoju, zasypała go wymówkami.

- Gdzie byłeś? Zajęcia skończyły się półtorej godziny temu. Cały czas czekałam, bo muszę z tobą porozmawiać. Czy Hector nie mówił ci, że chcę cię zobaczyć, jak tylko przyjdiesz? Nie przekazał ci mojej prośby?

- Powiedział mi, że chcesz się ze mną zobaczyć, ale byłem zajęty. Przyszedłem tak szybko, jak tylko mogłem.

Prawdziwość jego stów potwierdzało to, że jeszcze miał na sobie poplamiony i przepocony strój do konnej jazdy, ale Luz zbyt była zirytowana, by to zauważyć.

- Tak szybko, jak tylko mogłeś? - powtórzyła jego słowa. - Czy Hector nie przekazał ci, że to ważne, zdajesz sobie sprawę, jak długo na ciebie czekałam.

- Byłem zajęty - powtórzył ostro Raul. - Czy ty myślisz, że muszę zaraz biec do ciebie, jak tylko kiwniesz palcem? Nie jestem jakimś żigolo, który natychmiast reaguje na twoje skinienie i zawołanie.

- Nigdy nie twierdziłam, że tak jest.

- Nie? Przyszedłem, gdy tylko znalazłem czas, ale to nie wystarcza. Musiałaś na mnie czekać i to cię wkurza. Czego ty ode mnie oczekujesz? Czego chcesz?

Ostry ton głosu Raula podziałał na nią otrzeźwiająco.

- Niczego. Chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

- Porozmawiać? - Podszedł do niej, a Luz nie cofnęła się. Zatrzymał się tuż przed nią, nie dotykając jej. Przytłaczał ją samą swą obecnością. Przyglądał się jej spod opuszczonych powiek, jego wzrok przewierał ją na wylot. - Czy to wszystko, czego chcesz ode mnie? A może chcesz, żebym cię dotykał, obejmował, całował, żebym się z tobą kochał? Nigdy mi tego nie powiedziałaś. Czy ty w ogóle mnie pragniesz?

Wyczuwała, że długo tłumił w sobie te pytania, aż wreszcie nastąpił wybuch.

- Nie powinieneś o to pytać. Odpowiedź „tak” oznaczałaby, że uważam się za słabą kobietę, która nie może żyć bez mężczyzny. Jestem na to zbyt dumna.

- A ja odważyłem się na takie wyznania - przypomniał jej. - Czy to znaczy, że byłem słaby jak kobieta? Jestem mężczyzną. A gdzie jest moja duma? Zawsze ja przychodziłem do ciebie, a nie ty do mnie. Uważasz, że to w porządku? Czy nigdy nie będziesz leżeć w moim łóżku, tylko ja w twoim? Zapytałaś mnie kiedyś, czy cię pragnę. Teraz ja zadaję to pytanie: czy ty mnie pragniesz?

- Czasami... czasami pragnę cię tak bardzo, że mnie to przeraża.

Chyba nigdy nie pragnęła go tak jak w tej chwili, ani nigdy nie była tak zatrwożona tym przemożnym uczuciem. Do tej pory romans przebiegał na jej warunkach i mogła czuć się bezpiecznie, bo zawsze potrafiła wzbudzić jego pożądanie nie narażając się na odrzucenie.

Teraz też nie było śladu odrzucenia, kiedy objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Jej na wpół uświadomiony lęk wydawał się błahostką, gdy wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Ani nie umiała skrywać swej namiętności, ani kierować się desperackim pragnieniem zatrzymania czasu w momencie najwspanialszego uniesienia, z obawy, że coś takiego nigdy się już nie powtórzy.

- Naprawdę, pragnę cię, Raul. Uwierz mi - szeptała. Wszystkie jej zahamowania znikły bez śladu. - Będziemy się kochać - powiedziała, kiedy wreszcie oderwała się od niego.

Widziała pożądanie w jego niebieskich oczach. Sięgnęła palcami do guzików jego koszulki, potem wyciągnęła ją spod paska bryczesów. Kiedy podniosła ją ku górze, zauważyła, że Raul drgnął nagle i skrzywił się boleśnie.

- *Cuidado* - mruknął.

- Co ci się stało? - Luz znieruchomiała wystraszona.

- Lewe ramię. Obtarłem je. - Raul podjął wysiłek zrzucenia z siebie koszulki. Najpierw uwolnił z rękawa prawą rękę, następnie przerzucił koszulkę przez głowę i ostrożnie zsunął rękaw z lewego, kontuzjowanego ramienia.

Skóra na górnej części ramienia i pleców miała kolor czarnofioletowy. Luz delikatnie dotknęła palcami stłuczonej ręki, domyślając się, jak bardzo musi to być bolesne. Uświadomiła sobie, że kiedy obejmował ją przed chwilą, przyciskał ją do siebie prawie wyłącznie jedną ręką.

- Upadłeś?

- *Si.* Koń Lambertiego przewrócił się tuż przede mną. Lamberti ma złamaną rękę. Musiałem odwieźć go do szpitala i dlatego nie było mnie przez ostatnie trzy godziny.

Luz cofnęła się o krok i odwróciła tyłem, by ukryć malujące się na jej twarzy zmieszanie. Uświadomiła sobie, jak bardzo była małoduszna i egoistyczna.

- Powinieneś mnie uderzyć... odejść ode mnie... albo... A jak on się czuje?

- Nieźle. Założą mu gips na parę tygodni. Złamanie jest normalne, bez komplikacji. Hector powinien był powiedzieć ci, dlaczego się spóźniam, ale prawdopodobnie nie miał czasu. Cieszę cię, że cię nie uderzyłem ani nie porzuciłem, jak sugerowałaś. Wreszcie dowiedziałem się, że pragniesz mnie tak, jak ja ciebie. - Palcami dotknął jej szyi, potem opuścił ramię i stał na wprost niej. - Mam sprawną tylko jedną rękę. Dzisiaj inicjatywa należy do ciebie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała i rozumiała to dosłownie.

Znacznie później, nasycona, leżała z głową opartą o jego ramię. Uczucia, jakich doznawała w zbliżeniu z Raulem, różniły się od tego, co kiedykolwiek poznała. Wydało jej się zabawne, że teraz może myśleć o byłym mężu bez rozgoryczenia, wspominać jedynie najlepsze chwile, a nie te najgorsze.

Zawdzięczała to Raulowi, podobnie jak przywrócone zaufanie we własne siły i poczucie własnej godności. Nie chciała nazywać uczucia, jakie do niego żywiła, ale musiała przed sobą przyznać, że pragnęła, aby romans nie okazał się przelotny. Miała ochotę układać plany na przyszłość.

- Jak tam postępy Roba? Nie masz z nim kłopotów? - Luz nie wspomniała o przykrym incydencie pomiędzy synem a pokojówką. Być może Hector powiedział mu o tym. Ciągle zastanawiała się, czy wybuch złości Roba nie służył rozładowaniu skrywanej niechęci do Raula. Na treningach nie zauważyła żadnej wrogości pomiędzy nimi, ale nie obserwowała ich z tak bliska, by dostrzec drobne niuanse w głosie czy w wyrazie twarzy.

Raul odwrócił się, podparty na łokciu, i spojrzał na nią.

- W takim momencie pytasz mnie o swojego syna? - zapytał, delikatnie dotykając jej brzucha i ud.

- Ostatnio wydaje mi się jakiś zmieniony i ciekawa jestem, czy ty też to zauważyłeś.

- Istotnie, często bywa rozdrażniony i w nie najlepszym nastroju. Dlaczego pytasz?

- Czasami odnoszę wrażenie, że ma nam za złe, że jesteśmy razem, i zastanawiałam się, jak zachowuje się w stosunku do ciebie pod moją nieobecność.

- Z szacunkiem, chociaż nie wydaje mi się, żeby mnie lubił - odparł.

Luz pomyślała, że być może robi z tego zbyt wielki problem. Jest na pewno przewrażliwiona. To, że Rob negatywnie odnosi się do jej romansu i czuje się nieco pokrzywdzony, jest zupełnie naturalne.

Raul pochylił się i czubkiem języka delikatnie dotknął jej sutków. Poczowała silne podniecenie.

- Zakończyliśmy rozmowę o nim? - zapytał.

- Chyba tak, ale mam do ciebie następne pytanie. Czy podjąłeś już jakieś zobowiązania co do zimowego sezonu na Florydzie?

- Dostałem propozycje od kilku sponsorów, ale nic nie zostało jeszcze ustalone. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ... zamierzam zorganizować i sfinansować drużynę dla Roba. Chciałabym, żeby grał z najlepszymi - mam na myśli ciebie. Równocześnie mógłbyś go nadal trenować. Czy podoba ci się ten pomysł?

- Ty mi się podobasz.

- Raul - zaprotestowała, ale niezbyt stanowczo.

- Nigdy dotąd nie grałem dla kobiety - powiedział, podnosząc głowę.

- Igrałeś tylko z nimi, prawda? - spytała, dotykając palcami jego ust.

- A czy nie jest to bardziej zabawne? - roześmiał się.

- Niewykluczone, że dla obydwu stron - stwierdziła. - Mam duży dom, stajnie, tereny do ćwiczeń i szerokie łóżko. Kto ci kiedykolwiek przedstawi taką atrakcyjną ofertę? Pomyśl o korzyściach i odpowiedz, czy cne grać ze mną i dla mnie?

- Cała przyjemność będzie po mojej stronie. - Nachylił się i pocałował ją w usta. - Czy to właśnie o tym tak pilnie chciałaś ze mną rozmawiać?

- Nie. - Uniosła się i sięgnęła po leżącą na nocnym stoliku kopertę. - Ten list przyszedł dzisiaj do ciebie.

- Wziął go w rękę i odwrócił, by spojrzeć na nazwisko nadawcy. - Nie otwierałam - powiedziała. - Nie wiedziałam, że ona do ciebie pisuje.

- Do tej pory dwukrotnie. - Raul obojętnie patrzył na kopertę, nie wykazując chęci otwarcia jej.

- O czym ona do ciebie pisze?

- Chcesz przeczytać? - podał jej list.

- Nie - przecząco pokręciła głowę. Wolała nie wiedzieć, jaka jest treść listu.

- I ja też nie. - Odłożył kopertę na nocny stolik.

- Nie zdecydowałam się powiedzieć jej o nas.

- Dlaczego?

- Nie byłam wówczas pewna, jak długo to potrwa. - Przyglądała się delikatnej białej linii na jego piersi, bliźnię po jakiejś dawnej kontuzji. - Nie wiedziałam nawet, czy chcę tego.

- A teraz? - patrzył na nią badawczo.

- A teraz chcę, żebyś grał w mojej drużynie - odparła.

- Co będzie, jeśli Rob uzna to za niestosowne? Albo Trisha? - Raul dotknął najbardziej drażliwego problemu.

- Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to Rob zamierza grać w polo i robi to coraz lepiej. Niezależnie od tego, co czuje do ciebie, wierzy, że możesz mu pomóc. Z Trishą sprawa jest nieco inna. Myślę, że powinnam niezwłocznie napisać jej o nas. Zanim się spotkamy, będzie miała czas, żeby wszystko przeboleć. Więcej dowiem się w listopadzie. Trisha zawsze mnie zaskakuje. Nigdy nie pompuje tak, jak oczekuję.

- Listopad już blisko.

- Przyjedziesz pod koniec miesiąca, prawda? Spędzimy razem święta, a potem zaczniesz kompletować drużynę.

- To się chyba da załatwić.

Pogłaskała jego szeroką pierś.

- Czy sądzisz, że obiad jest już gotowy?

- Może moglibyśmy jeszcze jakoś zaostrzyć sobie apetyt? - zaproponował, a jego dłoń coraz niżej przesuwiała się po jej brzuchu.

- A jak twoje ramię?

Jego pocałunek uznała za wystarczającą odpowiedź.

Późnym wieczorem Luz zasiadła do pisania długo odkładanego listu do Trishy. Był to najtrudniejszy list w jej życiu. Próbowwała tak przedstawić swój romans, by cios był dla córki jak najmniej bolesny. Napisała wszystko, nie nazywając niczego dosłownie. Pełna obaw i wątpliwości oddała nazajutrz kopertę Hectorowi z prośbą o wysłanie jej. Stało się. Przynajmniej uwolniła się od poczucia winy za ukrywanie przed Trishą prawdy.

25

W piątek, wkrótce po śniadaniu, ubrana w biały lniany kostium i narzuconą na ramiona sobolową pele-rynę Luz wyszła z domu i zatrzymała się, by poczekać na podążającego za nią Hectora. Do bagażnika stojącego przed domem samochodu Raul wkładał akurat ostatnią jej walizkę. Miejsca w samolocie do Stanów dla niej i Roba zarezerwowane zostały dopiero na poniedziałek, ale postanowili spędzić weekend w Buenos Aires i przy okazji obejrzeć kilka meczów polo.

Usłyszała za sobą odgłos kroków Hectora i odwróciła się. Siwowłosa mężczyzna niezwłocznie ruszył w kierunku samochodu, chcąc zrekompensować Luz stratę czasu, spowodowaną jego powolnymi manewrami przy otwieraniu i zamykaniu drzwi.

- Jest jeszcze czas na to, żebyś zmienił decyzję i pojechał z nami do Buenos Aires. - Luz podjęła ostatnią próbę przekonania Hectora, żeby im towarzyszył.

- Nie mogę zostawić estancji na trzy dni - uśmiechnął się.

- To prawda. - Żałowała, że już się rozstają. Kiedy podeszli do samochodu, zwróciła się do niego: - Będzie mi Ciebie brakowało. Rozmów z tobą, konnych przejażdżek...

- My wszyscy tutaj będziemy tęsknić za panią, *señora* Luz. Wypełniłaś dom swoim światłem. - Czarne oczy Hectora zrobiły się dziwnie błyszczące. Przez chwilę stali w milczeniu.

Dołączył do nich Rob. Jego uwagę zwrócili dwaj mężczyźni przekopujący ziemię pod frontową ścianą budynku.

- Co oni robią? - zapytał.

Hector spojrzał z uśmiechem na Luz.

- Zgodnie z pani radą, sadzą winorośl. Następnym razem, kiedy pani do nas przyjedzie, dom otulony zielenią nie będzie już tak smutno wyglądał.

„Kiedy pani znów przyjedzie.” Te słowa odezwały się echem w jej świadomości. Pragnęła wrócić do Argentyny, do estancji, do pampasów. Hector na pewno chciał tego, miała nadzieję, że Raul również, chociaż starała się nie wybiegać myślą w daleką przyszłość. Raul nie powiedział nic ani na temat sadzenia winorośli, ani jej ponownego przyjazdu. Jego twarz wyrażała zaaferowanie, nie było na niej miejsca na wyrażanie jakichś innych uczuć.

- Powinniśmy już jechać - zwrócił się do niej, otwierając drzwi samochodu,
- Do zobaczenia, Hectorze - Luz ucałowała go w obydwie policzki.
- W Argentynie ostatnio mówią „czao”. Zbyt wielu tu Włochów - powiedział, zwracając uwagi na podobieństwo do włoskiego „ciao”. Te pozornie swobodne słowa bez wątplenia zamaskować miały wzruszenie, z jakim czule ścisnął dłoń Luz.

- Cza - Luz uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła się w stronę auta, wyczuwając zniecierpliwienie Raula.

Wślizgnęła się na miejsce obok kierowcy i gdy Raul zamykał drzwi, ułożyła na kolanach futrzaną pelerynę. W tym momencie żałowała, że Rob nie jedzie z nimi, tylko ze swymi kolegami, chociaż przebywanie w samochodzie przez prawie cztery godziny mogłoby okazać się męczące. To normalne, tłumaczyła sobie, że Rob woli towarzystwo swoich przyjaciół z boiska. Czasami wydawało jej się, że staje się nadmiernie przewrażliwiona, doszukując się w zwykłych sprawach ukrytych znaczeń.

Raul wszedł do samochodu i ruszyli. Pomachała Hectorowi ręką. Jeszcze raz spojrzała na surowo wyglądający dom, zielone łąki i czerwone dachy kamiennych stajni. Szerokie liście drzew eukaliptusowych tworzyły gęste baldachim nad długim podjazdem. „Kiedy znów tu przyjedziesz”, powróciły do niej słowa Hectora. Wątpiła, czy zdarzy się to kiedykolwiek.

- Czy samochody z końmi już odjechały?
- Przed godziną - odparł Raul.
- Z Robem spotkamy się prawdopodobnie w hotelu. - Spojrzała na zasepioną twarz Raula. - Czy masz jakieś kłopoty?
- Nie.

Odpowiedź zabrzmiała chłodniej, niż mogła oczekiwać. Włączył radio i nastawił jakąś muzykę, żeby wypełnić ciszę. W dniu poprzedzającym mecz Raul często stawał się milczący i zamknięty w sobie. Powiedział jej kiedyś, że w taki sposób się koncentruje. Luz nie próbowała rozpraszać jego myśli i wkrótce pograżyła się we własnych.

Wiosna w Buenos Aires spełniła oczekiwania Luz, powstałe w momencie przybycia do Argentyny. Rzędy *paraiso* - rajskich drzew rosnących wzdłuż miejskich ulic - obsypane były purpurowymi i żółtymi kwiatami. Na prawie każdym skrzyżowaniu stały donice z kwiatami, których barwy przywodziły na myśl paletę malarza.

Po pewnym czasie Luz doszła do wniosku, że znajduje się w komfortowej sytuacji, ponieważ nie musi prowadzić samochodu. Uznała, że tylko szalenciec potrafi poruszać się w takim ruchu, chociaż Raul sprawiał wrażenie całkowicie obojętnego na przedziwne manewry wykonywane przez jadących przed nim i za nim kierowców.

Zatrzymali się na podjeździe tego samego hotelu co poprzednio. Ubrany w liberię portier otworzył drzwi samochodu i pomógł jej wysiąść. Raul doglądał wyładunku bagaży, potem powiedział coś po hiszpańsku do portiera, wziął ją pod rękę i wprowadził do holu. Ciągle był zamyślony, a nawet ponury.

Po załatwieniu formalności meldunkowych hotelowy boy zaprowadził ich do apartamentu. W jednej z sypialni Luz zauważyła ubrania Roba.

- Widzę, że Rob już tu był i wyszedł - powiedziała.

Raul nie zareagował na jej słowa. Stojąc przy oknie, patrzył na miasto i Rio de La Plata. Luz poszła do łazienki, żeby odświeżyć się po podróży. Kiedy po paru minutach wróciła, Raul ciągle, w tej samej pozie, wyglądał przez okno

Przyjrzała mu się, a potem z ociąganiem podeszła do niego.

- O czym tak myślisz? - zapytała z uśmiechem, próbując nadać swoim słowom czuły odcień.

Spojrzał na nią jak na kogoś obcego. Luz zaniepokoiła się nagle.

- Chodź - powiedział wreszcie. Objął ją ramieniem i poprowadził ku drzwiom.

- Dokąd idziemy? - zapytała, ale nie usłyszała odpowiedzi.

Samochód Raula stał ciągle zaparkowany w pobliżu wejścia do hotelu. Podeszli do niego. Luz zajęła miejsce pasażera, on usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik. Mięśnie twarzy miał napięte. Wyglądał, jak gdyby był o coś zły. Poczowała się zaniepokojona.

Podczas gdy Raul przedzierał się przez gęszcz pojazdów, Luz siedziała w milczeniu, próbując domyślić się, co się stało. Obawiała się, że być może ma to jakiś związek z Robem. Nie rozumiała, dlaczego Raul trzyma w tajemnicy cel ich nagłego wyjazdu. Jeśli mieli jechać na tereny do gry w polo, to dlaczego jej tego nie powiedział? To wszystko pozbawione jest sensu, pomyślała.

Zagłębiona w myślach, nie zwracała uwagi na to, którądy jadą, dopóki Raul nie skręcił w wąską uliczkę. Ze zdumieniem zobaczyła wreszcie, gdzie się znajdują. Po obydwu stronach uliczki tłoczyły się nędzne budy sklecone z drewna, blachy i tektury. *Las villas miseria*. Dlaczego Raul przywiózł ją tutaj? Patrzyła przez okno na to skupisko nędzy. Na dachu jednej z ruder zauważyła antenę telewizyjną. Raul wjechał teraz w boczną uliczkę, węższą od poprzedniej. Znaleźli się jeszcze głębiej w dzielnicy slumsów. Zaczynała coś rozumieć.

- Raul, dokąd jedziemy?

Tym razem zareagował na jej głos i spojrzał na nią chłodno i wyzywająco.

- Chcę ci pokazać miejsce, gdzie kiedyś mieszkałem. - Znów patrzył przed siebie, ogarniając wzrokiem stłoczone nędzne schronienia. Nie wiedziała, czy jest bardziej wstrząśnięta i przerażona, czy przepełniona wstrętem. - Masz ochotę je zobaczyć?

- Tak - odpowiedziała z wysiłkiem.

Patrzyła przez okno na naprędce sklecone budy. Pamiętała, co mówił, kiedy przejeżdżali koło slumsów w drodze do estacji - o braku mieszkań dla ciągle napływających do miasta wieśniaków.

Raul zatrzymał samochód w jednej z uliczek, wyłączył silnik i wyszedł. Luz czekała przez chwilę, nim zorientowała się, że nie zamierza otworzyć jej drzwi. Patrzył na parę ruder stojących po drugiej stronie ulicy. Zawahała się, a później wysiadła z auta. Czowała na sobie wzrok ludzi patrzących na nią spoza rozwalających się płotów i otworów imitujących okna lub drzwi. W białym lnianym kostiumie i eleganckich pantofelkach wydawała się tutaj całkiem nie na miejscu. Wokół panowała cisza, jeśli nie brać pod uwagę dobiegającego z dala śmiechu bawiących się gdzieś dzieci, zupełnie jakby ich obecność wypłoszyła wszystkich z najbliższej okolicy. Mocniej ścisnęła torebkę i podeszła do Raula.

Wyraz twarzy miał chłodny i daleki. Chociaż zdawało się, że jej nie zauważa, kiedy podeszła do niego, ruszył na drugą stronę ulicy. Szła krok za nim. Zatrzymała się, kiedy przystanął.

- To było tam, gdzie rosną te krzaki - wskazał jej teren ogrodzony dziurawym płotem. - Zbudowałem sobie schronienie z kartonów, na tyle duże, że mogłem się w nim położyć. Czasami rozpałem przed nim

niewielkie ognisko, ale naprawdę niewielkie, żeby mój dom przypadkiem nie spłonął. O kartony nie było łatwo, a chłopiec stajenny nie ma wiele pieniędzy. Ciągle byłem głodny. - Mówił tak, jakby obok nikogo nie było. - Niekiedy udawało mi się coś ukraść w ogródkach sąsiadów, czasami mogłem napęłnić kieszenie owsem z końskiego żłobu i na małym ognisku gotowałem sobie papkę.

Patrzyła na niego w milczeniu. Nie była w stanie nic powiedzieć. Chciała dotknąć go, wziąć za rękę, lecz nie mogła. Stali obok siebie, ale osobno.

- Marzyłem o tym, żeby być koniem, silnym szybkim zwierzęciem. Nie pozwoliłbym sobie dosiąść. Pędziłbym wolny jak wiatr. - Przez chwilę patrzył na porośnięty połamanymi krzewami kawałek ziemi. - Miałem niewielki woreczek, w którym mieścił się cały mój majątek. Nosilem go wszędzie ze sobą. Wyglądałem pewnie jak wasz włóczęga z Nowego Jorku, prawda?

- Zapewne - szepnęła.

Wrócili do samochodu. Tym razem Raul pomógł jej wsiąść. Luz nie odważyła się przerwać milczenia, które trwało przez całą powrotną drogę do hotelu. Setki pytań kłębiły się jej w głowie. Tyle było luk w tym, co o nim wiedziała, brakujących fragmentów, które sprawiały, że obraz stawał się niekompletny. Po tym, co zobaczyła, nie potrafiła powiedzieć nic, co nie zabrzmiałoby banalnie.

Po przyjeździe do hotelu Raul odstawił samochód na parking i odprowadził Luz do jej apartamentu. Kiedy znalazła się w salonie, odłożyła torebkę i podeszła do Raula. Zapalał akurat cienkie czarne cygaro. Spojrzał na nią przez chmurkę dymu.

- Widzę ciekawość w twoich oczach. Chciałabyś wiedzieć wszystko, prawda?

Spuściła wzrok, ale potem znów spojrzała na niego.

- Skłamałabym mówiąc, że nie. Oczywiście, chciałabym wiedzieć, ale tylko pod tym warunkiem, że tym razem opowiesz mi wszystko.

Jeszcze raz zaciągnął się dymem i przez moment rozważał, czy wyjawić jej całą prawdę. Potem stanął przy oknie, zwrócony do niej bokiem.

- Zanim przybyłem do Buenos Aires, mieszkałem na pampasach.

Luz zdziwiła się, że i w slumsach, i teraz, mówi o przeszłości tak, jakby był wówczas sam, a przecież kiedyś wspominał o matce.

- Nie widziałaś zachodnich pampasów.

- Nie - przyznała.

- Są to tereny bardziej suche i niegościnne niż te, na których znajduje się estancja. W powietrzu zawsze unosi się tam kurz. - Patrzył w zamyśleniu przez okno. - Mój ojciec był rolnikiem, miał mały kawałek ziemi. Matka mówiła mi, że żyliśmy tam całkiem dostatnio. Nie brakowało nam jedzenia, ale ojciec porzucił nas pewnego dnia, kiedy miałem trzy lata. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego. Pamiętam tylko *mia madre* płaczącą... Płaczącą bez przerwy. Musieliśmy opuścić farmę. Nie była już nasza. Myślę, że ojciec ją sprzedał i zabrał pieniądze. Matka zaczęła pracować w pobliskiej dużej estancji. Pozwolono nam zamieszkać w chacie dla robotników. Domek zbudowany był z nie wypalanej cegły, miał jedną dużą izbę i pokryty był blachą. Przypominał tę chatę pod drzewem *ombu*, w której schroniliśmy się przed deszczem.

- Tak, wiem.

Pamiętała, że porównywał ją wówczas z własnym domem.

- Kiedy miałem sześć lat, zacząłem zarabiać pieniądze nosząc wodę dla koni. Niestety, w dwa lata później matka zachorowała. Całe zaoszczędzone na wyjazd do Buenos Aires pieniądze poszły na doktora. To wtedy rzuciłem szkołę i zacząłem pracować jako stajenny. Matka nie wracała do zdrowia. Któregoś dnia spotkał mnie proboszcz z wioski i powiedział mi, że matka jest umierająca. Myślę, że ja już wcześniej wiedziałem, że nie ma nadziei na jej wyleczenie. - Wpatrywał się w dym ulatujący z cygara. - Tej nocy wziąłem garść pesos, które zaoszczędziliśmy, trochę jedzenia, ubrań i odszedłem.

- Opuściłeś swoją matkę? - zapytała zdumiona.

- *Si.* - Raul spozjrzał na nią obojętnie. - Była bliska śmierci. Nic nie mogłem dla niej zrobić. Wiedziałem, że wkrótce umrze. Gdybym nie udał się do Buenos Aires, to co by się ze mną stało? Wydaje mi się, że tak wtedy myślałem. Ona umierała i nie widziałem żadnego powodu, żeby zostać tam dłużej.

- Porzuciłeś ją więc tak, jak twój ojciec - szepnęła i zamyśliła się. - A może odszedłeś, żeby nie zostać przez nią opuszczony?

- Teraz trudno jest mi powiedzieć, co wówczas myślałem. To było tak dawno. Później dowiedziałem się, że zmarła wkrótce po mojej ucieczce. Dalszy ciąg tej historii już znasz. Dobrze, że wiesz już wszystko. Człowiek nie może przestać być tym, kim naprawdę jest.

- To samo powiedział o tobie Hector. Ale przecie ty się zmieniłeś. Spójrz, kim byłeś, a kim jesteś teraz. - Czy istotnie tak się zmienił, pomyślała? Nauczył się jeździć konno tak wspaniale, że podobnie jak legenda *gaucho* stanowi jedność z dosiadanym zwierzęciem, pół-konń i pół-człowiek. Prowadzi swobodne życie włóczęgi, zawsze zostawiając coś albo kogoś za sobą. - Myślę, że kobiety, które kochałeś, porzucałeś albo dla gry w polo, albo dlatego, by wcześniej same cię nie porzuciły. Odchodzenie to twoja specjalność. Prawda? Zawsze opuszczałeś innych, zanim stali ci się zbyt bliscy.

- Zapominasz o Hectorze - powiedział, podważając tym jej amatorską diagnozę. - Jest moim przyjacielem od lat. Mamy do siebie zaufanie.

W pierwszym momencie pomyślała, że istotnie jej rozumowanie jest błędne, ale szybko znalazła argument na poparcie swej tezy.

- Jeśli chodzi o niego, to czujesz się bezpieczny. Jest kaleką, więc nie może cię porzucić.

- Zbyt wiele miałaś do czynienia z psychoanalitykami. Jestem po prostu realistą. Moje życie to polo. Kobiety nie chcą mieć męża, który przebywa cały czas poza domem. Przynajmniej ja takiej nie poznałem. Tak, to prawda, że zawsze starałem się odejść, zanim zbyt się przywiążę... albo ona. - Zgasił cygaro w popielniczkę.

- A co ze mną? Kiedy zamierzasz mnie opuścić?

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem dotknął dłońmi jej policzka. Tyle było czułości w jego dotknięciu, że Luz miała ochotę się rozplakać. Długo przyglądał się jej twarzy.

- Zawsze, ilekroć patrzyłem na ciebie, dostrzegałem coś, co nie dawało mi spokoju - szepnął. - Teraz wiem już, co to jest. Patrząc na ciebie, widzę, że pragniesz być kochana. Poruszyło mnie to, bo ja również tego potrzebuję. Nie chcę cię porzucić, *querida*.

Pochylił się i pocałował ją w usta, a czułość otworzyła drogę do zaspokojenia ich wspólnych pragnień. Ogarnął ich żar namiętności tak silnej, że przekraczającej niemal granice fizycznej wytrzymałości. Osiągnęli szczyt tego, którego doznać może kobieta i mężczyzna, a czego nigdy nie można zatrzymać.

Leżeli potem obezwładnieni błogim zmęczeniem. Luz patrzyła na ubrania rozrzucone wokół, potem odwróciła się na bok i położyła rękę na piersi Raula. Wziął ją w dłonie i podniósł do ust, pocałował, a potem znów położył na swojej piersi i przyciągnął Luz do siebie.

Nagle ktoś zapukał do drzwi apartamentu.

- To na pewno pokojówka. - Luz próbowała wstać, ale Raul przytrzymał ją ramieniem.

- Najwyżej zastanie nas w łóżku. Nic się nie stanie - uśmiechnął się leniwie i przytulił ją do siebie.

Rozległo się następne natarczywe pukanie.

- Pozwól mi wstać. Ona na pewno ma klucz i może za chwilę wejść.

- A to oznaczałoby straszną kompromitację, prawda? - nadal trzymał ją w objęciach.

- Oczywiście. - Usłyszeli chrobotanie klucza w zamku. - Raul, pozwolisz mi wreszcie się ubrać? - zapytała z rozbawieniem w głosie i wyślizgnęła się z jego ramion.

W zasięgu ręki nie miała żadnej części swojej garderoby. Jedynym strojem, który mogła na siebie natychmiast narzucić, była koszula Raula. W pośpiechu włożyła ją na siebie i podwinęła zbyt długie rękawy, żeby uwolnić dłonie. Teraz mogła zapiąć guziki. Usłyszeli odgłos otwieranych zewnętrznych drzwi, a potem kroki w niewielkim salonie, rozdzielającym dwie sypialnie. Drzwi do saloniku były otwarte. Spojrzała na Raula, który tymczasem zdążył włożyć spodnie.

- Zabrałaś mi koszulę. W co mam się ubrać?

- Lepiej, żeby pokojówka podziwiła twoją pierś nie moją. *Uno momento* - zawołała, słysząc kroki w pobliżu drzwi sypialni. Spojrzała na Raula, który zaciągał suwak od spodni, potem odwróciła się w stronę drzwi.

Na widok Roba stojącego na progu doznała wstrząsu. Jego spojrzenie powędrowało od niej do Raula, padło na skłębioną na łóżku pościel, po czym znowu zatrzymało się na Luz. Rumieniec pokrył mu twarz i szyję.

- Nie sądziłam, że tak wcześnie wrócisz - powiedziała.

- To widać. - Cała jego postać wyrażała hamowaną wściekłość. - Dobrze się bawiłaś, droga mamusiu?

Sarkazm syna zabolął ją równie mocno jak gniew, który dostrzegła w wyrazie jego twarzy. Co innego wiedzieć o jej romansie, a co innego zobaczyć to na własne oczy.

- Rob, proszę cię, spróbuj...

- Co mam spróbować? - rzucił ostro. - Zrozumieć, że moja matka puszcza się w pokoju hotelowym z jakimś grającym w polo żigolakiem? Jak ulicznica!

- Przestań! - Raul ruszył w stronę Roba z błyskiem wściekłości w oczach. Luz błyskawicznie znalazła się pomiędzy nimi.

- Raul, nie. - Nie chciała, żeby się wtrącał do jej konfliktu z synem. Obawiała się, że to pogorszy sytuację. - Pozwól, że ja to załatwię.

Raul zawahał się, lecz po chwili odsunął się na bok.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Roba, ale zniknął właśnie w drzwiach. Rzuciła się za nim. Nie chciała, żeby tak odszedł.

- Rob, zaczekaj!

Dopędziła go w salonie i złapała za ramię, zanim zdążył otworzyć drzwi wyjściowe. Odtrącił jej rękę, ale odwrócił się do niej.

- Budzisz we mnie wstręt. Zdajesz sobie z tego sprawę? - Luz cofnęła się o krok, wstrząśnięta pogardą i nienawiścią, która malowała się na jego twarzy. Nie sądziła, że usłyszy coś takiego od własnego syna. - Nic nie ma dla ciebie znaczenia poza własnymi zachciankami, a już najmniej to, co ja odczuwam.

- To nieprawda, Rob! Znaczysz dla mnie tak wiele!

- Okazujesz to w dość dziwny sposób. Czy ty wiesz, jak ja się czuję, kiedy moja matka uwodzi trenera, powieka, który ma być kapitanem mojej drużyny? Mój Boże! Przecież jesteś od niego starsza. Czy ty nie widzisz, jakie to nieestosowne i wstrętne?

- Nie. - Luz dość już miała słuchania tych obelg. - Nie jestem twoją własnością. To, że jesteś moim synem, nie oznacza, że muszę kierować się wyłącznie twoim interesem.

- To niech cię diabli wezmą!

Rzucił się do drzwi i wypadł na korytarz, zanim zdążyła go powstrzymać.

Wstrząśnięta do głębi, zastanawiała się, co powinna zrobić. Jej gniew ustępował pod obezwładniającym uczuciem lęku, że może utracić Roba. Tego bała się najbardziej. Przycisnęła do ust pięści.

Drgnęła, kiedy poczuła parę obejmujących ją rąk. Był to Raul. Czule tulił ją do siebie. Z uczuciem ulgi oparła głowę o jego pierś.

- Po co ja się z nim kłóciłam? - zastanawiała się na głos. - W ten sposób nigdy nie dojdę z nim do porozumienia. On jest zbyt wrażliwy.

- Kiedyś nauczy się panować nad sobą. - W tych słowach była odrobina pociechy.

- Boję się o niego. Był taki zdenerwowany, kiedy wyszedł. Jak myślisz, co on teraz robi? Nie zna przecież miasta, nie mówi po hiszpańsku. - Luz wysunęła się z ramion Raula i ruszyła do sypialni. - Muszę go odnaleźć.

- Gdzie chcesz go szukać? - złapał ją za rękę.

- Nie wiem, ale gdzieś musiał pójść. Odnajdę go - nalegała. - Widziałeś, w jakim był stanie. Nie mogę pozwolić, żeby błąkał się po ulicach obcego miasta.

- A ja nie pozwolę, żebyś ty wędrowała po ulicach szukając go - powiedział Raul. - Najprawdopodobniej wybrał się do któregoś z klubów polo.

- Bardzo możliwe.

- Czekaj tutaj na wypadek, gdyby wrócił do domu, a ja sprawdzę, czy go tam nie ma.

- Zatelefonujesz, jeśli go znajdziesz? - Luz nie miała siły spierać się z Raulem.

- Tak - obiecał.

W miarę jak minuty przeciągały się w godziny, czekanie stawało się piekłem. Raul raz zatelefonował, ale tylko po to, aby jej powiedzieć, że dotąd nie znalazł Roba i zamierza pojechać do następnego klubu. Luz ze zdenerwowania odchodziła od zmysłów. Wyobrażała sobie, że miał wypadek, albo że wdał się w bójkę. Widziała go wędrującego samotnie po ulicach lub pijącego z rozpaczą w jakimś barze. Wyrzucała sobie setki razy, że tak ostro zareagowała na jego słowa, że nie zaczekała, aż wyrzuci z siebie cały narosły w nim żal i ból, by dopiero wtedy podjąć z nim rozmowę. Ilekroć słyszała windę zatrzymującą się na ich piętrze albo kroki na korytarzu, serce podchodziło jej do gardła w nadziei, że to może Rob, ale za każdym razem słyszała, że otwierają się inne drzwi.

Zaczął zapadać zmierzch, przygasł różowy blask zachodu słońca. W oknach zapaliły się światła. W dole ulice tonęły w głębokim cieniu rozświetlonym tylko reflektorami pojazdów. Luz stała przy oknie

wpatrzone w noc.

Nagle usłyszała zgrzytnięcie klucza w zamku. Odwróciła się ku drzwiom z nadzieją, ale i z lękiem, że zobaczy w nich Raula. Do pokoju wszedł Rob. Poczuła ogromną ulgę.

- Rob, gdzie ty byłeś? Martwiłam się o ciebie! Nic ci się nie stało? - przyglądała mu się badawczo.

- Ależ nic - zapewnił z uśmiechem.

Był w zupełnie innym nastroju. Cały gniew i gorycz zniknęły. Spodziewała się, że wróci ponury, tymczasem miał całkiem dobry humor.

- Wypiłeś sobie trochę, prawda?

- Jedno piwo. - Zauważył jej niedowierzające spojenie. - Jak ci to udowodnić? Mam stanąć na jednej nodze i palcem dotknąć nosa?

- Gdzie byłeś w tym czasie? Co robiłeś? - wypytywała Luz.

- Wziąłem taksówkę i pojechałem odwiedzić Tony'ego. Jutro będzie na meczu, więc możesz to sprawdzić. - Przeszedł na środek pokoju. - Przemyślałem to sobie po wyjściu. Dziwne, ale teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wcześniej tego nie dostrzegłem. Tak samo jak ty nie masz prawa mówić mi co powinienem, a czego nie powinienem robić, podobnie ja nie mam prawa mówić tego tobie. Ty przestaniesz się wtrącać do moich prywatnych spraw, a mnie nie będą obchodzić twoje.

Była zaskoczona tak kompletną zmianą stanowiska.

- Rob, zdumiewasz mnie.

- No tak, zachowałem się niewłaściwie. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie powinienem mówić takich rzeczy.

Jego słowa brzmiały tak szczerze, że nie mogła mu nie uwierzyć, ale odniosła wrażenie, że coś kryje się za tym nagłym zwrotem. Próbowwała wmawiać sobie, że w końcu nie ma znaczenia, co spowodowało zmianę jego spojrzenia na jej sprawy.

- Cieszę się, że tak to widzisz. Ja... - przerwało jej następne zgrzytnięcie klucza w zamku. Do pokoju wszedł Raul z ponurym wyrazem twarzy. Zatrzymał się raptownie, gdy zobaczył Roba stojącego obok Luz. - Wrócił przed chwilą - wyjaśniła.

- Matka bardzo się o ciebie niepokoiła - powiedział surowo.

- Wiem.

Z zadowoleniem zauważyła, że obecność Raula w najmniejszym stopniu nie zmieniła nastroju Roba. Twarz miał pogodną, nie było na niej śladu niechęci. Na mężczyznę, który był jego trenerem i zarazem kochankiem matki, patrzył jak na równego sobie.

- Rob odwiedził Tony'ego - wyjaśniła. Po chwili wahania podjęła decyzję. Podeszła do Raula i wzięła go pod rękę. - Myślę, Rob, że powinieneś wiedzieć, kiedy przyjedziemy na Florydę, Raul zamieszka w naszym domu.

Zamierzała poinformować go o tym dopiero w drodze powrotnej do Stanów, ale uznała, że ten moment jest bardziej odpowiedni.

Przez twarz Roba przebiegło lekkie drgnienie. Spojrzał na Raula.

- Rozumiem, że zatrzymasz się w dawnym pokoju ojca.

- Nie. Zamieszkamy razem w moim pokoju - oznajmiła Luz.

- Jak już mówiłem - Rob wzruszył ramionami - nie masz prawa wtrącać się w moje sprawy, a ja w twoje. - Wsunął dłonie w kieszenie wiatrówki. - Pójdę się umyć przed kolacją.

Patrzyła, jak wychodzi do swojego pokoju i zamyka drzwi. Mocniej ścisnęła ramię Raula.

- Trochę to wszystko dziwne, nie uważasz? - zapytała, mając na myśli nagłą zmianę, która zaszła w zachowaniu syna.

- *Si.* Bardzo dziwne.

- Zawsze miałam nadzieję, że on w końcu zaakceptuje nasz związek. To dla mnie wielka ulga.

Luz zastanawiała się nieraz, jak powinna postąpić, gdyby spotkała się ze sprzeciwem obojga dzieci. Teraz mogła obawiać się tylko reakcji Trishy na swój list. Przed tym problemem stanie po powrocie na Florydę. Dobrze, że chociaż Rob jest już po mojej stronie, pomyślała.

Kiedy Luz wróciła z Argentyny, list od Trishy już na nią czekał. Szybko przebiegła wzrokiem krótki suchy tekst, potem jeszcze raz przeczytała uważnie, powoli. Jego ton, bardziej jeszcze niż słowa, wyrażał ostrą krytykę i dezaprobatę dla zachowania matki. Próbowала sobie wytłumaczyć, że reakcja córki jest właśnie taka, jakiej oczekiwała, ale nie poprawiło to jej samopoczucia. List zakończony był chłodną informacją: „Wybieram się do domu na najbliższy weekend.” Raul miał przyjechać w piątek. Z westchnieniem schowała list do koperty i postanowiła zająć się niezbędnymi czynnościami domowymi.

Trisha nie była jedynym problemem, który się przed nią pojawił. Zaraz po przyjeździe Luz zatelefonowała do Audry. Udało się spotkanie z nią przesunąć na koniec tygodnia - wytłumaczyła zwłokę zmęczeniem podróży i licznymi domowymi obowiązkami wymagającymi jej obecności.

Jedyną reakcją Emmy Sanderson na wiadomość, że Raul zatrzyma się w ich domu i zamieszka razem z Luz w jej apartamencie na pierwszym piętrze, był wyraz zrozumienia w oczach i towarzyszące mu trzepotanie powiek. Trudno było stwierdzić, czy oznaczało to akceptację czy dezaprobatę. Emma nie kwapiła się z wyrażeniem swojej opinii, a oczywiście Luz nigdy nie pytała jej o zdanie. Domyślała się tylko, że nie pochwała takiego postępowania - była mocno przywiązana do Drewa. Niestety, Luz powątpiewała, czy matka okaże się równie powściągliwa.

- Nazywasz się Kincaid! Mogłam sądzić, że okażesz więcej przyzwoitości i nie będziesz angażować się w tego typu niesmaczną przygodę - stwierdziła z najwyższym oburzeniem Audra, kiedy w końcu Luz zdecydowała się powiedzieć jej prawdę. - Co innego, gdyby to był dyskretny romans, ale zaprosić tego zawodowego gracza do swego domu? Do swego łóżka? Kobieta nosząca nazwisko Kincaid mieszkająca bez ślubu z jakimś mężczyzną! Z tym się nigdy nie pogodzę!

- O tak! Jestem tego pewna - zgodziła się Luz.

Reakcję matki przewidziała precyzyjnie. Rzecz nie polegała na tym, że Audra miała staroświeckie poglądy. Potrafiła być całkiem liberalna, ale nie wtedy, kiedy dotyczyło to zachowania kogoś z rodziny.

Mary stanęła po stronie siostry.

- Moim zdaniem jest to cudowne. Znów mamy naszą dawną zuchwałą i bezczelną Luz. Już nie mogę doczekać się przyjazdu tego twojego przyjaciela.

- Wkrótce go poznasz. Za chwilę jadę po niego na lotnisko. - To właśnie było powodem, dla którego Luz nie odkładała rozmowy z matką. Zresztą żaden moment nie byłby tutaj właściwy. - Ale dzisiaj raczej nie składaj nam wizyty.

- Mary, jak możesz zachęcać ją do czegoś takiego. - oburzyła się Audra.

- To jest jej życie i ma prawo robić to, co jej odpowiada, a nie to, czego ty sobie życzysz. - odpowiedziała stanowczo Mary.

- Zapamiętaj moje słowa: ona jeszcze gorzko tego pożałuje.

Po tej patetycznej uwadze Audra odwróciła się do córek plecami. Wyraziła swoje oburzenie i zarazem umyła w tej sprawie ręce.

Wyraz twarzy Mary, kiedy spojrzała na siostrę, mówił: „Czego innego mogłaś się po niej spodziewać.” Roześmiały się. Luz utkwily w pamięci słowa siostry: „dawną zuchwałą i bezczelną Luz”. Zuchwałą i

bezczelna? Na pewno często zachowywała się w ten sposób, ale po raz pierwszy tak ostro przeciwstawiła się matce. Dopiero teraz, kiedy miała czterdzieści dwa lata.

Nie powróciły więcej do tematu tej rozmowy. Pół godziny później Luz opuściła nadmorską rezydencję matki i pojechała na lotnisko. Samolot Raula już wylądował, czekała na niego przy wyjściu. Od ich rozstania minął tydzień, ale ten czas upłynął jej bardzo szybko. Tyle miała spraw do załatwienia, tyle rzeczy do zrobienia. Teraz minuty wlokły się nieznośnie. Pragnieniu jak najszybszego zobaczenia go towarzyszyło uczucie niepewności. Może działała za szybko i posunęła się za daleko? Może przeskoczyła z małżeństwa w romans za wcześnie by móc zorientować się, czego naprawdę chce? Ciągle nie potrafiła radzić sobie ze swymi życiowymi problemami.

Wszystkie wątpliwości rozwiało pojawienie się Raula, zwłaszcza kiedy spojrzał na nią swymi niebieskimi, ocienionymi czarnymi rzęsami oczami. Bez wahania rzuciła mu się w ramiona, na wargach poczuła jego usta. Wypełniło ją gorące, obezwładniające uczucie. Kiedy w końcu uniósł głowę, zapytała:

- Jaką miałeś podróż? Co z końmi?

- Lot przebiegł spokojnie. Były jakieś drobne kłopoty, ale nic poważnego.

- Samochód zaparkowałam przy wyjściu, możemy iść, jeśli jesteś gotowy - wysunęła się niechętnie z jego objęć. Załadowali do auta cały jego ekwipunek do polo i walizki. Luz była zadowolona, że wzięła samochód typu pick up, bo w zwykłym zabrakłoby miejsca na jego bagaże.

W drodze do domu swobodnie rozmawiali o polo, estancji, Hectorze, locie; pogodzie i o tym, co Luz robiła po powrocie na Florydę.

- Dostałam list od Trishy. Wspomina, że przyjedzie do domu na ten weekend. Myślę, że albo zjawi się dzisiaj późnym wieczorem, albo jutro rano - powiedziała.

Wolała z góry przygotować na to Raula. Być może nie wszystko ułoży się gładko.

- Nie rozmawiałaś z nią po powrocie?

- Nie. - Zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy. - Wiem, że to nią wstrząsnęło, ale po jakimś czasie przyjdzie do siebie... jak Rob. Rozumiem, że w pewnym sensie jest to dla nich sytuacja kłopotliwa. Podobnie zresztą jak dla ciebie - spojrzała na niego przelotnie.

- Obawiasz się, że mogą powstać jakieś problemy?

- Być może. - Próbowała realistycznie ocenić sytuację. - Nie chciałabym, żeby moje dzieci darzyły cię niechęcią. Zdarzają się czasem między mną a Robem i Trishą jakieś nieporozumienia, ale wolałabym uniknąć wplątywania ciebie w takie sprawy.

- To są twoje dzieci - powiedział Raul. - Nie będę się do niczego wtrącał.

Luz uśmiechnęła się zadowolona, że zgodził się z nią.

- Myślę, że to oszczędzi nam w przyszłości wielu nieporozumień.

- Masz rację.

Wyciągnęła rękę i uścisnęła jego dłoń.

- Cieszę się, że jesteś tutaj.

- Ja również.

Wkrótce znaleźli się w pobliżu domu. Luz skrzyła w drogę prowadzącą na tyły budynku, gdzie znajdowały się garaże i stajnie. Z daleka zobaczyła Roba, który na polu do ćwiczeń zajmował się trenowaniem jednego z nabytych od Raula koni.

- Czy chcesz najpierw zostawić w stajni swój sprzęt - zapytała.

Wolała zatrzymać Raula choć przez pewien czas tylko dla siebie. Gdyby pojechali do stajni, musiałyby przedstawić go Jimmy'emu Turnbullowi, no i doszłoby do rozmowy z Robem.

- Zrobię to później - odparł.

- To świetnie - powiedziała zadowolona i skierowała samochód do garażu.

Raul wyjął walizki i ruszyli razem w stronę domu. Weszli do środka przez drzwi łączące taras z salonem. Oczom oślepionym silnym blaskiem słońca wewnątrz salonu wydawało się mroczne, toteż Luz zauważyła siedzącą na kanapie córkę dopiero wtedy, gdy znalazła się na środku.

- Trisha! - Tak długo się nie widziały, że pierwszą reakcją na widok córki była spontaniczna radość. - Myślałam, że przylecisz, w najlepszym przypadku, nocnym samolotem. Od jak dawna tu jesteś?

- Dość długo. - Trisha z lodowatym wyrazem twarzy przeszła obok matki i zatrzymała się przy Raulu i jego bagażu. - Wystarczająco długo, by porozmawiać z Robem i dowiedzieć się, ku czemu to wszystko zmierza. - Luz wyczuła narastający gniew córki, maskowany pozornym chłodem. - Nie wierzyłam mu, więc postanowiłam zaczekać i przekonać się osobiście, czy naprawdę Raul ma zamiar zamieszkać tu z tobą. - Znowu spojrzała na stojące na podłodze walizki. - Teraz widzę, że się nie mylił.

- Chcę ci wyjaśnić... - Te słowa nie pasowały do charakteru Luz. - Wiem, jak trudno jest ci pogodzić się z tym.

- Czyżby? Naprawdę wiesz? - powiedziała z ironicznym uśmiechem. - Co innego, jeśli tracisz mężczyznę z powodu obcej kobiety, a co innego, jeśli jest nią własna matka.

- Nigdy nie byłem twój, więc nie mogłaś mnie stracić - wtrącił spokojnie Raul.

- Masz rację. Wiem, że masz rację, ale to wcale nie ułatwia mojej sytuacji.

- Raul, nie masz nic przeciwko temu, że na osobności rozmawiam z Trishą?

Nie chciała go wplątywać w ewentualną kłótnię.

- Przejdę się do stajni.

Zaczekała, aż wyjdzie na taras, potem podeszła do kanapy.

- Usiądź i porozmawiajmy. - Trisha ociągając się usiadła, a Luz zajęła miejsce naprzeciwko niej. Patrzyła na ponurą, ale piękną i dumną twarz córki. - Chyba nic więcej nie mogę powiedzieć ponad to, co napisałam w liście. Po prostu stało się. Oboje stwierdziliśmy, że tak wiele nas łączy...

Luz tym razem pilnowała się, by niezależnie od tego, co powie Trisha, nie wybuchnąć gniewem, co zdarzyło się w trakcie rozmowy z Robem.

- No tak. A mnie twoim zdaniem nic z nim nie łączyło? On jest dla mnie zbyt stary, ale oczywiście dla ciebie nie jest zbyt młody.

- Jest młodszy tylko o pięć lat, to znowu nie tak wiele. Zawsze uważano cię za najbardziej wyemancypowaną kobietę w rodzinie - przypomniała jej - więc nie powinnaś widzieć niczego gorszego w związku starszej kobiety z młodszym mężczyzną.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie mogę uwierzyć, że wy dwoje... - przerwała i zajęła się układaniem fałdów spódnicy. - Ale kiedy zobaczyłam was na tarasie uśmiechających się do siebie, wydało mi się to całkiem stosowne. I to jest najbardziej przykre.

Luz nie spodziewała się, że Trisha skapituluje tak łatwo. Ogarnęło ją wzruszenie.

- Tak się bałam, że znenawidzisz mnie za to - szepnęła.

- Kiedy przyszedł list od ciebie, pomyślałam sobie, że mogłabym cię zamordować - powiedziała Trisha
- Miałam jednak sporo czasu na przemyślenie wszystkiego. Może wcale go nie kochałam? Może tylko kochałam wyobrażenie o tej miłości? Jeśli uczucie jest jednostronne, nie może być mowy o prawdziwej miłości, prawda?

- Wydaje mi się, że wiem, dlaczego zawsze martwiłam się o ciebie mniej niż o Roba. Ty prawie zawsze potrafisz trzeźwo myśleć.

Trisha wstała nagle z kanapy. Wydawała się być mocno poruszona.

- Chciałam zrobić awanturę. Wyobrażałam sobie, że doznam ulgi, jeśli wybuchnę, będę ciskać przedmiotami i obrzucę cię obelgami. Bardzo tego pragnęłam. Tak właśnie zamierzałam postąpić. - Stała tyłem do Luz. - W wyobraźni rozgrywałam zresztą różne sceny i muszę cię zapewnić, że wszystkie były wyjątkowo melodramatyczne. Zamierzałam być wyniosła, oburzona, pełna pogardy. Każda z tych scen kończyła się tym, że wychodzę, zaklinając się, że widzisz mnie po raz ostatni.

- Cieszę się, że nie odegrałaś żadnej z nich. - Uśmiech Luz wyrażał współczucie dla córki, ale i ulgę.

- Zastanawiam się, dlaczego tego nie zrobiłam. Czuję się tak, jakby ktoś wyrwał mi dywanik spod nóg - siedzę na podłodze i zastanawiam się, co mnie boli. Wiem na pewno, że zraniona duma, ale co jeszcze? W którymś momencie nie potrafiłam trzeźwo myśleć. Po poznaniu Raula straciłam rozsądek. Wprawdzie nie miałam jeszcze osiemnastu lat, ale byłam już dorosłą kobietą. Nagle pojawia się mężczyzna starszy, czarujący cudzoziemiec, po prostu fascynujący. Wszystko wskazywało na to, że przeżyję *la grande passion*. Oczywiście, były też przeszkody - różnica wieku, kultury, środowiska... należało więc uczucie zdusić w zarodku. Ale dlaczego? Wyobrażałam sobie, że wielka wzajemna namiętność pozwoli przelamać wszelkie bariery. - Przerwała opowiadaną na wpół kpiąco historię zmyślonej miłości. - To wszystko brzmi okropnie głupio, prawda?

- Nie - powiedziała Luz. Dla niej były to po prostu fantazje młodzieńczego wieku. - Kiedy miałam szesnaście lat, na farmie Hopeworth pracował młody chłopak. Szalałam na jego punkcie przez całe lato, chociaż wiedziałam, że rodzice wpadliby w furję, a przynajmniej wydziedziczyliby mnie, gdybym chciała poślubić zwykłego stajennego. Przeżywałam okrutne, ale zarazem wspaniałe tortury. Wyobraż sobie, że on nawet o tym nie wiedział. Byłam dla niego wyłącznie córką szefa. Za to ja, gdy siodłał mojego konia i pomagał mi wsiąść na jego grzbiet, wyobrażałam sobie wszystko, co tylko można. - Nie wspomniała Trishy, że któregoś dnia zobaczyła, jak w zaparkowanym samochodzie obściskuje jakąś panienkę z miasta. Było to dla niej straszne. Znienawidziła go po tym gorąco. - Wiem, że to nie to samo, co przydarzyło się tobie, ale doświadczenia do pewnego stopnia mamy podobne.

- Szkoda, że nie opowiedziałaś mi tego wcześniej... Zresztą wątpię, żeby to coś zmieniło. - Gorycz zastąpiła teraz odrobina autoironii. - Jedna z moich koleżanek, Mica, stwierdziła, że przypomina jej to zauroczenie sławną postacią, na przykład gwiazdą rocka czy znanym piłkarzem. Więcej podziwu niż miłości. Wydaje mi się, że potrafiłabym wyperswadować sobie uczucie do Raula, ale nie mogę pogodzić się z tym, że to ty mi go odebrałaś.

- Żałuję, ale nie potrafię powiedzieć nic, co przyniosłoby ci ulgę.

- A ja nie potrafię być aż tak szlachetna, żeby pogratulować ci sukcesu. Powiedzieć, że lepszy... lepsza wygrywa. Daleko mi do takich uczuć.

- Nie oczekiwałam tego od ciebie.

Trisha znów usiadła na kanapie. Oparła ciężko łokcie na kolanach.

- Myślę, że jest w tym trochę żalu, że ty i ojciec nigdy już nie zejdziecie się razem. Teraz, kiedy związana jesteś z innym mężczyzną, on nie będzie chciał wrócić, a gdybyś czekała na niego, to kto wie?

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - zdumiała się Luz. - Uważasz, że gdyby Drew zechciał wrócić, powinnam wybaczyć mu to, że mnie porzucił i poślubił inną kobietę, natomiast mojego związku z innym mężczyzną on wybaczyć nie może. Gdzie się podziały twoje nowoczesne poglądy na temat podwójnej moralności?

- To nie ja, to ojciec ma staroświeckie poglądy. Wiem, że właśnie tak patrzy na te sprawy - zaprotestowała Trisha, po czym zamilkła i wyraźnie posmutniała. - Ale to i tak nie ma znaczenia. Ojciec nie zostawi Claudii, zwłaszcza teraz, kiedy urodziła dziecko.

- Claudia już urodziła?

- Więc nic o tym nie wiesz? Mam małego braciszka. Nazywa się Tremayne Allen Thomas. Urodził się wczoraj wieczorem. Ojciec asystował przy porodzie. Żałuj, że nie słyszałaś, jakim tonem informował mnie o tym dzisiaj rano. Zachowywał się tak, jakby to on urodził dziecko, a nie Claudia.

Nie przyszło mu do głowy, żeby być przy mnie, kiedy rodziłam Trishę i Roba. Ależ on się zmienił, pomyślała Luz.

- Cieszę się. Tak powinno być - powiedziała.

- To właśnie dlatego przyjechałam wcześniej, a tutaj jestem po to, by zabrać swój samochód. - Z wahaniem spojrziała na pozostawione przez Raula walizki. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli w czasie tego weekendu zamieszkać u ojca.

- Jestem pewna, że będzie z tego zadowolony. - Luz wiedziała, że córka potrzebuje trochę czasu, żeby przystosować się do nowej sytuacji. - Przekaż mu moje gratulacje.

Wkrótce po wyjściu Trishy w drzwiach salonu pojawiła się Emma.

- Jak się masz, Emmo. Były jakieś telefony w czasie mojej nieobecności? - zapytała Luz.

- Kilka.

- Coś ważnego?

- Nie. To samo, co zwykle.

Oznaczało to, że znów parę osób dowiedziało się o jej powrocie i niecierpliwie oczekuje potwierdzenia bulwersujących plotek.

Przez drzwi prowadzące do salonu wszedł Raul. Luz zauważyła jego pytające spojrzenie.

- Pamiętasz Emmę? Poznałeś ją przelotnie w Paryżu. Ona jest, podobnie jak dla ciebie Hector, moją sekretarką i gospodynią.

- Oczywiście, pamiętam. Dzień dobry, pani Sanderson - skłonił się grzecznie.

- Witam na Florydzie, panie Buchanan - odparła Emma z uprzejmym uśmiechem.

- Porozmawiamy później, Emmo - odprawiła ją Luz. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, zwróciła się do Raula. - Będziesz musiał jakoś do niej przywyknąć. Nie jest tak bezpośrednia jak Hector, więc zapewne minie trochę czasu, zanim pogodzi się z twoją obecnością.

- *No importu*. Widziałem, jak Trisha odjechała swoim samochodem.

- W czasie tego weekendu zatrzyma się u ojca. Myślę, że wszystko jakoś się ułoży. Rozstałyśmy się w miarę przyjaźnie - uspokoiła go. Przyszło jej nagle do głowy, że powinna teraz robić wszystko, żeby Raul

poczuł się dobrze w domu, w którym ma zamieszkać. Nerwowo spłotła dłonie. - Na co miałbyś teraz ochotę? Może napijesz się czegoś? A może pokażę ci dom i będziesz się mógł rozgościć.

- Chętnie obejrzę dom. - Podniósł jedną ze stojących obok walizek.

- Tutaj jest jadalnia, a za nią kuchnia - wskazała ręką przylegające pomieszczenie, w którym stał długi stół i mnóstwo krzeseł, potem otworzyła drzwi do gabinetu. Pozbawiony prawniczych książek Drewa i pewnych należących do niego drobiazgów pokój wyglądał na opuszczony. - Myślę, że tutaj będziesz mógł urządzić sobie biuro.

Nie czekając na odpowiedź. Luz poprowadziła go do holu. W jej zachowaniu było trochę dziecięcej chęci chwalenia się swoim domem, trochę dumy i trochę nadziei, że spodoba się on nowemu mieszkańcowi. Nie chciała, żeby mówił cokolwiek, dopóki nie zobaczy wszystkiego.

- Zostaw walizkę przy schodach, zabierzesz ją później - poleciła, potem wzięła go za rękę i poprowadziła wzdłuż długiego korytarza na parterze. Przystanąła na moment przy otwartych drzwiach do jednego z pokoi i zerknęła na siedzącą w alkwie siwowłosą kobietę. - Nazywamy ten pokój „porannym”. Tu możesz mnie najczęściej zastać. Dla mnie i Emmy pełni on rolę biura. Ona mieszka przy końcu tego korytarza. - Ciągłe trzymając Raula za rękę, zawróciła w stronę holu. - Sypialnie Roba i Trishy znajdują się w korytarzu po przeciwnej stronie. Tam są też pokoje gościnne.

Kiedy znów znaleźli się przy schodach, uwolniła jego rękę, żeby mógł zabrać bagaże. Zaprowadziła go na piętro, otworzyła drzwi do swego apartamentu i przytrzymała je przez chwilę, kiedy wchodził do środka manewrując niesioną w ręku walizką.

- To jest moje mieszkanie. - Luz poszła prosto do swego pokoju, nie patrząc nawet w stronę sypialni, która należała kiedyś do Drewa. - Opróżniłam część szafy, żebyś miał miejsce na swoje rzeczy. Puste są również dwie szuflady w komodzie. Jeśli to dla ciebie za mało, każę wstawić tu drugą komodę. - Wydało jej się, że jest zbyt gadatliwa. Zamilkła nagle. Spojrzała na Raula, który rozglądał się po pokoju. Z ociąganiem postawił walizkę na podłodze. Jego wzrok spoczął na szerokim łóżku. W tym momencie Luz poczuła się niepewnie. - Nie pomyślałam... Czy nie będzie dla ciebie kapujące, że mieszkanie to należało kiedyś do innego mężczyzny?

Taka możliwość nie przyszła jej wcześniej do głowy. Mężczyźni to dumne istoty, broniące swego terytorium. Może będzie miał opory przed położeniem się do tego samego łóżka, które dzieliła kiedyś z kimś innym?

Raul bez pośpiechu podszedł do niej i oparł dłonie na jej ramionach.

- Gdybym tak uważał, to musiałbym uznać, że i ty należysz do innego mężczyzny, prawda?

- Wiesz, że tak nie jest. - Oparła dłonie na jego piersi i spojrzała mu w oczy. - Tęskniłam za tobą, Raul.

- Ja też.

Objął ją ramieniem, a o tym, jak bardzo tęsknił, powiedziało jej czułe dotknięcie jego warg. Ten sposób porozumiewania się uważała za wyjątkowo sympatyczny.

Kiedy ich usta się rozłączyły, jeszcze przez chwilę pozostawała w jego ramionach. Opuszkami palców dotykała jego twarzy.

- Czy podoba ci się dom? - zapytała.

- Jest bardzo wygodny, ale spodziewałem się tego.

- Obiad będzie o ósmej. Może wcześniej miałbyś na coś ochotę? - Miała na myśli coś do zjedzenia, ale z uśmiechu Raula zorientowała się, że mógł to zrozumieć jako zachętę do czegoś innego niż posiłek.

- To kusząca propozycja, ale chciałbym teraz wziąć prysznic i przebrać się po długiej i niezbyt wygodnej podróży razem z końmi na pokładzie samolotu.

Teraz dopiero odkryła ledwo wyczuwalny zapach końskiego potu unoszący się wokół niego.

- Istotnie, pachniesz koniem - przyznała i przyjrzała się uważnie jego twarzy. - Wyglądasz na bardzo zmęczonego. Pójdziemy dzisiaj wcześniej spać.

- Znakomity pomysł - uśmiechnął się znacząco.

Dwie noce spędzone w Buenos Aires były dla Luz zaledwie próbką tego, co znaczy spać w jednym łóżku z mężczyzną. Teraz, kiedy już od tygodnia budziła się każdego ranka wtulona w niego, doceniała przewagę takich przebudzeń nad samotnymi porankami, kiedy po otwarciu oczu widziała obok siebie pustą poduszkę. To, że spała niespokojnie, nie przeszkadzało Raulowi, tak jak niegdyś jej mężowi. Zdarzało się, że budziły go jej gwałtowne ruchy. Wówczas przytulał ją do siebie i cicho szeptał: „Leż spokojnie”. To wystarczało.

W ciągu pierwszego tygodnia poznali swe drobne przyzwyczajenia, nauczyli się wspólnie korzystać z tej samej łazienki i garderoby. Powstawały nowe nawyki. Takiej intymności Luz nie zaznała nawet w pierwszych latach małżeństwa z Drewem. Zresztą, było to zbyt dawno, by doszukiwać się jakichkolwiek podobieństw.

Kontakty towarzyskie ograniczyła do minimum, całą aktywność kierując na sprawy domowe. Stan ten trwałby na pewno dłużej, gdyby nie Święto Dziękczynienia, Nie była zaskoczona, kiedy zatelefonowała Trisha, aby zawiadomić ją, że wraz z grupą kolegów wybiera się na narty do Aspen. Córka wykazała w całej tej sprawie dużo dobrej woli, ale mimo to wyraźnie wołała trzymać się od nich z daleka. Luz miała nadzieję, że z czasem i to się zmieni.

Gdy Audra zadzwoniła, by potwierdzić zaproszenie na świąteczną wizytą. Luz spodziewała się, że Raul zostanie z niej wykluczony. Byłoby to naturalne po wyjątkowo nieprzychylnym przyjęciu przez matkę informacji o romansie córki. Audra miała jednak wyjątkową zdolność do przymykania oczu na niestosowne postęпки.

- Czy przyrowadzisz swojego przyjaciela? - zapytała.

Od tego momentu Luz wiedziała, jak Audra zamierza określać Raula. Nigdy nie przyjmie do wiadomości, że jest on kochankiem córki mieszkającym w jej domu. Będzie udawać, że nic o tym nie wie, tak jak udawała, że nie wie o przygodach swego męża. Wszystko to wydarło się Luz smutne, ale przynajmniej miała pewność, że Raul potraktowany zostanie jak przyjaciel.

Jesienny huragan, który nawiedził Nową Anglię, uniemożliwił przyjazd braciom i ich rodzinom do Palm Beach. Zanosilo się na to, że w przyjęciu z okazji Święta Dziękczynienia, urządzanym co roku w zimowej posiadłości Kincaidów, weźmie udział Mary z mężem i pięciorgiem dzieci przebywających jeszcze w domu Luz, Rob oraz Raul. Luz była z tego zadowolona. Dla osoby z zewnątrz udział w spotkaniu całej rodziny Kincaidów byłby nieco przytłaczający.

Na ten dzień czekała w napięciu, co kontrastowało ze spokojem Raula, graniczącym niemal z obojętnością. Tłumaczyła to sobie tym, że rodzina w jego życiu nie odgrywała większej roli. Nigdy nie

potrzebował aprobaty, oparcia czy przyzwolenia ze strony krewnych. Zresztą od niej również tego nie oczekiwał. Nigdy nie został poddany tym naciskom, którym ona musiała podlegać.

Dokładnie o drugiej zasiedli do wytwornego świątecznego posiłku. Audra zazwyczaj rozdzielala pary, rozsadzając gości przy stole, toteż Luz była przyjemnie zaskoczona, gdy zobaczyła, że Raul zajmuje miejsce dokładnie naprzeciwko niej,

Po zupie służąca wniosła do jadalni ogromny półmisek z indykiem pięknie upieczonym na złocistobrazowy kolor. Audra kazała jej postawić półmisek przed mężem Mary. Pod nieobecność synów, którzy po śmierci Jake'a przejęli jego obowiązki, zaszczyt pokrojenia indyka przypadł zięciowi.

- W pańskim kraju, panie Buchanan, nie obchodzicie Święta Dziękczynienia, nieprawdaż? To jest wyłącznie amerykańska tradycja, ale jestem zdania, że każda okazja jest dobra na rodzinne spotkanie. Rodzina bardzo wiele dla mnie znaczy i myślę, że jako Hiszpan rozumie mnie pan doskonale.

Audra w każdym calu odpowiadała powszechnym wyobrażeniom o tym, jak powinna wyglądać dostojna matrona patronująca rodzinnemu spotkaniu ze swego krzesła u szczytu stołu.

- Jestem Argentyńczykiem - sprostował uprzejmie Raul - a poza tym nie mam rodziny, więc być może moje odczucia nie są tak silne jak pani.

- To przykre, że jest pan taki samotny - powiedziała współczująco Audra.

- W moim zawodzie ma to pewne dobre strony. Grając w polo, zmuszony jestem ciągle podróżować, wiele dni w roku spędzam poza domem. Dla rodziny byłoby to nie do zniesienia.

- O ile mi wiadomo, ma pan ranczo w Argentynie.

- Tak, ale spędzam tam trzy, najwyżej cztery miesiące w roku. Mam przyjaciela, który w moim imieniu zarządza majątkiem. Tam właśnie hoduję i trenuję konie, no i prowadzę kursy polo, takie jak ten, w którym uczestniczył Rob. Do tego ogranicza się moja działalność.

- Rozumiem, że ta posiadłość jest dla pana domem.

- Jest to miejsce, do którego wracam - odparł Raul.

Luz uznała to określenie za właściwe. Chociaż nie istniało żadne bliższe mu miejsce, nie sądziła, by był do niego naprawdę przywiązany.

- To bardzo smutne. Dom i rodzina zawsze były dla mnie niezwykle ważne. Dzieci wiedzą, że moje drzwi są zawsze dla nich otwarte. Istnieje miejsce, do którego zawsze mogą przyjść. Jest to również ich dom. - Audra rozwijała swój ulubiony temat, podczas gdy służąca rozstawiała na stole dodatki do indyka.

- Dlatego właśnie moja rodzina jest silna. Od lat każdy, kto do niej wchodzi, staje się jednym z nas. - Audra uśmiechnęła się do Rossa, a potem spojrzała wymownie na Raula. - Nic i nikt nie jest w stanie naruszyć naszej jedności.

- Dobrze to ujęłaś, babciu - zauważył Rob.

Po raz pierwszy od przyjazdu Raula powiedział coś, co mogło oznaczać, że nadal boi się utraty miłości matki. Audra miała na myśli raczej coś innego - Raul może dołączyć do nich, ale ona nie pozwoli mu odsunąć córki od rodziny, a szczególnie od niej.

Po obiedzie dorośli przeszli do salonu. Rob w towarzystwie starszych dzieci Mary ruszył w stronę schodów prowadzących do nadmorskiego pawilonu, gdzie mogli bez przeszkód słuchać głośnej młodzieżowej muzyki.

Luz postanowiła porozmawiać z synem.

- Rob! - zawołała, zanim zdążył się oddalić.

Zatrzymał się i spojrzał na nią niechętnie.

- Zaraz do was dołączę - uspokoił swoje towarzystwo, a kiedy ucichł odgłos ich kroków, zwrócił się do Luz. - Wiedziałem, że będziesz chciała odpowiedzieć na moją uwagę.

- W takim razie dlaczego to zrobiłeś? Myślałam, że zrozumiałeś...

- Oczywiście. Ja tylko chciałem, żeby i on zrozumiał - odpalił Rob. - A tak naprawdę to o co ci chodzi? Nie wolno mi już przy nim ust otworzyć?

- Ależ nie!

- W takim razie, czego ty chcesz ode mnie? Jedna niewinna uwaga i zaraz taki problem.

- Ja tylko chciałabym, żeby pomiędzy wami nigdy nie było żadnych zadrażnień. Myślałam, że ty...

- Nic między nami nie ma. Jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi, kumplami od poło. Zadowala cię to? - powiedział ze zniecierpliwieniem i irytacją w głosie.

- W porządku. - Luz zrezygnowała z dalszej rozmowy. Wiedziała, że to nic nie da. Dobrze chociaż, że jakoś pogodził się z zaistniałą sytuacją. Nie tylko ona musiała przyzwyczajać się do obecności nowego mężczyzny w domu. Jemu też trzeba dać na to trochę czasu. - Czekają tam na ciebie, pośpiesz się.

- Jak długo tu będziemy? Wolałbym jak najszybciej wrócić do domu.

- Audra na pewno nie pozwoli nam wyjść przed upływem godziny.

Troskliwym gestem poprawiła mu kołnierzyk koszuli. Bardzo chciała zrobić lub powiedzieć coś, co przyniosłoby ulgę temu uczuciowemu, wrażliwemu chłopcu.

- Dobrze.

Odwrócił się i poszedł w stronę schodów.

Luz ze smutkiem patrzyła za nim. Westchnęła ciężko. Rob stał się ostatnio ogromnie drażliwy i to nie tylko w kontaktach z nią, ale ze wszystkimi. Chociaż któregoś dnia, kiedy spotkała go w stajni, sprawiał wrażenie radosnego i szczęśliwego. Miała nadzieję, że z wiekiem miną mu te nieoczekiwane zmiany nastroju, ale jak dotąd nic na to nie wskazywało. Ostatnio nawet zauważyła, że ten stan jak gdyby się pogłębia.

- Martwisz się czymś? - zapytała Mary podchodząc do niej.

- Nie. Rozmawiałam z Robem. - Luz nie miała ochoty wyjaśniać siostrze wszystkiego. Celowo zmieniła temat. - Powiedz mi, co sądzisz o Rautu?

- Podoba mi się bardziej, niż się spodziewałam. I z Audrą całkiem nieźle sobie radził. Pamiętam, jak pierwszy raz przyprowadziłam do domu biednego Rossa. Audra wprawiła go w onieśmienie jeszcze większe niż Jake.

- Nie tylko jego - potwierdziła Luz.

- Zostawiłam matkę samą w salonie. Lepiej wróćmy do niej, zanim sobie pomyśli, że cała rodzina ją porzuciła. Idziesz? - Mary zatrzymała się przy drzwiach.

- Gdzie się podziewa Raut?

- Pali cygaro na tarasie. Może i my powinniśmy zacząć palić? Nigdy nie próbowałam - zażartowała Mary.

- O nie! Jeszcze tylko brakuje mi raka. Miej litość nade mną - roześmiała się Luz. - Powiedz matce, że przyjdę za chwilę. Muszę sprawdzić, w jakim nastroju jest Raul.

Mary wróciła do salonu, a Luz pchnęła oszklone drzwi prowadzące na taras. Raul stał oparty o balustradę i w zamyśleniu wpatrywał się w falujące morze. Lekka bryza rozwiewała cienkie smużki dymu jego cygara. Na odgłos kroków odwrócił się. Stała obok niego.

- To był bardzo dobry obiad - powiedział.

- Istotnie, jedzenie było świetne. - Nie była pewna, czy jego opinia jest zupełnie szczerą - Kincaidowie bywają niekiedy obezwładniający.

- W tym tkwi twoja tajemnica - powiedział. Lekki uśmiech pogłębił bruzdy wokół jego ust.

Odprężona Luz roześmiała się.

- Wreszcie przekonałeś się, że to uosobione we mnie rodzinne cechy Kincaidów były dla ciebie tak nieodparcie pociągające.

- Między innymi.

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Pocałowała go, a potem lekko odepchnęła i dotykając palcem jego brody, powiedziała:

- Moglibyśmy już szykować się do wyjścia.

- Chcesz już iść?

- Myślę, że wystarczająco dobrze zaprezentowałeś się Audrze.

- Hector nazwałby ją groźną damą - uśmiechnął się Raul. - Ciebie określił kiedyś mianem tygrysy chroniącej swoje potomstwo.

- Hector?

- Pod tym względem jesteś podobna do swojej matki - stwierdził.

- Muszę się zastanowić, czy to komplement, czy wprost przeciwnie.

- To jest prawda, a prawda nie może być ani pochlebstwem, ani obelgą. - Pocałował ją leciutko. - Powinniśmy wrócić do salonu, bo twoja matka uzna mnie za prostaka albo dojdzie do wniosku, że ukradłem jej córkę.

- Masz rację - zgodziła się z westchnieniem.

- Dlaczego ją odwiedzasz, chociaż tego nie lubisz? - zapytał.

To pytanie zaskoczyło Luz. Nie potrafiła od razu na nie odpowiedzieć.

- Wiesz co... wydaje mi się, że ja jednak lubię tu przychodzić. Wszyscy buntujemy się przeciwko matce, ale ciągle tutaj bywamy. Jesteśmy sobie bliscy i to jej zasługa. Chociaż nie widzimy się zbyt często, może wyjątkiem jest tutaj Mary i ja, ale w razie jakichkolwiek kłopotów bez oporów zwracamy się do siebie o pomoc. My, Kincaidowie, tworzymy ścisły klan. Wiem, że niekiedy, w czasie rodzinnych spotkań, Drew czuł się pozostawiony na uboczu. Inni współmałżonkowie podobnie, chociaż nigdy nie było to naszym zamiarem. Wydaje mi się, że to tak właśnie wygląda.

- Wobec tego powinniśmy wrócić do salonu.

- Tak, powinniśmy - zgodziła się.

Tydzień po świątecznym weekendzie Raul spędził na kompletowaniu drużyny dla Roba, no i oczywiście dla siebie. Brakowało mu dwóch zawodników. Dobrzy gracze byli na ogół związani kontraktami z innymi drużynami, ale pewne kontakty nawiązał jeszcze w Argentynie. Teraz liczbę kandydatów zawęził już do sześciu.

- No i co o tym myślisz? - zapytała Luz, kiedy wyszli ze stajni i ruszyli w stronę domu na lunch. Raul opierał dłoń na jej ramieniu.

- Myślę, że jestem jak zmęczony koń, któremu potrzebna jest kąpiel i dobre jedzenie po porannej pracy - uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Chodzi mi o graczy. Nie udawaj, że nie rozumiesz. Wydaje mi się, że Bruboker byłby niezły w obronie.

Przez cały ranek oglądała trening, w czasie którego Raul wypróbowywał zawodników w różnych ustawieniach, zmieniając ich role po każdej prawie rundzie.

- Tak, jest twardy. Mógłby być niezłą przeszkodą dla przeciwników. Podoba mi się też Masterson jako rozgrywający i kapitan drużyny. Potrafi grać błyskotliwie. Niestety, Rob jest przeciwko niemu. Uważa, że Masterson zawsze chce całą sławę zagarnąć dla siebie. Muszę przyznać, że istotnie lubi się popisywać.

- Lawless ma dobre konie - zauważyła Luz.

- Nie będzie łatwo podjąć decyzję. - Dziwiło go, że i Luz próbuje oceniać zalety różnych zawodników..

- Trzeba rozważyć mnóstwo czynników: technikę i styl gry, jakość koni. Najważniejsze jednak, żeby był *sympatico*. Należy również wziąć pod uwagę, ile każe sobie zapłacić.

- Sprawy finansowe zostaw mnie. To ja postanowiłam sponsorować drużynę. - Luz zorientowała się już, że koszty znacznie przekroczą jej oczekiwania. - Czy po południu chciałbyś zająć się razem ze mną ustaleniem w jakich turniejach wystąpi nasza drużyna? Moglibyśmy wtedy przygotować program podróży i określić przybliżone koszty.

- Dobrze. Program musimy ułożyć tak, żeby po dłuższych przejazdach zapewnić koniom odpoczynek.

Weszli do domu i skierowali się przez salon do holu.

- Właśnie tym się niepokoję, zwłaszcza jeśli chodzi o przejazd z Teksasu do Nowego Jorku. Może lepiej byłoby wziąć udział w turnieju w Oak Brook? Ja...

- Przepraszam bardzo - przerwała jej Emma Sanderson. - Usłyszałam, że pani weszła, a akurat dzwoni pani Connie Davenport z pytaniem, dlaczego nie dostała potwierdzenia swego zaproszenia na sobotnie przyjęcie. Pyta, czy pani je otrzymała. Co mam powiedzieć?

Luz przystanąła i spojrzała na Raula.

- To jest jej coroczne grudniowe przyjęcie pod hasłem „milion kalorii”. Myślę, że nie mogę wiecznie trzymać cię w ukryciu - zażartowała, a potem zwróciła się do Emmy. - Powiedz jej, że przyjdziemy.

- Świetnie. Zanotuję to w pani kalendarzu.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - Luz wzięła go za rękę i zaczęli wchodzić po schodach na górę. - Wiem, że nie przepadasz za przyjęciami.

Luz nie tęskniła za towarzyskimi rozrywkami. Dawniej całe jej życie było nimi wypełnione. Jeśli nawet sama nie zapraszała gości, to i tak musiała bywać tu czy tam. Teraz czas wypełniały jej inne sprawy, głównie związane z polo: zawodnicy, konie, ekwipunek, transport z miejsca na miejsce...

- Różne bywają przyjęcia, jedne lepsze, inne gorsze. Wszystko zależy od towarzystwa. - Raul rzucił w jej stronę ciepłe spojrzenie, takie, które zawsze wydawało jej się pieszczotą.

- Dokładnie wiem, co powiedzą, kiedy zobaczą cię ze mną: „Ależ szczęściara z tej Luz. Można było się domyślić, że znajdzie sobie kogoś takiego. Przecież ona nazywa się Kincaid” - powiedziała kpiąco. - Och, tak! Wezmą mnie na języki.

Wybiegła myślami naprzód. To będzie miły rewanż za te wszystkie nieszczerze współczujące spojrzenia, które napotykała, gdy porzucił ją Drew. Nie mogła już doczekać się chwili, kiedy pojawi się na przyjęciu z Raulem. Wiedziała, że będzie się świetnie bawić. Nadszedł kres „biednej Luz”.

Kiedy weszli do sypialni, popchnęła Raula w stronę łazienki.

- Weź gorący prysznic. Potem pomyślimy o czymś do jedzenia.

27

Wspaniała rezydencja błyszczała światłami. Kolumny przy frontowym wejściu oplecione były zielonymi girlandami, a nad drzwiami zwisały przewiązane kolorową wstęgą wielkie sosnowe gałęzie. Na podjeździe tłoczyły się samochody. Luz czekała w aucie, aż Raul znajdzie miejsce do zaparkowania. Bardzo jej zależało, żeby wszyscy zobaczyli, jak wchodzi razem z nim.

Gdy stanęli przed drzwiami, z wnętrza domu dobiegły ich stłumione odgłosy świadczące, że przyjęcie jest w toku. Raul zadzwonił. Jeszcze raz rzuciła okiem na jego elegancką sylwetkę. Wszystko było jak należy. Stała przed drzwiami z uczuciem dumy i satysfakcji.

Jeden ze służących wprowadził ich do środka. Podała mu swą długą pelerynę. W jaskrawym świetle błyszczały cekiny, którymi ozdobiona była jej czerwona suknia w stylu tuniki, oblamowana haftem w greckie meandry. Celowo włożyła taki rzucający się w oczy strój.

- Luz! Nie widziałam cię od stu lat! - wylewnie przywitała ją pulchna Connie Davenport. - Wyglądasz w tej sukni zachwycająco. Elegancja i blask. A kim jest ten pan? - zapytała, zerkając na Raula. Potem szepnęła konspiracyjnie - Czy to „on”?

- Connie, to jest Raul Buchanan, a to pani domu, Connie Davenport. - Luz dokonała prezentacji, starając się ukryć uśmiech zadowolenia.

- Przysięgam, że od jutra zacznę chodzić na wszystkie mecze do klubu polo. Czuję się tak, jakbym była jedyną osobą, która nie wie, kim pan jest - Connie podała Raulowi pulchną dłoń. - Och, Luz, jak mogłaś tak długo trzymać go w ukryciu. On jest wspaniały.

- Jest pani bardzo miła, pani Davenport. - Raul delikatnie uwolnił rękę.

- Mój Boże, co za głos. Dla mnie brzmi jak niebiańska muzyka - egzaltowanym tonem zachwycała się Connie. Dźwięk dzwonka oznajmił przybycie następnych gości. - Luz, jestem pewna, że znasz tu wszystkich. Zaprosiłam również Drewa, ale w ostatniej chwili zadzwonił, że nie przyjdą, bo nie mogą znaleźć opiekunki do dziecka. Czy to nie dziwne? W jego wieku? Aha, pamiętaj o zasadach obowiązujących na przyjęciu: jeśli jesteś na diecie albo się odchudzasz, możesz natychmiast wyjść. Wszystko, co zostanie tutaj podane, zawiera mnóstwo kalorii i cholesterolu. Przysięgam, że sosy zaprawione są prawdziwą śmietaną. Smacznego.

- Ona nie żartuje. - Luz półgłosem ostrzegła Raula i trzymając go pod rękę ruszyła w kierunku salonu. - Każdy kęs albo łyk ma co najmniej tysiąc kalorii. Jedzenie jest jej pasją. Im pożywniejsze, tym lepsze. To jedyna kobieta, jaką znam, która wychodząc z przyjęcia chętnie zabiera ze sobą do domu najbardziej smakujące jej potrawy.

Dekoracja salonu przypominała o nadchodzących świętach Bożego Narodzenia. W rogu królowała ogromnych rozmiarów choinka obwieszona pierniczkami, cukierkami i przybrana srebrzystymi, zwisającymi jak girlandy łańcuchami. Talerze z cukierkami i ciastkami rozmaitych kształtów i rozmiarów

rozstawione były na każdej, poza podłogą, płaskiej powierzchni pokoju. Zapach słodczy unosił się nad gośćmi stojącymi lub siedzącymi w niewielkich grupkach.

Kiedy Luz z Raulem weszli do salonu, zatrzymała ich wysoka szczupła kobieta w ozdobionej perłami zielonej sukni, ważącej na oko więcej niż ona.

- Luz, kochanie, czy wolno mi zapytać, gdzie się tak długo ukrywałaś? - czułem powitaniu towarzyszyło wymowne spojrzenie.

- Jak się masz, Veroniko. Jak to się stało, że Connie pozwoliła ci przyjść?

- Przyznałam się, że doktor polecił mi przybrać na wadze, a ona zapaliła się do pomysłu utuczenia mnie.

- Nie wiem, czy miałaś już okazję poznać Raula - powiedziała Luz.

- Tak, chociaż nie jestem pewna, czy pan mnie pamięta. - Wyciągnęła do niego kościstą dłoń. - Spotkaliśmy się w zeszłym roku u Cheta Martina na przyjęciu wydanym z okazji zdobycia pucharu Kincaidów. Jestem Veronika Hampton.

- Oczywiście, pamiętam.

Raul uklonił się uprzejmie, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że nie przypomina sobie tego spotkania.

- Miałam dobre przecucia. - Veronika zwróciła się do Luz. - Kiedy dowiedziałam się, że przedłużasz swój pobyt w Argentynie, od razu odgadłam powód. Nie mogłaś postąpić inaczej, jeśli miałaś okazję przywieźć ze sobą kogoś takiego. Nie pytam, czy dobrze się bawiłaś.

Przez chwilę Luz rozmawiała z Veroniką, potem przeprosiła przyjaciółkę.

- Jeszcze nie dotarliśmy z Raulem do baru, żeby wypić należnego nam kielicha. Porozmawiamy później.

- Lepiej nie spuszczać go z oka - ostrzegła Veronika.

Luz wzięła Raula pod rękę i odeszli.

- Mam nadzieję, że ona posłucha swego lekarza i utyje. Inaczej gotowa jest udowodnić, że ostatnim etapem diety może być pogrzeb - szepnęła.

Luz czuła, że wszystkie głowy odwracają się w ich stronę. Cieszyło ją to. Miała minę zadowolonej kotki i tak też się czuła. Kiedy zbliżyli się do grupki osób stojących przy barze, zwróciła uwagę na rudą fryzurę jednej z pań.

- Jest tu ktoś, komu chciałabym cię przedstawić - powiedziała do Raula, a potem zawołała: - Jak się masz, Billie Rae?

Rudowłosa kobieta odłączyła od towarzystwa i podeszła do nich.

- Luz! Wyglądasz wspaniale!

- Natomiast ty... - Luz śmiejąc się potrząsnęła głową na widok czerwonej sukni, która stwarzała rażący dysonans z rudą fryzurą. - Nie wiem, jak ty to robisz. Zestawienie kolorystyczne jest szokujące, a mimo to wyglądasz w tej sukni fantastycznie.

- Tu trzeba odwagi i trochę aktorstwa. - Ostry makijaż usiłował maskować przekroczoną już pięćdziesiątkę wyzywająco ubranej damy. Spojrzenie zielonych oczu Billie Rae zatrzymało się na chwilę na Raulu, potem powróciło do Luz. - To jest ten wybrany, prawda?

- Tak. Pozwól, że ci przedstawię Raula Buchanana. A to Billie Rae Townsend. Jest właścicielką galerii przy Worth Avenue.

- Miło mi panią poznać - powiedział Raul.

- Mnie również jest bardzo przyjemnie - odpowiedziała. - Galeria to moje hobby. Po prostu kocham piękne przedmioty. O ile się nie mylę, gra pan w polo.

- To prawda.

- Jest to sport wymagający fizycznego wysiłku. Musi pan mieć nadzwyczajną kondycję. - Billie przyjrzała mu się uważnie, a potem popatrzyła na Luz. - Jego akt na pewno nie leżałby długo w mojej galerii.

Luz roześmiała się.

- Miałam wpaść do ciebie. W Buenos Aires widziałam piękne prace tamtejszych artystów. Mam adresy dwóch sklepów z dziełami sztuki. Myślę, że mogłabyś się tym zainteresować.

- Świetnie. Koniecznie przyjdź do mojej galerii - nalegała Billie Rae.

- Obiecuję.

Zanim dotarli do baru, jeszcze parę razy zostali zatrzymani przez przyjaciół Luz. Po wypiciu drinka ruszyli wokół salonu, witając się i zamieniając po parę słów kolejno ze wszystkimi gośćmi. Luz promieniała zadowoleniem i satysfakcją. Po dokończeniu rundy pożegnali się z gospodynią i opuścili przyjęcie.

Po wyjściu z rezydencji Luz ciągle upajała się słodkim uczuciem zwycięstwa. Otrzymała zadośćuczynienie i to było wspaniałe. Przytuliła się do ramienia Raula. Z trudem opanowała chęć wybuchnięcia głośnym śmiechem.

- Bardzo się cieszę, że poszliśmy na to przyjęcie - powiedziała.

Pocałowała go, gdy otwierał drzwi samochodu. Wślizgnęła się do środka i niecierpliwie czekała, aż Raul usiądzie za kierownicą. Przysunęła się bliżej, by móc lepiej widzieć jego twarz.

Kiedy Raul manewrował, by wydostać się z parkingu, uniosła się i usiadła na podwiniętej pod siebie nodze. Nachyliła się ku niemu i ustami dotknęła jego szyi tuż za uchem, a potem przesunęła wargi niżej, w stronę ramienia. Czowała smak jego ciepłej pachnącej skóry.

- Luz, ja prowadzę samochód. - Cofnęła się, chociaż jego surowy głos nie zrobił na niej wrażenia.

Wsunęła rękę pod marynarkę i próbowała rozpiąć guziki koszuli, by dotknąć dłonią jego piersi. W pewnym momencie złapał ją za nadgarstek i odsunął jej rękę.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

- W domu, jesteśmy w domu - poprawiła go. Potem oparła policzek na jego ramieniu i koniuszkiem palca obwiodła jego ucho. Raul niecierpliwie odwrócił głowę.

Kiedy samochód wjechał na podjazd, Luz odsunęła się od niego i wyprostowana usiadła na swoim miejscu.

- To było wspaniałe przyjęcie - powiedziała z uśmiechem i poprawiła ręką włosy.

Raul zatrzymał samochód przed wjazdem do garażu, wysiadł, potem otworzył drzwiczki po jej stronie. Zamierzała pójść w stronę domu, ale on odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku.

- Gdzie ty idziesz?

- Zauważyłem światło w stajni. - Raul zatrzymał się. - Ktoś musiał je zostawić.

- Nie ma potrzeby tam chodzić. - Podbiegła do niego. - Możemy z domu zatelefonować do Jimmy'ego Raya i poprosić go, żeby sprawdził. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Miałam wspaniały wieczór. Dzięki tobie. - Luz spróbowała przyciągnąć jego głowę i pocałować go.

W odpowiedzi złapał ją za ręce i uwolnił się z jej objęć. Była zaskoczona jego reakcją i chłodnym wyrazem twarzy, który dopiero teraz zauważyła.

- Co się stało? - zdumiała się.

- Dzisiaj wieczór demonstrowałaś mnie swoim znajomym, jakbym był jakimś świeżo nabytym ogierem. Nie jestem twoją własnością, Luz. - Jego głos wibrował gniewem.

- W ten sposób to odebrałaś? Ach tak... Może to moja wina, że pokazałam cię przyjaciółom, ale przecież taka byłam dumna, że widzą mnie z tobą. Myślałam, że sprawi ci to przyjemność. Nie chcę, żebyś był moją własnością... Popsuleś mi wspaniały wieczór. - Ruszyła w stronę domu, ale zaraz przystanęła. - Zmieniłam zdanie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli sam sprawdzisz, co znaczą te światła w stajni.

Raul odetchnął głęboko. Jego gniew nieco przygasł. Patrzył na błyszczące cekiny na jej sukni, widocznej spod rozwiewającej się na skutek energicznego marszu peleryny. Po gwałtownym proteście Luz zaczął powątpiewać, czy jego oskarżenie było usprawiedliwione. Zdenerwowanie nie opuszczało go jednak. Sposób, w jaki traktowali go goście na przyjęciu, pozostawił mu nieprzyjemne uczucie. Być może nie było w tym winy Luz, ale teraz nie miało to znaczenia.

Ruszył ku stajni z nadzieją, że nocny spacer złagodzi mu zły nastrój. Czuł na twarzy lekki wietrzyk - niósł ze sobą woń koni i siana, zmieszaną z delikatnym, świeżym zapachem oceanu.

Otworzył główne wejście i wszedł do stajni. Smuga światła wydobywała się spod drzwi magazynku. Zapalił lampy na korytarzu. Konie poruszyły się w zagrodach, zaszeleściło siano. Któryś wierzchowiec zarżał cichutko.

Kiedy Raul zbliżył się do magazynku, poczuł zapach dymu. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Sięgnął ręką do belki ponad nimi, na której przechowywał otrzymaną od Luz klucz. Zanim zdążył przekręcić go w zamku, usłyszał dobiegający ze środka jakiś hałas. Pchnął drzwi i stanął twarzą w twarz z równie jak on zaskoczonym Robem.

- Człowieku! - Rob roześmiał się niepewnie. - Mało brakowało, a przestraszyłbyś mnie na śmierć, wpadając tutaj w ten sposób. Co się stało? Mielicie być na przyjęciu.

- Właśnie wróciliśmy. Zauważyłem światło i pomyślałem, że ktoś zapomniał je zgasić.

Dym czuć było teraz wyraźniej, ale Raul ciągle nie mógł zlokalizować źródła zapachu. Rozejrzał się po pokoju.

- Nikt niczego nie zapomniał. Tylko ja kręcę się jeszcze tutaj. Możesz spokojnie wracać do domu, wychodząc zgaszę światło - gorąco zapewniał go Rob, ale jego nerwowość wyraźnie wzrosła, kiedy Raul skierował się do stojącego w głębi pokoju stołu.

- Czuję zapach dymu. - Raul spojrzał podejrzliwie na Roba.

- Ja nic nie czuję. Aha, wiem, co to może być. Jakiś czas temu w ubikacji zapaliłem skręta. Pewno jeszcze został zapach.

Raul zauważył, że Rob ciągle ustawia się w ten sposób, by zasłaniać sobą stół.

- Co tutaj robisz? - Podeszedł bliżej, ale Rob nie pozwolił mu spojrzeć na stół.

- To nie twoja sprawa. - Wciąż uśmiechał się nerwowo, lecz teraz na jego twarzy pojawił się również wyraz zniecierpliwienia.

- Coś jednak ukrywasz. - Kolejny krok do przodu spowodował, że Rob uniósł ręce, by odepchnąć Raula. Umożliwiło mu to rzucenie okiem na stół, na którym leżały przybory służące do przygotowania

narkotycznej mieszanki. Ze złością odsunął Roba. - Co to jest? Kokaina?

- A jeśli tak, to co? Ja też mam prawo mieć trochę przyjemności. Tobie nic do tego. Kokaina nie ma wpływu na moją grę w polo, a tylko to powinno cię obchodzić - odpowiedział wojowniczo Rob. - Możesz się obściskiwać z moją matką, ale to nie znaczy, że masz prawo mówić mi, co powinienem, a czego nie powinienem robić.

Raul złapał go za koszulkę i przycisnął do stołu.

- Nie waż się mówić tak o Luz - powiedział ostro. Potem uwolnił go i cofnął się o krok. Odczuwał złość i niesmak.

- Radzę ci pamiętać, że to jest moja matka.

- Czy ona o tym wie? - Raul wskazał przedmioty leżące na stole.

- Idź i powiedz jej - warknął Rob wyzywająco. - Zaprzeczę wszystkiemu. Zwałę winę na Jimmy'ego Raya. Jak myślisz, komu ona uwierzy? Na pewno mnie. Lepiej trzymaj język za zębami, bo mogą wyniknąć z tego kłopoty. Dla ciebie też.

Raul zdawał sobie sprawę, że w tym, co mówi Rob, jest sporo racji. Luz jest w tych sprawach ślepa. Już wcześniej ostrzegła go, że zawsze stanie po stronie syna. Wiedział, że trudno liczyć na jej wdzięczność za powiadomienie jej, że Rob zażywa narkotyki. To wykracza poza powierzoną mu rolę. Jego kontakty z Robem powinny ograniczyć się wyłącznie do gry w polo. Nie otrącał się do tej pory do rodzinnych sporów, więc i teraz powinien trzymać się od tego z daleka.

- To istotnie nie ma związku z polo, ale jeśli kiedykolwiek spróbujesz połączyć te dwie sprawy, to pożałujesz - ostrzegł Raul. - To, co robisz prywatnie, to twoja rzecz i nie powinno cię obchodzić, co ja robię. Mam na myśli twoją matkę.

- Wiedziałem, że ustąpisz. - Rob uśmiechnął się złośliwie. - Nie odważysz się pisnąć ani słowa. A może szkoda? Wiele bym dał, żeby zobaczyć, jak Luz pokazuje ci drzwi.

- I może jeszcze cieszyłbyś się, że cierpi z tego powodu. - Raul odwrócił się i wyszedł z magazynu.

Zamknął za sobą drzwi i położył klucz z powrotem na belce. Wyszedł ze stajni i skierował się ku domowi. Żałował, że odkrył tajemnicę Roba. Kokaina to bardzo kosztowny nałóg. Rob miał na nią pieniądze, ale wcześniej czy później Luz zorientuje się w jego nadmiernych wydatkach. Ze zgrozą pomyślał o tym dniu, a potem wyobraził sobie, że widzi siebie w sytuacji, która być może nastąpi w dalekiej przyszłości.

Po powrocie do domu zostawił w holu światło dla Roba i udał się na górę. Przeszedł przez salon i zajrzał do sypialni. Czerwona suknia z cekinami wisiała na oparciu krzesła, ale Luz nie było.

- Luz? - zawołał i wrócił do salonu.

- Jestem na tarasie - dobiegł go przytłumiony głos.

Raul stanął w szeroko otwartych drzwiach i rozejrzał się. Zobaczył Luz ubraną w czerwony szlafrok, stojącą przy balustradzie tyłem do niego. Ręce splecione miała na piersi, głowę uniesioną, jak gdyby kontemplowała układ gwiazd na nocnym niebie. Kiedy znalazł się tuż za nią, opuściła głowę i odwróciła się ku niemu.

Widząc jej przygnębienie, uświadomił sobie, że mimowolnie stał się przyczyną jej problemów z dziećmi, problemów, które jeszcze nie doczekały się całkowitego rozwiązania. Wiedział, jak bardzo zamartwiała się przewidywaną reakcją Trishy na ich związek i z zazdrością Roba.

To były jej dzieci i jej kłopoty. Nie zwracała się do niego o radę i on też nie mógłby zaoferować swojej pomocy, nawet gdyby znał rozwiązanie. Uświadomił sobie, jak kruchy jest ich związek. Mógłby nie wytrzymać kolejnej próby, jaką byłaby informacja, że Rob bierze narkotyki.

Milczenie przedłużało się. Położył ręce na jej ramionach. Wyczuł dręczące ją napięcie. Patrzył na jej pochyloną głowę o jasnozłocistych włosach, posrebrzonych teraz delikatnym światłem gwiazd. Poczł lekki zapach jej perfum.

- Wykorzystałam cię dzisiejszego wieczoru jako narzędzie zemsty - powiedziała cicho.

Raul zapomniał o ich wcześniejszej sprzeczce. Teraz problem wydał mu się zupełnie nieważny. Miał zamiar to powiedzieć, ale Luz zaczęła mówić, więc nie chciał jej przerywać.

- Oczywiście, mściłam się nie z nienawiści czy chęci zranienia kogoś - powiedziała. - Chodziło mi tylko o to, by odzyskać swą wartość w opinii ludzi. Kiedy Drew mnie opuścił, widziałam w ich oczach litość i nie zawsze było to szlachetne współczucie. Słyszałam szept za plecami: „Mąż porzucił ją dla młodej dziewczyny. W jej wieku nie znajdzie sobie innego, no, chyba że jej pieniądze...” Musiałam im pokazać, że znalazłam kogoś, kto chce mnie dla mnie samej, chciałam widzieć zazdrość w ich oczach, kiedy cię zobaczą. Oprowadzałam cię wokół salonu, żeby zetrzeć z ich twarzy te współczujące uśmiechy. Do głowy mi nie przyszło, że będzie to dla ciebie przykre.

Wyjaśnienie bliskie było przeprosinom. Raul nie przypominał sobie, żeby Luz kiedykolwiek powiedziała słowo „przepraszam”. Mogła przyznać, że się myli, i wyjaśnić swoje stanowisko, ale zbyt była dumna, by przeprosić. Raul podziwiał tę jej dumę.

- *No importu* - zapewnił.

Nachylił się i pocałował Luz w szyję, podobnie jak ona zrobiła to w samochodzie. Wyczuł jej bezwolne drżenie i przytulił ją do siebie.

Kiedy ustami dotknął jej warg, zamknęła oczy. Ciepło jego uśmiechu uśmierzyło ból pozostały po wcześniejszej kłótni. W jego ramionach zawsze zapomniała o wszystkim poza radością, którą jej dawał.

W połowie tygodnia Luz zakończyła pracę nad przygotowaniem wstępnego programu wydatków na drużynę, podróże, konie, obsługę stajni. Sporządzone przez siebie zestawienia i wykazy położyła na biurku przed Raulem.

- Bądź tak dobry i przejrzyj to wszystko. Sprawdź, czy nie zawyżyłam lub zaniżyłam jakichś kosztów. Myślę, że ewentualnie można coś zaoszczędzić na paliwie ciężarówek przewożących konie. Ta pozycja jest na drugiej stronie. - Stała za jego krzesłem i palcem wskazała odpowiednie rubryki.

- Koszty nie wydają mi się zbyt wysokie - powiedział Raul, po pobieżnym przejrzaniu dokumentów. - Bardzo to skrupulatnie przygotowałaś.

- Wyglądasz na zaskoczonego - stwierdziła. - Nie zapominaj, że my, Kincaidowie, wywodzimy się z bankierskiej rodziny. Nauczyliśmy się dostrzegać wartość pieniądza, zanim staliśmy się bogaci, i wiemy, jak go cenić, chociaż żyjemy w luksusie. Poza tym, od lat prowadzę domowe rachunki i działam w różnych charytatywnych komitetach. Wiem, że obracając pieniędzmi, trzeba zawsze pamiętać o tym, żeby dochody przewyższały wydatki. Nie jestem przesadnie oszczędna, ale i nie rozrzutna.

Uśmiechając się, Raul podniósł ręce do góry.

- Poddaję się i wstrzymuję od komentarza.

- Przepraszam. - W drzwiach biura pojawiła się Emma Sanderson. - Przywieziono pocztę.

- Dziękuję ci, Emmo.

Luz wzięła od sekretarki pakiet listów, usiadła na obitej skórą kanapie i zaczęła je przeglądać. Raul studiował tymczasem listę przewidywanych wydatków. Większość przesyłek to były rachunki i reklamy.

- Przyszedł list od Trishy! - ucieszyła się Luz. Ostatnie wiadomości od niej miała zaraz po Święcie Dziękczynienia, kiedy córka zadzwoniła, żeby poinformować ją o tym, że szczęśliwie wróciła z nart. Luz otworzyła kopertę i przebiegła wzrokiem list. Spodziewała się, że znajdzie informacje o jakimś innym planowanym wyjeździe na okres świątecznych ferii. - Raul, ona przyjedzie do domu. - Nie mogła wprost uwierzyć i ponownie przeczytała list. - Będzie w piątek wieczorem. W niedzielę ma się odbyć chrzest. - Powód przyjazdu nie miał dla niej znaczenia. - Emmo! - zawołała zrywając się z kanapy i z listem w rękę ruszyła do drzwi. - Emmo!

- Tak?

- Trisha przyjeżdża na weekend. Przygotuj koniecznie pokój dla niej.

- Zaraz to zrobię.

- Dobrze. - Luz zamierzała wrócić do biura, ale jeszcze przypomniała sobie o czymś. - Och, Emmo. Przygotuj wszystkie świąteczne ozdoby. W sobotę udekorujemy już dom na Boże Narodzenie. Wiesz, że Trisha zawsze koniecznie chce przy tym być.

- Pamiętam - uśmiechnęła się Emma.

Luz wróciła do biura i spokojnie przeczytała list do końca. Pozostałe informacje dotyczyły głównie uniwersytetu. Zatrzymała się obok krzesła Raula i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Czy to nie wspaniałe? - powiedziała.

- Tak, to prawda - zgodził się.

Zbyt przejęta była listem Trishy, by zauważyć, z jaką uwagą przyglądał się jej twarzy.

Balansując na stopniach drabiny. Luz przytrzymała w najwyższym punkcie łuku, zwieńczającego wejście do jadalni, zawieszoną na aksamitnej czerwonej wstążce gałązkę jemioli.

- Emma! Trisha! Ktokolwiek! Czy to wisi na środku?

- Może ja się przydam? - zapytał Raul wchodząc do jadalni.

Luz obejrzała się przez ramię z wyrazem powątpiewania.

- Nie wiem. Potrzebny mi prawdziwy ekspert. Z tego, co widziałam w twoim domu, wynika, że nie jesteś specjalistą od dekoracji wnętrz.

- Możliwe, ale jedyny obrazek, jaki mam, wisi dokładnie na środku ściany.

- Co wobec tego sądzisz o tym?

- Dwa centymetry w prawo. - Luz przesunęła wstążkę. - Teraz dobrze?

Trzymając ciągle wstążkę we właściwym już miejscu, wyjęła pinezkę z pudełeczka i poprzez materiał wbiła ją w drewno. Potem sięgnęła po młotek i kilkoma uderzeniami dokończyła dzieła. Raul przytrzymał drabinę, kiedy schodziła na dół, niosąc w rękę pudełko z narzędziami. Cofnęła się o krok, by przyjrzeć się wiszącej nad wejściem jemioli.

- Miałaś rację. Wisi na środku.

- Oczywiście.

- Czy znany jest ci zwyczaj całowania się pod jemiolą?

Luz nie zastanawiała się nawet, dlaczego jest w tak radosnym nastroju. Ma w domu Trishę, dekorowanie domu na święta już za sobą i Raula obok. Wszystko wydawało jej się cudowne.

- Może mogłabyś odświeżyć nieco moją pamięć - zaproponował.

- Z przyjemnością.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i stanęła na palcach. Raul cofnął się jednak.

- Czy nie wydaje ci się, że należy przy tym stać pod jemiolą? - uniósł pytająco brwi.

- To drobiazg kochanie, to drobiazg - szepnęła przyciskając usta do jego warg. Objął ją mocniej i przytulił do siebie.

- Tak się to robi? - zapytał, kiedy uwolniła się z uścisku.

- To była pierwsza lekcja.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch w holu. Spojrzał ponad głową Luz i dostrzegł stojącą w wejściu Trishę. W ręku trzymała wykonaną z kartonu figurkę konia. Widziała, jak się całowaliśmy, pomyślał. Kiedy zorientowała się, że ją zauważył, zniknęła w holu.

- Proszę pani - do jadalni weszła Emma. - Przyniosłam cukierki na choinkę i nowe bombki na miejsce tych potłuczonych.

- Dobrze. Bierzmy się do roboty. Trisha! - zawołała. - Musimy przygotować lampki, jest już późno. - Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, zwróciła się do Raula. - Myślę, że już skończyła ozdabianie holu. Idąc na górę, poproś ją, żeby tu przysłała.

- Dobrze.

Raul przeszedł przez salon do holu. Schody udekorowane były sosnowymi gałązkami przewiązаныmi czerwonymi aksamitnymi wstążkami. Klęcząc przy najniższym słupku poręczy Trisha mocowała do niej wykonaną z kartonu pomalowaną na czerwono i zielono sylwetkę konia. Raul przystanął, świadomy, że ona wie o jego obecności, ale na nią nie reaguje.

- Luz potrzebuje twojej pomocy w zainstalowaniu lampek na choince.

- Dziękuję, zaraz tam pójde. - Podniosła się, zanim wszedł na schody. - Koń wygląda prześlicznie, prawda? Ojciec kupił go, jak miałam osiem czy dziewięć lat. Wracał wtedy z Los Angeles. W każde Boże Narodzenie wieszamy go tutaj, w tym miejscu, gdzie pierwszy raz go zobaczyłam. Oczywiście, tym razem ojciec tego nie będzie widział. - Uniosła brodę, zadzierając głowę jeszcze bardziej niż normalnie. - Teraz już zawsze tak będzie. Muszę się do tego przyzwyczaić.

Raul odniósł wrażenie, że Trisha ma na myśli zarówno brak ojca, jak i jego obecność tutaj.

- Cieszę się, że przyjechałaś na ten weekend do domu.

- Dlaczego? - zapytała wyzywająco.

- Ponieważ uszczęśliwiłaś tym swoją matkę.

Trisha przechyliła głowę i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Zwariowałaś na jej punkcie, prawda? - Raul sprawiał wrażenie zaskoczonego tą uwagą. - To nie znaczy, że wtrącam się w wasze życie. To sprawa wyłącznie pomiędzy wami.

- No, niezupełnie - odparł, a po chwili dodał. - Interesuje mnie wszystko, co jej dotyczy.

Patrzyła przez chwilę na niego, potem uśmiechnęła się.

- Lepiej pójde pomóc Luz przy ubieraniu choinki.

Po wyjeździe Trishy dom wydaje się zawsze pusty - zauważyła Luz, siadając na podsuniętym jej przez Raula krześle. - Nie ma jej już od dwóch dni, a ciągle wydaje mi się, że nagle wbiegnie do pokoju trajkocząc jak zwykle.

- Przepraszam panią. - W drzwiach jadalni pojawiła się Emma Sanderson. - Dzwoni pan Carstairs z banku. Chciałby z panią rozmawiać. Czy powiedzieć mu, żeby zatelefonował po lunchu, czy zechce pani teraz podejść do aparatu.

- Dobrze, porozmawiam z nim. I tak czekamy na Roba. - Wstała od stołu i poszła za Emmą do salonu.

Raul został sam. Rozwinął serwetę i położył ją na kolanach. Nalał sobie do szklanki trochę herbaty ze stojącego już na stole dzbanka. Do jadalni wszedł Rob. Raul obojętnie patrzył, jak okrąży stół i podchodzi do krzesła, które zwykle zajmował.

- Gdzie jest Luz? - zapytał o matkę.

- Rozmawia przez telefon.

Raul zauważył, że Rob wygląda mizernie. Przypomniał sobie, że ostatnio nie zawsze pojawiał się na posiłkach albo prawie nic nie jadł. Znał ludzi, którzy regularnie biorą kokainę i wiedział, że wiąże się z tym bezsenność i utrata wagi. Jest to rezultat stymulującego działania narkotyku, który eliminuje uczucie głodu i zmęczenie.

- Co mi się tak przyglądasz? - zapytał Rob, siadając przy stole.

- Nieważne. - Raul wypił łyk herbaty.

- Co znaczy to twoje „nieważne”?

- Po prostu nic nie znaczy - spokojnie odpowiedział Raul. Nie chciał potęgować napięcia, które od pewnego czasu stale towarzyszyło ich kontaktom.

- Wobec tego, nie patrz tak na mnie. Czy rodzice nie nauczyli cię, że takie zachowanie jest niegrzeczne?

- Rob ułożył sobie na kolanach serwetkę.

- Musiałem zapomnieć.

- Wiem, nad czym się zastanawiasz. A skoro masz słabą pamięć, to ci przypomnę, co ustaliliśmy. Moje przyjemności nie mają związku z grą, a ty się do niczego nie wtrącasz.

- Pamiętam - powiedział z naciskiem Raul.

Rob spojrział na niego i powstrzymał się od dalszych uwag. W sekundę później weszła do jadalni Luz. Raul zauważył wyraz zatroskania na jej twarzy.

- Telefonował pan Carstairs, wicedyrektor banku - powiedziała, uważnie przyglądając się synowi. - Rob, on zadzwonił, bo zdziwiło go, że podjąłeś wczoraj ze swojego konta większą sumę gotówką.

- Co takiego? - oburzył się Rob. - To nie jego sprawa, jaką kwotę podejmuję. Nie widzę powodu, żeby miał cię o tym zawiadamiać. To są moje pieniądze i mogę z nimi robić, co chcę.

- Oczywiście, możesz. Tylko, że... jak powiedział pan Carstairs, dziesięć tysięcy dolarów to zbyt duża suma, żeby nosić ją przy sobie.

- Hej! - zaprotestował. - Co to jest? Co ma znaczyć to śledztwo?

- Ależ to nie śledztwo, nie mogę tylko zrozumieć, po co ci jest potrzebne dziesięć tysięcy dolarów w gotówce.

Wzburzony Rob zerwał się od stołu. Rzucił serwetkę na talerz.

- Wiesz chyba, że za parę dni będzie Boże Narodzenie. Nie przyszło ci do głowy, że może zechcę kupić jakieś prezenty?

- Za gotówkę? Na litość boską, Rob, masz przecież książeczkę czekową. Możesz wypisać czek na dowolną sumę, za którą chcesz coś kupić. To nierozsądne nosić przy sobie tyle pieniędzy.

- To są moje cholerne pieniądze! Jeśli chcę je mieć w gotówce, to wyłącznie moja sprawa. Ja ci nie mówię, jak masz wydawać pieniądze, więc nie dyktuj mi, co mam robić ze swoimi. Nie jestem już dzieckiem. Nie będę przybiegał do ciebie za każdym razem, jak coś jest mi potrzebne. A jeśli potrzebna mi będzie twoja rada, to cię o nią poproszę. Tymczasem odczep się ode mnie.

- Myślę, Rob, że już się wystarczająco wygadałeś - wtrącił spokojnie Raul. - Wobec tego siadaj i zjedzmy spokojnie lunch.

- A ty - zawołał Rob, wskazując palcem na Raula - trzymaj się z dala od tego, bo pożałujesz.

- Rob! - zaprotestowała Luz. Przerwała, gdy zobaczyła, że syn odchodzi od stołu. - Gdzie ty idziesz? Nie zjadłeś przecież lunchu.

- Nie jestem głodny - powiedział i wyszedł z jadalni. Luz patrzyła za nim ze smutkiem.

- Przestałam go rozumieć. Tak bardzo zmienił się od czasu... - spojrzała na Raula i nie dokończyła zdania. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że te irracjonalne wybuchy gniewu zaczęły się w Argentynie, kiedy syn dowiedział się o jej związku z Raulem. - Czy ja wiem? Może też chciałam być taka niezależna, gdy miałam tyle lat co on? Też próbowałam postępować po swojemu, chociaż często było to nierozsądne.

- Rob jest uparty.

- Często miewał zmienne nastroje, nawet jako dziecko, ale nigdy w ten sposób nie wybuchał gniewem. Myślę, że zbyt ciężko ostatnio pracuje. Prawie każdą wolną chwilę spędza w stajniach albo na terenach do ćwiczeń. Zauważyłeś to?

- Tak.

- Wydaje mi się, że poddawany jest zbyt silnym napięciom. Każdy z nas w pewnym momencie nie wytrzymuje nadmiernych obciążeń. - Próbowała znaleźć usprawiedliwienie postępowania syna. - On naprawdę powinien trochę odpocząć.

Po chwili do stołu zasiadła Emma, a służąca przyniosła sałatkę z kalmarów.

- Rob stwierdził, że nie jest głodny i nie zje z nami lunchu. Katie, możesz zabrać jego nakrycie - powiedziała Luz.

- Nasza nowa drużyna rozgrywa jutro mecz z Czarnymi Dębami. Mam nadzieję, że przyjdiesz i będziesz nam kibicować. - Raul próbował rozładować ponurą atmosferę.

- Oczywiście - odparła, siląc się na pogodny ton. Próbowała udawać, że nic się nie stało.

Nazajutrz wszystko wróciło do normy. Rob, tryskający radością po zwycięstwie nad drużyną Czarnych Dębów, która w ubiegłym roku zagarnęła dla siebie puchar Kincaidów, śmiał się, dowcipkował, poklepywał po plecach kolegów z zespołu. Luz zauważyła nawet, że ściska dłoń Raula, dziękując mu za doprowadzenie drużyny do zwycięstwa.

Kiedy Rob zaproponował uczczenie zwycięstwa w klubowym barze, Raul odłączył od roześmianego towarzystwa i poszedł do Luz. Razem ruszyli w stronę parkingu.

- Dlaczego nie poszedłeś z nimi? - zapytała.

- Oni się znacznie lepiej bawią, jeśli ja nie słyszę ich przechwałek - uśmiechnął się.

Na jego twarzy widać było zmęczenie. Objął ją i poszli razem, przytuleni do siebie.

- Rob grał dzisiaj bardzo dobrze, prawda?

- Tak, lepiej niż zwykle.

- Żałuję, że nie mogłam widzieć twarzy Cheta Martina w przerwie pomiędzy drugą a trzecią rundą. - Luz roześmiała się. - Ależ musiał być wzburzony. Jeśli jest dla niego coś bardziej przykrego niż przegrany mecz, to jest to na pewno porażka z Kincaidami.

- Istotnie, nie sprawiał wrażenia zbyt zadowolonego - zgodził się Raul.

Przechodząc obok kortów tenisowych, Luz zauważyła dwóch mężczyzn z raketami w dłoniach i ręcznikami przewieszonymi przez szyję, opuszczających akurat ogrodzony siatką teren. Natychmiast w jednym z nich rozpoznała Drewa. Poczula lekki przypływ smutku, a może nawet odrobinę żalu. Zdziwiło ją to.

- Dzień dobry, Drew.

- Jak się masz, Luz? - Przystanął i brzegiem rącznika wytarł błyszczące na jego twarzy kropelki potu.

- Dziękuję, świetnie. - Zauważyła krótkie spojrzenie, jakim obrzucił Raula. Była w nim niechęć... a może zazdrość? Pomyślała, że chociaż odszedł od niej, nie chce, by miał ją ktoś inny. - Chyba nie poznałeś jeszcze Raula Buchanana. Raul, to jest mój były mąż, Drew Thomas.

- Wiele o panu słyszałem, panie Buchanan. - Drew obojętnie podał dłoń Raulowi. - Córka mówiła mi, że trenuje pan mojego syna.

- Tak.

- Rob czyni ostatnio znaczne postępy - wtrąciła Luz. - Akurat rozgrywali towarzyski mecz z drużyną Cheta Martina i po prostu ich rozgromili. Mogłeś na własne oczy zobaczyć, jak on gra.

- A gdzie jest teraz?

- W klubowym barze. Świątuje.

- Może wstąpię tam i przywitam się z nim - powiedział bez przekonania Drew, patrząc w stronę klubu. Wiedział, że Rob nie chce się z nim spotykać.

- Przyjdzie na to czas, Drew. Jestem pewna. - Luz nieraz zastanawiała się, co powinna zrobić lub powiedzieć, by przerwać ten stan wrogości pomiędzy synem a ojcem, ale Rob nakłaniany do czegokolwiek natychmiast stawał się niesłuchanie oporny. Czas uleczy rany, tłumaczyła sobie. - A jak wasze małżeństwo? Tremayne, o ile się nie mylę?

Drew skinął głową. Uśmiech powoli powracał na jego twarz.

- Zdrowy, wesoły. Udane dziecko.

- To świetnie. Niczego więcej nie można sobie życzyć. - Uśmiechnęła się do niego z odrobiną czułości, ale i smutku, której źródłem był żal za tym wszystkim, co niegdyś było ich udziałem. - Pewno spieszysz się teraz do domu. Cieszę się, że cię spotkałam.

- Ja również, Luz. - Przez moment przytrzymał jej dłoń w swoich dłoniach, jakby miało to być przypieczętowaniem umowy, że puszczają już w niepamięć gorycz rozvodu. Potem spojrział na Raula. - Miło mi było pana poznać. Niech pan będzie dla niej dobry. To szlachetna kobieta.

Luz patrzyła za nim, kiedy się oddalał. Po chwili uświadomiła sobie obecność Raula. Spojrzała na niego.

- Różne rzeczy o nim mówiłam, ale Drew nie jest złym człowiekiem. Po prostu nie pasowaliśmy do siebie - powiedziała i przytuliła się do Raula. Oparła głowę na jego ramieniu. Powietrze pachniało świeżością. - Chodźmy do domu.

Targane wichrem pasma chmur to przysłaniały, to odsłaniały twarz księżycy w trzeciej kwadrze. Rob z fantazją wprowadził samochód na podjazd. Dłoni wybijają na kierownicy rytm w takt muzyki płynącej z nastawionego na pełny regulator odbiornika. Jego głowa i ramiona poruszały się miarowo. Skierował auto w stronę garaży na tyłach domu.

Precyzyjnie wjechał do wnętrza i w porę nacisnął hamulec, tak że przód samochodu zatrzymał się zaledwie parę centymetrów od tylnej ściany garażu. Czuł się jak rajdowiec. Gotów był zresztą iść o zakład, że w tym sporcie również świetnie by sobie radził. Wymaga on refleksu, koordynacji ruchów, zdolności oceny odległości i prędkości. Do diabła! Przecież ja mam to wszystko opanowane do perfekcji, pomyślał. Wyłączył silnik, równocześnie umilkło radio. Wyskoczył z samochodu.

Muzyka nadal rozbrzmiewała w jego głowie, kiedy opuścił garaż bawiąc się kluczykami. W oknach paliły się nieliczne światła. Dom wydał mu się cichy i martwy. Zatrzymał się na myśl o tym, że miałby teraz pójść do swego pokoju i siedzieć tam samotnie. Byłoby to absolutne dno po emocjach wywołanych meczem, po uczuciu satysfakcji z dokopania temu cholernemu Martinowi i wesołym spotkaniu w klubie. Czuł się świetnie i pragnął podtrzymać ten nastrój.

Podrzucił do góry kluczyki i zgrabnie złapał je jedną ręką, po czym wrzucił do kieszeni marynarki. Żwawym krokiem ruszył w kierunku stajni. Miał tam dostatecznie duży zapas białego proszku, żeby nawet przez cały tydzień, gdyby tylko zechciał, utrzymywać się w znakomitym nastroju. Oczywiście, wypali tylko jedną niewielką fajeczkę - reszta zostanie na później. Byłoby szaleństwem w ciągu jednej nocy zużyć zapas o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Nie jest przecież głupi, żeby urządzić sobie taki maraton, zwłaszcza jeśli jutro rano Raul oczekuje go na polu treningowym.

Zazwyczaj kiedy mijało już uczucie euforii, Rob nadal odczuwał wyraźne pobudzenie - jego poziom energii pozostawał wysoki, zbyt wysoki, by myśleć o pójściu do łóżka. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, odrzucając propozycję Jimmy'ego Raya, który oferował mu środki nasenne, ale doszedł do wniosku, że postąpił właściwie. Nie miał zamiaru tak jak on uzależnić się od pigułek nasennych. Oczywiście, Jimmy jest w takim wieku, że potrzebuje dłuższego odpoczynku, pomyślał. Mnie wystarcza parę godzin snu.

Niekiedy wydawało mu się, że w ogóle mógłby obejść się bez snu - choćby teraz. Spojrzał na pudełko z kokainą, które zostawił na stole. Do diabła, ale mam zapas, ucieszył się. Nic się nie stanie, jeśli spędzę tutaj godzinę. Podśpiewując pod nosem zaczął przygotowywać magiczną mieszankę kokainy i eteru. Potem wypełnił fajeczkę, zapalił.

Nagle kątem oka zauważył ogień. W tym samym ułamku sekundy jego przerażony wzrok padł na stojący obok kanister zawierający lotny, łatwopalny eter. Zaraz potem zobaczył płomień ślizgające się po rękawie jego marynarki. Zamarł. Przez moment, nie wierząc własnym oczom, patrzył, jak sięgają coraz wyżej i obejmują ramię.

Żar, który poczuł na skórze, wyrwał go z osłupienia. Cofnął się od stołu, próbując dłońmi stłumić płomień rozprzestrzeniające się coraz szybciej po ubraniu. Ogień był już wszędzie. Czuł jego żar na

plecach. Próbował zrzucić marynarkę, ale płomienie zbyt mocno parzyły go w palce. Ochryply, zwierzęcy ryk przerażenia wydarł mu się z gardła. W panice rzucił się ku drzwiom.

- Jimmy Ray! - wołał walcząc z zamkiem. Prawie całe pomieszczenie stało już w ogniu. Kiedy udało mu się otworzyć drzwi, wypadł na korytarz.

- Ratunku! - krzyczał ochryplym głosem. Starał się trzymać płonące ręce z dala od siebie, przerażony zapachem palonej skóry, świadomy, że to jego własne ciało. - Jimmy Ray! Ratuj mnie!

Pobiegł w kierunku drzwi wyjściowych na końcu korytarza. Stamtąd prowadziły schody do położonego na piętrze mieszkania stajennego. Żar płomieni ogarniał go coraz bardziej. Włosy! Moje włosy płoną! - zauważył nagle i straszny krzyk wydarł się z jego ust. Zdał sobie sprawę, że nie dotrze do drzwi.

Na podłogę! Rzucić się na podłogę i stłamsić płomienie. To jedyne, co mogę zrobić, dotarło do jego świadomości. Krzycząc z bólu, rzucił się na podłogę. Próbował się po niej toczyć, ale zderzył się z czymś miękkim. Płomienie wiły się przed jego oczami spotęgowane suchymi źdźbłami trawy. Bale z sianem! To była jego ostatnia świadoma myśl. Nie słyszał już rżenia przerażonych koni. Ogień ogarnął ułożone pod ścianą kostki sprasowanego siana.

Coś wytrąciło ją ze snu. Odwróciła się i otworzyła oczy. Druga strona łóżka była pusta. Usłyszała jakiś szelest i spojrzała w tym kierunku. W ciemności dostrzegła zarys postaci Raula. Wydało jej się, że się ubiera. Zapaliła lampę i osłoniła oczy od światła.

- Co się stało? Dokąd się wybierasz? - zapytała widząc, jak w pośpiechu zapina pasek od spodni.

- Coś wystraszyło konie. - Wsunął szybko nogi w buty i wziął w rękę koszulę. - Słyszysz je?

W tym momencie Luz zorientowała się, że dobiegający z zewnątrz hałas to nie krzyki nocnych ptaków, lecz stłumione, przeraźliwe rżenie koni. Błyskawicznie odrzuciła przykrycie i sięgnęła po leżący w nogach łóżka szlafrok. Zawijając pasek, pobiegła za Raulem, który właśnie opuszczał pokój.

Drzewa i krzewy rosnące wokół basenu oraz garaże zasłaniały widok na stajnie. Poczula zapach dymu, ale dopiero gdy okrążyli garaż, zobaczyła płomienie wydobywające się z okna magazynku. Klnąc po hiszpańsku, Raul złapał ją za ramię i odwrócił w stronę domu.

- Wezwij straż! *De prisa!*

Zaczekał chwilę, żeby mieć pewność, że Luz wypełni jego polecenie, a kiedy zobaczył ją biegnącą do wejścia, ruszył ku płonącej stajni.

Kwiczenie przerażonych, uwięzionych w swych zagrodach koni rozdzierało nocną ciszę, ale Raul pomyślał najpierw o mieszkającym nad stajniami Jimmym Rayu. Nie widać go było obok budynku. Podbiegł do bocznego wejścia stajni, sądząc, że Turnbull może być wewnątrz i próbuje wyprowadzić konie. Kiedy otworzył drzwi z wnętrza buchnęły płomienie. Cofnął się.

Oslaniając twarz uniesionym ramieniem, próbował jeszcze zajrzeć do środka. Wszystko, co mógł zobaczyć, to kłęb ognia w korytarzu, wzdłuż którego składowane były kostki sprasowanego siana. Nie zwracając uwagi na bębnienie kopyt i przejmujące kwiczenie koni, Raul rzucił się ku zewnętrznym, prowadzącym na górę schodkom. Wbiegł na nie, przeskakując po dwa stopnie.

- Turnbull!

Uderzył pięścią w drzwi. Złapał za klamkę, ale metal sparzył go w rękę. Spróbował jeszcze raz, owijając dłoń brzegiem koszuli. Drzwi były zamknięte. Opierając się o balustradę, próbował otworzyć je

kopnięciem. Ustąpiły po czwartej próbie.

Nagły ruch powietrza wywołał prawdziwą eksplozję płomieni. Raul zbiegł po schodach na dół. Ogień ogarnął już cały budynek. Huk płomieni zagłuszył kwiczenie uwieczonych koni. Odsunął się od stajni. Ociekał potem. Bezradnie patrzył na płonący budynek. Zdawał sobie sprawę, że ta cholerna straż pożarna, której syreny słyhać już było z oddali, przybędzie zbyt późno, by cokolwiek uratować.

- Raul!

Odwrócił się i zobaczył Luz biegnącą w jego stronę. Zatrzymał ją, zanim zdążyła zbliżyć się do ognia.

- Nic nie możemy zrobić. - Widząc przerażenie na jej twarzy, objął ją ramieniem.

- Gdzie jest Rob? - spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. - Jego samochód jest w garażu, ale nie ma go w domu. Raul, chyba nie myślisz... - Spojrzała na płonący budynek i nie dokończyła zdania.

Dwa wozy straży pożarnej błyskając światłami i rycząc syrenami zajechały na dziedziniec przed stajnią. Jeszcze zanim zdążyły się zatrzymać, wyskoczyli z nich pierwsi strażacy i zaczęli rozwijać węże. Zaraz za nimi zajechał żółty samochód komendanta straży pożarnej.

- Mój Boże, konie... Panie Turnbull! - szepnęła Emma Sanderson, zatrzymując się obok nich. Siwowłosa kobieta ubrana była w długi szlafrok, włosy przewiązane miała jedwabną chustką.

- Zostań tutaj z Emmą - zwrócił się do Luz, a potem dodał: - Proszę ją tu zatrzymać.

Zbliżał się właśnie do samochodu komendanta straży, kiedy z hukiem runął fragment dachu, wzbijając słup iskier i płomieni.

Z auta wysiadł mężczyzna w średnim wieku i założył na głowę kask.

- Czy pan wie, jak to się stało?

- Nie. Jak tylko zauważyliśmy ogień, wezwaliśmy straż. Kiedy znalazłem się tutaj, było już za późno. Płomienie objęły cały budynek.

- Konie?

Raul skinął głową.

- Na piętrze jest mieszkanie stajennego. Próbowałem tam wejść, ale ogień nie pozwolił.

- Był tam ktoś jeszcze?

- Pani Thomas... niepokoi się o syna. Jego samochód stoi w garażu, więc powinien być w domu, a nie ma go tam. Mógł być tutaj.

- Miejmy nadzieję, że pan się myli - powiedział i poszedł w stronę swoich ludzi, którzy polewali wodą płonący budynek.

Raul wracał do Luz z ciężkim sercem, a widok jej zrozpaczonej twarzy pogłębił jeszcze to uczucie. Nie mógł powiedzieć nic, co mogłoby ją pocieszyć, nie mógł dać jej nawet cienia nadziei. Chciał, aby jego przypuszczenia były błędne, ale nie sądził, by się mylił.

- Gdzie jest Rob? - zapytała, lecz Raul w odpowiedzi potrząsnął tylko głową. - Mógł zauważyć pożar i wyprowadzić część koni ze stajni. Może jest z nimi na padoku? To bardzo prawdopodobne - upierała się desperacko.

- Zaraz sprawdzę. - Wiedział, że jest to bezcelowe. - Wracaj do domu z Emmą. Tutaj nie można już nic zrobić.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiem się, gdzie jest mój syn.

Jeszcze przed świtem strażacy przeszukujący zgliszcza, oprócz zwęglonych szczątków koni, odkryli prawie całkowicie spalone zwłoki dwóch osób. Przy jednych z nich znaleźli fragmenty paska z inicjałami RKT na metalowej klamrze. Ofiarę zidentyfikowano jako Roba Kincaida Thomasa. Ambulans zabrał zwłoki z miejsca tragedii. Dalsze poszukiwania miały na celu ustalenie przyczyn pożaru. Raul odprowadził wstrząśniętą i załamana Luz do domu.

- To jakaś pomyłka. Wiem, że to nieprawda. Rob nie mógł zginąć. To niemożliwe. - Rozpaczliwie odsuwała od siebie świadomość najgorszego. Nie chciała pogodzić się z faktami, nie chciała uwierzyć, że jej jedyny syn nie żyje. - To nieprawda! To nieprawda!

- Wypij to - nalegał delikatnie Raul.

- Nie chcę! Nie chcę! - protestowała. - Chcę, aby Rob wrócił. Żeby wrócił mój syn!

- Cśśś, dziecinko. - Emma usiadła obok niej. - Wiem, że to bardzo boli. Wypij tę słodką gorącą herbatę. Przygotowałam ją specjalnie dla ciebie.

Luz wzięła bezwiednie filiżankę i trzymała ją w dłoniach.

- Emmo! Muszę zatelefonować do Drewa. Muszę go zawiadomić.

- Dobrze, dobrze. Już do niego zadzwoniłam. Zaraz tutaj będzie.

- Audra? Mary? - w odpowiedzi Emma kiwnięciem głowy upewniła Luz, że to też załatwiła. - Jak ja powiem o tym Trishy? Nie wiem, co powinnam jej powiedzieć. - Luz przysłoniła przepelnione łzami oczy. - Nie mogę w to uwierzyć. Taki był szczęśliwy po wygraniu meczu. Jak to się stało? Dlaczego? Dlaczego musiał zginąć?

- Nie zadrećzaj się tymi pytaniami - usiłowała ją pocieszyć Emma. - Nigdy się tego nie dowiemy. Nikt z nas nie wie, dlaczego jego najbliżsi odchodzą.

- Był taki młody. To niesprawiedliwe. Miał całe życie przed sobą.

Ktoś wziął od niej filiżankę. Zaczęła rozpaczliwie szlochać. Jakaś częścią świadomości wiedziała, że jest przy niej Raul, ale czuła jedynie własny ból.

Pół godziny później, prawie równocześnie, pojawiły się Audra i Mary.

- Emmo! Proszę natychmiast zadzwonić po policję - rozkazała Audra zaraz po wejściu do salonu. - Przed domem pojawili się dziennikarze. To jest prywatna posiadłość i chcę, żeby ich stąd natychmiast usunięto. Nie życzę sobie, żeby w takim momencie dręczyli moją córkę swymi nietaktownymi pytaniami.

Mary z oczami zaczerwienionymi od płaczu podeszła do Luz i objęła ją czule.

- Tak mi przykro. Luz - płakały razem.

Raul wstał, robiąc miejsce dla Audry.

- Moja dziecinko - powiedziała, biorąc ją w ramiona. - Zawsze modliłam się, żeby żadne z was nie doznało bólu utraty dziecka. Ale pamiętaj, masz rodzinę. Frank i Michael przyłączą dzisiaj po południu. Nie musisz się niczym kłopotać. My zajmiemy się załatwieniem wszystkiego.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Kiedy Luz zobaczyła Drewa wchodzącego do salonu, serce po raz kolejny ścisnęło się jej z bólu. Podeszła do niego i rzucili się sobie w ramiona.

- Nasz syn, nasze dziecko! Drew, mówią, że on nie żyje!

- Jak to się stało?

- Pożar... Prawdopodobnie wszedł do stajni, żeby ratować konie, i znalazł się w pułapce.

W wyobraźni widziała syna próbującego wydostać się z płonącej stajni. Widziała ogień zamykający mu drogę ucieczki. Jej ból potęgowała świadomość, jak straszną musiał mieć śmierć.

- Mój Boże! - Drew ukrył twarz w jej włosach. Trwali nieruchomo, przytuleni do siebie.

Emma przyniosła na tacy dzbanek z kawą i filiżanki.

- Jeśli ktoś miałby ochotę na herbatę, to jest świeżo zaparzona. Mogę podać - powiedziała.

Mary napełniła filiżanki dla siebie i Audry.

- Musimy zatelefonować do Trishy - powiedziała Luz, z wysiłkiem powstrzymując się od płaczu. - Nie chcę, żeby dowiedziała się o tym z gazet.

- Tak, tak - odpowiedział Drew łamiącym się głosem.

Znów ktoś zadzwonił do drzwi. Tym razem otworzył je Raul. W wejściu stał komendant straży pożarnej w mocno zabrudzonym ubraniu. Z wahaniem wszedł do środka, zdejmując kask.

- Myślę, że... ustaliliśmy przyczynę pożaru, panie Buchanan. Ja... och... nie chciałbym niepokoić pani Thomas, ale uważam, że powinienem z nią porozmawiać, jeśli zechce mnie przyjąć.

Patrząc mu w oczy, Raul domyślił się, co komendant może mieć do powiedzenia. Wolałby powiedzieć, że Luz nie chce go przyjąć. Pragnął oszczędzić jej tego, ale wiedział, że nie wolno mu tak postąpić.

- Proszę chwileczkę zaczekać. - Zostawił komendanta w holu i wszedł do salonu. - Luz, oficer straży pożarnej chciałby się z tobą widzieć.

- Proszę mu powiedzieć, żeby wszedł - zdecydowała Audra.

Raul wrócił do holu.

- Rodzina chciałaby z panem rozmawiać - powiedział i wprowadził komendanta do salonu.

Mężczyzna zawahał się w progu, lekko speszony obecnością tylu osób.

- Jak już wspomniałem panu Buchananowi, ustaliliśmy najprawdopodobniej przyczynę pożaru. - Przerwał, ale nikt nie zadał żadnego pytania. - Znaleźliśmy dowody, które wskazują na to, że ktoś... hmm... ktoś w magazynku palił kokainę.

- Kokainę? - zawołał zdumiony Drew i spojrzał na Luz. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonej.

- Znaleźliśmy szczątki fajki, w której ją palono, i kanister z eterem. To bardzo lotna i łatwopalna substancja. Wystarczy najmniejsza iskra i... doszło do czegoś w rodzaju eksplozji.

- Tak przypuszczacie, ale nie ma pan pewności - zaprotestowała Luz. - Jeśli chce pan powiedzieć, że mój syn...

- Bardzo mi przykro, pani Thomas, ale pożar zaczął się w magazynku. Zwłoki pani syna znaleźliśmy w pobliżu. Najprawdopodobniej zapaliło się na nim ubranie i wybiegł z pomieszczenia. Zwłoki stajennego znajdowały się na pierwszym piętrze pod szczątkami zapadniętego dachu. Wszystko wskazuje na to, że w magazynku był pani syn. Wiem, jak przykro usłyszeć coś takiego o własnym dziecku, ale to nie zmienia faktów.

- Nie - odwróciła się od niego.

- Kto poza panem wie o tym? - zapytała Audra.

- W tej chwili tylko jeden z moich oficerów. Przed rozmową z panią Thomas nie chciałem udzielać nikomu żadnych informacji.

- Pana zdaniem istnieje podejrzenie, że mój wnuk palił kokainę w fajce. Mam rację? - zapytała.

- Tak, proszę pani.

- W takim razie czy nie można powiedzieć, że przyczyną pożaru było palenie fajki? Wiadomo, że palenie tytoniu w stajniach często doprowadza do takich skutków, nieprawdaż?

- Tak, proszę pani. Tak.

- Rozumie pan, że nie nakłaniam nikogo do kłamstwa, ale rodzina byłaby ogromnie zobowiązana, gdyby oszczędzone jej zostały przykrości związane z roztrząsaniem przez prasę okoliczności śmierci mojego wnuka. Myślę, że tragiczne konsekwencje jego postępowania są dla nas wszystkich dostateczną karą, nie sądzi pan?

- Zrobię wszystko, co będę mógł. - Komendant skłonił się lekko. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia..., dla wszystkich.

Po jego wyjściu Luz opadła na krzesło.

- Nie mogę w to uwierzyć - szeptała, powoli kręcąc głową. - Rob zażywał narkotyki! Nigdy... nigdy nie przypuszczałam. Pieniądze! - przypomniała sobie i spojrzała na Raula. - Może dlatego podjął dziesięć tysięcy dolarów, żeby kupić kokainę?

- Tak.

- Tak? Czy to znaczy, że pan wiedział? - zapytał Drew.

- Tak.

- Wiedziałeś? - Luz zerwała się z krzesła i podeszła do Raula. - I nic mi o tym nie mówiłeś?

- Jakże mogłem ci to powiedzieć? Uwierzyłybyś mi?

- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? - zapytała bezradnie. - Może bym nie uwierzyła, ale nie dałeś mi tej szansy. Miałam prawo o tym wiedzieć. Może gdybyś mi powiedział, mogłabym coś zrobić, jakoś go powstrzymać.

Przepełniał ją gniew. Bezsilna złość wynikająca z przekonania, że Rob nie musiał zginąć. Gdyby wiedziała, mogłaby coś zrobić, by mu pomóc. Znow wstrząsnął nią gwałtowny szloch. Płakała, powtarzając głośno imię syna.

Raul objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Tak mi przykro, *querida* - szepnęła. - Uważałem, że nie powinienem się wtrącać do jego spraw. Nie mogłem przewidzieć tego, co się stało. Teraz wiem, że popełniłem błąd.

- Rob! Rob! - oplakiwała syna.

Minął poranek przepełniony bólem i łzami. W pewnym momencie Audra poleciła Mary zabrać Luz na górę, żeby mogła się ubrać, zanim zaczną pojawiać się znajomi z wyrazami współczucia. Ustalono, że Frank poleci do Bostonu, żeby powiadomić Trishę o śmierci brata i towarzyszyć jej w drodze do domu. Straszliwy ból wypełniał każdą minutę życia Luz.

Po pogrzebie Luz poszła do swojego pokoju, pozostawiając rodzinie zajmowanie się gośćmi. Zaciągnęła kotary - nienawidziła słońca za to, że świeci. Podeszła do barku na kółkach i naląła do szklanki porcję czystej whisky. Prześladował ją obraz Roba uwięzionego w pułapce bez wyjścia, a w uszach brzmiało jej ciągle kwiczenie koni.

Okazało się, że przeszkadza jej czarna woalka. Niecierpliwym gestem odrzuciła ją do tyłu i jednym haustem wypła połowę zawartości szklanki. Poczła tylko lekkie pieczenie w przełyku. Zbyt była odrętwiała. Usiadła na sofie. Zamknęła się w swym bólu i opuszczeniu. Nie potrafię z tym żyć, pomyślała. Wzięła w rękę szklankę i wypła drugą porcję whisky. Coś przecież musi stłumić ten ból.

Nie uświadamiała sobie upływu czasu. Każda minuta była dla niej torturą. Ktoś uchylił drzwi i dobiegł ją z dołu gwar licznych głosów. Do pokoju wszedł Raul. Luz wiedziała, że wcześniej czy później ktoś z bliskich przyjdzie, żeby sprawdzić, co robi. Rodzina rzadko pozostawiała ją na dłużej samą, starając się, by zawsze ktoś był przy niej. Raul co prawda nie jest członkiem rodziny, ale w pewnym sensie należy do niej.

- Jeśli wolisz być sama, mogę przenieść się do innego pokoju - zaproponował.

- Nie. - Podeszła do barku i znów napełniła sobie szklankę. Wypła duży łyk. Tym razem poczła gorąco w przełyku. Odetchnęła głęboko, ale nawet powietrze w domu przepelnione było wonią spalenizny. - Nie mogę znieść tego zapachu. Chciałabym, żeby to wszystko jak najszybciej uprzętnęli.

- Już jutro rano przyjadą buldożery i ciężarówki.

Raul zapalił cygaro. Aromatyczny zapach rozszedł się po pokoju.

- Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. To jest takie nierealne. - Przymknęła oczy i bezwiednie kołysała głową w prawo i w lewo. - Ciagle wydaje mi się, że jest na polu treningowym. Dlaczego? Dlaczego musiał umrzeć? Co ja złego zrobiłam?

Zostawił dymiące cygaro na popielniczce, podszedł do niej i wziął ją za ramiona.

- Przestań się obwiniać, Luz. Nie byłaś odpowiedzialna za to, co robi. To Rob spowodował pożar, a nie ty.

Odsunęła się od niego.

- Ty nic nie rozumiesz.

Nikt nie rozumie, pomyślała, nikt nie potrafi zrozumieć. Nalała sobie następną porcję whisky i wróciła na sofę. Kiedy do pokoju weszła Trisha, Luz zauważyła jej bladą twarz i przepelnione łzami oczy. Zdawała sobie sprawę, jakie spustoszenie na jej własnej twarzy spowodowała rozpacz. Trisha zawahała się przez moment, potem podeszła do sofy, usiadła obok matki i oparła rękę na jej ramieniu.

- Tutaj jest całkiem ciemno. Nie uważasz, że można by zapalić światło?

- Nie.

- Wiem, Luz, jak bardzo cierpisz. Rob zawsze był twoim ulubieńcom - powiedziała łamiącym się głosem. - Mnie też to bardzo boli. Ciagle zastanawiam się, czy nie mogłam czegoś zrobić, by temu zapobiec.

Luz domyśliła się, że córka również potrzebuje psychicznego wsparcia. Wiedziała, że powinna przytulić ją do siebie, ale nie mogła zdobyć się na ten wysiłek. Utraciła syna, ukochanego syna. Trisha nie była w stanie wypełnić powstałej po nim pustki.

- Jemu zawsze byłam bardziej potrzebna niż tobie. Potrzebował mnie, a tym razem nie było mnie przy nim. - Ogarnął ją ból nie do zniesienia. - Gdybym wiedziała, że bierze narkotyki... - Przypomniała sobie nagle jakieś słowa córki i zapytała: - Czy ty również o tym wiedziałaś?

Unikając wzroku matki, Trisha niepewnie skinęła głową. Splecione ręce trzymała na kolanach.

- Przyłapałam go kiedyś na paleniu w magazynku. Twierdził, że pali marihuanę. To samo próbował wmówić Raulowi, tylko że on nie uwierzył.

- Ale dlaczego... dlaczego on brał kokainę. - Luz w bezsilnym gniewie zacisnęła dłonie w pięści. - Nigdy tego nie zrozumieć. Miał przecież wszystko, czego chciał. Od czego on próbował uciekać?

Poruszona do głębi Trisha zerwała się z sofy.

- Nie wiem na pewno, ale znawcy twierdzą, że kokaina podwyższa wiarę we własne możliwości, pod jej działaniem wydaje ci się, że potrafisz wszystko. - Splotła ręce na piersiach. - Rob usiłował zawsze sprostać najwyższym wymaganiom, temu, czego oczekiwano od Kincaidów. Ciągłe to słyszał, oboje to słyszeliśmy: „Nazywasz się Kincaid, nazywasz się Kincaid” - powtarzała kpiąco. - Biedny Rob nigdy nie czuł się dostatecznie dobry, chyba że wziął porcję kokainy. - Łzy bezsilnej złości wypełniły jej oczy. - Nienawidzę nazwiska Kincaid - z płaczem wybiegła z pokoju.

Zdumiona i wstrząśnięta Luz patrzyła za nią. To niemożliwe. To, co powiedziała Trisha, wprowadziło Luz w konsternację. Wypiła resztę whisky, podeszła do barku i wzięła w rękę butelkę. Łzy oślepiły ją tak, że nie mogła napelnić szklanki - połowę alkoholu wylała na blat stolika.

- To ci nie pomoże. - Raul wyjął z jej drżącej dłoni butelkę. Wziął Luz za ramiona i przyciągnął do siebie.

- To moja wina - szepnęła i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Jej smutek wydawał się nie do utulenia. Raula zdumiewała głębia jej macierzyńskiego uczucia do syna i straszliwe spustoszenie, jakie wywołała utrata dziecka. Nic nie mogło przeniknąć przez mur rozpacz, jakim się otoczyła, nawet jego miłość.

29

Raul z niepokojem obserwował, jak od dnia pogrzebu ustala się nowy tryb życia Luz. Codziennie z poranną kawą wypijała sporą porcję whisky, żeby móc stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością i znosić ją przez cały dzień. Potem też nie rozstawała się ze szklanką z alkoholem, chociaż nigdy nie była nawet wstawiona. Piła tylko tyle, by przyćmić dręczący ją ból. Lekko oszołomiona krążyła po domu lub przesiadywała w pokoju Roba.

Z domu, przed upływem tygodnia, wyszła tylko raz. Kiedy ekipa porządkowa zakończyła usuwanie szczątków spalonego budynku wraz z fundamentami, Luz poszła obejrzeć to miejsce i nakazała całą powierzchnię wyłożyć darnią. Potem już Raul nie mógł jej namówić na opuszczenie domu.

W dniu wyjazdu Trishy zmobilizowała się na tyle, by pożegnać córkę. Raul miał nadzieję, że jej wyjazd wyrwie Luz ze stanu otępienia, uświadomi jej fakt, że ma drugie dziecko. Niestety, wyglądało na to, że obecność czy nieobecność córki nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Oczywiście, nie było mowy o żadnych nocnych pieszczotach. Ostatnio nawet starała się wyraźnie stronić od fizycznego wsparcia, jakie dawało jego ramię. Z każdym dniem mocniej pogrążała się w żalobie. Nic, co robił czy mówił, nie mogło zmienić tego stanu rzeczy. Chciał jej pomóc, ale wiedział, że ona tego nie chce.

Tragicznej nocy, kiedy wybuchł pożar, dla Luz życie straciło sens. Raul nie mógł jednak pozwolić sobie na bezczynność. Cały ekwipunek pochłonęły mu płomienie. Na szczęście większość jego koni znajdowała się w stajni klubowej, ale i tak zginęła jedna trzecia stada. Wszystkie te straty należało teraz uzupełnić, w końcu polo to jego zawód. Musi nadal trenować i grać.

Raul ubrany w buty do konnej jazdy i bryczesy wszedł do salonu od strony tarasu i zatrzymał się zdumiony. W pokoju panował nieład. Emma w towarzystwie dwóch służących zdejmowała ozdoby z choinki i likwidowała przygotowane na Boże Narodzenie dekoracje. Jeden z mężczyzn stojąc na drabinie odczepiał wiszącą u wejścia do jadalni gałąź jemioli.

- Co to znaczy? - zapytał.

- Luz zdecydowała, że w tym roku nie będziemy obchodzić świąt Bożego Narodzenia. Poleciała mi wysłać wszystkim, również Trishy, upominki pocztą. Pana prezent zaniósł na górę.

- Gdzie ona jest?

- W swoim salonie.

Raul pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, wpadł do salonu. Jego zniecierpliwienie zniknęło natychmiast, gdy zobaczył Luz skuloną w fotelu, ubraną w wygniecione czerwone kimono, trzymającą w dłoniach szklanekę z whisky. Wyglądała rozpaczliwie. Cicho zamknął drzwi, podszedł do okna i rozsunął kotary. Ostoniła ręką oczy i odwróciła się tyłem do światła. Raul przystawił sobie krzesło i usiadł na wprost niej.

- Luz, jest coś, o czym musimy koniecznie porozmawiać.

- Nie teraz. - Wypiła łyk whisky.

- Właśnie teraz - nalegał. - Tego nie można odkładać.

- O co chodzi? - westchnęła.

- Powiedz, co zamierzasz dalej zrobić z drużyną?

- Ach! Drużyna polo - spojrzała na niego z niezadowoleniem.

- W przyszłym tygodniu zaczyna się w klubie turniej. Czy nadal będziesz sponsorować drużynę Roba? - Pamiętał, jak bardzo była przejęta tą sprawą, ile czasu poświęciła na zorganizowanie wszystkiego. Miał nadzieję, że tutaj tkwi klucz do przełamania jej otepienia. - Wszystkim bardzo na tym zależy, Luz.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Raulowi wydawało się, że osiągnął swój cel, ale nagle potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie.

Ciągle nie miała pewności, czy sponsoruje drużynę wyłącznie dla dobra syna. Gdyby cała sprawa zaczęła się, zanim poznała Raula, nie miałaby wątpliwości, ale plan powstał później. Drużyna była sposobem na usprawiedliwienie obecności Argentyńczyka. Mogła trzymać go przy sobie, udając, że robi to dla syna. Ileż razy Rob służył jej za pretekst, gdy chciała być blisko Raula? Spotkanie w Paryżu, podróż do Argentyny, pobyt w estancji, założenie drużyny - wszystko to robiła rzekomo dla Roba, ale tak naprawdę, żeby zaspokoić swoje pragnienie przebywania w towarzystwie Raula. Postanowiła przerwać tę mistyfikację. Winna jest to synowi.

- Co z zawodnikami? Masz w stosunku do nich zobowiązania - przypomniał Raul.

- Wyplacę im odszkodowania. To dobrzy gracze, na pewno znajdą sobie miejsce w innych drużynach. - Wstała i podeszła do barku na kółkach.

Raul siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową, i przeżywał poniesioną klęskę. Chociaż nie powiedziała tego wprost, zrozumiał, że decyzje dotyczą również jego. To prawda, że bez trudu dołączy do jakiejś drużyny. Turnieje pomiędzy Palm Beach a Boca Raton odbywają się tak często, że będzie miał dość zajęć przez cały zimowy sezon. Być może wiosną Luz otrząśnie się z szoku po śmierci Roba, zdoła

opanować ból i pozbedzie się poczucia winy.

Luz podeszła do baru w salonie na parterze i naląła sobie whisky do szklanki.

- Mary? Może tobie też coś przyrządzić? - spojrzała na siostrę. Chciała czymkolwiek ją zająć, byle tylko uniknąć rozmowy na temat swej zapowiedzianej już nieobecności na świątecznym obiedzie u Audry.

- Nie, dziękuję.

Boże Narodzenie to dzieci, a więc Rob. Święta bez niego byłyby torturą. Wypiła łyk whisky. Nie mogła obejść się bez tego środka łagodzącego ból. Zabrała z sobą butelkę z baru, przeszła przez pokój i usiadła naprzeciwko Mary.

- Gdzie się podziewa Raul?

- Gra w jakimś turniejowym meczu w klubie.

- Powinnaś była pójść z nim. Musisz więcej wychodzić z domu. Nie możesz wiecznie tkwić zamknięta w czterech ścianach. Stajesz się odludkiem, a to bardzo niedobrze.

- Mary, ja nie mogłabym siedzieć na trybunach i nie myśleć o Robie uganiającym się po boisku. - Ból ścisnął jej gardło, w oczach zabłyśły łzy. - Dlaczego musiałam dowiedzieć się dopiero po jego śmierci, że brał narkotyki?

- Rodzice zawsze dowiadują się o wszystkim ostatni. Może po prostu nie chcemy wiedzieć, bo nie chcemy dopuścić do siebie myśli, że coś takiego może przydarzyć się naszemu dziecku? Bóg świadkiem, że ciągle się tego boimy.

- Już wcześniej były pewne oznaki - kontynuowała Luz, jak gdyby nie dotarły do niej słowa Mary. - Zmiana osobowości, urojenia, tajemniczość... Wszystko to teraz świetnie widzę.

- Luz, przestań się wreszcie oskarżać. To nie twoja wina - zaprotestowała Mary.

- Niestety moja - powiedziała ponuro. - Czy ty, Mary, tego nie widzisz? Zawiodłam we wszystkim. Nie byłam dobrą żoną dla Drewa i nie byłam dobrą matką dla Roba.

- Ależ to nieprawda.

- Prawda! Prawda! Wybuchy gniewu Roba to było jego wołanie o pomoc, a ja nie posłuchałam. Nie chciałam słyszeć tego wołania, bo starałam się unikać wszelkich problemów. Rob oskarżał mnie o egoizm i miał rację. Byłam szczęśliwa i nie chciałam, by cokolwiek zakłóciło moje znakomite samopoczucie, więc udawałam, że kłopoty miną, jeśli nie będę zwracać na nie uwagi. Potrzebował mnie, a ja mu nie pomogłam - powiedziała z goryczą.

- Przestań się w ten sposób zadrezczać. - Mary ujęła ją za ręce, w których Luz nerwowo ścisnęła szklankę. - Nawet gdybyś wiedziała, nie byłabyś w stanie nic zrobić.

- Nie rozumiesz mnie - Luz spojrzała na siostrę. - Odkąd miałam Raula, nie obchodziło mnie nic poza nim. Zachowanie Roba martwiło mnie, bo obawiałam się, że może to skomplikować stosunki między nimi. Udawałam, że zależy mi na opinii dzieci, ale już wtedy uczuciowo oddalałam się od nich. Myślałam tylko o swoich potrzebach, a ja... potrzebowałam Raula.

Odepchnęła dłonie Mary, podniosła się i wyszła z salonu, kierując się na górę. Jeszcze na schodach zaczęła łkać. Nie mogła darować sobie, że tak zaniedbała Roba.

Tacę z kolacją, którą przysłano jej do pokoju, kazała odnieść do kuchni, ale po pięciu minusach przyniósł ją z powrotem Raul, ubrany jeszcze w strój do konnej jazdy.

- Musisz coś zjeść, Luz.
- Nie jestem głodna. Zabierz to. - Nie patrząc na niego, sięgnęła po butelkę stojącą na nocnym stoliku koło łóżka.
- Nie pij już. - Wyjął jej butelkę z ręki. - Nie znajdziesz w tym niczego poza smutkiem.
- Bez tego jest jeszcze więcej smutku. - Ścisnęła w dłoniach pustą szklanekę, wpatrując się w nią. - Raul, chcę, żebyś odszedł.
- Dobrze, ale tacę zostawię, może jednak coś zjesz - powiedział i westchnął ciężko.
- Nie rozumiałeś mnie. Ja chcę, żebyś odszedł, żebyś opuścił ten dom. - Luz spojrzała wreszcie na niego i zobaczyła jego twarz, na której malowało się zdumienie i niedowierzanie. - Czy ty nie widzisz, że wszystko się popsuło?
- Dlaczego? - zapytał cicho.
- Bo to wszystko przyszło zbyt szybko. Jeszcze atrament nie wysychał na moim dokumencie rozwodowym, kiedy cię spotkałam. Byłam przerażona i samotna. Działałam nierozważnie. Emocjonalnie było na to zbyt wcześnie. Za ten błąd muszę zapłacić.
- Uważasz, że ja tu nie mam nic do powiedzenia?
- Chcę być sama. Muszę przemyśleć wszystko bez twojego wpływu na mnie. - Luz wplotła palce we włosy. - Odejdź. Odejdź i zostaw mnie samą. Nie jesteś mi już potrzebny. Nie chcę, żebyś był przy mnie. Co jeszcze mam powiedzieć, żebyś mnie opuścił?
- To wystarczy. - Z wysiłkiem zmusił się do ruszenia z miejsca. Poszedł w stronę garderoby. - Zapakowanie rzeczy nie zajmie mi wiele czasu.

Luz z butelką whisky w dłoni wyszła do salonu. Postanowiła upić się do nieprzytomności, ale kiedy Raul wychodził z walizkami w rękach, ciągle jeszcze zachowywała pełną świadomość.

Potem szlochała długo i gorzko, oplakując przeszłość i cały ból utraty.

Mijały tygodnie, a smutek dręczący Luz nie wygasał. Alkohol stał się jej jedynym towarzyszem i powiernikiem - witał ją rano, dzielił jej rozpacz w ciągu dnia, a nocą utulał ją do snu. Dom opuszczała rzadko, nie odbierała telefonów. Większość czasu spędzała nie ubrana i nie uczesana. Siedziała po prostu i wspominała.

Wiele zdarzeń nabrało innego znaczenia, kiedy patrzyła na nie z dystansu. Przypomniała sobie to popołudnie, kiedy Rob po powrocie do hotelu w Buenos Aires zastał ją razem z Raulem. Pamiętała, jak gwałtownie się zachowywał, zanim wybiegł z pokoju, a jak był łagodny po powrocie, kiedy pogodnie akceptował jej romans. Musiał wtedy być pod wpływem kokainy, a jej nie zaniepokoiła ta raptowna zmiana nastroju, przeciwnie, doznała ulgi, że kontakty z Raulem jakoś się ułożą.

A te godziny spędzane z Tonym? Prawie cały wolny od ćwiczeń czas. Niekiedy wieczorami obaj zachowywali się jak psotni uczniowie na wagarach. Teraz dopiero stało się jasne, że brali wtedy kokainę. Tony najprawdopodobniej był dostawcą. Nie przywiązywała wówczas wagi do ich błazeństw, bo jej myśli pochłaniały wieczorne spotkania z Raulem.

Po powrocie z Argentyny Rob cały wolny czas spędzał w stajni, tam brał narkotyki i tam je przechowywał. Wieczorami rzadko pokazywał się w domu, ale ona nigdy nie zadała sobie trudu, by sprawdzić, co robi. Nieobecność syna oznaczała posiadanie Raula wyłącznie dla siebie. Tylko ona i on...

Zawsze, zawsze myślała wyłącznie o Raulu, o tym, by z nim być, i stała się ślepa na to, co powinna spostrzec. Zaniedbała Roba. Teraz piła, nie tyle, by się upić, ale tyle, by złagodzić piekący ból.

Bywały momenty, kiedy uświadamiała sobie, że ze względu na Triszę musi wziąć się w garść, lecz nie była w stanie zdobyć się na ten wysiłek. Utraciła syna, a córka wcale jej nie potrzebuje. Jest na uniwersytecie, daleko, zbyt daleko, by to, co się tu dzieje, mogło mieć dla niej znaczenie.

Powoli, ostrożnie wyszła do holu i podeszła do chodów. Mocno oparła się ręką o poręcz, by łatwiej utrzymać równowagę. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu obok wejścia ujrzała walizki.

- Emmo? - zawołała. Usłyszała dobiegający z korytarza odgłos szybkich kroków. Odwróciła się i zobaczyła nadchodzącą Emmę, ubraną w podróżny jasny kostium. Spojrzała na walizki, potem potarła ręką czoło próbując rozjaśnić myśli. - Czy już nadeszła pora twojego urlopu?

- Nie - odpowiedziała Emma z niesłychanie poważnym wyrazem twarzy. - Wymówiłam pracę. Dwa tygodnie temu dałam pani stosowne pismo. Wątpię, by była pani na tyle trzeźwa, żeby je zrozumieć, więc pozwoliłam sobie powiadomić panią Kincaid o mojej rezygnacji. Jestem przekonana, że znalazła już kogoś, kto przyjdzie tutaj na moje miejsce.

- Odchodzisz? Ależ nie możesz tego zrobić - zaprotestowała Luz. Wiadomość ta nieco ją otrzeźwiła.

- Nie zostałam zatrudniona jako pielęgniarka i barmanka. Przez trzy miesiące czekałam, mając nadzieję, że upora się pani ze swoim nieszczęściem, ale widzę, że woli pani rozczulać się nad sobą. Nie jest pani jedyną kobietą, która straciła kogoś bliskiego. Życie idzie naprzód i ja nie zamierzam pozostawać w miejscu. Mam kwalifikacje sekretarki i potrafię prowadzić dom; nie mam zamiaru tracić tych umiejętności. Muszę mieć pobudzającą, interesującą pracę.

- Nie możesz odejść. Co ja zrobię bez ciebie? - Emma była tutaj od tak dawna, dzięki niej sprawy domowe nigdy nie sprawiały kłopotów. Luz nie wyobrażała sobie funkcjonowania tego domu bez niej.

- Proponuję, żeby pani poszła do pracy - powiedziała Emma.

- Co takiego?

- Wiem, że nosi pani nazwisko Kincaid, więc moje rady w małym stopniu mogą odnosić się do pani - odparła z pewną irytacją w głosie - ale praca jakiegoś pobudzającego zajęcia jest tym, czego potrzebuje człowiek po utracie kogoś bliskiego. Nie twierdzę, że zmniejszy to ból czy żal, ale sprawi, że mniej będzie się pani zajmować sobą i w końcu pogodzi się ze stratą. Tak. Najlepiej byłoby, żeby pani zaczęła pracować.

- Pracować? Czy ty wyobrażasz sobie Luz Kincaid Thomas poszukującą pracy? - Pomysł wydał jej się tak absurdalny, że nie mogła się powstrzymać, żeby go nie wykpić. - Mój Boże, ależ to zabawne.

- Jestem pewna, że dla pani jest to zabawne - powiedziała chłodno Emma.

- Pomyśl, Emmo, jakie ja mam kwalifikacje? - Przypomniała sobie, jak kiedyś Trisha określiła jej życie jako ciągłą beczynność. - Zaangażuję się jako osobista sekretarka?

- Jeśli to akurat panią interesuje. Musi to być coś, co panią cieszy, na przykład gotowanie, zajmowanie się ogrodem... cokolwiek - przerwała nagle i westchnęła. - Szkoda słów. Nie jest pani zapewne na tyle trzeźwa, by zapamiętać coś z tej rozmowy. Do widzenia. Miło będę wspominać nasze dawne kontakty. Pani Kincaid wystawi mi referencje, więc nie musi się pani tym kłopotać.

Stojąc bez ruchu, Luz patrzyła, jak Emma wynosi przed dom jedną walizkę po drugiej. Kiedy wystawiła ostatnią, na podjeździe pojawiła się taksówka. Kierowca zaczął wstawiać walizki do bagażnika. Luz

podeszła do drzwi.

- Czy ty na pewno odchodzisz? - zapytała.

- Bardzo mi przykro, ale tak - odparła Emma i wsiadła do samochodu.

Po odjeździe taksówki Luz zamknęła powoli drzwi i spojrzała w głąb pustego domu. Wszyscy ją opuścili. Jake, Drew, Rob, Trisha, Emma, Raul. A może to ona oddaliła ich od siebie? Czy nie odrzuciła niektórych z nich? A może jedno i drugie? Nie mogła o tym myśleć. W głowie czuła pulsujący ból.

Odeszła od drzwi i poszła do salonu. Spojrzała na poplamiony alkoholem szlafrok, który miała na sobie. Dotknęła rękami nie uczesanych włosów. Było już popołudnie, a ona jeszcze się nie ubrała.

Praca. Roześmiała się na myśl o radzie Emmy rzuconej na odchodne. Kto zatrudniłby tak wyglądającą kobietę choćby do mycia podłóg. „Coś, co panią cieszy.” Czy lubiła kiedykolwiek coś robić? Co w jej życiu miało naprawdę znaczenie poza domem, rodziną i rozrywkami towarzyskimi? Były pewne zajęcia, które sprawiały jej prawdziwą radość - pomaganie Robowi w trenowaniu koni, polowanie na lisa w Wirginii, praca z Jake'em na farmie w Hopeworth...

Farma Hopeworth! Na myśl o beztrudnych dniach w domu rodzinnym oczy Luz wypełniły się łzami. Rozejrzała się po pustym salonie, pozbawionym życia i miłości. Zapragnęła znaleźć się w domu dzieciństwa.

Uświadomiła sobie nagle, że nic jej już z tym miejscem nie wiąże. Szybkim krokiem poszła do gabinetu i usiadła przy biurku, na którym stał telefon. Wykręciła numer linii lotniczych.

- Rezerwacja? Chciałam zamówić miejsce na jutro do Richmond w Wirginii.

W dziesięć dni później Luz zadzwoniła do drzwi nadmorskiej posiadłości matki. Otworzyła jej służąca.

Wprowadziła do saloniku. Audra spojrzała na nią zza sterty korespondencji, potem zdjęła okulary, jak gdyby uznała, że szkła wprowadzają ją w błąd.

- Dzień dobry, Audro - powiedziała Luz z uśmiechem. Dziarsko postukując obcasami, podeszła do matki.

- Luz! - Audra podniosła się, by ją przywitać. - Myślałam, że jesteś w Wirginii.

- Byłam. - Po wymianie pocałunków i uścisków, Luz położyła torebkę na stoliku i usiadła, zakładając nogę na nogę. Próbowwała zachować zapał, z którym tu weszła. - Wstąpiłam tu w drodze z lotniska.

- Widzę, że wycieczka dobrze ci zrobiła - zauważyła matka. - Tryskasz zdrowiem i energią.

- Czuję się nieco lepiej - przyznała Luz, chociaż smutek nie przestawał jej dręczyć, wypełniając każdą godzinę. - Audro, chciałabym wydzierżawić od ciebie stary dom w Hopeworth.

- Co takiego?

- Mam zamiar trenować żrebaki, które w przyszłości nadawać się mogą do polo. Poproś Stana Marshalla, albo kogoś innego, żeby ocenił ich obecną wartość rynkową. Po wytrenowaniu będziemy mogły je sprzedać i podzielić się zyskiem.

- Co takiego?

- Hector powiedział mi kiedyś, że niekoniecznie trzeba być specjalistą od gry, żeby móc trenować konie. Wierzę mu. Znam się na koniach, Audro. Potrafię nauczyć je wszystkiego poza doświadczeniem, jakiego nabywają w czasie gry na boisku. Potem mogę wziąć sobie do pomocy instruktora polo, ale na razie jest to coś, czego chcę popробować.

- Kto ci to podsunął? - zdumiała się Audra. - Córeczko, czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach?

Luz roześmiała się, uświadamiając sobie, jak szokujący musi być dla matki ten projekt.

- Nie jestem pijana, jeśli to masz na myśli. Traktuję ten pomysł bardzo poważnie, Audro. Nie twierdzę, że będę najlepszym trenerem koni na świecie, ale potrzebne mi jest dla wypełnienia czasu coś bardziej interesującego niż przyjęcia, komitety, fundacje. A poza tym kocham konie... i kocham farmę Hopeworth.

- A co z twoim domem tutaj?

- Sprzedam go. - Już wcześniej podjęła tę decyzję. - Jeśli transakcja z Audrą dojdzie do skutku, przeniesie do Hopeworth, jeśli nie, to gdzieś indziej. - Ten om... ten dom kryje w sobie zbyt wiele wspomnień. Nie mogę żyć przeszłością. No i co, Audro?

- Nie mogę powiedzieć, że w pełni to aprobuję.

- Ja nie proszę o aprobatę tego, co robię, tylko pytam, czy wydzierżawisz mi dom w Hopeworth.

Nastąpiło długie milczenie. Audra przyglądała się mu, a potem uśmiechnęła się leciutko. Jej oczy odrobinę błyszcząły.

- Nigdy nie lubiłam, jak coś się marnuje.

EPILOG

Czternaście miesięcy później,

Houston Polo Club,

Houston, Teksas.

Było parne, wilgotne, majowe popołudnie i tylko leciutki wietrzyk usiłował poruszyć ciężkie powietrze. Stojąc na skraju trawiastego boiska, z dala od trybun, Luz patrzyła na toczącą się w jej kierunku białą piłkę i pędzącego za nią jeźdźca. Z ogromnym zainteresowaniem śledziła każdy szczegół wyglądu, każdy gest siedzącego w siodle mężczyzny. Wszystko było takie znajome. Nawet gdyby nie wiedziała, że ma on wystąpić w meczu towarzyszącym odbywającej się tu wystawie, natychmiast rozpoznałaby Raula. Ale przecież wiedziała.

Klub polo, w związku z coroczną wystawą i aukcją koni, organizował mecze, w których występowali najlepsi, dziesięciopunktowi gracze. Jednym z nich był Raul i dlatego Luz znalazła się na stadionie. Minął już ponad rok od dnia ich rozstania i może dziwne było, że chciała go zobaczyć, ale ostatnio coraz częściej zastanawiała się nad tym, czy cokolwiek jeszcze zostało z łączącego ich uczucia. Postanowiła to sprawdzić. Nadarzyła się świetna okazja - w jutrzejszej aukcji zamierzała zaprezentować cztery swoje kuce.

Przyglądała się Raulowi, który skierował wierzchowca na pozycję odpowiednią do oddania strzału. Uniósł nieco głowę i Luz zauważyła, że na sekundę jego wzrok oderwał się od piłki i spoczął na niej. Doznała niespodziewanego wstrząsu, ale wszystko to trwało tak krótko, że nie była pewna, czy nie jest to wytwór jej wyobraźni. Zobaczyła, jak Raul wykonuje obszerny zamach kijem i... spudłował.

- Buchanan nie trafił w piłkę! Panie i panowie, czegoś takiego nie ogląda się często - zagrzmiął z megafonu głos spikera. - To dowód na to, że nawet zawodnik z dziesięciopunktowym handicapem może popełnić błąd.

Zauważył mnie, pomyślała Luz. To przeze mnie stracił rytm i nie wykonał łatwego strzału. Może zechce się ze mną zobaczyć? Raul ściągnął wodze i obejrzał się. Nie miała wątpliwości, że patrzy na nią - w okolicy nie było nikogo innego.

Do końca spotkania brakowało tylko trzech minut. Raul po króciutkim wahaniu włączył się do gry. Nie czekając na koniec meczu Luz ruszyła ku odległemu krańcowi boiska, gdzie pod niewielkim daszkiem znajdowało się schronienie, z którego w czasie przerw korzystali zawodnicy.

Stała w cieniu i nerwowo nawijała na palec koniec paska, którym przewiązaną miała sukienkę w stylu safari. Nie przypuszczała, że będzie aż tak zdenerwowana. Zobaczyła wreszcie Raula zjeżdżającego z pola. Zsiadł z konia, oddał stajennemu wodze, potem zdjął kask i odłożył go razem z kijem. Wziął ręcznik i otarł z potu twarz i szyję. Nie odkładając go, ruszył w jej kierunku.

Poczuła dziwny ucisk w sercu. Wyglądał tak samo jak przed rokiem - ubrany w białe bryczesy i trykotową koszulkę - może trochę bardziej opalony, może doszło kilka nowych zmarszczek, ale włosy miał tak samo ciemnobrązowe, a oczy równie niebieskie jak dawniej. Cały czas myśląc o tym, że sama kazała mu odejść, czuła się teraz nieco dziwnie.

- Jak się masz, Raul.

- Luz, wyglądasz znakomicie.

- Dziękuję - szukała słów, które należało powiedzieć.

Kręcący się wokół zawodnicy raz po raz zwracali się do Raula to z gratulacjami, to z żartobliwymi komentarzami na temat nieudanego strzału. Odpowiadał gestem lub skinieniem głowy, ale potem wziął Luz pod rękę.

- Może się przejdziemy? - zaproponował.

- Chętnie.

Dotknięcie jego dłoni przyprawiło ją o miły dreszcz. Wyprowadził ją z kłębiącego się tłumu jeźdźców, koni, stajennych oraz widzów i poszli w stronę ogromnych drzew, pod którymi wieczorem tradycyjnie odbywać się miały tańce. Kiedy poczuli chłód cienia, zwolnili kroku. Milczenie przerwał Raul.

- Jak dawno wyjechałaś z Palm Beach? Zimą dowiedziałem się, że się wyprowadziłaś.

- Nieco ponad rok temu. Mieszkam teraz w farmie Hopeworth w Wirginii. Zaczęłam trenować konie do polo właśnie dlatego jestem tutaj. - Był to w każdym razie jeden powodów. - Wystawiam na jutrzejszej aukcji cztery kuce. Na razie mam dwóch nabywców, którzy chcą wykonać próbne jazdy. Za godzinę mam się z nimi spotkać.

- Zawsze umiałaś sobie radzić z młodymi końmi.

- Szkoda tylko, że w innych sprawach nie byłam równie dobra - szepnęła smutno Luz i spojrzała na rozpostarte ponad ich głowami konary starego dębu. Żałuję, że aukcje odbywają się teraz w nowej hali, nie tutaj, pod dębem. Zawsze uważałam, że jest to najlepsze miejsce.

- Hector prosił, żeby ci przy okazji powiedzieć, że cały dom jest już obrośnięty winoroślą. Ma nadzieję, że któregoś dnia przyjedziesz i na własne oczy przekonasz się jak jest pięknie.

- Jak on się czuje? - zapytała.

Ciekawa była, czy Raul dołącza też swój głos do tego zaproszenia.

- Bardzo dobrze.

- Kiedy się dowiedziałam, że masz przyjechać do Houston, miałam nadzieję, że się spotkamy. Chciałam ci pogratulować zdobycia dziesięciopunktowego handicapu. Wiem, jak wiele to dla ciebie znaczy. - Wyciągnęła rękę. Raul przytrzymał ją.

- To nie był najlepszy interes. Straciłem ciebie, zyskałem za to dziesięć punktów - stwierdził.

- Nie byłam pewna, czy zechcesz zobaczyć się ze mną.

- Przecież to ty kazałaś mi odejść.

- Potrzebny był mi czas na przemyślenie wszystkiego. Pomiędzy rozwodem a spotkaniem z tobą zabrakło mi czasu na rozstrzygnięcie, kim naprawdę jestem i kim chcę być. - Przyglądała się jego dumnej, surowej twarzy, bliskiej jej aż do bólu. - Widzisz... zostałam wychowana w przeświadczeniu, że jestem coś warta tylko jako towarzyszka życia mężczyzny. Teraz, od ponad roku, stałam się zupełnie samodzielna i polubiłam to. Wiem, że mam swoje prawa i znam swoją wartość.

- Mogłem ci to powiedzieć.

- Ale ja musiałam sama do tego dojść - odrzekła.

Podobnie sama musiała w końcu uporać się z problemem utraty syna. Przyznała wreszcie, że nie może brać na siebie winy za jego śmierć, że nawet gdyby o wszystkim wiedziała, nie było sposobu, by jej zapobiec.

- Cóż wobec tego zamierzasz teraz robić? - zapytał, trzymając ją ciągle za rękę.

- Nie wiem. Niekiedy bardzo trudno jest podjąć sprawy w tym samym punkcie, w którym zostały przerwane. - Z zapartym tchem czekała, co powie.

- Ale nie dla mnie - powiedział Raul. - Nie widziałem cię przez półtora roku, a moje uczucia do ciebie są silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Kocham cię, Luz.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nigdy nie powiedzieliśmy sobie tego. - Nie wierzyła, że kiedyś do tego dojdzie. Smutno potrząsnęła głową. - Raul, ty zasługujesz na kogoś, kto stworzy ci prawdziwy dom i rodzinę. Jesteś jeszcze młody, masz dużo czasu na to, by wychować dzieci. Ja mam czterdzieści cztery lata. Nie mogę dać ci synów ani córek.

- A skąd wiesz, że chcę mieć dzieci. Chcę mieć ciebie.

Nie czekając na dalsze słowa, rzuciła się w jego ramiona. Wreszcie byli sobie potrzebni tylko dlatego, że łączyła ich miłość.